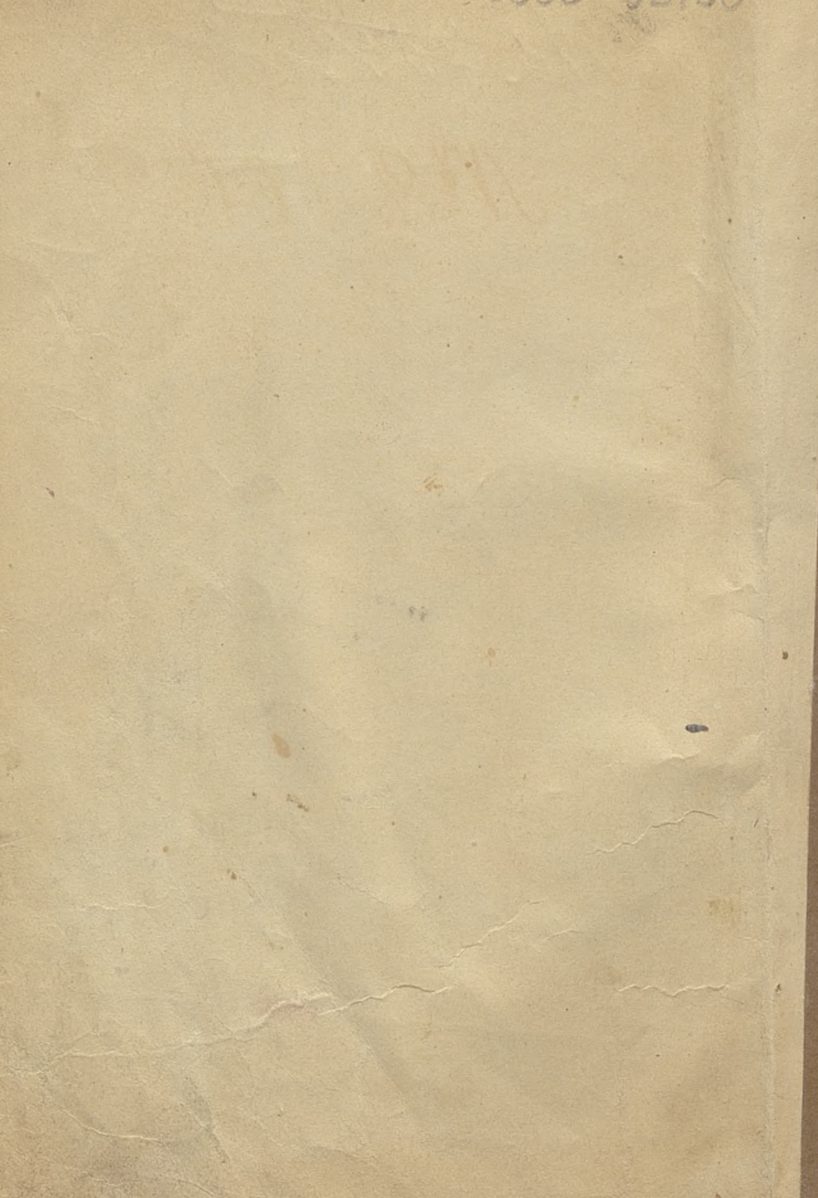








ROBERT HICHENS

OGRÓD ALLAHA

POWIEŚĆ

PRZEŁOŻYŁ Z ANGIELSKIEGO

JÓZEF JANKOWSKI




1929

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE
WARSZAWA



…darskie i wydawnicze Karola Prochaski w Cieszynie

> *„Nikt prócz Boga i mnie nie wie, co w sercu mojem."*
>
> *Pieśń Sahary.*

KSIĘGA PIERWSZA.

*

WSTĘP.

I.

Zmęczenie, spowodowane burzliwą podróżą morską, a może i myśl o tem, czy zdąży przed jutrznią na pociąg, jadący do Beni-Mora, nie dały spać Dominice Enfilden. W hotelu nadmorskim w Robertville panowała głęboka cisza. Oficerowie francuscy, jadający tutaj, oddawna już udali się do swych baraków. Kawiarnie zamknęły już podwoje dla pijących tu lub grających w domino. Ociężali chłopcy arabscy opuścili już piaszczysty plac Marynarki. W ciasnych, dusznych kramikach Żydzi obliczali dzienne zyski, poczem zawijali się w jaskrawe koce i układali się do snu na swych niskich tapczanach. Dwóch tylko czy trzech żandarmów czuwało ciągle i niewielu Francuzów i Hiszpanów w porcie, gdzie, przytwierdzony do przystani, stał parowiec *Generał Bertrand*, na którym Domini przyjechała tego wieczora z Marsylji.

W hotelu piękny i gruby kelner, którego los pchnął tu do Północnej Afryki z Pizy, uprzątnąwszy z dwu długich stołów w jadalni, palił ciemne, cienkie cygaro, czytając *Gazetę Algierską;* odrzucił gazetę, podrapał się w głowę, na której włosy stały jeża, chwilę patrzał tępo i bezmyślnie, jak człowiek, razem zmęczony i przybity, a potem rzucił się na swe wąskie łóżko w dusznym kącie małej izdebki na schodach, blisko drzwi wchodowych. Pani właścicielka hotelu odłożyła nabok swą maskę i modliła się do Matki Boskiej. Właściciel, jej mąż, mruczał swe ostatnie przekleństwa w stronę Żydów i pił ostatnią szklankę

rumu. Potem wszyscy zachrapali, jak zacni ludzie, zbierający swe siły na jutro. Obok w numerze Zuzanna Charpot, panna służąca Dominiki, śniła ulicę Rivoli.

Ale Domini, z szeroko otwartemi oczyma, patrzała ze swej wielkiej, kwadratowej poduszki na czerwone tafle posadzki swej sypialni, na której stały pakunki, poznaczone znakami Komory. W pokoju były dwa okna, wychodzące na plac Marynarki, za którym była stacja. Osłaniały je żaluzje zamknięte z ciemnozielonego błyszczącego drzewa. Jedno z okien było otwarte. Świeca Dominiki u jej łoża paliła się jeszcze ciągle. Noc była ciepła i spokojna, bez wiatru.

Leżąc tak, Domini czuła jeszcze kołysanie morza. Przeprawa była zła. Okręt, naładowany francuskimi rekrutami dla pułków afrykańskich, chwiał się i kołysał przez trzydzieści godzin bez przerwy, i Domini wraz z większością rekrutów była chora. Miała kabinę wewnętrzną, z okienkiem, wychodzącem na dolny pokład, i słyszała, leżąc w hamaku, wraz z szumem fal i wiatru, zmieszane ich jęki i wykrzyki, śmiech szorstki, półtrwożne, półnieufne rozmowy.

W Marsylji widziała ich, jak wychodzili na brzeg, jeden za drugim, ubogo ubrani i najróżnorodniej, każdy patrzący trwożnie dokoła, każdy niosący nędzny żółty lub czarny kuferek albo starannie związany tłomok. Na przystani stał żuaw w jaskrawych czerwonych spodniach i fezie, pośród stosu ciemno-bronzowych zwojów sukna. I, gdy rekruci przechodzili koło niego nieśmiało, rzucał im ostre słowa, sprawdzał ich bilety, dawał każdemu zwój sukna i wskazywał przejście, które wiodło od portu do okrętu. Domini, wsparta o poręcz górnego pokładu, notowała sobie w myśli różne wyrazy, z jakiemi rekruci patrzali na żuawa. Był on dla nich dziwowiskiem, tajemnicą Afryki i nowego życia, do którego lądowali. Stał on tu zuchwale i biernie pośrodku sukiennych zwojów, w czerwonym fezie, nasuniętym wtył na krótkie, czarne włosy, strzyżone *na jeża*; bronzowa twarz jego układała [illegible] grymas chełpliwej pogardy, gdy rzucał swemi wielkiemi [illegible]larnemi rękoma zwój za zwojem trwożnym młodym wie[illegible]m, którzy przeciągali przed nim. Wszyscy oni patrzali na jego nogi w szerokich czerwonych szarawarach: niektórzy — jak dzieci patrzący na pajaca, który wyskoczył im przed oczyma, inni, jak ciemny i zabobonny lud, który niespodzianie na drodze swej

ujrzy coś urocznego. Jeden czy dwóch było skłonnych do śmiechu nerwowego, do śmiechu głupkowatego bez racji — na widok czegoś nowego. Lecz strach ścinał ochotę. Hamowali się kurczowo i szli niezgrabnie ku przejściu, rozglądając się zabawnie po stronach i przyciskając niezdarnie do piersi tłomoki czerwonemi, brudnemi rękoma.

Domini widziała coś żałosnego w oczach tych chłopców, wyrwanych z łona ziemi rodzinnej, wstępujących bezradnie na pomost tego okrętu, który miał ich zawieźć do Afryki. Tłoczyli się wzajemnie. Ubogie ich kuferki i tłomoczki tłukły się o siebie. Niezgrabnemi buciskami następowali sobie na nogi. I wszyscy byli sobie obcy. Każdy miał się na baczności, by od nieznanego sąsiada nie spłynęło dla niego nieszczęście.

Kilku rekrutów, wychodząc na brzeg, spojrzało na Domini, gdy stała oparta o poręcz; i w tych wszystkich różnego kształtu i koloru oczach zdało jej się, że czyta jednę trwogę i pragnienie gorące, żeby w tem nowem życiu, które ich czekało, los im składał się najpomyślniej.

Okręt miał odejść za chwilę, i rekruci, ustawieni w szeregi wzdłuż pomostu, spoglądali w milczeniu ku Marsylji, która, twierdzą wielkich domów, lasem masztów, długiemi, brzydkiemi magazynami i fabrykami, przedstawiała teraz dla nich całą Francję. Chrypliwy głos syreny wzbił się ostrzegawczo. Naraz dwóch Arabów, w białych brudnych burnusach i turbanach, obwiązanych sznurami z sierści wielbłądziej, pobiegło wzdłuż portu. Syrena znów się ozwała. Arabowie z poważnemi twarzami rzucili się ku przejściu. Liny ciężko opadły ze słupów przybrzeżnych do wody; marynarze wciągnęli je do środka, i *Generał Bertrand* począł się zwolna poruszać śród nieruchomych okrętów.

Domini, zwracając oczy ku lądowi z tym wzrokiem nieokreślonym a jednak pytającym, jakim zwykle patrzą ci, którzy wyruszają daleko na morze, patrzała na górujący nad hałaśliwem miastem kościół Panny Marji, na przystań ludną i ponure szare skały twierdzy Monte-Christo. — Teraz, gdy leżała tu w ciszy nocnej, obraz ten wrócił jej przed oczy: przypomniała też sobie, że, patrząc na kościół, szeptała pacierz do Panny Najświętszej polecając Jej opiece rekrutów. Słów modlitwy nie pamiętała: zapewne prosiła dla nich o moc, o siłę nad pokusami, które tam w obcym i niebezpiecznym kraju czyhać będą na nich. Była t

prośba niewieścia do Dziewicy o łaskawą obronę i opiekę nad wędrowcami.

Ziemia znikała, morze olbrzymiało, wrażliwość jej przygasła, ogarnęło ją uczucie senności. Nie mogła jednak usnąć. Leżała długie godziny w ciasnej kabinie, wpatrując się w blade światło okrągłego okienka. Wspólna niedola zbliżyła rekrutów: rozmowy ich były bardziej ożywione; głosy ich mieszały się z szumem fal, hałasem pracujących maszyn i złowrogiem skrzypieniem okrętu, który zawsze ma w sobie jakiś tragizm grożącego niebezpieczeństwa.

Gdy statek przybił do brzegów Afryki, śród mroku nocy, przy bladem świetle, padającem z okien domków nadbrzeżnych, widziała pochylone znużeniem postaci rekrutów, podążające pod eskortą żuawów ku barakom w Robertville.

Dominice, leżącej teraz w łóżku hotelowem, wciąż się zdawało, że czerwone tafle podłogi falują i kołyszą się. Na ziemi stał otwarty wykwintny jej worek podróżny; główki flakonów błysnęły srebrem. Blask ten powołał — nie wiedziała sama, dlaczego — wyraźne wspomnienie Anglji. Teraz tam zimna jesień z wichrami, tłukącemi w okienice i deszczem, i mgłą. Ogarnęło ją współczucie dla Anglji i uwięzionych w niej na zimę ludzi. A jednak — ile tam sama spędziła smutnych zim, marząc o swobodzie a czyniąc rzeczy błahe, bezmyślne, bez pożytku dla umysłu, bez wybawienia dla duszy...

Była kobietą silną, czynną; muskuły jej były sprawne, nerwy posłuszne; nienawidziła słabości. Dziś jednak uczuła się zdenerwowaną, jak te jej siostrzane zastępy, dla których zostały wymyślone „kuracje leżące" i z których żyją pochlebcy-lekarze. Zgasiła świecę, wkrótce jednak, nie mogąc znieść ciemności, znowu ją zapaliła i, wybrawszy śród paru książek, które zawsze miała pod ręką, Newmana „Sny Geroncjusza", poczęła czytać.

Około drugiej posłyszała dziwny, przeciągły szelest. Narazie myślała, że to złudzenie nerwowe, lecz szelest stawał się głośniejszy, przychodził gdzieś z bardzo daleka i jakby zasłoną rozściełał się po niezmierzonej przestrzeni. Zerwała się, otworzyła okno i żaluzje. Padał deszcz rzęsisty. Noc była ciemna, pełna dziwnych woni, egzotycznych, czarowych i nęcących, jak kadzidła ofiarne. I stanęła twarzą w twarz przed cudem niewidzialnym, czując bliskość jakiejś wielkiej tajemnicy i jakieś z nią zbratanie.

Przeczuwała w niej bijące tętna i gorącą, podstępującą krew wolności.

Pragnęła swobody, dalekich horyzontów, szerokich wichrów, mocnego słońca, wielkich przestrzeni i zórz płomiennych, i żarów olśniewającego południa, i purpury wieczorów afrykańskich. Chciała ognisk koczowniczych — słuchać donośnego szczekania psów z osad kabylskich, dźwięków ostrych tam-tamu, brzęczenia cymbałków i trzasku kastanietów murzyńskich, widzieć drgające w powietrzu malowane palce tancerek. Pragnęła więcej, niż mogła określić. Pragnienie to sprawiało jej ból w sercu, gdy wdychała je razem z dziwnem orzeźwiającem powietrzem.

Wróciła na posłanie, lecz już czytać nie mogła. Ten deszcz i ten aromat, płynący z ukrytej ziemi afrykańskiej, poniósł jej myśli w czarodziejski świat. Miło jej teraz było leżeć w ciemności.

Dominika miała lat trzydzieści dwa, była niezamężną, stanowisko miała całkiem niezależne, była jednak zupełnie samotną. Ojciec jej, lord Rens, zmarł niedawno, pozostawiwszy jej, jako jedynemu dziecku, duży majątek. Życie jego było pełne zmian i tragiczne. Matka Dominiki, bardzo piękna, o wybitnym typie cygańskim, była córką Węgierki i Henryka Arlworth, gorącego wyznawcy i obrońcy katolicyzmu angielskiego. Z trojga ich dzieci syn został księdzem, autorem wielu prac religijnej treści i znanym kaznodzieją; starsza córka wstąpiła do klasztoru. Najmłodsza, w przyszłości pani Rens, nie odznaczała się wielką mądrością, z twarzy jednak była podobną do muzy. Głosiła zwykle w rodzinie o wielkiej swojej miłości do kościoła, zanadto wszakże kochała świat, aby go opuścić.

Będąc bardzo młodą, poznała lorda Rens, wówczas dwudziestosześcioletniego oficera gwardji. Mienił on siebie protestantem, w rzeczywistości jednak czuł się szczęśliwym, nie mając żadne[j] wiary. Młodzieniec zakochał się w niej nazabój i, aby móc j[ą] poślubić, stał się katolikiem. Gorliwość jego dla wiary, któr[ą] wyznawała żona, i dbałość o rozwój katolicyzmu w Anglji, stały się wielkie: wspomagał on instytucje dobroczynne i hojnie obdarowywał kościoły.

Niestety, nowa ta wiara ugruntowana była jedynie na miłości do ludzkiej istoty. Gdy lady Rens, której natura była zmysłowa, gwałtowna i namiętna, rzuciwszy na cztery wiatry wszelkie więzy obowiązku i zasad, uciekła z artystą węgierskim, który wspaniał[e]

grą na skrzypcach czarował w owym sezonie cały Londyn, zdradzony małżonek, z duszą rażoną, śmiertelnie zraniony w swej dumie, wyrzekł się zaraz wiary, do której nakłoniła go kobieta-zdrajczyni.

Dominika miała lat dziewiętnaście i świeżo została przedstawiona u dworu, gdy matka jej swoją ucieczką oburzyła całe miasto, a ojca, który dotychczas był tak szczęśliwy, pogrążyła w rozpaczy, cynizmie i niedowiarstwie. Ona, która dotąd była wychowywana przez obojga rodziców w wierze katolickiej i od najmłodszych lat uczona pilnie piękności tej wiary, obecnie była narażona na najbardziej zaciekłe namowy ojca, który, nienawidząc wszystkiego, co dawniej kochał, porzuciwszy wszystko, do czego dawniej pod wpływem swej niewiernej małżonki był przywiązany, chciał wciągnąć swą córkę na nową i całkiem nędzną drogę swego życia. Lecz Dominika, która wraz z zasobem ciemnej piękności swej matki odziedziczyła wiele z jej pasji i żywej mocy, miała zarazem wiele rozumu, wiele pewnej mądrości, temperamentu i jasnego wzroku, którego brakowało pani Rens. Również — chociaż była wciąż pod wrażeniem sromu swej matki i własnej samotności, była niezdolna do podzielania tak wyłącznie egoistycznych poglądów swego ojca na religję winnej. Nie mocen on był przekonać jej, żeby wiara, w której została wychowana, miała być notoryczną hańbą dlatego, że jedna z wyznawczyń, którą ona nad inne kochała i której ufała, odstąpiła od jej zasad i zaprzeczyła wyznaniu. Nie mogła pójść za swym ojcem — została w kościele swej matki, której już nigdy nie miała zobaczyć, i to mimo nadzwyczajne i brutalne wysiłki lorda Rens, by ją skierować na drogę swego ateizmu. Myśl jego tak się zbłąkała przez rozpacz ciemną jego serca, iż przyszedł do przeświadczenia, że, wyrywając swe dziecko z religji, którą dał mu przez największą grzesznicę, jaką znał, choć w części oczyści życie, napiętnowane przez postępek swej żony, i znów nieco wzniesie godność, którą ona w pyle pogrzebała.

Wuj jej, Ojciec Arlworth, radami i pomocą wspierał Domini w tym krytycznym okresie jej życia, i lord Rens wczas zaniechał usiłowań wciągnięcia dziecka do towarzystwa w swej tragicznej podróży od wiary i miłości do zaprzeczeń i nienawiści. Poddał się cały gwałtownej rozpaczy, i ostatnie lata jego życia były dostatecznie ohydne, jak to świat wiedział i Domini nieraz podej-

rzewała. Lecz chociaż Domini oparła się, nie została jednak całkiem niewzruszona i bierna na utratę niesławną swej matki i skutki, jakie to wywarło na ojcu. Pozostała katoliczką, lecz zwolna traciła na pobożności. Chociaż zdało jej się, że stoi mocno, w rzeczy samej chwiała się, jeżeli nie w wierze, to w rzeczy znacznie cenniejszej — w miłości. Pełniła obrządki, lecz mało czuła wewnętrzną treść i piękno swej wiary. Wysiłek, jaki czyniła, opierając się namowom ojca, wyczerpał ją.

Ojciec Arlworth, który znał dokładnie naturę ludzką, widział, iż Domini zmieniła się i nieco stwardniała wskutek tragedji, jaką poznała, i nie był tem zgoła zdziwiony ani dotknięty. Nie starał się też gwałtem skierować jej charakteru na dawne drogi piękna. Wiedział, że byłoby to rzeczą niebezpieczną, że natura Domini wymaga nadewszystko spokoju, by mogła się otrząsnąć z ciosu, jaki spadł na jej barki.

Gdy miała dwadzieścia jeden lat, zmarł on, i Domini naraz pozostała bez jedynego pewnego przewodnika, który ją najlepiej rozumiał. Lata płynęły. Żyła ze swym zgorzkniałym ojcem i wciągała się bezmyślnie w świat pusty kobiet swego otoczenia. Domowe jej życie dalekie było od ideału. O małżeństwie też nie chciała myśleć. Rozbicie domowego ogniska jej rodziców uczyniło ją nieufną względem ludzkich związków. Widziała miłość w powiciu grozy, nie, jak inne kobiety, w powiciu ufania i słodyczy. Odkładała ją tedy nabok i wypełniała życie tysiącem innych błahych rzeczy, których się ima ród męski i kobiecy, jak Chińczycy imają się opjum — rzeczy, które kołyszą nasz zmysł rzeczywistości — na sen.

Kiedy umarł lord Rens, wciąż złorzeczący, bez wszelkiej pociechy religijnej, Domini uczuła nieprzepartą potrzebę zmiany. W gruncie rzeczy nie zmartwiła się śmiercią ojca. W ostatnich latach byli bardzo zdaleka od siebie, śmierć jego uwolniła ją od ciągłego patrzenia na tragedję. Lord Rens w nienawiści swej ku religji swej żony patrzał również z nienawiścią na córkę, która jej religję wyznawała. Domini miała dla niego raczej litość, niż miłość. Pomimo to śmierć jego wstrząsnęła nią. Gdy nie mógł już mówić, lecz tylko leżał bez ruchu, wtedy naraz wspomniała, czem był przed ucieczką jej matki. Cały okres późniejszy, chociaż długi i brzydki, został wraz wykreślony. Płakała biednego życia złamanego i trwożyła się jego dolą teraz

w innym świecie. Odejście jego w Niewiadome wzbudziło w niej raptownie jasne poczucie tego, jak czyny jego i matki wpłynęły na jej charakter. Stojąc u jego łoża, rozumiała, czem mogła być, gdyby matka jej została wierną, a on szczęśliwym do końca. I wtedy uczuła grozę, w części uświadamiając sobie, i to po raz pierwszy, jak dalece przez całe te lata była bierną istotą. Uczuła, iż, pozostając dotychczas bez samowiedzy, bez istotnego poznania i myśli o życiu, była raczej kółkiem maszynowem, niż kobietą — człowiekiem.

Zstąpił na nią rozpaczny męt ducha, rodzaj gorzkiego, ciemnego zwikłania. Poczęła postrzegać, czem była, do czego była zdolna, do jak wielkiego dobrego czy złego, i czuć pewnie, iż nie wie tego, nigdy nie wiedziała, ani nie próbowała nigdy odnaleźć.

Razu jednego, w takim stanie ducha, poszła do spowiedzi. Wróciła, czując, iż wprost zabawiła się w jakąś farsę z księdzem. Jak może kobieta, która nic nie wie o sobie, uczynić spowiedź, którąby nie była pustką wierutną? — myślała. Powiedzieć, co się zrobiło, nie zawsze znaczy — powiedzieć, czem się jest. A tylko to, czem jesteśmy, waży na szali wieczystej.

Obecnie, wciąż jeszcze w zwikłaniu ducha, opuściła Anglję z panną służącą jedynie, jako towarzyszką. Po krótkiej wycieczce na południe Europy, które znała nawylot, wsiadła na okręt, płynący do Afryki, której nie znała jeszcze zupełnie. Celem wyprawy miało być Beni-Mora. Wybrała tę miejscowość, podobało się jej bowiem brzmienie, widziała bowiem na mapie, że stanowi ona oazę śród pustyni Sahary, że była małą, spokojną i w lico z niezmierzonością, o której tak często marzyła. Niewyraźnie przeczuwała, iż, być może, w słonecznej pustce Beni-Mory, a zdala od przyjaciół i wspomnień dawnego życia, zdoła nauczyć się rozumieć siebie. Jaką drogą? Tego nie wiedziała, nie dociekała, by wiedzieć. Była to luźna pielgrzymka, jak wiele pielgrzymek w tem życiu — wyprawa poszukiwacza, który nie wie, do czego dąży.

I oto teraz leży w ciemności i słyszy szmer ciepłego afrykańskiego deszczu, i wdycha wonie, wstające od ziemi, i czuje, że niewiadome bardzo blisko od niej, niewiadome — z całą błogosławioną możnością odmiany.

II.

Znacznie jeszcze przed świtem sługa hotelowy, ów Włoch, zwinął swoje nędzne posłanie, nałożył czapkę i zastukał do drzwi Dominiki i panny Zuzanny.

Było jeszcze ciemno i deszcz padał ciągle, gdy obie podróżne wsiadły do powozu, który miał je zawieźć na stację. Plac Marynarki był jak jedno błotne jezioro.

Z mokrych palm kapały krople na blisko stojący, opuszczony kiosk, malowany na zielono i niebiesko. Niebo było szare i niskie. Zasłony z żaglowego płótna osłaniały omnibus, i woźnica, wyglądający na Maltańczyka, w czerwonej czapce, okolonej żółtawem futerkiem, okutany był aż po same uszy. Blada twarz Zuzanny nabrzmiała od znużenia, ciemne jej oczy, zwykle wesołe i pełne obietnic, były mętne i zlekka zezowały, gdy, trąciwszy w ramię posługacza, podawała mu ręczne pakunki swojej pani do powozu. Zaspany Włoch, stojąc na wytartym stopniu schodów, poziewał od ucha do ucha. Nawet to lekkie potrącenie panny Zuzanny nie uczyniło na nim wrażenia. Zanim jeszcze powóz ruszył, wrócił do hotelu i zamknął drzwi.

Konie biegły szybko po błocie, droga była spadzista. Jedna z firanek płóciennych, nieumocowana, chwiała się na wszystkie strony. Gdy powiew ją odrzucał nazewnątrz, Dominika mogła widzieć lśniące połyski błota, migające liście i pnie palm, słupy latarń gazowych i jakąś daleką, szarzejącą nicość. To było morze.

Zuzanna siedziała naprzeciw Dominiki z zamkniętemi oczyma. Gdyby nie to, że od czasu do czasu szybko zwilżała pełne, blade wargi językiem, można byłoby myśleć, że jest martwą rzeczą. Jej kokieteryjnie nabok włożony kapelusik wyglądał dziwnie, śmiesznie: nieodpowiedni ani do okoliczności, ani do usposobienia, robił wrażenie przebrania maskaradowego. Ręce w czarnych rękawiczkach leżały złożone na piersi, pulchne jej ciało wtórowało

wszystkim ruchom powozu, chwiało się z nim i skakało. Nie czyniła też zgoła usiłowań, żeby utrzymać równowagę. Zasłona płócienna chwiała się monotonnie. Woźnica krzyknął na konie jakiemś przeciągłem wołaniem ptaka, a potem gwałtownie trzasnął z bicza. Dominika miała wciąż oczy utkwione w otwartą przestrzeń, łowiąc dal i nie chcąc nic utracić z tych mglistych wizyj, które jej odsłaniała chwiejąca się firanka. Nie spała wcale tej nocy, w oczach czuła jakgdyby suchy piasek. Była jednak lekka i rzeźwa, chociaż podniecona. Gdyby zaszedł jakiś nadzwyczajny wypadek, gdyby powóz naprzykład stoczył się z drogi w morze, czuła, że nie mogłaby się ani zdziwić, ani przerazić. Gdyby kto zapytał ją, czy jest zmęczona, odpowiedziałaby na pewno: „nie“.

Podobnie, jak jej matka, Domini stanowiła typ cygański. Była pięć stóp dziewięć cali wysoka, miała bujne, falujące czarne włosy, które dzieliły się pośrodku małej głowy; czarne, w kształcie migdałów z ciężkiemi powiekami oczy i jasną, ciepłobiałą płeć, nietkniętą kolorem. Nigdy nie czerwieniła się, ani pod wpływem gniewu, ani wzruszenia. Czoło jej było niskie i szerokie. Brwi długie i równe, gęstsze, niż zwykłe kobiece. Kształt twarzy owalny, z nosem równym i krótkim, z krótką, lecz raczej wydatną, okrągłą brodą, i z bardzo wymownemi ustami, niezbyt małemi, nieco u kątów spłaszczonemi, z zębami doskonałemi i z czerwonemi wargami, niezwykle ruchomemi.

Postać jej była wybitnie atletyczna, z ramionami zbyt szerokiemi, jak na kobietę, i z zwykłą miarą w pasie. Ręce i nogi miała również małe. Chodziła wspaniale, jak kobiety syryjskie, atoli bez ich pysznej wyniosłości. W twarzy jej, gdy była w spokoju, spoczywał zwykle wyraz stałej bierności — jak inni mniemali — przekory. Wyglądała na swe lata i nigdy nie używała pudru. Łatwo się śmiała i łatwo ożywiała, a w ożywieniu jej był często ogień, jak w jej spokoju była nieraz chmura. Ludzie lękliwi tropili się zazwyczaj na jej zjawienie, i obejście jej nie zawsze ich ośmielało. Rzucająca się w oczy jej siła fizyczna budziła podziw i zastanowienie, jak i na co była, lub mogła być, używaną... Przytem, gdy oczy miała zamknięte, zdała się być szczególnie pełną czuwania.

Domini i Zuzanna przybyły na stację w Robertville nazbyt wcześnie. Wielka sala, w której miały oczekiwać, była nędznie oświetlona, pusta i stanowczo zimna. Kasa bufetowa była na

lewo, i stancja była przedzielona na dwie części szeroką, niską ladą, na której składano rzeczy, zanim zostały one zważone przez dwóch nieogolonych posługaczów w niebieskich bluzach. Trzech czy czterech brudnych drabów, w nader nędznych ubraniach europejskich i w turbanach, otoczyło Domini, ofiarując usługi. Jeden z nich, najbrudniejszy z gromady, z rozwartym oczodołem, w którym nie było oka, nastręczał się z natarczywością gwałtowną i bezwstydem, cechującym zawodowca. Mówił płynnie, lecz z błędami, po francusku, czem zwrócił uwagę Zuzanny, a będąc niezwykle muskularnym i sprawnym, w niepomiernie krótką chwilę opanował wszystkie pudła i walizy i ułożył je rzędem na ladzie. Za tem dał znać łaskawie o swym doniosłym czynie, czem również mniemał pobudzić do życia i uwagi dwóch nieogolonych mężów w bluzach, palących papierosy i patrzących bezmyślnie na metalową blachę, na której złożone były kufry do wagi. Zuzanna stała, oczekując, a Domini, nie mając nic do roboty i nie mając na czem usiąść, chodziła zwolna wzdłuż i zpowrotem po sali niedaleko drzwi wejściowych.

Było zaledwie pół do czwartej rano, i Domini poczuła w powietrzu jakby świeży oddech wstającej zorzy. Poza wylotem stacji, gdy tak chodziła wzdłuż i zpowrotem w swej bezcelowej wędrówce, ujrzała w słabem świetle latarni zmoczone firanki karety, którą tylko co opuściła. Po kilku minutach weszły Arabki, które była spotkała w drodze, gdy brnęły zakasane po błocie. Bronzowe ich bose nogi były zamulone; skoro tylko znalazły się pod dachem i w suchem miejscu, opuściły szaty, które miały uniesione, poczęły strząsać je i wyprostowywać swemi zgrabnemi palcami. Czyniły to z nadzwyczajną starannością i zręcznością; poczem wytarły wielokrotnie podeszwy nóg o podłogę i wtedy powkładały swe żółte pantofle, ściągając na tył głowy kaptury, które osłaniały im głowy.

Weszło kilku podróżnych: byli to Francuzi; ziewali i widocznie byli w złych humorach. Otoczyli ich różni natręci, hałaśliwie proponując usługi. Ludzie w bluzach nie przestawali palić papierosów i ciągle wpatrywali się w metalową blachę na podłodze. Wreszcie w okienku kasy ukazało się światło. Tragarze milczący odrzucili nareszcie papierosy, i mała garstka podróżnych poczęła się tłoczyć ku swoim bagażom, ukazując je laskami lub rękoma. Zwolna wtoczył się pociąg, oświetlony blademi światełkami. Kufry

Dominiki oddano do wagi, i Zuzanna z portmonetką w ręce stanęła przed świecącem okienkiem kasy.

Śród wilgotnej ciemności odezwał się dźwięk, niby gniewny krzyk dziecka, a zaraz potem sygnał trąbki. Szarpnąwszy, pociąg ruszył, minął wszystkie latarnie i miarowo, skrzypiąc i turkocząc, pomknął w świat nieznany.

Wagon, w którym Dominika zajęła miejsce, był nędznie oświetlony. Prócz niej, trzech Francuzów zasiadło naprzeciw drzwi, wiodących na platformę. Mężczyzna, siedzący naprzeciwko, był niezmiernej tuszy, z czarną, jak węgiel, brodą, która zarastała mu aż pod oczy. Miał na sobie czarne rękawiczki, czarne ubranie i czarny płaszcz z również czarną klamrą pod szyją. Oczy miał zamknięte, duża jego ciężka głowa opadła mu na piersi. Dominika pomyślała, że jedzie on zapewne na pogrzeb kogoś z rodziny. Dwaj inni podróżni, z których jeden wyglądał na komiwojażera, grzali nogi na leżących na ziemi naczyniach z gorącą wodą, chrząkając i skarżąc się głośno. Pociąg skrzypiał głośniej i szarpał z jednej strony na drugą, by zdobyć pośpiech pod górę. Strumienie deszczu spływały po szybach, przez które nic nie było widać.

Dominika czuła się rzeźwą, lecz spadł na nią wszechwładnie głęboki jakiś smutek. Nie przypisywała tego uczucia zmęczeniu, nie próbowała go nawet analizować. Zdawało jej się tylko, że wszystko, co dotychczas widziała i słyszała na świecie, było albo smutne, albo przykre, albo nierozwikłane.

Pociąg zatrzymywał się na małych, samotnych stacyjkach. Dominika wyglądała wówczas, spuszczając na chwilę szybę. Na każdej stacji widziała lekkie domy ze śpiczastemi dachami, drewniane ogrodzenia, dzielące platformę od drogi, pełnej błota, bujne trawy, uginające się pod kroplami deszczu, i okapujące wodą wysokie drzewa eukaliptusów. Czasem dzieci naczelnika stacji przyglądały się pociągowi ciekawemi oczyma, lub Arabowie, zgnębieni, szczelnie owinięci, z ustami i brodą ukrytemi w chusty, przesuwali się zwolna.

Raz dostrzegła Dominika dwie kobiety w powiewnych, białych szatach, ze świecącemi zasłonami: wyglądały, jak duchy śród ciemności. Ciężkie srebrne ozdoby brzęczały wokoło ich nóg ponad zabłoconemi pantofelkami. Ciemne ich oczy świeciły, okolone węglową kresą. Rękoma koloru brunatnego, z paznokciami,

ubarwionemi na czerwono, przyciskały do wydatnych piersi swoje powiewne zasłony. Towarzyszył im wysoki człowiek, prawie czarny, z blizną, zygzakiem biegnącą przez lewy policzek; miał on na sobie lśniący, bronzowy płaszcz, narzucony na szary wełniany kaftan. Wepchnął, jak piłki, obie kobiety do wagonu i wsiadł za niemi, pokazując swoje olbrzymie, gołe nogi, na których ścięgna były, jak ze stali.

Ciemność poczęła rzednąć, i teraz, gdy szary blask począł powoli urastać, ustał deszcz — i przez okno wagonu widać już było świat.

Okolica poczęła odsłaniać się przed oczyma Dominiki. Zauważyła, że pociąg szedł bardzo wolno; powodem tego, jak dostrzegła, było znaczne wzniesienie, na które wjeżdżali. Daleko już pozostały urodzajne, wilgotne równiny z pod Robertvillu, z ornemi gruntami, bogatą trawą i gajami eukaliptusowemi. Pociąg wlókł się śród pagórków szarych, nagich, pustych, bez domostw i dróg, bez jednej nawet drzewiny. Nędzne szaro-zielone kępki krzewów, tu i owdzie przy grudkach ziemi rosnące, podnosiły jeszcze, miast zmniejszać, wrażenie jałowości tej nędznej ziemi, nad którą zorza, wychylając się z wilgotnych objęć nocy, rzuciła zimne, matowe światło. Wąskim jarem, biegnącym śród pagórka, gdzie ziemia mieniła się brunatno-żółtawą barwą, dreptało stadko kóz z kłapiącemi uszami, a za niem dwóch małych Arabów. Grali oni na fujarkach, ozdobionych w czerwone arabeski. Dominika dosłyszała parę tonów melodji, dzikiej jakiejś, czystej a słodkiej, niby głos ptaka. Zdało się jej, że współzawodniczą one z czystem, surowem światłem, które świt rzucał na nagie, szare pagórki, i otrząsnęło to ją nagle z przygnębiającego znużenia, w które pogrążyła ją smutna obecna podróż. Zaczęła sobie zdawać sprawę z pewnem lekkiem podnieceniem, że te niskie o krągłych grzbietach pagórki są afrykańskie, że pozostawiła poza sobą morze, którego tak liczne fale opłókują brzegi Europy, i że tam dalej, blisko linji horyzontu, gdzie podążał pociąg, leżała wielka pustynia, jej cel — ze swemi blademi piaskami, miastami w ruinach, z opalonemi słońcem plemionami, ludźmi trudu, ze zbójcami, wojownikami i kapłanami, z powietrzną tajemnicą ułudy i tragiczną wspaniałością barw, huraganów i żaru. Uczucie szerszego świata, niż ten, w który pogrążyło ją zmęczenie fizyczne obudziło się w jej myśli i sercu. Mały Arab, grający bez trosk

na fujarce w arabeski czerwone, znikł z oczu śród kóz swoich wpobliżu wyschniętego łożyska strumienia: był to niechybnie cel jego wędrówki, lecz dla Dominiki był on, jak ów muzykant na czele uroczystego pochodu: prowadził ją w nowy świt, do Afryki.

W Ah-Suf Dominika przesiadła się do innego pociągu, i miała cały przedział dla siebie. Różni podróżni wysiadali, jej pielgrzymka była dalszą i ciagle naprzeciw słońca. Nie mogła później przypomnieć sobie, o czem tę część drogi myślała. Następne wrażenia tak wyraźnie zabarwiły jej wspomnienia z Afryki, że każda brózda wyschłej na słońcu ziemi znaczyła się w umyśle, jak coś żyjącego. Każda palma koło studni, każdy krzew winny, i pnący się kwiat na murze oberży, i kształt każdego pagórka, i zarys każdego cienia, odbiły się w jej sercu z mocą i pięknością tych rzeczy, które niegdyś w dziecinnej egzaltacji wyśniła — leżące za słońca siedzibą.

Lecz tamto zapomniała doszczętnie.

Ogarnęło ją dziwne uczucie, iż pozostawia wszystko za sobą. Była rzeczywiście zmęczona podróżą i bezsennością, choć tego nie wiedziała. Oparła głowę o brudno-białe pokrycie trzęsącego się wagonu i wpatrywała się w wielką zmianę, jaka zachodziła w okolicy.

Zdało się, że Bóg rozpostarł tu ręce, odbierając stopniowo to wszystko, co był stworzył, wszystkie zasoby, które był złożył w wielkim pałacu świata, jakby chciał go zostawić pustym i całkiem nagim.

Domini tak myślała.

Naprzód odjął on sutą i zjeżoną trawę i wszystkie drobne kwiatki, które skromnie w niej rosły. Potem zmiótł gdzieś rzędy pomarańczowe, oleandrowe i brzoskwiniowe drzewa, wierne eukaliptusy z blademi trzonami i splecionemi liśćmi, słodkie wody, które użyźniały glebę, czyniąc ją miękką i brunatną, gdy pług rznął ją w brózdy — kępiaste rośliny i trzciny olbrzymie, które tłoczyły się, gdzie woda. I wciąż, jak przebiegał pociąg, dary jego stawały się skąpsze. Wreszcie i palmy gdzieś przepadły — figa barbaryjska nie zalecała się już swą mocą skręconą, ani bladem i fantastycznem rozwiciem swych nienaturalnych liści. Wszędy leżały kamienie na ziemi żółtej i szarobrunatnej. W słońcu lśniły kryształy, jak tanie świecidła, a tam dalej, pod chmurami, które były ciemne i jakby z pierza, widniały mocne i nie-

zbite góry, wyglądające, jak kute z strzępionego żelaza w kształty potworne i zębate. Tam, gdzie padały w przepaście, stawały się czarne. Wzdęte ich garby i boki, ostre miejscami, jak krzyże zwierząt, były koloru stalowego. Wierzchołki ich grały purpurą, ciemniejącą aż do hebanu — tam, gdzie się chmury na nie spuszczały.

Ku tym twierdzom strasznym ciągnęły karawany, na które Domini patrzała z ciężkiem i letargicznem zaciekawieniem. Wiele kobiet kabylskich, piękniejszych, niźli ona, ciągnęło zwolna pieszo ku swym skalistym siedzibom.

Po ziemi zwiędłej szli ludzie ku odległym górom i chmurom. Słońce było za chmurami. Wiatr wciąż się wzmagał. Piasek przenikał poprzez okna pociągu. Góry, im wyraźniej widziała je Domini, wyglądały wciąż posępniej, wciąż bardziej nieziemsko. Było coś nadnaturalnego w ich twardych zarysach, surowej tajemniczości ich nieskończonych złomów. Wszyscy ci ludzie, ciągnący ku nim, byli jacyś patetyczni i zasępiali wyobraźnię.

Wiatr stawał się tak chłodny — słońce już się ukryło — iż zamknęła oba okna i otuliła się pledem. Umieściła nogi na przeciwległem siedzeniu i wpół przymknęła oczy. Lecz wciąż zwracała je ku szybie z lewej strony i czuwała. Zdało jej się prawie rzeczą niemożliwą, by ten kołyszący i zwolna poruszający się pociąg miał jakieś przeznaczenie. Pustka okolicy stawała się tak całkowitą, iż nic już nie mogła pojmować prócz większej wciąż pustki, która się miała roztoczyć. Nie czuła tego wcale, iż przerzyna częściowo trakt bezpłodny. Miała wrażenie, iż wyszła poza granice, które stworzył Bóg, i przeszła w jakieś inne miejsce, na które on nigdy nie był wejrzał i o którem nawet nie wiedział.

Naraz uczuła, iż ojciec jej jakby wstąpił w podobną krainę, gdy rzucił był drogi swej wiary. I w krainie tej skończył. Stała na brzegu tej krainy przez jego łoże śmiertelne, i oto teraz jest w niej.

Nie było już teraz wędrujących Arabów, ani namioty nie świeciły już pośród niskich krzaków. Ostatni znak roślinności został zgładzony. Ziemia wznosiła się i spadała w szeregi wzgórków i spadków, usiana bryłami skał. Cienie żółte i brunatne mieszały się i uchodziły ku stopom gór. Tu i owdzie wyschłe strumienie szczerzyły zęby. Brzegi ich były pomarszczone, jak

skórka pomarańczowa. Małe ptaki, koloru ziemi, ze stroszonemi czubkami, uwijały się wdzięcznie śród kamieni, podfruwały parę łokci i siadały z wyszukaną zwinnością, jakby ich drobniutkie ciała były na drżących drucikach. Były to jedyne żyjące stworzenia, jakie Domini widziała.

Poczęła znowu myśleć o ojcu. W kraju, jak ten, wędrowała niechybnie jego dusza — daleko od Boga.

Spuściła okno.

Wiatr był istotnie zimny i wiał mocnym prądem. Piła go, napawając się, jak świeże wino, i zrozumiała naraz, iż nigdy dotąd nie wdychała takiego powietrza. Był w niem cudowny dreszcz, budzący smak, smak olbrzymich przestrzeni i toczących się rozłogów próżni. Nigdy jeszcze, ani w górach, ani na morzu, nie oddychała powietrzem tak dziko czystem, przeźroczem, żywotnem niewysłowną wolnością.

Wychyliła się ku niemu, zamykając oczy. I teraz, gdy jej oczy nic już nie widziały, podniebienie jej smakowało je jeszcze doraźniej. Myśl o ojcu odbiegła. Wszystkie szczegóły myśli, wszystkie drobiazgi naraz się zatarły. Szła naprzeciw czegoś niezmiernie wielkiego, z ust czego płynął oddech czarodziejski.

Gdy dwoje kochanków się całuje, oddechy ich łączą się, i jeżeli się naprawdę kochają, każde z nich jest pewne, iż w oddechu kochanej osoby jest jego dusza, idąca od świątyni ciała poprzez drzwi świątyni. Gdy Domini wychyliła się, nic nie widząc, była pewną, iż w oddechu tym, który piła, była dusza, i zdało się jej, iż była to dusza z ogniami w środku rzeczy i poza niemi. Nie mogła już myśleć o swym ojcu, jako o wyrzutku dlatego, że porzucił wiarę. Tu bowiem były wszystkie wiary, wszystkie religje, idące ręka w rękę — i poza tem — tło dla nich, coś znacznie większego, niż religja. Był li to śnieg, czy ogień? Czy było niem bezprawie tego, co uczyniło prawo, lub spokój tego, co sprowadziło namiętności do bytu? Większa miłość, niż ta, która w wierze, lub większa wolność, niż ta, która w ludzkiej woli? Domini czuła jedynie, iż, gdyby nie była wieczną niewolnicą, w tej chwili umarłaby z radości, iszcząc całą bezmierną wolność, która tę biedną ziemię osnuwa.

„Dzięki Ci, Boże," wyszeptała wgłos.

Własne jej słowa wróciły jej przytomność rzeczy zwykłych — lub też zaśniły ją na wieczność.

Zamknęła okno i siadła.

Wkrótce słońce znowu wyjrzało, i cienie rozliczne żółtego i pomarańczowego koloru, które grały nad ziemią zmarszczoną, poczęły się pogłębiać i jaskrawieć. Domini tak całkowicie wgrążyła się w letarg, że, chociaż nie śpiąca, zaledwie zdawała sobie sprawę ze słońca. Śniła sen wolności.

Pociąg zwolnił biegu i stanął. Uderzył gwar głośny wielu głosów, na który wyjrzała. Słońce nie świeciło teraz jaskrawo — i ujrzała stację, natłoczoną Arabami w białych burnusach, którzy nawoływali, witając swych znajomych w pociągu, proponowali jadącym olbrzymie pomarańcze, lub spacerowali tam i zpowrotem, rozglądając się ciekawie śród podróżnych, z tą nieznużoną czujnością badania i potem powrotem do bierności, co już i przedtem zauważyła i co poczytywała za cechę zwierzęcą. Przyszedł konduktor, oznajmil jej, że miejscowość zwie się El-Akbara i że pociąg będzie tu stał dziesięć minut, oczekując na pociąg z Beni-Mory. Postanowiła wysiąść i wyprostować zdrętwiałe nogi. Na platformie zastała Zuzannę, która wyglądała, jakby obita po twarzy. Jeden policzek był czerwony i pokryty nikłą siatką cienkich linij. Drugi był szaro-biały. Sen wisiał na jej oczach, nad któremi powieki opadały, jakgdyby były napół sparaliżowane. Palce jej były żółte od obierania pomarańczy i jej szykowny mały kapelusik przekręcił się nabok. Na czarnej jej sukni były ziarnka piasku — i gdy ujrzała swą panią, zaraz zesznurowała usta i przybrała wyraz niestrudzonej cierpliwości, charakterystyczny u dobrze ułożonych służących, które rozumieją, iż podróżują zdala od kraju w obcej miejscowości.

— Czy dobrze spałaś, Zuzanno?

— Nie, proszę pani.

— Czy jadłaś pomarańczę?

— Nie mogłam jej przełknąć, proszę pani.

— Możebyś chciała wysiąść i wypić tu szklankę kawy?

— Dziękuję pani! Niemogłabym przełknąć tej arabskiej mikstury.

— Wkrótce będziemy już na miejscu.

Drobne rysy Zuzanny stały się jeszcze drobniejsze, spuściła oczy na swą spódnicę i naraz poczęła otrząsać z niej ziarnka piasku w sposób obraźliwy, wysuwając jednocześnie lewą nogę. Dwóch czy trzech młodych Arabów zbliżyło się do wagonu i stanęło, oglądając ją dookoła.

Oczy ich były wspaniale i poważnie baczące. Zuzanna w dalszym ciągu otrząsała i gładziła swą suknię, a Domini spacerowała wzdłuż platformy, rozważając, do czego był podobny umysł dziewczyny francuskiej. Zuzanna, to pewne, była ograniczona. Oczywiście, zgorszyła się widokiem nagich nóg. Dlaczego?

Gdy Dominika chodziła tak wzdłuż platformy pomiędzy handlarzami owoców, przewodnikami, tragarzami w turbanach ze swemi noszami, gapiącemi się dziećmi i obdartymi podróżnymi, którzy tłoczyli się do pociągu, myślała o pustyni, której była już tak blisko. Wiedziała, że leży ona poza tą straszną twierdzą skał, która tu oto przed nią. Nie mogła atoli dojrzeć otworu. Spiętrzone wierzchołki skał, poszarpane, jak zęby wilka, odcinały się surowo od czystości przeźroczej nieba. Tu i owdzie, ukryte w ciemności gardzieli u ich stóp, były ich usta, od których szedł ów czarowny oddech, drżący wolnością i nieziemskiemi rzeczami. Słońce już się chyliło, i światło, jakie rzucało, stawało się łagodne i romantyczne. Wkrótce stanie się wieczór na pustyni. A potem — noc. I ona będzie tu w tej nocy ze wszystkiemi rzeczami, które ma w sobie pustynia.

Sznur wielbłądów przeciągnął po białej drodze, która spuszczała się w cień gardzieli. Prowadziło je kilku dziko wyglądających ludzi, nawołujących bez ustanku: „oosz, oosz!“ Zniknęli — ludzie pustyni ze swemi zwierzętami pustyni, dążący niewątpliwie w podróż obłąkującą poprzez obszary słońca. Gdzie wreszcie rozjuczą swe jęczące wielbłądy? Domini ujrzała ich w środku niziny, krwawej od ogniów umierających zachodu. Cienie ich leżały wzdłuż piasków, jak rzeczy zmęczone i odpoczywające.

Drgnęła na głos, który ozwał się do niej po francusku. Obejrzawszy się, ujrzała dorodnego chłopca arabskiego, przepysznie ubranego w blado błękitne sukienne spodnie, w kurtkę żuawską, oblamowaną złotem, i w fez — stojącego tuż koło niej. Uderzył ją kolor jego skóry, który był, jak kolor kawy mlecznej, i kontrast pomiędzy jego olbrzymią budową i miękkością, prawie niewieścią, jego obejścia. Gdy się odwróciła ku niemu, uśmiechnął się do niej łagodnie i wskazał ręką ku twierdzy skał.

— Pani widziała już kiedy pustynię? — zapytał.

— Nigdy jeszcze — odrzekła Domini.

— To ogród zapomnienia — mówił wciąż niskim głosem, delikatnie cieniując słowa i prawie z zalotnością. — W pustyni

zapomina się o wszystkiem — i o sercu, które kocha, i o pragnieniu własnej duszy.

— Jakżeż to się staje? — spytała Domini.

— Szal-làh. Wola Boża. Nic się już nie pamięta.

Oczy jego były utkwione w olbrzymie wierzchołki skał. Było coś fanatycznego i wysoce wyobraźniowego w tem spojrzeniu.

— Jak ci na imię? — spytała Domini.

— Batucz, pani. Pani do Beni-Mora?

— Tak jest, Batucz.

— Ja też. Dzisiejszej nocy, pod drzewem mimozy, skomponuję poemat. Będzie on skierowany do Ireny, tancerki. Podobna ona do młodego księżyca, który po raz pierwszy wychodzi z ponad drzew palmowych.

Pociąg od Beni-Mora właśnie się wtoczył na stację, i Domini odwróciła się, szukając swego wagonu. Gdy już się zbliżyła do niego, zauważyła z niepokojem tych samolubnych podróżnych, którzy nie chcą być niepokojeni, że mężczyzna wysokiego wzrostu, obsługiwany przez tragarza Araba, niosącego zielony worek podróżny, był u drzwi wagonu, z zamiarem widocznym wejścia do niego. Gdy Domini podeszła, właśnie obejrzał się, jakoś niezdarnie podał się wtył, jakby pragnąc ją przepuścić, i naraz raptownie sam wskoczył tuż przed nią. Arab podał mu worek, a on, pragnąc w pośpiechu wsunąć mu nieco drobnych do ręki, upuścił monetę, która upadła pomiędzy stopnie wagonu i platformę. Arab natychmiast rzucił się chciwie na poszukiwania, zajmując ciałem swem przestrzeń pomiędzy pociągiem i Domini — tak, iż zmuszona była stać, oczekując, podczas gdy Arab grzebał się bronzowemi paluchami w ziemi, wyrzucając głuche okrzyki, widocznie w złości. Przez ten czas wysoki mężczyzna złożył swój worek na siatce, udał się śpiesznie na dalsze miejsce przedziału i siadł, wyglądając przez okno.

Domini uderzyło niezdecydowanie i pośpiech niepewny podróżnego wraz z brakiem dworskości. Najwidoczniej nie gentleman to, pomyślała, poszedłby bowiem za pierwszym odruchem i dałby jej przejść pierwszej do wagonu. Zdawało się atoli, że jakby postanowił sobie być niedworskim, siadł bowiem odwrócony niezłomnie od drzwi, nie zwracając zgoła uwagi na Araba, chociaż pociąg miał ruszyć za chwilę. Domini była bardzo zmęczona i poczęła się złościć, a nawet czuć pogardę. Arab nie mógł

znaleźć monety — tymczasem trąbka znów się ozwała, ostrzegając o odejściu pociągu. Był wielki czas wejścia do wagonu, jeżeli nie chciała zostać w El-Akbara. Zamierzyła przejść przez grzebiącego się Araba, lecz, gdy krok postąpiła, ów nagle powstał, wskoczył na stopień wagonu i, ciałem swem wpół się wchylając we drzwi wejściowe, począł wyrzucać potok słów po arabsku do podróżnego. Trąbka znów zadźwięczała i wagony szarpnęły wtył przygotowawczo, by ruszyć w drogę do Beni-Mora.

Domini chwyciła Araba za krótki kaftan europejski, który miał na sobie, i rzekła po francusku:

— Proszę mnie puścić natychmiast! Pociąg rusza!

Arab jednakże, w widoku otrzymania monety wzamian za utraconą, nie zwracając na nią uwagi, w dalszym ciągu krzyczał i gestykulował. Podróżny rzekł coś po arabsku. Domini znów ogarnęła złość. Chwyciła Araba za kaftan, użyła całej swej siły i pchnęła go gwałtownie ode drzwi. Ów zatoczył się na platformie i upadł wpobliżu. Zanim się opamiętał, Domini wskoczyła do wagonu, który w tejże chwili ruszył.

Gdy weszła, podróżny, który sprawił całą tę przykrą przygodę, był wychylony z wagonu ze srebrną monetą w dłoni, jakgdyby z zamiarem wyjścia. Domini rzuciła ku niemu pogardliwy wzrok, on zaś szybko obrócił się znowu ku oknu i wyjrzał, chowając jednocześnie monetę do kieszeni. Ciemny rumieniec okrył jego twarz, nie wyrzekł atoli przeproszenia, a nawet nie zadał sobie trudu zaszczepienia klamki od drzwi.

— Co za gbur! — pomyślała Domini, wychylając się przez okno, by zamknąć drzwi.

Gdy odwróciła się od drzwi, zabezpieczywszy je klamką, zobaczyła, ze wagon był pełen bladego zmierzchu. Pociąg wszedł w gardziel śladami karawany wielbłądów, którą była widziała uprzednio. Nie zwracała już uwagi na swego towarzysza, i uczucie ostrego gniewu przeciw niemu zagasło na chwilę. Piętrzące się skały rzucały olbrzymie cienie, mrok gęstniał, zwiększając pośpiech, zdawał się lecieć naprzód w objęcia nocy. W powietrzu był chłód rześki. Domini chłonęła go swemi płucami, wciąż i wciąż bardziej niecona, wstrząsana, sycona jego żywotnością i mocą duchową. Była świadoma, że bierze go w siebie namiętnie, jakby — dajmy na to — trzymała wargi na ustach i piła bytu jakiegoś żywioł najlepszy. Zapomniała świeżej przykrości i czło-

wieka, który ją zgotował. Zapomniała o wszystkiem w tem jednem wrażeniu. Nie miała czasu spytać siebie: „Dokąd pędzę?“ Czuła się jakby niesioną przez fale, w lice morza, cudu, niebezpieczeństwa nawet — szemrzącego, niewiadomego. Skały chyliły się naprzód; zęby ich odrzynały się na niebie; zamykały pociąg precz żonąc słońce i świat z wszelkiem życiem, które w nim było. Chwytała szum wartki walących się wód pod sobą, kruszonych ław, pokrytych szczątkami, jak ławy złomów zużytych; głazów połupanych, spiętrzonych w dzikim nieładzie, jakgdyby wyrzygniętych przez świat jakiś podziemny lub miotanych w zapalczywości z nieba; uciekających kształtów drzew owocowych, morwowych i morelowych, palm i oleandrów; ciemnych żółtych ścian stłoczonych, koloru piołunu, niezamąconych i cichych. Dziwne wrażenie rosnącego zimna i mroku powstawało w niej, a hałas pociągu stawał się pusty, drążony i zdawał się rozciągać, jakgdyby chciał gwałtem przedrzeć się przez nawisłe skały i znaleźć wylot w przestrzeni. Wpadając, rósł on gwałtownie, gniewnie w uszach Domini, kłócąc się, przecząc, głosząc, dowodząc. Ciemność stawała się podobną do ciemności koszmaru. Wszystkie drzewa zniknęły, jakgdyby pierzchły w strachu. Skały zamknęły się, jakgdyby chciały zgnieść pociąg. Była chwila, że Domini zamknęła oczy, jak w oczekiwaniu strasznego zderzenia, którego niepodobna uniknąć.

Otworzyła je na falę złota, z której twarz ludzka patrzała, jak twarz patrząca z samego serca słońca.

III.

Padł na nią blask od pustyni z płomiennem bogactwem barw, od pomarańczowo zabarwionych skał i pierwszych piasków pustki dzikiej; od płowych wiosek, lśniących w promiennych blaskach wieczoru i jak z bronzu rzezanych, od pierwszych palm na oazach, z głęboką ich zielenią, niby fala morska, i ruchomych, jak fale: pierwsze cuda żarów Sahary i przestworów Sahary.

Przestąpiła złote wrota i weszła do niebieskiej krainy, ujrzała jej lice i przez chwilę wzruszona cudownem przeobrażeniem całego tego świata, patrzała nań z naiwnością, jak na nowe widoki, ze słońcem, z potężnemi skałami, głuchemi wioskami i gęstemi drzewami, oczom jej objawione, i nie łączyła tego z niczem, dotychczas widzianem. Było to dla niej już cząstką obszarów tej dziwnej i wspaniałej pustyni. Dla chwili było to wszystko.

W nieokiełzanej grze złotych blasków widziana twarz zdała się być bladą. Była to szczupła twarz, podłużna raczej, z wyraźnemi, wybitnemi rysami, z orlim nosem; usta — równe z czerwonemi wargami i silnie wydatnym podbródkiem. Oczy były piwne, prawie żółtawe, z ciekawemi centkami ciemniejszego koloru; mocno czarne źrenice i ciemno okolone tęczówki. Rzęsy były bardzo długie, a brwi gęste i mocno zgięte. Czoło wysokie, przy skroniach nieco wypukłe. Twarz była bez zarostu, starannie ogolona. Koło ust szły dwie lekkie rysy. Patrząc na nie, Domini myślała o cierpieniach ciała i duszy i o rycerzach średniowiecznych. Pomimo wspaniałego blasku zachodzącego słońca, zdawało jej się, że cień pada na tę twarz.

To było wszystko, co Domini zauważyła, zanim czar zmiany i olśnienie raptowne minęło — zanim spostrzegła się, że patrzy w twarz człowieka, który tak szorstko obszedł się z nią na stacji w El-Akbara.

Świadomość ta otrząsnęła ją ostatecznie — i pomyślała, że wyraz tej twarzy musiał się zmienić raptownie, gdyż ciemna łuna przeszła po szczupłych policzkach cudzoziemca i podniosła się aż do jego chmurnego czoła. Wyjrzał przez okno i poruszył niezręcznie rękoma. Domini zauważyła, że dziwnie nie licowały one z twarzą. Choć czysto utrzymane, wyglądały raczej na ręce robotnika, twarde, szerokie i opalone; palce jednak były delikatne i artystycznie wykrojone.

Domini zaobserwowała to szybko, lecz zarazem spostrzegła, że sąsiad jej nieprzyjemnie jest świadom tych obserwacyj. Niemiłem jej to było, gdyż drobna ta okoliczność jakgdyby łączyła ich nikłemi węzłami. Zerwała je, przestając spoglądać ku niemu i myśleć o nim.

Okno było otwarte. Delikatny, ciepły powiew szedł od gaju palmowego. Dołem biegła droga koło wioski; byli na niej ludzie; starsi grali w kamienie na piasku znaczonym; kobiece postaci ukazywały się na płaskich dachach i u drzwi przydrożnych; dzieci pędziły stada kóz. Jakiś człek piękny, podobny do Chrystusa, z długiemi włosami i kędzierzawą brodą, uderzał laską w ziemię i zawodził bezdźwięcznie; nikt nie zwracał na niego uwagi. Szaty miał zielone i czerwone.

Doleciało dalekie brzęczenie drumli i przenikliwe dźwięki nosowego głosu. A ponad tem, niby akompanjament orkiestry, szedł gwar licznych głosów, dalekie wołania robotników w ogrodach palmowych, głosy kobiet przy studniach i hałasy dziecięce, piskliwe tony fujarek powracających pasterzy, słodki szczebiot ptaków, tęskne naszczekiwanie psów i wołania poganiaczów wielbłądów.

Karawana, którą Domini widziała wstępującą w gardziel wąwozu, ukazała się znowu, dążąc po trakcie pustyni ku południowi. Śród palm wystrzeliły mury wieży. Krążyły dokoła niej gołębie. Niektóre z nich były białe. Wyglądały w locie, jak przedmioty z kości słoniowej, zawieszone nad tą wieżą z płonącego bronzu, stojącą na różanej skale. Z lewej strony piętrzyły się złomy krwawo czerwonych kamieni i płaty purpurowej ziemi. Lśniło to w promieniach słońca, jak jeden olbrzymi klejnot.

Domini wychyliła się przez okno. Na skałach, na ziemi, błyszczały, niby diamenty drobniutkie, kryształki soli; palmy chwiały się nad wodami; różaność i płowość pagórków, krwistość i ogni-

stość ziemi, skąpanej w promieniach słońca, przesuwały się przed mknącym pociągiem, jak dziwna, nieznana procesja przy dźwiękach ukrytych drumli, nabożnych wołaniach niewidzialnych kapłanów i całym szmerze melodji tego dziwnego, nieznanego życia. Łzy stanęły jej w oczach. To nagłe wstąpienie w krainę blasku i barw poprzez wąskie groźne odrzwia wąwozu było wstrząśnieniem ponad jej obecne siły. Chwała tego świata padła jej na serce i stłoczyła je. Uścisk przyrody był tak potężny, iż niemal zgniótł ją. Zdało jej się, iż jest drobną muszką, która marzyła o tem, by dolecieć do słońca, a w odległości całych jeszcze miljonów mil od niego już się cała skurczyła od żaru. Rada była, gdy bladły i znikały odgłosy wioski, a jednak łowiła uchem cichnące ich echa. Naraz uczuła się tak zmęczoną, iż każde doznane wrażenie trudziło ją, jak wysiłek fizyczny trudzi wyczerpanego człowieka. Usiadła i zamknęła oczy. Została tak długo, lecz czuła, że tam, poza oknami, płoną dziwne światła i że wagon powoli napełnia się cały blaskiem zachodu. Często później myślała o tem, czy ów zachód słońca był rzeczywiście tak niezwykle wspaniały, czy tylko widziała go takim poprzez wielkie swoje znużenie.

Szelest poruszenia kazał jej się obejrzeć. Towarzysz jej zmieniał miejsce i przechodził na drugą stronę przedziału. Stąpał pocichu, oczywiście, z chęcią nieniepokojenia Domini. Był przez chwilę zwrócony do niej plecami i zauważyła, iż był silnej budowy, aczkolwiek smukły, i iż chód jego był ciężki. To znowu skierowało jej myśli na jego spracowane ręce — i poczęła rozmyślać leniwie, jakiego jest on stanu i czem się może trudnić. Siadł w odległym kącie po tej samej, co ona, stronie i wyglądał przez okno, skrzyżowawszy nogi. Miał duże buty z kwadratowemi nosami, niezgrabne i niemodne, lecz wygodne i doskonałe do chodzenia. Ubranie miał zrobione niewątpliwie przez krawca Francuza. Materjał na ubraniu był szary i włochaty — i było ono obciślejsze, niż te, które robią krawcy angielscy. Miał czarny jedwabny krawat, a na głowie miękki bronzowy kapelusz, zgięty pośrodku. Ze sposobu, w jaki patrzał przez okno, Domini wywnioskowała, iż on także po raz pierwszy ogląda pustynię. Było coś prawie namiętnie bacznego w jego postawie, coś z pasji natężonej w tej części twarzy, która była widzialną z miejsca, gdzie siedziała Domini. Policzki jego nie były blade, jak to się

narazie wydało, lecz bronzowe, widocznie spalone słońcem afrykańskiem. Czuła jednak, że pod tą spalenizną kryła się bladość. Pomyślała, iż był — być może — malarzem i notował wszystkie niezwykłe efekty barw ze skupieniem tych ludzi, którzy pragną je przenieść na płótno.

Światło, które miało teraz szczególną, prawie nadprzyrodzoną miękkość i przezroczystość światła, padającego pod wieczór od słońca zachodzącego w krajach gorących, spłynęło całym blaskiem na niego i oświetliło mu włosy. Domini spostrzegła, iż były one ciemnorude z odcieniem kasztanowatym, gęste i nadzwyczaj krótko ostrzyżone, jakgdyby głowa jego niedawno była świeżo ogolona. Była przekonana, iż nie był Francuzem. Mógł być Austrjakiem, lub może Polakiem, czy Rosjaninem z południa gdzieś Rosji. Pozostawał bez ruchu w tej samej postawie głębokiej uwagi i skupienia. Świadczyło to o wielkiej mocy nietylko ciała, lecz i ducha, o nadnormalnym prawie skupieniu na rzeczy obserwowanej. Był to człowiek, który był zdolny zamknąć oczy na cały świat, patrząc na ziarnko piasku, gdyby je uznał za piękne i ciekawe.

Byli już teraz blisko Beni-Mory. Ukazały się dalekie jego palmy, a pośrodku nich śnieżno-biała wieża. Sahara leżała za nią i wokół niej, roztaczając się od stóp niskich brunatnych pagórków, które wyglądały, jakgdyby były pokryte miękkim proszkiem bronzowym. Łańcuch zaróżowionych gór rozciągał się ku południowi. Słońce było już bardzo bliskie spadku. Małe, czerwone chmurki płynęły w zachodniej dzielnicy nieba, i odległa pustynia stawała się tajemniczo mroczną i niebieską, jak morze oddalone. Tu i owdzie podnosiły się z niej lekkie wianuszki dymu, i światła w nich połyskiwały, jak jakieś ziemskie gwiazdy.

Domini nigdy przedtem nie rozumiała, jak dziwnie, jak czynnie może się w jednej chwili narzucić kolor wyobraźni. W tych wspaniałościach Wschodu ujrzała wstającą nagą duszę Afryki; nie mdłą i grzeczną, pełną obawy, by nie była widzianą, by nie była poznaną i zrozumianą; lecz zjaw życiowy, krzepki i jarzący, jak dźwięk trąby, grającej wielką pobudkę. Na widok tego kraju, który leżał przed nią beztrwożnie nagi, wzgardziwszy ubraniem traw, roślin i kwiatów, drzew i strumieni, jawiący się z bezwstydną prawie niefrasobliwością, zaufany w swej mocy przestrzennej i w swej dumie złotej, serce jej uderzyło naraz

jakby odzewem na wołanie stanowcze. Zmęczenie jej pierzchło. Odezwała się na tę pobudkę, jak młody żołnierz, który, skoro ze snu zbudzony, wyciąga rękę do miecza. Słońce zachodnie gorzało na jej jasnych, białych policzkach, dając im barwę życia. I dusza jej rozgorzała, by iść naprzeciw niemu. W potężnych przestworach Sahary, zdało się, że słyszy kroki stóp Wolności, idącej naprzełaj — ku południowi. I wszystkie jej mroczne zwikłania, wszystkie przeciwności nudy, wszystkie zagadnienia rozwiały się na rączym wietrze pustyni — w bezmiar jej równin. Z ostatniej swojej spowiedzi wróciła, pytając się: „Czem jestem?" Czuła się nieskończenie małą w lico z małością współczesnego, oświeconego życia, w ciasnym, stłoczonym świecie. Obecnie nie męczyła się już więcej zagadnieniami, wiedziała bowiem, iż coś wielkiego, coś cudnego, coś równie być może dostojnego wstało w niej razem, by witać wszystką tę dostojność, wszystką mocną otwartość i czerstwość, nieskrępowaną świeżość przyrody. Słońce to i ta pustynia — to jej towarzysze, i lęku nie czuła przed niemi.

Bezwiednie całkiem wyłoniła z siebie wielkie westchnienie, czując potrzebę ulżenia radości ducha, pozwolenia ciału, aczkolwiek może nie na miejscu i nie rozważnie, na jakiś wyraz w odpowiedzi na tajemnicze zbudzenie duszy. Podróżny w dalekim kącie wagonu obrócił się i spojrzał na nią. Gdy ruch ten usłyszała, Domini stanął w myślach gniew jej na niego w El-Akbara. W obecnej wzniosłej chwili uczucie to wydało się jej tak błahem i nędznem, iż powzięła żywą chęć uczynienia poprawy za zły wzrok, jaki była ku niemu rzuciła. Być może, gdyby była całkiem normalną, stłumiłaby tę pobudkę. Posłuchałaby głosu zwykłości. Lecz Domini była zdolną do czynów mocnych i całkiem bez rachuby, kiedy była poruszona. A obecnie była głęboko poruszona i rwała się, by oznajmić swą łączność ludzką, współczucie i zapał, które w niej były żywe. Na ruch cudzoziemca obróciła się ku niemu, otwierając usta, by przemówić do niego. Nie wiedziała nigdy potem, co miała zamiar powiedzieć, i czy to, co miała powiedzieć, miało być po francusku, czy po angielsku. Albowiem nie przemówiła.

Twarz jego oświetlało słońce zachodu, gdy siedział pół obrócony na swem miejscu, wspierając się prawą dłonią o poduszki siedzenia. Blask spływał po jego krótkich włosach. Zsunął wtył

głowy miękki kapelusz i odsłonił wysokie swe, chmurne czoło, a lewą ręką bronzową uchwycił się górnej krawędzi drzwi. Była to ręka gwałtowna. Oczy Domini padły na tę rękę, gdy się odwróciła. Chęć mówienia poczęła w niej pierzchać, a gdy spojrzała na jego twarz, całkiem odpadła. Pomimo bowiem glorji zachodzącego słońca na niej, zdało się, że w oczach jego dostrzega zimne cienie. Nikłe linje koło jego ust wyglądały głębiej, niż przedtem, i znowu narzucały wszechmożnie myśli o znękaniu, o ostrości przewlekłego cierpienia. Same usta były zaciśnięte i ponure, i cały wyraz jego był groźny i wstrząsający, jak wyraz przestępcy, który mocuje się, idąc ku niezawodnej sprawiedliwości. Tak surową zaprawdę i przeszywającą była ta maska. patrząca na nią, iż Domini drgnęła pod dreszczem przerażenia. Przez chwilę oczy jego zbiegły się z jej oczyma i zdało się jej, że ujrzała w nich bezgraniczną otchłań nieszczęścia, czy zła. Nie wiedziała, jednego — czy drugiego. Smutek był w nich, jak zbrodnia, i zbrodnia, jak całkowite i żałosne opuszczenie w nieszczęściu. Pomyślała o otchłaniach ciemności, o których mowa w Biblji. Stanęły one przed nią w tym słońca zachodzie. Rzecz ta była tak żywa i spłynęła tak szybko, jak widmo w mózgu szaleńca.

Domini spuściła oczy. Zamarło w niej wszystko szczęście, wszystko poczucie rojonej wolności, barwy, ogromu życia. Była to bowiem czarna plama na słońcu — ludzkości, omyłka Boga w wielkiem dziele stworzenia. I mrok, który szedł od ludzkości, umiarkowywał, a nawet zwyciężał możnie światło. Pytała się, czy zawsze będzie czuła chłód miejsc bez słońca śród złotych obszarów słońca.

Mężczyzna też spuścił oczy. Ręka jego opadła na kolana. Tak pozostał bez ruchu, aż póki pociąg nie wpadł na stację w Beni-Mora — i poważne twarze Arabów bez liku nie wyjrzały ku nim ze spalonego słońcem placu musztry, gdzie w zmroku nastającym ćwiczyli się spahowie.

IV.

Oddawszy bilet kontrolerowi, Domini wyszła ze stacji. Szła za nią Zuzanna, wyglądająca i stąpająca, jak wyczerpana marjonetka. Batucz, który wysmyrgnął z wagonu trzeciej klasy, zanim się pociąg zatrzymał, szedł tuż za niemi — i gdy doszły, gdzie na drodze zebrany był tłum liczniejszy Arabów, przyłączył się do nich z miną, jakgdyby je miał sobie na własność.

— Do jakiego pani hotelu?

Domini obejrzała się.

— Ach, Batucz!

Zuzanna podskoczyła, jak targnięta za sznurek, i rzuciła na poetę spojrzenie strasznie podejrzliwe. Obejrzała go przytem od stóp do głów.

— Idziemy do hotelu Pustyni — ciągnęła dalej. — Daleko stąd?

— Kilka minut drogi, proszę pani.

— Przejdę się piechotą.

Zuzanna cała opadła. Kości jej stały się, jak z wosku, z przerażenia. Ujrzała się brnącą całe wiorsty po piasku ku tym bezimiennym domkom.

— Zuzanno, możesz wsiąść do omnibusu i wziąć ręczne pakunki.

Na słodki wyraz: omnibus — promień nadziei wstąpił do serca panny służącej — i gdy pięknie ubrany hotelowy, w długiej niebieskiej liberji i w spodniach bez zarzutu, wsiadł grzecznie z nią do pojazdu, który był niemylną rzeczywistością, omal nie zapłakała z radości.

Zaś Domini w towarzystwie pogodnego poety szła w kierunku ciągnących się ogrodów Beni-Mory. Przeszli przez most drewniany. Kurz biały unosił się od drogi, po której liczni arystokraci arabscy przechadzali się niedbale, dzierżąc lekko w swych dło-

Zagadał do Batucza z żywością po arabsku, rzucając jednocześnie pół korne, pół bezwstydne, całkiem — a nawet nad obyczaj zuchwałe i inteligentne spojrzenia ku Domini. Batucz odpowiedział z pełną godności powagą, która zdała się być jego cechą szczególną. Rozmowa trwała dwie, czy trzy minuty. Domini pomyślała, że dźwięczało to, jak kłótnia, nie orjentowała się jeszcze w toku mowy arabskiej. Przez ten czas cudzoziemiec na przedzie zwolnił kroku i widocznie oczekiwał na swego niedbałego przewodnika. Raz czy dwa razy się zatrzymał i zrobił ruch, jakby się chciał obejrzeć. Powstrzymał się atoli i szedł dalej wolno. Przewodnik jego mówił coraz gwałtowniej i naraz, wtulając swą brodę i ukazując rzędy dużych, błyszczących zębów, wybuchnął wesołym chłopięcym śmiechem, wstrząsając jednocześnie głową. Potem raz jeszcze rzucił ostatnie ukradkowe spojrzenie ku Domini i ruszył śpiesznie, wymachując zielonym workiem w powietrzu. A gdy już odszedł, jeszcze odwrócił głowę i spojrzał całą twarzą ku Domini. Na tę próżność i pewność wrażenia swej osoby, Domini nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Było to śmiesznie, dziecinne, lecz zarazem było w tem coś okrutnego i złośliwego. Gdy zrównał się z cudzoziemcem, ów obejrzał się, rzekł coś do niego i obaj przyśpieszyli kroku. Domini uderzyła różnica ich kroków. Cudzoziemiec, chociaż był mocnej i muskularnej budowy, stąpał raczej ciężko i niezdarnie, osobliwie posuwistym ruchem stóp. Poczęła zgadywać, ile mógł mieć lat. Osądziła, iż koło trzydziestu pięciu lub sześciu.

— To Hadi — rzekł Batucz swym miękkim i sutym głosem.

— Hadi?

— Tak jest. To mój kuzyn. Mieszka on w Beni-Mora, ale i on był także w Paryżu. Siedział również w więzieniu.

— Za co?

— Za zabójstwo.

Batucz udzielił tej wiadomości ze spokojem zupełnej obojętności — i ciągnął dalej:

— On lubi śmiać się. To próżniak. Zarobił kiedyś sporo grosza i teraz nie ma nic. Dziś jest wesoły, bo ma swego pana.

— Widzę to. Jest tedy przewodnikiem.

— W Beni-Mora jest wielu przewodników. Lecz Hadi j[...] zawsze uszczęśliwiony, gdy złapie Anglika.

— Ten pan, który z nim, to — Anglik? — zawołała Do[...]

on też za treść do wierszy legendy, jako to: o szanownym marabucie, który śpi w Raju Allaha, o wielkich wojownikach, co zbiegli nad skaliste przepaści Konstantyny i dalej — na piaski południa — i inne, i inne.

Wszystkich tych wiadomości, niezupełnie pozbawionych naiwnej próżności, udzielił jej Batucz wspaniale i melodyjnie, gdy szli w cieniu tunelu. Miłe jej było słuchać. Poważne nazwiska, które wygłaszał, melodyjne ich brzmienie, wieści o dzikich czynach, które w zamierzchłych wiekach tu się spełniły, o życiu kapłanów tych prastarych religij, o dziewczętach, które na umalowanych na czerwono wielbłądach odbywają wycieczki do domów tanecznych miast Sahary — wszystko to kołysało obecnie jej ducha i zdało się szczepić w nim, niby czułe drzewo mimozy, głęboko w piasku tym pustyni i w słońcu rozplenione.

Zapomniała już zupełnie o gorzkiem uczuciu w wagonie kolejowym — gdy naraz zdarzenie, nie licujące z obecnym jej stanem, zbudziło je powrotnie.

Na ścieżce poza niemi rozległy się kroki osób, idących szybciej, niż oni, i za chwilę Domini ujrzała swego towarzysza podróży, równającego się z niemi, w towarzystwie młodego Araba, który niósł zielony worek podróżny. Cudzoziemiec patrzał wprost przed siebie w głąb tunelu i minął ich prędko. Przewodnik atoli jego miał widocznie coś do powiedzenia Batuczowi i zwolnił kroku, zostając nieco poza nim na chwilę. Był to bardzo szczupły, chudy, jak kość, młodzianek, mający około dwudziestu trzech lat, z czekoladowej barwy skórą, z wystającemi kośćmi licowemi, z długiemi kształtu migdałów oczyma, iskrzącemi się tryskającym humorem, i szerokiemi ustami, które się śmiały, ukazując białe, śpiczaste zęby. Nad górną jego wargą przesiewał się gęsty, czarny wąsik, i długie, sute kosmyki czarnych, jak dżety, włosów wychylały się na przedzie z pod fezu, nasuniętego na tył jego małej głowy. Szyja jego była cienka i długa, a ręce zadziwiająco delikatne i pełne wyrazu, z różowemi i całkiem pięknemi paznokciami. Gdy śmiał się, miał przyzwyczajenie wyciągania naprzód głowy i chowania swego podbródka, przez co kutas jego fezu spadał mu to na jedną, to na drugą stronę oni. Miał na sobie biały burnus, przepasany wielobarwną ką jedwabiu ze strzępionemi końcami — był cienki w pasie, panna.

Zadawała sobie w myślach pytanie, jakiej mógł być narodowości podróżny, lecz nigdy nie przyszło jej do głowy, by był tej samej, co ona.

— Tak jest, Anglik. On także idzie do hotelu Pustyni. Pani i on — jedyni tu Anglicy i prawie że jedyni podróżni. Za wcześnie jeszcze na zwiedzających. Boją się gorąca. Zresztą, mało Anglików przybywa w te strony. A szkoda! Tracą pieniądze i patrzą na byle co. Hadi'emu chodzi bardzo, by kupił sobie w Tunisie kostjum na wielką fetę pod koniec Ramadanu. Będzie kosztował piętnaście lub szesnaście franków. Pokłada nadzieję, że Anglik jest bogaty. Ale wszyscy Anglicy są bogaci i wspaniałomyślni.

Z temi słowy Batucz spojrzał spokojnie na Domini swemi wielkiemi, niezmąconemi oczyma.

— Ten jego pan mówi trochę po arabsku.

Domini nic nie odrzekła. Zdziwiła ją ta wiadomość. Coś było rdzennie nie angielskiego w tym cudzoziemcu — myślała. Oczywyście, nie angielski krawiec go ubiera. Lecz nie to tylko było powodem omyłki. Cały jego wygląd, sposób zachowania, siedzenia, chodzenia — tak jest, osobliwie chodzenia — był niewątpliwie obcokrajowy. Ale, gdy poczynała myśleć o tem, nie mogła określić, co było w nim charakterystycznego z tego, czy innego kraju. Leniwie rzekła sobie, że musiał być Austrjakiem czy Słowianinem. Myślała atoli o jego cerze. Zdarzyło się jej raz, że dwaj *attachés* dwóch narodowości, których często spotykała w Londynie, mieli włosy tego odcienia barwy — raczej ciemnobrunatnej.

— On nie wygląda na Anglika — rzekła głośno.

— On umie po francusku i po arabsku, lecz Hadi powiada, że to Anglik.

— Skądże on wie o tem?

— Bo on ma oczy szakala i był z wielu Anglikami. Jesteśmy teraz blisko kościoła katolickiego, proszę pani. Widać go między drzewami. A oto i ksiądz jegomość idzie naprzeciwko. Idzie ze swego domu, który jest wpobliżu hotelu.

Nieopodal w cieniu tunelu Domini dostrzegła czarną postać w sutannie, idącą wolnym krokiem naprzeciw nim. Cudzoziemiec, który szybko odmierzał grunt swemi dziwnemi posuwistemi krokami, był bliżej niego, niż oni, i gdyby szedł tym samym kro-

kiem, prędkoby go minął. Lecz Domini spostrzegła w nim naraz pewną zwłokę i wahanie. Schylił się i począł coś niby poprawiać koło swego obuwia. Hadi porzucił zielony worek i już miał zamiar uklęknąć i dopomóc mu, gdy ów nagle podniósł się, rzucił wzrokiem jakgdyby na księdza, który się przybliżał, i naraz skręcił gwałtownie na prawo w ścieżkę, która wiodła z ogrodu ku arkadom ulicy Berty. Hadi podążył za nim, gestykulując po francusku i dobitnie wyjaśniając, że hotel był w przeciwnym kierunku. Lecz cudzoziemiec nie zatrzymał się. Spojrzał raz tylko szybko za siebie, odwracając głowę, i szedł dalej bez przerwy.

— Jaki zabawny gość! — rzekł Batucz. — Czegoż to mu tam potrzeba?

Domini nic nie odrzekła, gdyż właśnie ksiądz przechodził mimo, a z lewej ujrzała kościół pośród drzew. Był to płaski, bez pretensji budynek, z białemi drewnianemi odrzwiami, osadzonemi w łuk. Ponad łukiem był mały krzyż, dwoje okien z zaokrąglonemi szczytami, dzwon i biała wieża z czerwonym daszkiem. Spojrzała na kościół i na księdza, którego twarz była ciemna i zamyślona z błyszczącemi, lecz ciemnemi, piwnemi oczyma. I znów pomyślała o cudzoziemcu.

Uwaga jej dziwnie zwracała się wciąż w kierunku tego nieznajomego. Wygląd jego i jego zachowanie się były tak niezwykłe, iż nie można było nie zwrócić na nie uwagi.

— A oto i nasz hotel! — rzekł Batucz.

Domini ujrzała go u prawego boku kościoła, naprzeciw ogrodów. Nieopodal od kościoła była plebanja, biały budynek, ocieniony daktylowemi palmami i drzewami pieprzowemi. Gdy przechodzili mimo niego, cudzoziemiec ukazał się znowu pod arkadą, nad którą był taras hotelowy. Zniknął w dużych drzwiach w towarzystwie Hadi'ego.

Podczas kiedy Zuzanna wypakowywała rzeczy, Domini wyszła na obszerny taras, który ciągnął się wzdłuż całego hotelu Pustyni. Sypialny jej pokój był od frontu i ztyłu łączył się z małym salonikiem. Salonik ten wychodził na drugi, mniejszy taras, z którego poza palmami widać było pustynię. Gości, jak się zdawało, nie było w hotelu. Werenda była osamotniona, i spokój łagodnego wieczoru był głęboki. Naprzeciw białego przepierzenia stał mały okrągły stół i trzcinowy fotel. Na schodach rozległy się stłumione kroki w pantoflach, i służebna Arabka ukazała się z przy-

borami do herbaty. Postawiła je na stole z okrzętną zręcznością, którą już przedtem dostrzegła Domini u Arabów w Robertvillu, i zaraz zniknęła. Domini siadła w fotelu i nalała sobie herbaty, wychylając lewe ramię przez poręcz.

Głowę miała bardzo zmęczoną i w skroniach czuła ucisk. Czuła wdzięczność za spokój, jaki miała dokoła. Wszelki dźwięk ostrzejszy byłby dla niej nieznośny w tej chwili. Od wioski niosły się głosy, lecz były one ustronne, zmieszane, spływające społem i tworzące jeden dźwięk, który był łagodnym, powściągliwym, równym głosem życia. Szemrał on w uszach Domini, gdy piła zwolna herbatę, tworząc tło jakieś romantyczne pokoju. Swiatło, które spływało pod okrągłemi arkadami tarasu, było także stłumione. Słońce tylko co zaszło, i barwy jaskrawe nie grały już na górach; wyglądały one teraz, jak potwory milczące, które utraciły swą barwę młodości i stały się naraz tajemniczo staremi. Gwiazda wieczorna wybłysnęła na niebie, które na skrajach zachodu zachowywało jeszcze nieco połysków dnia; jak na znak, pielgrzymi zmrokowi poczęli obwiązywać dokoła swych postaci swoje wolne szaty, zarzucając na ramiona swoje długie fuzje i szykować się do drogi, pod rześkim wietrzykiem nocy, który wieje w pustyni, kiedy słońce zajdzie.

Domini nie wiedziała o tem, lecz czuła bliską obecność pustyni, i czucie to koiło jej nerwy. Była w tej chwili pełna wdzięczności dla siebie, że podróżowała bez przyjaciółki kobiety i nie miała żadnego rodzaju zobowiązań. W jej zmęczeniu pozostawać bierną pośród pokoju i światła łagodnego, ukojoną w wierze, prawie w pewności, że ta pustynna miejscowość nie nastręczy jej znajomych, którzy pokój mącą, było to znać całą radość, której pragnęła na teraz. Gdzież jest kobieta wolniejsza od niej — tu na tej samotnej werendzie, z cienistemi drzewami na dole?

Zadźwięczał łagodnie wpobliżu odgłos dzwonka, i znany ten dźwięk dziwnie wpadał do uszu Domini tutaj w Afryce, przypominając jej wiele smutków. Wiara jej była związana ze strasznemi wspomnieniami, walkami okrutnemi, scenami nienawiści i okrucieństwa. Lord Rens był człowiekiem gwałtownego usposobienia. Mocny w dobrem, gdy był przez miłość kierowany, był równie mocny w złem, gdy nienawiść nim kierowała. Domini zmuszona była zbliska patrzeć na ten surowy charakter tego człowieka, od którego okoliczności odjęły wszystką czułość

i prawie wszystko władanie nad sobą. Groza rzeczywistości była jej znana. Drżała z bojaźni przed nią, lecz w ciągu długich lat była zmuszona czuwać nad nią. Przybywszy tu, do Beni-Mora, miała rodzaj luźnego i prawie dziecinnego wrażenia, iż między sobą i nią rozpostarła morze szerokie. Nawet, nim wyruszyła, było już wszystko w grobie. Nie mogłaby nigdy wrócić do tej rzeczywistości. Czuła potrzebę innej rzeczywistości życia — rzeczywistości piękna, pokoju, wolności. Lord Rens był prawie niewolnikiem, niewolnikiem miłości, wtedy najbardziej, kiedy był pełen nienawiści, i Domini, pod wpływem tego przykładu, łączyła instynktownie miłość z więzami. Jedynie miłość istoty ludzkiej do Boga zdawała się jej czasami najzupełniej wolną: ruch duszy w kierunku nieskończoności, posłuszny wołaniu wielkiego Wyzwoliciela. Miłość mężczyzny do kobiety, kobiety do mężczyzny, uważała, jako więzy, niewolę. Czyż nie była jej matka niewolnicą człowieka, który złamał jej życie i poniósł jej ducha poza udział nieba? Nie byłże jej ojciec niewolnikiem jej matki? Stroniła stanowczo od ujrzenia siebie w więzach miłości, takiej mocnej, jaką podejrzewała w sercu dla ludzkiej istoty. Jedynie w wierze swej czuła w rzadkich chwilach nieco miłości. I teraz tu, w tym strasznym, zdobywczym kraju, uczuła w sobie boskie poruszenie miłości przyrody. Wzbudziło ono ją gwałtownie do wielbienia, wywołało w niej płomiennie coś więcej, niż pełną umiaru czujność lub prostą admirację. Był w tem zew zdecydowany, który był do niej. Nawet w zmęczeniu swem i w tym zmroku sennym świadoma była ukrytej pobudki, która była nie do uśpienia. I gdy tak tu siedziała, w zmrokach, które rosły na niebie i roztaczały się tajemnie wzdłuż wzgórków piaszczystych pomiędzy drzewami, pytała siebie, jak wiele miała w sobie do dania w odpowiedzi na zew tej przyrody ufnej. Czy tylko niewiele? Nie wiedziała. Lub może była nadto zmęczona, by wiedzieć.

Chłód ją przeniknął. Uczuła, że jest bardzo biedną kobietą, która nigdy nie zaznała radości dania czegoś z siebie, gdyż nawet drobiny nie miała do dania.

Dzwonek kościelny znowu się rozległ pomiędzy palmami. Domini usłyszała głosy prawie wyraźnie w dole pod arkadą. Była tam kawiarnia francuska, i dwóch czy trzech wojskowych posilało tu się zlekka przed obiadem na świeżem powietrzu. Mówili z sobą po francusku, jak ci, co na wygnaniu mówią

o swym kraju. Głosy te naprowadziły ją znowu myślą na rekrutów, a stąd — właśnie z ich powodu — na Matkę Boską Opiekuńczą, patrzącą ku Afryce. Stanęła jej w myśli tragedja jej ostatniej spowiedzi. Czy byłaby zdolna spowiadać się przed księdzem, którego spotkała w tunelu? Czy mogłaby się nauczyć od niego, czem była w istocie?

Jakże ciepła była ta noc! I jak to ciepło, które rozwija żyzność ziemi, rozwija także siły ukryte i możności w mężczyźnie i kobiecie! Pomimo zmęczenia ciała, które utrzymywało ją w bezruchu, jak posąg, na fotelu, z ręką, leżącą wzdłuż poręczy werendy, Domini czuła, iż splątany tłum rzeczy nieokreślonych, lecz gwałtownych, niejako już ruszył w jej naturze, jakgdyby nowe to powietrze mężów zbrojnych wołało do życia. Czyż nie słyszała szmeru ich głosów, szczęku dalekiego ich oręża?

Nie zdając sobie sprawy, poczęła zapadać w sen. Zbudził ją odgłos kroków po drewnianej posadzce werendy. Były od niej w pewnej odległości. Przeszły przez werendę i zatrzymały się. Była prawie pewna, że są to kroki jej towarzysza podróży, nie — iżby wiedziała, że stanął w tym samym hotelu, lecz raczej z racji tej ciekawej, nierównej ciężkości jego chodu.

Co on tam może robić? Czy patrzy przez poręcz na ogród owocowy, gdzie białe postacie Arabów snują się między drzewami? Zachowywał się całkiem milcząco. Domini była teraz całkowicie obudzona. Błoga pogoda opuściła ją. Była teraz nerwowo podrażniona obecnością jego wpobliżu i szybko uprzytomniła sobie drobne wydarzenia dnia, które poczęły zarysowywać jego charakter. Wszystko tam było, znajdowała, niemiłem, wszystko, co najmniej, nikle nieprzyjemnem. Co to wszystko miało znaczyć w gruncie? Szkic, jaki te wydarzenia nakreśliły, był tak nikły, tak rozwiany, że mówił mało. Ostatni wypadek był najdziwniejszy. I znowu ujrzała świetlistą drogę tunelu, mieniącą się światłami i cieniami, usłaną blademi refleksami liści i gałęzi drzew, woddali czarną postać księdza i wysoką postać cudzoziemca w postawie trwożnego zawahania się. Za każdym razem widziała go, jak pragnął uczynić coś stanowczego, i wahanie zawsze nad tem zawisało. W tem niezdecydowaniu było dla niej coś strasznego, coś bijącego na trwogę.

Pragnęła, by nie stał za nią — i zatarg jej urastał. Mogła teraz słyszeć głosy wojskowych w kawiarni. Może i on się im przysłuchiwał. Były teraz głośniejsze. Rozmawiający powstali ze swych miejsc. Brzęk ostróg, kroki stóp — i głosy zamarły woddali. Dzwonek znowu zadźwięczał. Gdy to się stało, Domini usłyszała ciężkie i nierówne kroki, pośpiesznie przechodzące przez werendę. A za chwilę potem gwałtowne otworzenie okna.

— Zuzanno! — zawołała.

Weszła panna służąca, ziewająca, z różnemi przyborami w dłoniach.

— Jestem, proszę pani.

— Nie zejdę dzisiaj na obiad do ogólnej sali. Powiedz, niech mi nakryją w moim saloniku.

— Dobrze, proszę pani.

— Czyś nie widziała, kto tam był teraz na werendzie?

Panna służąca obejrzała się podejrzliwie.

— Byłam w pani pokoju.

— Dobrze. Jak daleko stąd do kościoła?

— Pani nie będzie się chyba trudziła z chodzeniem do kościoła. To nie jest obowiązkiem chodzić tu — w towarzystwie tych wszystkich Arabów.

Domini uśmiechnęła się.

— Przyjechałam tu, żeby być z Arabami, Zuzanno.

— Hotelowy z omnibusu mówił mi, że oni są brudni i bardzo niebezpieczni. Noszą noże ze sobą, a ubranie ich pełne pcheł!

— Inaczej ich osądzisz jutro za dnia. Nie zapomnij o obiedzie.

— Powiem natychmiast, proszę pani.

Zuzanna zniknęła, stąpając, jak ci, co się boją zasadzki.

Po obiedzie Domini wyszła znowu na werendę. Był tam już Batucz. Miał obecnie na głowie śnieżno-biały turban i wyglądał, jak młody wysoki kapłan jakiegoś szczególnego obrządku. Namawiał Domini, by poszła z nim na ulicę Uled Nails zobaczyć oryginalne tańce Sahary. Lecz Domini odmówiła.

— Nie dzisiaj, Batucz. Pójdę do łóżka. Całe dwie noce nie spałam.

— Ale i ja nie spałem, proszę pani. W nocy układam wiersze. Mój mózg wtedy żyje. Moje serce w ogniu.

— Tak, ale ja nie jestem poetką. Zresztą, pozostanę tu dłużej. Będzie jeszcze dużo wieczorów do oglądania tańców.

Poeta patrzał niezadowolony.

— Gentleman poszedł — Hadi teraz czeka na niego u wejścia. Ale Hadi zawsze ma stracha, kiedy idzie na ulicę tancerzy.

— A to czemu?

— Bo tam jest dziewczyna, która chce go zabić. Na imię jej Irena. Była wydalona na sześć miesięcy z Beni-Mora, ale znowu powróciła — i odtąd ciągle chce zabić Hadiego.

— Cóż on jej zrobił takiego?

— Nie chciał jej kochać. Tak, Hadi ma stracha, ale mimo to idzie z gentlemanem, ponieważ musi zarobić sobie na kupno kostjumu na święto Ramadanu. Ja także chcę kupić sobie nowy kostjum.

Spojrzał na Domini z dostojną potulnością. Wygląd jego u kolumny werendy był wspaniały. Na swój niebieski kaftan narzucił był cienki biały burnus, który spływał dokoła w klasycznych fałdach. Domini ledwo mogła wierzyć, że ta wspaniała istota domawia się o franka. Myśl ta przyszła jej do głowy, ale ją odrzuciła. Była jeszcze nowicjuszką w Afryce.

— Nie, tej nocy nie pójdę — rzekła stanowczo.

— Dobranoc pani. Będę tu jutro zrana o siódmej. Zorza w ogrodzie gazel jest — jak płomienie raju, i będzie mogła pani zobaczyć harcujących spahów na koniach, które są, jak —

— Tak wcześnie jutro nie wstanę.

Batucz przybrał wyraz tragicznie-korny i skierował się do wyjścia. Właśnie wtedy Zuzanna ukazała się w oknie balkonowem swego sypialnego pokoju. Drgnęła, ujrzawszy poetę, który odrzucił wtył burnus ze swych silnych ramion, i przystanęła, patrząc na niego. Oczy jej same się skierowały na tę część gołych łydek, która była widzialną ponad białemi, jak świeży śnieg, pończochami, i wyraz lekko sentymentalny zmieszał się w nich z wyrazem pogardy i zgrozy.

Domini wstała ze swego fotela i wychyliła się przez poręcz. Smuga żółtego światła od drzwi wejściowych hotelu leżała wzdłuż na białej drodze — i za chwilę ujrzała, jak dwie postacie wyszły z pod werendy i zatrzymały się na drodze. Jedną z nich był Hadi, drugą był cudzoziemiec. Cudzoziemiec zapalił zapałkę i próbował zapalić cygaro, lecz to mu się nie udawało. Zapalił drugą

zapałkę, potem trzecią, lecz cygaro wciąż nie chciało ciągnąć. Hadi patrzał na niego ze złośliwem zaciekawieniem.

— Może pan mnie pozwoli — począł.

Lecz cudzoziemiec wyjął szybko cygaro z ust i rzucił je precz.

— Obejdzie się bez palenia — usłyszała Domini, jak rzekł po francusku.

Zatem szedł dalej z Hadim w ciemności.

Kiedy już zniknęli, Domini usłyszała tęskne i przenikliwe dźwięki woddali. Była to muzyka afrykańskich oboistów.

Noc była cudownie sucha i ciepła. Gęsto rosnące drzewa w ogrodzie zaledwie się poruszały. Było bardzo cicho i bardzo ciemno. Zuzanna, stojąca w oknie, wyglądała, jak cień, w swej białej szacie. Postawa jej była romantyczna. Być może, wpływ wytworny tej mieściny w Saharze poczynał zwolna poruszać jej ciężkiego ducha.

Domini poszła wcześnie do łóżka, lecz nie mogła zasnąć. Koło samej północy usłyszała, jak ktoś chodził tam i zpowrotem w dole na werendzie. Kroki zbliżały się i oddalały, zbliżały, znów oddalały, bez przerwy, aż wreszcie przyprawiły ją o prawdziwą gorączkę rozdrażnienia. Dopiero, kiedy druga wybiła na kościele, ustały nareszcie.

Domini pomodliła się cicho do Matki Boskiej Opiekuńczej, Panny Błogosławionej, która patrzy ku Afryce. Po raz pierwszy bowiem uczuła samotność swego położenia i to — że jest bardzo daleko.

V.

Nad ranem Domini zasnęła. Była prawie ósma, kiedy się zbudziła. Pokój był pełen łagodnego światła, które jej oświadczyło o słońcu nazewnątrz; wstała raźno odrazu, włożyła pantofle i otworzyła okno na werendę. Beni-Mora było już skąpane w złotych promieniach i pełne ruchu czynnego. Stado kóz dreptało ku krańcowi oazy. Ogrodnicy arabscy zmiatali leniwie drobne liście z wąskich ścieżyn pod drzewami mimoz i drzewami pieprzowemi. Żołnierze w luźnych białych ubraniach, w ciemnoniebieskich pasach i fezach, szli spiesznie od fortów ku rynkowi. Od wioski dochodził daleki dźwięk rogu i słychać było pomruk wielbłądów. Domini chwilę stała na werendzie, pojąc się powietrzem pustyni. Dawało jej to poczucie czystości i rześkości, jakgdyby istotnie kąpała się w czystej wodzie. Patrzała na przeźrocze niebo, które zdało się być pełnem nadziei i mocy udzielania błogosławieństw — i rada była, że przybyła tu, do Beni-Mora. Poczucie osamotnienia z uprzedniej nocy minęło. Stojąc tak w słońcu, była świadoma, że potrzeba jej odrodzenia i że znajdzie je tutaj. Promienne niebo, ciepło słoneczne i wolność dnia tego i wielu dni, które przyjdą w pustyni, napełniły jej serce uczuciem prawie dziecięcem. Czuła się młodszą, niż przed laty, i tak płocho swawolnie niewinną, jak młodę kocię lub szczenię. Czarne jej, sute włosy, niezwiązane, opadły płaszczem dokoła jej silnego, sprężystego ciała — i miała to rzadkie poczucie, iż poza tą drugą, bardziej tajemniczą zasłoną, dusza jej dzisiaj miała mniej nieodpowiednią towarzyszkę ze swej pary, niż to było od czasu grzechu jej matki.

Czystość — jakiż błogosławiony warunek, warunek, pełnią dzielną sycący. W tej wczesnej ranka godzinie Beni-Mora wyglądało wspaniale czysto. Domini pomyślała o rozpacznym brudzie ranków londyńskich, pełnem dymu powietrzu, czepiającem

się czarnych drzew i szarych bruków. Czyż może być dusza czysta w takiem powietrzu? Tutaj to łatwo. Tu każdy może nastroić swą lutnię do zgody z Przyrodą i być, jako palma śpiewna nad wody potokiem. Domini wzięła małą ozdobną książkę, która leżała w nocy na jej stoliku przy łóżku. Było to *O naśladowaniu Chrystusa*. Otworzyła na chybił-trafił i rzuciła wzrokiem na spromienioną słońcem stronicę. Przeczytała te słowa:

„Miłość czuwa i wśród snu nie zasypia.
Wśród pracy nie utrudza się, wśród więzów nie jest spętana, śród trwogi nie miesza się, lecz, jak żywy płomień i gorejąca pochodnia, wgórę wybucha i bezpiecznie przechodzi.
Kto kocha, ten rozumie, co ów głos znaczy.“

Promień słoneczny na stronicy tej małej książki był, jak płomię żywe i pochodnia gorejącą, o której w niej była mowa. Ciepło, światło, żywioł ognisty... Domini tak długo była zmęczona, zmęczona na duszy, iż prawie się zadziwiła, że znajduje w sobie tak prędko odpowiedź na święty żar tej stronicy, na jasny promień, który całował ją, jak bliźni całuje bliźniego Uklękła do modlitwy porannej, lecz to jedno zdołała wyszeptać:

„Odnów mnie, Boże! Odnów mnie, Boże! Daj mi moc czuć dzielnie, płomiennie, nawet choćbym miała cierpieć. Zbudź mnie. Daj mi czucie. Daj mi raz być żywą istotą. O, Boże! Odnów mnie, odnów!“

Modląc się tak, przyciskała tak mocno głowę do dłoni, że plamy czerwone wystąpiły na policzkach. A potem zdało jej się, jakoby ta pierwsza jej prawdziwa, namiętna modlitwa w Beni-Mora była prawie, jak rozkaz do Boga. Czy nie byłaby taka płomienna modlitwa bluźnierstwem?

Od takiej modlitwy powstała na pierwszy dzień z nowych dni swoich.

Po śniadaniu wyjrzała z rogu werendy i ujrzała Batucza i Hadi'ego, siedzących razem w kucki w cieniu drzew na dole. Palili papierosy i żywo rozprawiali. Rozmowa toczyła się po arabsku i była gwałtowna. Słowa padały z naciskiem, jak chłosta. Domini nie dłużej nad minutę patrzała przez poręcz, a już dwaj przewodnicy dostrzegli ją i z uśmiechem powstali z ziemi.

— Czekam na panią, żeby jej pokazać miasto — rzekł Batucz, wychodząc łagodnie na drogę, podczas gdy Hadi pozostał pod drzewami, wychylając zęby w sarkastycznym grymasie, który miał oznajmić Domini całe współczucie dla jej błędu — iż nie jego wybrała na swego towarzysza.

Domini skinęła głową, weszła do swego pokoju i włożyła kapelusz od słońca. Żuzanna podała jej dużą parasolkę z zielonym spodem — i Domini poczęła schodzić raczej powolnie. Nie była pewna, czy w tej pierwszej swojej wycieczce po Beni-Mora jest jej potrzebny towarzysz. Więcej byłoby oczywiście uroku wolności w samotnej przechadzce. Nie miała atoli dosyć serca odprawić Batucza, z całą jego godnością i determinacją. Postanowiła wziąć go na krótko i potem pozbyć się go pod lada pretekstem. Być może, zrobi trochę sprawunków na rynku i odeśle go z niemi do hotelu.

— Dobrze pani spała? — zapytał poeta, kiedy wynurzyła się na słońce.

— Doskonale — odpowiedziała, skinąwszy głową Hadiemu, którego grymas stał się jeszcze zjadliwszym, i otwierając parasolkę. — Dokąd pójdziemy?

— Dokąd pani życzy. Jest rynek, jest wioska murzyńska, meczet, kasyno, pomnik kardynała, bazar, ogród księcia Ferdynanda Anteoniego.

— Ogród — spytała Domini — czy piękny?

Batucz był już bliski ekstazy lirycznej, ale się powściągnął i rzekł:

— Pani sama zobaczy i potem mi powie, czy w całej Europie jest choć jeden do niego podobny.

— O! Angielskie ogrody są wspaniałe — rzekła, uśmiechając się na jego patrjotyczne przeświadczenia.

— Nie wątpię. Pani mi powie, pani mi powie — powtarzał z niezmąconą pewnością.

— Naprzód jednak wstąpię na chwilę do kościoła — rzekła. — Poczekaj tu na mnie, Batucz!

Przeszła przez drogę, minęła skromną, piętrową plebanję i zbliżyła się do kościoła, który wychodził na ciche ogrody. Zanim weszła na stopnie — i u drzwi — zatrzymała się na chwilę. Było coś wzruszającego dla niej, jako dla katoliczki, w tym symbolu wiary, osadzonym tu daleko wpośrodku Islamizmu. Krzyż

prawdziwie był tu raczej osamotniony. Była świadoma tego, iż, odkąd weszła tu do kraju innej wiary i gdy inna ta wiara wspierała się na fanatyzmie, uczucie jej dla własnej religji, które w Anglji od wielu lat było zaledwie letnie, odrazu zyskało na mocy. Miała szczególne, prawie męskie wrażenie, że tu w Afryce należy stać za wiarę, nietylko słów szelestem, by innych niewolić, lecz sercem gorliwie, by siebie zadowolić. Był czas, że czuła się obrończynią. Uczuła się nią dzisiaj, patrząc na ten skromny przybytek, który porównywała do ciała jednego z tych biednych świętych z Tebaidy, którzy mieszkali w odludnych stronach pustyni i których modłom wtórzyły nocne krzyki szakali i ryk dzikich bestyj. Z tem uczuciem w sercu pchnęła drzwi i weszła do środka.

Nie było w nim nic, coby oko radowało, nic, coby zmysły wzruszało. Nie było w nim nawet tajemnicy, która omracza i łagodzi, bowiem potoki słońca lały się tu poprzez białe szkła okien, odsłaniając, a nawet jawiąc z emfazą, jakby z umyślnem okrucieństwem, tanie ozdoby, wytarty welwet, surowe barwy, wołające o pomstę gesty i pozy glinianych świętych. Kiedy jednak tknęła Domini święconą wodą czoła i piersi i przyklękła na chwilę na posadzce kamiennej, była świadomą, iż raczej ten nędzny dom Boży porusza w niej struny, których nie czuła w wielkich i pięknych kościołach, do których była przyzwyczajona w Anglji i na kontynencie. Przez okna ujrzała zarysy liści palmowych, drżące przy podmuchu: palce afrykańskie, czujne, z rodzajem myszkującej podejrzliwości, jeżeli nie wrogości, dokoła serca tej religji — intruza, która przywędrowała tu z odległych stron i stała w lico płonącym blaskom pustyni. Odważny, mały, skromny kościołek! Domini wiedziała, że może go pokochać. Nie wiedziała atoli, jak bardzo.

Obeszła dokoła z poważną twarzą. Tu i owdzie jednak, gdy przystanęła przed figurą świętego, uśmiechnęła się mimowoli. Były tu istotnie dziwne wota na ołtarzu Tego, który dzierżył tę Afrykę na dłoni Swej ręki, który rozkazał płonąć wspaniałości słońca, jak to widziała ostatniego wieczora śród gór. I oto ona i ten mały kościółek, w którym się znalazła samotna, stał się naraz w jej myślach patetycznym, jako i ta religja, którą człowiek jeden wyznaje pośród drugiej, także patetycznej. Bowiem tu, w Afryce, poczęła zdawać sobie sprawę z rozległości

świata — i że wiele rzeczy musi się pewnie wydawać Twórcy, jako ci święci gliniani wydają się jej.

— O, jakżem mała, jakżem mała! — wyszeptała do siebie. — O, uczyń mnie większą! O, daj mi się dźwignąć — i to tu, nietylko tam!

Zaskrzypiały drzwi kościelne. Odwróciła głowę i ujrzała księdza, którego była spotkała w tunelu. Zbliżył się odrazu do niej, pozdrowił ją i rzekł:

— Zobaczyłem panią przez okno i pomyślałem, że może pani zechce obejrzeć nasz kościół. Myśmy tu z niego bardzo dumni.

Domini podobał się dźwięk głosu i ta naiwna uwaga. Twarz księdza także, chociaż nie wykwintna, wyglądała zacnie, mile patetycznie, lecz z tym patosem, który był nieudany i prawie nieświadomy. Dolną część twarzy okrywały wąsy i broda.

— Dziękuję — odrzekła. — Jużem obejrzała wszystko dokoła.

— Czy pani katoliczka?

— Tak jest.

Ksiądz spojrzał uprzejmie. Było coś dziecięcego w ruchliwości jego twarzy.

— Cieszę się bardzo — rzekł prosto. — Parafja nasza w Beni-Mora nie jest liczna, lecz poszczęściło nam się w ubiegłych latach. Nasz wielki kardynał, Ojciec Afryki, lubił to miejsce i kochał dzieci swoje.

— Kardynał Lavigerie?

— Tak jest, proszę pani. Dom jego zamieniony teraz na szpital miejski. Pomnik jego jest na skraju wielkiego szlaku pustyni. Żywo go atoli chowamy w pamięci, i duch jego jest stale pośród nas.

Oczy księdza jaśniały, gdy to mówił. Wyraz, nieledwie tragiczny jego twarzy, szedł na zmiany z wyrazem zachwytu.

— Kardynał kochał Afrykę, to pewna! — rzekła Domini.

— Serce jego tu żyło. A jakie były czyny jego! Byłem jednym z jego *frères armés*, lecz zdrowie mi przeszkodziło — a potem stowarzyszenie zostało rozwiązane.

Wyraz smutku znów wrócił do jego twarzy.

— W kraju, jak ten, i w klimacie, jak ten, jest wiele pokus — rzekł. — A ludzie są słabi. Lecz czuwają tu zawsze Biali Bracia, których on postanowił. To męże, pełni chwały. Niosą krzyż w naj-

dziksze strony świata. Najbardziej fanatyczni Arabowie szanują Białych Marabutów.

— Ksiądz pragnąłby pewnie być z nimi?

— Tak jest, pani. Lecz zdrowie moje pozwala mi jedynie na skromny urząd parafjalnego księdza tutaj. Nie wszyscy, którzy chcą zaciągnąć się do życia najsurowszego, mogą to uczynić. Gdyby było inaczej, byłbym już dawno mnichem. Sam kardynał rozumiał, że moja służba winna być na innych szlakach.

Wskazał Domini parę przedmiotów w kościele, które podziwiał i uważał za godne uwagi: rzeźbę ołtarza w niezdarne grona, kłosy, krzyże i kotwice; biały muślin naszywany, który okrywał tabernakulum; posąg biskupa w czerwieni ze złotą mitrą, trzymającego Biblję i pastorał, i inny posąg, wyobrażający świętego z tęsknym i strawionym wyrazem, trzymającego Biblję, na której kartach przechadzał się mały uśmiechnięty dzieciak.

Kiedy już mieli opuścić kościół, zatrzymał chwilę Domini przed obrazem, wyobrażającym św. Brunona, ubranego w płaszcz zakonny, pod którym złotemi głoskami widniały te słowa:

„Saint Bruno ordonne à ses disciples
De renoncer aux biens terrestres
Pour acquérir les biens célestes.“*)

Uczniowie stali dookoła w pozach zabawnych nabożnego skupienia.

— Mniemam, że to jest bardzo piękne — rzekł. — Kto może na to patrzeć, nie czując zarazem, że najwyższym aktem człowieka jest wyrzeczenie?

Ciemne jego oczy zapłonęły. Właśnie w tej chwili nikłe, cienkie szczekanie z tamtej strony drzwi kościelnych doszło do jego uszu, szczekanie bardzo dyskretne i nawet pokorne, lecz jednocześnie zdradzające niepokój. Lice księdza przeobraziło się. Prawie namiętny ascetyzm jego lica rozpromieniło wejrzenie słodkie i czułe.

— Bu-Bu mnie potrzebuje — rzekł, otwierając drzwi i przepuszczając przed sobą Domini.

Psina, biała w żółte plamy, bardzo czysta i starannie utrzy-

---

*) Święty Bruno każe uczniom
Wyrzec dobra się ziemskiego,
By dostąpić niebieskiego.

mana, siedziała na stopniach w oczekującej postawie. Jak tylko ksiądz się ukazał, poczęła gwałtownie kłębić drobne swe ciało i tarzać się u nóg jego, zwijając się rączo w półkola. Schylił się ku niej i poklepał.

— To mój mały towarzysz, proszę pani — rzekł. — Nie był wczoraj, ponieważ był w kąpiołce.

Zatem uchylił kapelusza i skierował się ku domowi, poprzedzany przez Bu-Bu, który odrazu przybrał wyraz świadomego majestatu, jak ktoś, co już od urodzenia jest powołany do prezydowania na uroczystościach wybitnych osób.

Domini stała przez chwilę pod drzewami palmowemi, patrząc ku nim. Oczy jej ciągle błyszczały.

— Pani jest katoliczką? — zapytał Batucz, patrząc na nią badawczo.

Domini skinęła głową. Nie miała ochoty wdawać się w tej chwili w dyskusje nad religją z marnym poetą arabskim.

— Prowadź mnie na rynek — rzekła, pomna tajemnego postanowienia pozbycia się go, jak będzie można najprędzej.

Przeszli przez ogrody.

Dzień był niebiański. Zdało się, że wszystka czystość, wszystko nieskrępowane światło świata obrało sobie siedzibę w Beni-Mora. Gorąco nie było jeszcze nieznośne, bowiem siła tężna słońca była wyzuta jeszcze z grozy i możliwej brutalności przez jasną powiewną suchość i świeżość podmuchów. Domini stąpała rześko. Zdało się, że ciału jej naraz ubyło wiele lat, tak była pełna sprężystości i siły promiennej.

— Pani jest bardzo silna. Pani chodzi, jak Beduin.

Głos Batucza był na serjo zdziwiony. Domini roześmiała się głośno.

— W Anglji jest dużo silnych kobiet. Lecz ja chcę zdobyć jeszcze więcej siły. Stanę się wtedy prawdziwą Arabką. Powietrze to dodaje mi życia.

Przyszli właśnie nad drogę, gdy rozległ się tętent kopyt, i Spahi na białym, ślicznym koniu przegalopował w szalonym pędzie, trzymając uzdę nad czerwonym łękiem siodła i patrząc w słońce. Domini patrzała nań z krytycznym podziwem.

— Macie tu dobre konie — rzekła, gdy Spahi zniknął z oczu.

— Pani umie jeździć konno?

Domini znów się roześmiała.

— Jeżdżę od dzieciństwa.

— Pani może tu kupić ślicznego konia za szesnaście funtów — powiadomił ją Batucz.

— Znajdź mi dobrego konia, konia z ogniem, a nabędę go — rzekła Domini. — Pojadę daleko w pustynię, daleko od świata całego.

— Pani nie pojedzie sama.

— Dlaczego?

— W pustyni są rozbójnicy.

— O! wezmę rewolwer — rzekła Domini niedbale — ale pojadę sama.

Byli już teraz blisko rynku, i szmer głosów dobiegał do nich, z nawoływaniami nosowemi, z wzywaniami proszących żebraków i z dzikim rykiem osłów. Na końcu małej uliczki, dokąd przyszli, Domini ujrzała otwartą wielką przestrzeń, pośrodku której stał szereg kolumn, nakrytych śpiczastym dachem. Dokoła tego przybytku były arkady z mrowiącym się tłumem Arabów, a pod środkowym dachem rój postaci wchodził i wychodził, jak muchy, snujące się na kawale strawy, porzuconym w miejscu słonecznem.

— Jakie mnóstwo narodu! Czy wszystko to — mieszkańcy Beni-Mora? — zapytała.

— Nie! Przychodzą tu ze wszystkich stron pustyni, by kupować i sprzedawać. Lecz ci, którzy sprzedają, w przeważnej ilości są Mozabitami.

Małe dzieciaki w jasno-barwnych łachmanach okrążyły, tańcząc Domini, trzymając do góry miedzianobarwne rączyny i wrzeszcząc piskliwie: „'Msee, M'dame! 'Msee, 'M'dame!“ Zdeformowany kaleka, który wyglądał, jak ślimak rozkręcający się, pełzał dokoła jej stóp, patrząc na nią wzrokiem strasznym, zezowatym i głosem rozkazującym porykując jakieś zaklęcia arabskie, w których słowa „Allah-el-Akbar“ ciągle powracały. Wielki murzyn z długim czubem włosów, zwieszającym się z głowy ogolonej, chodził krok w krok za nią, przewracając wyłupiastemi oczyma, w których dwa żółte promyki czyhały, i starając się zwrócić na siebie uwagę, chociaż sam nie wiedział — czem. Ze wszech stron dorodni mężczyźni z nagiemi rękoma i nogami, w powiewnych, białych szatach, zbliżali się ku niej zwolna, patrząc bacznie swemi błyszczącemi oczyma, których wyraz zdawał się

raczej oznajmiać pełne godności uznanie, niźli zwykłą ciekawość. Nozdrza Domini napełniły się całą mieszaniną zapachów, które szły od ludzi, ubranych w szaty wełniane, od owoców, rozłożonych w plecionych kobiałkach, od bukietów z pąków różanych, szczelnie otulonych zielonemi liśćmi, od pęków płonących kadzideł, od surowej strawy, od ambry i silnych perfum w szklanych flakonach, ozdobionych złotem, olejku różanego, kwiatu pomarańczowego, geranjum i bzu białego. W błyszczącem świetle słonecznem dźwięki, zapachy i ruchy mieszały się i były prawie boleśnie żywe, pełne myśli i uduchowienia.

Gdy tak wolno odbywała wędrówkę pośród tego tłumu, a Batucz torował jej drogę grą sprawną swoich silnych ramion i mocnych rąk, dziwiła się, jak bardzo czuje się swojsko pośród tego dzikiego i wyglądającego na nieoświecony — narodu. Nie miała uczucia odrazy z ich zbliżenia, ani wrażenia osobistego niesmaku z zetknięcia się z nimi. Gdy oczy jej napotkały wypadkiem które z oczu dokoła — badawczych i śmiałych, skłonna była do uśmiechu przychylnego, jakby poznając tych synów słońca, którzy zdali się jej nie być obcymi, pomimo języka nieznanego, który dziko się miotał w ich gardłach. Niemniej atoli nie pragnęła obecnie pozostawać zbyt długo pośród nich. Zakreśliła sobie otrzymanie ogólnego i zlekka pełnego pierwszego wrażenia z Beni-Mora, a iżby to się spełniło, wiedziała, że musi uchronić się od ściślejszego zbliżenia do nich. Chciała objęcia z lotu ptaka: wyżyny, czujności i trochę samotności. Tak tedy nie zwracała uwagi na wołania poważnych kupców mozambickich, a i bezustanne gadanie powiadamiającego Batucza prześlizgiwało się koło jej nie słyszących uszu.

— Nie chcę tu pozostawać — rzekła do niego. — Chcę tylko kupić trochę perfum. Gdzie je tu mogę dostać?

Smukły młodzian, który czuwał tuż obok nad tacą drewnianą, przeciągnął, ująwszy w delikatne palce długą buteleczkę, zapieczętowaną i opatrzoną małą etykietą, lecz Batucz odsunął jego rękę.

— Po perfumy musimy pójść do Ahmeda, pod arkady.

Przeszli słońcem zalaną przestrzeń i stanęli przed ciemną izbą, wnurzoną nieco niżej poziomu uliczki w zapadłym kątku. Cienie tu się zgromadziły, a w ich zmroku surowym Domini ujrzała zgiętą białą postać, wspartą o mur poczerniały, i usłyszała głos

stary, szemrzący, jak brzmienie pszczoły nasenne. Handlarz perfum był wgrążony w Koran, tyłem do rzeszy kupującej. Batucz już chciał krzyknąć na niego, gdy Domini powstrzymała go szybkim gestem. Pierwszy raz bowiem tajemnica, która skręca się, jak wielki, czarny wąż, w świecącem sercu Wschodu, tknęła ją i przykuła, tajemnica, w której gnuśność i dewocja mieszały się ze sobą. Biała postać kołysała się wtył i naprzód, ponury głos brzęczący śląc zarazem, i znowu zdało jej się, że słyszy odległy zew fanatyczny, szmer fatalizmu, który przeniknąć pragnęła.

— Ahmeda!

Batucz zawołał. Głos jego padł, jak kamień z procy. Kupiec odwrócił się zwolna, bez pośpiechu, ukazując swe orle lice, poorane zmarszczkami, okępione białemi włosami, roziskrzone oczyma, które błyszczały z okrutną wyrazistością wzroku jastrzębia. Po krótkiej wymianie słów po arabsku powstał ze swego siedzenia i podszedł ku przodowi izby, gdzie była mała lada. Uśmiechał się teraz z wdziękiem, który był niemal niewieści.

— Jakich perfum pani sobie życzy? — zapytał po francusku.

Domini patrzała na niego, jak na głęboką tajemnicę, lecz z otwartością badawczą, która jej była właściwą, z beztrwożnością tak bezwzględną, iż wielu wprowadzała w zakłopotanie.

— Proszę, daj mi pan coś wschodniego — nie fiołki i nie bez.

— Ambra — rzekł Batucz.

Kupiec, wciąż uśmiechając się, sięgnął do półki, ukazując ramię, jak gałąź bronzową, i wziął stamtąd szklaną butlę, okrytą czerwonemi i zielonemi znakami. Wyjął z niej korek, kazał Domini zdjąć rękawiczkę, dotknął jej obnażonej dłoni korkiem, zatem wielkim palcem swej ręki wytwornie roztarł kroplę perfumy, która została na jej skórze, aż póki się nieco nie zaczerwieniła.

— Teraz proszę powąchać — polecił.

Domini spełniła polecenie. Perfumy pachniały trochę lekarstwem, lecz woń ich napełniła mózg Domini widmami egzotycznemi. Zamknęła oczy. Tak, był w nich dech Afryki. O! jak daleka była od swego dawnego życia i dni swych pustych. Dywan czarodziejski istotnie poniósł ją — i oto jest teraz w dziwnym kraju, gdzie wszystko ma do poznania.

— Proszę dać mi trochę tych perfum — rzekła.

Kupiec nalał ambry do flakonu, w którym zalśniły one, jak

nitka w szkle, zważył ją na szalkach i podał cenę. Batucz począł się odrazu sprzeczać gwałtownie, lecz Domini powstrzymała go.

— Zapłać mu — rzekła, dając Batuczowi sakiewkę.

Handlarz perfum wziął z godnością monetę, odwrócił się, opuścił się znowu na swe siedzenie przy murze poczerniałym, podniósł księgę o wielkich kartach, która leżała na podłodze. I znowu się zakołysał wtył i naprzód, rytmicznie i sprawnie. I znowu głos pszczoły nasenny zabrzęczał w cieniu. Hołdownik i prorok stał przed tronem Allaha.

A kobieta została odsunięta daleko, jak każda kobieta — śród białoobleczonych mężów Afryki.

— Teraz, Batucz, zaniesiesz perfumy do hotelu, a ja pójdę do ogrodu.

— Sama? Pani nie trafi.

— Zapytam o drogę.

— Niepodobna! Będę towarzyszył pani do bramy. Tam będę na panią oczekiwał. Książę pan nie pozwala Arabom wchodzić z cudzoziemcami.

— Bardzo dobrze — rzekła Domini.

Handlarz perfum sprowadził na nią sny. Nie była obecnie skorą do towarzystwa i chciała pozostać sama w ogrodzie. I gdy tak szli ku niemu w słońcu, przez wąskie drogi, na których leniwi Arabowie leżeli ze szczęśliwą bezcelowością, Batucz mówił jej o księciu Anteonim, właścicielu tego ogrodu.

Oczywiście, książę był wielką osobistością w Beni-Mora. Batucz mówił o nim z szacunkiem i przeświadczeniem, opisując go, jako bajecznie bogatego, bajecznie szlachetnego względem Arabów.

— Nie daje nic nigdy Francuzom, proszę pani, ale podczas jego tu pobytu, w każdy piątek na sabat nasz przychodzi do bramy z workiem pieniędzy w ręku i każdemu Arabowi, który tam jest, daje po pięć franków.

— Któż on jest? Francuz?

— Włoch, proszę pani; ale on ciągle podróżuje i wszędy, gdzie jest, zakłada ogrody. W samej Afryce ma ich trzy, a w jednym z nich trzyma wiele lwów. Gdy podróżuje, ma z sobą sześciu Arabów. Kocha tylko Arabów.

Domini począł interesować ów dziwny hodowca ogrodów, który pielgrzymował po całym świecie, jak hrabia Monte-Christo.

— Czy jest on młody? — zapytała.

— Nie.

— Żonaty?

— Skąd znowu! Zawsze samotny. Czasami zjeżdża tu i bawi ze trzy miesiące, lecz nikt go nigdy nie widział poza bramami ogrodu. A czasami lata całe niemasz go w Beni-Mora. Lecz teraz bawi tu. Dwudziestu Arabów pracuje zawsze w ogrodzie, a nocą czuwa dziesięciu Arabów ze strzelbami, jedni w namiotach i pod dachem, drudzy pośród drzew.

— Czyż tam niebezpiecznie w nocy?

— Ogród dotyka pustyni, a ci, co w pustyni są bez oręża, są — jako ptacy w powietrzu bez skrzydeł.

Wyszli teraz poza siedziby ludzkie na szeroki i daleki gościniec, do którego z lewej dotykała gleba, która była pod uprawą, drzewa owocowe, a dalej olbrzymie palmy, zpośród trzonów których widać było kamieniste przestrzenie pustyni i wierzchołki szaroniebieskich, różem zabarwionych gór. Z prawej był cienisty ogród z fontannami i kamiennemi ławkami, a poza nim stał olbrzymi biały pałac w stylu maurytańskim, z dachami w kształcie tarasów i z wysoką wieżą, okraszoną zielonemi i pawiowo-niebieskiemi dachówkami. W przestrzeni, pomiędzy licznemi palmami, widać było sporo niskich, nędznych lepianek brunatnego koloru. Droga, jak daleko wzrok sięgał, szła prosto wdał poprzez olbrzymie aleje palmowe, których pierzaste wierzchołki kołysały się wdzięcznie w łagodnym wietrzyku, który wiał od pustyni. Na wszystkiem były potoki złota i błękitu. Promienność ślepiąca czyniła wszystko miłem i szczęsnem.

— Jakie prześliczne światło! — nie mogła się powstrzymać Domini od okrzyku, patrząc wzdłuż drogi aż do punktu, gdzie białość jej ginęła w oceanie ruchomym drzew.

Batucz przytwierdził bez zachwytu.

— Kiedy wrócimy z ogrodu, zwiedzimy wieżę — rzekł, wskazując na pałac maurytański. — Jest to hotel, lecz jeszcze nie otwarty, ale ja znam odźwiernego. Z wieży pani zobaczy wszystko, co jest w Beni-Mora. A oto i wioska murzyńska.

Szli zwolna zapyloną drogą tej wioski. Z obu stron jej, tam, gdzie niskie brunatne chaty gliniane rzucały cień, wielu włościan, ubranych w szaty z jaskrawej wełny, drzemało lub rozmawiało leniwie. Dziewczątka w krzyczących barwach pomarańczowych, z tatuowanemi czołami, obwieszone skórzanemi amuletami, bie-

gały tam i zpowrotem, goniły się z wrzaskiem i głośnym chichotem. Nagie dzieciatki, których golone głowy dawały muchom schron ciepły, patrzały na Domini z jasną pustką wyrazu. Na krańcu drogi nieosłonięte kobiety przekomarzały się ze sobą, mieląc zboże w żarnach pierwotnych lub zwijając wełnę na drewniane motki. Głowy ich były osnute warkoczami sztucznemi, sporządzonemi z wełny, w których tkwiły srebrne ozdoby cudaczne, a czarne ich szyje i ręce dźwięczały łańcuchami i manelami, wysadzanemi kawałkami czerwonego koralu i wielkiemi ciemnemi kamieniami, niebieskiemi i zielonemi. Niektóre z nich wołały czelnie na Batucza, a on im odpowiadał z niefrasobliwą bezczelnością. Drzwi palmowe jednej z chat były otwarte, i Domini zajrzała do wewnątrz. Ujrzała tam ciemną przestrzeń z podłogą i ścianami z gliny, pułap z drzewa palmowego i chróstu, niski tapczan z gliny bez dery, bez wszelkiego okrycia.

— Czyż oni nie mają sprzętów? — zapytała Domini.

— Nie mają. Poco im to? Cały dzień mieszkają na słońcu, a na noc tylko idą tam spać. Czy pani weźmie mnie z sobą do Londynu, kiedy będzie wracała? — rzekł naraz chytrze i całkiem niespodzianie.

— Nie wracam do Londynu przez bardzo długi czas — odrzekła mu ze stanowczością.

— Pani zabawi tu wiele tygodni?

— Może nawet — miesięcy. A może nawet pojadę dalej w pustynię. Tak jest, muszę to zrobić.

— Idąc białą drogą w pustyni, wciąż naprzód i naprzód, przez wiele dni, doszlibyśmy wreszcie do Tombuktu — rzekł Batucz. — Lecz bardzo prawdopodobne, że bylibyśmy zabici w drodze przez Tuaregów. Jest to szczep dziki i nienawidzący cudzoziemców.

— Czyżbyś się bał iść tam? — spytała go Domini ciekawie.

— Czegożbym się miał bać?

— Żeby cię nie zabito.

Spojrzał na nią łagodnie zdziwiony.

— Dlaczegóż miałbym się obawiać śmierci? Wszyscy musimy przejść przez te wrota. Dziś, czy jutro — czy to nie wszystko jedno?

— Więc tedy nie boisz się śmierci?

— Oczywiście, że nie. A pani boi się?

Spojrzał na Domini z prawdziwem zdumieniem.

— Nie wiem — odrzekła.

— A oto i willa Anteoni.

Batucz wzniósł rękę i wskazał. Skręcili wbok z traktu do Tombuktu, pozostawili za sobą wioskę i wyszli na wąski szlak, który szedł równolegle z pustynią. Drzewa palmowe szemrały z prawej strony, młode zboże falowało, wąskie brózdy ziemne świeciły płytką wodą. Z drugiej atoli strony drogi była jałowość bez kresu; szeroki, kamienisty rozłóg wielkiego łożyska rzeki, Ued-Beni-Mora, dalej niski grunt skalisty — a dalej niezmierzone przestwory powietrzne, rozwite wdal — w obszary świecące słońca. W pewnej odległości wznosił się oślepiający biały mur nad pustynią, w miejscu bez cienia, i Domini ujrzała wąski o dwu skrzydłach biały dom z płaskim dachem i niewielu strzelnicami zamiast okien. Jedno skrzydło wychodziło na wyschnięte łożysko rzeki, drugie, pod prostym do niego kątem, biegło ku gęstwinie palm i kończyło się arkadą z sześciu łuków maurytańskich, przez które przezierał mocny błękit bezchmurnego nieba, tworząc efekt iście teatralny. Za tem widać było całe masy drzew, które wyglądały prawie czarno na tle mocnego, oślepiającego blasku ściany, willi i arkad, i mocnego szafiru ponad tem.

— Jaki dziwny dom! — rzekła Domini. — Nie ma wcale okien.

— Okna są z drugiej strony i wychodzą na ogród.

Willa odrazu przykuła wzrok Domini. Biała maurytańska arkada, obrzeżająca nagi, drżący błękit, błękit najgłębszego rdzenia nieba, mocny, jak wielki okrzyk niezaćmiony, była piękna, jak arkada mieszkania dobrych duchów w zaklętym świecie czarów. Tajemnica spoczęła na tem mieszkaniu, tajemnica światła, nie mroków, sekret płomienny i rzeczy ukryte o treści złotej.

Batucz zastukał białym młotkiem i począł kręcić papierosa.

— Poczekam tu na panią.

Domini skinęła głową. Drewniana zasuwa usunęła się łagodnie, i Domini wyszła do ogrodu. Przed nią stał młody, zgrabny Arab w blado-zielonych szatach; skłonił się jej z szacunkiem i zamknął drzwi z wielkim wdziękiem.

— Czy mogę przejść się trochę po ogrodzie? — spytała Domini.

Nie spojrzała dokoła, bowiem twarz Araba zainteresowała ją,

a nawet zachwyciła. Była to twarz arystokratyczna, czarująco niefrasobliwa, jak twarz szczęśliwego upojeńca wschodniego. Wielkie błyszczące oczy były łagodne, jak oczy gazeli, i bezmyślne, jak oczy sennego dziecka. W jednem ręku trzymał wielką czerwoną różę, w drugiem napół wypalonego papierosa.

Domini nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, mówiąc do niego; on nawzajem uśmiechał się zadowolony, odpowiadając niskim, równym głosem.

— Może pani iść, gdzie tylko sobie życzy. Czy mam pani wskazywać drogę?

Wzniósł rękę i wąchał spokojnie czerwoną różę, z oczyma w nią utkwionemi. Pragnienie samotności opuściło Domini. Był on prawdziwie dobrym duchem tego ogrodu, a towarzystwo jego mogło dodać tylko uroków tajemniczości.

— Czy nie musisz pozostać przy bramie? — spytała.

— Nikt nie przyjdzie. Niemasz nikogo teraz w Beni-Mora. Zresztą Hassan zostaje.

Czerwoną swoją różą wskazał mały namiot, który stał blisko bramy pod drzewem pieprzowem. Tam Domini zobaczyła smagłego chłopca, skurczonego, jak pies, i uśpionego głęboko. Poczęła czuć, jak pod wpływem haszyszu. Zdało jej się, że świat ten do snu jest stworzony.

— Dziękuję ci tedy.

I teraz po raz pierwszy spojrzała dokoła, by przekonać się, czy Batucz mówił prawdę. Europejskie ogrody czy ustąpią przed temi wschodniemi, czy uchylą czoła ze swemi wszystkiemi krasami?

Stała na większej przestrzeni świeżo zgracowanego gładkiego piasku, idącego w łagodnym spadku ku olbrzymiemu szpalerowi z żywopłotu, starannie strzyżonego, który występował ku górze, formując dach i rzucając miły cień na piasek. W odstępach pod szpalerem stały białe ławki. Z prawej była willa. Teraz dopiero spostrzegła, że była ona prawie mała. Miała dwa rzędy okien, na parterze i na piętrze. Niższe wychodziły na piasek, górne na werendę z białą poręczą, która prowadziła ku zewnętrznym białym schodom, pobudowanym nad łukami arkady. Willa była wytwornie prosta, w tej atoli orgji złota i błękitu biała jej, jak ze słoniowej kości, struktura, umieszczona na tym lśnią-

cym piasku, którego gorąco czuło się pod stopami, wydała się Domini czarodziejską.

— To są pokoje sypialne — rzekł sennie Arab, stąpając obok.

— Tylko sypialne? — zapytała zdziwiona.

— Inne pokoje, salon pana hrabiego, jadalnia, palarnia, łazienka maurytańska i pokój małego pieska, kuchnia i pokoje dla służby są w innej części ogrodu. Oto jest jadalnia.

Wskazał różą na duży, biały budynek, którego oślepiające ściany przeświecały tu i owdzie skroś gęstwinę drzew z lewej strony, gdzie mała piaszczysta ścieżka wiła się w labiryncie cieni, centkowana złotem.

— Chodźmy tą ścieżką — rzekła Domini prawie szeptem.

Czar miejscowości spadł na nią. Był to prawdziwie świat snów, niebo, gdzie słońce szło spocząć i zasnąć pomiędzy drzewami.

— Jak ci na imię? — dodała.

— Smain — odrzekł Arab. — Urodziłem się w tym ogrodzie. Ojciec mój, Mohammed, służył u pana hrabiego.

Z poza szpaleru żywopłotu dochodził plusk wody ukrytej kaskady, a gdy pozostawili za sobą blask słońca nieuśmierzony, szmer stał się głośniejszy. Zdawało się, że zieleń żywa, śród której stąpali, była dźwięcznym odzewem tego słodkiego głosu. Mała ścieżka wiła się wciąż wśród dwu wartkich strumyków wody, która spływała bez przerwy pod szerokiemi żółto brzeżonemi liśćmi palm karłowatych, tworząc muzykę tak słodką, iż była ona raczej wspomnieniem dźwięku w duszy, który kiedyś obił się o nasze uszy. Z obu stron piętrzył się las drzew, sprowadzonych tu do pustyni ze wszystkich stron świata.

Wiele z nich nie znała Domini, rozróżniła jednak wiele gatunków palm, akacyj, fikusów, figowych drzew, kasztanów, topoli, drzew oliwkowych, pieprzowych, laurów białych, drzew kauczukowych, kokosowych, bananowych, bambusów, yuccas, wiele drzew mimoz i mnogość olbrzymich drzew eukaliptusowych. Gąszcze purpury geranjum płonęły w mroku. Hibiskusy wznosiły sennie swe delikatne różowe kielichy i czerwono-złote pomarańcze błyskały pomiędzy liśćmi, które wyglądały, jak wyczyszczone przez jakąś staranną czarodziejkę.

Gdy tak dalej zagłębiała się w ustronia ogrodu, szmer fontann zamierał. Ptaki nie śpiewały. Domini pomyślała, iż być może

nie śmieją tu śpiewać, by nie zbudzić słońca z jego snów złotych; potem atoli, gdy lepiej poznała ogród, często słyszała ich szczebioty, pełne poddańczej, szczęsnej tęsknoty, jakby łączące się w nokturn jakiś na skraju snu. Pod drzewami piasek był żółty — od cienia, tak rozkosznie pięknego, że zapragnęła dotykać go bosą stopą, jak Smain. Tu i owdzie wznosił się on w symetrycznych małych piramidach, które wieściły o nieobecnych ogrodnikach, teraz być może napawających się siestą.

Nigdy dotąd tak w pełni nie rozumiała czaru zieleni, tak całkiem nie uprzytomniła sobie, jak szczęsny dział zawisł nad tym dniem Stworzenia, gdy tak szczodrze została ona na świat powołaną. Teraz, gdy szła tak tajemnie po żółtym piasku śród stożków, za rozwiewającą się szatą zieloną Smaina, duszę i oczy napawała sennie tą mieszaniną bez liku cieni o barwach uroczych: zieleni szorstkiej, ostrej liści geranjum, srebrnej — oliwek, czarnej — odległych palm, od których słońce było zdala, zwiędlej — eukaliptusów, sutej szmaragdowej zieleni drzew morwowych i żyznej kasztanów. Był to cały chór barw w jednej barwie, niby chór chłopięcy o głosach wezbranych, śpiewających słońcu.

Złoto chwiało się wszędy, w drganiach tworząc rysunki czarodziejskie, ruchome, żywe wzory piękna płonącego. W dole wąskich, ogałęzionych ścieżek, które wiodły do wnętrza tajemnicy, światło lało się w różnych kierunkach, przezierając przez rozdzielone liście roślin, ślizgając się po gładkich skrajach gałęzi palmowych, drżąc powietrznie tam, gdzie papyrus schylał swą głowę starożytną, tańcząc śród wielkich sztywnych łodyg traw, które pękami tu i owdzie strzelały, sennie zostając na śniących magnoljach, obleżonych przez pszczoły ociężałe. Wszystka zieleń i wszystko złoto Stworzenia zeszły się tu razem w tem głębokiem ustroniu, by dać świadectwo zgodności zupełnej ziemi i słońca.

I oto, przywykła już do ciszy przejmującej, Domini usłyszała dźwięki drobne, które ją łamały. Szły one od drzew i od roślin. Powiewy wciąż były czynne, wspierając słodkie zamierzenia Przyrody, odrywając liście od łodyg i ścieląc je na piasku, strącając jagody ze swego miejsca i rzucając je pod stopy Domini, pozwalając zwiędłym liściom geranjum porzucać swych bardziej żywotnych towarzyszów i skazywać się na los, skąd

już nie mogły czuć razem z pięknem. Jakże czułe było tknięcie śmierci na tym żółtym piasku! Wzniecało ono treść przejmującej tajemnicy i czyniło Domini bardziej świadomą życia, drgającego w ogrodzie.

— A tu jest pokój małego psa — rzekł Smain.

Wyszli teraz na małą, otwartą przestrzeń, nad którą przewodziło wielkie drzewo kokosowe. Niżej — żywopłot biegł dokoła dwu czworoboków trawy, ocienionej przez ciężkie palmy daktylowe z żółtemi owocami, a pod kilku pochyłemi drzewami morwowemi Domini ujrzała małą, białą izbę z dwoma szklanemi oknami u spodu. Podeszła bliżej i zajrzała, uśmiechając się.

Tu, w prawdziwym *salonie*, ze złoconemi sprzętami, z okrągłemi politurowanemi stołami, spłowiałemi dywanami i lśniącemi lustrami, siedział purpurowy z porcelany chińskiej pies, z ogonem, zakręconym wtył, groźnie patrzący w przestrzeń. Wyraz jego i postawa były autokratyczne i stanowcze, zdradzające naturę tyrańską — tak, iż Domini patrzała na niego z przezornością, zachowując się bardzo cicho, by czasami nie spostrzegł jej obecności lub jej nie odczuł.

— Pan hrabia zapłacił dużo za tego psa — powiadomił zcicha Smain. — O, to pies cenny.

— Od jak dawna jest on tutaj?

— Od wielu lat. Był już tu, kiedym się urodził, a ja już od tej pory ożeniłem się dwa razy i rozwiodłem się dwa razy.

Domini odwróciła się od okna i spojrzała na Smaina ze zdumieniem. On wąchał różę, jak senne dziecię.

— Dwa razy się rozwiodłeś?

— Tak jest. Teraz pokażę pani palarnię.

Poszli inną z niezliczonych ścieżek ogrodu. Ta była bardzo wąska i nie tak sklepiona drzewami, jak te, które dotychczas przechodzili. Z obu stron pochylały się wielkie krzaki, i drobne ich liście, prawie schodząc się, w promiennych strzałach słońca przekształcały się w języki bladego ognia, drżące, prawie przeźroczyste. Gdy Domini ocierała się o nie, nie mogła się oprzeć złudzeniu, że ją oparzą. Motyl bronzowy przemigotał pomiędzy niemi i zniknął gdzieś w złotym śnie.

— Och, Smainie! Jak ty musisz kochać ten ogród — rzekła.

Zbudził się w niej rodzaj uniesienia. Rajskie powietrze, pieszczące ciepło, cisza czarująca, senność tego miejsca tknęły jej

duszę i ciało, jak dłoń świętego — z mocą błogosławieństw, spływającą ku niej.

— Mogłabym tu żyć wiecznie — dodała — bez chęci wyjrzenia na świat Boży.

Smain uśmiechnął się sennie, zadowolony.

— Doszliśmy teraz do środka ogrodu — rzekł, gdy przechodzili przez most palmowy, pod którym płynął strumień pod liśćmi czerwonemi geranjum.

Języki ogniste pozostały wtyle. Ciemna zieleń otoczyła ich dokoła, i piasek u stóp ich był, jak wybielony. Treść tajemnicy wzmagała się, bowiem drzewa w tem miejscu były olbrzymie i rosły bardzo gęsto. Na ziemi leżały igły jodłowe, a nad ich głowami wysoko u wierzchołków drzew raptownie zrywał się wiatr.

— To jest część ogrodu, którą najbardziej lubi pan hrabia — rzekl Smain. — Przychodzi on tu codziennie.

— Co to takiego? — rzekła Domini, raptownie zatrzymując się na bladym piasku.

Cienki dźwięk oddalony doleciał do nich z dołu alei, czysty i kruchy, jak głos ptaka nocnego.

— To Larbi gra na flecie. On jest zakochany. Oto dlaczego gra, zamiast polewać kwiaty i gracować ścieżki.

Daleka pieśń miłości fletowa była dla Domini, jak ostatnie dotknięcie czarów, czyniące z miejsca tego istotnie jakiś zaklęty kraj cudów. Nie śmiała się teraz poruszyć i przeciągnęła rękę, by zatrzymać kroki Smaina, który rad był całkiem z czekania. Nigdy dotychczas nie słyszała muzyki, którąby w niej tyle wzbudzała i tyle dawała treści, co ta afrykańska melodja, wygrywana przez zakochanego ogrodnika. Z całą swą nieokrzesanością i dziwacznością, rozciągana w ozdobach, zawodząca raptownemi spadkami, z wyszukanemi niepotrzebnie wdzięcznemi nutami i niespodziewanemi trelami, ciągnącemi się aż do jakiejś ulotnej wieczności, sfruwającej, by spłoszyć czas, spadła na wyobraźnię Domini i rzuciła czar na jej władze. Dźwięczała bowiem tak naiwnie szczerze, jak śpiew ptaka, i — jakgdyby to serce, z którego ulatywała, było sercem dziecka, miejscem zjawienia, nie zachowywania. Słońce czyniło tu z człowieka istotę niefrasobliwą. Otwierał on okna swe oścież na nie, i każdy mógł widzieć cieple, rozpalone jego ściany. Domini spojrzała na wytwor-

nego młodziana arabskiego obok siebie, który już dwa razy był żonaty i dwa razy rozwiedziony. Przysłuchiwała się tej bez końca pieśni miłosnej Larbi'ego. I mówiła do siebie: — Naród ten, czy jest on oświecony, czy nie — żyje przynajmniej, ja zasię byłam martwa przez całe życie, martwa życiem. — To było straszną możliwością. Dowiedziała się o tem, gdy uczuła przeogromny, przewładny czar Afryki, spływający na nią i osnuwający ją spokojnie, lecz nieodparcie. Sen tego ogrodu był nagły, nadto z ruchem ulotnym i dziwacznym rzeczywistości. Był to poszmer wielu drobnych i odległych głosów, jak głosy drobnych bez liku rzeczy, następujących w czynności bez spoczynku, w lesie głębokim. Gdy stała tu tak, ostatnie ziarenko kurzu europejskiego spadło z duszy Domini. Jakże głęboko była w nim pogrzebana, i przez jak wiele długich lat!

Aktem człowieka największym jest akt wyrzeczenia. Tylko co była słyszała te słowa. Oczy księdza błyszczały, kiedy mówił te słowa: pochwyciła iskrę jego porywu. Lecz teraz jakgdyby inny ogień zapalał się w niej i czuła się zdziwiona tą odmiennością. Nie byłoż to aby fanatycznem wyzwaniem, rzuconem w twarz słońca? Stroniła od własnej myśli, jak ktoś strwożony, i stąpała łagodnie w ciemnościach zielonych.

Flet Larbi'ego stawał się bardziej wyraźnym. Wciąż powtarzała się ta sama dziwna, drobna melodja, zmieniając tylko ozdoby względnie do wyobraźni grającego. Patrzała, by go dojrzeć skroś drzewa, lecz nie dojrzała. Musiał być gdzieś ukryty. Smain dotknął jej ramienia.

— Proszę patrzeć! — rzekł, a głos jego był cichy.

Rozsunął gałęzie kilku palm delikatnemi rękoma, i Domini, zaglądając przez nie, ujrzała w miejscu, gdzie cień był głęboki, ustronną czworoboczną izbę, której białe ściany były prawie całkiem okryte mnogością purpurowego kwiecia. Dach był płaski. Z trzech jego stron — duże łukowe otwory bez okien. Z czwartej — wąski otwór bez drwi. Olbrzymie drzewa figowe, palmy i gąszcz bambusów piętrzyły się dokoła i pochylały się nad nią. Wąska wstęga pięknie wygracowanego piasku biegła dookoła tego.

— To jest palarnia pana hrabiego — rzekł Smain. — Spędza on tu wiele godzin. Proszę, pokażę pani wnętrze tej siedziby.

Skręcili na lewo i podeszli ku izbie. Flet był teraz tuż blisko koło nich.

— Tam musi być Larbi — rzekła szeptem Domini do Smaina, jakby mówiła szeptem w kościele.

— O, nie! On jest dalej — pomiędzy drzewami.

— Lecz tam jest ktoś.

Wskazała na łukową przestrzeń okna, która była najbliższą. Cienka wijąca się smużka błękitno-szarego dymu przesnuła się przez okna i ulotniła się w cieniach drzew. Za chwilę wypłynęła druga, sprawnie i zarządnie.

— To nie Larbi. Onby tam nie poszedł. To musi być —

Zatrzymał się. Dorodny, średnich lat mężczyzna stanął w otworze drzwi małego pokoju i patrzał na ogród jasnemi oczyma.

VI.

Domini cofnęła się i spojrzała na Smaina. Nie było w jej zwyczaju — czuć się natrętną, i nagłe to zjawisko wprawiło ją w zakłopotanie.

— To jest pan hrabia — rzekł Smain spokojnie i całkiem głośno.

Mężczyzna we drzwiach zdjął z głowy miękki kapelusz, jakgdyby słowa te były wymianą znajomości pomiędzy nim i Domini.

— Pani przyszła zobaczyć tutaj moją małą izbę — rzekł po francusku. — Będę bardzo szczęśliwy, jeżeli będę mógł pokazać ją pani.

Dźwięk jego głosu był ostry i surowy, mimo to był to głos bardzo interesujący a nawet niewolący i szczególnie pełen — jak to pomyślała Domini — wartkiego życia, chociaż nie energji. Sposób zachowania jego usunął odrazu zakłopotanie Domini. Pomiędzy ludźmi z tego samego środowiska społecznego jest zawsze pobratymstwo swobody. Ze sposobu, w jaki hrabia obnażył głowę i przemówił do niej, poznała odrazu, że wszystko jest w porządku.

— Dziękuję panu — odrzekła. — Powiedziano mi u bramy, że pan pozwala podróżującym zwiedzać swój ogród.

— Naturalnie.

Rzekł kilka słów płynną arabszczyzną do Smaina; ów zwrócił się wtył i zniknął pomiędzy drzewami.

— Mam nadzieję, że pani pozwoli mi towarzyszyć sobie przez resztę ogrodu — rzekł, zwracając się znowu do Domini. — Będę bardzo szczęśliwy.

— Wielka to uprzejmość z pańskiej strony.

Sposób, w jaki zmiana towarzysza została zarządzona, miał cechy zwykłej, uprzejmej grzeczności, która do niczego nie zobowiązywała i niczego wzamian nie żądała.

— To moje małe ustronie — ciągnął dalej hrabia Anteoni, stając obok u drzwi wejściowych, by Domini mogła przejść do wewnątrz.

Domini głęboko odetchnęła, znalazłszy się wewnątrz pokoju.

Podłoga była z miałkiego piasku, mocno i gładko ubita, zasłana wschodniemi dywanami o barwach miękkich i spłowiałych, ciemno-zielonych, zwiędło-różowych, szaro-niebieskich i mglisto-żółtych. Dokoła białych ścian biegły szerokie kanapy, równie białe, okryte dywanami modlitewnemi z Bagdadu i wielkiemi poduszkami, pracowicie haftowanemi ciemno-złotemi i srebrnemi nićmi, z wzorami ibisów i flamingów w locie. W czterech rogach pokoju stały cztery małe stoliki do palenia z surowego drzewa palmowego, a na nich bronzowe popielnice, zielone bronzowe lampki do zapalania papierosów i porcelanowe wazony ze smokami chińskiemi, pełne aksamitnych róż czerwonych, gardenij i pąków kwiecia pomarańczowego. Skórzane stołeczki, pokryte wyszyciami tuniskiemi, stały obok. Z łuków otworów okiennych zwieszały się stare miedziane maurytańskie lampy z wprawionemi drobnemi kawałkami ciemno barwionego szkła, jakie się spotykają w szacownych oknach kościelnych. W okrągłej miedzianej kadzielnicy, ustawionej w jednym z otworów okien, płonęły wciąż drobne gałązki, śląc wgórę cienkie i kręte smużki wonnego dymu. Poprzez otwory łukowe i wąską przestrzeń drzwi gęste ściany listowia stały widomie na straży tego powietrznego schroniska, a gorące kwiaty purpurowe rzucały chmurę barwną skroś ten gaj cienisty.

I wciąż flet Larbi'ego słał słodką, czystą, fantastyczną muzykę z jakiegoś ukrytego miejsca obok.

Domini spojrzała na gospodarza, który stał u drzwi, opierając się ręką o ścianę białą, jak słoniowa kość.

— Drugi dzień jestem dopiero w Afryce — rzekła poprostu. — Może sobie pan wyobrazić, co myślę o pańskim ogrodzie i co w nim czuję. Nie potrzebuję mówić tego. Jestem atoli pewna, iż podróżni, których pan tak łaskawie wpuszcza, muszą mu dawać się we znaki swemi wtargnieniami.

— Nie — rzekł z dalszą powagą, która oprócz tego wzbudzała uprzejmość — gdyż prawie zawsze wyjeżdżam, zanim podróżni tu przybędą. To brzmi trochę ostro? Ależ pani nie jest w tym sezonie, żeby to mogło pani dotyczyć.

— Przyjechałam tu dla spokoju — rzekła szczerze Domini.
Rzekła to, gdyż czuła, że jej towarzysz już jakby to rozumiał. Hrabia Anteoni cofnął rękę z białej ściany i przyciągnął zlekka ku sobie gałąź purpurowego kwiecia poprzez otwór drzwi.
— Tu jest spokój w Beni-Mora, lub przynajmniej to, co zwą spokojem — odrzekł raczej wolno i z zamyśleniem. — Tu — by tak rzec — dzień całkiem podobny do dnia, noc do nocy, jak krople wody. Słońce bez przerwy świeci nad pustynią, a pustynia zawsze sprowadza pokój.
Puścił kwiaty, które lekko odskoczyły wtył i zwisły, drżąc w przestrzeni za jego smukłą postacią. I dodał:
— Więcej nad to nie można powiedzieć.
— Nie można?
Domini siadła na chwilę. Spojrzała na niego swemi otwartemi oczyma i na kwiaty. Dźwięk fletu Larbi'ego wciąż drgał w jej uszach.
— Czy nie można czuć, myśleć nieco więcej? — spytała.
— O, dlaczegożby nie? Jeżeli kto potrafi, jeżeli kto musi... Lecz jak? Afryka — proszę pamiętać — jest tak dzika i pełna wyrazu, jak piec ognisty.
— Tak jest, wiem już o tem — odrzekła.
Słowa jego wyraziły jej to, co czuła tu, w Beni-Mora, skrycie, a już tak przemocnie. On jej to rzekł, i ostatniej nocy obój afrykański powiedział jej to samo. Pokój i płomię. Czyż mogą istnieć razem, skrewnione, ożenione?
— Afryka zda mi się godzić sprzeczności — dodała, uśmiechając się nieco i dotykając śnieżnej ściany swą prawą ręką. — Lecz to mój drugi tu dzień.
— Mój był, gdym był chłopcem szesnastoletnim.
— Ogród ten był już tu wtedy?
— Nie. Ja go stworzyłem. Przybyłem tu z matką. Matka mnie pieściła. Pozwoliła mi mieć zachcianki.
— Ogród ten — to zachcianka chłopięca pańska?
— Był nią. Teraz jest mężczyzny —
Zdawał się zawahać.
— Rajem — poddała Domini.
— Myślę, że miałem rzec: schroniskiem.
W surowym, ostrym jego głosie nie było goryczy, chociaż słowa na pewno nasuwały gorycz. Schron od ran, od trwogi, od

rozczarowań, od skazania. Może przypomniał to sobie, gdyż dodał raczej prędko:

— Przyjeżdżam tu, pani, by być szalonym, gdyż przyjeżdżam tu myśleć. To jest moje osobliwe miejsce do myślenia.

— Jakie to dziwne! — zawołała Domini odruchowo, pochylając się na kanapie.

— A tem jest?

— Chcę powiedzieć, że Beni-Mora już wydało mi się idealnem miejscem do tego.

— By myśleć?

— By znaleźć prawdę w sobie.

Hrabia Anteoni spojrzał na nią prędko i badawczo. Oczy jego były niewielkie, lecz były jasne, nic przytem nie miały z tęskności, tak często spotykanej w oczach jego rodaków. Twarz jego była wyrazista raczej przez swoją ruchomość, niż przez kontury. Rysy były drobne i subtelne, nie dostojne, lecz niemylnie arystokratyczne. Nos był wrażliwy, z szerokiemi nozdrzami. Długi i prosty wąs, zrzadka siwiejący, nie zakrywał całkiem ust, których wargi były niezwykle blade. Uszy przystawały płasko do głowy i były pięknie wykrojone. Broda była śpiczasta. Wyraz ogólny całej twarzy był natężony, krytyczny, świadomy, lecz w kierunku raczej nieufnym, niż trwożnym.

— Wysyłając ją naprzód, jako Izmaela, by radził sobie w pustyni — rzekł.

Dziwna ta uwaga dźwięczała — nie jak twierdzenie i nie jak pytanie, lecz poprostu, jak raptowny okrzyk myśli w ruchu.

— Czy pozwoli mi pani przeprowadzić się przez resztę ogrodu? — dodał głosem, już bardziej towarzyskim.

— Dziękuję panu — odrzekła Domini, która już wstała pod wpływem badawczego wzroku, jakim ją obrzucił.

Nie było w tem nic do odczucia, i nic też właściwie nie odczuła, jedynie uprzytomniła sobie, że byli zupełnie obcy dla siebie.

Kiedy wyszli na wstęgę bladą piasku, który okalał mały domek, Domini rzekła:

— Jak dzika i niezwykła jest ta melodja!

— Larbi'ego. Przypuszczam, że tak, choć wszystkie afrykańskie melodje nie budzą we mnie podziwu. Urodziłem się w majątku mego ojca, koło Tunisu. Był on Sycylijczykiem, lecz każdej

Domini

zimy przyjeżdżał do północnej Afryki. Słyszałem zawsze tam-tamy i fujarki — i znam prawie wszystkie pieśni, śpiewane przez nomadów w pustyni.

— To jest pieśń miłości, nieprawdaż?

— Tak jest. Larbi jest wciąż zakochany, tak mi tu mówią. Każda nowa tancerka chwyta go w swoje sidła. Szczęśliwy Larbi!

— Czy dlatego, że tak łatwo się zakochuje?

— Może dlatego, że tak łatwo się odkochuje. Niech pani spojrzy na niego!

W niewielkiej odległości, pod olbrzymiem drzewem bananowem, do połowy ukryty w stosach szkarłatnych geranjów, Domini ujrzała dużego i bardzo szpetnego Araba, z cerą prawie czarną, kiwającego się na piętach, z długim żółtym i czerwonym fletem u swych grubych warg.

— A ja mu cały okrągły rok płacę jedynie za to! — rzekł hrabia.

Szorstki głos jego dźwięczał uprzejmie i uciesznie. Poszli dalej, i flet Larbiego począł stopniowo zamierać.

— Nie mogę się pomimo to gniewać na szaleństwa i wady Arabów — ciągnął dalej hrabia. — Lubię ich — jakimi są; gnuśnych do absurdu, kochliwych, skorych do krwi rozlewu, wesołych, jak dzieci, kapryśnych, jak — otóż, pani, gdybym mówił do mężczyzny, mógłbym śmiało powiedzieć: jak piękne kobiety.

— Czemużby nie?

— A więc tak. Chwalę w nich ten zakorzeniony wstręt do cywilizacji. Lecz lubię ich, gdy pięć razy dziennie, jak to im nakazano, odmawiają swe modlitwy — i żaden Arab, który, wbrew przykazaniu proroka, bierze wódkę do ust, nie ma wstępu do mego ogrodu.

W głosie jego, gdy mówił ostatnie słowa, zadźwięczała nuta surowa, nuta samowładcy. Podobało się to jednak Domini. Człowiek ten miał zasady, zasady surowe. To było widoczne. Było w nim coś dziwnie nie zdawkowego, coś, co znajdowało w niej odpowiednik. Był on najzupełniej grzeczny, lecz przytem całkowicie pewny siebie, całkowicie nie dbający o zdanie. Był on mężczyzną w wysokim stopniu swego gatunku.

— Jednak to bardzo zabawne — dodał po długiej pauzie

— być otoczonym przez całkiem bezmyślnych ludzi, którzy mają twarze, najbardziej pełne myśli, i najbardziej pełne tajemnicy oczy: studnie bez prawdy na dnie.

Zaśmiał się.

— Nikt tu chyba prócz pana nie myśli!

— Zachowuję całe to szaleństwo dla siebie. Czyż nie ogromne jest to drzewo kokosowe?

Wskazał na drzewo tak wielkie, że zdało się sięgać do nieba.

— Tak jest, istotnie. Jak to, które stoi ponad psem purpurowym.

— Widziała pani mego bałwanka?

— Smain mi go pokazywał — z szacunkiem.

— O, jest on tu królem prawdziwym. Arabowie oświadczają, że podczas nocy w pełni słyszą go, jak głos swój dołącza do chóru psów kabylskich.

— I pan mówi prawie — jakgdyby w to wierzył.

— Słusznie. Tutaj się wierzy w znacznie więcej rzeczy, niż gdzie indziej. Dlatego też tu przyjeżdżam.

— Rozumiem to — już sama mam tu więcej wiary.

— Jakto? Już czuje pani czar Beni-Mora, czar pustyni? O, tak! Tutaj są czary — i dlatego nigdy tu długo nie pozostaję.

— Z obawy przed czem?

Hrabia Anteoni szedł swobodnie przy jej boku. Miał on chód od bioder, jak wielu Sycylijczyków, zlekka kołyszący się, jakgdyby chciał wciąż być świadom giętkości swego ciała. Gdy Domini mówiła, zatrzymywał się. Byli teraz na placyku, gdzie łączyły się cztery ścieżki i widać było cztery perspektywy złota i zieleni, magicznego blasku słońca i cienia.

— Czy ja wiem, pani!... By nie być poniesionym — Bóg wie gdzie — w myśli czy w sercu. O, tu niebezpiecznie w Beni-Mora, tu niebezpiecznie, pani. To powietrze prażące jest pełne wpływów, pełne duchów pustyni.

Spojrzał na nią w sposób, jakiego nie mogła zrozumieć, lecz nastręczyło jej to myśli o handlarzu perfum w małej ciemnej izbie, o wrażeniu raptownem, jakie miała, iż tajemnica, jak wąż czarny, skręca się w tem sercu świecącem Wschodu.

— A teraz, pani, jaką ścieżką pójdziemy? Jedna prowadzi do mojej bawialni, druga — na prawo — do kąpieli maurytańskich.

— A ta?

— Ta idzie prosto wdół do muru, który wychodzi na Saharę.

— Więc pójdziemy tą, jeśli łaska.

— Duchy pustyni wołają już panią? Ale ma pani rację. To, co czyni godnem uwagi ten ogród, to raczej nie jego urządzenie, ilość i rozmaitość drzew, lecz ta oczywistość, że leży on tuż o miedzę z Saharą — jak myśli człowieka o prawdzie leżą o miedzę z prawdą.

Naraz skręcił bieg myśli i surowy głos jego zadźwięczał nieco zgrzytliwie.

— Nie wierzę zresztą, by między niemi była taka różnica, jak między ogrodem i pustynią.

Spojrzała mu w oczy.

— To wygląda nazbyt na ironję.

— Lecz nie jest nią — rzekł hrabia.

— Czy pan to odkrył w swym ogrodzie?

— To nowina dla pani?

Po raz pierwszy w głosie jego ozwał się dźwięk nikły goryczy.

— Odkrywa się często rzeczy najsmutniejsze w najbardziej kochanem miejscu — dodał. — Tu już pani widzi pustynię.

Daleko, w małym wylocie tunelu drzew, wzdłuż którego szli, ukazał się jaskrawy kawałek dzikiego i drżącego blasku słonecznego.

— Widzę tylko słońce — rzekła Domini.

— Ja wiem tak dobrze, co ona ukrywa, iż wyobrażam sobie, że rzeczywiście widzę pustynię. Każdy lubi swój rodzaj, ten, który wciąż mu kłamie! Czyż nie tak?

— Wyobraźnia? Ale może nie zgodzę się na to, że jest ona kłamczynią.

— Kto wie! Może ma pani rację.

Spojrzał na nią przychylnie swemi jasnemi oczyma. Nie raziło go to, że rozmowa ich była ciekawie poufna — biorąc pod uwagę, że byli sobie obcy, że nawet nie znał jej imienia. Domini naraz przyszło na myśl: ile on może mieć lat. Spojrzenie to robiło go znacznie starszym, niż wydawał się przedtem. W oczach jego był wyraz, jaki się często spotyka w oczach, które patrzą na dzieci, całujące lalki z głębokiem i przeświad-

czonem uczuciem. Zdały się mówić: „Całuj swą laleczkę. Odrzuć lata, kiedy już wierzyć nie można, że lalka ci zwróci pocałunki.“

— Teraz już zaczynam widzieć pustynię — rzekła Domini po chwili milczącego spaceru. — Ach! jakże cudowna!

— Tak jest, cudowna. Najcudowniejsza rzecz w przyrodzie. Będzie ją pani uważała jeszcze za cudowniejszą, kiedy sobie pani będzie wyobrażała, że ją zna dobrze.

— Kiedy będę wyobrażała?

— Nie sądzę, by mógł kto prawdziwie znać pustynię. Jest ona czemś, co wciąż woła i nigdy nie daje przystąpić do się blisko.

— Lecz tedy może ją kto czasami znienawidzieć.

— Nie sądzę, by tak było. Prawda czyni to samo, wie pani o tem. A ludzie wciąż starają się zbliżyć do niej.

— Lecz czasami to się im udaje.

— Czyż tak? Nie wtedy wszakże, kiedy mieszkają w ogrodach.

Roześmiał się po raz pierwszy, odkąd byli ze sobą, i całe jego lice pokryło się siecią drobnych, ruchomych zmarszczek.

— Nie powinno się tedy mieszkać w ogrodzie, pani.

— Chciałabym wierzyć w pańskie słowa, lecz zadanie to będzie trudne.

— Czyż tak? Trudniejsze jeszcze, być może, gdy pani dowie się, co leży obok z memi myślami o prawdzie.

Gdy mówił to, wyszli z tunelu i zostali pochwyceni dziką dłonią słońca. Było pół do dwunastej, i światło było oślepiające. Domini otworzyła gwałtownie parasolkę, jak osoba rażona. Wstrzymała krok.

— Ależ to przerażające! — zawołała.

Hrabia Anteoni roześmiał się znowu i nasunął na oczy rondo swego szarego kapelusza. Ręka, którą to czynił, była spalona prawie tak samo, jak u Araba.

— Boi się pani tego?

— Nie, nie! Lecz to mnie przeraziło. My w Europie właściwie nie znamy słońca.

— Tak jest. Nawet we Włoszech południowych, nawet w Sycylji nie znamy go. Latem jest ono tam dotkliwe, lecz zdaje się być dalszem. Tu ono spływa zażyłością, najbardziej natężoną. Jeżeli pani to zniesie, może usiądziemy tu na chwilę.

— Owszem.

Wzdłuż całego rogu ogrodu, od willi aż do skraju posiadłości hrabiego Anteoni'ego, biegł prosty, wysoki mur, pobudowany z cegły, w słońcu stwardniałej, i zakończony u góry barjerą z drzewa palmowego, biało malowanego. Mur ten był osiem stóp wysoki od strony przyległej do pustyni, lecz ogród wznosił się w ten sposób, że strona wewnętrzna stanowiła prawie niski murek, biegnący wzdłuż ścieżki piaszczystej. W murze tym były wycięte małe siedzenia, w rodzaju framug, w których można było pozostać i w pełni patrzeć na pustynię, jak z małych fortów. Domini siadła na jednem z nich, a hrabia stanął obok, stawiając nogę na wierzchołku muru i prawą ręką wspierając się o kolano.

— Oto jest świat, na który patrzę ze swego ukrycia — rzekł. — Rozległy świat, nieprawdaż?

Domini skinęła głową bez słowa.

Tuż pod nimi, w wąskim cieniu od muru, szła droga kamienista, która u końca ogrodu skręcała na prawo do oazy. Za nią ciągnęło się obszerne łożysko rzeki, chaos gorącej kotliny, obrzeżonej postrzępionemi skałami niskiego gruntu, tu i owdzie usłanej małemi kałużami błyszczącej wody. Skały te były żółte. Od ich skraju rozciągała się pustynia, jak wieczność rozciągająca się od skrajów czasu. Jedynie z lewej strony bezmierny rozłóg spotykał na drodze długie pasmo gór, które biegło na pewnej przestrzeni śmiało i urywało się raptownie, zatrzymane, pokonane przez równię nakazującą. U stóp gór były niskie, podobne do namiotów, barwy cynamonowej, falistości, które przypomniały Domini te, które się tworzą przy wstrząsaniu prześcieradeł — coraz mniejsze — aż wreszcie w równię spływały. Wierzchołki najbardziej odległych gór, które odchylały się, jakby w obawie pustyni, były ciemne i mgliście purpurowe. Boki ich były o tej porze barwy szarej żelaza, z plamami we wgłębieniach blado-liljowemi i różowemi, które zaczerwieniały się w miarę, jak słońce zachodziło.

Domini zaledwie ku nim spojrzała. Dotychczas myślała zawsze, że lubiła góry. Pustynia naraz uczyniła je nieznaczącemi i prawie pospolitemi dla niej. Zwróciła wszystek swój wzrok na płaskie obszary. W nich spoczął cały majestat, siła, tajemnica, wszystkie rzeczy głębokie i znaczące. Pośrodku łożyska rzeki i prawie blisko

wznosiła się okrągła i przysadzista wieża z małą kopułą. Za nią, na małej skale, była grupa palm, gdzie mała oaza dawała schronienie kilku chatkom krajowców. Na niezmierzonej przestrzeni, tu i owdzie, inne oazy wyglądały, jak ciemne plamy na morzu w miejscach, gdzie są ukryte rafy. I dalej wciąż, ze wszech stron, pustynia zdała się lekko pochylać, jak płytka, winem zabarwiona czasza, ku mglistej błękitnej linji horyzontu, który podobny był do widzianego nikle, tajemniczego morza zwrotnikowego, tak odległego, że szept jego stłumiony ginął w objęciach ciszy wszechwładnącej.

Drogą pod murem szedł Arab. Nie widział ich. Biały pies kudłaty biegł za nim. Arab przyśpiewywał sobie głosem niskim. Przeszedł i skręcił ku rzece, wciąż śpiewając i wolno idąc.

— Czy pani wie, co on śpiewa? — zapytał hrabia.

Domini odpowiedziała przecząco ruchem głowy. Natężyła słuch, by słyszeć, jak można najdłużej, melodję.

— To pieśń pustyni Murzynów wyzwolonych z Tuggurtu. — „Nikt, prócz Boga i mnie, nie wie, co w sercu mojem!"

Domini zniżyła parasolkę, by ochronić twarz. W odległości wciąż jeszcze słychać było pieśń, zamierała już jednak.

— Co mnie tu spotka! — pomyślała.

Hrabia Anteoni patrzał teraz zdala od niej na przestrzał pustyni. W Domini powstała dziwna pobudka. Nie mogła się jej oprzeć. Opuściła parasolkę, oddając siebie na pastwę oślepiającego blasku słońca, uklękła na gorącym piasku, oparła ręce na białej barjerze, brodę swą wsparła na odwróconych dłoniach i tak patrzała na pustynię, zuchwale i dziko.

— „Nikt, prócz Boga i mnie, nie wie, co w sercu mojem" — myślała. — Lecz to nie jest słusznem, nie jest słusznem. Bo i ja nie wiem!

Ostatnie echo pieśni arabskiej rozwiało się w palącem powietrzu. Napewno, skręciwszy w cień palm, śpiewa obecnie: „Nikt, prócz Boga, nie wie, co w sercu mojem." Tak, tak śpiewa obecnie. „Nikt — prócz Boga, nikt — prócz Boga."

Hrabia Anteoni spojrzał na nią zgóry. Nie mogła była tego widzieć. Przez chwilę trzymał na niej swój wzrok — potem go znowu zwrócił na pustynię.

Stopniowo, patrząc tak, Domini oswajała się z wielu rzeczami, dającemi znaki życia, i z wielu żywotami w tym strasznym

przestworze, który na pierwszy rzut oka zdawał się być wyzutym ze wszystkiego — prócz słońca i tajemnicy. Dostrzegła niskie namioty rozbite, dalekie słupy wznoszącego się dymu. Ujrzała ptaka, szybującego poprzez błękit i znikającego w stronie gór. Pośród małych zwałów ziemi, zwieńczonych trawą zakurzoną i krzakami karłowatemi tamarysków, poczęła dostrzegać czarne kształty. Obaczyła, że się poruszają, jak przedmioty we śnie, zwolna — skroś złoto drgające. To były pasące się wielbłądy, strzeżone przez nomadów, których nie można było dojrzeć.

Prawie blisko, w łożysku rzeki ujrzała Araba, jadącego konno ku pustyni na wspaniałym karym rumaku. Jechał wgórę częścią stromą ścieżki i wyjechał na płaski grunt wierzchołka skały. Wtedy puścił konia wcwał, uniósł cugle ręką i pięty swe wbił w boki zwierzęcia. I każdy z ruchów konia był niezwykle zajmujący i trzymał uwagę patrzącego na uwięzi, jakgdyby losy świata stały się zależne od tego, dokąd on został posłany i jak prędko dotrze do celu. Sznur wielbłądów, objuczonych balami drzewa, ciągnął ku niemu na drodze — i to spotkanie w wyobraźni Domini urosło prawie do jakichś strasznych możliwości. Posłała znów swój wzrok dalej, ku czarnym kształtom, poruszającym się ukradkowo śród małych wzgórków, ku wstęgom wznoszącego się dymu w drżącem powietrzu. Kto strzegł te wielbłądy? Kto zapalił te ognie odległe? Kto czuwał przy nich? Zdało się dla niej rzeczą wagi życiowej, by mogła to wiedzieć.

Hrabia Anteoni wyjął zegarek i spojrzał na niego.

— Patrzę, czy bliska już godzina modlitwy — rzekł. — Gdy jestem w Beni-Mora, zazwyczaj przychodzę tu wtedy.

— Pan zwraca się do pustyni, jak wierny zwraca się do Mekki.

— Tak jest. Lubię patrzeć, jak modlą się ludzie w pustyni.

Mówił obojętnie, lecz Domini uczuła naraz, jako rzecz pewną, że były w nim głębie wyobraźni, czułości, a może i mistycyzmu.

— Ateista w pustyni jest czemś nie do pomyślenia — dodał. — W kościołach katedralnych jest ich prawdopodobnie wielu — i czują się tam nawet, jak w domu. Widziałem kościoły, w których mogłem wierzyć, iż jestem jednym z nich, ale... jak wiele istot ludzkich może pani dojrzeć w tej chwili w pustyni?

Domini, wciąż z brodą wspartą na dłoniach, zbadała wzrokiem obszar ślepiący.

— Widzę pięć osób — odrzekła.
— Ach! Nie obyta pani jeszcze z pustynią.
— Jest ich więcej?
— Ja mogę naliczyć w tej chwili dwanaście. Którzy są pani?
— Ludzie z wielbłądami i ludzie pod wieżą.
— Jest jeszcze czterech, grających w kamienie w cieniu skały, która naprzeciw nas. Jeden śpi pod skałą czerwoną, gdzie drogi zstępują do pustyni. A tu dwóch — na samym skraju małej oazy — Filiasz, jak ją zwą tutaj. Jeden stoi pod palmą, a jeden chodzi tam i zpowrotem.
— Ma pan wspaniały wzrok.
— Zaprawiony w pustyni. Lecz prawdopodobnie jest tu jeszcze wielu Arabów, których nie mogę dojrzeć okiem.
— O! Teraz widzę człowieka na skraju oazy. Jak niezgrabnie porusza się on. Chodzi tam i zpowrotem, jak marynarz na pokładzie okrętu.
— Tak jest, to ciekawe. A ten jest w całem olśnieniu słońca, musi to być Arab.
Z kieszonki od kamizelki wyjął srebrną gwizdawkę, przyłożył do ust i gwizdnął. Za chwilę przybył Smain, biegnąc lekko po piasku. Hrabia Anteoni rzekł coś do niego po arabsku. Smain zniknął i śpiesznie powrócił z polową lornetką. Przez ten czas Domini obserwowała w milczeniu dwie postaci na wzgórku, które były podobne do lalek. Jedna z nich stała pod wielką osamotnioną palmą, całkiem spokojnie, jak to zwykli nieraz czynić Arabowie. Druga, niedaleko od pierwszej, cała w słońcu, chodziła tam i zpowrotem, wymierzając wciąż tę samą przestrzeń pustyni, pomiędzy dwoma stałemi punktami, stanowiącemi jakby granicę. Chodził tam ktoś, jak zamknięty śród murów, chociaż dokoła była przestrzeń bezmierna. Robiło to na Domini wrażenie szczególnie nieprzyjemne. Jak to już przedtem zauważyła, wszystkie rzeczy w pustyni nabierały wagi prawie trwożącej — nadto ruch ten szczególny zdał się pełen jakiegoś niezwykłego i nawet strasznego przeznaczenia. Obserwowała go oczyma wytężonemi.
Hrabia Anteoni wziął szkła od Smaina i patrzał przez nie, przystosowując je starannie do wzroku.
— *Ecco* — rzekł. — W porządku. Człowiek ten nie jest Arabem.

Odjął szkła i spojrzał na Domini.

— Pani nie jest tu jedyną podróżniczką.

Znowu spojrzał przez szkła.

— Wiem o tem — rzekła.

— Czyż tak?

— Jest jeszcze jeden podróżny w hotelu, w którym mieszkam.

— Możliwe, że to on. Robi on na mnie wrażenie tygrysa w klatce, który tak długo był w niewoli, że nawet wypuszczony wyobraża wciąż sobie zapory dokoła. Jak on wyglądał?

Przez cały czas, gdy mówił, patrzał usilnie przez szkła. Gdy Domini nic nie odrzekła, odjął je od oczu i spojrzał na nią pytająco.

— Staram się myśleć, jak on wyglądał — rzekła powoli. — Lecz czuję, że nie mogę. Jest on całkiem niepodobny do zwykłych ludzi.

— Może pani zechce zobaczyć, czy go nie pozna? To są szkła prawdziwie cudowne.

Domini wzięła je z rąk jego z pewną powagą.

— Niech pani kręci je, dopóki nie będą całkiem doprawione do oczu.

W pierwszej chwili nie mogła nic dojrzeć prócz żółtych ogni. W miarę, jak obracała śrubę, pustynia stawała przed nią zadziwiająco wyraźnie. Kamienie nadrzeczne były olbrzymie. Mogła widzieć żyły kolorowe na nich, jaszczurkę, przebiegającą po jednym z nich i znikającą w ciemnej szczelinie, za tem białą wieżę i Arabów pod nią. Jeden był stary, ziewający, drugi był chłopięciem. Widziała, jak pocierał koniec swego bronzowego nosa, dostrzegła czerwone zabarwienie na jego paznokciach. Uniosła szkła wolno i z przezornością. Wieża znowu odbiegła. Doszła do niskiego wzgórka, do brunatnych chatek i do palm, minęła je kolejno i dosięgła ostatniej, która stała oddzielnie od swych towarzyszek. Stał pod nią duży Arab w białej szacie, wyglądającej, jak nocna koszula.

— Wygląda, jakby miał jedno oko — wykrzyknęła Domini.

— Palmowy człowiek — tak!

Znowu ostrożnie przeniosła z niego oczy, utrzymując szkła na poziomie.

— Ach! — rzekła, wstrzymując oddech.

Gdy to mówiła, cienki krzyk nosowy z oddali przeszył powietrze, ciągnąc się w długiem wołaniu.

— To Mueddin — rzekł hrabia Anteoni.

I niskim głosem powtórzył słowa anioła do Proroka: „Ty, któryś jest odziany, powstań... i uwielbiaj Pana; i oczyść swe szaty i stroń od nieczystości.“

Wołanie zamarło woddali —, i trzy razy zostało powtórzone. Starzec i chłopię pod wieżą zwrócili twarze ku Mecce, upadli na kolana i pochylili głowy swe na gorące kamienie. Duży Arab pod palmą również szybko przypadł do ziemi. Domini trzymała szkła przy oczach. Przez nie, jak w jakiemś widzeniu przesadnem, bardzo, bardzo daleko, chociaż z wyrazistością natężoną, ujrzała owego podróżnego, z którym jechała razem w pociągu. Chodził wciąż, tam i zpowrotem, po spalonym gruncie, aż póki czwarte wołanie mueddina nie zamarło w przestrzeni. Wtedy, gdy zbliżył się właśnie do palmy osamotnionej i zobaczył, że Arab pod nią pada na ziemię i długie swe ciało zgina w modlitwie, zatrzymał się naraz i patrzał jakby w kontemplacji. Szkła były tak potężne, że można było widzieć wyraz twarzy nawet z tej odległości. Był to wyraz, jak można było wnosić, narazie głębokiej uwagi. Zmienił się atoli raptownie i, gdy zobaczył zginającą się postać, poszło za nim naprzód spojrzenie niepokoju, potem dzikiego niesmaku, wreszcie — najwidoczniej — grozy i przestrachu. Zwrócił się gwałtownie, jak człowiek pędzony, i ruszył wzdłuż skraju wzgórka krokiem przyśpieszonym i wciąż go jeszcze natężał, aż póki odejście to nie stało się ucieczką. Zniknął za skłonem ziemi, gdzie ścieżka wgrążała się w łożysku rzeki.

Domini położyła szkła na murze i spojrzała na hrabiego Anteoni'ego.

— Mówił pan, że w pustyni ateista jest rzeczą nie do pomyślenia.

— Czyż nieprawda?

— Czyż nie ma ateista nienawiści i strachu przed modlitwą?

— *Chi lo sa*! Djabeł stroni — to pewna — od krzyża wyniesionego.

— Wie bowiem, jak wielkiej prawdy był on symbolem.

— Bez wątpienia. Gdyby było inaczej, drwiłby, lecz nie stronił. Ale dlaczego pyta mnie pani o to?

— Widziałam właśnie człowieka, który uciekał na widok modlącego się.

— Pani towarzysz podróży?

— Tak jest. To było straszne.

Oddała mu szkła zpowrotem.

— Odkrywają one, co winno pozostać w ukryciu — rzekła.

Hrabia Anteoni wziął szkła z jej rąk powoli. Gdy się pochylił, żeby to uczynić, spojrzał na nią przenikliwie, a ona nie mogła odczytać, co oczy jego wyrażały.

— Pustynia jest pełna prawdy. Czy o tem pani myśli? — zapytał.

Nie odrzekła. Hrabia Anteoni wyciągnął rękę przed siebie w kierunku lśniącego obszaru.

— Człowiek, który się boi modlitwy, jest nierozsądny, kierując swe stopy pod drzewa palmowe — rzekł.

— Dlaczego nierozsądny?

Wtedy rzekł z wielką powagą.

— Arabowie mają przysłowie: Pustynia jest ogrodem Allaha.

Domini nie poszła tego ranka na wieżę hotelową. Na razie dostatecznie wzrok swój nasyciła i nie chciała mącić wrażeń nowemi nabytkami. Powróciła tedy wraz z Batuczem do hotelu Pustyni.

Hrabia Anteoni pożegnał ją u wrót ogrodu i prosił, by przychodziła, ile razy zapragnie, i by spędzała tu tyle czasu, ile się jej żywnie podoba.

— Skorzystam z pańskiego zaproszenia — rzekła otwarcie. — Czuję, że mogę.

Gdy podali sobie ręce, Domini dała mu swoją kartę. On też wyjął swoją.

— Co do tego dużego hotelu, kolo którego pani tu przechodziła, jest on moją własnością. Pobudowałem go, by uprzedzić bardziej ohydny, który tu mógłby być zbudowany, i wynająłem go właścicielowi hotelu. Może pani zechce zwiedzić wieżę hotelową. Widok na obszar słoneczny stamtąd jest nieporównany. Obecnie hotel jest zamknięty, lecz odźwierny pokaże pani wszystko, jeżeli pani przedstawi mu tę kartę.

Nakreślił parę słów po arabsku na karcie, od prawej strony ku lewej.

— Pan pisze również po arabsku? — rzekła Domini, obserwując z zaciekawieniem kształt pięknych zakrętasów.

— Tak jest. Jestem prawie w połowie Afrykaninem, chociaż mój ojciec był Sycylijczykiem, a matka rzymianką.

Wręczył jej kartę, zdjął kapelusz i skłonił się. Gdy wielkie białe wrota zostały za nią zamknięte łagodnie przez Smaina, uczuła się, jak wtóra Ewa, z raju wypędzona, bez Adama — towarzysza wygnania.

— A co? Pięknie, proszę pani? — rzekł Batucz. — Czy nie mówiłem prawdy?

— Tak jest. Żaden ogród w Europie nie dorównywa temu pięknością. Teraz pójdę wprost do domu.

Uśmiechnęła się do siebie, mówiąc ostatnie słowa.

Przy hotelu zastali Hadiego, patrzącego z wściekłością. Zamienił parę słów z Batuczem, podkreślając je gwałtownemi ruchami. Gdy skończył, plunął ze złością na ziemię.

— O czem to mówiliście? — spytała Domini.

— Ten pan, który tu stanął w hotelu, nie chciał go dzisiaj wziąć ze sobą, lecz poszedł sam w pustynię. Hadi życzy mu, żeby go nomadzi zamordowali i żeby szakale pożarły jego ciało. Hadi jest przekonany, że to człowiek zły i że źle skończy napewno.

— Dlatego, że nie wziął go dzisiaj za przewodnika! Lecz i ja też nie będę ciebie brała.

— Pani jest całkiem co innego. Jabym oddał życie za panią.

— Zanim to uczynisz, idź dzisiaj po południu i znajdź dla mnie konia. Nie chcę, by był spokojny, lecz by miał ogień, coś w tym rodzaju, jak konie, na których jeżdżą spahowie.

Duchy pustyni przemówiły do jej ciała zarówno, jak do duszy. Powstała w niej odwaga cielesna; rwała się, by dać jej folgę.

— Pani jest — jak lew. Pani się niczego nie boi!

— Mówisz, nie wiedząc, Batucz. Nie przychodź tedy dziś po południu, lecz przyprowadź mi razem konia, jeżeli go znajdziesz, jutro zrana.

— Dziś wieczorem będę.

— Nie, Batucz. Rzekłam: jutro zrana.

Mówiła spokojnie, lecz z postanowieniem niezłomnem, które mu kazało zamilknąć. Dała mu tedy dziesięć franków i weszła do ciemnego budynku, z którego palące południe było wyłączone. Postanowiła pozostać tu po śniadaniu, a pod zachód dopiero

pójść do dużego hotelu i wejść bez towarzysza na wierzchołek wieży.

Było pół do pierwszej i nikły brzęk noży i widelców z sali jadalnej powiadamiał ją, że śniadanie gotowe. Poszła na górę, umyła twarz i ręce w zimnej wodzie i gdy Zuzanna oczyściła z kurzu jej suknię, zeszła do sali ogólnej. Świeże powietrze wzbudziło w niej apetyt.

Sala jadalna była duża i cienista, zastawiona małemi stolikami; tylko przy trzech stolikach siedzieli spożywający. Czterech oficerów fracuskich siedziało razem przy jednym. Przy drugim siedział mały, tłusty, pocący się jegomość średnich lat, prawdopodobnie kupiec podróżujący, który miał oczy melancholijne, podobne do oczu ropuchy. Jadł on oliwki z trwożną gwałtownością, ocierając wciąż czoło brudną białą chusteczką. Przy trzecim stole siedział ksiądz, z którym Domini rozmawiała w kościele. Miał serwetę rozpostartą pod brodą i jadł zupę, pochylając się głęboko nad talerzem.

Młody Arab-kelner, z twarzą szczupłą i roztargnioną, stał wpobliżu drzwi w jasno-żółtych pantoflach. Gdy Domini weszła, pośpieszył sprawnie miękkim, posuwistym krokiem po wypolerowanej posadzce i wskazał jej stół. Ksiądz rzucił na nią wzrokiem z ponad serwety, powstał i skłonił się. Oficerowie francuscy patrzali na nią z zaciekawieniem: byli nadto rycerscy, by starali się to ukryć. Jedynie mały tłuściotch pozostał całkowicie obojętny. Otarł czoło, wbił zręcznie widelec w oliwkę i w dalszym ciągu patrzał, jak melancholijna ropucha, wpędzona przez losy do komercyjnych zabiegów.

Stolik Domini był przy oknie, które całe było zasłonięte zieloną wenecką okienicą. Stał on w znacznej odległości od innych gości, którzy nie mieszkali w hotelu, lecz przychodzili tu jedynie codziennie na jedzenie. Wpobliżu swego stolika spostrzegła stolik, nakryty na jedną osobę i tak zarządzony, że jeżeliby ktoś przyszedł tu na śniadanie, to siedziałby właśnie twarzą do niej. Była ciekawa, czy to jest nakrycie dla tego przyjezdnego, który uciekł od modlitwy w „Ogrodzie Allaha“. Gdy tak patrzała na puste krzesło, stojące wobec noży i widelców i białego obrusa, nie wiedziała dobrze, czy chciałaby, żeby było zajęte przez jej towarzysza podróży, czy nie. Czuła obecność jego w Beni-Mora, jak coś wojowniczego. To wiedziała. Wiedziała również, że przy-

była tu, by posiąść spokój, ciszę wielką i odosobnienie, w którenby mogła dźwignąć się nareszcie, rozwinąć, wyzwolić swoje *ja* prawdziwe z więzów krępujących, dojść do zrozumienia siebie, być w lico z sercem i z duszą, i — jak bądźby tam było — spojrzeć im w oczy i dowiedzieć się, poco one były, czy złe, czy dobre. W obecności całego tego nieznajomego było coś nieprzyjemnie mącącego, czego nie wiedziała i wiedzieć nie mogła, coś, co wzbudzało w niej wrogość i razem pociągało jej uwagę. Była tego świadomą w pociągu, świadomą w tunelu o zmroku, w nocy w hotelu, i znowu tam — w ogrodzie Anteoni'ego. Człowiek ten wkradał się — bez wątpienia, bezwiednie, lub nawet przeciw jej woli — do jej wzroku, do jej myśli, za każdym razem, kiedy już miała oddać się temu, co hrabia Anteoni nazywał „duchami pustyni". Tak było, kiedy pociąg wytoczył się z tunelu na krainę błękitną. Tak było znowu, gdy tam na białym murze patrzała zgóry na lśniące rozłogi słoneczne. Był on tam, jak wróg, jak coś postanowionego, samolubnego, co mówiło jej: „Chcesz patrzeć na ogromy pustyni, na niezmierzoności, nieskończoność i Boga! — Patrz na mnie." I nie mogła odwrócić oczu od niego. Każdej chwili, jakgdyby bez wysiłku, zdobywał nad nią wielką władzę z zapasów, utwierdzał siebie w jej myślach, zmuszał jej wyobraźnię do pracy nad jego życiem, powodował silniejsze bicie serca dla sprawy — czego? Byłoż to współczucie? Obawa? Wiedziała, że nazywanie tego uczucia jedynie odrazą nie byłoby słusznem. Natężenie i żywotność siły, zawartej w ludzkiej istocie, gniewały ją prawie w tej chwili, gdy patrzała na puste krzesło i ujawniła sobie, co raptownie spowodowało tę pracę jej ducha.

Domini poczęła czuć gniew. Lecz, że była zdolna do wysiłku, zarówno w kierunku cielesnym, jak i duchowym, rezolutnie otrząsnęła ze swej duszy obcego przeciwnika i myśli swe ofiarowała księdzu, którego wąskie plecy widziała w odległości pokoju. Jedząc rybę, myślała o jego spokojnem życiu w tej oddalonej miejscowości, o dniach słonecznych, następujących po sobie i tak podobnych do siebie, iż zdały się być braćmi, a życie — rodzajem snu, skroś który dźwięczał melodyjnie głos dzwonka kościelnego i kadzidło, wznoszące się przed ołtarzem, snuło zapachy nasenne. Jak dziwnym w istocie musi być żywot w Beni-Mora — mieć tu swój dom, swych przyjaciół, pracę, obowiązki

i ten drobny dział ziemi, gdzie spocznie wreszcie ciało utrudzone. Musi to być czemś jednostajnem i obcem, lecz razem niechybnie tak słodkiem, tak pewnem.

Oficerowie podnieśli głowy z nad talerzy, tłusty jegomość łysnął wzrokiem, ksiądz spojrzał spokojnie z nad swej serwety, a kelner-Arab posunął się naprzód z bacznym pośpiechem. Bowiem drzwi jadalni, w tej chwili pchnięte, otworzyły się, i podróżny — tak go Domini mianowała w swych myślach — wszedł i stanął, patrząc z wahaniem od stołu do stołu.

Domini nie spojrzała. Wiedziała, kto to był, i trzymała oczy utkwione w talerz. Słyszała głos Araba, głośne stąpanie ciężkich butów po drewnianej posadzce i szmer krzesła, przyjmującego rzetelnie zmęczone ciało. Podróżny siadł ciężko. Domini jadła wolno rybę. Gdy ją ukończyła, spojrzała wprost przed siebie na obrus i chciała ułożyć w szyk myśli z życia księżowskiego w Beni-Mora. Lecz nie mogła tego dokonać. Miała wrażenie, jakgdyby znów była w ogrodzie hrabiego Anteoni'ego. Patrzała znowu przez szkła i słyszała czterokrotny krzyk mueddina, obaczyła postaci, kroczące w słońcu palącem, Araba, chylącego się ku modlitwie, i tego, który patrzał na niego i zbiegł. I była zła na siebie za tę dziwną niemożność panowania nad swemi myślami. Zdało się jej to rzeczą upokarzającą, której powinna się była wstydzić.

Słyszała, jak kelner postawił półmisek na stole podróżnego, potem — szmer wody, nalewanej do szklanki. Nie mogła już dłużej utrzymać swych oczu spuszczonych. Zresztą, pocóżby? Beni-Mora wytworzyło w niej samopoczucie, czy odczucie nazbyt zaostrzone — które było w niej nienaturalnem. Nigdy w swem przeszłem życiu nie była tak wrażliwa, jak dziś: dzikie słońce afrykańskie, zdało się, stopiło w niej wszystką obojętność. Czuła teraz wszystko władzami zaostrzonemi — aż prawie nieprzyjemnie. Wszystkie zmysły były, jak na straży. Widziała, słyszała teraz, jak nigdy przedtem nie widziała i nie słyszała. Przypomniała sobie naraz swoją prawie gwałtowną modlitwę: „O, daj mi wskrzesnąć! O, daj mi czuć!" — i zrozumiała teraz, że modlitwa taka może mieć odpowiedź, która może być straszną.

Spojrzawszy tedy z rodzajem surowego zamiaru, ujrzała swego towarzysza podróży. Jadł i nie patrzał ku niej; wyobraziła sobie, iż oczy jego były utkwione w stół z takiem samem świadomem

postanowieniem, jak jej oczy przed chwilą. Miał na sobie to samo ubranie, które miał w wagonie, lecz teraz było ono zapylone kurzem pustyni. Nie mogła znaleźć dla niego „stanowiska“. Nie był on ze świata małego, tłustego tu gościa. Nie mógł mieć nic z nim wspólnego. Z oficerami francuskimi? Nie mogła sobie wyobrazić, jak mógłby do nich pasować. Jeden jeszcze człowiek w sali — służący wyszedł na chwilę — to był ksiądz. On i ksiądz byli na pewno przeciwnikami. Czyż nie odwrócił się w tunelu, by go uniknąć? Był on prawdopodobnie jednym z tych, którzy nienawidzą stanu kapłańskiego, dla których przekleństwem jest sutanna. Czy znalazłby miłe towarzystwo w osobie takiego człowieka, jakim był hrabia Anteoni, człowiek oryginalny, bez wątpienia, lecz razem kulturalny i łatwy człowiek światowy? Uśmiechnęła się wewnętrznie na samą tę myśl. Kimkolwiek miał być ów cudzoziemiec, czuła, iż był tak daleki od człowieka światowego, jak ona od szwaczki londyńskiej lub od okrytej zasłoną faworyty z haremu. Nie mogła, choć pragnęła, wyobrazić go sobie w gronie z żadnym rodzajem istot, do których była przywykła. Chociaż — nie ulegało wątpliwości — jako człowiek, musiał on mieć gdzieś przyjaciół, stosunki, może nawet żonę i dzieci.

Podróżny skończył rybę. Złożył swe duże opalone dłonie na stole z dwu stron talerza i patrzał na nie poważnie. Naraz zwrócił głowę i spojrzał z ubocza na księdza, który był poza nim z prawej strony. Potem znów patrzał na swe ręce. Domini zaś wiedziała, że przez cały ten czas myślał o niej, tak jak ona myślała o nim. Czuła gwałtowność jego myśli, jak gwałtowność ręki uderzającej.

Kelner-Arab przyniósł pieczeń baranią z groszkiem — i Domini jedząc znów patrzała w swój talerz.

Gdy wychodziła po śniadaniu z jadalni, ksiądz znowu powstał i skłonił się. Zatrzymała się na chwilę, żeby z nim pomówić. Wszyscy oficerowie francuscy obserwowali jej postać, prostą i wielką, jej ramiona atletyczne — z widocznym zachwytem. Domini wiedziała o tem i była na to całkiem obojętna. Gdyby nawet setnia żołnierzy francuskich patrzała na nią badawczo, nie troszczyłaby się o to zgoła. Nie była kobietą lękliwą i wcale się nie tropiła, gdy czyje oczy spoczęły na niej. Stała tedy i rozmawiała przez chwilę z księdzem o hrabim Anteonim i o urokach

jego ogrodu. I gdy to czyniła, czując całą swą spokojną władzę nad sobą, dziwiła się jednocześnie w głębi całkiem nienaturalnemu wzruszeniu — nazywała to tak, przesadzając swe uczucie, było ono bowiem niezwyczajnem — w którem pozostawała przez kilka minut, zanim siadła do stołu.

Ksiądz mówił pochlebnie o hrabim Anteonim.

— To człowiek szlachetny — rzekł.

Lecz zaraz się zatrzymał, zwijając serwetę, i dodał:

— Nigdy zresztą nie miałem z nim rzeczywistej rozmowy, proszę pani. Przypuszczam, że przyjeżdża tu, poszukując samotności. Spędza dnie, a nawet tygodnie sam jeden, zamknięty w swym ogrodzie.

— Na rozmyślaniach — rzekła Domini.

Ksiądz spojrzał lekko zdziwiony.

— Byłoby trudno nie myśleć, proszę pani, wszak prawda?

— Naturalnie. Lecz hrabia Anteoni, wyobrażam sobie, myśli raczej tak, jak Baszybuzuk się bije.

Usłyszała skrzypnięcie krzesła woddali i spojrzała przez ramię. To podróżny poruszył się na krześle. Pożegnała naraz księdza i wyszła z jadalni.

Przez całe popołudnie nie wychodziła z domu. Cisza była głęboka. Beni-Mora napawało się siestą w upale. Domini rozmyślała śród ciszy. Zmęczenie po podróży całkiem już ją opuściło i poczęła już czuć się, jak u siebie w domu. Zuzanna poustawiała fotografje, kwiaty w saloniku, porozkładała książki, poduszki tu i owdzie, rzuciła piękne okrycia na sofę i na dwa niskie krzesełka. Pokój przybrał odrazu wygląd utulności, żywej wymiany. Był to pokój, w którym można było przebywać bez niepokoju, i Domini podobała się jego prostota, jego naga posadzka drewniana i białe ściany. Słońce wyświetlało i czyniło tu wszystko dobrem. Bez słońca — ale czy mogła w Beni-Mora myśleć o czem bez słońca?

Czytała na werendzie i sennie myślała, podczas gdy godziny spływały szybko. Nikt nie przychodził, żeby ją niepokoić. Nie słychać było kroków stóp, ani poruszeń żywej duszy w całym domu. Tylko z ogrodu od czasu do czasu dolatywały do niej dźwięki, zmieszane ze szczególnie suchym szumem liści palmowych, które wietrzyk poruszał, lub tętent galopującego konia dobiegał do jej uszu. Zegar kościelny wydzwaniał godziny i obu-

dził w jej pamięci wieczór uprzedni. Zdał się on już być tak daleki w przeszłości. Zaledwie mogła wierzyć, że nie dłużej nad dwadzieścia cztery godziny jest dopiero w Beni-Mora. Miała to przeświadczenie, że już bawi tu bardzo dawno, że już z tem słonecznem miejscem pokoju zrosła się głęboko istotą. Zadźwięczał dzwonek kościelny i znowu pomyślała o wnętrzu kościółka i o jego księdzu z jakąś dziwnie swojską przyjemnością, z jaką lud w Anglji myśli często o wiejskim kościele, w którym przywykł się modlić, o swym proboszczu, który w nim celebruje każdą niedzielę. Chwilami także przypominała sobie pytanie wewnętrzne w ogrodzie Anteoni'ego: — „O, jaki los mnie tu spotka?“ I wtedy miała mglistą świadomość, że Beni-Mora było miejscem wielu rzeczy poza pokojem. Były w niem wpływy wrogie, wojujące. To raz kołysało ją — że była, jak dziecię, usypiane w kołysce, to znów wstrząsało nią — że była kobietą na skraju tajemnych możliwości. Musiało być tu wiele odmian śród duchów pustyni, o których mówił jej hrabia Anteoni. To jeden był przy niej i szeptał jej do ucha, to znowu inny. Zdało się, że światło dłońmi swemi dotknęło jej dłoni, ciągnąc ją wdzięcznie ze sobą, jak dziecię ciągnie kogoś, by zaprowadzić go do skarbu. A skarb ten był, oczywiście, bardzo daleko, ukryty w rozłogach piasków pustyni.

Gdy tylko słońce poczęło się chylić ku zachodowi, wzięła kapelusz, włożyła kartę, którą jej dał hrabia Anteoni, za rękawiczkę i udała się w kierunku wielkiego hotelu — sama. Spotkała Hadiego, jak się przechadzał pod arkadą. Chciał jej towarzyszyć i był widocznie przepełniony zdradzieckiemi myślami odsadzenia od niej swego przyjaciela Batucza, lecz dała mu franka i odprawiła go. Frank uspokoił go nieco, mimo to mogła była dostrzec, że jego próżność dziecięca była zadraśnięta. W długich i wąskich oczach jego, gdy patrzał na nią, były błyski złośliwe. Lecz było zarazem i uwielbienie naiwne. Arabowie chylą się instynktownie przed każdym duchem władczym, a duch taki w kobiecie cudzoziemskiej obudza błyski w ich oczach, jak płomię jasne. Siła fizyczna także przemawia do nich ze szczególną mocą. Hadi odwrócił naprzód głowę, wsunął swą brodę i zamamrotał coś, patrząc na gibką postać sprężystą, którą odchodząca cudzoziemka wprawiała w ruch, póki nie zniknęła mu z oczu. I ani razu nie obejrzała się za nim. To była strzała zabójcza

z jej kołczanu. Zapadł w głębokie marzenie pod arkadą, i lice jego stało się naraz tajemniczem, jak lice sfinksa.

Tymczasem Domini zapomniała już o nim zupełnie. Skręciła na lewo w głąb małej uliczki, na której kilku Indjan i zamożniejszych Arabów miało swoje sklepy. Jeden z ostatnich podszedł do niej, gdy przechodziła, z cienia swych wiszących dywanów i haftów i, zwracając się w dziwnej mieszaninie pokaleczonej francuszczyny i angielszczyny, prosił ją, żeby wstąpiła do jego sklepu obejrzeć towary.

Odmówiła ruchem głowy, nie mogła jednak nie spojrzeć na niego z zaciekawieniem.

Był to najcieńszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziała. Stał i poruszał się, jakgdyby był bez kości. Wyraz jego delikatnych i razem despotycznych rysów był okrutny. Twarz jego była podziurawiona przez ospę i naznaczona starą blizną od rany, zadanej prawdopodobnie nożem, która ciągnęła się od lewego policzka do czoła, kończąc się nad samą lewą brwią. Wyraz jego oczu był prawie niesmacznie inteligentny. Gdy utkwił je na Domini, czuła, jakgdyby ciało jej było szklannem pudełkiem, w którem wszystkie jej myśli, czucia i pragnienia stały rzędami do jego rozpatrywania. W zachowaniu jego było wiele z tego, co błagało, lecz także coś z tego, co nakazywało. Palce jego były nienaturalnie długie; miał w ręku mały worek i z nim zagrodził jej drogę.

— *Madame*, proszę, *venez avec moi. Venez — venez!* Ja mam wiele, ja będę pokazać — *j'ai des choses extraordinaires! Tenez.* Proszę patrzeć!

Rozwiązał gardziel worka. Domini zajrzała w niego, spodziewając się zobaczyć coś cennego — naprzykład klejnoty. Zobaczyła jedynie pewną ilość piasku, roześmiała się i ruszyła dalej. Mniemała, że Arab był bezczelnym łobuzem, który stroi sobie z niej żarty.

— Nie, nie, pani! Nie śmiać się! *Ce sable est du désert. Il y a des histoires là dedans. Il y a l'histoire de madame.* Proszę do sklepu. Ja będę pani powiedział, ja wszystko jej odczytać. *Tenez!*

Zajrzał do worka i twarz jego stała się naraz surowa i ściągnięta. — *Dejà je vois des choses dans la vie de madame. Ah, mon Dieu! Ah, mon Dieu!*

— Nie chcę, nie chcę! — broniła się Domini.

Zawahała się, lecz znów odzyskała pewność.

— Nie mam dziś czasu.

Wróżbiarz rzucił za nią wzrok szybki, przelotny, potem jeszcze raz zajrzał do worka.

— *Ah, mon Dieu! Ah, mon Dieu!* — powtarzał. — Życie, które będzie — życie madame — widzę, widzę w worku!

Twarz jego przybrała wyraz męczeński. Domini usunęła się śpiesznie. Kiedy odeszła kawałek, obejrzała się. Wróżbiarz stał ciągle na środku ulicy i patrzał w worek. Głos jego dobiegł do niej z głębi ulicy.

— *Ah, mon Dieu! Ah, mon Dieu!* Widzę — widzę — *je vois la vie de madame.* — *Ah, mon Dieu!*

W głosie jego były akcenty strasznego cierpienia. Przejęło to dreszczem Domini.

Weszła w ulicę tancerek. Była tu na rogu wielka Kawiarnia Murzyńska, a w niej, na dywanach, rozłożonych na skraju ulicy, leżeli w wygodnych pozach Arabowie, jedny sączący herbatę z filiżanek, drudzy — grający w domino, inni rozmawiający, inni wreszcie patrzący ze spokojem w przestrzeń, jak zwierzęta, wprowadzone w sen letargiczny. Czarny Murzynek biegał, obnosząc kutą bronzową tacę, na której były małe chińskie filiżanki, napełnione gęstą kawą. Na połowie drogi ulicznej spotkał on trzy odsłonione kobiety, ubrane w przestronne białe szaty, ze szkarłatnemi, żółtemi i purpurowemi chustkami, zawiązanemi na czarnych ich włosach. Zatrzymał się — i kobiety wzięły filiżanki paluszkami, zabarwionemi henną. Dwaj młodzi Arabowie przyłączyli się do nich. Powstał gwar. Białe kawałki cukru przeleciały w powietrzu. Powstała wieża babel głosów, potok krzyków z pełnią ochoty południowej.

Zanim jeszcze głosy te zamarły w jej uszach, stała już przed posągiem kardynała Lavigerie. Unosząc się wysoko na marmurowym piedestale, wojak raczej, niż kapłan, patrzał wzdłuż drogi, która, łącząc się pod koniec z nikłym traktem pustyni, ciągnęła się wdal do Tomboktu. Infuła na jego głowie była nałożona, jak hełm wojenny, pastorał z krzyżem podwójnym ujął swą dłonią, jak miecz. Na niższym krzyżu była rozpięta postać konającego Chrystusa. I oto kardynał, patrząc tak wzrokiem orła na bezdrożne obszary piaszczyste, które leżały poza drzewami pal-

mowemi, zdawał się, dzięki swej postawie, wołać na te tysiączne hordy ludzi, aż do najgłębszego wnętrza Sahary, wyhodowanych w ciszy i tajemnicy: „Chodźcie na łono kościoła! Chodźcie tu do mnie!“

Zwoływał ludzi z pustyni. Domini wyobrażała sobie głos jego, echem płynący wzdłuż piasków, aż póki czciciele Allaha i jego proroka nie usłyszeli go, jak trąby dźwięcznej, w Tombuktu.

Kiedy przyszła do wielkiego hotelu, słońce właśnie kłoniło się już ku ziemi. Wyjęła kartę hrabiego Anteoni'ego z rękawiczki i pociągnęła za dzwonek. Po długiej przerwie wspaniały mężczyzna, z rysami Araba, lecz z cerą prawie czarną, jak cera Murzyna, otworzył drzwi.

— Czy mogę wejść na wieżę, by zobaczyć zachód słońca? — spytała, podając mu kartę.

Służący skłonił się nisko, przeprowadził ją przez długą halę, pełną sprzętów w pokrowcach, na schody, wzdłuż korytarza z niezliczonemi pokojami, stąd na wyższe schody i potem na płaski w kształcie tarasu dach, na którym wieża wznosiła się ponad domy i palmy Beni-Mora, ponad krajobraz, roztoczony na pół dnia drogi w pustyni. Wąskie schody śrubowe wewnątrz wieży prowadziły na szczyt.

— Pragnę wejść sama — rzekła Domini. — Pozostanę tam pewien czas i nie chciałabym zatrzymywać was ze sobą.

Wsunęła nieco drobnych Arabowi do ręki. Spojrzał na nią uprzejmie, atoli przez chwilę z wątpieniem. Lecz wraz pozbył się wahania i z miłym uśmiechem wyrzekł kilka słów, których nie mogła zrozumieć. Skinęła mu głową, by pozbyć się go co prędzej. Z dachu już ujrzała wielką widmową panoramę, jarzącą się barwami, magiczną. Rwała się, by wdrapać się wyżej ku niebu, spojrzeć stamtąd na świat, jak orłowie to czynią. Zwróciła się niezłomnie w stronę i wstępowała po ciemnych krętych schodach, aż póki nie natrafiła na drzwi. Pchnęła je z pewną trudnością i wyszła na przestwór zawrotnej wyżyny, zamykając z trudem drzwi za sobą ruchem energicznym swych silnych ramion.

Wierzchołek wieży był mały, kwadratowy, otoczony białą poręczą, sięgającą piersi człowieka. Pośrodku jego wznosiły się ściany i sufit na wierzchołku schodów, który zabezpieczał osobę,

stojącą na jednej stronie wieży od widoku kogoś, stojącego po stronie przeciwnej. Pomiędzy poręczą i schodami było właśnie miejsce jedynie dla dwu osób do przejścia z trudem i wymijaniami.

Lecz Domini nie zajmowała się teraz temi pospolitemi szczegółami. Tylko co zamknęła małe drzwiczki i znalazła się sama — sama, jak orzeł w niebie. Postąpiła krok naprzód, który ją przywiódł do poręczy, oparła na niej ręce, spojrzała i utonęła w namiętnem zapatrzeniu.

Zrazu nie mogła dostrzec żadnego z mnóstwa drobiazgów w wielkiem widzeniu wieczora w dole i wokół siebie. Miała tylko poczucie głębi, wyżyny, przestrzeni, barwy, tajemnicy, pokoju. Nic nie odmierzała. Nic nie różnicowała. Stała tu tylko poprostu, wsparta lekko na śnieżnym cementowym pomoście, i doświadczała czegoś, czego nigdy dotychczas nie doświadczała, czego nigdy nie wyobrażała sobie. To było zaledwie żywe; bowiem we wszystkiem, co jest żywe, zda się być coś małego, punkt, do którego dziw wielki się ściąga, iskra natężona, ku której wszystkie ognie garną się, jak żywioł, kropla, która zawiera szemrzące siły niezmierzonych strumieni. To było bardziej, niż żywe. To było więzią ścmioną, jak owo tętno życia, które słychać poprzez i ponad walenia się pokoleń i ponad stulecia, zapadające wgłąb — w otchłań; to wiecznie trwałe, niezłomne bicie serca, bierne w swej mistycznej tajemniczości, które nie wie i triumfuje, i nigdy nie urasta głośniej, ani się nie zmniejsza. nieubłaganie spokojne, nieubłaganie stałe, niezmienne — więcej jeszcze — całkiem nie dotykane niezmierzonemi miljonami tragedyj i śmierci.

Wiele dźwięków unosiło się tam zdołu pod wieżą, lecz Domini narazie nie słyszała ich wcale. Była świadoma tylko niezmierzoności, ciszy, która żywie, ciszy, opływającej pod nią, nad nią i dookoła falami niememi i niewidzialnemi. Kręgi ciszy i pokoju, jasne i świeże, roztaczały się w tej topieli ku niedojrzanym granicom świata pogodzonego, granicom, ginącym w ukrytej krainie poza zmieszanem czarodziejstwem purpury, gdzie niebo i pustynia spotykały się z sobą.

I uczuła, jakgdyby mózg jej, ciągle pracujący od chwili przyjścia na świat, serce jej, bez przerwy kołysane podmuchami pragnień, dusza jej, wieczny ruch trwożnych i rwących się skrzydeł

zamknęły się naraz spokojnie, jak zamykają się płatki róży, gdy noc letnia napływa na ogród.

Stojąc tak, straciła poczucie tego, że oddycha. Zdało się jej, że pierś jej przestała się wznosić i opadać. Wszystka jej krew zaśniła się w żyłach, jak światło wieczoru śni w błękicie.

Poznała Wielki Moment Wypoczynku, który zdał się dzielić mnogość żywotów ludzkich na dwoje, jak Wielki Mir oddziela tych, co spoczęli na łonie Abrahama, od tych, co tu jeszcze całunem ognia okryci.

KSIĘGA DRUGA.

*

GŁOS MODLITWY.

VII.

Muzyka rzeczy zdołu wzbierała ku Domini poprzez eteryczne przestrzenie, nie mącąc atoli jej snów. Lecz naraz drgnęła z uczuciem bólu tak ostrem, iż przejął całe jej ciało i kazał pulsom bić w skroniach. Szybko odjęła ręce od poręczy i obejrzała się. Usłyszała jakiś drobny zgrzytliwy szmer, który zdawał się być bliskim, wraz z nią zamkniętym tu na wyżynie, w tej wąskiej przestrzeni wieży. Jakkolwiek mały i krótki — nie słyszała go już więcej — na chwilę wyżonął ją z raju, jakgdyby to był anioł z mieczem ognistym. Czuła, jako rzecz pewną, że tu na wierzchołku wieży musiał być ktoś żywy wraz z nią, ktoś, co spowodował hałas, który usłyszała. Któż to mógł być? Gdy odwróciła głowę, ujrzała jedynie ścianę wewnętrzną klatki schodowej, część wąskiej białej przestrzeni, która ją okrążała, róg poręczy i błękit powietrza.

I gdy tak stała niepewna, pół obrócona i nasłuchująca, usłyszała znowu ten sam dźwięk i wtedy zrozumiała, skąd pochodził. To czyjaś stopa zgrzytnęła o asfalt posadzki. Był tedy ktoś tu jeszcze prócz niej, kto patrzał także na pustynię. Naraz przyszła jej myśl do głowy. Prawdopodobnie był to hrabia Anteoni. Wiedział, że miała tu przyjść, i zapragnął widocznie i tu być jej przewodnikiem. Przyszedł przed nią i nie słyszał jej wejścia na schody, udawszy się na dalszą stronę wieży i tam, zapatrzywszy się niechybnie na zachód słońca, utonął w marzeniu, jak ona przed chwilą.

Postanowiła nie przerywać mu, jeżeli to był on.

Patrzała wdół na miasteczko i mogła widzieć dokładnie jego rozciągłość, jak było rozłożone w Saharze, w jakim stosunku znajdowało się do łańcuchów górskich, do rzędów palmowych i do suchych, spalonych słońcem traktów — gdzie środkowało się jego życie, gdzie się kończyło na skrajach podmiejskich, podobnych zgoła do skrajów znoszonego ubrania — gdzie było to życie gnuśne i lekkomyślne, gdzie znowu czynne i pracowite. Po raz pierwszy uprzytomniła sobie, iż były tu w Beni-Mora dwa różne pokłady życia: życie uliczne, podwórzowe, ogrodów i placów — i ponad niem — życie dachów. Obadwa były obecnie rozłożone przed jej oczyma, i to ostatnie, w domowej swej poufności, zaciekawiało ją i poiło urokiem. Ujrzała na dachach dzieci, bawiące się z pieskami, kozami, drobiem, matki w gałganach jaskrawego koloru, tłukące pszenicę na ku-ku, obierające jarzyny, prażące strawę, oskubujące kurczęta, pochylające się nad miskami, z których unosiła się para od zupy; dziewczątka, siedzące w zakurzonych kątach, uroczyście zwijające wełnę na motki i przerywające sobie od czasu do czasu, by zagadać do oddalonego od nich rodzeństwa lub powąchać kwiaty, leżące obok, jako nagroda ich pilności. Stara babula kołysała i całowała nagiego bębna z dużym brzuchem. Wielki, szary szczur wybiegł z pod kupy śmieci tuż obok niej, przemknął skroś przestrzeń słoneczną i zniknął w szczelinie. Gołębie krążyły ponad tym ruchem domowym: wytworni miłośnicy powietrza, zataczały koła śród wierzchołków palm, powracały i sfruwały bez strachu na brunatne przylepy ziemne, by dumnie przechadzać się, czyniąc charakterystyczny ruch głowy, w połowie skłaniając się, w połowie dygając. Zawualowane dziewczęta używały przechadzki, czerpiąc świeżość wieczoru, składając ramiona ponad rozwiewającemi się szatami i zamieniając szczebioty, których Domini nie mogła słyszeć. Na bliższym planie niektóre dachy na ulicy tancerek odsłaniały bogate kanapy, na których wymalowane hurysy leżały w pozach leniwych, lub trwały ze sztywnością bożków drewnianych — małe stoliki z zastawionemi filiżankami z kawą, inne, dookoła których zebrani żuawi zabawiali się grą w karty, lecz każdej chwili gotowi przerwać ją dla karesów lub płochego żartu z kobietami, które obok nich [illegible]w. Kilku mężczyzn, ubranych, jak dziewczęta, uwijało

się, obnosząc śród tancerek słodycze i cygarety. Brody ich pocieszne spływały po zwojach haftowanego muślinu, nagie ich ramiona wynurzały się z powłóczystych jedwabnych rękawów. Chłopię murzyńskie siedziało, trzymając tamtam pomiędzy nagiemi kolanami i uderzało w niego sprawnemi rękoma, podczas gdy żydowska panna wykonywała taniec brzucha, powiewając dwiema chustami, czerwoną i purpurową, i śpiewając niskim i dzikim głosem kontraltowym, co Domini mogła była słyszeć, lecz niewyraźnie. Grający w karty przerwali grę i obserwowali ją — i Domini również. Po raz pierwszy, z tej zawrotnej wysokości, ujrzała ten taniec powszechny wschodu; postać, jak małej kukiełki, fantastycznie zdrobniała, poruszająca drobne ręce, obracająca swe drobne ciało, kręcąca się, jak mały bąk, dumnie krocząca, to znów przeginająca się, podczas gdy żołnierze — równie stąd mali, jak zabawki ołowiane, wyjęte z pudełka — poprzybierali postawy głębokiej uwagi, wsparci na stolikach od gry, wyciągnąwszy nogi, przybrane w spodnie, podobne do balonów. Kolory wszędy się pogłębiały wraz z dniem zapadającym. Duchy pustyni stanęły przy robocie. Pomyślała znów o hrabim Anteonim i postanowiła przejść dokoła na drugą stronę wieży. Kiedy ruszyła się, żeby to uczynić, usłyszała raz jeszcze zgrzytnięcie nogi o posadzkę cementową, a potem kroki. Widocznie obudziła w nim uwagę, podobnie — jak on w niej. Szła tedy, wciąż słysząc kroki, okrążyła róg i stanęła twarzą w twarz w dziwnem świetle wieczoru z wędrowcem, swym towarzyszem podróży. Ciała ich prawie się zetknęły w wąskiem przejściu, zanim oboje się zatrzymali, jak prądem rażeni. Przez chwilę stali bez słowa, patrząc na siebie, jak patrzą ci, co rozmawiali ze sobą, którzy wiedzą coś jedno o drugiem, którzy mogą się lubić lub nie lubić, mogą zbliżyć się do siebie lub stronić od siebie, lecz którzy nie mogą udawać, iż są całkiem sobie obcy, całkiem obojętni dla siebie. Spotykają się tu, w niebie, jak spotykają się ptacy skrzydlaci. I Domini raz doznała uczucia, jakgdyby głębia, wysokość, przestwór, ...wa, tajemnica i pokój — tak jest, nawet i pokój — które ...y nad nią, pod nią i dokoła niej, były tu umieszczone rękoma ...ytemi, jako podłoże dla ich spotkania, nawet — jakgdyby wi...nie przelotne z dnia poprzedniego, w które pociąg wychynął ...zarności tunela, stworzone było niezawodnie, jako rama dla ... które na nią patrzało, niby z serca słońca.

Chwila wydała się długą, gdy tak stali bez ruchu. Mężczyzna zdjął kapelusz z głowy — niezręcznie, jakkolwiek z rzetelnym szacunkiem, i stanął szybko przy ścianie naprzeciw poręczy, żeby ją przepuścić. Mogła była przejść, otarłszy się nieco o niego — i w tym celu uczyniła ruch naprzód. Lecz naraz zatrzymała się i znów spojrzała na niego, jakgdyby oczekując, że zacznie mówić do niej. On trzymał wciąż kapelusz w ręku, i lekki wietrzyk pustyni poruszał jego krótkie, kasztanowate włosy. Nie rzekł słowa, lecz stał, wciskając się do muru z rodzajem dzikiego przestrachu, jakgdyby obawiał się, by jej spódnica nie musnęła go, i jakgdyby pragnął zmaleć i skurczyć się, by dać jej wolne przejście.

— Dziękuję panu — rzekła po francusku.

Przeszła koło niego, lecz nie mogła była tego zrobić, nie dotknąwszy go. Lewe jej ramię zwisało, i goła jej ręka dotknęła wierzchu jego ręki, w której on trzymał kapelusz. Uczuła, jakgdyby w tej chwili dotknęła palącego się pieca, i spostrzegła, iż on drgnął zlekka dreszczem, jakim nadmiernie znużeni ludzie wstrząsają się nieraz w świetle dnia. Niezmierne, prawie macierzyńskie uczucie litości dla niego przejęło ją do głębi. Nie wiedziała sama, dlaczego. Gorąco natężone jego ręki, dreszcz. który go przeszedł, postawa jego, gdy kurczył się z rodzajem trwożnej i razem dzikiej grzeczności ku białemu murowi, wyraz jego oczu, gdy ręce ich się zetknęły, wejrzenie, którego nie mogła zanalizować, lecz które zdawało się zawierać głębie tęsknoty, zmieszane z odpychaniem jakgdyby kogoś, wyciągającego ramiona na pomoc i jednocześnie wołającego: „Nie zbliżaj się do mnie! Pozostaw mnie w spokoju!“ — wszystko to w nim wzruszyło ją. Uczuła, iż była twarzą w twarz z osamotnieniem duszy, jakiego jeszcze nigdy dotychczas nie spotykała, z osamotnieniem, które było okrutne, które zwisało w męce konania. Gdy tak przeszła obok niego i podziękowała mu grzecznie, zatrzymała się już ze zwykłą stanowczością swych ruchów. Powzięła naraz zamiar przemówić do niego. On już był się zwrócił, żeby odejść, gdy zagadała do niego szybko — po francusku.

— Nieprawdaż, że tu prześlicznie? — rzekła, a głos jej brzmiał raczej głośno i prawie ostro, by zwrócić jego uwagę.

Wędrowiec obrócił się szybko, jakkolwiek jakby trochę z od-

razą, spojrzał na nią bojaźliwie i zdał się być pełen wahania, czyli ma odpowiedzieć.

Po krótkiej chwili milczenia, która atoli w tego rodzaju warunkach wydała się i była istotnie długą, ozwał się po francusku.

— Prześlicznie, pani.

Dźwięk jego własnego głosu zdawał się go poruszać. Stał, jakgdyby usłyszał niezwykły szum, który go spłoszył, i patrzał na Domini, jakgdyby czekał, że ona podzieli jego wrażenie. Bardzo szybko i ze stanowczością oparła znowu ręce na poręczy i przemówiła raz jeszcze do niego.

— Zdaje się, że jesteśmy tu jedyni przyjezdni.

Postawa mężczyzny stała się nieco spokojniejszą. Spojrzał mniej przelotnie, mniej — jakoby w pośpiechu odejścia, lecz ciągle jeszcze trwożnie, dziko i niezwykle nieukładnie.

— Tak jest, pani; niewielu tu teraz.

Po chwili i z akcentem niepewnym dodał:

— Przepraszam panią — za wczoraj.

W głosie jego była raptowna prostota, podobna do prostoty dziecka, gdy to mówił. Domini wiedziała zgoła, że stosuje on to do wydarzenia na stacji w El-Akbara, że stara się naprawić swą niegrzeczność. Sposób, w jaki to czynił, tknął ją ciekawie. Uczuła wielką ochotę wyciągnięcia do niego dłoni i powiedzenia mu: — Ależ oczywiście! Uściśnijmy sobie dłonie! — jakby to uczynili prawi chłopcy uczniacy. Lecz odrzekła jedynie te słowa:

— Wiem, iż to proste wydarzenie. Proszę o tem nie myśleć.

Mówiąc to, nie patrzała na niego.

— Gdy chodzi o pieniądze, Arabowie są bardzo natrętni — ciągnęła dalej.

Podróżny położył jedną ze swych bronzowych rąk na wierzchu poręczy. Spojrzała na nią i zdało się jej, iż nigdy jeszcze dotychczas nie widziała górnej części ręki, któraby miała tyle wyrazu, któraby wyglądała tak tężnie, tak gwałtownie i tak smętnie zarazem, jak jego.

— Tak jest, pani.

Mówił wciąż z dziwną lękliwością, z wyrazem — jakgdyby słuchał własnych powiedzeń, jakgdyby jakąś dziwną oczywistością były one dla niego i czemś zjawiskowem. Domini pomyślała, iż

być może żył on długi czas gdzieś w ustroniu, gdzie samotność jego rzadko kto naruszał, i gdzie z musu nabywał nawyknienia milczenia.

— Są oni jednak bardzo malowniczy. Wyglądają prawie, jak jacyś zakonnicy, kiedy chodzą w swych burnusach. Czyż nieprawda?

Spostrzegła, jak bronzowa ręka uniosła się nad poręczą, i usłyszała, jak noga wędrowca zgrzytnęła o posadzkę wieży. Nic atoli nie odrzekł. Nie widząc teraz jego ręki, zwróciła znowu wzrok na panoramę wieczoru, który z każdą chwilą upływającą pogłębiał się w natężeniu, i stała się bezpośrednio świadomą dwojga uczuć, które ją teraz na dziw przepełniały: silniejszego i słodszego wrażenia czaru Afryki, niż to, które czuła dotychczas, i pewności, iż ta wielka siła i słodycz czucia były spowodowane przez oczywistość, iż miała towarzysza do swej kontemplacji. Było to dziwne. Gorąca chęć odosobnienia się ściągnęła ją z Europy do tego miejsca pustynnego — i oto cudzoziemiec, który był jej zupełnie obcy, dawał tchnienie piękności, natężenie tajemnicy temu, na co patrzała. Zdawało się, jakgdyby waga wieczoru afrykańskiego raptownie się podwoiła. W podziwie tym stała milcząca. Podróżny stał obok niej, też milcząc. Potem atoli czuła, iż podczas tej ciszy w wieży, jakgdyby jakaś władna, niewidzialna istota spłynęła tajemniczo, wprowadziła ich tutaj, jedno dla drugiego, i tajemniczo odeszła.

Wieczór nadciągał ze swą ciszą, i marzenie stawało się tera głębszem. Wszystko, co czuła Domini, kiedy po raz pierwsz zbliżyła się do poręczy, czuła teraz silniej, i obejmowała w wi dzeniu cielesnem i umysłowem nietylko całość, lecz i niezliczon części tego, na co patrzała. Widziała czarodziejskie kręgi, ro szerzające się w tym bezmiarze pokoju, lecz widziała tak i rzeczy, które były ukryte w tym bezmiarze. Piękno zmroczeni i piękno światła podały sobie ręce. Jedno i drugie było z ni razem, jak siostry. Słyszała głosy, podpływające zdołu, le także na pewno i głosy od gwiazd, które przybliżały się z noc lśniąc harmonijnie i tworząc muzykę własną w powietrzu. Nie płonące i góry płonące były, jak druhowie, każde odzewne i wzruszenia drugiego. Światła na szczytach skalistych miały wie dla zamglonego księżyca, a drzewa palmowe dla lotnych, ognie brzeżonych chmurek na zachodzie. Hen, wdali, zmieszana p

pura pustyni ciaśniej zamykała okrąg, jak matka, która idzie, by wziąć dzieci w ramiona.

Żydówka wciąż tańczyła na dachu przed patrzącymi na nią żuawami, lecz teraz było coś mistycznego w jej drobnych ruchach, co nie budziło już w Domini pragnień ukrytych, tak nie licujących z jej naturą. Na wszystkiem, co widziała z tej wysokości w czarownem świetle wieczoru, spoczęło piękno zgodności.

I oto, nie obracając się do swego towarzysza, rzekła:

— Czy może się co wydawać brzydkiem stąd w Beni-Mora — o tej porze, jak pan sądzi?

I znowu była cisza, która zdała się być charakterystyczną w tym człowieku, zanim odpowiadał, jakgdyby mówienie było wielkim trudem dla niego.

— Nie sądzę, pani.

— Nawet ta kobieta tam na dachu jest teraz pełna wdzięku — ta, co tam tańczy dla tych żołnierzy.

Nie odrzekł. Spojrzała na niego i wskazała ręką.

— O, tam, czy widzi pan?

Zauważyła, iż nie poszedł wzrokiem za jej ręką i twarz jego stała się surowa. Oczy miał utkwione w drzewa ogrodu Gazel koło posągu kardynała Lavigerie, kiedy odrzekł:

— Tak jest, pani.

To zachowanie się jego kazało jej przypuszczać, że być może widział ten taniec w zamkniętem kole, i że był on uchybiający. Przez chwilę czuła się zlekka zażenowaną, lecz zaraz postanowiła nie pozostawiać go pod fałszywem wrażeniem i dodała niedbale:

— Nigdy nie widziałam tańców afrykańskich. Przypuszczam, że znalazłabym go brzydkim, widząc zbliska, lecz z tej wysokości wszystko się odmienia.

— To prawda, pani.

Był dziwny pomruk w jego głosie, który był głęboki i prawdopodobnie surowy, lecz który był trzymany na niskich tonach. Domini pomyślała, iż był to najbardziej męski głos z tych, które kiedy słyszała. Zdał się on być tak pełny jego płci, jak jego ręce. Nic atoli nie było szorstkiego ani w jednym, ani w drugich. Wszystko w nim było żywotne do stopnia tak znacznego, iż było nie istotnie nadprzyrodzonem, lecz bardzo bliskiem nadprzyrodzoności.

Spojrzała znowu na niego. Był to człek wysoki, lecz bardzo

smukły. Doświadczone jej oczy kobiety atletki powiedziały jej, że był on zdolny do wielkich i długich wysiłków mięśniowych. Był kościsty i siłę miał raczej nerwową, niż mięśni. W człowieku takim dziwną się wydawała lękliwość, którą wciąż zdradzał. Gdzie było jej źródło? Nie była to zwykła nieśmiałość i niezdarność człowieka, nieobytego z towarzystwem kobiecem. który w męskiej kompanji miałby być hałaśliwy i w swoim żywiole. Domini pomyślała, iż musiał się trwożyć równie i mężczyzn. Nigdy atoli nie uważała za możliwe, by miał być tchórzem, nie dzielnym. Tego rodzaju przywara ochłodziłaby ją odrazu — i wiedziała, iż byłaby ją odrazu odgadła. Trzymał się niebardzo prosto, lecz pochylał ciało i nosił głowę spuszczoną, jakgdyby miał nawyknienie patrzenia częstego w ziemię. Nawyknienie to było raczej brzydkiem i mówiło jej o melancholji, melancholji człowieka, oddającego się nazbyt wiele medytacji i bojącego się spojrzeć prosto w twarz promiennemu cudowi życia.

Schwyciła siebie na tej ostatniej myśli. Ona — z myślami, że życie było pełne promiennego cudu! Czyżby się już tak całkowicie odmieniła tu, w Beni-Mora? Lub może myśl ta zrodziła się w niej dlatego, że stała obok kogoś, czyje smutki były bezdennie głębsze, niźli jej, i kto przez to — całkiem bezwiednie — dał jej poznanie dotychczas niepodejrzewanej pełni nadziei?

Znów spojrzała na swego towarzysza. On, zdawało się, porzucił zamiar opuszczenia jej i stał spokojnie obok, patrząc na pustynię, z głową, nieco naprzód pochyloną. W jednem ręku trzymał grubą laskę. Włożył na głowę kapelusz. Wyraz jego twarzy był teraz spokojniejszy, niż przedtem. Widocznie czuł się już z nią bardziej swojsko. Domini była rada z tego. Nie pytała siebie, dlaczego. Lecz piękno natężone wieczoru w tej krainie i z tej wysokości wzbudzało w niej porywcze pragnienie, by szczęście, które przyroda ta tworzyła w niej, rozlać na wszystkich, na wszystko. Siostrzaność uczuć rosła i śpiewała w niej całym głosem, jakgdyby ona istotnie śpiewała w zachodzie słońca, w górach, w rzędach palmowych i w pustyni. Płomię świateł na wzgórzach, zarysy ich purpurowe, poruszające się wachlarze drzew, mrocznych pod zabarwioną różowo glorją zachodu, i najbardziej ze wszystkiego bezmiernie oddalone horyzonty, z każdą chwilą wciąż bardziej dziwne i wciąż bardziej

wieczyste, wszystko to obudziło w niej pragnienie, by tego surowego cudzoziemca uczynić szczęśliwym.

— Tu możnaby znaleźć szczęście — rzekła do niego z prostotą.

Ujrzała, że ręka jego wyprężyła się dokoła drzewa jego laski.

— Dlaczego? — zapytał.

Zwrócił się teraz do niej i patrzał jakgdyby ze złością.

— Dlaczego pani tak przypuszcza? — dodał, mówiąc całkiem szybko, bez dawnej niezręczności i bez ważenia słów.

— Bo tu jest tak pięknie i tak spokojnie.

— Spokojnie! — rzekł. — Tu!

W głosie jego był dźwięk jakiś pasji niespodziewanej. Domini drgnęła. Uczuła, jakgdyby miała z nim walczyć — i, iż musi walczyć z mocą, jeżeli nie chce lec w prochu. Lecz kiedy spojrzała na niego, nie mogła znaleźć broni. Nic nie odrzekła. Po chwili on ozwał się znowu.

— Pani znajduje tu spokój — mówił wolno. — Tak jest, widzę to.

Głowa jego opadła niżej i twarz jego jakgdyby twardniała, gdy patrzał z nad skraju poręczy na wioskę i na pustynię błękitną. Potem podniósł swe oczy na góry, na niebo jasne i na księżyc zamglony. Każdy żywioł w tej scenie wieczornej był zda się zbadany przez niego z dzikiem, zawziętem wniknięciem, jakgdyby z każdego z nich chciał wydobyć jego tajemnicę.

— Dlaczegożby nie? Tak jest — dodał głosem niskim, mrukliwym, pełnym jakiejś trwożnej zapowiedzi. — Ma pani rację. Dlaczegożby nie? Tak jest, tu jest spokój.

Mówił, jak ten, co naraz został przekonany, ponad moc swej dalszej niewiary, o czemś, czego nigdy nie podejrzewał, o czem nigdy nie marzył. I przekonanie to zdało się być gorzkiem dla niego, nawet bijącem na trwogę.

— Lecz tam wdali, mniemam, że jest rzeczywiste miejsce pokoju — rzekła Domini.

— Gdzie? — ozwał się prędko.

Wskazała ręką ku południowi.

— W głębi pustyni — rzekła. — Hen, zdala od cywilizacji, zdala od mężczyzn dzisiejszych i od kobiet dzisiejszych, od całego tego hałasu rzeczy drobnych, do których przywykliśmy.

On patrzał ku południowi poważnie. We wszystkiem, co czynił, było jakieś płomienne natężenie, jakgdyby nie był w mocy uskutecznić zwykłej czynności, lub zwrócić oczu na jaki bądź przedmiot, by nie powołać do tego swej myśli lub serca, gwałtowności myśli lub czucia.

— Pani sądzi — pani sądzi, że tam może być pokój — tam, hen — w pustyni? — mówił, i twarz jego zlekka miękła, jakgdyby posłuszna myśli jakiejś, niecałkiem smutnej.

— Może to wyobraźnia — odrzekła. — Lecz sądzę, że tam być musi. Przyroda pewnie nie ma kłamliwego oblicza.

On patrzał wciąż ku południowi, z którego noc wynurzała się zwolna, noc-wędrowiec poprzez mglistość błękitu. Zdawał się być ujętym, oczarowanym przez pustynię, która gasła łagodnie, jak jakieś misterjum, które nadciągnęło blisko na światło objawienia, a które teraz usuwało się wtył — w inny świat czaru. Cudzoziemiec był pochylony naprzód, jak ten, co czuwa nad odejściem, w którem bierze udział swą duszą, i Domini uczuła, że zapomniał o niej w tej chwili. Uczuła również, że człowiek ten został pochwycony przez urok pustyni jeszcze bardziej ogniście, niż ona, i że musi mieć silniejszą od niej wyobraźnię, większą siłę jej rzutu, niźli ona ją miała. Gdy ona niosła łojówkę, on niósł pochodnię płonącą.

Naraz tuż pod niemi wzbił się hałas dziki od licznych drumli. Z wioski murzyńskiej wynurzył się nędzny korowód z grubo-ustych mężczyzn i zawodzących, piszczących niewiast, przybranych w jaskrawe, żółte i szkarłatne szale, prowadzonych przez tancerza mężczyznę, odzianego w skórę szakala i przystrojonego w zwierciadełka, czaszki wielbłądzie i łańcuchy z zębów zwierzęcych. Wodzirej ów krzyczał i skakał, wywracał oczy wyłupiaste i kołował ruchliwym językiem. Kurz wzbijał się dokoła od uderzających w ziemię nagich stóp.

— Yah-ah-la! Yah-ah-la!

Wyjący korowód zbliżył się do wieży, z klaskaniem olbrzymich kastanietów, z hałasem od kijów, uderzanych rytmicznie o siebie.

— Yi-yi-yi-yi! — wzbijał się pisk głosów kobiecych.

Chmura kurzu urosła, okrywając tylną część korowodu — tak, że tylko głowy i ręce falujące wynurzały się, jak z wiru wod-

nego. Hałas drumli i bębnów był, jak hałas wodospadów, głuszący całkiem śpiewaków, w miarę, jak bliżej napływał.

Mężczyzna przy boku Domini porwał się naraz raptem, i wszystka dawna trwożność i czujność znów się odbiły na jego twarzy. Zwrócił się, otworzył drzwiczki za sobą i zdjął kapelusz.

— Proszę mi wybaczyć, pani! — rzekł. — *Bon soir!*

— Ja także wychodzę — odrzekła Domini.

Spojrzał na nią nietowarzysko i trwożnie, zawahał się, potem, jakgdyby pociągnięty mimo woli, ruszył poprzez wąskie drzwiczki wieży w ciemność otworu. Domini chwilę czekała, nasłuchując ciężkich jego kroków po schodach drewnianych. Ściągnęła, jak w bólu silnym, brwi, iż prawie spotkały się ze sobą, i kąty ust jej opuściły się. Zatem wyszła zwolna jego śladami. Gdy już była na schodach i odgłos stóp zamarł już pod nią, uprzytomniła sobie w pełni, iż to po raz pierwszy doznała obrazy od mężczyzny. Twarz jej stała się naraz gorąca, a usta bardzo suche, i zapragnęła użyć swej siły fizycznej w porachunku niecałkiem kobiecym.

W poczekalni na dole, śród sprzętów pookrywanych, spotkała uśmiechniętego odźwiernego. Zatrzymała się.

— Czy ten pan, który zszedł teraz, dał wam swą kartę? — zapytała raptownie.

Arab przybrał wyraz potulny, służalczy.

— Nie, proszę pani, ale to jest bardzo dobry pan, i ja wiem, że pan hrabia —

Domini przerwała mu krótko:

— Jakiej on narodowości?

— Pani pyta o hrabiego?

— Nie, nie.

— Ten pan? Nie wiem. Ale on umie po arabsku. O, to bardzo miły —

— *Bon soir!* — rzekła Domini, dając mu franka.

Kiedy już była na ulicy w obrębie hotelu, ujrzała cudzoziemca, podążającego w odległości na końcu korowodu murzyńskiego. Kurz, wzbijany przez tańczących, wirował nad nim. Dokoła niego skakało kilka dużych murzynek, odwołując się niewątpliwie do jego wspaniałomyślności. On zdawał się nie zwracać na nie uwagi — i gdy Domini patrzała na niego, przyszła jej na myśl ucieczka jego tego ranka od modlącego się Araba.

— Czy lęka się tak samo kobiet, jak lęka się modlitwy? — pomyślała, i naraz wrażenie upokorzenia i złości opuściło ją i zastąpione zostało przez uczucie przemocnej ciekawości, jakiej nigdy jeszcze względem nikogo nie doświadczała. Stwierdziła, że ciekawość ta powstała w niej prawie od pierwszej chwili, kiedy ujrzała cudzoziemca, i rosła w niej stale. Jedno zdarzenie po drugiem powiększało ją, aż wreszcie stała się określoną, konkretną. Dziwiła się, że nie czuła zawstydzenia z powodu tego uczucia, niezwykłego w niej i oczywiście nie zacnego, jako coś śledczego i wnikającego. Bez wszelkiej przesady mogła była zaświadczyć o sobie, iż była w wysokim stopniu nie ciekawą kobietą — co się tyczy życia i spraw innych ludzi, nawet tych, których znała najbliżej i o których, jak przypuszczała, dbała najbardziej. Natura jej była z gruntu obojętną na ludzkie przygody. Podniety, niepokoje, nawet namiętności ludzkie nie więcej dotykały jej, jak dotyka na ulicy teatr marjonetek myślącego o czem innem przechodnia.

Tu w Afryce, zdawało się, że cała jej natura gwałtownie się odnowiła, czy nawet zmieniła. Nie mogła rzec, czy jedno, czy drugie. Lecz to mocne ruszenie ciekawości, wiedziała o tem, nie było możliwem jeszcze tydzień temu, w kobiecie, która jechała do Marsylji zmroczona, nie zdająca sobie sprawy, tęskniąca do zmiany. Być może — iż zamiast gniewać się na to, winna była błogosławić to, jako objaw orzeźwienia, do którego wzdychała.

Zmieniając ubranie do obiadu na ten wieczór, rozstrząsała w myśli, jak ma postąpić ze swym towarzyszem hotelowym, gdy go spotka w jadalni. Narazie zdawało jej się, że trzeba przerwać tę przelotną znajomość — po tem, co nastąpiło. Lecz wnet zdało jej się to niegodnem i tem, co mogło czynić wrażenie, iż on ma władzę obrażenia jej. Postanowiła tedy skłonić mu się, jeżeli się spotkają ze sobą. Gdy już miała zejść nadół, uprzytomniła sobie, jak silne były jej wewnętrzne rozprawy, i była tem zdumiona. Zuzanna układała coś w szufladach, pochylona i gospodarująca swemi pulchnemi rękoma.

— Zuzanno! — rzekła Domini.

— Słucham panienki.

— Jak długo jesteś już u mnie?

— Trzy lata, proszę panienki.

Panna służąca zamknęła szufladę i odwróciła się, patrząc

swemi płytkiemi, szaro-niebieskiemi oczyma na swoją panią, w pozie, jakgdyby już gotowej do fotografowania.

— Możesz ty mi powiedzieć, czy jestem tą samą osobą dzisiaj, jaką byłam trzy lata temu?

Zuzanna spojrzała, jak kot, kiedy się przestraszy raptownego hałasu.

— Tą samą, proszę panienki?

— Tak jest. Czy sądzisz, żem się zmieniła w tym czasie?

Zuzanna rozważyła pytanie, z głową nieco przechyloną.

— Tylko tutaj, proszę panienki — odrzekła nareszcie.

— Tutaj! — rzekła Domini, raczej poważnie. — Jakto? Jestem tu przecież dopiero trzydzieści sześć godzin.

— To prawda, proszę panienki. Lecz panienka wygląda, jakby tu miała trochę życia, trochę wzruszeń. *Mon Dieu!* Panienka mi wybaczy, ale czemże jest kobieta, która nie ma wzruszeń? Pakunkiem. Czyż nieprawda, proszę panienki?

— Dobrze — ale cóż tu jest tak wielce do wzruszenia?

Zuzanna spojrzała skrycie i chytrze.

— Kto to wie, proszę panienki? Kto to może wiedzieć? *Mon Dieu!* Ta wioszczyna jest smutna, ale i dziwna zarazem. Nie gra tu orkiestra. Niema całkiem magazynów, by można było co zobaczyć. Niema tu nic szykownego, prócz ubrania żuawów. Lecz każdy to przyzna, że jest tu dziwnie. Kiedy panienka była dziś po południu na wieży, pan Helmuth —

— Któż to taki?

— To ten pan, który towarzyszył z omnibusem na stacji. Pan Helmuth był tyle grzeczny, że oprowadził mnie po wiosce. *Mon Dieu,* panieneczko, powiedziałam sobie: No! tutaj może się wszystko przytrafić człowiekowi!

— Wszystko! Tak sądzisz?

Lecz Zuzanna zdała się całkiem nie sądzić. Przybrała jedynie wyraz bardziej natężony, niż zwykle, ściągnęła swoją małą okrągłą brodę, która miała dołki i była bezmyślna, i rzekła:

— Kto to może wiedzieć, proszę panienki? Ta wioska jest smutna, to prawda, ale i dziwna. O! Nie codziennie człowiek się w takiem miejscu znajduje.

Domini nie mogła się powstrzymać od śmiechu na tę wyrocznię delficką, lecz zeszła nadół pełna zamyślenia. Znała praktyczny zmysł Zuzanny. Aż do dzisiaj nigdy nie okazała ona

zdolności do wyobraźni. Beni-Mora poczynało oczywiście formować powoli jej przyrodę i nadawać jej różne kształty.

Cudzoziemiec nie był na obiedzie. Stół jego był nakryty, i Domini, siedząc, każdej chwili oczekiwała, że usłyszy posuwisty chód jego ciężkich butów po drewnianej posadzce. Gdy nie przychodził, zdawało jej się, że była rada z tego. Po obiedzie pomówiła przez chwilę z księdzem i poszła na górę, żeby na swojej werendzie wypić kawę. Zastała już tam Batucza. Zbył się swej pewnej miny i twarz jego kawowa wraz z jego wielkiem ciałem miały wyraz przeciągłego patosu, jakgdyby istoty cierpiącej i pokrzywdzonej, która została rzucona na pastwę okrutnych stóp Domini.

— No, cóż tam? — rzekła Domini, siadając przy trzcinowym stoliku.

— Cóż, proszę pani...

Westchnął i spojrzał w ziemię, podniósł jedną nogę, odzianą w białą skarpetkę, zdjął z niej żółty pantofel, wytrząsnął z niego drobny kamyczek i włożył pantofel zpowrotem, zwolna, z całym wdziękiem i z wielkim smutkiem. Potem podciągnął białą skarpetkę obu rękoma i spojrzał na Domini kątami swych oczu.

— No, jakiż masz interes?

— Pani nie chce zobaczyć tańców w Beni-Mora, nie chce posłuchać muzyki i improwizatorów, nie chce pójść do kawiarni El-Hadiego, gdzie Ahmed śpiewa dla palaczów haszyszu, ani być świadkiem przepięknych ekstaz religijnych derwiszów z U-mecz. Dlatego przychodzę rzec pani szanownie dobranoc i pójść sobie.

Naciągnął swój burnus na lewe ramię z gestem raptownym rozpaczy, który był pełen przesady. Domini uśmiechnęła się.

— Byłeś dziś bardzo dobry — rzekła.

— Zawsze jestem dobry, proszę pani. Jestem poważnego usposobienia. Nikt nie obchodzi Ramadanu tak serjo, jak ja.

— Jestem tego pewna. Zejdź nadół i czekaj na mnie pod arkadą.

Wielka twarz Batucza stała się naraz przytuliskiem wszystkiej uciechy.

— Pani wyjdzie dzisiejszego wieczoru?

— Oczywiście. Bądź pod arkadą.

Wyszedł z wielką okazałością radosnej pozy i ruchu, które były, jak głośne *Te Deum*.

— Zuzanno, Zuzanno!

Domini skończyła kawę.

— Jestem, panienko! — ozwała się Zuzanna, nadchodząc.

— Czy chcesz iść ze mną dziś wieczór?

— Panienka wychodzi?

— Tak jest, zobaczyć wioskę wieczorem.

Zuzanna spojrzała niezdecydowana. Tchórzostwo i ciekawość walczyły w niej ze sobą, co było widocznem w wyrazie, który spływał i znikał na jej twarzy, zanim odrzekła.

— Czy nas tam aby nie zabiją, proszę panienki, i czy jest tam co ciekawego do widzenia?

— Wiele ciekawego do widzenia — tancerze, śpiewacy, palacze. Lecz jeśli się boisz, nie idź.

— Tancerze, panienko? Ale Arabowie noszą noże. A i śpiewy tam będą? Ja — ja nie lubię, kiedy panienka chodzi beze mnie. Lecz —

— Chodź tedy i obroń mnie od nożów. Przynieś mi żakiet — jakikolwiek. Nie przypuszczam, bym go miała włożyć na siebie.

Gdy mówiła te słowa, ozwały się odległe tam-tamy. Zuzanna drgnęła nerwowo i spojrzała na Domini ze szczerem, trwożnem przejęciem.

— Lepiej chyba nie chodźmy, panienko. Tam nie jest całkiem bezpiecznie. Ludzie, którzy robią takie hałasy, nie uszanują nas chyba.

— Mnie się to podoba.

— Ten dźwięk? Ależ to ciągle jedno i to samo i niema w tem wcale muzyki.

— Może w tem coś więcej, niż muzyka. Daj żakiet!

Zuzanna poszła okazale spełnić polecenie. Tęskny krzyk obojów afrykańskich wzbił się ponad bębnami. Święto wieczoru rozpoczęło się. Domini uczuła w tej chwili wieczornej, iż rzeczą jej jest iść ku tej odległej muzyce i nauczyć się rozumieć znaczenie, nietylko dla siebie, lecz i dla tych, którzy ją sprawują i tańczą pod nią z wieczora na wieczór. Wzbudziło to jej wyobraźnię, dało umiłowanie tajemnicy i pragnienie dotarcia aż do samych odrzwi tego dzikiego świata.

Zuzanna wróciła z żakietem. Wciąż jeszcze spoglądała bojaźliwie, lecz włożyła na głowę kapelusz i wetknęła pączek krasny geranjum do przodu czarnej sukni.

— Pójdziemy nie zupełnie sami, proszę pani?

— Nie, nie. Będzie się nami opiekował Batucz.

Zuzanna westchnęła lękliwie.

Poeta był w białej galerji z Hadim, który był razem zły i żałosny i miał wyraz zamroczony, jako wyraźny kontrast do triumfalnej miny Batucza.

— Pójdziesz też z nami — rzekła.

Hadi podniósł ramiona i spojrzał odrazu z życiem i prawie ochoczo. Lecz wyraz niezdecydowania znów wrócił do jego twarzy.

— Dokąd pani chce iść?

— Obejrzeć wioskę.

Batucz rzucił spojrzenie na Hadiego i uśmiechnął się niechętnie.

— Pójdę z panią.

Batucz wciąż się uśmiechał.

— Idziemy do Uled-Naila — rzekł znacząco do Hadiego.

— A ja... a ja pójdę...

Ruszyli. Zuzanna spojrzała na nogi poety i zdała się być umocniona.

— Miej opiekę nad panną Zuzanną — rzekła Domini do poety. — Jest ona nieco nerwowa w ciemności.

— Panna Zuzanna jest — jak prawowierny w pierwszym dniu po święcie Wielkiego postu — odrzekł poeta majestatycznie. — Nikt jej nie dotknie, chociażby szła sama do Tombuktu.

Zapowiedź ta wywołała ze strony Zuzanny błysk przeszywający. Batucz umieścił się pieczołowicie u jej boku i ruszyli w drogę, podczas gdy Domini miała u swego boku Hadiego.

VIII.

Mieścina była pełna bladych przeczuć nadchodzącego księżyca. Noc była bardzo cicha i bardzo ciepła. Gdy przechodzili wzdłuż ogrodów, Domini dostrzegła światło w domu księdza. To naprowadziło jej myśli na to, jak on spędza swe samotne wieczory, kiedy z hotelu wróci do domu, i wyobraziła go sobie siedzącego w skromnie urządzonym pokoiku z Bu-Bu i z niewielu książkami, palącego fajkę i rozmyślającego tęsknie o Białych Braciach Afrykańskich i o swem nieziszczonem pragnieniu zupełnego wyrzeczenia się świata. Z ostatnią tą jej myślą zmieszał się odległy wciąż dźwięk oboju. Nastręczał on raczej wszystko, prócz wyrzeczenia: melancholję tajemną — następczynię namiętności, krzyk tęsknoty, wołanie Niewiadomego, które pociągało tylu mężczyzn i kobiet ku szaleństwom wspaniałym i ku pielgrzymstwom płomiennym, których celem był miraż.

Hadi mówił wciąż niskim głosem, lecz Domini nie słuchała go. Wiedziała mimochodem, że obmawiał Batucza, przedstawiając go, jako kłamcę, skłonnego do złodziejstwa, jako palacza i wogóle — jako człowieka, który był na krawędzi kryminału. Księżyc tymczasem powstał, muzyka odległa stała się wyraźniejszą. Nie mogła już wcale słuchać Hadiego.

Kiedy skręcili w uliczkę, gdzie mieszkał wróżbiarz, wróżący z piasku, pierwszy promień księżyca padł na białą drogę. Daleko — hen — na końcu ulicy Domini mogła była dojrzeć czarne listowie drzew w ogrodzie gazelowym, a poza tem z lewej mrok od palm cienistych na skraju pustyni. Sama pustynia nie była widoczna. Ulicą przeszło dwóch Arabów, otulonych w burnusy, z kapturami, naciągniętemi na głowy. Widać było tylko ich czarne brody. Mówili bardzo gwałtownie i wymachiwali rękoma. Zuzanna zatrzęsła się i przytuliła się bliżej do poety.

Pulchna jej twarz wciąż odbijała wrażenia, zwracające się [illegible] ku swej pani. Lecz Domini nie myślała ani o niej, ani o niebezpieczeństwie. Dźwięk tam-tamów i obojów zdał się teraz daleko głośniejszym teraz, kiedy księżyc począł się ukazywać, tworząc białości pośród białych domów wioski, biało barwiąc ubrania mieszkańców i bielej jeszcze znacząc się na białej drodze, która leżała przed nimi. Domini myślała o tem, iż białość księżyca w Beni-Mora była raczej namiętną, niż czystą, raczej podobną do ubielonego lica kochanicy, niż do czystej, bladej twarzy dziewiczej. Była w tem podnieta, pobudka większa nawet, niż pobudka od strasznie jaskrawych scen wieczoru, który noc taką poprzedzał. Rozmyślała tedy o białym zwoju i o tem, co on znaczy — ów żar biały mózgu płonącego myślami, które rządzą, żar biały serca płonącego wzruszeniami, które powodują, iż myśli te zdają się być zimne. Nie znała nigdy ani jednego, ani drugiego. Byłaż niezdolną do poznania tych rzeczy?

Zuzanna i dwaj Arabowie byli, jak cienie odległe, w stosunku do niej, kiedy pierwszy promień księżyca dotknął ich stóp. Namiętność nocy poczęła ją palić: pomyślała, że mogłaby także wziąć swoją duszę i wystawić ją na białe płomię tej nocy.

Kiedy przechodzili koło domu wróżbity z piasku, Domini ujrzała widmową jego postać, stojącą pod żółtem światłem wiszącej latarni w środku jego sklepu z dywanami, który od podłogi do sufitu był zawieszony ciemno-czerwonemi haftami i przyćmiony dymem wonnym z kadzielnicy. Wróżbiarz mówił coś do małego chłopca, który był z nim, lecz wciąż miał czujne oko na ulicę — i wyszedł wraz szybko, wymachując swemi długiemi rękoma i wołając śpiewnie, napoły pieszczotliwym i napoły władnym swym głosem:

— *Venez madame, venez!* Proszę, proszę!

Zuzanna uchwyciła się ramienia Domini.

— Nie tej nocy! — ozwała się Domini.

— Tak jest, *madame*, tej nocy. Życie *madame* jest tej nocy tu w piasku. *Je la vois, je la vois. C'est là dans le sable* tej nocy.

Światło księżycowe odsłoniło ohydną bliznę na jego twarzy. Zuzanna krzyknęła i zakryła twarz rękoma. Poszli w kierunku drzew. Hadi szedł, wahając się.

— Jak głośną staje się muzyka — rzekła Domini do niego.

— Może panią ogłuszyć zupełnie, jeżeli pani bliżej podejdzie — rzekł Hadi z miną poważną. — Przytem tańce te nie są dla pani. Dla Arabów... tak, lecz dla wielkiej pani z najszanowniejszej Anglji! Pani zaczerwieni się z obrzydzenia, ze zgrozy. Panią to zemdli.

Batucz począł spoglądać, jak bożek, na którego wielkiej twarzy artysta wyrzezał wyraz dzikiej wściekłości.

— Pani jest moją klientką — rzekł wściekły. — Pani na mnie polega.

Hadi uśmiechnął się pogardliwie.

— Ten, co pali haszysz, jest jak Mehari, któremu język spuchł — dodał.

Poeta spojrzał, jakgdyby chciał się rzucić na swego kuzyna, lecz powstrzymał się — i tylko powolny, złowróżbny uśmiech wypełzł na jego grube wargi, podobny do węża.

— Ja pokażę pani tancerkę, która jest skromna, która jest prześliczna, Hadi-ben-Ibrahimie — rzekł głosem miękkim, pieściwym.

— Fatma jest chora — rzekł Hadi prędko.

— Nie mówię o Fatmie.

Hadi począł nagle gestykulować swemi cienkiemi, delikatnemi rękoma i patrzeć w dzikiem wzburzeniu.

— Halima jest w Ciepłej Fontannie — zawołał porywczo.

— Ale Keltum jest tutaj.

— Niema jej. Chora na nogę. Nie może tańczyć. Nie tańczy od tygodnia. Wiem o tem.

— A... a... Irena? Czy także chora? Czy niema jej u Hammama Salahina?

Hadi stracił kontenans. Spojrzał na swego kuzyna zukosa, wciąż błyskając zębami.

— Czy nie wiesz o tem, Hadi-ben-Ibrahimie?

— *Ana ma audi ma nek ullek!**) — zawarczał Hadi przez gardło.

Doszli do końca uliczki. Białość wielkiej drogi, która ciągnęła się na przestrzał pustyni poprzez oazę, leżała teraz przed nimi, z posągiem kardynała Lavigerie, patrzącego w szlak nocy. Z prawego skraju była ulica tancerek, wąska, zabudowana niskiemi,

---

*) Nie mam ci nic do powiedzenia.

białemi domkami Uledów, migocąca blaskiem gwiazd, nabrzmiała głosami, pulsująca hałaśliwą muzyką, która niosła się od spółzawodniczącej Kawiarni Murzyńskiej, rojącej się od białych postaci ludzi pustyni, wolno snujących się tam i zpowrotem, z miękkością ruchów, jak u panter. Światło księżyca wciąż jaśniej urastało, jakgdyby ręce niewidzialne nawiewały białe płomię namiętności, które świeciło nad Beni-Mora. Patrol Strzelców Cudzoziemskich przeciągnął ulicą, w żółtych z niebieskiem mundurach, w turbanach i białych kamaszach, z bronią na szerokich ramionach. Słychać było chód stłumiony ich stóp, maszerujących po piaszczystej drodze.

— Hadi może sobie iść do domu, jeżeli się obawia czegoś na ulicy tanecznic — rzekła Domini z widoczną złośliwością. — Chodźmy za żołnierzami.

Hadi drgnął, jak ukłuty, i spojrzał na Domini, jakgdyby chciał ją udusić.

— Nie boję się niczego — zawołał z dumą. — Pani nie zna jeszcze Hadi'ego-ben-Ibrahima.

Batucz zaśmiał się bezdźwięcznie, wzruszywszy swemi wielkiemi ramionami. Było rzeczą widoczną, iż odgadł chęć swego kuzyna, dążącą do wysadzenia go, i pracowicie zarządził obecnie odwet. Domini bawiła się tem — i gdy tak szli zwolna ulicą pod strażą żołnierzy, rzekła:

— Czy często chodzisz tu nocą, Hadi-ben-Ibrahimie?

— O, tak, proszę pani. Jak tylko jestem sam... Ale z damami...

— Byłeś tu, zda się, wczoraj... Czy nie tak? Z podróżnym z hotelu.

— Nie, proszę pani. Ten pan z hotelu wolał pójść do kawiarni, gdzie są opowiadacze bajek: to bardziej interesujące; jeżeli pani pozwoli zaprowadzić się tam...

Ostatnia ta atoli inwazja była za ciężka dla wyrozumiałości poety. Porzucił on naraz wszystek pozór swego wdzięcznego spokoju i buchnął na Hadiego całym potokiem obelg arabskich, akcentowanych namiętnemi gestami, które napełniły przestrachem Zuzannę i które sprawiły Domini ukrytą przyjemność. Odwaga i duch porywczy przygód, raczej chłopięcy, niż kobiecy, zawsze miały w niej żywą stronniczkę. Doszła do trzydziestu dwu lat życia bez zaświadczenia tego żywiołu i nawet bez pełni zdania

sobie sprawy, jak wielce pragnęłaby go świadczyć. Teraz atoli poczynała rozumieć to i czuć, iż był on władny.

— Jest we mnie dziki człowiek — pomyślała.

— Batucz! — ozwała się ostro.

Poeta zwrócił ku niej swą twarzą wykrzywioną.

— Pani!

— Dość tego! Prowadź nas do domu tanecznego.

Uliczka, oświetlona lampami z małych domków, z których wychylały się drewniane balkony, pomalowane na wesołe kolory, wraz z rosnącem promieniowaniem księżyca, była tajemnicza, mimo wesołości i widocznego poświęcenia kultowi uciechy. Żywy wskutek hałasu przejmującego muzyki ruch i szmer tego społeczeństwa pustyni był prawie uroczysty. Tłum chłopców i mężczyzn, ubranych w biel od stóp do głów, w żywości swej dawał widok wdzięku poważnego obok szanownej dzikości, mówił o mieszaninie anioła, mnicha i ducha nocnego. W perspektywie promieni księżycowych, zwolna płynący po zapylonej drodze krokami posuwistemi, czynili wrażenie czegoś łagodnego i promiennego w białości swej ruchomej. Bliżej — śpiczaste ich kaptury robiły wrażenie czegoś mniszego, niby jakaś procesja, przekradająca się od cel ustronnych na celebrowanie jakiejś mszy północnej. W zmroku cienistym małych działków alei byli oni, jak duchy błądzące, które wyszły na bezbożną włóczęgę, lub powracały na swoje cmentarze.

Na niektórych balkonach leżały dziewczęta umalowane i paliły cygarety. Przed każdemi z oświetlonych drzwi wejściowych, z których dochodził przenikliwy hałas muzyki, była zebrana drobna, natężona gromadka, obserwująca przedstawienie, które odbywało się wewnątrz. Szaty Arabów ocierały się o suknie Domini i Zuzanny, a zewsząd patrzały na nich oczy z badawczością, która była mniej bezwstydną, więcej poważnie czelną.

— Pani!

Chuda ręka Hadiego ruszyła rękaw Domini.

— Cóż tam takiego?

— Tu jest najlepszy dom taneczny. Tu tańczą dzieci.

Wzrost Domini dał jej możność spojrzenia ponad plecami zebranej przed drzwiami gromady. W oświetlonej odległości komnaty o białych ścianach, z malowanemi na nich postaciami wojowników i wodzów arabskich, ujrzała małą, okręcającą się

figurkę pomiędzy dwoma rzędami siedzących po turecku mężczyzn. Ręce dziecka powiewały kolorowemi chustkami, dwie drobne nożyny uderzały z werwą o polepę ziemną. Dalsze tło stanowiła kanapa z tłumem kobiet i muzykantów, których oczy zezowały i policzki gorzały. Stała tak przez chwilę patrząc, potem się odwróciła. W oczach jej był wyraz niesmaku.

— Nie! Nie chcę patrzeć na dzieci — rzekła. — To nadto...

Rzuciła okiem na swą eskortę i nie dokończyła.

— Ja wiem — rzekł Batucz. — Pani życzy sobie prawdziwych Uledów.

Poprowadził ją poprzez ulicę. Hadi szedł, ociągając się. Zanim weszła do tego drugiego domu tanecznego, Domini zatrzymała się znowu, by zobaczyć od zewnątrz, czy jej się podoba — lecz tylko na chwilę. Wraz światło jakieś zapaliło się w jej oczach, wejrzenie spoważniało.

— Tak jest, prowadź mnie tutaj — rzekła.

Batucz zaśmiał się miękko, a Hadi wyrzucił jakieś słowo stłumione.

— Pani zobaczy tu Irenę — rzekł Batucz, rozpychając bez ceremonji przypatrujących się pilnie Arabów.

Domini nic nie odrzekła. Oczy jej zwróciły się ku mężczyźnie, który siedział w kącie odległym komnaty, pochylony naprzód i patrzący bacznie na kobietę, która była w trakcie schodzenia z wzniesionej estrady, przybranej w lampy i małe wiązanki kwiatów w glinianych garnuszkach.

— Chcę usiąść blisko drzwi — szepnęła Batuczowi, kiedy weszli do środka.

— Kiedy lepiej, proszę pani...

— Rób, co ci mówię — rzekła. — Z lewej strony pokoju.

Hadi spojrzał nieco raźniej. Zuzanna uczepiła się jego ramienia. Uśmiechnął się do niej z wyrazem niedoli, lecz gdy część ławy została dla nich opróżniona, postarał się o to, by siąść jak najbliżej drzwi, i rzucił trwożne spojrzenie ku platformie, na której należące do kawiarni dziewczęta-tancerki siedziały rzędem, wsparte o nagą ścianę i oczekujące swej kolei występu. Naraz wstrząsnął raptownie głową, wsunął zwyczajem swym brodę i zaśmiał się. Cała jego twarz przeobraziła się — od tchórzowskiej obawy do żywej czelności. Śmiejąc się, spojrzał na Batucza, który kazał przynieść Murzynowi służącemu cztery filiżanki kawy. Poeta

nie zwracał na niego uwagi. Przez chwilę był zajęty swemi obowiązkami z urzędu. Lecz kiedy kawa została już przyniesiona i postawiona na okrągłym drewnianym stołku pomiędzy wiązankami róż, miał czas zauważyć raptowną wesołość Hadiego i uskutecznić swój zamiar. Naraz oto zagadał do Murzyna niskim głosem. Hadi przestał śmiać się. Murzyn odszedł pośpiesznie i powrócił z gospodarzem kawiarni, ogromnym Kabylem z piękną cerą i niebieskiemi oczyma.

Batucz zniżył swój głos do szeptu gardłowego i zagadał po arabsku, podczas gdy Hadi, siedząc nieporęcznie na końcu ławki, rzucał ku niemu ukośne spojrzenia swych o kształcie migdałów oczu. Domini usłyszała imię „Irena" i domyśliła się, że Batucz żąda od Kabyla, by posłał po nią i kazał jej zatańczyć. Nie mogła się powstrzymać, by nie zabawić się przez chwilę tą komedją intrygi, zadośćczynnie złośliwą ze stron obu, która została odegrana przez dwu krewnych, lecz moment minął i następny większy pochłonął ją całkowicie, podając jej nowość otoczenia, oryginalność kobiet, ich ubrań i ich ruchów.

Tuż koło wzniesienia komnaty z prawej strony siedział cudzoziemiec pośrodku tłumu Arabów, których powiewne szaty prawie zakrywały jego brzydkie europejskie ubranie. Na ścianie tuż za nim było o jaskrawych barwach malowidło tłustej Uledy Naili, wdzięczącej się do francuskiego żołdaka. Tworzyło ono całkiem nieodpowiednie tło dla jego pochylonej postaci i spalonej słońcem twarzy, w której obecnie, zdawało się, były dwa żywioły: ascetyzm i coś tak odmiennego i tak przewładnego, iż to wtóre, zdawało się, lada chwila odrzuci precz ascetyzm i osiągnie samotną wszechwładzę rzeczy. To pasowanie się wyrazu przypomniało Domini pewien obraz, który kiedyś widziała, a który wyobrażał pielgrzyma, idącego przez ciemny las w towarzystwie anioła i djabła. W patrzącym tym cudzoziemcu zły duch odpłoszył obecnie napewno anioła. Domini zdawało się, iż nigdy dotąd tak jasno nie widziała walki legendowej ludzkiego serca. Nigdy bowiem dotąd tak śmiało nie odbiła się ona przed nią w ludzkich rysach.

Wokół siedzieli Arabowie, bez ruchu i zadowoleni, patrzący na ciekawy taniec, który ich nigdy nie nużył — taniec, który miał nieco naiwnej prostoty, wiele zmysłowości i wyzwania, lecz mało piękna i mało tajemnicy, chyba, że — jak się tu i owdzie

zdarzyło — podobna do boginki kobieta Południa, ze wszystką tajemnicą odległej pustyni w swych podczernionych oczach, tańczyła go z tłumionym ogniem półobudzonego sfinksa, czyniąc z niego zjaw barbarzyński natury, która spoczywała ukryta w sercu słońca — krzyk milczący dzikiego ciała, urodzonego w dzikim, znojnym kraju.

W kawiarni Tahara, Kabyla, nie było obecnie takiej kobiety. Piękności jego, stłoczone na wąskiej ławie przed stołem, przybranym w szklanki z wodą i pączki kwiatu pomarańczowego w glinianych naczyniach, wyglądały smutno i niezabawnie w swych jaskrawych ubraniach. Ciała ich były dobrze zbudowane, lecz senne, ospałe. Umalowane ich ręce zwisały, jak ręce marjonetek. Ta, która tańczyła, wyglądała, jak najemnica, przybrana we wschodnie szaty i siląca się bardzo pieczołowicie, by się okazać zepsutą. Drgawki jej i skurcze, jakkolwiek gwałtowne, były nie ludzkie, podobne raczej do skomplikowanej sztuki mechanizmu, sporządzonego przez chorego mechanika. Spojrzawszy na nią raz czy dwa, Domini czuła, że tańcząca jest znudzona swą własną ruchliwością. Podziw atoli Domini wzmógł się, gdy znów spojrzała na cudzoziemca.

Tańcząca upatrzyła go sobie — i oto, zwolna kołysząc się, poczęła postępować ku niemu między rzędami Arabów, utkwiwszy w niego oczy i układając swe czerwone usta do łakomego uśmiechu. Gdy już zbliżyła się ku niemu, poczęła jasno okazywać, iż on był jej celem. Cudzoziemiec był wychylony naprzód, lecz gdy ona zbliżyła się, tocząc czerwonemi rękoma, wstrząsając wydatnemi piersiami i wywołując gwałtowne drgania brzucha, siadł prosto i wparł się szczelnie w ścianę, zakrywając sobą wizerunek Uledy Naili i francuskiego żołdaka. Ciemny rumieniec wypłynął na jego twarz i zalał mu nawet czoło aż do włosów. Oczy jego stały się pełne żałosnego niepokoju i zakłopotania; patrzał prawie, jak winowajca, na prawo i na lewo, jakgdyby w oczekiwaniu, że zakapturzeni widzowie arabscy potępią jego obecność, teraz, gdy tancerka zwróciła ich uwagę na to. Tancerka zauważyła jego pomieszanie i zdawała się być zadowoloną z tego, gdyż poczęła energiczniejszy pokaz całej swojej sztuki. Wzniosła ręce nad głową, wpół przymknęła oczy, przybrała wyraz pożądliwej ekstazy i zlekka zadygotała. Zaczem, przeginając się wtył, prawie że dotknęła podłogi, zatoczyła w tym ruchu

kolo, wciąż przegięta, i okazała całe wzdłuż wygięcie swego nagiego łona cudzoziemcowi, podczas gdy dziewczęta, stłoczone na ławce obok muzykantów, naraz porwały się i złączyły swe głosy w długim i przeciągłym chichocie. Arabowie nie uśmiechali się, lecz głębia ich uwagi zdała się urastać, jak chmura, czarno wzbierająca. Wszystkie płonące oczy w tej izbie były utkwione w mężczyznę, odchylonego wtył ku ohydnemu malowidłu na ścianie, i w jaskrawą syrenę, gnącą się przed nim, jak łuk. Muzykanci zadęli w oboje i uderzyli gwałtowniej w tamtamy, i wszystko w izbie napełniło się — jak to Domini pomyślała — jakąś treścią popędu rosnącego. Uczuła, jakgdyby izba, wszystkie nieożywione przedmioty i postaci ożywione w niej stały się instrumentami orkiestry i jakgdyby każdy pojedyńczy instrument przyłożył się do wolnego, wielkiego, nieokiełzanego crescenda. Cudzoziemiec wziął udział wraz z resztą, lecz przeciw swej woli i jakgdyby pod strasznym naciskiem.

Twarz jego znów spurpurowiała i oczy jego błyszczące patrzały wdół na piersi tancerki i jej łono z mieszaniną i żądzy, i grozy. Ona zwolna uniosła się, obróciła, przegięła się naprzód drgająca i ukazała mu swe lica, podczas gdy dziewczęta znowu wybuchnęły zgodną, dźwięczną pobudką. On patrzał wciąż na nią bez ruchu. Oboiści przytrwali na długiej, tęsknej nucie, i tamtamy uderzyły w dziki i ponury werbel, prawie jak w werbel przedzgonny.

— Ona chce, żeby on dał jej pieniędzy — rzekł szeptem Batucz do Domini. — Dlaczegoż on jej nie daje?

Widocznie cudzoziemiec nie rozumiał, czego ona żądała od niego. Muzyka znów przeszła na tony krzykliwe, tancerka cofnęła się, postąpiła kilka kroków, zadygotała z wściekłością brzuchem i tupnęła nogą w podłogę. Potem raz jeszcze zwolna drgać poczęła, przymknęła wpół oczy, podpełzła bliżej ku cudzoziemcowi i, upadłszy przed nim, złożyła mu rezolutnie głowę na kolanach, gdy dziewczęta znów się ozwały pobudką i długa nuta obojów przeszła przez izbę, jak okrzyk pytający.

Domini owiało gorąco, gdy ujrzała wyraz, który wystąpił na twarz cudzoziemca, kiedy tancerka dotknęła jego kolan.

— Idź i powiedz mu, że ona chce pieniędzy — nagliła szeptem Batucza. — Idź i powiedz mu!

Batucz wstał, lecz w tejże chwili łobuz, chłopiec arabski, który siedział koło cudzoziemca, zagadał do niego ze śmiechem, wska-

zując na dziewczę. Cudzoziemiec sięgnął ręką do kieszeni, znalazł w niej monetę i, na wskazanie łobuzerskiego chłopca, przylepił ją do zatłuszczonego czoła tancerki. Raptownie porwała się na nogi. Dziewczęta zachichotały. Muzyka uderzyła melodją triumfalną i po całej izbie przeszło poruszenie. Prawie wszystko razem odzyskało życie. Ów wzniósł rękę do kaptura i naciągnął go na czoło. Inny podniósł papierosa do ust. Inny jeszcze jął się filiżanki z kawą. Czwarty wreszcie, który trzymał kwiat, podniósł go do nosa i powąchał. Nikt nie pozostał w spokoju. Wraz z ruchem cudzoziemca pierzchła sztywność, natężenie myślowe raptownie zwolniało, duch swobody wyzwolił się śród izby. Domini odczuła to doraźnie. Ostatnie kilka minut były dla niej wprost bolesne. Westchnęła z ulgą na zaniechanie tej męczarni bliźniego. Albowiem cudzoziemiec był istotnie — czy to przez nieśmiałość, czy z innego powodu — jak w kole tortury, gdy tancerka położyła mu głowę na kolanach.

Anioł jego strwożył się, być może, podczas gdy zły duch jego...

Lecz Domini spróbowała rezolutnie odwrócić swe myśli od niego.

Złożywszy monetę na czole dziewczęcia, cudzoziemiec zrobił ruch, jakgdyby zamierzał opuścić izbę, lecz naraz znowu ciekawe niezdecydowanie, które Domini dostrzegła w nim uprzednio, przecięło ruch jego jakby na dwoje, pozostawiając go w połowie spełnionym. Gdy tancerka, obracając się tanecznie, zmierzyła ku platformie, zapiął swą kurtkę z rodzajem jakiegoś śpiesznego postanowienia, obciągnął ją nerwowo, rzucił szybko okiem dokoła i wstał z miejsca. Domini patrzała na niego i być może wzrok jej pociągnął go, gdyż właśnie, kiedy już miał postąpić śród szeregu, który wiódł do drzwi, ujrzał ją. Natychmiast siadł znowu, obrócił się tak, że mogła tylko widzieć część jego twarzy, odpiął kurtkę, wyjął zapałki i zajął się zapalaniem papierosa. Domini wiedziała, iż odczuł jej pilną uwagę na sobie, i była zła za to na siebie. Byłoż w niej istotnie coś śledczego? Byłaż istotnie zdolną do zwykłej ciekawości w stosunku do mężczyzny? Raptowny ruch Hadiego zwrócił jej uwagę. Twarz jego była targana wyrazem, który zdawał się być na poły gniewnym, napoły pełnym trwogi. Batucz uśmiechał się seraficznie, spoglądając ku platformie. Zuzanna, z buzią w ciup, patrzała dziewiczo na swoje kolana. Cała jej postawa wskazywała, że jest świadomą

tylu błyszczących spojrzeń, które z intencją były na nią zwrócone. Taniec brzucha, który tylko co oglądała, zdumiał ją do tego stopnia, iż uczuła się, jakgdyby była jedyną szanowną osobą na świecie i jakgdyby nikt tego nie mógł przypuszczać, jeżeli nie wywiesi swego białego sztandaru na murach Beni-Mory. Starała się o to usilnie, a tymczasem rzucała ukośne spojrzenia w kierunku platformy, czy czasami nie przygotowuje się drugi taniec brzucha. Nie widziała ani wzburzenia Hadiego, ani złośliwego zadowolenia poety, lecz razem z Domini dostrzegła, jak małe drzwiczki koło platformy otworzyły się, jak otyły Kabyl ukazał się w nich w towarzystwie dziewczęcia, które było odziane w złotą tkaninę i przybrane w potoki złotych monet.

Domini domyśliła się odrazu, że to była Irena, wygnanka, która powróciła i która chciała zabić Hadiego, i rada była, że nowe to wydarzenie przychodzi w porę, by odsunąć uwagę jej od cudzoziemca.

Irena była najwidoczniej ulubienicą. Gdy weszła, powstało silne poruszenie: wszystkie kształty, obleczone falą białą, pochyliły się zwolna w jej kierunku. Jedynie Hadi obciągnął dokoła swój burnus cienkiemi palcami, opuścił brodę, nasunął kaptur na czoło, przechylił się wtył ku ścianie i, podwijając nogi pod siebie, zdawał się zapadać w sen. Lecz z pod powiek bronzowych i z pod długich czarnych rzęs lękliwe jego oczy śledziły każdy ruch dziewczęcia w błyszczącem ubraniu.

Weszła zwolna i tęsknie, z wyrazem twarzy chmurnym i umęczonym, twarzy chudej i wycieńczonej, na biało umalowanej z czerwonemi wargami, uczernionemi oczyma i brwiami. Rysy jej były wąskie i śpiczaste. Kości licowe były cienkie i ciało tak szczupłe, kibić tak wiotka, że, wraz z piersią płaską i chudemi ramionami, wyglądała prawie, jak kij, uwieńczony ludzką twarzą i obwieszony błyszczącemi draperjami. Włosy jej, gęste i ciemno-bronzowe, były starannie zaplecione i okryte żółtym jedwabnym szalem. Domini pomyślała, że wygląda ona na suchotnicę, i była widokiem jej wręcz rozczarowana. Dla pewnych racyj niewiadomych zdawało jej się, że kobieta, która chciała zabić Hadiego i która widocznie wzbudzała w nim obawę, musi być płomienną i wspaniałą pięknością pustyni. Czyż dziewczę to mogło być gwałtowne? Wyglądała chorowicie, anemicznie, jakgdyby miała iść do łóżka; to też, patrząc na nią, Domini

nabrała jeszcze większej pogardy dla Hadiego. Bać się takiego nędznego, wycieńczonego, sennego stworzenia, jak to — było czemś godnem litości. Lecz Hadi zdawał się sądzić inaczej. Wciąż bardziej nasuwał kaptur na czoło — i wyglądał obecnie, jak tłumok, ukryty w cieniu Zuzanny.

Irena wstąpiła na platformę, zepchnęła dziewczę, które siedziało na końcu ławki, siadła na jej miejscu, napiła się nieco wody ze szklanki, która stała wpobliżu, i została nieruchoma, patrząc wciąż w podłogę, całkiem obojętna na Arabów, którzy ją pochłaniali oczyma. Było rzeczą widoczną, że byli oni niczem dla niej i że nawet na chwilę nie mogli skłócić potoku jej chorych i sennych myśli.

Tańczyła inna dziewka, krępa wschodnia Żydówka z haczykowatym nosem, grubemi wargami i wyłupiastemi oczyma, które wyglądały, jakgdyby były wyszorowane proszkiem od szlifowania. Tańcząc, śpiewała, lub raczej wywrzaskiwała złowieszczo jakąś niezwykłą melodję, która jakby wieściła o walce, mordach i o gwałtach śmierci. Nie bacząc na widzów, drapała się chwilami w głowę, lub obcierała nos, nie przestając zarazem swych drgawek i podrygów. Domini poznała, że była to ta sama, którą widziała z wieży, jak tańczyła na dachu przy zachodzie słońca. Światło i odległość oczywiście przeobraziły ją. Przy świetle lamp była ona uosobieniem wszystkiego, co mogło być niechlujstwem i ordynarnością. Nawet litość budząca chudość Ireny była pociągająca w porównaniu z temi wzdętemi kształtami, które utrzymywała w ciągłym wstrząsie, aż prawie trwogę budzącym.

— Hadi już półmartwy ze strachu — ozwał się cicho Batucz, całkiem rad z sytuacji.

Domini się uśmiechnęła.

— Czyż nieprawda, proszę pani, że Irena jest piękna, jak księżyc nad wodami Ued-Beni-Mora?

— Nie zdaje mi się — odrzekła Domini tępo. — Sądzę przytem, że ten, coby się obawiał stworzenia tak drobnego, obawiałby się dzieci na ulicy.

— Drobnego? Ależ Irena jest tak dorodna, jak młoda palma w Urlanie.

— Dorodna!

Domini spojrzała na nią znowu nieco baczniej i przekonała się, że Batucz mówił prawdę. Irena była niezwykle wysoka,

lecz jej nadmierna szczupłość, jej chude kości i wiotkość, z jaką się zachowywała, łudziły oko i czyniły ją niepozorną.

— Niech i tak będzie, lecz któżby się jej bał! Mogłabym ją unieść i przerzucić przez ten wasz księżyc.

— Pani jest silna. Pani jest — jak lwica. Lecz Irena jest najstraszniejszą dziewczyną w całem Beni-Mora; gdy kocha lub jest zła — najstraszniejszą w całej Saharze.

Domini zaśmiała się.

— Pani jej nie zna — rzekł Batucz niezmącony. — Pani może zapytać o nią Arabów. Wiele tancerek w Beni-Mora zostaje zamordowanych, co sezon dwie lub trzy. Lecz niktby nie śmiał zamordować Ireny. Niktby nie kusił się nawet.

Spokój poety i beznamiętność, z jaką traktował najstraszniejsze zbrodnie, jakgdyby były one najzupełniej naturalne i pod żadnym względem nie do dziwu i nie do potępienia, zdumiały Domini jeszcze więcej, niż jej omyłka co do Ireny.

— Za cóż to mordują tancerki? — zapytała szybko.

— Dla ich klejnotów. Nocą w małych pokoikach z balkonami, jakie pani widziała, jest to bardzo łatwo. Wchodzi się tam, żeby spać. Zamyka się oczy, oddycha się sprawnie i nieco głośno. Dziewczę słyszy to. Nie boi się. Zasypia. Śni sobie. Szyję ma, o, tak wyciągniętą — odrzucił wtył głowę, wystawiając swoją wielką szyję. — Tuż przed samą jutrznią wyciąga się z burnusa nóż. Pochyla się. Bez hałasu podrzyna się gardło. Bierze się klejnoty i pieniądze ze szkatułki przy łóżku. Wychodzi się cicho bosemi nogami. Wszędy cisza. Odsuwa się zasuwę drzwi... i wtedy przed człowiekiem otwiera się wielkie schronisko.

— Wielkie schronisko?

— Pustynia, proszę pani.

Popił kawy. Domini patrzała na niego osłupiona. Zuzannę przeszedł dreszcz. Słyszała to oświadczenie. Głośny kontraltowy wrzask Żydówki wszczął się znowu ze swą podnietą gwałtowną i ordynarną biernością. A Domini zwolna powtórzyła:

— Wielkie schronisko.

Z każdą chwilą w Beni-Mora pustynia stawała się bardziej pełną znaczenia, rozmaitości, tajemnicy, grozy. Byłoż to wszystko? Ogród Boży, wielkie schronisko dla zbójów! Tam, na wieży, nazwała ją przybytkiem pokoju. W gardzieli El-Akbary Batucz mówił o niej, jak o wielkiem królestwie zapomnienia, w którem

ciężar pamięci zsuwa się z ramion umęczonych i znika w miękkim wirze piasków pustynnych.

Lecz było to już wszystko? I jeżeli już było tak wiele podczas jednego dnia i jednej nocy, cóż będzie, gdy ją pozna? Czem będzie dla niej po wielu dniach i nocach? Poczęła czuć rodzaj strachu, połączonego z najniezwyklejszym pociągiem, jakiego nigdy nie znała.

Hadi był jak przylepiony do ściany, drobny i skurczony. Głos Żydówki urwał się wrzaskliwie. Oboje przycichły, tylko tamtamy werblowały.

— Hadi będzie teraz uszczęśliwiony — zauważył Batucz z całkowitem zadowoleniem w głosie — bowiem Irena zacznie zaraz tańczyć. O! mały milud przynosi jej właśnie noże.

Chłopiec arabski z prześliczną twarzą i bardzo ciemną cerą wśliznął się na platformę z dwoma długiemi i ostro zakończonemi nożami w dłoni. Położył je na stole przed Ireną, pomiędzy bukietami kwiatu pomarańczowego, zeskoczył lekko i zniknął. Gdy noże dotknęły stołu, oboiści wraz ozwali się trwożnym szmerem, a potem wzmacniając nutę, aż póty, kiedy zdawało się, że i oni, i instrumenty rozpękną się, rozkołysali ją na drżącej i wspaniałej melodji, dźwięczącej z taką dzikością, jakiej żaden Europejczyk nie jest mocen ani wyśpiewać, ani napisać. Na chwilę porwało to Domini i podnieciło do tego stopnia, że ledwie mogła dyszeć. Wlało to ogień w jej żyły i ogniem obłożyło jej serce. Było to triumfalne, jak wielka pieśń pobojowa w dzikim kraju, okrutna, mściwa, lecz tak silna i tak namiętnie radosna, że oczy błyszczeniem zaprawiała, i krwi bić tętnem kazała, i duchowi powstawać, i wołać głosem wielkim wraz z ciałem, wołać o całą swobodę, o czyn, o szerokie obszary dla włóczęgi, o długie dni i nocy chwały i miłości, o natężone godziny wzruszeń i o życie życia całym szałem radosnej bezwolności. Zdawało się, że pieśń ta jest duszą stworzenia, tańczącą dookoła arki. Tamtamy towarzyszyły pieśni tej nieregularnym, lecz rytmicznym werblem, który zdawał się Domini być krzykiem, od głębi głoszonym, zastępów mężów walczących.

Irena patrzała wzrokiem zmęczonym na noże. Wyraz jej nie zmienił się, i Domini była zdumiona tą jej obojętnością. Oczy wszystkich w tej izbie były zwrócone na nią. Nawet Zuzanna poczynała być mniej dziewiczą w pozorach pod

wpływem tej pieśni triumfalnej pustyni. Domini nie zwracała już oczu w stronę cudzoziemca. Na chwilę zapomniała o nim. Cała jej uwaga była zwrócona na wątłe i jakby suchotnicze stworzenie, które patrzało na dwa noże, leżące na stole. Kiedy to hasło wielkie zostało już raz odegrane i namiętny werbel tamtamów obwieścił jego powtórzenie, Irena wyprężyła raptownie swe chude ramiona, rzuciła się na noże, porwała je i sprężyście powstała. Przeszła od zmęczenia do energji żywotnej z taką szybkością, że była ona prawie demoniczną i zdała się palić w niej oboje: i myśl i ciało. Kiedy oboje po raz wtóry ozwały się dziką pobudką, Irena uniosła noże nad głową i zatańczyła.

Biały tłumok koło Zuzanny poruszył się. Irena, trzymając sztylety nad głową, skoczyła z małego wzniesienia i tańczyła na podłodze glinianej między Arabami. Wątłe jej ciało wstrząsało się konwulsyjnie w takt muzyki. Akcenty melodji zaznaczała ramionami. Podniecenie jej stale wzrastało, aż zdało się być wreszcie jakąś żądzą palącą, która była napoły szałem radosnym, napoły rozpaczą. W wyrazie jej, w ruchach, w całej postaci, wygiętej wtył, z twarzą, zwróconą ku górze, z piersią i szyją wystawioną, jakby składała w ofierze swe życie, swą miłość i wszystkie w sobie misterja, jakiejś istocie rojonej, która opanowała całą jej dziką i ekstatyczną duszę — było wzbudzenie żywotne dwu żywiołów w ich pasji: upojenia rozkoszy i smętku melancholji. Oczy jej były prawie zamknięte — tak, jak je zamyka kobieta, gdy widzi usta kochanka, pochylające się nad sobą. Usta jej zdały się odbierać tchnienie ogniste ust niewidzialnych. W tej chwili była piękną, bowiem wyglądała, jak sama kobiecość. I Domini pojęła, dlaczego Arabowie mienili ją piękniejszą od innych tancerek. Posiadała to, czego tamte nie miały — talent i natchnienie. Gdyż talent, pod tą, czy inną postacią, ukazuje chwilami światu lice Afrodyty.

Podeszła zwolna bliżej i ci, co byli na wzniesieniu, zwrócili się, towarzysząc jej wzrokiem. Kaptur Hadiego opadł zupełnie i zakrył mu twarz. Głowę opuścił na piersi. Batucz zauważył to i patrzał gniewnie, lecz Domini zapomniała o intrydze dwóch krewnych i o tragedji miłości Ireny do Hadiego. Była cała pod czarem tego tańca i muzyki, która mu towarzyszyła. Teraz Irena była blisko, i Domini mogła była widzieć, że bez tego natchnienia twarz jej nie była piękna. Była żałośliwie chuda, żałośliwie

ściągła i dzika. Życie fatalnie wypisało na niej — tak, jak wypisuje na twarzach biednych dzieci ulicznych — wyraz jeden: potrzeba. Tak, jak tamte miały za mało, tak ta tańcząca miała za dużo. Blask od jej szaty ze złotogłowu, okrytej złotemi monetami, w świetle lamp był silny, jarzący. Domini patrzała na nią i na dwa ostre noże ponad jej głową, patrzała na jej gwałtowne, drgające poruszenia — i sama też drgnęła, wspomniawszy opowiadanie Batucza o mordowanych tancerkach. W Beni-Mora było snadź niebezpiecznie mieć nazbyt dużo.

Irena była teraz bardzo blisko. Zdała się być tak pogrążona w zachwyceniu tańca, iż Domini całkiem na razie nie przyszło do głowy, że idzie ona w ślady Uled-Naili, która brudną swą głowę złożyła na kolanach cudzoziemca. Dopiero kiedy była tuż przed nią i stała tak, wykonywając swój drgający taniec, wciąż dzierżąca sztylety nad głową, Domini zrozumiała, iż jej półzamknięte namiętne oczy upatrzyły sobie cudzoziemkę — i że musi dodać monetę do jej złotego potoku. Wyjęła tedy portmonetkę, lecz odrazu nie dała pieniążka. Z bezlitosnym zabiegiem swej płci zanotowała wszystkie braki tancerki. Była ona młoda — tak, ale była bardzo zużyta. Usta jej obwisły. W kątach oczu były cienkie linje, idące wdół. Czoło jej było tem, co Domini mieniła w swych myślach wyglądem męczeńskim. Tem niemniej było ono dzikie i zwycięskie. Smukłe jej ciało mówiło o sile, a sposób zachowania o pasji trawiącej. Nawet tuż blisko, nawet gdy się zatrzymała po monetę i gdy jej oczy lękliwie pytały Domini, roztaczała dokoła siebie atmosferę wielce władną, która wzbudzała krew, kazała sercu bić i tworzyła tęsknotę do rzeczy nieznanych i gwałtownych. Patrząc na nią, Domini czuła, że Irena musiała chwilami żyć wspaniale, że mimo swej mrocznej kondycji i ciągłego wycieńczania się — odkładanego jedynie w chwilach tańca — musiała znać rozkosze natężone i że, dopóki tylko żyć będzie, będzie miała władzę, odczuwania ich ciągłego. Było w niej coś płonącego, co miało płonąć aż póki starczy życia, żar przyrodzenia, który miał być wiecznie rozpalony do czerwoności. Ten żar właśnie czynił ją bożyszczem Arabów i niecił światło piękności skroś jej dzikie kształty.

Duch płonął.

Domini sięgnęła nareszcie ręką do portmonetki i wyjęła złotą monetę. Już ją miała ofiarować Irenie, gdy biały tłumok,

którym był Hadi, poruszył się nagle, choć zwolna, tak jakgdyby coś w nim się poruszyło. Irena dostrzegła to półotwartemi oczyma. Domini podała się naprzód i przeciągnęła monetę, lecz wraz cofnęła ją, zadrżawszy. Irena w jednej chwili przeobraziła się. Zamiast trzymać szyję odrzuconą wtył i wystawiać swe łono, uniosła je, rzuciła naprzód. Ręce jej opadły do bioder. Oczy rozwarły się szeroko i były pełne ostrego, przejmującego natężenia. Sny i widzenia odbiegły ją. Teraz była jedynie okrutną i pytającą, i strasznie rączą. Patrzała na biały tłumok. Ow poruszył się znowu. Wtedy poskoczyła, błysnęła zębami, chwyciła go. Szybkim ruchem swych chudych rąk odrzuciła kaptur, i z tłumoka wynurzyła się głowa Hadiego i twarz, zastygła od strachu. Jeden z nożów błysnął i opadł na niego. Skoczył z miejsca i krzyknął przejmująco. Zuzanna zawtórzyła echem. Wtedy w całej izbie wszczął się zamęt białych szat i ciał ruchomych. Wszystko w jednej chwili zakotłowało się, wołając, chwytając, walcząc. Domini chciała się wydostać, lecz została naraz ściśnięta i nie mogła powstać, ani uwolnić swych rąk, które zostały przyciśnięte do jej boków przez tłum dokoła. Przez chwilę sądziła, że będzie zgnieciona lub zaduszona. Nie czuła strachu, jedynie oburzenie, jak chłopiec uderzony i zahamowany w odwecie. Znowu rozległ się krzyk. Był to głos Hadiego.

Zuzanna stanęła, lecz została odłączona od swej pani. Otaczało ją ramię Batucza. Domini wsparła się rękoma o ławę i próbowała wydostać się siłą, stawiac gwałtownie swoje szerokie ramiona fali Arabów, którzy się nad nią spiętrzyli, zakrywając jej twarz i głowę powiewnemi swemi szatami, a to wszystko w celu przyjrzenia się walce tancerki i Hadiego. Dusiła się prawie, czuła duszny zaduch potu, który owionął ją raptownie. Już była bliską omdlenia, gdy uczuła, jak dwie palące, gorące ręce wyciągają się ku niej, palce, jak szpony stalowe, chwytają jej ręce, podchodzą pod ramiona i dźwigają ją do góry. Nie mogła widzieć, kto ją pochwycił, lecz życie w rękach, które na jej rękach spoczęły, zmieszało się z życiem jej rąk, jak fluid żywotny miesza się z drugim, i zdawało się wskroś przepływać, aż je uczuła w swem ciele — i miała dziwne wrażenie, jakgdyby twarz jej została pochwycona w dziki szpon — i serce także.

Jeszcze chwila i była już na nogach i na ulicy, oświetlonej księżycem, pomiędzy małemi białemi domkami. Ujrzała gwiazdy

i balkony malowane, natłoczone umalowanemi kobietami, patrzącemi wdół ku kawiarni, którą porzuciła, i ćwierkającemi głośno, przenikliwie. Ujrzała oddział strzelców tubylczych, maszerujących w dwa rzędy ku drzwiom, w których Arabowie wciąż jeszcze się miotali. A potem ujrzała, że cudzoziemiec był przy niej. Nie zdziwiła się zgoła.

— Dziękuję panu, że mnie pan wydobył — rzekła raczej oschle. — Gdzie moja panna?

— Wydostała się już przed nami i jest z przewodnikiem.

Podniósł swe ręce i patrzał na nie ostro, poważnie, pytająco.

— Czy pan się nie skaleczył wypadkiem?

Szybko opuścił ręce.

— Ach, nie to...

Urwał zdanie i milczał. Domini wciąż stała. Westchnęła głęboko i zaśmiała się. Czuła wciąż gniew i zaśmiała się dla własnego zapanowania. Gdyby nie traktowała żartobliwie całego tego wydarzenia, byłaby gotowa iść zpowrotem ku drzwiom kawiarni i bić na prawo i na lewo mężczyzn, którzy jej omal nie zadusili. Wszelki gwałt, zadany jej ciału, nawet nieumyślne potrącenie na ulicy — jakgdyby w tem była istotna zniewaga — zdawał się wyzwalać w niej djabła, takiego djabła, jaki mógł działać jedynie w mężczyźnie.

— Co za ludzie! — rzekła. — Jakie dzikie twory!

Zaśmiała się znowu. Patrol przemocą torował sobie drogę do drzwi kawiarni.

— Arabowie zawsze są tacy, proszę pani!

Spojrzała na niego, a potem rzekła nagle:

— Pan mówi po angielsku?

Towarzysz jej zawahał się. Było całkiem widocznem, że rozważał, czy odpowiedzieć „tak", czy „nie". Wahanie to w tej sprawie było bardzo dziwnem. Wreszcie odrzekł, lecz wciąż po francusku.

— Tak jest.

I właśnie, gdy to mówił, dostrzegła na jego twarzy, że chciał powiedzieć: „Nie".

Arabowie poczęli się wysypywać z kawiarni. Patrol oczyszczał miejsce. Kobiety, wychylone na balkonach, krzyczały przenikliwie, dopytując się istotnej przyczyny zamieszki, a mężczyźni, stojący u dołu i wznoszący bronzowe swe twarze w księżycu,

odpowiadali głosem wzburzonym, gwałtownie gestykulując ramionami, z których poosuwały się ich powiewne rękawy.

— Ja jestem Angielką — rzekła.

Mimo to, wciąż była zniewolona mówić po francusku, jakgdyby jakaś nieznana powściągliwość kazała jej to czynić. On nic nie odrzekł. Stali obecnie znowu w gęstym tłumie, który falował, napływał. Ukazali się żołnierze, prowadzący Irenę. Za nią szedł Hadi, krzycząc, jak w napadzie furji. Na jednej z jego rąk było nieco krwi i strumyk krwi na przedzie rozchylonej koszuli, którą miał pod burnusem. Krzycząc i idąc, wyciągał wciąż ramiona ku Irenie i przemawiał po francusku do otaczających go Arabów. Gdy ujrzał kobiety na balkonach, zatrzymał się na chwilę i zawołał ku nim, jak człowiek pomieszany. Strzelec popchnął go naprzód. Kobiety, które się uciszyły, żeby go słuchać, znów wybuchnęły całą falą gwaru. Irena patrzała całkiem biernie i szła słabym krokiem. Pochód ten zniknął w księżycu, odprowadzany przez ciżbę.

— Dojęła Hadiego — rzekła Domini. — Batucz musi być rad. Nie czuła wcale, żeby była tem zasmucona. W gruncie rzeczy czuła, iż jest nawet rada. Żeby tancerka miała zamierzyć zemsty i chybić, to zdawałoby się jej czemś przeciwnem jej naturze. Strużka krwi przytem, którą tylko co zobaczyła, odjęła jej raptownie wszystką złość i jakby ulżyła jej. Odzyskała panowanie nad sobą.

— Dziękuję panu raz jeszcze — rzekła do towarzysza. — I... dobranoc.

Przypomniała sobie zdarzenie na wieży dzisiejszego popołudnia i postanowiła tym razem położyć stanowczy kres i nie wystawiać się na podobną próbę. Ruszyła w ulicę, lecz on wciąż szedł przy niej w milczeniu. Zatrzymała się.

— Jestem panu bardzo obowiązana za wyswobodzenie mnie — rzekła, patrząc mu prosto w oczy. — A teraz, dobranoc.

Pierwszy to raz wytrzymał wzrok jej bez niepewności, i wtedy zobaczyła, iż, jakkolwiek był on człowiekiem wahającym się, niezręcznym i nawet mogącym budzić wzgardę — jak wtedy, gdy pośpieszał drogą za pochodem murzyńskim — umiał być także w pełni samodzielnym.

— Pójdę z panią — rzekł.

— A to czemu?

— Teraz noc.

— Nie obawiam się.

— Pójdę z panią.

Powtórzył to surowo i spojrzał na nią, marszcząc brwi.

— A jeżeli odmówię? — rzekła, ważąc, czy ma odmówić, czy nie.

— Będę pani towarzyszył.

Z wyrazu jego twarzy spostrzegła, iż on także myślał o tem, co stało się po południu. Dlaczegożby go miała pozbawiać możności naprawy, którą lękał się zrobić — prawdziwie lękał się — w sposób, aż litość budzący? Byłoby to z jej strony pychą marną i małodusznością.

— Proszę tedy towarzyszyć mi — rzekła.

I tak poszli razem.

Arabowie, poruszeni na wieść o wypadku w kawiarni Tahara, zachowywali się burzliwie, i kilku z nich, zbitych w gromadę, kłóciło się i krzyczało na końcu ulicy, niedaleko posągu kardynała. Opiekun Domini ujrzał ich i zawahał się.

— Sądzę, pani — rzekł — że lepiej będzie pójść w boczną uliczkę.

— Doskonale. Chodźmy tu, na lewo. Uliczka ta doprowadzi nas do hotelu, bowiem jest równoległa z domem wróżbiarza z piasku.

Cudzoziemiec drgnął.

— Wróżbiarza z piasku? — rzekł swym niskim, dziwnym głosem.

— Tak jest.

Weszła w małą uliczkę. On szedł z nią razem.

— Czyż go pan nie widział — tego człowieka z workiem piasku?

— Nie, pani.

— Mówi on przeszłość z piasku pustyni i przepowiada przyszłość.

Cudzoziemiec nic nie rzekł na to.

— Czy pójdziesz pan do niego z wizytą? — zapytała Domini ciekawie.

— Nie, pani. Nic mnie to nie obchodzi.

Naraz zatrzymała się.

— O, patrz pan! — rzekła. — Tu coś nowego na całej tej ulicy.

W małej uliczce balkony domów dotykały się. Lecz na ich poręczach nikt się nie pochylał. Głosy szczebiocące nie przerywały ciszy lękliwej, która panowała w tej dzielnicy Beni-Mory. Światło księżyca było tu słabsze, ściemione zwartym rzędem budynków, i przez chwilę nie widać tu było nikogo. Wrażenie ustronia i ciszy było tu głębokie — i ponieważ okna domów, drobne i okratowane, były ciemne, Domini zdawało się narazie, że mieszkańcy dzielnicy tej spoczywali już w śnie pogrążeni. Przechodząc atoli dalej, spostrzegła nikłe i białe światełko, indziej drugie — i wnękę domu: postać siedzącą i tworzącą ciemną sylwetę na białem tle; druga wnęka — i takaż postać siedząca. Zatrzymała się i stała bez ruchu. Cudzoziemiec stanął obok niej.

Uliczka była ulicą kobiet. W każdym domu z obu stron drogi — podobny obraz cierpliwego oczekiwania: wąski łuk mauretański z drzwiczkami drewnianemi, przywartemi do ściany, ukazywał schody i kręcące się wzwyż schodki, wiodące ku tajemnicy; na najwyższym stopniu zwykły lichtarz ze świeczką, drgającą płomykiem, a tuż pod nim — dziewczę, suto umalowane, okryte dziwacznemi klejnotami i wspaniale ubrane, z rękoma ubarwionemi henną, z nogami podgiętemi, z oczyma, śledzącemi z pod brwi mocno uczernionych i przedłużonych aż do spotkania się nad osadą nosa, ku któremu wiele czarnych punkcików zbiegało; z nagiemi bronzowemi kostkami, przybranemi w wielkie bransolety ze srebra i złota. Na każdą z tych czuwających świeca rzucała mdłe światło, w połowie odkrywając ją, w drugiej lewej połowie nurzając ją w cieniu, nad białemi schodami, otoczonemi białym murem. I w tej ciszy zupełnej, w zupełnym bezruchu, każda z nich wyglądała, jak pełnia tajemnicy, gdy tak patrzała bez przerwy w pustą i wąską uliczkę.

Dziewczyna, przed której mieszkaniem Domini zatrzymała się, była Uledą Nailą, z kwadratowem przybraniem głowy z barwnych piór i chustek, w szalu różowym i srebrnym, w niebieskiej spódnicy z jakiejś przeźroczej materji, osypanej srebrnemi kwiatkami, opasana szerokim srebrnym pasem, wysadzanym kwadratowemi kawałkami z czerwonego korala. Siedziała prosto i wyglądałaby istotnie, jak bożyszcze, usadowione do jakichś dziw-

nych pokłonów, gdyby jej długie oczy nie błysnęły i gdyby nie poruszyła się, zwracając uroczyście głowę ku Domini i ku mężczyźnie, który stał nieco opodal, patrząc z nad jej ramienia.

Gdy Domini zatrzymała się i wypowiedziała zdanie, nie mogła sobie uprzytomnić, do czego ulica ta była przeznaczona, poco dziewczęta te siedzą w ciszy czuwające, każda pojedyńczo na swych schodkach, oczekujące śród nocy. Lecz kiedy spojrzała i zobaczyła jaskrawe przybrania, poczęła pojmować. A gdyby jeszcze miała wątpliwości, zdarzenie, jakie teraz nastąpiło, musiałoby ją objaśnić.

Wielki Arab barczysty, jeden z prawdziwych mężów pustyni, prawie czarny, z wystającemi kośćmi policzkowemi, z wklęsłemi policzkami, z oczyma dzikiego jastrzębia, patrzącemi, jak w gorączce, z długiemi i chudemi członkami, jak stal twardemi, odziany w grube, bronzowe, na wzór wora szaty, w turbanie na głowie, obwiązanym sznurami z sierści wielbłądziej, posuwał się cicho ulicą, prześliznął się tuż przed Domini i zbliżył się do dziewczęcia, trzymając coś w swej dłoni kościstej. Rozmowa była tam krótka. Dziewczę przeciągnęło rękę na schodek, wzięło świecę, przybliżyło ją ku dłoni przybysza i, pochylone nad nią, liczyło pieniądze, jakie ów miał w garści. Policzyło je dwukrotnie, rozważając. Potem skinęła głową. Wstała, obróciła się, trzymając świecę nad kwadratowem przybraniem głowy, i poszła zwolna na górę, prowadząc za sobą Araba, który ujął grube swe szaty i uniósł je, pokazując nagie łydki. Oboje zniknęli bez szelestu w ciemnościach, pozostawiając opuszczone schodki, ich białe stopnie i białą ścianę, na którą księżyc rzucał mdłe blaski.

Dziewczę ani razu nie spojrzało na mężczyznę, lecz tylko na pieniądze w jego dłoni kościstej.

Domini zrobiło się gorąco i jakby niedobrze. Dziwiła się sobie, że stoi tu i patrzy się. Jednocześnie jakgdyby nie mogła się obrócić. A gdy cofnęła się na środek ulicy i szła, mając mężczyznę przy sobie, rozważała, co on o niej pomyśli. Nie mogła teraz mówić do niego. Była zanadto świadoma tych schodków oświetlonych, jedne rzędem za drugiemi, tych postaci cichych, tych oczu bacznych, w których błyskały żółte płomyki świecy. Towarzysz jej także nic nie mówił, lecz idąc błyskał lękliwie oczyma z jednej strony na drugą, a potem patrzał uporczywie na białą drogę. Gdy skręcili na prawo i przecho-

dzili koło ogrodów i gdy Domini ujrzała wielkie pióropusze palm, czarne w księżycu, uczuła się swobodniejszą i mogła znowu przemówić.

— Chciałabym, żeby pan wiedział, iż jestem całkiem obcą tym afrykańskim sprawom i ludziom — rzekła. — Dlatego w miejscowości, jak ta, mogę popadać w błędy. Ale oto i hotel — i moja panna służąca na werendzie. Jeszcze raz dziękuję panu za opiekę.

Byli już tylko parę kroków od drzwi hotelowych. Cudzoziemiec zatrzymał się, i Domini zatrzymała się także.

— Pani! — rzekł poważnie, z rodzajem wzruszenia, z trudem hamowanego. — Jestem... jestem rad. Ja... ja wstydzę się, wstydzę.

— Czego?

— Mego zachowania się — mego nieokrzesania. Lecz proszę mi wybaczyć. Ja nie przywykłem do towarzystwa pań — takich, jak pani. Cokolwiek zrobiłem, nie zrobiłem tego przez niegrzeczność. To tylko mogę powiedzieć. Nie zrobiłem tego przez niegrzeczność.

Zdawał się być prawie drżącym ze wzruszenia.

— Wiem, wiem o tem — rzekła Domini. — Zresztą — to drobiazg.

— Ach, nie, nie! To było wstrętne. Rozumiem to. Nie jestem tak gruboskóry, żebym nie miał tego rozumieć.

Domini wraz uczuła, że podzielić jego zdanie w tej sprawie, chociażby miało być ono przesądnem, było drogą najbardziej uprzejmą, zarazem najbardziej delikatną.

— Byłeś pan niegrzeczny względem mnie — rzekła — lecz od tej chwili przebaczam panu.

Przeciągnęła ku niemu dłoń. Ujął ją, i znowu uczuła, jakgdyby piec jakiś tchnął na nią żarem gorącym.

— Dobranoc.

— Dobranoc pani. Dziękuję.

Postąpiła ku drzwiom hotelowym, lecz zatrzymała się.

— Nazywam się Domini Enfilden — rzekła po angielsku.

Cudzoziemiec stał na ulicy, patrząc na nią. Czekała. Czekała, by rzekł jej swe nazwisko. On milczał. Wreszcie rzekł wahająco, po angielsku, z lekkim odcieniem cudzoziemskim:

— Moje nazwisko... Borys... Borys Androwski.

— Batucz mówił, że pan jest Anglikiem — rzekła.

— Matka moja była Angielką, lecz mój ojciec był Słowianinem — z Polski. Stąd moje nazwisko.

W głosie jego była chwiejność, jakgdyby stwierdzał rzecz, nie całkiem do wiary.

— Dobranoc — rzekła Domini.

I poszła zwolna, pozostawiając go w świetle księżyca na ulicy.

Nie pozostawał tu długo, ani nie poszedł w ślady jej do hotelu. Gdy zniknęła, przez małą chwilę stał, patrząc na opuszczoną werendę, na którą padały promienie księżycowe. Potem obrócił się i patrzał ku mieścinie, zawahał się i wreszcie poszedł wolno zpowrotem ku małej i ocienionej uliczce, w której na wąskich schodach siedziały umalowane dziewczęta, czuwając śród nocy.

IX.

Następnego ranka Batucz przybył z przepięknym siwym koniem arabskim dla Domini do spróbowania. Nocy uprzedniej nabroił on wiele, lecz Domini przebaczyła mu dosyć łatwo jego zbytnie zajęcie się Zuzanną, która widocznie zrobiła wielkie wrażenie na jego wrażliwej naturze. Hadi został tylko lekko zraniony przez Irenę, lecz nie zjawił się w hotelu dla dość zrozumiałej przyczyny. Oboje, tancerka i on, siedzieli tymczasowo w kozie, oczekując, aż stróżowie sprawiedliwości w Beni-Mora orzekną swe zdanie, kto ma być odpowiedzialnym za zamęt nocy ubiegłej. To, że istotnym winowajcą był uśmiechnięty poeta, nie przyszło im na myśl — a jemu nie mąciło zgoła pokoju. Kiedy Domini pytała go o Hadiego, okazał majestatyczną obojętność, a gdy wyrzucała mu jego chytry udział w urządzeniu tej sprawy, odrzekł spokojnie:

— Hadi-ben-Ibrahim będzie od tej pory wiedział, czy Mehari ze spuchniętym językiem umie kąsać.

Zaczem, wskoczywszy na konia, którego trzymał za uzdę, kazał mu wspinać się, zataczać koła, okazywać żywość i chód swój przed Domini, siedząc na nim wspaniale i rzucając częste powłóczyste spojrzenia ku Zuzannie, która patrzała, wychylona z poręczy werendy, z wyrazem zachwytu na twarzy.

Domini podziwiała konia, chciała atoli dosiąść go, zanim wyda sąd ostateczny. Przyniosła swe własne siodło i kazała Batuczowi osiodłać niem zwierzę. Tymczasem poszła na górę zmienić suknię. Kiedy powróciła na werendę, był na niej Androwski. Stał w słońcu z obnażoną głową i patrzał stąd na Batucza i na konia. Zwrócił się prędko, pozdrowił Domini głębokim ukłonem, potem patrzał na jej kostjum, odbijając w oczach zachwyt i nagłe olśnienie.

— Chcę spróbować konia — rzekła doń z uprzejmością swo-

bodną. — Chcę wiedzieć, czy mogę go kupić. Czy znasz się pan na koniach?

— Nie znam się, pani.

Przemówiła po angielsku i on odrzekł jej w tymże języku. Stała na górnym stopniu, trzymając lekko w prawej ręce szpicrutę. Wspaniałe jej kształty otaczała gładko i doskonale dopasowana suknia, i dostrzegła, jak on patrzał na nią z dziwnym wyrazem w oczach, z uwielbieniem, które było prawie dzikiem, a które było zarazem pełnem czci i nawet czystości. Był to wzrok jakgdyby rozmiłowanego chłopca ze szkoły, kłoniącego się przed młodą dzielnością, którego instynkty przyrodzone były na straży, lecz którego temperament nie był jeszcze spaczony przez grzech; wzrok, który był hołdem płonącym, który wieścił całe dzieje płci i pewnie gorącej, dociekającej niewiadomości — dziwny wzrok człowieka, który już nie był młodzieńcem. Pod wzrokiem tym coś w niej drgnęło, zadrżała. Wstrząsnęła się i była prawie zła na to, lecz nie na oczy, które to spowodowały.

— *Au revoir* — rzekła, zabierając się do zejścia.

— Czy mogę... czy mogę zobaczyć, jak pani będzie wchodziła? — rzekł Androwski.

— Wchodziła! — rzekła.

— Na konia.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu na ten sposób wyrażania się o akcie wsiadania na konia. Nie był sportsmanem — oczywiście, pomimo swej muskularnej budowy.

— Naturalnie, jeżeli pan życzy sobie. Chodźmy.

Całkiem nie myśląc o tem, mówiła raczej, jak się mówi do małego chłopca ze szkoły, nie z wyższością, lecz z rodzajem lekceważenia, jakie się stosuje czasami uprzejmie do młodzieży. On zdawał się nie rozumieć tego i poszedł za nią pod arkadę. Siwek był już osiodłany, i poeta trzymał go za uzdę. Kilku chłopców arabskich zebrało się pod arkadą, by patrzeć na wyjeżdżających. Arab, właściciel hotelu, stał leniwie we drzwiach hotelowych, a kutas jego fezu zwieszał się na bladym jego policzku. Koń szarpał się i niecierpliwił, unosząc niezgrabnie z ziemi swe delikatne nogi, długim swym ogonem zamiatając wąską przestrzeń i patrząc wbok swemi ciemnemi, iskrzącemi się oczyma, które pełne były żywej inteligencji nerwowej, aż prawie gorączkowej. Domini podeszła do niego i pogłaskała go

dłonią. Wspiął się dęba i zarżał. Całe jego ciało zdało się drżeć żądzą wylotu szalonego — hen wdal, na miejsca samotne.

Androwski stał blisko gospodarza hotelu, patrząc na Domini i na konia z zachwytem i wielkiem olśnieniem w oczach.

Zwierzę, zniecierpliwone bezczynnością, poczęło się rzucać gwałtownie i wyrywać z rąk.

— Daj mi uzdę — rzekła Domini do poety. — Tak! A teraz podstaw mi rękę pod nogę.

Batucz spełnił rozkaz. Noga jej tknęła jego ręki — i już była na siodle.

Androwski poskoczył na drogę. Oczy jego płonęły niepokojem. Spostrzegła to i zaśmiała się raźnie.

— O! on nie jest narowisty — rzekła. — A tylko narów może być niebezpieczny. W pysku doskonały, lecz jest nerwowy i potrzebuje kierowania. Przejadę na nim do ogrodu i zpowrotem. Ściągała go za uzdę. Teraz puściła go wolno i pogalopowała prosto drogą pomiędzy palmami ku stacji. Ksiądz wyszedł był właśnie do swego ogródka z Bu-Bu i wychylił się nad żywopłotem, obserwując galopującą. Bu-Bu zaszczekał przenikliwym sopranem. Chłopcy arabscy podskakiwali w obrotach gołemi nogami, a jeden z nich, który był czyścibutem, wymachiwał szczotką ponad swą ogoloną głową. Arab hotelowy uśmiechał się, jakgdyby z zadowolenia, że ma przed sobą zupełną umiejętność rzeczy. Lecz Androwski stał wciąż bez ruchu, patrząc na kurzem zasłaną drogę i na zmniejszające się kształty konia i jeźdzca, a gdy już zniknęli, pozostawiając za sobą jasną chmurę piasku, wirującą w słońcu, westchnął ciężko i pochylił głowę na piersi, jak człowiek zmęczony.

— Mogę także i panu dostarczyć konia. Czy życzy pan sobie mieć konia?

Był to pełny, uwodzicielski głos poety. Androwski poruszył się.

— Nie jeżdżę konno — rzekł krótko.

— Ja pana nauczę. Jestem najlepszym nauczycielem w Beni-Mora. W ciągu trzech lekcji będzie pan...

— Nie jeżdżę konno, mówię ci.

Androwski wyglądał gniewnie. Wyszedł na drogę. Bu-Bu, który teraz obserwował przyrodę u wrót księżowskiego ogrodu, wychynął z pewną zwinnością i pocwałował ku niemu, oczywiście, z zamiarem zawarcia znajomości. Podbiegłszy, zadarł głowę

i krótko zaszczekał, merdając jednocześnie ogonem w sposób przychylny, chociaż nie wylewny i jakby pytający. Androwski spojrzał ku niemu, szybko się pochylił i pogłaskał go, jak człowiek, który prawdziwie lubi zwierzęta i wie, jak je trzeba głaskać. Bu-Bu roztoczył szczodrze swą wdzięczność. Począł się kręcić, oznajmiając uczucia. Ksiądz uśmiechnął się ze swego ogródka. Androwski nie widział go i dalej bawił się z psem, który teraz czynił przygotowania do położenia się na swoim kudłatym grzbiecie śród drogi w nadziei, że zostanie podrapany — akt, który lubił niezmiernie. Wciąż uśmiechnięty i z przyjaznym wyrazem twarzy ksiądz wyszedł ze swego ogródka i zbliżył się do igrających.

— Dzieńdobry panu — ozwał się grzecznie, unosząc kapelusza. — Widzę, że pan lubi psy.

Androwski podniósł się, pozostawiając Bu-Bu w proszącej pozycji, z łapami nabożnie wyciągniętemi ku niebu. Kiedy zobaczył, że to ksiądz zwraca się do niego, twarz jego zmieniła się, zastygła w grymasie, a usta zlekka zadrgały.

— To jest mój piesek — ciągnął ksiądz głosem uprzejmym. — Poczuł widocznie wielką skłonność do pana.

Batucz obserwował Androwskiego z pod arkady i zauważył raptowną zmianę jego wyrazu i całego zachowania się.

— Nie wiedziałem, że to jest pański pies, w przeciwnym razie nie ruszałbym go wcale — rzekł Androwski.

Bu-Bu począł znów tańczyć u jego stóp. Odepchnął go raczej szorstko i skierował się zpowrotem ku arkadzie. Ksiądz spojrzał zdziwiony i zlekka dotknięty. W tejże chwili rozległ się głuchy tętent kopyt końskich na drodze, i Domini, galopując, podjechała zpowrotem pod hotel. Twarz jej promieniała, oczy się iskrzyły. Skłoniła się księdzu i skierowała ku drzwiom hotelowym, gdzie stał Androwski.

— Kupuję go — rzekła do Batucza, który rósł z zadowolenia na myśl o zarobku. — I zaraz jadę na daleką wyprawę, hen w pustynię.

— Pani nie pojedzie sama, proszę pani?

Był to głos księdza. Uśmiechnęła się do niego wesoło.

— Czy mam się obawiać, że mnie porwą nomadzi, proszę pana?

— Nie jest to rzeczą bezpieczną dla pani, proszę mi wierzyć.

Batucz wystąpił naprzód, żeby poprzeć księdza.

— Ja jestem pani przewodnikiem. Mam już konia osiodłanego, żeby pani towarzyszyć. Posłałem już po niego, proszę pani.

Jeden z chłopców arabskich biegł już istotnie, co sił, w kierunku ulicy Berty. Twarz Domini naraz się zamroczyła. Obecność przewodnika odbierze cały urok tej uciesze, której dreszczów zakosztowała już świeżo w krótkiej przejażdżce galopem. Żyła teraz pragnieniem szczęścia, swobody.

— Nie potrzebuję ciebie, Batucz — rzekła.

Lecz poeta był nieubłagany, czując za sobą plecy księdza.

— To jest mój obowiązek towarzyszyć pani. Odpowiadam za pani bezpieczeństwo.

— W rzeczy samej, pani nie może jechać sama w pustynię — rzekł ksiądz.

Domini spojrzała na Androwskiego, który stał w milczeniu pod arkadą, nieco odosobniony, patrzący nieporęcznie i baczny na siebie. Na drodze od ulicy Berty rozległ się tętent galopującego konia. Czyścibut wracał gwałtownie, bełtając gołemi nogami z obu stron ognistego kasztana z potoczystą grzywą i ogonem.

— Panie Androwski — rzekła.

Androwski drgnął.

— Pani!

— Czy nie zechciałby pan pojechać ze mną w pustynię?

Twarz jego oblała się szkarłatem, postąpił krok naprzód, patrząc na nią.

— Ja? — rzekł z akcentem ogromnego zdziwienia.

— Tak jest. Czy chcesz pan?

Kasztan wpadł, jak grom, i został rączo osadzony na tylnych nogach. Androwski spojrzał na niego zubocza i zawahał się. Domini pomyślała, że odmówi jej, i żałowała teraz, że go prosiła, żałowała tego bardzo.

— A niech tam! — rzekła prawie brutalnie w udręce, iż to zrobiła.

— Batucz!

Poeta miał już wskoczyć na konia, kiedy Androwski ujął go za ramię.

— Ja siadam — rzekł.

Batucz spojrzał nieżyczliwie.

— Przecież pan mówił, że pan nie...

Zatrzymał się. Ręka na jego ramieniu sprawiała mu ból; odczuł, jakgdyby kleszcze stalowe chwyciły jego ciało. Androwski zbliżył się do kasztana.

— O! To siodło arabskie — rzekła Domini.

— Nie szkodzi, pani.

Twarz jego była surowa.

— Czyż pan z niem obyty?

— To mi wszystko jedno.

Ujął uzdę i włożył nogę w strzemię, lecz tak niezgrabnie, iż uderzył konia w bok. Koń ruszył.

— Baczność! — rzekła Domini.

Androwski zawisł i wgramolił się jakoś na siodło, spadając na nie ciężko, z łoskotem. Koń, całkiem teraz spłoszony, wspiął się gwałtownie, a potem wyrzucił zadem. Androwski został odrzucony na wysoki czerwony łąk siodła i rękoma tknął szyi konia. Poczęła się walka. Szarpnął gwałtownie rzemienie. Koń rzucił się wtył, stanął dęba, zboczył się, jakgdyby chciał pomknąć. Androwski został wyrzucony i spadł ciężko na prawe ramię. Batucz pochwycił konia, podczas gdy Androwski podniósł się. Był cały biały od kurzu. Kurz okrywał także jego twarz i jego krótkie włosy. Patrzał z pasją.

— Pani widzi — począł Batucz, zwracając się do Domini — że pan nie...

— Dawaj uzdę! — rzekł Androwski.

Głęboki głos jego zadrżał dźwiękiem strasznym. Patrzał nie na Domini, lecz na księdza, który stał nieco opodal z wyrazem zmieszania na twarzy. Bu-Bu szczekał gwałtownie na cały ten zatarg. Androwski ujął uzdę, z rodzajem wściekłego postanowienia skoczył na siodło i ścisnął boki konia nogami. Koń wspiął się. Ksiądz cofnął się wtył, pod drzewa palmowe. Chłopcy arabscy rozpierzchli się. Batucz szukał schronienia pod arkadą, a koń, z krótkiem, rozpacznem zarżeniem, które było, jak krzyk burzy, pomknął pomiędzy trzonami drzew z kopyta na pustynię i zniknął po chwili.

— Zabije się — rzekł ksiądz.

Bu-Bu zaszczekał junacko.

— Sam będzie winien — rzekł poeta. — Sam mi mówił przed chwilą, że nie umie jeździć.

— Czemuś mi nie powiedział tego? — zawołała Domini.

— Pani...

Ale jej już nie było. Ruszyła za Androwskim lekkim galopem, w obawie, by koń jej nie przestraszył, nadjeżdżając, konia Androwskiego. Wyjechała z cienia palm na słońce. Przed nią była pustynia. Zbadała ją bacznie oczyma i ujrzała konia Androwskiego daleko w łożysku rzeki, wciąż galopującego na południe, ku tej krainie, o której mówiła mu na wieży, że tam, jak mniema, jest pokój. Wyglądało to, jakgdyby uwierzył jej na ślepo i junacko szedł na poszukiwanie pokoju. A ona dąży oto za nim poprzez oślepiającą słoneczność. Była nareszcie w pustyni, poza ostatniem pasmem zieleni, poza ostatnią linją palm. Wiatr pustyni owiewał jej twarz, igrał z jej włosami. Rozłogi pustyni roztaczały się dokoła niej. Pod kopytami jej konia leżały iskrzące się kryształy pomarszczonej, spalonej słońcem ziemi. Skały czerwone, pozszywane wielu pasmami barwnemi, które świadczyły o pierwotnych ogniach i o nieustannem działaniu gorąca, stłaczały się nad nią. Oczy jej atoli były utkwione w daleką plamę ruchomą: plamą tą był koń, niosący szalenie Androwskiego w kierunku południa. Światło i żar, dech wielki, uczucie zmiany — upajały ją. Podcięła konia szpicrutą. Skoczył, jakby przesadzając niezmierzoną przeszkodę, opadł łagodnie i pomknął naprzód w szalonym galopie ku tajemnicy błyszczącej. Czarna plama stawała się większą. Doganiała ją. Pokruszona ława skalna na lewo od niej odsłoniła urwisko, na którem nikła ścieżka wiodła dziko wgórę ku płaszczyźnie, która była za nią. Skierowała tam konia i wjechała rychle pomiędzy drobne wzgórki, na których rosły chwasty i krzaki tamaryszków. Szary piasek przewiewał tu pośród nóg końskich. Androwski był ciągle poniżej niej na cięzkim gruncie, dokąd wody podchodziły falami. Dopędzała go wciąż bardziej i bardziej, aż była z nim równolegle i mogła widzieć jego pochyloną figurę, jego ręce, wsparte na łęku czerwonego siodła, jego wyciągnięte naprzód nogi, stopy, wlepione w krótkie strzemiona z metalowemi nosami. Ogień konia był już na wyczerpaniu, z nóg jego pierzchnął przestrach. Gdy tak patrzała, ujrzała, że Androwski wzniósł ręce z łęku siodła, chwycił za wolną uzdę, pociągnął ją do góry, odsadził się wtył na siodle i całą siłą ściągnął konia. Koń stanął, jak wryty.

— Jak przepotężna musi być jego siła! — pomyślała Domini, przejęta zachwytem.

Nadciągnęła też na urwisko ponad nim i pozdrowiła go. Odwrócił głowę, zobaczył ją i skierował bez namysłu konia na urwisko, które w tem miejscu było strome i nie miało dostępu.

— Nie rób pan tego! — zawołała.

On w odpowiedzi wbił pięty swoich ciężkich butów w boki konia i ruszył bez pamięci. Domini pomyślała, że albo koń odmówi posłuszeństwa, albo spróbuje wskoczyć i stoczy się wtył na jeźdźca. Dał skok i, jak kot dziki, się drapał. Wszczął się hałas od padających kamieni, cała ulewa rozbitych brył ziemi posypała się wdół — i oto był już obok niej, biały od kurzu, ociekający potem, zdyszany — tak, iż zdawało się, że pracujący oddech rozerwie mu piersi, z panią końską u swego czoła i z dzikim, wraż zwycięskim jeszcze ogniem w oczach.

Patrzali na siebie oboje w milczeniu, podczas gdy ich konie, stojąc spokojnie, skłoniły swe wąskie, wdzięczne głowy i tknęły się nosami w delikatnym wywiadzie.

— Myślałam już prawie...

Zatrzymała się.

— Tak? — rzekł on, chwytając wielki oddech, który był, jak spazm płaczu.

—... żeś pan zajechał do środka ziemi, lub... nie wiem zresztą, co myślałam. Czyś pan nie skaleczony?

— Nie.

Mógł mówić obecnie tylko monosylabami. Ona badała wzrokiem jego konia.

— Teraz nie zada on już panu wiele kłopotu. Wracamy?

Gdy to mówiła, poniosła tęskny wzrok ku dalekiej pustyni, na której skraju była ciemna zielona linja, znacząca odległe palmy oazy.

Androwski wstrząsnął głową.

— Ale pan... — Zawahała się. — Może pan nie przyzwyczajony do koni, a na tem siodle...

On wstrząsnął znów głową, wciągnął potężnie dech i rzekł:

— Nie dbam o to. Jadę. Nie wracam.

Podniósł jedną rękę, starł pianę ze swego opływającego potem czoła i rzekł znów dziko:

— Nie wracam.

Twarz jego była niezwykła z tym wyrazem namiętnym, wyzie-

rającym skroś pot i pył; była to jakgdyby twarz człowieka, który walczył ze śmiercią, walczył na pięści. Tak Domini pomyślała. Była rada z jego ostatnich słów, żelazny dźwięk jego głosu znęcił ją.

— Jedźmy tedy.

Poczęli więc jazdę ku ciemnej zielonej linji oazy, wolno, po obszarze piaszczystym, pośród wzgórków okrągłych, na których rosły zakurzone kępy z krzewami.

— Czyż się pan nie stłukł, spadając? — rzekła. — Wyglądało to na złe upadnięcie.

—Nie wiem, czy się stłukłem. I nie dbam o to, czy się stłukłem.

Mówił prawie szorstko.

— Pani mnie prosiła, żebym z nią jechał — dodał. — Jadę z nią.

Przypomniała sobie, co Batucz jej powiedział. W człowieku tym istotnie był poryw, poryw, który się wznosił śród jego nieopatrznej niezręczności, wahania, szorstkości i nieumiejętności, jak skała czarna śród morza. Nic nie odrzekła. Jechali dalej, prawie wolno. Koń jego, poznawszy jego wolę i jego siłę, jako ostateczność jego nieumiejętności, szedł spokojnie, chociaż wciąż z tą powiewnością, lekkością, z tem gubieniem chodu, właściwem czystej krwi Arabom, które przypomina raczej jazdę po pulchnej ziemi wiosennej, niż po twardym gruncie. Androwski też zdawał się już być nieco więcej oswojony, chociaż siedział niezgrabnie w siodle, podobnem do fotela, i chwytał się tak uzdy bez mała, jak tonący chwyta się słomy. Domini jechała, nie patrząc na niego, żeby nie myślał, iż krytykuje jego sposób jazdy. Kiedy się stoczył tam w kurzu, miała świadomość uczucia ostrego pogardy. Ludzie, z którymi przywykła obcować w swem życiu, jeździli, strzelali, grali w gry, jak mistrzowie. Sama była siłaczką i, jak wszystkie prawie silne kobiety, była skłonna do litowania się nad mężczyzną, który nie był tak silny i tak zręczny, jak ona. Ten mężczyzna atoli zabił w niej odrazu pogardę swojem desperackiem postanowieniem walki i nie poddania się. Poznała z wejrzenia, jakie właśnie dostrzegła w jego oczach, iż gdyby jazda z nią znaczyła tyle, co śmierć dla niego, niemniej byłby jej dokonał.

Jako kobieta lubiła hołdy, a nawet więcej, niż lubiła je.

— Koń pański idzie już teraz lepiej — rzekła wreszcie, by przerwać ciszę.

— Czy tak? — rzekł.

— Pan nie wiesz o tem?

— Proszę pani, ja nic nie wiem o koniach i o jeździe. Nie siedziałem na koniu od dwudziestu lat.

Domini spojrzała zdumiona.

— Powinniśmy tedy powrócić! — zawołała.

— Dlaczego? Inni jeżdżą... i ja chcę jeździć. Ja robię to brzydko. Proszę mi darować.

— Darować panu! — rzekła. — Ależ ja się zachwycam tą pańską odwagą. Ale dlaczegoś pan wszystkie te lata nie jeździł konno?

Po pewnej przerwie odrzekł:

— Nie miałem... nie miałem sposobności.

Głos jego naraz się zaciął. Nie podjęła dalej tej sprawy, lecz poklepała konia po szyi i zwróciła oczy ku ciemno-zielonej linji na widnokręgu. Teraz, gdy była prawdziwie na pustyni, czuła się tem prawie jak odurzoną, i jakgdyby daleko mniej ją rozumiała, niż kiedy patrzała na nią z ogrodu księcia Anteoni'ego. Tysiące tysięcy piaszczystych wzgórków, każdy uwieńczony zakurzonym krzem karłowatym, każdy najdokładniej taki sam, jak drugi — poruszały się, jakgdyby miały wyobrażać jakąś żywą rzeszę niezmierzoną. Pragnęła jakiegoś punktu, który mógłby zatrzymać jej oczy w tej podróży, lecz nie mogła go znaleźć — i w myślach swych pozostała bez oparcia, jak pływak w morzu dalekiem, który jest ścigany falami i który widzi przed sobą pianę nieustającą tego, co się tłoczyło na horyzoncie. Gdzież to ona jechała? Możnaż mieć cel w tej niezmierzonej przestrzeni? Uczuła wszechwładną potrzebę znalezienia celu — i raz jeszcze spojrzała na zieloną linję widnokręgu.

— Czy sądzisz pan, że dojedziemy aż tam — daleko? — zapytała Androwskiego, wskazując szpicrutą.

— Tak jest, pani.

— To musi być oaza. Jak panu się zdaje?

— Tak jest. Mogę jechać prędzej.

— Puść pan wolniej uzdę. Nie ściągaj pan pyska. Niech pan nie ma za złe, że mu to mówię. Całe me życie miałem do czynienia z końmi.

— Dziękuję pani — odrzekł.

— I pięty trzymaj pan więcej nazewnątrz. O, tak lepiej. Jestem pewna, że mógłbyś mnie pan nauczyć tysiąca rzeczy; niechże mi wolno będzie nauczyć pana tej jednej.

Rzucił dziwny wzrok na nią. Była we wzroku tym wdzięczność, lecz razem i więcej jeszcze: gorycz ognista, i coś dziecięcego, i coś bezradnego.

— Nic nie mam do nauczenia — rzekł.

Konie ich puściły się kłusa, i wraz z szybkim ruchem Domini uczuła więcej pokoju. W mózgu jej powstała dziwna lekkość, jakgdyby myśli zostały z niego wytrzęsione na kształt piór z worka. Władza skupienia opuściła ją i uczucie niefrasowności — iście cygańskie — przyszło na nią. Ciało jej, pogrążone w suchem i lekkiem powietrzu, jak w czystej, letniej kąpieli, nie cierpiało od palących promieni słońca, lecz czuło promienność i razem półomdlenie. Jechali tak, wciąż milcząc, jakby druhowie serdeczni jechali razem, odgrodzeni od świata i radzi wzajem ze swego towarzystwa, dostatecznie radzi, by nie czuć potrzeby rozmawiania. Ani razu nie wydało się to dziwnem Domini, że jedzie tak daleko w pustynię z człowiekiem, o którym nic nie wiedziała, lecz w którym zauważyła niepokojące rzeczy osobliwe. Nie bała się, to oczywiste, lecz to mało ważyło na jej postępowaniu. Nie oświadczając sobie tego, czuła, że może ufać temu człowiekowi.

Ciemna linja zielona ukazywała się wyraźniej poprzez blask słońca na przestrzał ślepiącej równiny. Już można było dostrzec w niej pewne nieprawidłowości, jakgdyby zamazane pociągnięcia pendzla, rzucone na płótno niepewną ręką, lecz nie można było jeszcze rozpoznać drzew palmowych. Powietrze iskrzyło się, jakgdyby było pełne drobnego pyłu silnie błyszczących klejnotów, a niżej ziemi zdało się drgać wirem tańczących punktów światła. Naokół była pustka i naokół — to pewne — był nieustanny ruch drobnych rzeczy żywotnych, ledwie widzialnych feryj słonecznych — wieczystego igrania.

Niefrasowność Domini wciąż się zwiększała. Nigdy przedtem nie czuła tak rozkosznej wolności. Głowa i serce jej były lekkie, wolne od myśli i miłości. Smutne myśli i myśli poważne nie miały tu przystępu. Bowiem krew była pełna promieni słonecznych, tańczących pod lutnię Apollina. Nic jej nic obcho-

dziło. Nawet śmierć była tu przybrana w złote szaty i chodziła stopą powietrzną. O, tak! Z tych obszarów drżącego światła i gorąca Arabowie czerpać muszą swą łatwą i świetną rezygnację. Każdy tu był w rękach Boga, który prawdziwie śpiewał tu, kiedy tworzył, a nie stworzył był całkiem strachu.

Upłynęło sporo minut czasu, lecz Domini nie troszczyła się ani o czas, ani o nic innego. Zielona linja pocięła się w pierzaste kępki, szerzące się wciąż jeszcze daleko odległym mrokiem palm.

— Woda!

Głos Androwskiego zadrżał przy tem słowie. Domini zatrzymała konia. Konie obojga stanęły obok i naraz, z ustaniem ruchu, spadł na nich mistycyzm pustyni i czarodziejstwo jej milczenia, tak, iż zdało im się, że są gdzieś w śnie czarodziejskim — oni i konie ich, jak z sennej krainy.

— Woda! — rzekł znowu.

Wskazał ręką — i na prawym skraju oazy Domini ujrzała szare i ciche wody. Palmy wchodziły w nie, łagodnie przez nie opływane. Na łonie ich tu i owdzie wznosiły się drobne, ciemne wysepki. Tak, były to wody i nadto jeszcze — tajemnica ich była tajemnicą, której nigdy jeszcze nie spotkała, nawet nad białemi północnemi morzami o zmroku zimowych godzin. Była ona głębszą, niźli tajemnica weneckich *laguna morta* w chwili, gdy dzwonek na Anioł Pański dźwięczy o zachodzie i gdy każda łódz odległa, każdy przewoźnik pochylony i rybak cierpliwy stają się cudem, rzeczą w złocie odlaną.

— Czyżby to miraż? — rzekła do siebie prawie szeptem.

I naraz zadrżała.

— Tak, to musi być miraż.

On nic nie rzekł. Lewa ręka, trzymająca uzdę, opadła na łąk siodła i patrzał poprzez obszar, naprzód wychylony i poruszając wargami. Domini patrzała na niego i zapomniała nawet o fata morganie. tak ją zdjęła raptowna tęsknota zrozumienia dokładnego, co on czuł w tej chwili. Tajemnica jego — tajemnica tego, co jest ludzkie i co wiecznie wyciąga ramiona — była jakby rozpłynioną tajemnicą mirażu i zdała się w tej chwili spływać z tajemnicą, w której teraz wiedziała, że gości. Miraż był w nich, tak jak był daleko przed nimi w pustyni, cichy, szary, pełny na pewno ruchu nieodróżnianego i nawet być może dźwięku, którego nie mogli słyszeć.

Wreszcie on odwrócił się i spojrzał na nią.

— Tak, to musi być miraż — rzekł. — Nic, które zdaje się być tak bardzo czemś. Człowiek idzie w pustynię i znajduje tam miraż. Wędruje nawprost i oto, co osiąga — a nawet zgoła nie może tego sięgnąć, tylko widzi to zdala. I to jest wszystko. Zali to samo człowiek znajduje, gdy idzie do świata?

Pierwszy to raz mówił bez wszelkiego śladu krępowania przed nią, gdyż nawet tam na wieży, chociaż w głosie jego było wzburzenie i dzikość pewnej dziwnej pasji w jego słowach, była walka w jego zachowaniu się, jakgdyby nacisk czucia zmuszał go do mówienia wbrew czemuś, co mu kazało milczeć. Teraz mówił, jak do kogoś, kogo znał i z kim o wielu już rzeczach rozmawiał.

— Pan to musisz niechybnie wiedzieć lepiej ode mnie — rzekła.

— Ja!

— Tak jest, pan. Pan jesteś mężczyzną, pan bywałeś w świecie i wiesz, co ma on do dania — czy ma on tylko miraż, czy coś, co można wziąć, i czuć, i żyć tem, i...

— Tak jest, jestem mężczyzną i winienem to wiedzieć — odparł. — A więc — nie wiem tego, lecz mam zamiar to poznać.

W głosie jego zadźwięczało coś dzikiego.

— Chciałabym i ja to poznać — rzekła Domini spokojnie. — I czuję, iż jakgdyby pustynia miała mnie nauczyć tego.

— Pustynia — jakim sposobem?

— Nie wiem.

Androwski znów wskazał na miraż.

— Lecz oto jest, co ma w sobie pustynia.

— To — a co jeszcze?

— Czyż ma co jeszcze?

— Może wszystko — odrzekła. — Jestem, jak pan. Chcę wiedzieć.

Spojrzał prosto w jej oczy, i było coś władnego w jego wyrazie.

— Pani sądzi, że to pustynia może panią nauczyć, czy świat daje coś innego, niż miraż — rzekł zwolna. — Ja tedy nie sądzę, by to pustynia miała mnie tego nauczyć.

Ona nic już nie rzekła, lecz ruszyła z miejsca i jechała dalej.

On jechał za nią, a jadąc niezgrabnie, choć śmiało, cisnąc swe silne lędźwie do boku konia i, pochylając naprzód swe smukłe ciało, patrzał na postać Domini i na jej świetny kształt elastyczny — który się tak podawał koniowi, jak fale podają się wichrom — z pasją zazdrości w oczach.

Nie mówili już ze sobą, aż póki wielkie palmy ogrodu oazy, które byli widzieli zdaleka, nie były tuż blisko przed nimi. Z pustyni wyglądały one razem i nędznie i wspaniałe, jakgdyby jakiś miljoner wydał był kapitał na stworzenie tu raju i, gdy był on już bliski ukończenia, naraz pożałował swego kaprysu i nie wyłożył nawet grosza na dalsze urządzenie. Całe tysiące potężnych drzew okalał tu wszędy nieprawidłowy wał z twardej ziemi, na którego wierzchołku w odstępach były rozsadzone krzaki cierniowe. Wał ten sprawiał surowy i jałowy wygląd i był ostrym kontrastem do tajemnicy egzotycznej, której strzegł. Lecz prostota jego w dzikich blaskach słońca nie była nieprzyjemną. Podobała się nawet Domini. Zdawało się jej, jakgdyby pustynia wytoczyła tu fale, by strzec tej śmiałej oazy, która ważyła się rzucić swą zieloną chwałę, jak wyzwanie, w twarz całej Sahary. Wielki trakt, iskrzący się kamieniami, poryty koleją, dziurami i wybojami, wił się od pustyni między wałami ziemnemi i znikał w sercu oazy. Tam podążyli i oni.

Domini ogarnął rodzaj jakiejś romantycznej ciekawości. Ten przepych palm tu wdali, pośrodku takiej pustki, rozsnuty widocznie ręką ludzką — nie było bowiem pośród palm ruchu istot, ani ducha żywego na drodze — nastręczał myśli o jakiemś ukrytem przedsięwzięciu i czynności, o jakiejś tajemniczej osobistości, może o jakimś wschodnim Anteonim, którego posiadłości muszą gdzieś być poza tem. Jak czuła zew pustyni, tak teraz czuła zew oazy. W kraju tym coś wiecznie wzywało, żeby iść naprzód, szukać, przenikać, być pielgrzymem namiętnym. Była ciekawa, czy serce jej towarzysza słyszało także to wezwanie.

— Nie wiem, czem się to dzieje — rzekła — ale ja ciągle tutaj czegoś oczekuję. Ciągle mam uczucie, jakgdyby jakaś cudowna rzecz miała mi się przytrafić.

Nie dodała: — A pan? — lecz spojrzała na niego, czekając odpowiedzi.

— Tak jest, pani — rzekł.

— Przypuszczam, iż to dlatego, że jestem nowicjuszką

w Afryce. To moja pierwsza tu bytność. Nie tak, jak pan. Nie umiem po arabsku.

Naraz zastanowiła się nad tem, czy pustynia była taką samą nowością dla niego, jak i dla niej. Była przekonaną, że tak. Ponieważ jednak mówił po arabsku, było rzeczą niemal pewną, że wiele czasu przebywał w Afryce.

— Nie mówię dobrze po arabsku — odrzekł jej.

I patrzał wdal ku gęstym szeregom palm. Trakt zwężał się, aż wreszcie drzewa z obu stron rzuciły na niego wzorzyste, ruchome cienie, i tajemnica milcząca pogłębiła się. Jak daleko można było sięgnąć wzrokiem, wachlarzowate pióropusze liści kołysały się w łagodnym wietrzyku. Pustynia zniknęła, lecz słała za nimi wysłańca swej duszy, oddech czarowny, którym Domini upajała swe płuca tak długo przedtem, zanim ją zobaczyła. Oddech ten był jakgdyby jej obecnością. Mieszkał w całej oazie. Wysokie wały ziemne zakrywały ogrody. Domini chciała bardzo zajrzeć od góry i zobaczyć, co one ukrywały: czy były jakie siedziby w tych ciemnych i milczących ustroniach, jakie stawy wodne, kwiaty, łąki i trawniki?

Koń jej zarżał.

— Coś się stanie — rzekła.

Skręcili wbok i naraz byli już w wiosce. Gromada półnagich dzieciaków rozpierzchła się z pod stóp końskich. Rzędy siedzących mężczyzn w białych i koloru ziemnego ubraniach patrzały na nich z pod cieniów wysokich lepianek bez okien. Białe psy rzucały się tu i tam na płaskich dachach, wychylając złośliwe pyski, pokazując zęby i zajadle szczekając. Kury pierzchały w popłochu z jednej strony na drugą. Siwy muł, przywiązany do drzwi z palmowego drzewa i naładowany chróstem, wierzgał ku Murzynowi; ów naraz począł go okładać zapamiętale kijem. Długi sznur jęczących wielbłądów ciągnął ku nim naprzeciw, jakgdyby się skradając i w pochodzie swym, w niezmienności łagodnej i zmęczonej, zwracając głowy na prawo, to na lewo. Woddali ukazywał się plac targowy, natłoczony ruchomemi postaciami i brzęczący szmerami.

Przejście od pokoju tajemniczego do tej jawy i skupionego życia było wstrząsające.

Z trudem unikali następowania wielbłądów, wjeżdżając końmi aż w środek drzemiących przy ścianach mężczyzn, którzy chro-

nili się, tłocząc, na miejsca bezpieczne, a potem stawali i okrążali ich, patrząc na nich z zajęciem, prawie strasznem, i badając ich konie oczyma znawców. Dzieciaki tańczyły, wyciągając ręce po jałmużnę, a drab olbrzymi, z przetrąconym nosem i żółtemi, jak kły zwierzęce, zębami, położył swą łapę wielkoluda na uździe Domini i mówił okropną francuszczyzną:

— Jestem przewodnik, jestem przewodnik. Proszę zobaczyć świadectwa. Proszę nie brać nikogo. Ludzie tu to zbóje. Ja jeden uczciwy. Ja wszystko pokażę pani. Ja zaprowadzę panią do oberży. Proszę — oto świadectwo! Proszę czytać! Proszę czytać, co angielski lord mówi o mnie. Ja tu jeden uczciwy. Ja jestem uczciwy Mustafa. Ja jestem uczciwy Mustafa!

Wtykał jej w rękę paczkę kolorowych papierów i brudnych kart wizytowych. Upuściła je, śmiejąc się, i rozleciały się po szyi końskiej. Drab skoczył zbierać je, dokoła napastowany przez rabusiów. Ukazała się na drodze druga karawana wielbłądów, na której przedzie szło kilku brudnych ludzi w gałganach, krzycząc: „Oosz, oosz!“ — żeby oczyścić drogę. Drab, poskładawszy swe świadectwa, puścił się na spotkanie karawany, odsuwając ją wtył, kopiąc wielbłądy i okładając je kijem, aż póki nie ustąpiły z frontu, następowane przez te, co szły ztyłu — tak, że wkrótce cała ulica była zablokowana stłoczonemi zwierzętami i napełniła się rykiem, rżeniem, łomotem ładunków drewnianych, uderzających się wzajem, i desperackiemi protestami poganiaczów, z których jeden stoczył się raptem w brudny śmietnik wraz z turbanem, opadłym z głowy.

— Oberża! Tu jest oberża! Niech pani tu zsiądzie. Pani będzie jadła w ogrodzie. Panie Alfonsie! Panie Alfonsie! Tu są goście, przyjechali na *déjeuner*. Sprowadziłem ich tutaj. Nie wierzysz pan Mohamedowi? Tu, tu — proszę pani, niech pani zsiada, pomogę pani, tu...

Domini znalazła się w małym szynczku przed rzędem butelek absyntu, śmiejąca się, omal że bez tchu. Prawie nie wiedziała, jak się tu dostała. Obejrzawszy się, zobaczyła Androwskiego wciąż jeszcze siedzącego na koniu pośród hałasującego tłumu. Chciała wyjść na próg, lecz Mustafa zagrodził jej drogę.

— Tu jest Sidi-Zerzur. Pani będzie jadła w ogrodzie. Pani jest zmęczona, wyczerpana. Pani zje, a potem pani zobaczy wielki meczet Zerzura.

— Sidi-Zerzur! — wykrzyknęła. — Panie Androwski, czy słyszy pan, gdzie jesteśmy? Jest tu ów słynny meczet, gdzie pogrzebany wielki wojownik i dokąd Arabowie czynią pielgrzymki, by uczcić jego grób.

— Tak jest, pani.

Odrzekł cichym głosem.

— Gdy już tu jesteśmy, musimy to zobaczyć. Czy wie pan? Sądzę, że najlepiej będzie poddać się uczciwemu Mustafie i zjeść *déjeuner* w ogrodzie. Godzina już dwunasta i jestem głodna. Potem zwiedzimy meczet i po południu pojedziemy do domu.

Androwski siedział wyprostowany na koniu i patrzał na nią z milczącem wahaniem, podczas gdy Arabowie stali dokoła, oglądając go.

— Może pan nie chce?

Rzekła spokojnie. On wytrząsnął nogę ze strzemienia. Mnóstwo rąk i ramion rzuciło się, żeby mu pomagać. Domini powróciła do izby szynkowej. Słyszała nazewnątrz za sobą całą zawieruchę głosów, konia rżącego i bijącego kopytami, tupot nóg, nie obejrzała się jednak. Po upływie trzech minut Androwski wszedł do izby. Kulał nieco i pochylał się bardziej, niż zwykle. Za kantorkiem, na którym stały butelki absyntu, było zakopcone lusterko, i Domini ujrzała, jak spojrzał w nie szybko, prawie jak winowajca wzniósł ręce i starał się strzepnąć kurz z włosów i z ramion.

— Niech pan pozwoli — rzekła szybko. — Proszę się obrócić!

Usłuchał jej bez słowa, zwracając się plecami. Obu swemi rękoma, na których były miękkie szwedzkie rękawice, uderzała i strzepywała kurz z jego ubrania. Stał spokojnie, gdy to robiła. Gdy skończyła, rzekła:

— No, teraz lepiej.

Głos jej był zaradny. Androwski stał wciąż bez ruchu.

— Zrobiłam, co mogłam, mój panie Androwski!

A wtedy on obrócił się zwolna, i Domini ze zdumieniem ujrzała, że w oczach jego były łzy. Nie mógł jej ani dziękować, ani wyrzec słowa.

Mały i marnie wyglądający Francuzik, z czerwonemi powiekami i z wąsami, które spadały na obwisłą dolną wargę, prosił ją teraz, by poszła za nim przez małe drzwiczki, przez które było widać trzy świeżo zabite gazele, leżące na ladzie w słońcu.

Domini szła za Francuzem, za nią Androwski, a uczciwy Mustafa — głoszący wciąż swoje cnoty — zamykał pochód. Weszli do najbardziej oryginalnego ogrodu, jaki gdzie kiedy oczy ludzkie widziały.

Był on długi, wąski i ogołocony, bez trawy i bez kwiatów. Nierówny grunt jego był nagi; ziemia — spalona słońcem, twarda, jak klepisko, to wznosząca się w pagórki, to spadająca we wklęsłości. Tuż za oberżą, gdzie martwe gazele z szeroko rozwartemi oczyma leżały na ladzie, było proste drewniane okratowanie, zarośnięte winem i tworzące altanę. Obok niej wznosiły się strome wały ziemne, wyższe, niż miara człowieka i uwieńczone ostremi cierniowemi krzakami. Nad niemi widać było drzewa palmowe. Na końcu ogrodu płynął powolnie strumień brudnej wody z kanałem i błotnistemi brzegami, wydeptanemi przez bose nogi. Za tem był jeszcze drugi, niższy wał ziemny i jeszcze jeden labirynt palm. Gorąco i cisza wylegiwały tu się, jak gady w błocie gorącem na skraju zwrotnikowym dżungli. Jaszczurki przebiegały i kryły się w niezliczonych szczelinach wału, muchy brzęczały nad strzępiastemi liśćmi drzew figowych i roiły się na gorących grudach ziemi.

Pan włości tych chciał postawić stół pod winem tuż koło ściany szynku, lecz Domini poprosiła, żeby umieścił go na końcu ogrodu koło strumienia. Przy gwałtownym udziale uczciwego Mustafy przeniósł go i ustawił w cieniu drzewa figowego. Domini i Androwski oczekiwali w milczeniu, siedząc na plecionych krzesełkach ogrodowych.

Atmosfera ogrodu nie usposabiała do rozmowy. Błotnisty, ospały strumień, prawie nieruchome drzewa, gorąco, uwięzione pośród okalających wałów, nikłe brzęczenie much sprowadzało bezwład, cicho wpełzający do ducha. Po długiej jeździe i palącem powietrzu pustyni odpoczynek ten był rozkoszą. Lice Androwskiego straciło swój wyraz porywczy; patrzał on teraz prawie swobodnie na brunatną wodę, zwolna przelewającą się śród brunatnych brzegów i śród brunatnych wałów, nad któremi sterczały drzewa palmowe. Zbolałe jego członki zwolniały. Ręce zwisły między kolanami. Domini przymknęła oczy. Spadł na nią dziwny spokój. Spowita w ciszę i gorąco, niczego nie pragnęła. Nikłe brzęczenie much dźwięczało w jej uszach i zdało się nawet cichszem od samej ciszy, na którą kierowała uwagę.

Śniadanie zostało podane. Domini westchnęła. Zajęli miejsca pod drzewem figowem z obu stron stołu sosnowego, przykrytego grubem białem płótnem, i Mustafa, olbrzymią postawą i ruchami strasznemi przypominający pochód całego legjonu słońcem przesiąkłych dzikusów, przynosił im kolejno rybę, omlet, befsztyki z gazeli, ser, pomarańcze i daktyle, wraz z białem winem i wodą Vals.

Androwski ledwie kiedy rzucił słowo. Siedząc przy stole z Domini, był widomie zakłopotany. Wszystkie jego ruchy były bacznie świadome. Zdawał się przerażać tem, że je, i odmówił befsztyków z gazeli. Mustafa okazał z tego powodu swe gwałtowne zdziwienie i roztoczył się w pochwałach na temat tego smakowitego kęska pustyni. Lecz Androwski wciąż odmawiał i patrzał desperacko stropiony.

— Są wyśmienite istotnie — rzekła Domini, która je jadła. — Ale może pan nie jada mięsa?

Mówiła prawie niedbale i ze zdziwieniem spostrzegła, że on spojrzał na nią jakby z błyskiem podejrzenia i zaraz zabrał się do befsztyków.

Człowiek ten wciąż do żywa pobudzał jej ciekawość, trzymając ją na uwięzi. Swoją drogą, czuła się dziwnie swojsko z nim. Zdawał się on być cząstką jej wrażeń pustyni — i teraz, gdy tak siedzieli pod drzewem figowem pomiędzy wysokiemi wałami ziemnemi i spożywali świeżutkie jedzenie w ciszy niezmąconej — od ostatniej bowiem jej uwagi Androwski spuścił oczy i nie wyrzekł ani słowa — starała się wyobrazić sobie pustynię bez niego.

Śniadanie zostało skończone. Domini przysunęła swój fotel bliżej ku sennemu strumieniowi, podczas gdy uczciwy Mustafa, z ruchami okazałej pantery, zakrzątnął się koło kawy. Androwski po chwili wahania poszedł za nią.

— Niech pan pali — rzekła.

Androwski z trudem zapalił małe cygaro. Nie chciała go obserwować, nie mogła atoli powstrzymać się, by raz czy dwa nie rzucić ku niemu wzrokiem, i przyszła do przekonania, że on nie przywykł do palenia. Zapaliła papierosa i spostrzegła, że spojrzał na nią z rodzajem gorszącego się zdziwienia, które potem przeszło w baczne zaciekawienie. Było w nim coś chłopięcego, coś dziecinnego, czego dotąd prawie nie spotykała śród

mężczyzn. A nadto chwilami czuła, że człowiek ten przenikał głębiej ciemne i kręte zagłębia doświadczenia, niż wszyscy mężczyźni, których znała dotychczas.

— Panie Androwski — rzekła, patrząc na powolne wody strumienia, pełznące ku ukrytym ogrodom — czy pan pierwszy raz w pustyni?

Pragnęła wiedzieć..

— Tak jest, pani.

— Ja myślałam... trochę się nad tem zastanawiałam, czy pan już kiedy podróżował w pustyni.

— Nie, pani. Przedwczoraj ujrzałem ją po raz pierwszy.

— Tak, jak ja.

— Tak jest.

Tak tedy oboje po raz pierwszy razem w nią wstąpili.

Na łasze ziemnej z tamtej strony strumienia ukazała się promienna postać. Szła bez szelestu bosemi stopami z ukrytego ogrodu: smukłe, nieosłonione dziewczę, ubrane w szatki koloru malinowego, niosące w wytwornie ukształtowanych swych rękach bronzowych pewną ilość chusteczek — krasnych, pomarańczowych, żółtych, zielonych i płowych. Nie spojrzała zupełnie na ogród oberży, lecz uchwyciła w pęk szatki ręką, obnażając swe cienkie łydki wysoko za kolana, weszła do wody i, pochyliwszy się, zanurzyła chustki w strumieniu.

Prąd wody zabrał je. Rozsnuły się po błotnej powierzchni strumienia i, naraz obdarzone życiem, wezbrały, jakgdyby chciały wyrwać się z ręki, która je trzymała.

Twarz dzieweczki była prześliczna, z drobnemi, prawidłowemi rysami i z błyszczącemi, tkliwemi oczyma. Postać jej, jeszcze nie w pełni rozwinięta, była doskonałą w budowie i zdała się tchnąć łagodnie krasą młodości. Barwa jej bronzowa przypominała posąg, a każda nowa poza, którą przybierała, gdy woda koło niej wirowała, jeszcze bardziej umacniała to wrażenie. Ze złotemi promieniami słońca, które na nią spływały, przy tych wałach bronzowych, podnoszących jeszcze bardziej malinowy kolor jej zakasanych szatek, żywe kolory chusteczek, które falowały z jej ręki, z wachlarzami palm ponad sobą, bezchmurnem niebem błękitnem ponad tem, wyglądała tak urocznie po afrykańsku i tak niewypowiedzianie mile, że Domini patrzała na nią, prawie że wstrzymując oddech.

Wyjęła chustki ze strumienia, wyszła z wody i rozkładała je kolejno na ziemi u wału, żeby schły, pozwalając wraz opaść swym szatkom. Kiedy je już rozłożyła, obróciła się i, nie zajmując się już robotą, rzuciła wzrokiem z pod brwi opuszczonych na przeciwległy ogród i zobaczyła Domini i jej towarzysza. Nie zdziwiła się, lecz stała chwilę spokojnie, a potem odeszła cicho w kierunku, skąd była przyszła. I tylko świetne plamy kolorów, na wale pozostałe, świadczyły, że tu była i że przyjdzie jeszcze. Domini westchnęła.

— Jakie miłe stworzenie! — rzekła raczej do siebie, niż do Androwskiego.

On nic nie rzekł, i milczenie to spowodowało, że zagadnęła go wręcz, chcąc przytwierdzenia zachwytu.

— Czy może być co równie pięknego i równie charakterystycznego z Afryki? — zapytała.

— Proszę pani — rzekł swym dziwnym, stłumionym głosem — ja nie patrzałem na nią.

Domini została dotkniętą.

— Dlaczego pan nie patrzał? — zapytała.

Androwskiego twarz była chmurna i jakby okrutna.

— Kobiety tubylcze nie obchodzą mnie zupełnie — rzekł. — Nie widzę w nich nic pociągającego.

Domini wiedziała, iż, mówiąc to, kłamał. Czyż nie widziała go, jakim wzrokiem śledził tańczącą dziewczynę w kawiarni Tahara? Zdjęła ją złość. I wraz rzekła sobie, że to jest złość na obłudę męską. Potem dopiero poznała, że była to złość na to, że Androwski jej skłamał.

— Z trudem mogę w to wierzyć — odrzekła oschle.

Spojrzeli na siebie.

— Dlaczego pani nie wierzy? — rzekł. — Gdy mówię, jest tak.

Zawahała się. Na chwilę uprzytomniła sobie ze zdumieniem gorącem, że w człowieku tym jest coś, co przyprawia ją prawie o przerażenie, co może ją zahamować nawet w czynie, któryby zamierzyła. I naraz uczuła wrogość ku niemu, i wiedziała, że w tej chwili i on jest wrogim dla niej.

— Jeżeli pan tak mówi, to oczywiście... zmuszona jestem wierzyć pańskim słowom — wyrzekła chłodno.

On zaczerwienił się i spuścił oczy. Sztywne wyzwanie, z jakiem się był zwrócił do niej, zniknęło z jego twarzy.

Uczciwy Mustafa wpadł raźnie, przynosząc kawę. Domini podała ją Androwskiemu. Musiała zrobić wielki wysiłek, by prostej tej czynności dokonać ze spokojem i z obojętną, jawnie zimną krwią.

— Dziękuję pani.

Głos jego zadźwięczał pokornie, lecz Domini była twarda i miała jakgdyby lód w żyłach. Piła powoli kawę, patrząc wprost przed siebie na strumień. Malinowa sukienka znów się ukazała od strony wału brunatnego. Za nią szła żółta, krasna i ciemnopurpurowa. Dziewczę, wraz z trzema ciekawemi młodemi towarzyszkami, stało w słońcu, badając cudzoziemców wzrokiem pilnym i niezachwianym. Domini uśmiechnęła się zlekka. Przyszedł jej los na pomoc. Skinęła na dziewczęta. Spojrzały po sobie, lecz nie ruszyły się. Domini wyjęła srebrną monetę, tak, że blask padał na nią, i znowu skinęła na nie. Malinowa sukienka uniosła się nad ślicznemi kolanami, które okrywała. Żółta, krasna i ciemnopurpurowa zakasały się równie, czyniąc pokaz poszczególny. I czworo dziewcząt ze wzrokiem, utkwionym w srebrny pieniążek, przeszły przez wodę błotnistą i stanęły przed Domini i Androwskim, młodemi swemi ciałkami ćmiąc lśnienie słońca jarzące. Uśmiechnięte ich liczka były teraz ufne i poważne, z pełnią nadziei wyciągały swe delikatne rączyny po srebrny krążek. Domini dała im do zrozumienia, że muszą trochę poczekać.

Zebrało jej się na złośliwość.

Dziewczęta miały na sobie wiele ozdób. Poczęła zwolna i rozmyślnie rozglądać je; wielkie złote kolczyki, tak duże, jak małe uszy, które je dźwigały, bransolety na rękach i nogach, trójkątne srebrne szpilki, które spinały szatki nad wdzięcznemi sterczącemi piersiami, wąskie paski, wyszywane złotemi nićmi i obwieszone kawałkami korala, które okalały małe i smukłe ich kibici. Badanie trwało w tempie powolnem, i przez cały ten czas Androwski siedział na swym niskim fotelu plecionym, z tym wałem młodej kobiecości przed sobą, kobiecości młodej, już nie bacznej i nie trwożnej, lecz tęgiej, prostej, naturalnej, ciepłej od słońca, wilgotnej od kropel ociekającej z nich wody. Szaty żywe dotknęły go — i oto mała ręka podsunęła się nieznacznie do

jego piersi, schwyciła za srebrny łańcuszek, który się przez nią zwieszał, i wyciągnęła z ukrycia... drewniany krzyż.

Domini ujrzała błysk na nim przez chwilę, usłyszała dziki i głuchy wykrzyk, ujrzała, jak Androwski odepchnął brutalnie śliczną rączynę, a potem — rzecz dziwna.

Powstał gwałtownie z fotela z krzyżem, zwieszającym się na szyi. Potem schwycił go, przerwał łańcuch na dwoje, rzucił z pasją krzyż do wody i poszedł ulicą ogrodową. Cztery dziewczątka z okrzykiem podniecenia rzuciły się do strumienia, nie zwracając już uwagi na sukienki, pochyliły się, uklękły w wodzie i poczęły grzebać się raźnie w błocie, szukając przedmiotu. Domini stanęła na brzegu i patrzała na nie. Androwski nie wracał. Upłynęło kilka minut. Od strumienia rozległ się okrzyk triumfu. Dziewczę w malinowej szatce trzymało w ręku ociekający krzyżyk z kawałkiem srebrnego łańcuszka w ociekających palcach. Domini rzuciła szybko wzrokiem poza siebie. Androwski zniknął. Prędko zbliżyła się nad skraj wody. Ponieważ była w amazonce, nie miała na sobie żadnych ozdób, prócz dwu kolczyków w uszach z wielkiemi i pięknemi turkusami. Wyjęła je pośpiesznie z uszu i wyciągnęła rękę z niemi ku dziewczęciu, okazując znakami, że chciałaby to wymienić na krzyżyk i łańcuszek. Dziewczę zawahało się, lecz jasnobłękitna barwa turkusów znęciła jej oczy. Poddała się, schwyciła chciwie kolczyki, oddając z żalem krzyż i łańcuszek do ręki. Palce Domini zamknęły mokre drzewo. Rzuciła kilka monet poprzez strumień na łachę i powróciła, wsuwając krzyż na piersi.

I czuła w tej chwili, jakgdyby rzecz świętą zachowała od rozbicia.

W drzwiach szynku zastała Androwskiego, okrążonego przez Arabów, których uczciwy Mustafa starał się odpędzać. Gdy usłyszał ją, odwrócił się. Oczy jego wciąż jeszcze błyszczały blaskiem, który zdradzał wzburzenie ducha, i ujrzała, że lewa jego ręka, która się zwieszała, zadrgała u boku. Zapanował atoli nad głosem i zapytał:

— Czy nie zechce pani zwiedzić wioski?

— Tak jest. Ale nie chcę pana krępować, jeżeli pan życzy...

— Chcę pójść. Życzę sobie.

Nie wierzyła temu. Czuła, że był on w wielkiej rozterce, zarówno ducha, jak ciała. Upadek jego sprawiał mu ból. Poznała

to ze sposobu, w jaki poruszał lewą ręką. Ćwiczenie, do którego nie przywykł, odrętwiło mu członki. Prawdopodobnie cierpienie fizyczne, które znosił w milczeniu, spowodowało takie rozdrażnienie ducha. Przypomniała sobie, że powodem tego wszystkiego było jego postanowienie towarzyszenia jej, i chłód w niej stopniał. Pragnęła sprawić mu ulgę, szczęście. Dotknęła skrycie małego krzyżyka, który miała pod szatą. Wyrzucił go z taką pasją! Tak, ale kiedyś może rad będzie, gdy mu go odda zpowrotem. Jeżeli go nosił na piersi, musiał mu być drogim, może właśnie przez to, co mu przypominał.

— Ja sądzę, że należy zwiedzić meczet — rzekła.

— Tak jest, pani.

Przyzwolenie dźwięczało stanowczością, aczkolwiek niechętnie. Wiedziała, że czyni to wbrew woli. Mustafa objął przewodnictwo i podążyli wąską uliczką, eskortowani przez ochotniczą gromadkę. Przerznęli jarzący się plac. Panował tam hałas przeraźliwy. Domini czuła się zdenerwowaną i była rada, kiedy już weszli w wąskie uliczki, które zewsząd się schodziły, z dwoma rzędami brunatnych, ślepych domów po skrajach. W domach tych panował mrok, tajemnica, milczenie. Mustafa stąpał naprzód, wskazując drogę, Domini i Androwski szli za nim, a za nimi przemycała się gromadka bosonogich ciekawskich w długich koszulach, baczna i bez słowa, a zawsze w nadziei otrzymania rzuconego pieniążka przez bogatych podróżnych.

Gwar placu targowego został już gdzieś daleko, i Domini usłyszała naraz ciekawy szmer. Narazie był on tak nikły, że ledwie go można było pochwycić i czuło się tylko pieszczący wpływ jego równej monotonji. W miarę jednak, jak szli, rósł on, stawał się głębszy, silniejszy. Był on, jak szmer całych rojów pszczół, brzęczących w czas południa śród kwiatów, bez przerwy, nasennie. Przystanęła pod jednym z niskich łuków i słuchała.

— Co to takiego? — rzekła.

Spojrzała na Androwskiego.

— Nie wiem, pani. Muszą być ludzie.

— Lecz co oni tam mogą robić?

— Modlą się w meczecie, gdzie pochowany Sidi-Zerzur — powiadomił Mustafa.

Domini stanął w myślach handlarz wonności. Był to ten sam

szmer, który słyszała wtedy w niskiej izdebce, lecz nieskończenie pomnożony. Posuwali się zwolna. Mustafa pozbył się swych ruchów gwałtownych, chód jego stał się teraz uważny. Stąpał, jakgdyby ziemia, po której szedł, była poświęcona. Domini wzruszyła naraz ta jego poczciwość. Szmer stawał się głębszy, mocniejszy. Puste i mroczne uliczki dokoła, okrążające niewidzialny meczet, były pełne tego poszmeru, jakgdyby ziemia domów, belki palmowe, żelazne kraty małych, ściemnionych okien, kolce poszycia strzech modliły się bez przerwy gorliwie głosami tajemnemi. Świat był tu nabrzmiały modlitwą, jak płomię nabrzmiałe gorącem, modlitwą przejmującą i zniewalającą, która ciągłością swą tłoczyła, była pełna mocy w swej głębi i skupieniu, prawie zaborcza i prawie straszna w swej jednostajności.

— Allah-Akbar! Allah-Akbar!

Był to szmer pustyni i szmer słońca. Był to szept mirażu i podmuchów, które drgały pośród liści palmowych. Było to ciągłe bicie serca tej krainy, która pochłonęła Domini, biorąc ją na swe gorące i palące łono — tak łagodnie i razem tak zaborczo.

„Allah! Allah! Allah!" Bóg musiał tu być niewątpliwie blisko, przychylając się do tego nieustannego wołania. Nigdy przedtem, nawet gdy dzwonki dźwięczały i ksiądz Hostję podnosił, Domini nie odczuła takiej bliskości Boga do świata, takiej absolutnej pewności, że Bóg słyszy stworzenie Swoje, patrzy na nie, chce go, uważa, iż jednem z Nim kiedyś się stanie, jaką odczuła teraz, gdy szła mrocznemi alejami ku tym rzeszom niezliczonym modlących się ludzi.

Androwski postępował wolno, jak w rozterce.

— Czy nie dolega panu ramię? — zapytała go szeptem.

Szmer ten przeciągły modlitwy poruszył do głębi jej duszę, obudził w niej pełnię współczucia dla wszystkich i dla wszystkiego, jakgdyby modlitwa była szmerem, wiążącym świat cały ze sobą.

On potrząsnął głową w milczeniu. Spojrzała na niego i czuła, iż on także był poruszony, ale czy tak, jak ona, tego nie mogła powiedzieć. Twarz jego była, jak twarz człowieka, zdjętego przerażeniem. Mustafa obrócił się ku nim. Nieustanny szmer ten był teraz tak blisko, iż zdał się być razem z nimi, jakgdyby oni też modlili się u grobu Zerzura.

— Proszę za mną na podwórze — rzekł Mustafa do Domini — i proszę pozostać przed drzwiami, aż przyniosą pantofle.

Skręcili ku rogowi i przyszli na otwartą przestrzeń przed łuk, który prowadził do pierwszego z podwórców, okrążających meczet. Pod łukiem siedzieli Arabowie w milczeniu, jakgdyby pogrążeni w marzeniu głębokiem. Nie poruszyli się, lecz tylko spojrzeli na cudzoziemców, i Domini zdawało się, że w spojrzeniu tem była wrogość. Za nimi, na bruku nierównym, otoczonym wysokiemi murami, było mnóstwo razem zebranych Arabów, klęczących, kłoniących głowy do ziemi i szemrzących bez przerwy słowami, głosem głębokim i prawie warczącym. Palce ich przesuwały się po paciorkach różańców, które okrążały ich szyje, i Domini pomyślała o swoim różańcu. Niektórzy modlili się oddzielnie, usunąwszy się do zakątków cienistych, z twarzami, zwróconemi do muru. Inni znowu byli zebrani w gromadki.

Na drugim i mniejszym podwórcu przed portalem meczetu odbywała się nauka koranu. Uczący się, ubrani w białe szaty, siedzieli kołami, trzymając tabliczki kwadratowe z jakiegoś materjału, który wyglądał, jak tektura, pokryte drobnem pismem arabskiem, pięknemi, symetrycznemi linjami, punktami i zakrętasami. Nauczyciele siedzieli pośrodku, wykładając tekst święty głosem nosowym z szybkością i żywością, która zdała się być wojowniczą.

„Allah! Allah! Allah!"

W wielbieniu tem niestrudzonem, tak płomiennem i takześrodkowanem, było coś władnego i rozkazującego, prośba, która napewno nie mogła być pominięta, ani odłożona. Swojskość, półserdeczność modlitwy Zachodu i czci nabożnej Zachodu nie miały tu miejsca. Modlitwa ta była, jak żar słońca, gorąca, cześć ta — jak ogień ku górze idący. Dech tego ludzkiego wezbrania był, jak dech pieca ognistego, płynący hen ku wrotom raju Allaha. Dawało to Domini prawie że nowe pojęcie religji, stosunku Stwórcy do stworzenia. Arabowie ci korzyli się w prochu. Czoła ich dotykały kamieni. Postawą swą robili wrażenie, jakgdyby pragnęli zrównać siebie z ziemią, zapaść się z nią, stać się ziarnkiem piasku pustyni. Oczyma zamkniętemi patrzali pełnią Bogu w twarz. Głuchy, warkliwy szmer ich miał majestat gromów, toczących się po niebie.

Mustafa zniknął we wnętrzu meczetu, pozostawiając Domini i Androwskiego na chwilę samych pośrodku zamodlonych. Z wnętrza cienistego szedł wciąż nieustający szmer modlitwy, łącząc się z modłami nazewnątrz. U drzwi meczetu był wąski kamień do siedzenia. Domini siadła. Uczuła naraz zmęczenie, jakie czuje osoba zahipnotyzowana, kiedy ciało jej i duch ustępuje zniewoleniu hipnotyzera. Androwski stał. Oczy jego były utkwione w ziemię, i Domini pomyślała, że twarz jego była, jak twarz widma, jakgdyby wszystka krew odbiegła z niej, pozostawiając ją białą pod barwą bronzową, przez słońce położoną. Stał całkiem spokojnie. Cień mroczny, jaki rzucał piętrzący się meczet, padł na niego, i postać jego nieruchoma wzbudzała w Domini zastępy nieskończonej melancholji. Westchnęła, jak pod ciężarem. Wpobliżu nich, u progu drzwi, był starzec, z twarzą, zwróconą do wewnątrz. Był on chudy, jak szkielet, ubrany w łachmany, przez które wyglądało jego bronzowo ubarwione ciało, ostre, z pokrytemi zaledwie kośćmi, i z rzadką brodą białą, jak szczotka, na wierzchu sterczącego podbródka. Twarz jego, trudem życia zmęczona, przez czas i działanie słońca na pergamin wyprawiona, była pełna starczego jadu; a usta jego bezzębne, z wargami nawewnątrz wwiniętemi, wciąż się poruszały, jakgdyby chcące kąsać. W odstępach prawidłowych, jakby posłuszny jakiemuś nakazowi, wyrzucał ramiona ku meczetowi, jakgdyby z zamiarem uderzenia, cofał je, pauzował i znowu wyrzucał je gwałtownie. I gdy tak wyrzucał ramiona, wraz z tem wysyłał z piersi przeciągły i drżący krzyk, pełny bezsilnej, chociaż jeszcze natężonej, złości.

Krzyczał tak oczywiście na Boga, wyrzucając Mu wszystko zło, jakie spadło nań na schyłku życia. Nieszczęsny, straszny starzec! Androwski był bliżej niego, lecz zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Domini przeciwnie, od chwili, jak go tu ujrzała, nie mogła usunąć go z oczu i myśli. Ciągły ruch jego ramion, krzyk ciągły, stawał się nie do zniesienia, tu, pośród tych pochylonych ciał i szemrzących głosów modlitwy. Za każdym razem, gdy tak wygrażał meczetowi i wyrzucał ów krzyk przejmujący, Domini zdawało się, że słyszy przekleństwa, miotane w świątyni. Chciałaby go powstrzymać. Bluźnierca ten poczynał burzyć jej tę atmosferę mistyczną, którą zastępy nabożnych tu tworzyły — aż wreszcie nie była w stanie znieść jego pasji zaciekłej.

Dotknęła ramienia Androwskiego. On drgnął i spojrzał na nią.

— Ten starzec — rzekła szeptem. — Czy nie może pan przemówić do niego?

Androwski po raz pierwszy teraz spojrzał na niego.

— Przemówić do niego? Poco?

— On... on jest straszny!

Naraz uczuła dziwny brak ochoty przekładania Androwskiemu, dlaczego starzec ten był dla niej straszny.

— Co pani życzy sobie, żebym mu powiedział?

— Myślałam, że może pan będzie mógł powstrzymać go, żeby tego nie robił.

Androwski postąpił i zagadał do starca po arabsku. On znów wyprężył ramiona i wyrzucił swe drżące wyzwanie. Przeszyło ono szmer modlitwy, jak błyskawica, która przeszywa chmurę brzemienną.

Domini wstała.

— Nie mogę znieść tego — rzekła wciąż jeszcze szeptem. — Wygląda to tak, jakgdyby on klął Boga.

Androwski spojrzał na starca, tym razem z głęboką uwagą.

— Czyż nie tak? — zapytała. — Czyż nie wygląda to, jakgdyby on klął Boga, gdy cały świat Go wielbi? I jeden krzyk ten nienawiści zdaje się być głośniejszym od modłów całego świata.

— Nie można go powstrzymać.

W głosie jego było coś, co zmusiło ją naraz do zapytania:

— A czy pan chciałby go powstrzymać?

On nic nie odrzekł. Starzec wciąż groził meczetowi i krzyczał. Domini wstrząsnęła się.

— Nie mogę tu pozostawać — rzekła.

W tej chwili zjawił się Mustafa w towarzystwie odźwiernego meczetu, który niósł dwie pary znoszonych pantofli.

— Pan i pani muszą zdjąć obuwie. Wtedy pokażę świątynię.

Domini szybko nałożyła pantofle i poszła do środka, nie oczekując i nie patrząc, czy zdąża z nią razem Androwski. Wściekły krzyk starca szedł za nią skroś odrzwia kościelne.

Wewnątrz był mrok i przestwór. Mrok — który zdawał się być modlitewnym. Widok żółtawo-białych łuków ciągnął się nawprost, na prawo i na lewo. Na posadzce, pokrytej matami, zastęp białych postaci klęczał i kołysał się, wstawał raptownie,

znów klękał, chylił czoła do ziemi. Poprzedzana przez Mustafę i przewodnika, którzy szli bez pantofli, w pończochach, Domini postępowała zwolna pośród modlących się, ścieżką, wijącą się śród tego zamodlonego łanu. Była zmuszona posuwać nogi, nie odejmując ich od posadzki — by jej pantofle nie opadły. Krzyk starca, obecnie nikły, dochodził tu zewnątrz regularnie, jak głuche tętno bijące. Im dalej atoli posuwała się w głąb meczetu, tętno to pochłaniały szmery modlitwy. Nikt z modlących nie zdawał się widzieć jej, ani wiedzieć nawet, że jest tutaj. Ocierała się o białe szaty modlących — i gdy to czyniła, czuła, jakgdyby dotykała rębu szat tajemnicy, i unosiła starannie rękoma swoją suknię, jakgdyby w obawie, by nie odwołała którego z tych serc, które — to pewna — były bardzo daleko.

Mustafa i odźwierny stali spokojnie, bacząc na Domini. Twarze ich były uroczyste. Z oczu Mustafy zniknął wyraz chciwego niepokoju. Myśl o pieniądzach odbiegła na chwilę z jego myśli i dała miejsce sprawie ważniejszej. W półmroku między kolumnami Domini ujrzała dwoje drzwi drewnianych. Były one pomalowane na zielono i na czerwono i opatrzone zawiasami z miedzi kutej, która wyglądała bardzo starożytnie. Do drzwi były przybite dwa wyobrażenia skrzydlatych koni z ludzkiemi głowami i oprócz tego dwa malowidła, wyobrażające fantastyczne zamki i grody wschodnie, minarety złote na czerwonem tle. Nad drzwiami z wysokiego sufitu zwieszały się kule szklane, purpurowe i żółte, tudzież świeczniki kryształowe z mnóstwem lamp starożytnych. Dwa podarte i kurzem okryte sztandary z blado-różowego i białego jedwabiu, obrzeżone złotem i osypane złotym deseniem z kwiatów, przywiązane były do filarów cienkiemi sznurami z sierści wielbłądziej.

— To jest grobowiec Sidi-Zerzura — rzekł szeptem Mustafa. — Otwiera się on tylko raz na rok.

Odźwierny meczetu padł na kolana przed grobowcem.

— To... Mekka.

Mustafa wskazał na malowidło grodu. I wtedy i on też pochylił się i dotknął czołem maty. Domini poszukała wzrokiem Androwskiego. Nie było go tutaj. Stała sama przed grobowcem Zerzura, i była teraz jedyną ludzką istotą w wielkim, mrocznym przybytku, która nie modliła się. Uczuła się ogromnie samotną

i jakby wyłączoną — i prawie nie śmiała się modlić, bowiem przez chwilę czuła, jakgdyby Bóg, ku któremu płynął ten potok modlitewny, był wrogim nawet dla niej.

Czy ojciec jej miał takież wrażenie samotności niewysłownej? Wrażenie szybko minęło, i Domini, stojąc pod lampami ofiarnemi przed malowanemi drzwiami, poczęła też modlić się pocichu. Zamknęła oczy i wyobrażała się w kościele jej wyznania — w małym kościółku w Beni-Mora. Starała się wyobrazić sobie, że wszystkie głosy dookoła niej były głosem wielkiego kościoła katolickiego. Lecz to było niemożliwe. Nawet gdy nic nie widziała, gdy duszę swoją zwróciła do wewnątrz i starała się odsunąć od siebie ten nowy świat, w który wstąpiła, słyszała w szmerze przeciągłym, który go napełniał, dźwięk, który szedł niezmiennie od piasków pustyni, od serca i od ducha tych piasków, od serca i od ducha miejsc samotnych, który wchodził tu w mrok meczetu, płynął pod arkadami poprzez drzwi świątyni, ponad palmami i płaskiemi dachami domów, i wykreślał, jak orzeł pustynny, dziki swój lot — do słońca.

Ręka Mustafy dotknęła jej ramienia. Odźwierny powstał też z klęczek, wyciągnął świecę z ubrania i zapalił ją. Domini zbliżyła się do małych drzwiczek, przeszła przez nie i poczęła wstępować po krętych wschodach. Dźwięk modlitwy unosił się za nią od meczetu i, gdy weszła na małą platformę, okoloną na szczycie minaretu, słyszała go wciąż, i był on pomnożony. Bowiem wszystkie głosy z podwórców zewnętrznych połączyły się z sobą — a także głosy z dachów domów dookolnych.

Lud modlił się tu także, modlił się w żarze słońca, na wyżynach swych domów. Widziała go z minaretu, i widziała siedziby, rozsypane dokoła grobowca świętego, i wszystkie palmy oazy — i za niemi niezmierzony obszar pustyni.

— Allah-Akbar! Allah-Akbar!

Była teraz ponad tem wołaniem wieczystem. Uniosła się, jak modlitwa ku słońcu, jak żywa modlitwa tętniąca, jak dusza modlitwy. Patrzała na daleką pustynię i widziała modlitwę wędrującą, duszę modlitwy-wędrownicy — dokąd? Gdzie koniec jej? Gdzie schron jej, namioty rozbite, ogniska zapalone i długi, długi spoczynek?

Kiedy zeszła na dół i znalazła się w podwórcu, zastała starca, wciąż jeszcze wygrażającego świątyni i wykrzykującego swoje

drżące zaklęcia. I zastała Androwskiego, stojącego wciąż przy nim z oczyma zapatrzonemi, jak w uroku.

Uniosła się wraz z głosem modlitwy ku blaskom słońca, przebyła drogę małą wzwyż ku Bogu.

Androwski został w cieniu mrocznym razem z przekleństwami.

Może to było szaleństwem — wyobraźnią gorącą kobiety — lecz pragnęła, by szedł tam z nią razem.

KSIĘGA TRZECIA.

*

OGRÓD.

X.

Było południe w pustyni.

Głos mueddina zamarł już na minarecie, i złote milczenie, spływające od serca słońca, spoczęło już wreszcie na wszystkiem. W żarze tym przyroda zdała się być nienaturalnie spokojną. Powiewy łagodne zniknęły, i palmy Beni-Mora stały bez ruchu, jak zaśnione. Dzień stał się, jak sen, gorący i natężony, sięgający zarazem czegoś nieziemskiego, czegoś prawie że duchowego. Jasność powietrzna dalekiej pustyni była nie przyćmiona, lecz nasycona tajemnicą, która jest dzieckiem cudownem cienia. Złoto dalekie, które ją utrzymywało, zdało się zawierać tajemnicze ciemności. W oazie Beni-Mory ludzie, którzy zbudzili się zwolna do modlitwy, znowu się w sen pogrążyli w zmroku ciepłym białych ogrodów lub w nocy gorącej bezokiennych komnat.

W ogrodzie hrabiego Anteoni'ego nie dźwięczał flet Larbi'ego.

— Południe, jak miraż — rzekła Domini sennie.

Hrabia Anteoni skinął głową.

— Mam wrażenie, jakgdybym patrzała na siebie z bardzo daleka — dodała. — A widząc siebie, jakgdybym widziała szare morze i wyspy na drodze do Sidi-Zerzur. Co za dziwne czarodziejstwo! I nie mogę do niego przywyknąć. Z każdym dniem podziwiam je więcej i z każdym dniem znajduję je bardziej niewytłumaczonem. To mnie prawie przestrasza.

— Pani umie się trwożyć?

— Niełatwo rzeczami zewnętrznemi; przynajmniej tak mniemam o sobie.

— Czemże tedy?

— Czy ja wiem! Czasami zdaje mi się, jakgdyby wszystko zzewnątrz, co powoduje czyny w życiu tak zwane gwałtowne, było pospolitem, i nikłem, i dziwnie nie mocnem w porównaniu z tem, czego nie widzimy, a co powoduje czyny, których opisać nie umiemy.

— W mirażu tego kraju poczyna pani widzieć zewnętrzność, jak miraż? To nabytek, to nabytek!

W głosie jego było coś podstępnego, coś prawie aż niegrzecznego.

— Czy pan jest śledczym tajnym? — zapytała go Domini.

— Czyim, pani?

Nic nie odrzekła. Zdawała się rozważać. On spojrzał na nią z ciekawością w swoich jasnych oczach.

— Pustyni — odrzekła wreszcie, prawie serjo.

— Śledczy tajny ma zawsze określony cel. Jakież ma być moje zającie?

— Czy ja wiem! Czy mogę wiedzieć, czego chce pustynia?

— Już ją pani uosobiła!

Na twarzy jego bronzowej, gdy się uśmiechnął, widomie triumfując, ukazała się siatka zmarszczek.

— Sądzę, żem tak czyniła od samego początku — odrzekła poważnie. — To pewne, żem tak czyniła.

— A jakiegoż rodzaju osobą zdaje się być pani pustynia?

— Pan dzisiaj zbyt dużo chce wiedzieć!

— Rzeczy mirażu, być może. Proszę mi wybaczyć. Słuchajmy tedy, co mówi, a może czego pragnie, pustynia w tej południowej godzinie, największej ze wszystkich dwudziestu czterech w tym kraju.

I znowu zamilkli, czuwając nad tą godziną południową, słuchając jej, czując ją, jak byli zamilkli wtedy, gdy głos nosowy mueddina rozlegał się w modlitewnem wołaniu.

Hrabia Anteoni stał w blasku słońca u białych niskich sztachet ogrodowych. Domini siedziała na niskiem krześle w cieniu, jaki rzucało wielkie drzewo dżamelonu. U stóp jej był krzak żywego szkarłatu geranjum, od którego dziwnie biało odbijała jej suknia płócienna. W oczach jej cygańskich był blask półsenny, razem marzycielski, a postać jej nieruchoma, ręce spokojne, okryte białemi rękawiczkami, leżące wolno na kolanach, wyglądały oczekująco i razem tęsknie, jakgdyby czar jakiś począł

Hrabie

swe dzieło na niej i nie spełnił go jeszcze całkowicie, nie uspokoił jeszcze wszystkich tętn życia, które w niej wezbrały.

Po chwili tego milczenia hrabia Anteoni cofnął się od słońca i siadł w cieniu na krześle obok Domini. Spojrzał na zegarek.

— Jeszcze dwadzieścia pięć minut — rzekł — do przyjścia moich gości.

— Gości? — rzekla Domini z akcentem zdziwienia.

— Zaprosiłem księdza do równej liczby.

— O!

— Pani nierada mu?

— Owszem, lubię go, szanuję.

— Obawiam się jednak, czym pani sprawił tem przyjemność.

Domini spojrzała mu prosto w oczy.

— Dlaczegoż pan zaprosił księdza Roubier? — rzekła.

— Czworo lepsza liczba, niż troje.

— Nie chce mi pan tedy powiedzieć?

— Jestem nieco złośliwy. Zgadła pani. Dlaczegoż nie miałbym się przyznać do tego. Poprosiłem ojca Roubier, bowiem chciałem widzieć razem człowieka, który się modli, z człowiekiem, który ucieka od modlitwy.

— Modlitwy muzułmańskiej — rzekła Domini.

— Modlitwy — rzekł.

Głos jego, gdy to mówił, był szczególnie szorstki. Zazgrzytał, jak narzędzie po twardej powierzchni.

Domini wiedziała, że skrycie dbał on o wiarę arabską, że ostatnie jej słowa były jakgdyby wyskokiem przeciw religji narodu, który on kochał z dziwną, ukrytą pasją, której ogień poczynała czuć sama, odkąd lepiej poczęła go poznawać.

Było widocznem ze sposobu ich zachowania, iż niedawna znajomość wzbudziła już w nich coś z uczuć słodkiej przyjaźni.

Domini spoglądała już dokoła nie — jak podziwem zdjęty wędrowiec w tym zaczarowanym ogrodzie słońca, lecz — jak osoba, oswojona z nim. Mimo to, zachwyt nie odbiegł jej. Był tylko inny. Było w nim mniej zdumienia, więcej uczucia. Jak to słusznie rzekła, nie oswoiła się jeszcze z czarodziejstwem Afryki. Jej dziwy, jej przeciwieństwa wciąż jeszcze wzruszały ją i wciąż jeszcze wstrząsały. Lecz poczęła czuć już, jakgdyby należała do Beni-Mora, i jakgdyby Beni-Morze miało coś ubyć, gdy ona stąd odjedzie.

Od czasu jazdy do Sidi-Zerzur upłynęło dziesięć dni, dni — jak sen dla Domini.

To, czego szukała, jadąc tu do Beni-Mora, znalazła z pewnością. Dzieło jej przyniosło już owoc. Pomiędzy krajem jej dawnego życia i krajem, w którym się nowe życie jej poczynało, rzuciła zatokę, w którą się morze wtaczało. Dni jej płynęły, jak we śnie, lecz we śnie tym było drgnienie narodzin. Znużenie jej przeszło całkowicie. Po pierwszych godzinach podniety nie powracało już zupełnie. Mróz, który trzymał w zesztywnieniu jej zmysły, stajał zupełnie. Skądby okowy mroźne w tym kraju ognia? Tęskniła do spokoju i znalazła go tu pewnie — był to atoli spokój bez zastoju. Pracowała w nim nadzieja i oczekiwanie, wolno, lecz wytrwale. Co się tyczy zapomnienia, budziła się czasami ze snu, prawie zdumiona i prawie zawstydzona na myśl, jak bardzo zapomniała i jak prędko zapomniała. Życie jej europejskie, przyjaciele — niektórzy bardzo bliscy i zażyli — byli teraz dla niej, jak daleki obłok na niebie, wciąż dalej lecący pod stałym wiatrem, który szedł od niej ku niemu. Wkrótce już zniknie, jakby go nigdy nie było. Od czasu do czasu, z rodzajem zapalnego uporu, starała się powstrzymać lot, którego pragnęła, stale pragnęła. Mówiła do siebie: „Chcę pamiętać. To godne pogardy zapomnieć do tego stopnia. To nędznie, być zdolnym do tego.“ A wtedy rzucała wzrok na góry pustyni, na Arabów, grających w kamienie w cieniu muru kawiarnianego, albo na dziewczę w pomarańczowej o barwach ściemionych odzieży, napełniające dzban z koziej skóry u studni pod palmami, i znowu ulegała temu kołyszącemu wpływowi, uśmiechając się, jak uśmiechają się ci, co słyszą szmer słodki wody źródeł Lety.

Wody te może słyszała jeszcze wyraźniej, kiedy błąkała się samotnie w ogrodzie Anteoni'ego. Upoważnił ją do tego przy pierwszem widzeniu. Skorzystała w pełni z jego zaproszenia, wiedząc, iż, gdyby żałował tego, onaby to odczuła. Dał jej atoli do odczucia, że zgoła nie żałował.

W Anteonim Domini widziała nowy gatunek człowieka — świeckiego pustelnika. Znał on świat i nie nienawidził go. Krytyka jego i satyra rzadko były bez wdzięku. Nie gromił go, jak człowiek rozczarowany, który zbiegł w samotnię w goryczy ducha, lecz raczej, jak człowiek wrażliwy, z niezwykłem usposobieniem do romantyczności i może z tęsknotą do wolności, którą

normalne życie oświecone zacieśnia zanadto. Kochał myśli, jak wielu kocha rozmowę — ciszę, jak wielu kocha muzykę. Czasami rzekł słowo gorzkie lub smutne. Czasami zdawał się być bliskim czegoś srogiego. Czasami zdawało się jej, iż jest jakgdyby węzeł tajemny pomiędzy nim i handlarzem perfum w owej małej, zmroczonej izdebce, pomiędzy nim i temi zastępami, które modliły się u grobu Sidi-Zerzura. Chwile te atoli były rzadkie. Zazwyczaj zaś był miły i kapryśny, miał uprzejmość tych ludzi dobrych, którzy potrafią być ludzcy nawet w swem odłączeniu od świata zwyczajnego. Humor jego był solą z pełnią smaku. Wyobraźnia należała do tego rodzaju, który zajmuje, a nawet czaruje.

Czuła także i to, że go zajmowała i że był on człowiekiem, którego niełatwo zajęłoby coś pospolitego. Zanadto wiele widział i nazbyt jasno sądził, by można go było łatwo przytrzymać na długo. Nie miała próżności zatrzymania go i nigdy w swem życiu świadomie nie starała się ani przyciągnąć, ani zatrzymać mężczyzny; była atoli dość na to kobietą, by miłem jej było, że on znajduje przygodną przyjemność w jej towarzystwie.

Razu pewnego nazwała go żartami duchem pustyni. Uśmiechnął się jakgdyby z zadowolenia.

Wiedzieli o sobie niewiele, mimo to stali się przyjaciółmi w ogrodize, którego on nigdy nie opuszczał.

Pewnego dnia rzekła do niego:

— Lubisz pan pustynię. Dlaczegoż pan nigdy nie pójdzie w nią?

— Wolę patrzeć na nią — odpowiedział. — Gdy się jest w pustyni, oszałamia ona.

Uprzytomniła sobie, co czuła podczas pierwszej swej jazdy z Androwskim.

— Jestem przekonana, że pan się boi pustyni — rzekła wyzywająco.

— Bojaźń czasami jest początkiem mądrości — odpowiedział. — Lecz pani się nie boi, wiem o tem.

— Skąd pan wie?

— Widzę panią galopującą codziennie w słońcu.

Zdawało jej się, że słyszy w jego głosie nutę przestrogi — czy nagany. To uczyniło ją nieufna.

— Mniemam, że pan wiele traci, nie cwałując tak samo w słońcu — rzekła.

— Kiedy ja nie lubię jeździć konno.

To jej przypomniało znowu Androwskiego i jego gniewne postanowienie. Nie było to postanowienie dzienne. Zmęczony i rozbity po wyprawie do Sidi-Zerzura, uszkodzony na ciele upadkiem — wiedziała od Batucza, iż musiał wzywać lekarza w Beni-Mora, by mu przewiązał ramię — na drugi dzień o jutrzni krokiem cichym przeszedł przez werendę. Właśnie na krok ten zbudziła się i leżała spokojnie, gdy on schodził ze schodów. Ostre atoli zarżenie konia zbudziło w niej niepohamowaną ciekawość. Wstała z łóżka, okryła się futrem i wyśliznęła się na werendę. Słońce nie było jeszcze na linji horyzontu pustyni, ciemność nocy mieszała się z szarością świetlistą. Powietrze było prawie zimne. Palmy wyglądały widmowo, nawet strasznie, pustka i cisza ogrodu tęsknie i niebezpiecznie. Nie była to godzina do czynności, do postanowień, lecz do snu, do uciszeń.

Na dole zaspany chłopiec arabski, z kapturem, naciągniętym na głowę, trzymał za uzdę kasztanowatego konia. Androwski wyszedł z pod arkady. Miał czapkę nasuniętą na brwi, która zmieniła jego postać tak, że, gdy się patrzało zgóry, wyglądał na grooma lub stajennego. Stał chwilę i spoglądał na konia. Zaczem utykając, przeszedł na drugą stronę i wsiadł na niego dbale, idąc za wskazówkami, jakich mu poprzedniego dnia udzieliła Domini: unikać dotknięcia konia nogami, trzymać uzdę, zanim się wsiądzie, i opaść na siodło jak można najlżej. Zauważyła, że wszystkie jej polecenia były spełnione z nieskończoną bacznością. Gdy już był na koniu, starał się utrzymać prosto, lecz wysiłek ten był za wielki dla jego rozbitego i osiniaczonego ciała. Pochylił się naprzód nad łękiem siodła i pojechał w szarości świetlistej dnia ku pustyni. Koń szedł spokojnie, jakgdyby był urzeczony tajemnicą cichej godziny. Jeździec i koń zniknęli. Chłopiec arabski pociągnął w kierunku wioski. Lecz Domini pozostała, patrząc w szlak po Androwskim. Nie widziała nic, prócz palm szarych i atmosfery widmowej, w której leżała pustynia. Nie mogła wszakże ruszyć się z miejsca, aż póki czerwony grot nie wystrzelił na wschodzie ku ostatniej gwieździe znikającej.

Pojechał odbyć swą lekcję w pustyni.

W trzy dni potem jechała znowu z nim razem. Nie dała mu poznać, że była na werendzie, i on nie napomknął słowem o swym wyjeździe w tę jutrznię. Mówił bardzo niewiele i zdawał się być bardzo zajętym swym koniem; Domini spostrzegła, że był on więcej, niż gotowym na trud — że był on zdolnym do opanowania ćwiczenia fizycznego, które było nowem dla niego. Wielka jego siła dopomagała mu niemało. Tylko człowiek żelaznego zdrowia mógł tak szybko przemóc skutki pierwszego dnia upadku i walki. Zupełna bierność jego dla wysiłków i żelazna wola, która je zarządzała, podobały się Domini. Uważała je za rzeczy godne mężczyzny.

Trzy razy jeszcze jeździli ze sobą: dwa razy do oazy przez brunatną wiosczyznę, raz — w pustynię drogą karawanową, o której mówił jej Batucz, że wiedzie prosto do Tombuktu. Nie jechali nią nazbyt długo, lecz Domini poczuła odrazu, że droga ta ma dla niej więcej uroku, niż droga do Sidi-Zerzura. Było tu więcej piasku w tej stronie pustyni. Małe wzgórki, na których rosła licha strawa dla wielbłądów, były tu rzadsze, tak, iż równia gruntu była tu bardziej określona. Tu i owdzie wielkie zaspy złotem barwionego piasku wznosiły się, jedne proste, jak mury grodu, inne ciosane, jak miejsca w amfiteatrze, inne jeszcze zębate, jak forty, to znów falujące, jak kształty dzikich zwierząt. Rozległej panoramy pustyni nie przerywał widok żadnej oazy — i obszar ten nasuwał wszechwładnie myślom Domini: Wieczność.

— Gdy udam się kiedy w daleką drogę do pustyni, będę jechała tylko tą drogą — rzekła do Androwskiego.

— Pani ma zamiar udać się w daleką podróż? — rzekł, patrząc na nią jakgdyby zdziwiony.

— Za kilka dni.

— Sama?

— Przypuszczam, że najmę karawanę, dwu lub trzech Arabów, kilka koni, namiot jeden lub dwa. To łatwo urządzić. Batucz mi to załatwi.

Androwski wciąż patrzał zdziwiony i jakby półgniewny. Popędzili konie śród zasp piaszczystych. Było już blisko zachodu, w powietrzu było tchnienie wieczoru, czyniące świeżość jego jeszcze bardziej wieczystą, bardziej obrzednio czystą, niż podczas dnia. Powietrze było tak czyste, że kiedy spojrzeli za

siebie, mogli widzieć flagę, powiewającą na białej wieży wielkiego hotelu w Beni-Mora, wiele kilometrów wstecz między palmami — tak spokojne, iż mogli słyszeć szczekanie psów kabylskich wpobliżu namiotów nomadów, rozbitych w zielonej krainie u źródeł wodnych starej Beni-Mory. Gdy patrzali przed siebie, zdawało im się, że widzą tysiące staj równi, ciągnącej się wdal i wdal, aż póki blado-żółtawa ich brunatność nie stawała się ciemniejszą, wgrążoną w dziwną błękitność, jak w błękit gorącego tumanu nad południowemi jeziorami, a potem w fiolet, a potem — w coś, czego nie można widzieć, w coś wzywającego, czego głos słyszała wyobraźnia Domini, jak odległe echo przenikliwe, ilekroć była w pustyni.

— Nie wiedziałem, że pani ma udać się w podróż — rzekł Androwski.

— Czyż pan zapomniał? — rzuciła mu żartobliwie. — Wszak mówiłam panu na wieży, iż mniemam, że tam musi być spokój. Otóż za kilka dni pojadę poszukać go.

— To zdaje mi się już tak odległem, proszę pani — rzekł mrukliwie.

Czasami, kiedy mówił do niej, zniżał głos tak, że z trudem mogła go słyszeć; sprawiał wtedy wrażenie człowieka, który rozmawia sam z sobą.

Światło czerwone od słońca zachodzącego upadło na zaspy piaszczyste. Kiedy niemi jechali, konie ich wyglądały, jak brodzące po cichem morzu krwi. Niebo na zachodzie płonęło ogromnym pożarem, w którym zmagały się rzeczy katowane i wyciągały ramiona skręcone.

Znajomość Domini z Androwskim nie postąpiła tak łatwo i tak układnie, jak jej obcowanie z hrabią Anteonim. Przekonała się, że był on tem, co nazywają „człowiekiem trudnym". Czasami tylko, jakgdyby pod wpływem jakiejś tajemnej i gwałtownej pobudki, mówił on z naturalnością niejaką, mówił, być może, wbrew woli. Ilekroć zaś tak czynił, zauważyła, iż zawsze było w tem coś lub z wątpienia, lub ze zdumienia. Spostrzegła, że był nieskory do wiary, skory do nieufności. Spostrzegła także, iż wiele rzeczy budziło w nim podziw, i czuła to pewnie, że prawie ze wszystkiem tem ukrywa się przed nią — i że ukryłby wszystko — gdyby jego własna wola nie zawodziła go chwilami.

Powściągliwość ta była natężona, jak wszystko w nim. Była w tem jakaś dzikość, która jawiła swą istność. Świadczył jej zawsze o uczuciu siły, fizycznej czy umysłowej. Lecz także świadczył jej zawsze o uczuciu niezgrabności. Dla kobiety, jak Domini, niezgrabność stanowiła zazwyczaj o słabości jawnej lub ukrytej. W Androwskim zdała się ona stanowić o rzeczy, jakgdyby była powołana do kruszenia zapor, do łamania wrót żelaznych, do wyrwania się na przestwór. A wtedy — cóż wtedy? Drżeć przed nim? W jakimby celu to czynił? Nie wiedziała. Wiedziała przecież, że nawet w jego niezgrabności było tętno, nerw, mięsień, wena — wszystko, co się składa na siłę i zręczność.

Mowa była osobliwie uciążliwą dla niego. Milczenie zdało się być jego rzeczą przyrodzoną, nie przykrą. Po kilku słowach zapadał w nie i trwał w niem. I mniej był pomny siebie w milczeniu, niźli w mowie. Domini przypuszczała, że czuł się bezpieczniejszym, bardziej mężczyzną, kiedy nie mówił. Użycie mowy było z jego strony jakgdyby ustępstwem.

Posiadał szczególny dar — iż dawał odczuwać swą obecność, kiedy milczał, jakgdyby tylko co przestał był mówić — i żar wiał z niego i unosił się jeszcze w przestrzeni.

Nie wiedziała, czy należał do tak zwanego dobrego towarzystwa, czy nie.

Gdyby kto spytał ją, zanim przybyła do Beni-Mory, czy jest możliwem, żeby odbyła cztery przejażdżki sam na sam z mężczyzną, obcowała z nim — choćby tylko przez kilka chwil — — codziennie w ciągu dziesięciu dni, siedziała naprzeciw niego, z nim razem, u stołu w ciągu tego czasu, i była zdolną nie zdać sobie sprawy, czy jest on człowiekiem z jej towarzystwa, czy nie, przez urodzenie i wychowanie, czując, że sprawę tę odkłada — odrzekłaby bez wahania, że jest to zgoła niemożliwem. A jednak tak było. Nie mogła rzec o nim stanowczego zdania. Nie mogła znaleźć dla niego stanowiska. Nie mogła wykreślić w swej wyobraźni, jaką była jego rodzina, jakim on był w młodości, w wieku męskim. Nie mogła go sobie wyobrazić związanego jakiemibądź więzami rodzinnemi, matki, siostry, żony, dzieci. Kiedy patrzała na niego, myślała o nim — robił on na niej wrażenie czegoś samotnego, odłączonego, jak rzeczy w powietrzu.

Nadto był on bardziej mężczyzną, niż inni; szło też od niego

pewnego rodzaju ludzkie tchnienie, jak gorąco, które idzie od ognia.

To coś dziecięcego, co było w nim, prawie że ją tropiło i zmuszało do pytania, czy czasami długie obcowanie z ludźmi nie zaćmiło w niej samej jej przyrodzonej prostoty. To dziecięctwo atoli widziała w nim tylko zrzadka i mniemała, że on także stara się skrzętnie je ukryć.

Miał on niezaprzeczenie siłę wzbudzania uczuć w innych. Wiedziała o tem z własnego doświadczenia.

Podziwiała go. Bo też często budził on w niej podziw.

Mimo jazdy, chwil rozmowy w hotelu, na werendzie, nie czuła się z nim poufalszą, niż była w początkach. Czasami, przeciwnie, zdawało jej się, że była mniej poufałą obecnie i że chwila, gdy pociąg wypłynął z tunelu na świat błękitny, była momentem, w którym byli dla siebie najbliżsi, odkąd skraje ich życia się zeszły.

Nigdy dotychczas nie rzekła sobie stanowczo: „Czy on mi się podoba, czy nie?“

Obecnie, gdy siedziała z hrabią Anteonim, obserwując południe, półsenny, półmarzący wyraz wypłynął na jej twarz. Wyglądała jakgdyby surowo i jakgdyby groźnie.

Androwski i hrabia Anteoni nie zeszli się nigdy ze sobą. Hrabia widział Androwskiego nieraz woddali ze swego ogrodu, lecz Androwski nie widział go. Zebranie, które teraz miało się odbyć, nastąpiło dzięki Domini. Mówiła nieraz Androwskiemu w różnych okolicznościach o piękności romantycznej tego pustynnego ogrodu.

— Jest to ogród jakgdyby z *Tysiąca i jednej nocy* — rzekła razu jednego.

Androwski nie zdawał się być oświeconym — i to ją pobudziło do zapytania go wręcz otwarcie, czy czytał tę słynną książkę. Nie czytał. Zwątpiła nawet, czy słyszał kiedy o niej. Poczęła mówić mu o hrabim Anteonim, o jego ogrodzie, malując zlekka jego kapryśne usposobienie, jego miłość dla Arabów, jego zamiłowanie samotności i życia afrykańskiego. Wspomniała także, że był rodem z Rzymu.

— Lecz nie należy napewno do białych, ręczę za to — dodała.

Androwski nic nie rzekł.

— Powinien pan pójść i zobaczyć ogród — ciągnęła dalej. — Hrabia Anteoni pozwala zwiedzającym napawać się tą pięknością.

— Jestem pewien, że to musi być piękne, proszę pani — odparł raczej z chłodem, jak się Domini wydało.

Nie rzekł, że chciałby go zobaczyć.

Zawzięte postanowienie jego co do jazdy poruszyło ją bardziej, niż zdawała sobie z tego sprawę. Często widziała przed sobą pochyloną jego postać, która wyglądała zmęczona, jadącą samotnie w szarość świetlistą; umyślnie tak wcześnie, by czyn ten, tak poziomy i tak uporczywy, pozostał przed nią w ukryciu. Nie wiedział o tem, że widziała go, nietylko tego ranka, lecz i wielu następnych, gdy wyjeżdżał na studja swej nowej sztuki w ciszy godzin samotnych. I oto może ta okoliczność, że widziała go, że obserwowała go, aż póki koń i jeździec nie znikali pomiędzy palmami, obudzała w niej teraz pragnienie, by on także wziął udział w odczuciu czarów ogrodu, by poznał go, jak ona poznała.

Nie rozprawiała atoli ze sobą w tej sprawie. Wiedziała jedynie, że pragnęła, że obecnie zamierzyła, by Androwski przestąpił białą bramę ogrodu, by był spotkany na piasku przez Smaina z różą.

Razu pewnego hrabia Anteoni zapytał ją, czy zawarła znajomość z podróżnym, który zbiegł od modlitwy.

— Tak jest — odrzekła. — Znam go.

— Skąd?

— Jeździliśmy przecież razem do Sidi-Zerzura.

— Nie jestem ciągle u muru ogrodowego.

— Tak jest, ale sądzę, że tego dnia był pan u muru.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Jestem pewna, że pan tam był.

Ani przytwierdził, ani zaprzeczył.

— On nie był jeszcze w moim ogrodzie — rzekł.

— Tak jest.

— Powinienby przyjść.

— Mówiłam mu to.

— A! I cóż, przyjdzie?

— Nie sądzę.

— Niech pani go nakłoni. Mam ambicje co do swego ogrodu.

Nie ma pani pojęcia, jak jestem próżny co do niego! Wszelka obojętność względem niego, wszelkie lekceważenie dotyka mnie, gra do żywa na nerwach, które z nas każdy posiada.

Mówił z uśmiechem. Nie mogła wiedzieć, co czuł, mówiąc to, i czy myśliciel ustronny, czy żartowniś układny dotrzymywał jej placu.

— Nie wiem, czy on należy do ludzi, których łatwo nakłonić — rzekła.

— Swoją drogą niech go pani nakłoni.

Po chwili Domini rzekła:

— Ciekawa jestem, czy pan uznaje, że są w życiu przeszkody, których wola ludzka nie przemoże?

— Nie mógłbym żyć tu, gdzie żyję, gdybym nie uznawał, że ziarnka piasku są często miotane przez wicher. Ale gdy niema wiatru...

— Tedy leżą spokojnie?

— I są pustynią. Chciałbym uczynić osobliwą próbę.

— Cóż takiego?

— Przyjęcie w moim ogrodzie.

— Czy to zachcianka?

— Coś bardziej pospolitego. Śniadanie. Pani zaszczyci mnie?

— By zjeść z panem śniadanie? Ależ oczywiście. Dziękuję panu.

— I przyprowadzi pani ze sobą drugiego czciciela słońca?

Spojrzała w małe, błyszczące oczy hrabiego.

— Pana, Androwskiego?

— Jeżeli tak się nazywa. Mogę mu posłać, oczywiście, zaproszenie. Ale to raczej formalność; a sądzę, że on nie jest formalistą.

— Na kiedy pan nas zaprasza?

— Na kiedykolwiek... na piątek.

— A dlaczego pan nas zaprasza?

— Pragnę przemóc tę jego obojętność dla mojego ogrodu. To dotyka nietylko moją dumę, ale i moje umiłowania.

Cała ta rozmowa była rodzajem poważnego żartu. Domini nie rzekła, że chciałaby zanieść to dziwne zaproszenie; lecz kiedy została sama i uprzytomniła sobie sposób, w jaki hrabia Anteoni rzekł do niej: „Niech pani go nakłoni!" poznała, że chciałaby — i że nakłoni Androwskiego do przyjęcia go. Była

to sposobność ujrzenia go w towarzystwie drugiego mężczyzny, człowieka światowego, który czytał, podróżował, myślał i żył bez wątpienia.

Zapytała go tegoż wieczora i ujrzała rumieniec, który wystąpił, jak na twarzy chłopca, i szedł aż do jego czoła.

— Ktokolwiek przyjeżdża do Beni-Mory, idzie oglądać ten ogród — rzekła, zanim jej odpowiedział. — Hrabia Anteoni prawie że obrażony na pana, że pan stanowi wyjątek.

— Ale... ale, proszę pani, skąd pan hrabia Anteoni może wiedzieć, że ja tu jestem. Ja nie widziałem go.

— On wie, że pan tu jesteś drugim podróżnym, i jest bardzo gościnny. Panie Androwski! Chciałabym, żeby pan poszedł. Chciałabym, żeby pan zobaczył ogród.

— Bardzo to uprzejmie z pani strony.

W głosie jego było wielkie niezdecydowanie. Zarazem czuć było, że nie chciałby odmówić. Podczas gdy się wahał, Domini ciągnęła dalej:

— Czy pan przypomina sobie, jak poprosiłam pana, żeby pan jechał ze mną?

— Tak jest, pani.

— To było dla pana nowością. Nieprawdaż? A jednak sprawiło to panu przyjemność?

— Tak jest, proszę pani.

— Otóż przyjdź pan do ogrodu. Chcę drugą przyjemność sprowadzić do pańskiego życia.

Poczęła mówić z tym lekkim darem przekonywania, jaki jest właściwy kobiecie światowej, pragnącej zapanować nad męskim uporem lub niechęcią, lecz w trakcie, jak mówiła, spadła na nią raptownie powaga. Udzieliła się jej głosowi i niezawodnie uderzyła w niego, jak powiew gorący wiatru, który wieje z pustyni.

— Przyjdę, proszę pani — rzekł szybko Androwski.

— W piątek. Postaram się być zrana w ogrodzie. Spotkam pana u bramy ogrodowej o pół do dwunastej.

— W piątek? — zapytał.

I znowu zdawał się wahać i uchylać. Domini nie pozostała z nim dłużej.

— Jestem rada — rzekła, kończąc rozmowę.

I poszła.

Obecnie hrabia Anteoni oświadczył jej, że zaprosił księdza. Czuła z tego powodu rozterkę, i twarz jej mówiła o tem wyraźnie. Chmura spadła na jej serce; zmieniła się naraz i jakby zastygła. A przecież lubiła księdza. Kiedy tak siedziała w ciszy, rozterka jej stawała się głębszą. Czuła to dobrze, że, gdyby Androwski wiedział, że będzie ksiądz, nigdyby nie przyjął zaproszenia. Chciała, żeby przyszedł, ale i chciała, żeby wiedział o tem. Mógł przecież pomyśleć, że ona o tem wiedziała i ukryła przed nim. Nie przypuszczała na chwilę, by nie lubił księdza Roubier osobiście, lecz to było pewnem, że unikał go. Kłaniał mu się w sali kawiarnianej hotelu, lecz nigdy nie mówił z nim. Batucz opowiedział jej ową przygodę z Bu-Bu. I widziała, jak Bu-Bu starał się odnowić poufalszy stosunek i jak był ze stanowczością odepchnięty. Androwski musiał nie lubić księżego stanu. Urok śniadania został popsuty.

— Proszę mi wybaczyć złośliwość — rzekł hrabia Anteoni. — To było istotnie, jak oset. Ale czy to może wyjść na złe? Nie przypuszczam tego.

— Nie, nie.

Krzepiła się w duchu, z instynktem kobiety, która żyła wiele w świecie, żeby ukryć rozterkę, która oczywiście na miejsce ogólnej wesołości mogła sprowadzić upadek ducha.

— Pustynia uczyniła mnie przewstrętnie naturalną — pomyślała.

W tejże chwili postać księdza Roubier wynurzyła się z cienia drzew z Bu-Bu, stąpającym obok poważnie.

— A, ksiądz — rzekł hrabia Anteoni, idąc na spotkanie, podczas gdy Domini powstała z fotela. — Jak to dobrze, że ksiądz przyszedł na to słońce spożyć rybę z takim złym, jak ja, parafjaninem. Pański mały towarzysz ma się dobrze...

Pogłaskał Bu-Bu, który mało zwrócił uwagi na niego.

— Zna ksiądz pannę Enfilden, przypuszczam? — ciągnął dalej hrabia.

— Spotykamy się z księdzem codziennie — rzekła Domini, uśmiechając się.

— Pani raczyła być wielce przychylną dla skromnego dzieła kościoła w Beni-Mora — rzekł ksiądz z poważną prostotą, która mu była właściwą.

Był to człowiek szczery, całkiem bez pretensji i, jak tacy ludzie potrafią, odrazu swobodny z każdym, bez względu na jego stan lub wierzenia.

— Muszę iść do bramy ogrodu — rzekła Domini. — Panowie wybaczą na chwilkę?

— Spotkać pana Androwskiego? Pani pozwoli, że będziemy jej towarzyszyli z księdzem Roubier.

— Proszę się nie niepokoić. Wrócę za chwilę.

Było coś w jej głosie, co odrazu zmusiło hrabiego Anteoniego do zastosowania się do jej woli i porzucenia odruchów dworskości.

— Będziemy tu czekali na państwa — rzekł.

W oczach jego była kapryśna prośba o przebaczenie. Oczy Domini nie odrzuciły jej. Poszła — i dwaj panowie patrzeli z zachwytem na jej kształtną postać w ruchu. Kiedy szła ścieżkami piaszczystemi pomiędzy małemi strumykami i wstąpiła w głębszy cień, rozterka jej zdawała się urastać w mrok, jak ścieżki ogrodowe. Przez chwilę miała wrażenie, jakgdyby rozumiała uczucia, jakich musi z pewnością doświadczać kobieta zdradzająca. Była przecież niezdolną do zdrady. Smain stał sennie na wielkim terenie piaszczystym przed willą. Byli już z sobą, jak starzy znajomi; codziennie podawał jej w milczeniu różę, kiedy wchodziła do ogrodu.

— Która godzina, Smainie?

— Za parę minut pół do dwunastej, proszę pani.

— Otwórz, Smainie, furtkę i zobacz, czy idzie kto tutaj.

Smain poszedł ku bramie, a Domini siadła na ławce pod zielonem poszyciem szpaleru, czekając. Rzadko kiedy doświadczała podobnie niemiłego uczucia, poczęła też prawie ze złością ważyć je w sobie. Gdyby nawet obecność księdza miała być nieprzyjemną dla Androwskiego, cóż to ją tak wielce obchodzi? Niechęć do księży nie winna była być oczywiście stanem ducha do popierania, lecz raczej logiczną pobudką do zwalczania. Ale ona pragnęła — ciągle pragnęła w cichości z zapałem, żeby ta pierwsza wizyta Androwskiego w ogrodzie była jak najprzyjemniejszą, żeby mu sprawiła radość. Jakiś rodzący się w niej instynkt chciał rozścielać przed nim rzeczy w najmilszym uroku. Życie jego musiało być ciężkiem w przeszłości, cięższem może nawet, niźli jej życie. I pytała siebie przez chwilę, czy i on

przybył tu do Beni-Mory, jak ona, szukać szczęścia, niezawartego w określonej myśli?

— Tam idzie, proszę pani, pan.

Był to pieściwy głos Smaina od furtki. Za chwilę stanął przed nią Androwski. Domini ujrzała go w obramowaniu białej bramy z błyszczącem niebem poza nim i wąską smugą strumienia. Stał wciąż i wahał się.

— Panie Androwski! — zawołała.

On drgnął, spojrzał na piasek i postąpił do ogrodu z rodzajem niechętnej przezorności, która sprawiała jej przykrość, choć sama nie wiedziała, czemu. Podszedł do niej — spotkali się w pełnym blasku słońca.

— Przyszłam, żeby być pańskim przewodnikiem.

— Dziękuję pani.

Od zamykania bramy zaklekotało drzewo, uderzając o siebie. Androwski odwrócił się szybko i spojrzał przezornie za siebie. Zachowanie jego było, jak człowieka, którego udręczały nerwy. Domini poczęła lękać się powiedzenia mu, że ksiądz jest obecny, i dziwnie, bez wahania, poczęła czynić, czego się obawiała.

— Tu droga — rzekła.

I gdy zawrócili w cień drzew i szli pomiędzy strumykami wody, rzekła raptownie:

— Ksiądz Roubier jest już także, jesteśmy tedy w komplecie.

Androwski stanął bez ruchu.

— Ksiądz Roubier! Pani mi nie mówiła, że on będzie.

— Dowiedziałam się o tem dopiero przed pięciu minutami.

Przystanęła także i patrzała na niego. W oczach jego błysnął zły płomyk niewiary, usta zacisnęły się, a cała postać oznajmiała wrogość.

— Nie pojmuję tego. Sądziłem, że pan Anteoni będzie sam.

— Ksiądz Roubier jest miłym towarzyszem, szczerym i prostym. Kochają go wszyscy.

— Bez wątpienia, proszę pani. Lecz — zawahał się chwilę, a potem dodał prawie z gwałtownością — lecz księża nie obchodzą mnie zupełnie.

— Bardzo mi przykro. Chociaż... raz jeden... na godzinę... może pan oczywiście....

Nie dokończyła zdania. Mówiąc, czuła całą banalność zdania,

głoszonego przed tego rodzaju człowiekiem, i zmieniła ton i sposób.

— Panie Androwski! — rzekła, kładąc mu rękę na ramieniu. — Wiedziałam o tem, że pan nie lubi księdza Roubier. Gdybym była wiedziała, że on tu będzie, powiedziałabym to panu, tak, że w razie życzenia mógłby się pan łatwo uchylić. Obecnie jednak, gdy już pan jest tutaj, gdy Smain już pana przepuścił i hrabia Anteoni wraz z księdzem Roubier będą o tem wiedzieli, jestem pewna, że pan zostanie i przezwycięży swoją niechęć. Pan zamierza odejść stąd. Widzę to. Otóż, proszę pana, zostań pan.

Nie myślała o sobie, lecz o nim. Instynkt dyktował jej, by nauczyła go drogi ukrycia odrazy. Odejście, przeciwnie, mówiłoby głośno o niej.

— Dla samego pana proszę o to — dodała. — Jeżeli pan odejdziesz, powiesz im to, coś pan mnie powiedział. Nie zechcesz pan tego uczynić?

Patrzyli na siebie. A potem on, bez słowa, ruszył dalej.

Gdy ona tak szła przy jego boku, uczuła naraz, że znajomość ich jakgdyby podskoczyła naprzód, jak rzecz, która była silnie powściągana, a która teraz nagle została zwolniona. Nie mówili do siebie — aż póki nie zobaczyli na końcu alei hrabiego i księdza, stojących społem pod drzewem dżamelonu. Bu-Bu ruszył naprzód z poszczekiwaniem, i Domini miała to przeświadczenie, że Androwski pasuje się, jak zapaśnik, idący na arenę. Zaostrzona wrażliwość jej ducha i ciała została tak ruszona tajemnym pędem jego uczuć, iż zdało się jej, jakgdyby spotkanie jego z dwojgiem mężczyzn, czekających tam w blasku słońca, miało być wielkiem wydarzeniem, które mogło być płodnem w osobliwe następstwa. Wstrzymała prawie oddech, gdy wraz z Androwskim wyszła ze ścieżki i dzikie promienie słońca obrzuciły blaskiem ich twarze.

Hrabia Anteoni szedł naprzód, żeby ich powitać.

— Pan Androwski... hrabia Anteoni — rzekła.

Ręce dwojga mężczyzn wyciągnęły się ku sobie. Domini dojrzała, że ręka Androwskiego podążała niechętnie.

— Witam pana w moim ogrodzie — rzekł hrabia Anteoni ze swoją niezmiennie łatwą dworskością. — Każdy podróżny

musi spłacić dług tej mojej siedzibie. Smiem wymagać tego, jako najstarszy europejski mieszkaniec w Beni-Mora.

Androwski nic nie odrzekł. Oczy jego spoczęły na księdzu. Hrabia Anteoni spostrzegł to i dodał:

— Czy znasz pan księdza Roubier?

— Widujemy się często w hotelu — rzekł ksiądz ze swoją zwykłą otwartością prostoty.

Przeciągnął rękę, lecz Androwski pochylił się szybko i niezręcznie, i zdawał się nie spostrzegać jej. Domini spojrzała na hrabiego Antoni'ego i pochwyciła wyraz zdziwienia w jego jasnych oczach. Zgasł on atoli odrazu i hrabia rzekł:

Proszę państwa do jadalni. Sniadanie gotowe. Służę pani, panno Enfilden.

Domini szła z hrabią ścieżką ocienioną, poprzedzana przez Bu-Bu, ukrywając niezadowolenie z powodu pozostawienia Androwskiego z księdzem.

— Czyżby moja uczta miała się nie udać? — rzekł półgłosem.

Domini nic nie odrzekła. Miała serce, pełne udręczenia, prawie goryczy. Była zła na hrabiego Anteoni'ego, na Androwskiego, na siebie. A nawet i na księdza Roubier.

— Proszę mi przebaczyć! Proszę mi przebaczyć! — rzekł szeptem hrabia. — Nie miałem złych zamiarów.

Starała się uśmiechnąć, lecz cisza poza niemi dwojga mężczyzn, idących razem, tłoczyła ją. Żeby Androwski zechciał przemówić! Nie rzekł jeszcze ani jednego słowa, odkąd byli razem. Naraz odwróciła głowę i rzekła:

— Czy pan widział kiedy takie palmy, panie Androwski? Nieprawdaż, że prześliczne?

Głos jej był wzywający i rozkazujący. Nakazywał on Androwskiemu ożywić się, mówić, jak dotknięcie bata nakazuje koniowi przyśpieszyć kroku. Androwski podniósł głowę, która była pochylona przez cały czas, jak szedł.

— Palmy! — rzekł roztargniony. — Tak jest, są one przedziwne.

— Pana interesują drzewa? — zapytał hrabia, idąc śladem Domini i mówiąc z widocznym zamiarem zagajenia rozmowy.

— Tak jest, oczywiście.

— Mam tu kilka nadzwyczajnych gatunków. Po śniadaniu

pozwoli pan, że mu je pokażę. Całe lata spędzam tu na gromadzeniu moich dzieci i na uczeniu ich, by rosły prosto w pustyni.

W sposób naturalny, gdy mówił, złączył się z Androwskim i szedł teraz razem z nim, wskazując różne odmiany drzew. Domini doznała uczucia ulgi i wielkiego uczucia wdzięczności dla gospodarza domu. Za tem uczuciem wdzięczności przyszło tuż mniej przyjemne przeświadczenie, że Androwski nie jest dobrze wychowany. Dnia tego, może to niedorzeczne, ale czuła się jakgdyby odpowiedzialną za niego i jakgdyby on dla niej winien był sprawować się dzielnie i panować nad swemi nieupodobaniami, w razie gdyby były sprzeczne z uczuciami jego towarzyszów. Tak wielce, tak gorąco pragnęła, by zrobił on dobre wrażenie, że gdy wzrok jej spotkał się z wzrokiem księdza Roubier, prawie że chciała prosić go o przebaczenie za niegrzeczność Androwskiego. Ksiądz atoli zdawał się być nieświadom tego i począł mówić o przepychu roślinności afrykańskiej.

— Czy pani nie dziwi ta świetność po Anglji? — rzekł.

— Nie — odrzekła nikle. — Od chwili, jak jestem tu w Afryce, wciąż czuję, że jestem w kraju gwałtownego urastania.

— A pustynia? — odrzucił z gestem ku lśniącym obszarom Sahary, które były widzialne z pośród drzew.

— Powinnam znaleźć w niej to samo — odrzekła. — Może nawet w niej bardziej, niż gdzie indziej.

Spojrzał na nią z uprzejmem zdziwieniem. Nie tłumaczyła mu, że miała na myśli urastanie nie przyrody.

Jadalnia znajdowała się na końcu szerokiej alei palmowej, nieopodal od willi. Z obu stron białych schodów, które wiodły do przedpokoju, zapełnionego kanapami i stolikami do kawy, stali dwaj służący arabscy. Poza tem był obszerny apartament ze sklepionym dachem, w którego środku stał stół owalny, nakryty do śniadania, ozdobiony mnóstwem szkarłatnych o wygiętych kielichach kwiatów w srebrnych naczyniach. Za każdem z czterech o wysokich oparciach krzeseł stał Arab, jak posąg, bez ruchu. Przyjęcie hrabiego było, oczywiście, połączone z całą wielką ceremonją. Domini sprawiło to przykrość, chociaż nie ze względu na nią. Przez całe życie przywykła do okazałości i uważała ją, jako zwykłą kolej, niemal tak, jak powietrze, którem od-

dychała. Obawiała się atoli, że dla Androwskiego będzie to nowem i niemiłem. Kiedy weszli do ocienionej komnaty, spostrzegła, jak Androwski rzucił szybko okiem na ściany, pokryte ciemnemi perskiemi makatami, na służących w haftowanych kaftanach, szerokich spodniach i śnieżnie białych turbanach, na żywe kwiaty na stole, a potem na wielkie okna, na których były zapuszczone ruchome od zewnątrz story, koloru ciemno-zielonego; i zdawało jej się, że on czuł się, jak zwierz pojmany, pełny wściekłości niezaradnej. Błogość niefrasowna księdza Roubiera pośrodku przepychu, do którego wcale nie przywykł, podniecała tajemne wzburzenie Androwskiego, które nie było tajnem dla Domini i które — wiedziała o tem — musiało być widocznem dla hrabiego Anteoni'ego. Poczęła żałować gorąco, że nie pozwoliła Androwskiemu pójść za odruchem, gdy chciał opuścić ogród, dowiedziawszy się o obecności księdza.

Siedli do stołu. Domini była z prawej strony hrabiego, Androwski był naprzeciw niej, a ksiądz Roubier z lewej. Zanim zajęli miejsca, Domini i ksiądz zmówili pocicha krótką modlitwę i przeżegnali się znakiem krzyża: poczem, gdy rzuciła wzrokiem, ujrzała, że ręka Androwskiego podnosi się do czoła. Przypuszczała przez chwilę, że on też przyłączył się do modlitwy i jest w trakcie uczynienie znaku krzyża, lecz gdy spojrzała na niego, ręka jego opadła ciężko na stół. Na stole zadźwięczały szklanki.

— Dziś dopiero przypomniałem sobie, że to post — rzekł hrabia Anteoni, rozkładając serwetę. — Obawiam się, księże Roubier, że nie odda ksiądz całej słuszności memu mistrzowi, Hamdanowi, jakkolwiek z myślą o księdzu starał się on jak najlepiej. Lecz mam nadzieję, że panna Enfilden i...

— Ja poszczę w piątki — wtrąciła Domini spokojnie.

— Tak? Biedny Hamdan!

Spojrzał z poważną troską w oczach, lecz Domini wiedziała, iż w gruncie był rad z tego, że ona zachowuje posty.

— W każdym razie — ciągnął dalej — mam nadzieję, że pan, panie Androwski, przyłączy się do mnie, w pełni kosztując kunsztu Hamdana... A może i pan...

Nie dokończył, bowiem Androwski rzekł odrazu głosem mocnym i głośnym:

— Nie obserwuję postów.

Słowa te dźwięczały, jak wyzwanie, rzucone dwojgu katolikom, i Domini przez chwilę myślała, że ksiądz Roubier podejmie je, jako rękawicę, wzniósł bowiem głowę i blask ognia zamigotał w jego oczach. Lecz rzekł tylko, zwracając się do hrabiego:

— Sądzę, że panna Enfilden i ja wyjdziemy dobrze na naszym małym Ramadanie. Jadłem raz śniadanie z panem w piątek — dwa lata temu, jeśli się nie mylę — i dobrze pamiętam, jaką mi pan ucztę sporządził.

Domini czuła, że ksiądz dociął Androwskiemu w sposób, w jaki człowiek świątobliwy może dociąć, nie wiedząc o tem. Zła była na Androwskiego i współczuła mu jednocześnie. Dlaczego nie podejmuje on uprzejmości wdzięcznem sercem? W zachowaniu jego było coś prawie nieludzkiego. Przedstawiał się dzisiaj najniekorzystniej — jak człowiek, który dwa razy potraktował ją z brutalną szorstkością.

— Czy istotnie Arabowie zachowują tak ściśle Ramandan? — zapytała, przenosząc wzrok z Androwskiego.

— Bardzo ściśle — rzekł ksiądz Roubier. — Jakkolwiek, oczywiście, nie sympatyzuję z ich religją, bardzo często jestem wzruszony ich przywiązaniem do przepisów religijnych. Jest coś bardzo wielkiego w sercu ludzkiem, co rozważnie nakłada na siebie jarzmo dyscypliny.

— Islam — samo słowo znaczy poddanie woli ludzkiej, woli Boga — rzekł hrabia Anteoni. — Słowo to i jego znaczenie leżą, jak cień ręki nakazującej na duszy każdego Araba, nawet na duszy nałogowego pijaka absyntu, którego tu spotkasz nierzadko, jako spadkobiercę wad swoich ujarzmicieli. Nawet śród największych złoczyńców, których kryje płaszcz Proroka, zachowuje się niezłomne uczucie konieczności tego poddania. Arabowie w żadnym wypadku nie szemrzą na swego Stwórcę, jak muszki, któreby się miotały na słońce, w którego promieniach wirują.

— Tak jest — przytwierdził ksiądz. — W tem swojem poszanowaniu są oni wyżsi od wielu, którzy się mienią chrześcijanami. Pycha ich jest ogromna, lecz nie czyni ich ona nigdy śmiesznymi.

— W tem znaczeniu, że nie próbują stawać wpoprzek woli Bożej? — rzekła Domini.

— Oczywiście, pani.

Pomyślała o swym zmarłym ojcu.

Służący uwijali się bez szelestu przy stole, podając różne potrawy. Jeden z nich w trakcie tego nalał czerwonego wina do szklanki Androwskiego. Ów wyrzucił krótki okrzyk, który dźwięczał, jak początek protestu, szybko zahamowany.

— Może pan woli białe wino? — rzekł hrabia Anteoni.

— Nie, dziękuję panu.

Podniósł szklankę do ust i wychylił ją do dna.

— Czy jest pan znawcą wina? — dodał hrabia. — Jest to wino z mojej własnej winnicy. Mam ją około Tunisu.

— Jest ono doskonałe — rzekł Androwski.

Domini zauważyła, że mówił głośniej, niż zwykle, jakgdyby czynił stanowczy wysiłek wybrnięcia z rozterki, która go widocznie tłoczyła. Jadł z przejęciem, wybierając prawie ostentacyjnie potrawy, w których było mięso. Lecz wszystko, co czynił, nawet to jedzenie mięsa, sprawiało wrażenie, iż w sposób subtelny, którego nie mogła zrozumieć — nie dowierzał nietylko księdzu, lecz i sobie zarazem. Od czasu do czasu rzucała na niego spojrzenia i za każdym razem, gdy to czyniła, on odwracał od niej oczy. Pochwaliwszy wino, zapadł w milczenie. Hrabia Anteoni pod wpływem, jak Domini mniemała, wysokiego uczucia delikatności, nie zwracał się już do niego wprost, lecz podjął rozpoczętą rozmowę o Arabach, objaśniwszy uprzednio, że służący nie rozumieją po francusku. Mówił o nich z tą drobiazgową znajomością, jaka wypływała widocznie z bardzo rzetelnego umiłowania, i Domini nie mogła się powstrzymać, żeby nie wtrącić:

— Widzę, że pan kocha Arabów bardziej, niż kogokolwiek z Europejczyków — rzekła.

On spojrzał na nią swemi jasnemi oczyma, i Domini pomyślała, że patrzały one jaśniej, niźli przedtem.

— Z czego pani to wnosi? — zapytał spokojnie.

— Czyż pan nie zna dźwięku mowy, jaki spływa w głosie miłośników dzieci, gdy mówią o swem dziecku?

— Ah! — Nuta głębokiej pobłażliwości?

— Słyszę ją w pańskim głosie, ilekroć mówi pan o Arabach.

Mówiła półżartobliwie. Przez chwilę nie odpowiadał. A potem rzekł do księdza:

— Ksiądz mieszkał długo w Afryce. Czy i ksiądz ma coś z tych samych uczuć dla tych dzieci słońca?

— Tak jest, i to samo uczucie mogłem był widzieć w naszym zmarłym kardynale.

— Kardynale Lavigerie.

Androwski pochylił się nad talerzem. Zdało się, że pragnął gwałtownie odwrócić myśl swoją od rozmowy, w której nie chciał brać żadnego udziału, i która sprawiała mu nawet przykrość.

— Był to bohater, wiem o tem — rzekł hrabia z serdecznem uznaniem.

— Dużo mu zawdzięczam.

— Afryka również. Był to człowiek mądry.

— Pan to rozumie w znaczeniu osobliwem? — rzekła Domini.

— Tak jest. Patrzał on nadto głęboko w ciemną duszę człowieka pustyni, by nie miał rozumieć, że osiągnie nad nią władzę jedynie przez dobroć dla jego ciemnego ciała. To gorszy księdza?

— Nie, nie! W tem tkwi szczera prawda.

Lecz ksiądz przytwierdził raczej ze smutkiem.

— Mahomet myślał za wiele o ciele — dodał.

Domini spostrzegła, że hrabia zaciął usta. A potem zwrócił się do Androwskiego i rzekł:

— Czy pan sądzi tak samo?

Była to stanowcza, ostateczna próba wciągnięcia gościa do rozmowy. Androwski nie mógł nie wiedzieć o tem. Spojrzał niechętnie z nad swego talerza. Oczy jego spotkały się z oczyma Domini, lecz natychmiast skierowały się w inną stronę.

— Wątpię — rzekł.

Zatrzymał się, położył ręce na stole, ujmując skraj jego, i ciągnął dalej z mocą, a nawet z rodzajem silnego wzburzenia.

— Wątpię, czy ludzie najlepsi lub ci, którzy uchodzą za najlepszych, myślą za wiele o ciele i za wiele je szanują. Takiem było moje zdanie. I takiem jest stale.

Skończywszy, spojrzał na księdza prawie groźnie. A potem, jak ruszony myślą, która szła za tem, dodał:

— Co się tyczy Mahometa, wiem o nim bardzo niewiele. Lecz, być może, osiągnął on swój wielki wpływ, uznając, iż ciało człowieka jest rzeczą wielkiej wagi, palącej, palącej wagi.

Domini zauważyła, iż zajęcie się hrabiego gościem wzbudziło się naraz bardzo żywotnie z powodu tego, co on był powiedział, więcej nawet może z powodu szczególnego sposobu wypowie-

dzenia, który jakgdyby powstał pod siłą jakąś tajemną, pobudką niezwalczoną. I zajęcie się to hrabiego zdało się sprzymierzać z jego sprawą, która miała istnienie daleko trwalsze. Ksiądz Roubier wtrącił atoli nieco chłodno:

— Sądzę, że jest to rzeczą niebezpieczną nastawać na wagę znikomego. Ryzykuje się wtedy, iż rzecz większej wagi nieznikomego może być narażona na szwank.

— Jednakże jest ona tym zgłodniałym wilkiem, który zjada dobytek — rzekł Androwski.

Stała się cisza na chwilę. Ksiądz Roubier patrzał wprost przed siebie, lecz oczy hrabiego Anteoni'ego utkwiły przenikliwie w Androwskim. W tejże atoli chwili od przedpokoju doleciał dźwięk muzyki afrykańskiej, razem pieściwy i dziki. Zrazu była to jedna tylko przygodna nuta, drgająca w powtórzeniu, czysta i szklista, nuta, która przypominała noc w miejscu ustronnem. Wraz poza nią, jako podłoże dla niej, powstał dźwięk szeleszczący, jakgdyby lasu trzcin, których szum był rytmiczny. Wkradł się w to urwany śpiew cienkiego instrumentu z dźwiękiem sielskim i starożytnym, jak dźwięk oboju, lecz niklejszy i kruchszy. Drżenie łagodnie trącanych strun podtrzymywało tę dziką i patetyczną wymowę, a potem — prawie zduszone uderzenia małego tam-tamu, który musiał być umieszczony gdzieś w odległości. Były one, jak bicie serca.

Hrabia i jego goście przysłuchiwali się, siedząc w milczeniu. Domini ogarnęło uczucie ciekawego oczekiwania, nie mogła jednak jeszcze dociec dziwnej melodji. Miała wrażenie, że za tą muzyką musi nastąpić jakaś inna, którą już słyszała przedtem, która poruszyła ją niegdyś głęboko w życiu. Spojrzała na hrabiego i zauważyła, że patrzy on na nią z wyrazem filuternym, jakgdyby był uczestnikiem miłego spisku, którego plan miał się za chwilę ujawnić.

— Co to takiego? — zapytała cicho Domini.

Pochylił się ku niej.

— Proszę poczekać — rzekł szeptem. — Słuchajmy.

Ujrzała, że Androwski ściągnął brwi. Twarz jego skurczyła się w wyrazie bólu, i Domini pytała siebie, czy i on, jak niektórzy Europejczycy, znajduje tę dzikość muzyki pustyni brzydką i nawet szarpiącą nerwy. Gdy tak siebie pytała, począł śpiewać głos,

wciąż w towarzyszeniu czterech instrumentów. Był to głos kontraltowy, lecz dźwięczał, jak głos młodzieńca.

— Co to za śpiew? — spytała, wstrzymując oddech. — Napewno słyszałam go gdzieś.

— Nie poznaje pani?

— Zaraz...

Szukała w myśli. Zdało się jej, że znała tę pieśń. W jakimś okresie życia była napewno głęboko wzruszona tą pieśnią — lecz kiedy? Gdzie? Głos urwał się, i po nim rozbrzmiał wraz chór słodki, śpiewający jednostajnie:

„Wurra — Wurra."

I potem wzniósł się raz jeszcze sennym i umilkającym nawrotem, jak głos duszy, spowiadającej się przed sobą w pustyni, ponad muzyką i chórem szemrzącym.

— Przypomina sobie pani? — wyszeptał hrabia.

Skinęła głową przytwierdzając, lecz nic nie wyrzekła. Nie mogła mówić. Była to ta sama pieśń, którą nucił ongi Arab, kiedy zawrócił w cień drzew palmowych, pieśń Murzynów wyzwolonych z Tuggurtu:

„Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu."

Ksiądz oparł się o tył krzesła. Ciemne jego oczy patrzały wdół, a jego chude, spalone słońcem ręce złożyły się, jak w modlitwie. Czyżby ta pieśń pustyni czarnych ludzi, dzieci Boga, jak on, podług słów pieśni, poruszyła duszę jego do jakiejś poważnej prośby, która objęła potrzeby całej ludzkości?

Androwski siedział bez ruchu. Patrzał również wdół, i powieki pokrywały jego oczy. Wyraz rozterki wciąż jeszcze był widoczny na jego twarzy, lecz teraz był on mniej okrutny i już nie szarpiący, lecz melancholijny. A Domini, gdy słuchała, przypominała sobie dziwny krzyk, który powstał w niej, kiedy Arabowie zniknęli w blasku słońca, krzyk duszy śród życia, okrążonego tajemnicami, stąpaniami, głosami ukrytych rzeczy: „Co stanie się tutaj ze mną?" Lecz krzyk ten powstał w niej, znalazł w niej słowa, jedynie w obecności pustyni. Przedtem, być może, był ukryty w piersi. I tylko wtedy się zrodził. I oto znowu przeszły dni i noce, i śpiew sprowadził raz jeszcze ten krzyk, krzyk

i raptownie jeszcze coś, inny głos, który, daleki stąd, zdawał się dawać odpowiedź. Odpowiedzi tej atoli nie mogła dosłyszeć. Słowa jej były ukryte w piersi, jak ongi słowa natężonego pytania. Lecz czuła, że odpowiedź była dana. Przyszłość znała ją i poczynała próbować mówić do niej. Gdy wsłuchiwała się, była na skraju wiedzy, lecz nie mogła podążyć w ten kraj czarodziejski.

Hrabia Anteoni przerwał milczenie, zwracając się do księdza.

— Ksiądz niewątpliwie słyszał już ten śpiew?

Ksiądz Roubier potrząsnął głową.

— Nie zdaje mi się, ale ja nigdy nie mogę zapamiętać muzyki arabskiej.

— Może nie lubi jej ksiądz?

— O, nie. Jest ona, coprawda, brzydka, lecz ma bardzo wiele wyrazu. Szczególnie w tej pieśni jest coś, dlaczego możnaby nazwać ją nawet piękną.

— Zachwycająco piękna — rzekła Domini głosem zniżonym, wciąż się wsłuchując w pieśń.

— Słowa są prześliczne — rzekł hrabia, tym razem zwracając się do Androwskiego. — Nie umiem ich w całości, lecz poczynają się tak:

„Gazella w wodzie mrze
I ryba mrze w powietrzu,
A ja w pustyni piaskach mrę
Z miłości, która ściga mnie."

I gdy chór ozwie się, jak obecnie — tu zrobił ruch ręką ku przyległej komnacie, skąd znów poczynał się niski szmer „Wurra—Wurra" — śpiewak powtarza wciąż tę samą zwrotkę:

„Nikt prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu."

Prawie jednocześnie z jego słowami głos kontraltowy począł śpiewać zwrotkę. Androwski obrócił się blady. Na czole jego były krople potu. Podniósł do ust szklankę z winem, i ręka jego drżała tak, że trochę wina rozlało się na obrus. I oto, jak raz już przedtem, Domini uczuła, że, co ją poruszało głęboko, poruszało również jego jeszcze głębiej, czy atoli w ten sam sposób, czy w inny, nie mogła powiedzieć. Przyszło jej na myśl porównanie łojówki i pochodni. Ujrzała Androwskiego, jakgdyby okrążonego ogniem. Gwałtowność jego była iście podobna do

gwałtowności Afryki. Było w niej coś strasznego, lecz zarazem i coś szlachetnego, dawało bowiem pojęcie męskiej siły, która mogła czynić źle lub dobrze, lecz która nigdy nie mogła czynić rzeczy małych. Hrabia Anteoni i ksiądz zmaleli przy nim na chwilę, jakgdyby znaleźli się w obecności z olbrzymem.

Arabowie obnosili dokoła owoce. Śpiew zamilkł łagodnie. I tylko instrumenty grały jeszcze. Odległy tam-tam był istotnie biciem tego serca, w którego tajemnicę żadne ludzkie serce nie mogło wejrzeć. Powtarzające się ponure uderzenia przejęły Domini prawie przestrachem. Uczuła ulgę, chociaż żałowała, kiedy wreszcie ustały.

— Czy przejdziemy do przedpokoju? — rzekł hrabia. — Podadzą nam tam kawę.

— O! Ale nie patrzmy na nich! — zawołała Domini.

— Na muzykantów?

Skinęła głową.

— Chiałaby pani, żeby już nie grali?

— Jeżeli to panu nie zrobi różnicy.

Dał rozkaz po arabsku. Jeden ze służących wyśliznął się i powrócił prawie natychmiast.

— Teraz możemy już iść — rzekł hrabia. — Już poszli sobie.

Ksiądz westchnął. Było widocznem, że muzyka wzruszyła go także. Kiedy powstali z miejsc, rzekł:

— Tak jest, w pieśni tej było piękno i jeszcze coś więcej. Niejeden z tych poetów pustyni może nauczyć nas myśleć.

— Lekcja ta może być niebezpieczna czasami — rzekł hrabia. — Jak panu się zdaje, panie Androwski?

Androwski powstał. Oczy jego zwróciły się ku drzwiom, przez które dochodziły przed chwilą dźwięki muzyki. — Ja! — odrzekł. — Ja, proszę pana — przykro mi bardzo, ale ta muzyka mało mnie obchodzi. Nie mogę wyrzec o niej zdania.

— Ale słowa? — zapytał hrabia z pewnym naciskiem.

— Słowa niewięcej do mnie przemawiają od muzyki.

Hrabia nic nie rzekł. Gdy przechodzili do przyległej komnaty, Domini uczuła złość, jak wtedy w ogrodzie Sidi-Zerzura, kiedy Androwski rzekł:

— Tutejsze kobiety nie obchodzą mnie zgoła. Nie widzę w nich nic pociągającego.

Albowiem obecnie, jak i wtenczas, wiedziała, że kłamał.

XI.

Domini przeszła do przedpokoju sama. Trzej panowie zatrzymali się na chwilę za nią, i trzask zapalanej zapałki doszedł do jej uszu, gdy przyszła biernie ku drzwiom, które były otwarte na wielką ścieżkę ogrodową, i stała, patrząc, w blasku słonecznym. Poprzez migotanie złota tu i owdzie fruwały motyle, a od cienia drzew usłyszała nikłe ćwierkania ptaków, pomnożone przez oddalone jeszcze bardziej trele fletu Larbiego. Z lewej, poprzez palmy, dostrzegła błyski pustyni i surowych, błyszczących gór, i gdy tak stała tutaj, uprzytomniła sobie wrażenie przy pierwszem wejściu do ogrodu i to, jak prędko nauczyła się już go kochać. Aż do tej chwili zdał się on jej zawsze rajem słonecznym. Lecz teraz czuła, że jakgdyby zaciągnął się chmurami. Płochy ruch motyli drażnił jej oczy, odległy dźwięk fletu ranił jej uszy, przepadł cały jej spokój. I znowu człowiek ten popsuł czar, którym przyroda ją osnuła. Wiedziała bowiem, że kłamał — radość jej w ogrodzie, radość głębsza w pustyni, która ją obejmowala, została w niej zburzona. A dlaczegożby nie miał kłamać? Któż z nas nie kłamie swoich uczuć?

Usłyszała towarzyszów swych wchodzących do pokoju i obróciła się. W tej chwili przez serce jej przeszło uczucie jakgdyby nienawiści dla Androwskiego. I dlatego właśnie uśmiechnęła się. Zbudziła się w niej raptowna wesołość. Siadła na jednej z niskich kanapek i, gdy poprosiła hrabiego Anteoni'ego o papierosa i zapalała go, myślała: — Jak ja go ukarzę? — Kłamstwo to, chociaż nie do niej wyrzeczone i w rzeczy tak błahej, zdało się jej napaścią, którą odczuła i którą winna była odparować. Ani na chwilę nie zapytała się, czy miała rację. Głos wewnątrz niej mówił: — Nie chcę być okłamywaną, nie zniosę kłamstwa od tego człowieka w mej obecności, nawet skierowanego do kogo innego. I głos ten był nakazujący.

Hrabia Anteoni zajął miejsce obok niej, paląc cygaro. Ksiądz Roubier siadł przy małym stoliku naprzeciwko niej. Lecz Androwski skierował się ku drzwiom, które ona tylko co opuściła, i stanął, jak ona stała, patrząc w blask słońca. Bu-Bu poszła za nim i zalecała się przyjaźnie koło jego nóg, próbując zwrócić uwagę.

— Moja psina zdaje się bardzo polubiła pani przyjaciela — rzekł ksiądz do Domini.

— Mojego przyjaciela?

— Pana Androwskiego.

Zniżyła głos.

— To tylko przelotna znajomość. Nic nie wiem o nim.

Ksiądz spojrzał uprzejmie zdziwiony, a hrabia Anteoni wypuścił wonny obłok dymu.

— Zdaje mi się, że to godny uwagi człowiek — rzekł ksiądz łagodnie.

— Tak ksiądz sądzi?

Poczęła opowiadać hrabiemu Anteoni'emu jakieś głupstwo o Batuczu, zmuszając myśli do lekkości i płochości, a on jej wtórzył zręcznie i ulegle, za co w głębi była mu bardzo wdzięczna. Przez chwilę śmiali się razem z pozorną wesołością, i ksiądz Roubier uśmiechał się niewinnie na to lekkie usposobienie ducha, wierząc w jego szczerość. Lecz Androwski odwrócił się naraz z wyrazem twarzy chmurnym i surowym.

— Prosimy do nas z tego blasku słońca — rzekł hrabia. — Nazbyt ono silne. Oto fotel. Zaraz będzie kawa... Otóż jest już.

Zjawili się służący, wnosząc kawę.

— Dziękuję panu — rzekł Androwski z niechętną grzecznością.

Zbliżył się ku nim ze stanowczością i siadł, przesuwając krzesło nawprost Domini. Zaledwie się usadowił, Bu-Bu wskoczyła mu na kolana i położyła się śpiesznie, mrużąc oczy, które były prawie całkiem zakryte włosami, i wydając westchnienie, które zniewoliło księdza do czułego wejrzenia, mimo, że ozwał się strofująco:

— Bu-Bu! Bu-Bu! Brzydkie stworzenie, prosię małe — zejdź!

— Niech go pan zostawi — ozwał się mrukliwie Androwski. — Nie przeszkadza mi.

— Nie ma istotnie wstydu, gdy serce jego ruszone.

— Arab! — rzekł hrabia. — Nauczył się tego w Beni-Morze.

— Może brał lekcje od Larbiego — rzekła Domini. — Proszę słuchać! Gra dzisiaj. Dla kogo?

— Nie pytam już teraz — rzekł hrabia. — Imię zmienia się tak często...

— Stałość nie jest wadą Arabów? — spytała Domini.

— Pani mówi: „wadą“? — wtrącił ksiądz.

— Tak, proszę księdza — zwróciła się ku niemu z lekkim odcieniem świadomego cynizmu. — Oczywiście, w świecie tym to wszystko, co pociąga za sobą nieuniknione nieszczęście, musi być poczytywane, jako wada.

— Lecz czyli stałość to sprowadza?

— W tym świecie nieustannej zmienności — czyżby sądził ksiądz, że jest inaczej?

— Jakże tedy mamy uważać prawdę w tym świecie kłamstwa? — zapytał hrabia. — Czyż to błąd także?

— Niech pan zapyta pana Androwskiego — rzekła Domini prędko.

— Jestem posłuszny — rzekł hrabia, zwracając się ku gościowi.

— Ach, ale jestem pewna, że wiem — dodała Domini. — Jestem pewna, że pan uważasz prawdę za coś, czegośmy winni unikać na tym naszym świecie. Czyż nie tak, proszę pana?

— Jeżeli pani jest pewna, pocóż pani mnie pyta? — odrzekł Androwski.

W głosie jego był dźwięk, który wstrząsał. Ksiądz raptownie wyciągnął rękę i przełożył Bu-Bu na swoje kolana, a hrabia Anteoni wtrącił zlekka i obojętnie:

— Mówienie prawdy pośród Arabów staje się przykrą koniecznością dla Europejczyka, ponieważ nie można ich przekłamać, a nie wypada pozostawać na drugiem miejscu w stosunku do Wschodu. I dlatego — choć z żalem — trzeba się nauczyć być szczerym. Ksiądz Roubier jest zgorszony tą apologją mej własnej przymusowej prawdomówności.

Ksiądz roześmiał się.

— Żyję tak mało w tem, co zwie się „światem“, że obawiam się, bym nie był gotów wziąć żartu za całkiem poważnie wygłoszenie zdania.

Pogłaskał grzbiet Bu-Bu i dodał z tą prostą dobrodusznością,

która zdawała się pochodzić raczej z chęci uprzejmości, niż ze źródeł jakiegobądź temperamentu:

— Ale mam nadzieję, że będę zawsze zdolny do radowania się z niewinnej zabawy.

Gdy mówił to, oczy jego zatrzymały się na twarzy Androwskiego, i zaraz spojrzał poważnie i złożył grzecznie Bu-Bu na podłogę.

— Przykro mi bardzo, że muszę odejść — rzekł.

— Już? — rzekł gospodarz.

— Nie mogę pozwalać sobie na tak długie lenistwo. W klimacie tym, gdy raz tylko pozwolić sobie na lenistwo, człowiek staje się podobnym do Araba, który nic nie robi cały dzień, tylko się wyleguje na słońcu.

— Tak, jak ja to czynię. Spotykamy się z księdzem bardzo rzadko, za każdym atoli razem, gdy się spotkamy, czuję, że jestem darmozjadem na świecie.

Domini nie słyszała jeszcze dotąd, by mówił z taką pokorą. Ksiądz zaczerwienił się, jak żak.

— Każdy z nas działa na własnej ścieżce — rzekł prędko. — Arab, który cały dzień wyleguje się na słońcu, może jest wysłuchany, jako pieśń modlitwy, tam, gdzie On króluje.

Z temi słowy pożegnał się. Tym razem jednak nie wyciągnął ręki do Androwskiego, lecz tylko skłonił mu się, skinąwszy białym kapeluszem. Gdy wyszedł na słońce wraz z Bu-Bu, troje pozostałych przeprowadzało go oczyma. Bowiem Androwski zwrócił swe krzesło w tę stronę, jakby mimowoli.

— Nauczę się kochać księdza Roubier — rzekła Domini.

Androwski znowu obrócił się wraz z krzesłem ku ogrodowi i położył swe wielkie kiście rąk na kolanach.

— Tak? — rzekł hrabia.

— On jest tak przejrzyście dobry i tak przepięknie znosi swe wielkie rozczarowanie.

— Jakież to wielkie rozczarowanie?

— Pragnął zostać zakonnikiem.

Androwski powstał z miejsca i skierował się ku drzwiom ogrodu. Niespokojne zachowanie się jego i wyraz zgnębiony burzyły wszystką treść pogody i wypoczynku. Hrabia Anteoni spojrzał wolno za nim, a potem na Domini z rodzajem żartobliwego zdziwienia. Właśnie chciał przemówić, gdy zjawił się

Smain, niosąc z szacunkiem wielką kopertę, okrytą arabskiemi znakami.

— Państwo mi wybaczycie na chwilę? — rzekł hrabia.

— Oczywiście.

Wziął list do ręki, i wyraz żywego uniesienia odbił się odrazu w jego jasnych oczach. Gdy go odczytał, na twarzy jego był blask, jakgdyby płomienie ognia igrały na niej.

— Panno Enfilden — rzekł — czy pani nie policzy mi za wielką niegrzeczność, jeżeli ją opuszczę na chwilę? Poseł, który to przyniósł, przybył zdaleka i dzisiaj jeszcze rusza w podróż powrotną. Przybył on z południa, z miejscowości, odległej o 300 kilometrów, z Beni-Hassana, z miejsca świętego — z miejsca świętego.

Powtórzył ostatnie wyrazy, zniżając głos.

— Naturalnie, proszę iść i załatwić go.

— A pan?

Spojrzał ku Androwskiemu, który stał obrócony do nich plecami.

— Może pani zechce pokazać ogród panu Androwskiemu?

Usłyszawszy swe nazwisko, Androwski odwrócił się, a hrabia Anteoni, raz jeszcze przeprosiwszy go, w towarzystwie Smaina skierował się ku furcie ogrodu, niosąc w ręku list, który przybył z Beni-Hassana.

Gdy hrabia Anteoni wyszedł, Domini pozostała na kanapie, a Androwski przy drzwiach, z oczyma spuszczonemi. Wzięła świeżego papierosa z pudełka na stoliku, który stał obok, potarła zapałkę i zapaliła go starannie. A potem rzekła:

— Czy chce pan zobaczyć ogród?

Wyrzekła obojętnie i chłodno. Pragnienie pokazania mu tego raju odbiegło ją, lecz słowa Anteoni'ego na odchodnem poruszyły tę sprawę — i oto zwróciła się do niego, jak do obcego.

— Dziękuję pani... proszę — odrzekł jakgdyby z wysiłkiem.

Domini wstała, i wyszli razem na wielką drogę.

— Którędy mamy iść? — zapytała.

Ujrzała, że rzucił na nią szybkie spojrzenie z niepokojem w oczach.

— Pani wie lepiej, dokąd mamy iść.

— Mnie się zdaje, że panu to wszystko jedno. Najwidoczniej

ogród nie interesuje pana. Nie może tedy być mowy o drodze. Wszystkie one dla pana są bardzo jednakie.

— Jestem pewny, że wszystkie są bardzo piękne.

Naraz stał się pokorny i trwożny o to, by jej nie urazić. Lecz ten gwałtowny kontrast w nim, jak ów gwałtowny kontrast przyrody tego kraju, doprowadził ją do ostatecznej rozpaczy. Pragnęła teraz pozostać samą. Wstyd jej było za Androwskiego, wstyd jej było za siebie. Wyrzucała sobie gorzko zainteresowanie, jakie powzięła względem niego, pragnienie wprowadzenia trochę przyjemności do jego smutnego, jak mniemała, życia, ciekawość swą, chęć podzielenia z nim radości. Śmiała się teraz w duszy z tego i nazywała to szaleństwem, że w wyobraźni swej łączyła go z pustynią, kiedy on w rzeczywistości, za każdem zbliżeniem się do pustyni, pozbawiał ją piękna i cudowności. Była to osobistość burząca. Wiedziała już teraz o tem. Dlaczego nie uprzytomniła sobie tego przedtem? Był to człowiek, który wrzucał żółć do czary przyjemności, tworzył niesnaskę, krępował wszystko dokoła, sprowadzał widma na ucztę życia. Tak jest, w przyszłości będzie stroniła od niego. Zaraz jutro zerwie z nim wszelkie stosunki. Wraz z tą myślą, z tem poczuciem wewnętrznem całkowitej swobody względem tego człowieka, spadło na nią raptowne, lecz prawie zimne zadowolenie, odsuwające go daleko od niej, gdzie wszystko, co czuł i myślał, było dla niej zgoła obojętnem.

— Chodźmy tedy — rzekła. — Pójdziemy tą drogą.

Skręciła w aleję, która wiodła do przybytku purpurowego psa. Narazie nie mogła wiedzieć, co wpłynęło na nią, że wybrała tę osobliwą ścieżkę, lecz po krótkiej chwili dźwięk fletu Larbi'ego wzmógł się i wtedy zrozumiała, że to muzyka pociągnęła ją. Androwski szedł obok niej milczący. Czuła, że nie patrzał na nic i na nic nie zwracał uwagi; zatrzymała się tedy z mocnem postanowieniem.

— Poco my się trudzimy? — rzekła oschle. — Nienawidzę udawania i sądzę, że nie po to przyjechałam tu z tak daleka. Tymczasem oboje udajemy.

— Udajemy, proszę pani? — rzekł zdziwiony.

— Tak jest. Ja — że chcę panu pokazać ogród, pan — że chcesz go oglądać. Ja już nie pragnę pokazywać go panu, a pan nigdy nie życzył sobie oglądać go. Przestańmy tedy udawać. Cała wina jest moja. Nudziłam pana, żeby tu przyszedł,

kiedy pan nie chciał przyjść. Dał mi pan naukę. Miałam ochotę gniewać się o to na pana. Lecz teraz widzę, że miał pan słuszność. Swoboda jest mojem hasłem. Daję panu swobodę, panie Androwski. Do widzenia.

Gdy to mówiła, czuła, że powietrze wyjaśnia się i chmury pierzchają. Skrępowanie to skończyło się wreszcie. I miała istotnie wrażenie, że wyzwala więźnia na swobodę. Obróciła się, by go opuścić, lecz on rzekł:

— Przepraszam, proszę się zatrzymać.

— Cóż takiego?

— Pani się myli.

— W czem?

— Ja pragnę obejrzeć ogród.

— Istotnie? Może go pan tedy sobie oglądać.

— Ja nie życzę sobie oglądać go sam.

— Larbi będzie pańskim przewodnikiem. Za pół franka chętnie przerwie swoje serenady.

— Jeżeli pani nie chce mi pokazać ogrodu, ja nie życzę sobie widzieć go zupełnie. Pójdę stąd i nigdy już tu nie powrócę. Ja nie udaję.

— Ach! — rzekła, a głos jej był całkiem zmieniony. — Za to pan robi gorzej.

— Gorzej?

— Tak jest. Kłamie pan w obliczu Afryki.

Nie miała chęci, ani zamiaru powiedzieć mu tego, a jednak powiedziała. Wiedziała, że to było potwornem, co mu powiedziała. Co jej do jego kłamstw? Sama popełniła tysiące kłamstw, tysiące słyszała od innych. Życie jej upłynęło w świecie, który tak dobitnie, jakkolwiek wypowiedziane przelotnie, określają słowa Psalmisty. I nie myślała, by dbała o to. A jednak istotnie dbała. Rzucając bowiem ten świat, jakgdyby nareszcie odetchnęła głęboko. I teraz oto na samo wspomnienie kłamstwa zżymała się instynktownie i cofała się, jak od zatrutych i duszących wyziewów.

— Proszę mi wybaczyć — dodała. — Jestem szalona. Ale tutaj ja ukochałam prawdę.

Androwski spuścił oczy. Cała jego postawa wyrażała pokorę i coś, co wzbudzało w niej rozpacz.

— Och, pan musi mnie poczytywać za szaloną, że mówię

mu to — zawołała. — Oczywiście, każdemu powinno być wolno opancerzyć się przed ciekawością ludzką. Wiem o tem. Ale i to jest prawdą, że jestem tu pod czarem. Długo żyłam — za długo być może — w chłodzie. Byłam jakgdyby w więzieniu, bez światła i...

— Pani była jakgdyby w więzieniu! — rzekł, podnosząc głowę i patrząc na nią poważnie.

— Żyłam w tem, co się nazywa wielkim światem.

— I pani to nazywa więzieniem?

— Tak jest, teraz, kiedy żyję w większym świecie, istotnie żyję nareszcie. Czasami zdaje mi się, że tylko w pustyni jest swoboda dla ciała — i tylko w prawdzie jest swoboda dla duszy.

Zatrzymała się, odetchnęła głęboko i dodała:

— Niech mi pan wybaczy. Naprzykrzyłam się panu. Zmusiłam pana do tego, do czego pan nie miał ochoty. I napastowałam pana. To nie do przebaczenia.

— Proszę mi pokazać ogród — rzekł głosem bardzo stłumionym.

Wybuch jej minął, poczęła zwolna odzyskiwać panowanie nad sobą. Rozważała, co on myśli o niej, i uprzytomniła sobie cały swój nietakt. Ciekawe i uporczywe milczenie jego jeszcze bardziej uwydatniło jej szczerość. Wrażenie atoli rozterki, ucisku i rozpaczy opuściło ją, i nie myślała już o nim, jak o istocie niszczącej.

Posłuszna ostatnim jego słowom, poszła, a on szedł u jej boku krokiem ciężkim, aż weszli w cień głęboki gęsto rosnących drzew — i czar ogrodu począł spadać na nich i odpędzać ich myśli samolubne.

— Proszę słuchać — ozwała się Domini.

Flet Larbi'ego był teraz bardzo blisko.

— Ciągle gra — wyszeptała.

— Kto to taki?

— Jeden z ogrodników. Lecz rzadko kiedy pracuje. Ciągle zakochany. I wtedy właśnie gra.

— Jest to tedy pieśń miłosna? — zapytał Androwski.

— Tak jest. Czyż nie brzmi, jak miłosna?

— Skąd ja mam wiedzieć o tem, proszę pani?

Stał, patrząc w kierunku, skąd płynęła muzyka, i teraz zdawało się, że ona go urzeka. Po tem zapytaniu, które brzmiało prawie

dziecinnie i na które nie miała odpowiedzi, Domini spojrzała na jego baczną twarz, której cień zielony użyczał mroku dziwnie tajemniczego, na jego wielką postać, która zawsze obudzała w niej dwa uczucia: znużenia i siły, i przypomniała sobie to namiętne uczucie, ku któremu została zbudzona po raz pierwszy, kiedy usłyszała flet Larbi'ego. Było to, jakgdyby okienica, która zamykała okno w siedzibie życia, została naraz odemknięta, dając oczom jej widnokrąg nowego świata. Czyżby ta okienica odemknęła się teraz dla niego? Przypuszczenie to było, bez wątpienia, niedorzecznem. Ludzie tego, co on, typu, pobudliwego, męskiego, wiele już bawili w świecie, dla niej ukrytym, zanim doszli wieku jego lat. Co było dla niej rzeczą niezwykłą, nawet w myśli jedynie, to było dla niego rzeczą zwykłą, przekładaną na czyn. Jakkolwiek nie nieświadomą, była ona niemniej kobietą całkiem niewinną, znajomość atoli świata mówiła jej, że żaden człowiek z mocą, siłą i pasją Androwskiego nie jest niewinnym w jego wieku. Tymczasem ostatnie jego pytanie było bardzoułudne. Brzmiało przytem całkiem naturalnie i mogło tylko pochodzić z czystych warg chłopięcia. I oto znów wzbudził w niej podziw.

Blisko miejsca, gdzie stali, była ławeczka ogrodowa.

— Jeżeli ma pan ochotę słuchać, możemy usiąść na chwilę —

On drgnął.

— Owszem. Dziękuję pani.

Gdy siedli obok siebie pod strażą przyboczną olbrzymiego drzewa figowego i drzew orzechowych, które rosły w tej części ogrodu, dodał:

— Kogoż to on tak kocha?

— Niewątpliwie jedną z tutejszych kobiet, które pan uważa całkiem za niepociągające — odrzekła z lekkim odcieniem złośliwości, który wywołał w nim rumieniec.

— Ale pani tu przychodzi codziennie? — rzekł.

— Ja?

— Tak jest. Czy widział on panią?

— Larbi? Często. A cóż to ma do tego?

Lecz on nic nie odpowiedział.

Jakkolwiek dziwne i porwane, melodje Larbi'ego tworzyły atmosferę jakiejś dzikiej czułości. Wytryskiwały one jakgdyby odruchowo z serca tego wschodniego świata i, gdy grający był

niewidzialny, jak obecnie, nastręczały widzenie ogorzałego fauna, leżącego w piasku gorącym u stóp drzewa palmowego i grającego grotom słońca i rozkochanym duchom przestworu, które go słuchały.

— Czy podoba to się panu? — rzekła obecnie głosem zniżonym.

— Tak jest, proszę pani. A pani?

— Lubię tę melodję, lecz nie tak, jak pieśń wolnych Murzynów. Jest to pieśń wszystkich ludzkich tajemnic, a także i pustyni. I nie próbuje powiedzieć ich. Mówi jedynie, że istnieją i że Bóg wie o nich. Lecz, o ile pamiętam, panu nie podobała się ta pieśń.

— Proszę pani — odrzekł wolno i jakby dobierając słów — widzę, że pani zrozumiała. Pieśń ta wzruszyła mnie, chociaż o tem nie mówiłem. Ale ona mi się nie podoba.

— Czy nie powiedziałby mi pan, dlaczego?

— Pieśń tego rodzaju wydaje mi się — jest... jakby wtargnięciem. Są rzeczy, które winny pozostać w ukryciu. Są miejsca czarne, które winny pozostać czarnemi.

— Pan jest zdania, że wszystkie ludzkie byty zawierają w sobie tajemnicę i że żadne przypomnienie nie powinno być czynione co do tych tajemnic?

— Tak jest.

— Rozumiem.

Po przerwie rzekł trwożnie, jak jej się zdawało:

— Czy mam słuszność, proszę pani, czy też zdanie moje jest śmieszne?

Pytał z taką prostotą, że aż się wzruszyła.

— To wiem na pewno, że pan nigdy nie jest śmieszny — odrzekła prędko. — A może i ma pan rację. Nie wiem. Pieśń ta budzi we mnie myśli i czucia, i dlatego lubię ją. Być może, gdyby pan słuchał jej sam jeden...

— Wtedybym ją znienawidził — dokończył.

Głos jego był, jak głos wewnętrzny, mówiący, nieopanowany.

— Czyż myśli i czucia... — poczęła.

Lecz on jej przerwał:

— Powodują wszystko nieszczęście, jakie jest na świecie.

— I wszystko szczęście.

— Czyż tak?

— Wiadomo.

— Pani tedy chce myśleć głęboko, chce czuć głęboko?

— Tak jest. Wolę być raczej ośrodkową postacią tragedji świata, niż umierać, nie zaznawszy uczucia w całej pełni, chociażby ono miało być bolesne. Cała moja przyroda powstaje przeciw myśli, żebym miała być zdolna czuć mało lub nie czuć istotnie. Mam to przekonanie, iż, kiedy poczynamy czuć silniej, wtedy poczynamy urastać, jak drzewa palmowe, które się wznoszą do słońca afrykańskiego.

— Nie zdaje mi się, żeby pani była kiedy bardzo nieszczęśliwą.

Gdy mówił to, dźwięk jego głosu obudził w niej raptowne uczucie, iż jakgdyby nie była nigdy całkowicie nieszczęśliwą. Lecz i nie była nigdy istotnie szczęśliwą. Afryka powiadomiła ją o tem.

— Być może, że nie — odrzekła. — Lecz zczasem...

Zatrzymała się.

— Jak pani to rozumie?

— Czyż można długo wytrwać na świecie i nie doświadczyć w pełni całkowitego szczęścia lub całkowitego nieszczęścia? Nie sądzę, by to było możliwe. Żar i szaleństwo z dnia na dzień następują i każdy musi nauczyć się tu czuć.

Gdy mówiła, spłynęło na nią uczucie zwątpienia i prawie przejrzenia. Przestrach pustyni ogarnął ją całą. Przez chwilę zdawało jej się, że on ma rację, że lepiej nigdy nie prosić losu o głębsze wzruszenia.

— Kto nie chce czuć, nie powinien nigdy przybywać do kraju takiego, jak ten — dodała.

I naraz zapragnęła zapytać go, dlaczego przybył tu, on, którego filozofja życiowa uczyła, że trzeba unikać wyżyn i głębi, stronić od żarów życia i przyrody.

— Lub, gdy się przybyło, opuścić go.

Wrażenie zaczajonego niebezpieczeństwa musnęło ją czarnem skrzydłem, poddając jej myśli o ucieczce.

— Można zawsze to zrobić — rzekła, patrząc na niego.

Ujrzała przestrach w jego oczach, lecz nie był to, jak się jej wydało, przestrach niebezpieczeństwa, lecz przestrach ucieczki. I myśl o tem tak dziwnie podziałała na nią, że zawołała niedbale:

— Chyba, że kto ma w naturze, by iść naprzeciw wypadkom i nigdy nie cofać się. Czy takiem jest pańskie hasło, panie Androwski?

— Strach mnie nie wypędzi nigdy z Beni-Mora — odrzekł.

— Czasami myślę, że odwaga jest jedyną naszą cnotą — rzekła — i że włącza wszystkie inne. Wyznaję, iż mogłabym zapomnieć o wszystkiem, gdybym znalazła bezwzględną odwagę.

Oczy Androwskiego zapaliły się, jak pod tchnieniem ognia wewnętrznego.

— Pani może stworzyć w sobie tę cnotę, którą pani kocha — rzekł głosem zasnutym.

Patrzyli wzajem na siebie przez chwilę. Czy miał w myśli, że mogłaby stworzyć ją w nim?

Zapytałaby go, być może, lub może onby jej powiedział — lecz w tej chwili zaszło coś. Larbi urwał granie. W ciągu ostatnich wielu minut zapomnieli oboje, że grał — lecz kiedy przestał, ogród zmienił się. Coś z nich opadło, czem, bezwiednie całkiem, osłaniali siebie, i kiedy muzyka zamilkła, zbroja ta na nich prysnęła. Wraz z ciszą zupełną zmieniła się atmosfera: czułość mistyczna przyszła na miejsce czułości dzikiej człowieczej. Zdało się, że miłość ludzka ustąpiła z ogrodu i przyszła inna miłość, jak kiedy Bóg przechadzał się pod drzewami w świeżości dnia. Siedzieli, milcząc oboje, jakgdyby wspólna pobudka oniemiła ich wargi. I wspólne to milczenie zdało się pieśnią dziękczynienia, w której łączyły się wszystkie czucia zielone ogrodu. Zaledwie mogła wierzyć, że jeszcze przed kilku minutami była pełna wzburzenia i goryczy — i nawet nie wolna od tknienia pychy, która była tak marną. Lecz kiedy uprzytomniła to sobie, stała się jednocześnie pomną wyżyn i przepaści, z których się serce ludzkie składało, i pragnienie gorące wionęło w nią, by być zawsze na wyżynach serca. Bowiem tam jedynie było światło szczęścia. I oto zapragnęła złożyć jakąś wielką ofiarę na ołtarzu, na którego najniższym stopniu stała, i pierwszy raz w życiu świadomie była przepełniona kobiecą świętą żądzą ofiary.

Kroki łagodne na piasku przerwały ciszę i rozwiały natchnienia. Hrabia Anteoni powracał ku nim z pośród drzew. Radość wciąż jeszcze świeciła na jego twarzy i sprawiała, że wyglądał o wiele młodziej, niż zwykle. Całe jego zachowanie, ruchli-

wość i sprężystość młodzieńcza, były pełne przedsiębiorczości. Gdy się zbliżył, rzekł do Domini:

— Czy pani pamięta, jak mnie pani gromiła?

— Ja! — rzekła. — Za co?

Androwski powstał i wyraz pogody zniknął z jego twarzy.

— Za to, że nigdy nie cwałuję konno w słońcu.

— O! Tak, pamiętam.

— Dobrze tedy. Staję się posłusznym pani. Jadę w podróż.

— W pustynię?

— Trzysta kilometrów na grzbiecie konia. Wyruszam jutro.

Spojrzała na niego z nowem zaciekawieniem. Dostrzegł to i roześmiał się prawie, jak chłopiec.

— Ach! Pogarda pani dla mnie rozwiała się?

— Jakże pan może mówić o pogardzie?

— Ależ miała jej pani ogrom dla mnie.

Zwrócił się do Androwskiego:

— Panna Enfilden myślała, że ja nie umiem dosiąść konia, jak pan. Proszę mi wybaczyć, że oświadczę panu, że z pana jeszcze większe półdjablę, niż sami Arabowie. Widziałem raz, jak pan osadzał rumaka na ławie łożyska rzeki. Nie sądziłem, by jaki koń mógł był to uczynić, lecz pan wiedział to lepiej.

— Nie wiedziałem całkiem — rzekł Androwski. — Nie jeździłem dwadzieścia lat aż do tego dnia.

Mówił z jakąś tępą determinacją, która przypomniała Domini ich świeżą rozmowę o prawdomówności.

— *Dio mio!* — rzekł hrabia zwolna, patrząc na niego z nieukrytym podziwem. — Pan musi mieć wolę i ciało ze stali.

— Jestem dostatnio silny.

Mówił raczej szorstko. Odkąd przyłączył się hrabia, Domini spostrzegła, że Androwski stał się innym człowiekiem. Raz jeszcze przybrał stanowisko odporne. Hrabia zdawał się nie spostrzegać tego. Być może, zanadto był promieniejący.

— Mam nadzieję, że zdobędę się na wytrwałość pańską. Jadę do Beni-Hassan odwiedzić Sidi-El Hadj-Aïssa, jednego z najpotężniejszych marabutów w Saharze. W pani kościele — dodał, zwracając się ku Domini — byłby on pełnym władzy kardynałem.

Zaznaczył to „w pani kościele". Widocznie nie był on katoli-

kiem wyznaniowym. Niechybnie, jak wielu współczesnych Włochów, był w sprawach religji wolnomyślicielem.

— Aż mi przykro, żem nigdy o nim nie słyszała — rzekła. — W jakim kierunku znajduje się Beni-Hassan?

— Leży na drodze karawanowej, którą tutejsi mieszkańcy zwą drogą do Tombuktu.

Na twarz jej spłynął wyraz poważny.

— Moja droga! — rzekła.

— Pani droga?

— Tą drogą puszczę się w podróż. Pamięta pan, panie Androwski?

— Tak jest, proszę pani.

— Proszęż mnie dopuścić do tajemnicy — rzekł hrabia, śmiejąc się, zarazem z zaciekawieniem.

— Nie jest to tajemnicą. Jedynie — że lubię tę drogę. Wywiera ona swój urok na mnie i zamierzam niedługo puścić się nią w podróż po pustyni.

— Jaka szkoda, że nie możemy połączyć naszych sił! — rzekł hrabia. — Miałbym sobie za zaszczyt pokazać pustynię komuś, kto ma dla niej tyle szacunku i tyle zrozumienia dla jej czaru, co pani.

Mówił poważnie, zatrzymał się, a potem dodał:

— Ale ja wiem, co pani myśli w tej chwili.

— Cóż takiego?

— To, że pani chce jechać sama w pustynię. Ma pani słuszność. Jedyna to droga, zwłaszcza na początek. Jeździłem tak kiedyś, przed wielu laty.

Nic nie rzekła na przytwierdzenie. Androwski powstał z ławki.

— Muszę już odejść, proszę pana.

— Już? A czy widział pan ogród?

— Jest on zachwycający. Żegnam pana. Dziękuję.

— Niechże pan pozwoli odprowadzić się do furtki. W piątki —

Zwrócił się do Domini, powstawszy także.

— W piątki rozdaje pan jałmużnę? — rzekła.

— Skąd pani wie o tem?

— Wiem wszystko o panu. Lecz czy to w tej godzinie?

— Tak jest.

— Niechże mi pan pozwoli popatrzeć na to rozdawnictwo.

— A jednocześnie odprowadzimy pana Androwskiego.

Zauważyła, iż nie miał całkiem na myśli, by miała iść z Androwskim. A ona, czy miała zamiar iść z nim? Nie miała na to stanowczej odpowiedzi.

Szli ku bramie i wkrótce przybyli na wielki teren piaszczysty przed willą. Słychać było szmer wielu głosów od zewnątrz w pustyni, nosowe nawoływania, głośne krzyki gardlane, które brzmiały gniewnie, świegot fujarek i jęczenie wielbłądów.

— Czy słyszy pani mych więźniów? — rzekł hrabia. — Zawsze są niecierpliwi.

Rozległ się hałas tam-tamu i krzyki piskliwe.

— To stary Bel Kassem oznajmia swoją obecność. Służył u mnie przez wiele lat, stary łotr, dopóki rywal jego w miłosnych zapałach ku dziewce tanecznicy nie wyłupił mu prawego oka. Smain!

Zadął w srebrną świstawkę. Wraz Smain wyszedł z willi, niosąc worek z pieniędzmi. Hrabia wziął go, zważył w ręku, patrząc wciąż na Domini z wyrazem radosnym twarzy.

— Czy pani czyniła kiedy ofiarę dziękczynną? — rzekł.

— Nie.

— Dobrze tedy, przychodzi mi myśl... dziś pragnę złożyć ofiarę dziękczynną pustyni.

— Na cóż to ona panu?

— Kto wie? Kto wie?

Zaśmiał się głośno, prawie, jak chłopiec. Androwski spojrzał na niego z rodzajem zdziwionej zazdrości.

— I chcę, by pani przyjęła udział w mojem rozdawnictwie — dodał. — A pan, panie Androwski, ponieważ nie masz zamiaru... Otwórz bramę, Smainie!

Zapał jego był zaraźliwy, i Domini ogarnęło naraz uczucie radości życia. Spojrzała na Androwskiego, pragnąc go wciągnąć również w ten wir wesołości, który szedł ku niej od hrabiego, i ujrzała, że patrzał podejrzliwie na hrabiego, który rozwiązywał teraz sznurek od worka. Smain zbliżył się do bramy, podniósł drewnianą zaworę i otworzył bramę. W tejże chwili tłum twarzy ogorzałych i głów w turbanach runął poprzez szeroki otwór i mnóstwo rąk brunatnych wyciągnęło się napastniczo, a krzyki, głosy surowe, witające, żebrzące, błogosławiące, obwieszczające swe nieczęscia, okrzykujące potrzeby, wyliczające cnoty i niedole, urastały aż do ryku ogłuszającego. Żadna atoli stopa nie

przekroczyła progu, nie dotknęła słońcem zalanego piasku. Pensjonarze hrabiego, to prawda, byli wrzaskliwi, wiedzieli atoli, czego im nie wolno. Gdy ujrzał ich, zmarszczki na jego twarzy jakgdyby się pogłębiły i palce szybciej poczęły spełniać swe dzieło.

— Pensjonarze moi dzisiaj bardzo głodni i, jak pani widzi, nie ukrywają tego zupełnie. Proszę spojrzeć na Bel Kassema!

Dźwięk tam-tamu i krzyk przeraźliwy urastał do dzikiej zawieruchy.

Hrabia odrzucił sznur na piasek, zanurzył rękę w worek i wyjął pełną garść miedziaków. Usta rozwarły się szerzej, ręce wyciągały się bardziej napastniczo, a w ciemnych oczach lśniły wszędy srogie błyski żądzy.

— Pomoże mi pani? — zwrócił się do Domini.

— Oczywiście. A to widowisko!

Oczy jej również błyszczały, lecz razem ogniami igrającemi wesołych przepływów szlachetności, która zdradzała życzenie, by worek zawierał jej pieniądze. Napełniła dłonie monetami.

— Niech pani wybierze sobie, kogo chce. Proszę pana, proszę! — zapraszał hrabia, patrząc wciąż na tłum, ku któremu Domini zbliżała się z trzpiotowatą powolnością, pragnąc zaostrzyć apetyty, i tak już nadto żarłoczne.

Androwski zacisnął zęby, wziął kilka monet z worka, upuszczając jedną na ziemię. Przez małą chwilę hrabia był jakby pełen wątpienia co do udziału swego gościa w tej żywej zabawie.

— Może to pana nudzi? — zapytał. — W takim razie...

— Nie, nie, proszę pana; bynajmniej! Co mam robić?

— Te ręce powiedzą panu.

Hałas urastał coraz bardziej.

— A kiedy pan będzie potrzebował, proszę przyjść do mnie.

Zatem zawołał po arabsku: „Spokojnie! Spokojnie!“ gdy poruszenie gwałtownie zdało się już przechodzić w prawdziwą walkę na zbliżenie się Domini, i gdy wszystko parło naprzód, jak wir żywy, Androwski jeden ciągnął wolno ztyłu za Domini.

Smain, z którego aksamitnych oczu burza głosów nie odpędziła snów, stał tęsknie u swego namiotu strażniczego, patrząc na Androwskiego. W zachowaniu nowego przybysza coś zdawało się go pociągać. Domini tymczasem już doszła do drogi wjazdowej. Ze zręcznością i wdziękiem kapryśnicy i z całą pasją kobiecą

osobistego wyboru rzucała sztuki pieniędzy do rąk, należących do osób, które ją pociągały, nieczuła na lamenty tych, których pomijała. Blaski tych wszystkich oczu płonących przejęły ją gorącem; krzyki, które się wznosiły od brunatnych gardzieli, podniecały ją. Gdy palce były już puste, dotknęła z przejęciem ramienia hrabiego.

— Jeszcze, jeszcze, proszę!

— *Ecco, Signora!*

Wyciągnął ku niej worek. Zanurzyła weń ręce i podeszła bliżej do bramy, z obiema rękoma, pełnemi pieniędzy, trzymając je wysoko nad głową. Arabowie rzucili się, jak psy ku kości, a ona chwilę wyczekiwała, śmiejąc się z całego serca. Potem zrobiła ruch, by rzucić pieniądz nad głowami najbliższych ku tym upośledzonym, którzy ztyłu gromady miotali się i wołali błagalnie. Lecz naraz ręce jej opadły, wyrzuciła z piersi okrzyk przerażenia.

Wróżbiarz z czerwonego bazaru, prześlizgując się, jak płaz, pod falującemi ramionami i śród ciał rozszalałych nędzarzy, stał przed nią z uśmiechem na swej twarzy zbliźnionej, wyciągając swe wycieńczone ręce z układnym, lecz razem i drwiącym ruchem pożądania.

XII.

Pieniądz upadł z palców Domini i potoczył się po piasku do stóp wróżbiarza. Ów jednak, chociaż przyszedł tu jako żebrak, nie zwracał na niego uwagi. Podczas gdy Arabowie dokoła niego rzucili się na kolana i walczyli, jak zwierzęta o żer, on stał, patrząc na Domini. Uśmiech wciąż igrał na jego wargach. Ręka jego wciąż była wyciągnięta.

Domini cofnęła się instynktownie. Coś, co było, jak dreszcz strachu, nie fizycznego, lecz umysłowego, wskroś ją przejęło, oczy swe atoli trzymała wciąż na jego oczach, jakgdyby, pomimo strachu, walczyła z nim uparcie.

Zapasy żebraków stawały się tak namiętne, że wreszcie rozkazy hrabiego zostały zapomniane. Pchani zwartą masą tych, którzy byli wtyle, ci, którzy byli na przedzie, tłoczyli się lub padali na progu, dla nich świętym.

Wreszcie fala wrzeszcząca runęła na ogród. Smain podbiegł ze swego miejsca, a autokrata, który w Anteonim mieszkał o miedzę z dobroczyńcą, stanął odrazu do apelu. Świsnął cztery razy w swoją świstawkę. Na każde świśnięcie stawił się Arab barczysty.

— Zamykać bramę! — zakomenderował surowo.

Służalcy odpychali tłum wściekle, bez ceremonji używając pięści i nóg. W ciągu jednej chwili piasek był oczyszczony, a Smain już złożył dłoń na wrotach i już je zamykał. Lecz wróżbiarz zatrzymał go ruchem i głosem układnym, lecz razem i rozkazującym, i zagadał coś do hrabiego.

Hrabia zwrócił się ku Domini:

— To bardzo ciekawy jegomość. Czy chce go pani poznać?

Dusza jej mówiła: nie, atoli ciało przyzwoliło. Skinęła głową. Hrabia dał znak ręką. Wróżbiarz postąpił chyłkiem po piasku z wyrazem lekkiego triumfu, a Smain uniósł wielką zaworę z palmowego drzewa.

— Czekaj! — zawołał hrabia, jakgdyby raptownie coś sobie przypominając. — Gdzie jest pan Androwski?

— Niema go tu? — Domini obejrzała się dookoła. — Nie wiem, doprawdy.

Podszedł szybko ku wrotom i wyjrzał przez nie. Arabowie, milczący obecnie i pełni szacunku, kupili się dokoła niego, pozdrawiając salaam'em. Uśmiechnął się do nich uprzejmie i przemówił do jednego, drugiego. Odpowiadali z powagą. Starzec jednooki wzniósł rękę, w której był tam-tam z naciągniętą kozią skórą, i wskazał w kierunku oazy, szybko poruszając bezzębnemi szczękami. Hrabia wszedł zpowrotem do ogrodu, pańskiem skinieniem ręki pożegnał swych pensjonarzy i sam zamknął bramę.

— Pan Androwski odszedł, nie pożegnawszy się z nami — rzekł.

Domini znów uczuła wstyd z powodu Androwskiego.

— Nie sądzę, żeby mu bardzo przypadli do gustu moi pensjonarze — dodał hrabia głosem żartobliwym — lub też... moja osoba.

— Ależ jestem pewna... — poczęła Domini.

Lecz on ją zatrzymał.

— Panno Enfilden! W tym świecie kłamstwa ja pragnę prawdy od pani.

Sposób zwrotu był żartobliwy, lecz głos dźwięczał poważnie. Nic nie odrzekła.

Przez cały ten czas wróżbiarz stał na piasku, wciąż się uśmiechając, lecz z oczyma spuszczonemi. Chude jego ciało miało wyraz drwiący, i Domini uczuła wielką ku niemu odrazę, lecz razem i wielkie zaciekawienie. Coś w całej jego postaci i zachowaniu zdradzało siłę i tajemnicę, jednocześnie z chytrością. Hrabia rzekł do niego kilka słów po arabsku — i ów w tejże chwili ruszył naprzód i zniknął pomiędzy drzewami, stąpając tak pocichu i tak zwinnie, że zdawał się być raczej panterą, przekradającą się w gęstwinie dżungli, gdzie zdobycz jej ukryta.

Domini spojrzała na hrabiego pytająco.

— Będzie czekał w palarni.

— Gdzieśmy się pierwszy raz spotkali?

— Tak jest.

— Na co?

— Na nas, gdy pani wola.

— Powiedz mi pan co o nim. Widziałam go dwa razy. Ścigał mnie ze swym workiem piasku.

— Jest to człowiek pustyni. Nie wiem, do jakiego należy pokolenia, lecz, zanim tu się osiedlił, był koczownikiem, jednym z tych wędrowników, którzy mieszkają w namiotach, człowiekiem piasków, tak ściśle z piaskiem zjednanym, jak jaszczurka lub skorpjon. Możnaby przypuszczać, że istoty takie tworzą się przez połączenie ziaren piasku z sobą. Piasek ten głosi mu swe tajemnice.

— On tak mówi. Pan wierzy temu?

— Czy chciałaby się pani przekonać?

— Jakim sposobem?

— Udając się ze mną do palarni.

Domini zawahała się jawnie.

— Ale proszę pamiętać — dodał — nie nalegam na panią. Proszę rzec słowo, i zaraz go odprawię. Jest pani atoli kobietą bez lęku... i już pani mówiła i będzie jeszcze poufniej mówiła w przyszłości z duchami pustyni.

— Jakże pan może to wiedzieć?

— To: — „jeszcze poufniej?"

— Tak jest.

— Nie wiem, lecz, co więcej znaczy, czuję.

Domini zamilkła, patrząc ku drzewom, śród których zniknął wróżbita. Chłopięca werwa hrabiego zagasła. Wyglądał teraz poważnie, prawie smutno.

— Nie lękam się — rzekła nareszcie. — Nie, lecz wyznać muszę: w tym człowieku jest coś dla mnie strasznego. Uczułam to od pierwszego razu, kiedy go ujrzałam. Oczy jego są nadto rozumne. Jest w nich zły rozum.

— Każę mu odejść. Smainie!

Lecz ona go zatrzymała. Zaledwie napomknął jej o nim, czuła, że musi się dowiedzieć czegoś więcej o tym człowieku.

— Nie. Chodźmy do palarni.

— Bardzo dobrze. Odejdź, Smainie.

Smain poszedł do swego małego namiotu u wrót, siadł, podkurczywszy nogi, i począł wąchać gałąź pomarańczowego kwiatu.

Domini i hrabia weszli w mrok gęsty od drzew.

— Jak on się nazywa? — zapytała.

— Aluï.

— Aluï...

Powtarzała zwolna to słowo. W głosie jej był dźwięk odrazy i razem upojenia.

— Imię to melodyjne — rzekł hrabia.

— Tak jest. Czy... czy on kiedy wróżył panu z piasku?

— Raz jeden... bardzo dawno już temu.

— Czy mogę wiedzieć: wywróżył co prawdziwego?

— Nie wywróżył nic na te wszystkie lata, które minęły.

— Nic...

W głosie jej spłynął dźwięk ulgi.

— Na te lata...

Spojrzała na niego i ujrzała, iż raz jeszcze twarz jego rozbłysnęła zapałem.

— Wywróżył, co będzie dopiero? — rzekła.

A on powtórzył:

— Wywróżył, co będzie dopiero.

Zatem szli już w milczeniu, aż póki nie ujrzeli purpurowych kwiatów bugenwilei, oplatających białe ściany palarni.

Domini zatrzymała się na wąskiej ścieżce.

— Czy on jest tam? — zapytała prawie szeptem.

— Niewątpliwie.

— Kiedym tu była pierwszy raz, wtedy grał Larbi.

— Tak jest.

— Chciałabym, żeby i teraz grał.

Cisza zdała się jej teraz nienaturalnie natężoną.

— Nawet jego miłość musi czasami odpocząć.

Postąpiła krok czy dwa — póki z oddalenia nie zdołała zajrzeć nad niskim murem pod najbliższem oknem do środka małego pokoiku.

— Tak, on jest tam — szepnęła.

Wróżbiarz siedział w kucki na podłodze, plecami zwrócony do nich, z głową opuszczoną. Widać było jedynie jego ramiona, okryte białym łachmanem. Poruszały się bezustanku, lecz zlekka.

— Co on tam robi?

— Rozmawia ze swym przodkiem.

— Swym przodkiem?

— Piaskiem. Aluï!

Zawołał łagodnie. Postać powstała bez szelestu i natychmiast,

a twarz wróżbity uśmiechnęła się ku nim poprzez czerwone kwiaty. I znowu Domini miała wrażenie, że ciało jej jest szklanem pudłem, w którem jej myśli, czucia i pragnienia były uszykowane rzędem do oględzin przez tego człowieka; stąpiła atoli rezolutnie poprzez wąski otwór drzwi i siadła na jednej z kanapek. Hrabia Anteoni podążył tuż za nią.

Teraz dopiero zobaczyła, że na środku pokoju, na ziemi, były porozkładane symetryczne kupki piasku i że wróżbita zbierał sprawnie worek swemi giętkiemi i długiemi palcami.

— Widzi pani? — rzekł hrabia.

Skinęła głową, nic nie rzekłszy. Małe kupki piasku przykuły jej wzrok. Próbowała uważać je za głupstwo, a człowieka, który je rozkładał — za szarlatana pustyni, lecz powstrzymana została przez jakieś dziwne uczucie lęku, jakgdyby miał ją spotkać jakiś zjaw dziwny, magiczny.

Wróżbita siadł raz jeszcze na piętach, rozpostarł swe palce nad kupkami piasku, spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— *La vie de madame*... widzę je w piasku... *la vie de madame dans le grand désert du Sahara.*

Oczy jego zdały się wyciągać tajemnice z każdego zakątka jej istoty i rozkładać je na ziemi, jak rozkładał te kupki piasku.

— *Dans le grand désert du Sahara* — powtórzył hrabia Anteoni, jakgdyby lubując się muzyką tych słów. — Jest tedy tu życie w pustyni dla pani?

Wróżbita opuścił palce na kupkę, cisnąc zlekka piasek wdół i nazewnątrz. Nie patrzał już na Domini. Satyr i badacz wyzierał z jego oczu i ciała. Zdało się, zapomniał o dwojgu patrzących i cały skupił się nad ziarnkami piasku. Domini zauważyła, że wyraz umęczony, który wystąpił mu na twarz, kiedy go była spotkała na ulicy i kiedy patrzał w swój worek, powrócił mu znowu. Stłoczywszy piasek, rozpostarł worek, który go zawierał, u stóp Domini i sprawnie przenosił do niego piasek, zsypując wolno ziarna nad workiem, by tworzyły figury. Potem, pochyliwszy się tuż nad niemi, patrzał przez dłuższą chwilę w milczeniu. Ospowata twarz jego zastygła, jak w kamieniu. Wycieńczone ręce jego, wyciągnięte nad ziarnami, były, jak wykute z metalu. Ciało jego zdało się całkiem wyzutem z oddechu przy nieruchomości zupełnej.

Hrabia stał we drzwiach, jak był stanął, w otoczeniu purpuro-

wego, nieruchomego kwiecia. Tam dalej, rzędami uszykowanemi, stały nieruchome drzewa. W małej kadzielnicy nie płonęło dzisiaj kadzidło. Zamknięty świat zdał się tu być związany czarami.

Pomruk głuchy przerwał wreszcie ciszę. Pochodził on od wróżbity. Począł mówić szybko, lecz jakgdyby do siebie, a mówiąc, poruszył się znowu, pomieszał palcami rysunki na piasku i począł tworzyć nowe: linje śrubowe, koła wężowe, szereg punkcików wzniesionych, które przypomniały Domini bryzgi, utworzone przez fontannę, linje krzywe, podłużne i kwadratowe. Tak szybko robił to i odmieniał, że zdawało się — piasek miał życie, układał się samoistnie w desenie i jawił doraźnie błyski prawdy, która w nim była ukryta. A z ust jego wciąż wybiegały słowa, i oczy były spuszczone, a ciało, prócz ruchu rąk i ramion, w zupełnem zesztywnieniu.

Domini przeniosła wzrok z wróżbity na hrabiego Anteoni'ego, który postąpił spokojnie i usiadł, wysuwając głowę, by słyszeć wróżbitę.

— To po arabsku? — zapytała szeptem.

Skinął głową.

— Czy pan to rozumie?

— Jeszcze nie. Teraz będzie mówił wolniej, wyraźniej. Poczyna zawsze w taki sposób.

— Niech mi pan to przetłumaczy.

— Dokładnie wszystko?

— Dokładnie wszystko.

— Cobądźby to być miało?

— Cobądźby to być miało.

Spojrzał na umęczoną twarz wróżbity, i wzrok jego dziwnie spoważniał.

— Niech pan pamięta — powiedział mi pan, że jestem kobietą bez lęku — rzekła.

A on odrzekł:

— Cobądźby to było, będzie pani wiedziała.

Zatem znowu zamilkli. Stopniowo głos wróżbity urastał i stawał się jaśniejszym, miara słów była wolniejsza, jakkolwiek wciąż jeszcze dźwięk był tajemny i jakgdyby wewnętrzny, mniej podobny do głosu ludzkiego, bardziej do odległego głosu tajemnicy.

— Teraz już słyszę wszystko — rzekł szeptem hrabia.

— Cóż on powiada?
— Powiada o pustyni.
— Tak?
— Widzi wielką burzę. Poczekajmy chwilę.
Głos mówił kilka chwil i przestał, i raz jeszcze wróżbita pozostał całkowicie bez ruchu, z rękoma rozpostartemi nad ziarnami piasku, podobnemi do rąk, wykutych z metalu.
— Widzi wielki huragan w pustyni, jeden z najstraszniejszych, jakie kiedykolwiek szalały nad Saharą. Wszystko zaćmione. Pustynia zniknęła. Beni-Mora zakryta. Jest to dzień, lecz panują ciemności nocy. W ciemności tej widzi karawanę wielbłądów, oczekującą u kościoła.
— U meczetu?
— Nie, u kościoła. W kościele dźwięki muzyki. Ryk wichrów, poryk wielbłądów miesza się z temi dźwiękami i zgłusza je. Przez chwilę nie słyszy ich. Robi to wrażenie, jakgdyby pustynia była gniewna i chciała zdusić muzykę. W kościele poczyna się pani życie.
— Moje życie?
— Pani życie prawdziwe. Mówi on, że teraz pani żyje w pełni, że dotychczas miała pani jakgdyby zawój na duszy, podobny do powicia, które osnuwa niemowlę.
— On to powiada!
W głosie jej był dźwięk głębokiego wzruszenia.
— To wszystko. Ryk zawieruchy pustynnej zaćmił muzykę kościelną — i ciemność dokoła.
Wróżbiarz poruszył się znowu i tworzył nowe desenie na piasku z pośpiechem gorączkowym — i znowu począł mówić szybko.
— Widzi teraz sznur wielbłądów, który oczekiwał u kościoła, jak rusza w podróż pustynną. Burza nie ucichła. Przechodzą przez oazę do pustyni. Widzi je, zdążające ku południowi.
Domini wychyliła się naprzód na kanapie, patrząc na hrabiego Anteoni'ego z ponad pochylonej głowy wróżbity.
— Jaką drogą?
— Drogą, którą tuziemcy zwą szlakiem do Tombuktu.
— Ależ to moja droga!
— Na jednym z wielbłądów jest *palanquino,* jakiego wielcy szeikowie używają do przewożenia swych żon, w palankinie —

dwoje ludzi, osłoniętych od burzy firankami. Trwają w milczeniu, słuchając ryku wichrów. Jednym z nich jest pani.

— Dwoje!

— Dwoje.

— Lecz któż jest drugi?

— Nie może go dojrzeć. Czarność burzy jest jakgdyby głębsza dokoła drugiej osoby i ukrywa ją przed nim. Karawana ciągnie dalej i niknie w burzy i pustkowiu.

Domini nic nie odrzekła, lecz patrzała zgóry na chudą postać wróżbity, który usadowił się u jej kolan. Byłaż ta twarz dziobata twarzą proroka? Skóra ta i kości czy były siedzibą duszy jasnowidza?

Wróżbita poruszył się raz jeszcze. Palce jego przez kilka chwil krzątały się pilnie koło piasku. Poruszały się atoli teraz wolniej, i słowa nie ulatywały mu z ust. Domini i hrabia pochylili się, żeby widzieć, co on poczyna. Wyraz umęczenia na jego twarzy powiększał się. Wyraz ten był straszny i robił na Domini wrażenie niezatarte, nie mogła się bowiem obronić, by nie łączyć go z widmem swej przyszłości, co znowu wzbudzało w niej bezkształtne zmory rozpaczy. Patrzała na ten piasek, jakgdyby ona też była zdolna widzieć, i nic nie mówiła, patrzała tylko, aż póki nie została prawie jak zahipnotyzowana. Ręce wróżbity trzęsły się teraz, gdy robił nowe rysunki, a pierś jego wznosiła się pod białą odzieżą. Nakreślił teraz na piasku trójkąt i począł mówić.

Hrabia pochylił się, aż prawie ucho jego dotykało warg wróżbity, a Domini wstrzymała oddech. Karawana, porzucona śród pustki piasków bezbrzeżnych, śród burzy i ciemności — gdzież jest teraz? Jaki los ją spotkał?

Pot ociekał po twarzy wróżbity, spadał mu kroplami na ubranie, na ręce, na piasek, znacząc ciemne ślady. A głos jego biegł wciąż szeptem chrapliwym, aż przyprawił Domini prawie o gorączkę zniecierpliwienia. Ujrzała na twarzy hrabiego odbity wyraz umęczenia wróżbity. Czy wyraz ten był także i na jej twarzy? Węzeł tajemny — to pewne — łączył ich razem w tym małym pokoiku, okolonym zwartą strażą drzew wielkich i ciszą natężoną.

Spojrzała na trójkąt na piasku. Był on bardzo wyraźny, wyraźniejszy, niż inne rysunki, które był układał. Co wyobrażał ten trójkąt? Szukała w myśli, myśląc o pustyni, o swem

życiu tutaj, o życiu ludzi pustyni. Czy nie kształt to namiotu? Tak jest, to był namiot, jej namiot, rozbity gdzieś w pustyni, zdala od siedzib ludzkich. Ręce trzęsące uspokoiły się teraz, głos był spokojny, lecz pot nie przestawał spadać kroplami na piasek.

— Proszę mi mówić! — rzekła szeptem do hrabiego.

On usłuchał jej, lecz zdało się, że mówił tym razem z wysiłkiem.

— Daleko stąd w pustyni...

Zatrzymał się.

— Co, co?

— Bardzo daleko stąd, w miejscowości piaszczystej... Są tam zwały piasku niezmierzone, z obu stron zwały ogromne, jak góry. Tuż wpobliżu błyszczą ognie liczne. Są to światła na rynku miasta pustynnego. Pomiędzy zwałami, wraz z wielbłądami, rozstawionemi ztyłu, znajduje się namiot...

Domini wskazała palcem na trójkąt, nakreślony na piasku.

— Wiem o tem — rzekła szeptem. — To mój namiot.

— Widzi on panią tutaj, jak widział był w palankinie. Lecz obecnie jest noc, i pani jest całkiem samotna. Nie śpi pani. Coś utrzymuje panią w czuwaniu. Jest pani podniecona. Wychodzi pani z namiotu na wały piaszczyste i spogląda ku ogniom miejskim. Słyszy on szakale, wyjące zewsząd dokoła i widzi szkielety zmarłych wielbłądów — białe w księżycu.

Domini wstrząsnęła się mimowoli.

— W duszy pani jest coś potężnie wezbranego. Powiada on, iż jest to, jakgdyby wszystkie palmy pustyni zniosły razem swe płody i jakgdyby we wszystkich wyschłych miejscach, gdzie ludzie i wielbłądy lat ubiegłych umierali ze znoju, wytrysły źródła ożywcze, i jakgdyby piasek był okryty miljonami kwiatów złotych, dużych, jak kwiaty aloesowe.

— Ależ to szczęście wielkie, szczęście!

— On powiada, że to wielkie szczęście.

— Dlaczego tedy ma on wygląd tak straszny? Czemu tak ciężko oddycha?

Wskazała na wróżbitę, który trząsł się przykucnięty i dyszał ciężko i wciąż opływał potem, jak w agonji.

— Jest jeszcze coś nad to — rzekł hrabia wolno.

— Proszę mi powiedzieć.

— Stoi pani jedna na zwałach piaskowych i spogląda ku miastu. Słyszy on uderzenia tam-tamów i krzyki odległe, jakgdyby to było święto weselne. Widzi postać śród piasków, zdążającą ku pani.

— Kto to taki? — zapytała.

Hrabia nie odpowiedział. Lecz Domini nie pragnęła, żeby jej odpowiedział. Zapytała bez myśli o tem, co mówi.

— Pani patrzy na tę postać. Idzie ona ku pani, stąpając ciężko.

— Stąpając ciężko?

— To on tak powiada. Daktyle poskręcały się na palmach, strumienie wyschły, kwiaty opadły, w pustyni — śmierć. Tamtamy w mieście ucichły i ognie czerwone zniknęły. Cisza i ciemność dokoła. I oto widzi on...

— Proszę przerwać! — rzekła Domini prawie gwałtownie.

Hrabia siadł, patrząc na nią. Ściskała sobie mocno dłonie. W ocienionej jej twarzy, z ciężkiemi powiekami i mocnemi, szlachetnemi wargami, widać było walkę, zatarg jakiś pomiędzy pragnieniem i jakąś bardziej bierną, lecz stanowczą odrazą. Po chwili rzekła znowu:

— Proszę, nic więcej nie chcę już słyszeć.

— Przecież powiedziała pani: „Cobądźby to było."

— Tak jest. Lecz nie chcę już słyszeć więcej.

Rzekła bardzo spokojnie, z postanowieniem.

Wróżbita począł znowu poruszać rękoma, tworzyć nowe desenie na piasku i znowu szybko przemawiać.

— Czy mam go zatrzymać?

— Proszę.

— W takim razie może zechce pani przejść do ogrodu? Za chwilę podążę za panią. Proszę go atoli nie zbudzić.

Wstała z przezornością, uniosła suknię rękoma i prześliznęła się pocichutku na ścieżkę ogrodową. Przez chwilę miała zamiar zaczekać tutaj, obejrzeć się i zobaczyć, co się działo w palarni. Lecz zahamowała tę chętkę i poszła wolnym krokiem, aż przystanęła przed ławeczką, na której godzinę przedtem siedziała z Androwskim. Tu siadła i oczekiwała.

Po kilku minutach ujrzała hrabiego, idącego ku niej. Twarz jego była bardzo poważna; gdy ujrzał ją, twarz ta rozjaśniła się lekkim uśmiechem.

— Poszedł? — zapytała.

— Tak jest.

Miał zamiar siąść koło niej, lecz ona rzekła szybko:

— Czy nie poszedłby pan pod drzewo dżamelonowe?

— Gdzieśmy siedzieli dziś rano?

— Tak jest.

— Oczywiście.

— Ale pan jedzie jutro rano. Ma pan dużo jeszcze do załatwienia, nieprawdaż?

— Bynajmniej. Moi ludzie załatwią mi wszystko.

Powstała i poszli w milczeniu, a po krótkiej chwili ujrzeli raz jeszcze niezmierzony obszar pustyni, skąpany w słońcu popołudniowem. Patrząc na te rozłogi, Domini znów przyszła do przeświadczenia, iż uroki ich, wymowa ich urosły dla niej. To ciągłe *crescendo,* które ją poczynało prawie trwożyć, powróciło znowu — *crescendo* głosów Sahary. Ku jakiej zjawie przepotężnej dążyło to ciągłe *crescendo,* ku jakiej chwale czy grozie? Czuła, że dusza jej była jeszcze jakgdyby zanadto zasnuta dla zrozumienia. Wróżbita miał słuszność. Dokoła tej duszy była zasłona, jak powicie, które okrywa dziecię niezrodzone.

Siedli raz jeszcze pod drzewem dżamelonu.

— Czy mogę zapalić cygaro? — zapytał hrabia.

— Proszę.

Potarł zapałkę, zapalił cygaro i siadł z lewej jej strony, na murze ogrodowym.

— Niech mi pani powie otwarcie — rzekł — czy chce pani mówić, czy milczeć?

— Chcę rozmawiać z panem.

— Bardzo mi przykro, żem namówił panią do doświadczenia mocy Aluï'ego.

— Dlaczego?

— Bo obawiam się, czy nie zrobiło to złego wrażenia na pani.

— Ależ ja nie dlatego prosiłam pana, żeby pan go zatrzymał.

— Nie dlatego?

— Pan mnie nie zrozumiał. Jam się nie ulękła. To tylko mogę panu powiedzieć, nie mogąc podać powodów, dla których go zatrzymałam. Chcę tylko powiedzieć panu, że nie był to lęk.

— Wierzę... wiem o tem, że pani jest bez lęku — rzekł hrabia z niezwykłym zapałem. — Czy jest pani pewna, że nie zrozumiałem jej?

— Niech pan przypomni sobie refren z pieśni wolnych Murzynów.

— Ach, tak — tych czarnych druhów! Lecz ja wiem coś o pani, panno Enfilden, tak jest, wiem.

— Wolę raczej, że to pan wie — pan i pański ogród.

— A zczasem pragnąłbym, żeby i o mnie dowiedziała się pani trochę więcej.

— Dziękuję panu. Kiedy ma pan zamiar powrócić?

— Nie mogę tego określić. Lecz pani nie opuszcza Beni-Mory?

Myśl opuszczenia Beni-Mory dziwnie ścisnęła jej serce.

— O, nie! Jestem tu nadto szczęśliwa.

— Czy pani jest rzeczywiście szczęśliwa?

— W każdym razie szczęśliwsza, niż byłam kiedykolwiek.

— Jest pani na przełomie.

Patrzał na nią oczyma, w których była czułość, lecz naraz oczy te zapaliły się ogniem i zawołał:

— Kraj mój pustynny nie powinien pani sprowadzić rozpaczy.

Była zdziwiona jego raptowną gwałtownością.

— Czegom nie chciała usłyszeć — rzekła — pan wiesz to.

— Nie moja w tem wina. Jestem gotów powiedzieć to pani.

— Nie. Ale czy pan wierzy w to? Czy wierzy pan, że można wróżyć przyszłość z piasku? Jakże to dziać się może?

— Jak się dzieje tysiące rzeczy. W ten sam sposób, w jaki ten człowiek pustyni może stać w ogniu, obnażonemi stopami na płonących głowniach, z płonącemi głowniami pod pachami, i nie opalić się! W jaki może przeszywać się ostrzami i rznąć nożami, nie powodując płynięcia krwi! Ale mówiłem to pani pierwszego dnia przy naszem spotkaniu się: pustynia zawsze czyni mi ten sam dar, kiedy do niej powracam.

— Jakiż to dar?

— Dar wiary.

— Zatem pan wierzy temu człowiekowi, Aluï'emu?

— A pani... nie wierzy?...

— Mogę jedno rzec tylko, iż wydało mi się to, jakgdyby mogło być przepowiednią. Gdybym tego nie odczuła, nie byłabym go zatrzymała. Byłabym to traktowała, jako zabawkę.

— Uczyniło to na pani to samo wrażenie, jakie uczyniło na

mnie. Tak jest, dla nas obojga pustynia ma swe dary. Przyjmijmy je bez lęku. Jest to wola Allaha.

Stanął jej w myśli obraz bladego pochodu. Miałaż stać się jego uczestniczką?

— Jest pan fatalistą, jak Arab — rzekła.

— A pani?

— Ja? — odrzekła z prostotą. — Wierzę, iż jestem w ręku Boga i że miłość doskonała nigdy nie może być uszczerbkiem.

Po chwili on rzekł serdecznie:

— Panno Enfilden, chciałbym panią o coś poprosić.

— Proszę.

— Czy [illegible] pani ofiarę? Jutro wyruszam o wschodzie. Czy zech[illegible]yjść tutaj, by rzec mi: „z Bogiem“ na drogę?

— Oczywiście, że przyjdę.

— Jest pani bardzo dobra. Będzie to dla mnie rzecz bardzo cenna. A jeśli kiedy będzie pani tą drogą odbywała podróż — drogą na południe — będę prosił Allaha o błogosławieństwo dla pani w tym Ogrodzie Allaha.

Mówił uroczyście, prawie z żarem, i Domini uczuła, że łzy jej podstępują do oczu. Zatem siedzieli już milcząc, patrzący na pustynię.

I słyszała jej głosy wołające.

XIII.

Na drugi dzień rano, przed wschodem słońca, Domini zbudziła się, ruszona ze snu niepokojem, który trwał nawet w tem, co zdawało się być stanem nieświadomym, by nadążyć hrabiemu Anteoni'emu przed jego podróżą w pustynię. Nie wiedziała, dlaczego on jedzie, lecz czuła, że jakiś wielki wypadek w jego życiu zawisł od spełnienia tego zamiaru, który przedsięwziął, i bez przesady uczuć pragnęła gorąco tego spełnienia.

Zbudziwszy się, zapaliła świecę i spojrzała na zegarek. Z godziny dowiedziała się, że wschód był bliski; wstała tedy odrazu i poczęła swą tualetę. Powiedziała Batuczowi, żeby był u drzwi hotelowych przed wschodem słońca, by jej towarzyszyć do ogrodu, wyjrzała tedy, czy jest on na dole. Cisza, jaka towarzyszy nocy głębokiej, panowała w domu i czyniła ruchy jej, gdy się ubierała, nienaturalnie głośnemi. Gdy miała już kapelusz na głowie i spojrzała w lustro, by zobaczyć, czy dobrze włożony, pomyślała, że twarz jej, zawsze biała, była jakgdyby zbłąkana. Odjazd ten sprawiał jej trochę smutku. Kładł jej przed oczy niestałość otoczenia, ciągłą zmianę, jaka się w życiu toczy. Odjazd tego miłego gospodarza uczynił jej odjazd możliwszym, niż przedtem, i nawet bardziej prawdopodobnym. Przez umysł jej przemknęły słowa Pisma Świętego: „Tutaj nie mamy mieszkania stałego." W ciemności milczącej zwrot ten nasuwał smutek niewysłowiony. Wieczysta doczesność wszystkich rzeczy stworzonych stłoczyła jej serce.

Zapiąwszy żakiet i włożywszy rękawiczki, zbliżyła się do okna i odemknęła okienicę. Blada półciemność wyjrzała ku niej. Znowu obaczyła, czy nie nadszedł Batucz. Zdało się to jej niepodobnem. Nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś na całym świecie dźwignął się i był pełen zamiarów prócz niej. Godzina ta zdała się być stworzona, jako zasłona dla nieświadomości.

Zeszła pocichu na werendę i wyjrzała przez poręcz. Mogła była widzieć w dole białą drogę — białą tajemniczo. Była ona pusta. Wychyliła się wdół.

— Batucz! — zawołała pocichu. — Batucz!

Mógł być ukryty pod arkadą i spać tam w ubraniu.

— Batucz! Batucz!

Nie było odpowiedzi. Stała u poręczy, oczekując i patrząc wdół na drogę.

Wszystkie gwiazdy już gasły, nie było atoli jeszcze zapowiedzi słońca. Miała przed sobą obcość niemiłosierną. Przez chwilę myślała o tej atmosferze, o ciszy głębokiej, o tej powadze samotnych i cienistych drzew, jak okrąg dla tych, którzy błądzą, o duszach zgubionych ludzi, którzy zmarli w grzechu śmiertelnym. Była prawie przygotowana na ujrzenie rozpacznego cienia swego zmarłego ojca — tu, pomiędzy czarnemi plamami od drzew palmowych, znikającego w szarej powłoce, która osnuwała świat ukryty.

— Batucz! Batucz!

Nie było go na dole. To było pewnem. Postanowiła udać się sama i powróciła do pokoju, żeby wziąć rewolwer.

Gdy wyszła znowu z rewolwerem w ręku, na werendzie, wprost naprzeciw jej okna, stał Androwski. Uchylił kapelusza i z twarzy jej przeniósł wzrok na rewolwer.

Była zdziwiona jego obecnością, nie słyszała bowiem zupełnie jego kroków, pozostając śród uczuć żałosnej samotności. Widziała go teraz dopiero po raz pierwszy od czasu, jak zniknął z ogrodu dnia poprzedniego.

— Pani wychodzi? — zapytał.

— Tak jest.

— Nie sama?

— Przypuszczam, że tak. Chyba, że znajdę Batucza na dole.

Wsunęła rewolwer do kieszeni swobodnego ubrania, które miała na sobie.

— Ależ na dworze ciemno.

— Nie długo będzie świt. O! proszę zobaczyć.

Wskazała w kierunku wschodu, na którym światło łagodne i tajemnicze, niby dalekie blaski w opalu, przerzynało się wdzięcznie na niebie.

— Pani nie może iść sama.

— Jeżeli nie będzie Batucza, muszę iść sama. Przyrzekłam i muszę dotrzymać. Zresztą nie widzę niebezpieczeństwa.

Androwski wahał się, patrząc na nią z wyrazem trwożnym i prawie podejrzliwym.

— Do widzenia z panem, panie Androwski.

Postąpiła ku schodom. On szybko podążył, jakby chcąc zastąpić jej drogę.

— Niech pan się nie trudzi, żeby towarzyszyć mi na dół.

— Jeżeli... jeżeli niema tam Batucza, czy nie mógłbym zaopiekować się panią?

Przypomniała sobie słowa hrabiego i odpowiedziała:

— Niech mi pan pozwoli powiedzieć sobie, dokąd idę. Idę, żeby pożegnać hrabiego Anteoniego, zanim wyruszy w podróż przez pustynię.

Androwski stał w miejscu bez słowa na ustach.

— A teraz — czy pan zechce pójść, jeżeli nie znajdę Batucza? Proszę pamiętać, że nie lękam się bynajmniej.

— Może on jest tam, jeżeli mu pani mówiła.

Rzekł mrukliwie te słowa. Całe jego obejście zmieniło się. Wyglądał teraz bardziej niż powściągliwie — zimno i dziko.

— Być może.

Poczęła schodzić ze schodów. Nie towarzyszył jej, lecz stał, patrząc wślad.

Gdy zeszła pod arkadę, ujrzała, że nie było tam nikogo. Batucz zapomniał lub przespał porę. Mogła była przejść pod dachem, który był poszyciem werendy, lecz zamiast tego wyszła odrazu na drogę. Androwski był nad nią u poręczy. Spojrzała ku niemu i rzekła:

— Niema go, ale to nic nie szkodzi. Zorza już wstaje. *Au revoir!*

On uchylił zwolna kapelusza. Gdy szła już wdal drogą, on wciąż go trzymał w ręku i patrzał wślad za nią.

— On nie postępuje tak, jak hrabia — pomyślała Domini.

Na rogu skręciła w ulicę, gdzie wróżbiarz miał swój sklepik. Gdy przechodziła blisko jego drzwi, uczuła pewne drżenie. Nie pragnęła ujrzeć tych oczu przenikliwych w porannej półciemności, i przyśpieszyła kroku. Obawa jej atoli była bezzasadna. Wszystkie drzwi były zamknięte, wszyscy mieszkańcy pogrążeni w śnie głębokim.

W połowie drogi dostrzegła, że ktoś idzie za nią zwolna ulicą. Przez chwilę myślała, że to wróżbiarz ją ściga, lecz rodzaj kroków powiadomił ją prędko o omyłce. W ruchach idącego była ociężałość, całkiem niepodobna do zwinności i wężowej sprawności Aluï'ego. Aczkolwiek nie mogła widzieć twarzy, ani nawet odróżnić ubrania w szarości poranka, jednakże poznała, że był to Androwski. Czuwał nad nią z odległości. Nie zatrzymała się, lecz szła wciąż prędko naprzód. Nie chciała, by wiedział, że go widziała.

Kiedy przyszła na wielką drogę, która wiodła brzegiem pustyni, zastała już tchnienie jutrzni; wiało ono od wschodu poprzez równię pustyni i niosło z sobą czystość niebiańską. Pomiędzy palmami, tam, wdali, naprzeciw Sidi-Zerzura, ponad wielką linją niebieską Sahary, wstał łuk głębokiego, czerwonego złota. Słońce szło objąć władzę nad światem już czuwającym.

Domini uczuła tęsknotę jechania na spotkanie słońca, powitania go miłosnego śród obszarów piaszczystych, i słowa otwarte egipskiego „Pokłonu Słońca przez Dusze Doskonałe" spłynęły na jej wargi:

„O, pokłon Tobie, Boże Słońce, Panie Niebieski, Królu Ziemski! Lwie Wieczorny! Duszo wielka i boska, żywa po wsze czasy."

Dlaczego nie poleciła przyprowadzić swego konia, by mogła pojechać kawał drogi z hrabią Anteonim? Zdawałoby się jej, że wyrusza na wielką podróż w pustynię.

Czerwono-złoty łuk stał się półkolem chwały płonącej; zatrzymało się ono na głębi błękitnej, a potem cały krąg wytoczył się majestatycznie i wzniósł się pogodnie na niebie bezchmurnem. Potok światła spłynął na oazę, i Domini, która zatrzymała się przez chwilę w zachwycie milczącym, podążyła szybko poprzez wioskę murzyńską, która już drgnęła życiem, drogą, wiodącą do białej willi.

Nie obejrzała się, by zobaczyć, czy Androwski ciągle idzie za nią, albowiem, odkąd słońce wzeszło, miała to nieprzeparte wrażenie, iż niemasz go już wpobliżu.

Oddał ją niechybnie pod straż złotą słońca.

Wrota ogrodu stały naoścież otwarte. Gdy weszła, ujrzała trzy wspaniałe konie, wspinające się na placu piaszczystym pośrodku małego grona Arabów. Smain powitał ją z pochopnością

uprzejmą i prosił, by zechciała pójść z nim do palarni, gdzie hrabia czekał na nią.

— Bardzo to uprzejmie z pani strony! — rzekł hrabia, spotykając ją w progu. — Liczyłem na panią, jak pani widzi.

Śniadanie na dwie osoby było nakryte na małych stolikach z palarni: kawa, jaja, ciastka, owoce, słodycze. I wszędy pączki kwiatu pomarańczowego napełniały świeże powietrze słodyczą wytworną.

— Wspaniale! — zawołała Domini. — Śniadanie tutaj! Ale nie... nie tu!

— Dlaczego nie tu?

— Na tem właśnie miejscu był on.

— Aluï! Jakże przesądna pani!

Odsunął stolik. Siadła wpobliżu drzwi i nalewała kawę dla nich obojga.

— Wygląda pan prawdziwie, jak przywódca wyprawy.

Spojrzała na jego ubranie podróżne i na długi bat. Szkła dymne były przewieszone przez jego pierś na cienkim sznurku.

— Będę miał ciężką jazdę; ale ja jestem wytrzymały, chociaż pani nie przypuszcza tego. Prześcigałem ubiegłych lat wytrwałością wielki zastęp moich przyjaciół.

Stłukł wytwornie jaje i począł jeść z apetytem.

— Jaki pan dziś poważnie radosny! — rzekła Domini, podnosząc parującą kawę do ust.

Uśmiechnął się.

— Tak jest. Jestem dziś szczęśliwy, jak jest szczęśliw człowiek nabożny, gdy po długiej gnuśności idzie znowu do kościoła.

— Pustynia zdaje się być rzeczą wielką dla pana.

— Czuję, że, idąc do niej, idę do swobody, więcej, niż do swobody.

Przeciągnął ramiona ponad głową.

— A jednak pozostawał pan przez cały czas wciąż w tym ogrodzie.

— Czekałem na moją dolę, jak pani czeka na swoją.

— Jakąż ja mogę mieć dolę?

— Przyjdzie — rzekł z przeświadczeniem. — Nie chybi, przyjdzie.

Zamilkła, myśląc o widzeniu wróżbiarza, o karawanie wiel-

błądów, ginącej w burzy na drodze ku południowi. I naraz zapytała go:

— Czy pan powróci tu jeszcze?

Spojrzał na nią zdziwiony, a potem się uśmiechnął.

— Oczywiście. A pani myślała...

— Że może pan nie zechce już wracać, że może pustynia zatrzyma pana.

— A mój ogród?

Spojrzał poprzez pełną wdzięku ścieżkę piaszczystą i strumyk płynącej wody ku wielkim drzewom, poruszanym przez świeży powiew jutrzniany.

— Będzie brakowało tu pana.

Po chwili, podczas której jasne jego oczy towarzyszyły jej, rzekł:

— Wie pani, ja bardzo wierzę w przeczucia dobrych kobiet.

— Czyż tak?

— Wierzę prawie fanatycznie. Czy pani mi odpowie na pytanie odrazu, bez namysłu, bez chwilki rozważania?

— Jeżeli pan sobie życzy...

— Proszę o to.

— Zatem?

— Czy pani widzi mnie jeszcze nadal w tym ogrodzie?

Głos odrzekł:

— Nie.

Był to głos jej własny, a jednak zdawał się być całkiem innym, z którym nie miała nic wspólnego.

Wielkie uczucie smutku spłynęło na nią, gdy głos ten usłyszała.

— Proszę wracać! — rzekła.

Hrabia powstał. Jasne oczy jego spochmurniały.

— Jeżeli nie tu, spotkamy się jednak, mam nadzieję — rzekł zwolna.

— Gdzie?

— W pustyni.

— Miałby wróżbiarz?... Nie, nie mów pan tego.

Wstała też.

— Czas już dla pana wyruszać.

— Niedługo.

Ogarnął ich rodzaj przymusu. Przez chwilę czuła to prawie

z bólem. Czy źródło tego tkwiło w jej myślach, czy w jego? Nie mogłaby powiedzieć.

Poszli zwolna jedną z małych ścieżek i oto mimowiednie zatrzymali się przed małą komnatką, w której usadowiony spoczywał pies purpurowy.

— Gdy nie mam już nigdy tu wrócić, muszę go pożegnać — rzekł hrabia.

— Ale pan wróci, wróci.

Głos wyrzekł: „Nie".

Głos ten kłamał.

— Być może.

Spojrzeli wewnątrz przez okno i spotkali się z okrutnym wzrokiem psa.

— A gdy nie mam już wrócić, czy będzie on szczekał na księżyc za swego starego pana? — rzekł hrabia z żartobliwym, lecz razem smutnym uśmiechem. — To ja go tu umieściłem. Będą-li te drzewa, z których mnogie sadzone moją ręką, szemrały po mnie? To głupstwo, nieprawdaż, panno Enfilden? Nigdy nie mogłem odczuć tego, by to, co rośnie w mym ogrodzie, znało mnie tak, jak ja to znam.

— Ktoś będzie pana żałował, gdy pan...

— Będzie pani? Będzie pani istotnie żałowała?

— Tak jest.

— Wierzę temu.

Spojrzał na nią. Z wyrazu jego oczu mogła była widzieć, że nosił się z myślą powiedzenia jej czegoś, lecz jakieś pasujące się uczucie, a może powściągliwość, powstrzymywały go od tego.

— Cóż takiego?

— Czy mogę mówić z panią otwarcie, bez urażenia jej? — zapytał. — Jestem w rzeczy samej prawie już stary, proszę to wiedzieć.

— Niech pan mówi.

— Ten gość mój wczorajszy...

— Pan Androwski?

— Tak jest. Zajął mnie bardzo, niewymownie.

— W istocie? Mimo... że był w swojej najgorszej fazie?

— Być może właśnie dlatego. Tak, czy owak: zajął mnie więcej, niż ktokolwiek z ludzi, których widziałem ostatniemi laty. Ale...

Zatrzymał się, patrząc na małą komnatkę, w której pies dzierżył straż.

— Ale zajęcie moje zostało zwikłane przez uczucie, że mam przed sobą istotę ludzką, która jest, jak to mówią, na udry z życiem, z sobą, a nawet z samym Bogiem... że mam przed sobą człowieka, który uczynił to, czego żaden Arab nigdy nie uczyni: bluźnił Allahowi w ogrodzie Allaha.

— Och!

Wydała lekki okrzyk bólu. Zdało jej się, że hrabia zrywał i wyrażał rozpostarte, półukształtowane jej własne myśli.

— Proszę wiedzieć — ciągnął dalej, patrząc uporczywiej w komnatkę psa — iż tu w Afryce jest wiele napływowej ludności, złożonej z najróżnorodniejszych żywiołów. Mógłbym pani opowiedzieć wiele dziwnych rzeczy tragicznych, jakie się wydarzyły w tym kraju, nawet tu w Beni-Morze, tragedyj gwałtu, żądzy, chciwości... tragedyj, których sprawcami byli nie Arabowie.

Obrócił się raptowie i spojrzał jej prosto w oczy.

— Ale poco ja pani mówię to wszystko? — wyrzekł raptownie. — Stanie się, co sądzone; a takie kobiety, jak pani, są strzeżone.

— Strzeżone? Przez kogo?

— Przez własne dusze.

— Nie trwoży mnie los — rzekła spokojnie.

— Czyż potrzebuje mi pani mówić o tem? Panno Enfilden, nie wiem, doprawdy, poco powiedziałem pani nawet to trochę, co powiedziałem. Jestem bowiem, jak pani wiadomo, fatalistą. Niektórzy jednak ludzie, bardzo rzadcy, potrafią do tyla wzbudzić nasze względy, że każą nam zapominać o naszych zasadach i mogą nawet poprowadzić nas do walki z zarządzeniami Opatrzności. Cokolwiek panią czeka, przetrwa pani to wszystko. To jedno wiem. Wszelako są zawsze chwile, w których i najdzielniejsi potrzebują ręki ludzkiej ku pomocy, głosu ludzkiego ku pokrzepieniu. Gdziekolwiek będę w pustyni... a o tem pani doniosę... — jestem zawsze na pani usługi.

— Dziękuję panu — rzekła poprostu.

Podała mu rękę. Zatrzymał ją, jakby to czynił ojciec lub opiekun.

— I ogród ten dniem i nocą należy do pani. Smain wie o tem.

— Dziękuję panu — rzekła znowu.

Rżenie przenikliwe konia dobiegło do nich zoddali. Ręce ich rozłączyły się. Hrabia Anteoni patrzał zwolna dokoła na wielkie drzewo kokosowe, na darń puszystą trawnika, na dorodne drzewa bambusowe i płaczące drzewa morwowe. Domini widziała, że przesyła im pożegnanie milczące.

— Była tu pustka — rzekł wreszcie z westchnieniem półtłumionem. Uczyniłem z tego mały raj i teraz to opuszczam.

— Na pewien czas tylko.

— A jeżeli na zawsze? Otóż wielka to rzecz, gdy kto, mając pustkę w sobie, uczyni z tego raj, jeśli to możliwe. Jak wiele jednak istot ludzkich burzy się przeciw wielkiemu Ogrodnikowi! Bądź co bądź, nie należę do ich rzędu.

— Nie pragnę i ja należeć do nich.

— Czy tu się mamy pożegnać?

— Nie. Pożegnajmy się z muru ogrodowego, i niech widzę pana jadącego w pustynię.

Przez chwilę zapomniała, że jego droga wiodła szlakiem przez oazę. On nie przypomniał jej tego. Było bardzo łatwo przejechać na przestrzał pustyni i złączyć się ze szlakiem tam, gdzie on się rozciągał od palm ostatnich.

— Niech i tak będzie. Proszę tedy do muru.

Uścisnął znowu jej rękę i poszedł zwolna ku willi po bladem srebrze piasku. Gdy postać jego zakryły już trzony drzew, Domini udała się ku białemu ogrodzeniu. Siadła na jednem z małych siedzeń, wyciętych w murze, wsparła głowę na rękach i czekała.

Po chwili usłyszała tętent konia wpobliżu, i hrabia Anteoni, w towarzystwie dwu służących, przybocznych Arabów, wjechał na dróżkę pod murem i ciągnął ku niej. Jechał na wysokiem siodle arabskiem czerwonem, i bogato ozdobna strzelba była przewieszona w pochwie haftowanej przez jego prawe ramię. Wielki miękki kapelusz brunatny osłaniał twarz jego od słońca. Dwaj służący jechali w odległości kilku kroków i zatrzymali się, oczekując, w cieniu muru.

— Czy nie bierze panią ochota pojechać także? — zapytał. — Tam, hen. — I wskazał batem w kierunku jakby uśpionego błękitu na horyzoncie dalekim.

Domini wychyliła się, patrząc zgóry na niego i na jego

konia, który krzesał ziemię kopytem, wyginał swą białą szyję i ociekał pianą z czarnego i ruchomego pyska.

— Nie — odrzekła po chwili namysłu. — Muszę wyrzec prawdę, pan wie o tem.

— Przede mną... zawsze.

— Czuję, że miał pan rację, że moja dola jeszcze nie nadeszła.

— A kiedy nadejdzie?

— Wtedy bez lęku będę jej posłuszna, gdyby nawet miała prowadzić w burzę i w ciemności.

On spojrzał na niebo promienne, na złote snopy, błyskające w dole palm.

— Koran powiada: Los każdego człowieka uwiązany jest u jego szyi. Oby pani los był tak jasny i piękny, jak pereł sznur.

— Kiedy ja nigdy nie lubiłam pereł — odrzekła.

— Tak? Jakież są pani kamienie?

— Rubiny.

— Krew! A jeszcze?

— Szafiry.

— Niebo w czas nocy.

— I opale.

— Ognie płonące poprzez biel zasp w świetle miesiąca. Czy pamięta pani?

— Pamiętam.

— I nie pyta mnie pani o koniec widzenia wróżbity nawet teraz?

— Nie.

Zawahała się przez chwilę. A potem dodała:

— Powiem panu, dlaczego. Oto zdawało mi się, że w niem była wyrocznia zarówno dla kogoś innego, jak i dla mnie, i że dociekanie tego byłoby może wdzieraniem się w cudze tajemnice.

— Ta była pani racja?

— Moja wyłączna racja.

A potem dodała, powtarzając umyślnie słowa Androwskiego:

— Mniemam, iż są rzeczy, które winny pozostać w ukryciu.

— Być może... ma pani słuszność.

Powiew silniejszy świeżego wiatru przepłynął nad równiną, i wszystkie palmy zakołysały się. Przez ogród przeciągnął lekki dreszcz życia.

— Moja dziatwa szemrze mi: bądź zdrowy — wyrzekł hra-

bia. — Słucham jej. Już czas. Żegnam panią, panno Enfilden, moja przyjaciółko, jeżeli można tak zwać panią. Niech Allah ma panią w swojej opiece, a gdy przyjdzie dola pani, niech pani będzie jej tylko posłuszną.

Gdy mówił ostatnie słowa, zasnuty nieco głos jego spadł na nutę głęboką surowej, prawie uroczystej powagi. A potem uniósł kapelusza, tknął konia piętami i pocwałował w słońce.

Domini patrzała na trzech jeźdźców, póki nie stali się plamkami na powierzchni pustyni. Z trzech plamek uczyniła się potem jedna — i zniknęli w podobnem do snu jaśnieniu poranka. Nie poruszała się jednak. Siedziała z oczyma utkwionemi w błękit horyzontu. Do ducha jej weszło wielkie osamotnienie.

Wstała, westchnąwszy. Ogród zdał się jej przez chwilę tragicznym, pogrążonym w smętku rozpacznym. Gdy szła już, opuszczając go, postanowiła wraz udać się do księdza. Nie była nigdy w jego mieszkaniu. Teraz właśnie czuła potrzebę wynurzenia się przed kimś, z kim mogłaby być, jak małe dziecko, przed kim mogłaby wyzwolić część swojej duszy w sposób prosty i być pewną, że w sposób prosty zostanie zrozumianą i po ludzku odczutą. Pragnęła nietyle przyjaciela, ile doradcy duchowego. Coś w niej było obecnie czujnego, coś w rozterce, coś, co już prawie miała rozumieć, co wymagało ręki kojącej, nie ludzkiej miłości, lecz uczuć religijnych.

Gdy stanęła przed domem księdza, Beni-Mora drgała już tonem radosnym życia. Poprzez jego symfonję przedzierała się dźwięczna pobudka wojenna. Spahowie cwałowali po białej drodze szerokiej. Strzelcy rozwozili depesze. Żuawi stali pod palmami, patrząc spokojnie w poranek, spalone słońcem ręce wolno złożywszy na karabinach, których kolby oparte były na piasku.

Ale Domini zaledwie zwróciła uwagę na promienną weselność życia dookoła. Była czem innem zajęta, nawet smutna. Teraz, gdy weszła do małego ogródka księżowskiego i zastukała łagodnie do drzwi, uczucie nadziei, zrodzone pod władzą ożywczą religji, wezbrało w jej sercu stroskanem.

Chłopiec arabski ukazał się na stuknięcie i oświadczył jej, że ksiądz jest w domu. Wprowadził też ją odrazu do małego, całkowicie urządzonego pokoju, z bielonemi ścianami i z oknem otwartem na tylne obejście, gdzie kilka wielkich drzew palmo-

wych kołysało swe wachlarzowate wierzchołki nad pięknie usypanym piaskiem.

Po chwili wszedł ksiądz, uśmiechając się przyjaźnie i wyciągając obie ręce na powitanie.

— Proszę księdza — rzekła Domini odrazu — przyszłam na małą duchową rozmowę z księdzem. Czy ma ksiądz chwilkę wolną dla mnie?

— Proszę, proszę siadać. Najchętniej.

Podsunął słomiane krzesło dla Domini i sam siadł naprzeciwko.

— Czy ma pani strapienie?

— Nie mam właściwie powodu, jednak —

Chwilę milczała. A potem rzekła:

— Chciałabym powiedzieć księdzu coś niecoś o mem życiu.

Ksiądz spojrzał na nią życzliwie bez słowa.

Oczy jego zachęcały do mówienia, to też całkiem już bez wahania, w krótkich i zwięzłych słowach, powiedziała mu, poco przybyła do Beni-Mory, i trochę szczegółów z tragedji jej rodziców i ich wpływu na nią.

— Potrzebowałam odnowić me serce, odnaleźć się — rzekła. — Nie zaznałam w życiu ciepła, czułości. Nie straciłam, to prawda, mej wiary, lecz zapomniałam prawie, żem ją kiedyś miała. Mały z niej czyniłam użytek. Pozwoliłam jej rdzawieć.

— Wielu tak czyni, ale wreszcie przychodzi chwila, gdy uczują, że jedyną tę tarczę trzeba wynieść wysoko, by zwalczyć smutki i przeciwności życia, lub — w braku jej upadek grozi w godzinie potrzeby.

— Tak jest.

— Taka godzina potrzeby nadeszła teraz dla pani. Czy jednak kiedy godzina ta jest zbędna?

— Czuję dzisiaj, że...

Zatrzymała się, raptownie świadoma całej nieokreśloności swego zamiaru. Czyniło to położenie jej ciężkiem, mowę trudną do oznajmiania. Czuła, że potrzebowała czegoś — nie wiedziała jednak dobrze, czego — ani dokładnie, poco nawet tu przyszła.

— Byłam u hrabiego Anteoni'ego, by pożegnać go przed podróżą — oświadczyła. — Wyjechał w pustynię, w podróż.

— Na długo?

— Nie wiem, ale czuję, że będzie ona długą.

— Odjeżdża i przyjeżdża zawsze niespodzianie. Jestem tu i czasami nie wiem o tem zupełnie.

— To dziwny człowiek, ale przypuszczam, że to dobry człowiek.

Gdy mówiła o nim, poczęła uprzytamniać sobie, że to coś od niego wzbudziło w niej chęć pójścia do księdza.

— I zda się, niepowszedni — dodała.

Wciąż patrzała na księdza, który spokojnie oczekiwał, by mu powiedziała coś więcej. Była rada, że nie zmąca jej myśli chęcią dopomożenia w wysłowieniu się i we wywnętrzeniu.

— Przybyłam tu, żeby zaznać pokoju — ciągnęła dalej. — I sądziłam, żem go tu znalazła. Sądziłam tak aż do dnia dzisiejszego.

— W jednem miejscu tylko znaleźć możemy spokój, i to jedynie przez poddanie woli naszej woli Bożej.

— Ksiądz mniema, że tylko w nas samych.

— Czyliż nie jest tak?

— Słusznie. Zatem byłam szalona, jadąc go szukać aż tutaj?

— Tegobym nie rzekł. Miejsce jest obecne w sercu i w niem droga życia: tak mniemam. Tak kiedyś mniemałem.

— Czy wtedy, kiedy ksiądz pragnął być mnichem?

Głęboki smutek zaćmił oczy księdza.

— Tak jest — powiedział. — I nawet dzisiaj trudno mi bardzo rzec te słowa: „Nie moja w tem wola, lecz Twoja, Panie!“ Ale niech mi pani zechce powiedzieć: co się tu stało takiego, co zmąciło pani pokój?

— Stało się coś, proszę księdza.

W ruchach jej i w twarzy odbiło się więcej wzburzenia.

— Czy ksiądz sądzi — ciągnęła dalej — że jest to rzeczą słuszną starać się unikać tego, co życie komuś przynosi, szukać ochrony przed... przed burzą? Czyż nie tak czynią zakonnicy? Proszę mi wybaczyć, jeżeli...

— Szczerość nie dotyka mnie zupełnie — przerwał ksiądz prędko. — Gdyby tak było, nie byłbym godzien mego powołania. Być może, dlatego właśnie jestem tutaj... zamiast...

— Ach, tak, pamiętam przecież, że ksiądz pragnął być jednym z *frères armés*.

— To było mem marzeniem naczelnem. Ale pani — w pełen

prostoty sposób zwrócił rozmowę z trosk swoich na jej własne — czy znalazła się pani na rozdrożu, w rozterce?

— Trudnoby to określić. Ale proszę mi powiedzieć: czyż nie winniśmy zawsze myśleć o innych więcej, niż o sobie?

— Dopóki nie narażamy siebie na wielkie niebezpieczeństwo. Dusza ludzka winna być odważna, lecz nie szalona.

Głos jego zmienił się, stał się silniejszy i jakby nieco surowszy.

— Są niebezpieczeństwa, na które żaden prawy chrześcijanin nie powinien się ważyć: nie jest to tchórzostwem, lecz roztropnością, która unika władzy złego. Znałem i takich, którzy uważali niemal za słuszne, żeby powołaniem ich było nawracać upadłych aniołów. Władzę swoją w tym względzie równali z władzą, która należy jedynie do Boga.

— Tak jest, a jednak... chociaż to rzecz tak trudna... gdyby człowiek jaki został opętany przez złego ducha, czy ksiądz nie próbowałby, nie szedłby do takiego człowieka?

— Gdybym na skutek modlitwy otrzymał wezwanie i wiarę, że dana mi jest władza, jaką Chrystus posiadał.

— Wypędzania złego... wiem o tem. Lecz władza ta czyliż nie może być dana także i kobiecie?

— Być może... szczególnie nawet jej. Mniemam, że zły duch bardziej się obawia dobrej matki, niż niejednego świętego.

W tej chwili Domini uprzytomniła sobie niemal z rozpaczą, jak wielce dusza jej wyzbyła się tej tarczy drogocennej. Uczucie gorzkiej bezradności spadło na jej istotę i uczucie pogardy dla tego, co — jak to ujrzała — było w niej pychą tylko. Ksiądz zauważył, że ostatnie jego słowa dotknęły ją; nie starał się atoli tuż zaraz kłaść balsamu na ranę.

— Pani przyszła dziś do mnie, jako do kierownika duchowego, nieprawdaż? — zapytał.

— Tak jest, proszę księdza.

— A jednak nie chce pani być ze mną otwartą. Czy nie tak?

Słowom jego towarzyszył wzrok przenikliwy, który zatrzymał na niej.

— Tak jest — odrzekła śmiało.

— Dlaczego? Czy nie może pani — czy tylko nie chce pani powiedzieć mi tego?

Racja, podobna do tej, jaka spowodowała zaniechanie słucha-

nia tego, co był widział wróżbiarz, spowodowała również i jej obecną odpowiedź:

— Jest w tem coś, czego nie mogę powiedzieć. Jestem pewna, że mam słuszność, nie mówiąc tego.

— Czy pani pragnie, żebym ja mówił do niej otwarcie? — zapytał.

— Owszem, niech ksiądz mówi.

— Powiedziała mi pani dosyć o swem przeszłem życiu, bym mógł wnosić z pewnością, że przyjdzie kiedyś czas, że będzie pani bardzo dbałą w sprawach religji. Łaską Bożą została pani zachowana od największego z niebezpieczeństw — niebezpieczeństwa utraty wiary w naukę naszego kościoła prawowiernego. Przyszła tu pani, by wiarę tę odnowić, która, nie będąc zabita, została stłumiona, sprowadzona — by tak rzec, do rodzaju niemocy. Jest-li pani pewna, że może nieść pomoc — tu zawahał się rozmyślnie, a potem dodał zwolna — innym? Są okresy w życiu, w których człowiek nie może dokonać tego, czego będzie mógł dokonać w przyszłości. Rekonwalescent, chwiejący się na nogach, czyż może podążyć z bronią, by zasłonić bliźniego? Kto tak czyni, może się wydawać szlachetnie zapominającym o sobie. Czyli jednak czyn taki nie będzie szaleństwem? A przytem, droga pani, winniśmy skrupulatnie być świadomi istotnych pobudek, gdy pragniemy nadążać innym z pomocą. Z Boga-li one, czy tylko z nas samych? Nie jest-li to tylko osobistą chęcią pomnożenia częstokroć, być może, niegodnego szczęścia doczesnego? Egotyzm jest rodzicielem wielkiego potomstwa, i często ono samo nie poznaje swego pochodzenia.

Przez chwilę w Domini wezbrało uczucie silnej złości, jak potok gorący. Nie dała jej upustu i nie wiedziała, że zdradziła się z nią, aż póki ksiądz Roubier nie powiedział:

— Gdyby droga pani wiedziała, jak często to, co brałem za najlepsze moje natchnienie, i w co wierzyłem święcie, wypływało jedynie z marnego źródła mego egoizmu!

Złość jej stopniała odrazu.

— Wielka to prawda — odrzekła. — I dotyczy nas wszystkich, niestety.

Powstała.

— Odchodzi pani?

— Tak jest. Muszę sama z sobą rozważyć. Dał mi ksiądz dużo do myślenia. Być może, powrócę jeszcze do księdza.

— Proszę. Pragnąłbym wspomóc panią, jeżeli potrafię.

Tyle było serdecznego dźwięku w jego głosie, że wyciągnęła ku niemu swą dłoń odruchowo.

— Wiem, że ksiądz to potrafi. Być może, zdoła ksiądz również.

Zaledwie atoli rzekła ostatnie te słowa, zwątpienie wpełzło do jej duszy, a nawet do jej głosu.

Ksiądz wyszedł do furtki, żeby odprowadzić Domini. Właśnie wyszła za ogrodzenie, kiedy spostrzegła, że Androwski był pod arkadą i był świadkiem jej wyjścia. Gdy przechodziła obok niego, zauważyła, że był niezmiernie podniecony i wzburzony. Twarz jego świeciła nową dziką łuną opalenizny słonecznej. Gdy, przechodząc, skinęła mu głową i gdy uchylił kapelusza, rzucił na nią błysk oczu, który był jakby oskarżeniem. Gdy weszła na werendę, usłyszała tuż zaraz ciężkie jego kroki na schodach. Przez chwilę wahała się, czy iść do swego pokoju i uniknąć spotkania z nim, czy zostać i pozwolić mu, by mówił. Wiedziała bowiem, że podążał za nią z tym zamiarem. Naraz myśl jej jakgdyby raptownie urwała się. Przeszła przez werendę i siadła na niskim fotelu słomianym, który stał zawsze naprzeciwko jej okna.

Androwski skierował się za nią i stanął obok niej. Przez chwilę nic nie mówił, i ona milczała. Wreszcie rzekł z rodzajem wysiłku gwałtownego, by głos jego dźwięczał bez barwy i niefrasobliwie.

— Hrabia Anteoni odjechał, przypuszczam, proszę pani?

— Tak jest. Odjechał. Doszłam do ogrodu cała, jak pan widzi.

— Batucz nadszedł później. Bardzo był zawstydzony, dowiedziawszy się, że pani poszła. Przypuszczam, że boi się teraz i ukrywa, czekając, aż pani gniew na niego przeminie.

Domini roześmiała się.

— Batucz nie tak łatwo może mnie rozgniewać. Nie mam pańskiej natury, panie Androwski.

Wyzwanie to raptowne wstrząsnęło nim, co zresztą było w zgodzie z jej zamiarem. Ruszył się szybko, jak pod ciosem nieoczekiwanym.

— Mojej, proszę pani?

— Tak jest. Przypuszczam, że pan często się złości. Przypuszczam, że pan nawet obecnie jest zły.

Twarz jego oblała się cała rumieńcem.

— O cóż miałbym być zły? — wybełkotał, jak człowiek, zupełnie porażony.

— Czy ja wiem, o co? Wiem tylko, że, kiedym przechodziła teraz koło pana, spojrzał pan na mnie, jakby pan mnie istotnie chciał ukarać.

— Ja... ja... doprawdy, przykro mi bardzo, że twarz moja mówi często wiele z tego... czego... czego...

— Czego usta pańskie nie śmieją powiedzieć. No, tak, tak jest. Za cóż się pan gniewa na mnie?

Patrzała na niego bez litości, obserwując rozterkę jego twarzy. Zdobywczość wstała w jej naturze przez to spojrzenie, jakie on rzucił ku niej. Kto śmie, kto ma prawo patrzeć tak na nią? Otwartość jej szorstka przywróciła mu panowanie, które był utracił. Przez chwilę czuła, że w nim jest ta sama zdolność walki, co i w niej, może nawet większa.

— Kiedym ujrzał panią wychodzącą z domu księdza, uczułem, że pani mówiła tam o mnie, o mojem postępowaniu wczorajszem...

— Być może! Dlaczegoż nie miałabym czynić tego.

— Myślałem, że pani chciała łaskawie przyjść mi...

Zatrzymał się.

— No, cóż? — spytała głosem mocnym.

— Pani, ja nie wiem, com myślał i co myślę... ja wiem tylko, że nie zniosę, by ktokolwiek miał brać mnie w obronę za moje postępowanie. Oczywiście... ja nie zniosę tego.

Wyglądał strasznie wzburzony, postąpił dwa czy trzy kroki naprzód, potem zawrócił.

— Czy tak było? — zapytał. — Czy było tak, proszę pani?

— Nie wymieniłam ani razu pańskiego nazwiska przed księdzem Roubier, ani on też nie wymienił go przede mną — odrzekła.

Przez chwilę zdawało się, że się ułagodził, atoli raptowne podejrzenie znowu go podjęło.

— Ale bez wymieniania mego nazwiska? — rzekł.

— Pan pragnie posądzać mnie tedy o grę słów, o nieszczerość! — zawołała z żarem, prawie równym jego żarowi.

— Nie, pani! Nie, pani! Ja... ja wiele cierpiałem. Jestem o wszystko podejrzliwy. Proszę mi wybaczyć, proszę mi wybaczyć.

Mówił prawie nieprzytomnie. W ruchach i zachowaniu się jego było coś rozpacznego.

— Nie wątpię, żeś pan cierpiał — rzekła nieco łagodniej, lecz razem z pewnem nieubłaganiem, któremu się sama dziwiła, nad którem atoli nie mogła panować. — Będzie pan zawsze cierpiał, jeżeli nie będzie pan miał władzy nad sobą. Ludzie za to nie będą pana lubili, będą pana podejrzewali.

— Podejrzewali! Kto może mnie podejrzewać? — zapytał ostro. — Kto ma jakie prawo podejrzewać mnie?

Spojrzała na niego i zdawało się jej przez chwilę, że widzi w oczach jego coś, jakby grozę, jak niecność.

— Wie pan zapewne, że ludzie nie pytają o pozwolenie, żeby podejrzewać swych bliźnich — rzekła.

— Nikt tu nie ma prawa ważyć moich czynów — rzekł, patrząc na nią z dzikością. — Jestem człowiekiem wolnym i mogę robić, co mi się podoba. Nikt nie ma żadnego prawa... nikt!

Domini czuła, że te ostatnie słowa stosują się jakby do niej i jakby on niemi ją smagał. Tak była zła, że nie dowierzała swej mowie i tylko instynktownie poniosła rękę na pierś, jak kobieta, która otrzymała cios. Ręka ta dotknęła czegoś małego i twardego, co było ukryte pod suknią. Był to mały drewniany krzyż, który Androwski rzucił do wody w Sidi-Zerzur. Gdy uprzytomniła to sobie, złość jej minęła. Czuła się zawstydzoną i ukorzoną. Czem była jej religja, jeżeli jedno słowo było w stanie wzbudzić w niej taką pasję uczuć?

— Przynajmniej, co do mnie, nie jestem podejrzliwą o pana — rzekła, dobierając słów, które z trudem najwyższym w tej chwili wypowiadała. — I ksiądz Roubier... jeżeli i jego pan wlicza... jest nadto dobrym i delikatnym człowiekiem, by miał żywić względem kogo niegodne podejrzenia.

Wstała. Głos jej był pełen opanowanego, lecz jeszcze silnego wzruszenia.

— Ach, panie Androwski! — rzekła. — Przemóż pan siebie i idź pan do niego. Zawrzyj pan z nim stosunek przyjazny. Zapomnij pan o wczoraj. Chciałabym, żeby pan był z nim

w przyjaźni, ze wszystkimi tutaj. Niech Beni-Mora będzie miejscem pokoju i dobrej woli.

Zatem przeszła szybko przez werendę do swego pokoju i zamknęła okno za sobą.

Śniadanie zaniesiono do jej pokoju. Jadła w samotności i tylko późno po południu zeszła na werendę. Odłożyła swój zamiar spędzenia godziny w kościele. Powiedziała księdzu Roubier, że ma coś z sobą rozważyć. Kiedy go opuściła, ciężar na jej duszy wzmógł się jeszcze, i wtedy zatęskniła do samotnej ustroni w mroku blisko ołtarza. Tam, być może, odrzuci ten ciężar, który ma na duszy.

Na werendzie stała przez chwilę i myślała, jak cudownie odmienną była chwila zachodu słońca i wschodu w tej krainie. Patrzała w kierunku, skąd szedł złoty, do snu podobny czar zachodu, i naraz w jego świetle ujrzała Androwskiego woddali, jak stanął przed drzwiami księdza. Patrząc tak, ujrzała, jak drzwi zostały otwarte przez chłopca i jak Androwski wszedł w nie.

Wtedy już myśli jej rozpłynęły się w złotem uczuciu zachodu. Z wyrazem promiennym oczu zeszła z werendy i skierowała się ku kościołowi. Był on pusty o tej porze. Podeszła nabożnie do klęcznika koło ołtarza, uklękła tam i twarz ukryła w dłoniach.

Wciąż klęcząc tak, Domini poczęła myśleć i modlić się. Wspomnienie jej modlitwy do Matki Bożej Nieustającej Opieki na wstępie do Afryki wróciło teraz do niej. Zanim poznała jeszcze Afrykę, modliła się za ludzi wędrownych, być może nieszczęśliwych, za ludzi, których prawdopodobnie nigdy już nie miała oglądać, ani nigdy poznać. Teraz znowu, kiedy jej obcowanie z tym krajem stało się bardziej zażyłem, kiedy zrozumiała już trochę z jego uroków i z jego niebezpieczeństw, modliła się za człowieka, którego znała, który był wpobliżu niej, czyniący ofiarę ze swych uprzedzeń, ze swych, być może, obaw, na jej żądanie. Modliła się za Androwskiego bez słów, czyniąc ze swego uczucia wdzięczności modlitwę dla niego — i oto, w ciemnem obramowaniu rąk swoich, zdało się jej, że widzi raz jeszcze Wolność, jak ongi w cieniach domu tanecznego, stojącą obok z tym człowiekiem, który się modlił tam daleko w chwale blasków pustyni. Burza, o której mówił wróżbita, nie zawsze szalała. Uciszyła

się, by słyszeć jej modlitwę. I mroki opadły, i światło podpłynęło blisko, żeby ją słyszeć.

Przycisnęła silniej ręce do czoła i myśleć poczęła w kierunku bardziej określonym.

Miałażby ta rozmowa Androwskiego z księdzem być pierwszym krokiem, uczynionym przez Androwskiego ku otrzymaniu darów, jakie niesie pustynia?

Był on oczywiście człowiekiem, który nienawidził religji, lub mniemał, że jej nienawidzi.

Patrzał na nią, być może, jak na więzy, nie jak na młot, który rozkuwa i wypuszcza na wolność niewolnika.

A jednak nosił krzyż.

Uniosła głowę, wsunęła rękę na pierś i wyjęła krzyż.

Jakie były dzieje tego krzyża?

Położyła go na skraju klęcznika.

Czerwony ogień jarzący rozpłonął teraz w oknie kościoła. Uprzytomniła sobie widzenie, które szło teraz z zachodu, pasję świata i razem czystość, która leżała za światem. Dusza jej była zmącona.

Przeniosła wzrok z blasków krwawych szkła na ciemnobrunatne drzewo krzyża. Krew i agonja uczyniły go symbolem mistycznym tego, czem był. Krew i agonja.

Miała z sobą coś do rozważenia. Ciężar był wciąż na jej duszy i wagę jego czuła obecnie, wagę, której rozmowa z księdzem nie ujęła. Nie była bowiem zdolna do zupełnej szczerości z księdzem. Coś ją powściągało od całkowitej otwartości, a i on także dlatego nie powiedział wszystkiego, co miał na myśli. Słowa jego były nieco luźne, przygodne, ale ona zrozumiała treść, która pod niemi się kryła.

Tak jest, oczywiście. Ostrzegał ją przed Androwskim, i hrabia Anteoni ostrzegał ją także przed Androwskim. Byli to dwaj ludzie całkiem odmiennego rodzaju. Jeden — niedoświadczony światowo, jak dziecię. Drugi — znający świat i ludzi. Żaden z nich nic nie wiedział o istotnem życiu i przeszłości Androwskiego, i obadwaj ostrzegali ją przed nim. Był-li to instynkt, który przemawiał przez nich, który im wieścił o nim, jako o człowieku, którego należy unikać, a nawet może bać się? A instynkt jej własny? Co on jej powiada?

Długo pozostała w kościele. Lecz nie mogła ani myśleć jasno, ani rozumować spokojnie, ani nawet modlić się gorąco. Powstała z klęczek, ukryła raz jeszcze krzyż drewniany na piersi i wyszła na tchnienie wieczoru.

Kiedy opuściła drzwi kościelne, znowu coś nastąpiło, co uczucia jej bardziej skupiło. Oto trafiła na Androwskiego i na księdza. Stali razem od wewnątrz furtki, która tuż za tem otworzyła się przy towarzyszeniu radosnych poszczekiwań ze strony Bu-Bu. Obadwaj wyglądali bardzo mocno przejęci, jakgdyby obadwaj czynili wielki wysiłek nad sobą.

Zatrzymała się w mroku, żeby przemówić do nich.

— Pan Androwski był tak uprzejmy i złożył mi wizytę — rzekł ksiądz Roubier.

— Cieszę się bardzo — powiedziała Domini. — Wszyscy tu winniśmy być przyjaciółmi.

Była chwila nieporęczna milczenia. Androwski uniósł kapelusza.

— Do widzenia pani — rzekł. — Do widzenia, księże.

I odszedł prędkim krokiem.

Ksiądz spojrzał wślad za nim i westchnął głęboko.

— Ach, pani, pani! — zawołał, jakby pragnąc czem prędzej wynurzyć się przed kimkolwiek: — Co się z tym człowiekiem dzieje? Co się dzieje z tym człowiekiem?

Utkwił wzrok w mroku za znikającym kształtem Androwskiego.

— Z kim? Z panem Androwskim?

Rzekła spokojnie, lecz myśl jej była pełna przejęcia, i spojrzenie badawcze rzuciła na księdza.

— Tak jest. Co to może znaczyć?

— Ale co? Nic nie rozumiem.

— Poco on tu przyszedł do mnie?

— Ja go prosiłam, żeby przyszedł.

Powiedziała te słowa, nie wiedząc dlaczego, czując tylko, że musi mówić prawdę.

— Pani go prosiła?

— Tak jest. Chciałam, żebyście panowie byli przyjaciółmi... Sądziłam, że może ksiądz zdoła...

— Ach, tak!

— Chciałam, żebyście panowie byli przyjaciółmi — powtórzyła to prawie z uporem.

— Nigdym jeszcze dotychczas nie czuł się tak źle z żadnym człowiekiem — zawołał ksiądz, mocno poruszony. — Cały czas mówiliśmy o rzeczach całkiem obojętnych i przez cały czas czułem, jakgdybyśmy uczestniczyli w jakiejś wielkiej tragedji. Kim jest ten człowiek? Kim może on być?

Wciąż patrzał na drogę, na której zniknął Androwski.

— Nie wiem. Nic nie wiem. Jest on podróżnym, jak wielu innych, którzy podróżują.

— O, nie! Nie!

— Cóż tedy sądzi ksiądz?

— Sądzę, iż inni podróżni nie są podobni do tego człowieka.

Oparł ciężko swe chude ręce na furtce i Domini z wyrazu jego oczu wyczytała, że chce jej powiedzieć coś niezwyczajnego.

— Pani — rzekł, zniżając głos. — W uprzedniej rozmowie naszej nie byłem z panią całkiem otwarty. Mogła pani rozumieć, com miał na myśli, ale mogła pani i nie rozumieć. Obecnie powiem to pani w pełni. Jako kapłan, ostrzegam panią, ostrzegam nader uroczyście, niech pani nie zawiera przyjaźni z tym panem!

Nastała chwila milczenia, zaczem Domini rzekła:

— Niech mi ksiądz zechce dać racje tego ostrzeżenia.

— Tego nie mogę uczynić.

— Czy dlatego, że ksiądz nie ma tych racyj, czy — że nie życzy sobie powiedzieć mnie ich?

— Nie mam tych racyj do dania. Racją tu jest mój instynkt. Nie wiem nic o tym panu. Żałuję go. Będę się modlił za niego. Potrzebuje on bowiem modłów, tak jest, potrzebuje. Ale pani jest tu kobietą bez opieki. Mówiła mi pani o sobie i uważam za swój obowiązek powiedzieć pani, że radzę, radzę najpoważniej, by pani zerwała znajomość z panem Androwskim.

— Czy dlatego, że ksiądz uważa go za złego człowieka?

— Nie wiem tego, czy jest on zły, nie wiem nic o tym panu.

— Ja wiem, że on nie jest złym człowiekiem.

Ksiądz spojrzał na nią zdziwiony.

— Pani wie? — Skąd?

— Mój instynkt — rzekła, zbliżając się o krok i kładąc też

swoją rękę na furtce, blisko jego ręki. — Dlaczego mamy go opuszczać?

— Opuszczać go, pani?

Głos księdza Roubier zadźwięczał zdumieniem.

— Tak jest. Rzekł ksiądz, że on potrzebuje modłów. Wiem o tem. Ale niech mi ksiądz powie, czyż najszczerszemi, najzbawienniejszemi, najprędzej trafiającemi do nieba nie są uczynki ludzkie?

Ksiądz nic nie odpowiadał przez chwilę. Spojrzał na nią i zdawał się głęboko namyślać.

— Poco pani przysłała dziś do mnie po południu pana Androwskiego? — zapytał wreszcie raptownie.

— Wiedziałam, iż ksiądz jest dobrym człowiekiem — i mniemałam, iż, jeżeli panowie zawrzecie przyjaźń, będzie ksiądz w stanie pomóc mu.

Twarz jego złagodniała.

— Ja — dobry człowiek! — rzekł. — Ach!

Wstrząsnął smutnie głową, wraz z dźwiękiem, który był, jak krótki śmiech patetyczny.

— Ja — dobry człowiek! Ja, który pozwałam, że osobiste moje uczucia, prawie nieprzezwyciężone, biorą górę nad wewnętrznem poczuciem słuszności! Pani! przejdźmy na chwilę do ogrodu.

Otworzył furtkę, Domini weszła do ogrodu, i ksiądz poprowadził ją dokoła domu do tylnego ogrodzenia, gdzie mogli rozmawiać najbardziej poufnie.

Wtedy ciągnął dalej:

— Ma pani słuszność. Jestem tu, bym sprawował uczynki Boże, i czasami, być może, lepiej jest nawet czynić dla ludzkiej istoty, niźli się modlić za nią. Pragnę pani powiedzieć, że czuję do pana Androwskiego niemal nieprzezwyciężoną odrazę, odrazę, która jest silniejsza, niźli moja wola zachowania jej w ukryciu.

Wstrząsnął się zlekka.

— Ale, z pomocą Bożą, przezwyciężę siebie. Jeżeli on tu pozostanie, spróbuję zostać jego przyjacielem. Zrobię wszystko, co będzie w mej mocy. Jeżeli jest on nieszczęśliwy — i daleki od tego, by był złym — być może — mówię to pani pokornie, zapewniam panią, będę mógł mu dopomóc. Ale — tu twarz jego

i całe zachowanie zmieniły się, stały się bardziej stanowczemi, bardziej władczemi — pani nie jest kapłanem i...

— Nie, jestem tylko kobietą — rzekła, przerywając mu.

W głosie jej było coś, co go zatrzymało.

Nastało długie milczenie, podczas którego przechadzali się zwolna po piasku między palmami, tam i zpowrotem. Na ulicy tancerek ozwały się już tam-tamy i słychać było zoddali stłumione jęki piszczałek. Wreszcie ksiądz znowu zagadał:

— Pani — rzekł — dziś po południu, kiedy pani przyszła do mnie, miała mi pani coś powiedzieć, czego nie powiedziała mi pani.

— Tak jest.

— Czy to miało co wspólnego z panem Androwskim?

— Miałam zamiar poprosić księdza o radę dla siebie samej.

— Moja rada dla pani była i jest — być silną, lecz nie szaloną.

— Proszę mi wierzyć, że nie pragnę próbować być szaloną. Lecz rzekł mi ksiądz jeszcze coś, coś, co tyczyło kobiety. Czy pamięta ksiądz?

Przystanęła, idąc za pobudką, wzięła jego ręce i uścisnęła.

— Niech ksiądz posłucha. Nie wiem, czym kiedy była w życiu użyteczną. Nie wiem, czym kiedy nawet próbowała być użyteczną. Żaden głos mi nie mówił: „możesz nią być," a gdyby nawet mówił, tak byłam zasnuta nawyknieniami i smutkami, że sądzę — nie byłabym go słyszała. Lecz tu jest inaczej. Tutaj nie jestem zasnuta. Tutaj mogę słyszeć. I — proszę przypuścić, że po raz pierwszy mogę być pożyteczną. Czy rzekłby mi ksiądz: „nie próbuj!" Czy mógłby mi to ksiądz rzec?

Ksiądz stał, trzymając ją za ręce i patrząc w jej twarz przez chwilę. A potem rzekł, napoły smutno, napoły żartobliwie:

— Pani moja! Widocznie zna pani siły swoje najlepiej. Widocznie najpewniejszym pani przewodnikiem duchowym jest pani własne serce. Kto to wie! Tak, czy owak, nie przyjmie pani rady ode mnie.

Wiedziała teraz, co było prawdą, i przez chwilę była jakgdyby zawstydzona.

— Niech mi ksiądz wybaczy — rzekła. — Ale — to jest dziwne i może się zdawać śmiesznem, a nawet nierozsądnem — od kiedy jestem tu, mam wrażenie, że to, co się staje, jest jakgdyby

naprzód przygotowanem, jakgdyby stać się tak miało. I to samo czuję także i co do przyszłości.

— Fatalizm hrabiego Anteoni'ego! — rzekł ksiądz z odcieniem irytacji i zniecierpliwienia. — Znam to. Jest on tu duchem przewodnim w tym kraju. I pani także idzie pod jego władzę. Ale proszę się strzec! Przybyła tu pani do krainy ognia — i mniemam, że i pani sama jest z ognia.

Przez chwilę widziała w jego oczach wyraz fanatyczny. Otworzył usta, jakgdyby chciał wylać na nią nowy potok słów gromkich, palących. Lecz wzrok ten wraz zagasł — i już szli dalej wolno, jak dwoje przyjaciół.

Gdy Domini szła do hotelu, wiedziała już, że ksiądz Roubier nie może dać jej rady zbawiennej, jakiej pragnęła, i że, być może, żaden ksiądz nie był jej mocen dać tego. Serce jej było w odmęcie i zdawało się jej, że jest gdzieś śród tłoku.

Batucz czekał już u drzwi hotelowych, z wyrazem starannie skruszonym i z gotowością zasobną do kłamstwa. Nocy tej chwyciła go gorączka — i oświadczając to, podniósł swe ręce, które poczęły drżeć, jak liście, smagane wiatrem. Teraz dopiero mógł dźwignąć się z łoża boleści i, pomimo znękania i rozbicia, przyczołgać się do stóp swej pani, by wyżebrać od niej przebaczenie.

Domini udzieliła mu tego przebaczenia z roztargnieniem niedbałem, co widocznie zadrasnęło jego ambicję. Kiedy już wschodziła do hotelu, rzekł jej:

— Irena wychodzi zamąż za Hadiego, proszę pani.

Od czasu zatargu w domu tancznic oboje: tancerka i jej ofiara, byli pod kluczem.

— Wychodzi zamąż, przedtem targnąwszy się na jego życie? — rzekła Domini.

— Tak jest, proszę pani. Kocha go tak, jak drzewa palmowe kochają słońce. On weźmie ją do swego mieszkania, i będzie nosiła zawój na twarzy, i będzie pracowała na niego i krokiem już nie ruszy się z domu.

— Co? Będzie żyła życiem kobiet arabskich?

— Naturalnie, proszę pani. Ale z drugiej strony mieszkania Hadiego znajduje się taras na dachu, i Hadi pozwoli jej tam od czasu do czasu zażywać powietrza, wieczorami lub — kiedy gorąco.

— Musi kochać bardzo swego Hadiego.

— Bardzo. W przeciwnym razie pocóżby go chciała zabijać? Otóż to afrykańska miłość — pchnięcie nożem i zawój na twarz! Myśl o tem wprowadziła jeszcze więcej komplikacji do nieładu, jaki był w jej umyśle.

— Przyjdź po obiedzie, Batucz — rzekła.

Czuła, że musi coś zrobić z sobą, pójść gdziekolwiek tego wieczoru. Nie mogła tak pozostać w bezczynności.

Batucz wyprostował się i wytężył swoją pierś szeroką. Wyraz uległy, pochlebczy, ustąpił miejsca ważności; i gdy tak wsparł się o biały słup arkady, zarzucił pompatycznie dokoła swej osoby obszerny swój burnus i łysnął ku niebu, ujrzał już w wyobraźni sztukę złota pięcio-frankową, migocącą w tarczy księżycowej.

Ksiądz nie przyszedł dnia tego na obiad, lecz Androwski siedział już przy swym stoliku, kiedy Domini weszła do sali jadalnej. Powstał ze swego siedzenia i ukłonił się grzecznie, lecz nie przemówił do niej. Pomna na jego wybuch ranny, uprzytomniła sobie podejrzenie, jakie zrodziło się prawdopodobnie w jego umyśle na zasadzie jej wtórej rozmowy z księdzem, i obecnie nie była już wolna od uczuć przygnębienia, które prawie graniczyły z winą. Albowiem obecnie rozmawiała przecież z księdzem o Androwskim, wymieniała jego nazwisko, a czyliż nie było to prawie że obroną jego, kiedy mówiła: „Ja wiem, że on nie jest złym człowiekiem?“ Raz czy dwa podczas obiadu, kiedy oczy jej spotkały się na chwilę z oczyma Androwskiego, zdawało się jej, jakoby on musiał wiedzieć, poco ona chodziła do mieszkania księdza, i że gniew jego wciąż wzbierał.

Myślała o nim ze smutkiem, ale — rzecz dziwna — bez odrobiny pogardy, czy poniewierki. To, co od innego mężczyzny byłoby ją przejęło na pewno zniecierpliwieniem, jeżeli nie złością, od niego budziło w niej inne uczucia — ciekawości, współczucia, grozy.

Tak — grozy. Tego wieczora poznała to. Długi dzień, rozpoczęty w półmroku przed wschodem słońca i kończący się w półmrokach zmierzchu, wraz z wydarzeniami, które dla kogo innego zdałyby się zwykłemi i nawet pospolitemi, przeniósł ją na teren jakiegoś pielgrzymstwa wzruszeń. Półosłonione przestrogi hrabiego Anteoni'ego i księdza, a potem jeszcze namiętny prawie gest zgrozy księdza, jasno mówiący, nie mogły nie zrobić na

niej wrażenia. Tego wieczora coś z Europy i jej życia światowego, z jej doświadczenia kobiety cywilizowanej i otrzaskania się w stosunkach z ludźmi, wcisnęło się tu pod drzewa palmowe i świetne gwiazdy Afryki; i, naprzekór fatalizmowi, potępianemu przez księdza Roubier, była bardziej dziś, niż kiedykolwiek dotychczas, świadoma tego, jak inni — świat nazewnątrz — byliby prawdopodobnie zapatrywali się na jej znajomość z Androwskim.

Nadto, obok hrabiego Anteoni'ego i księdza, stała jeszcze inna postać, postać wróżbiarza, którego twarz umęczona przypominała człowieka, patrzącego w los, który był straszny. Czyliż on także nie ostrzegał jej? Nie byłoż to ostrzeżenie potrójnem: od świata, od Kościoła i od zaświata — świata, który był za zasłoną?

Spotkała się ze wzrokiem Androwskiego. Wstał i opuścił jadalnię. Ruch ten oderwał ją od rzeczy widmowych, lecz nie oderwał jej od rzeczy świata.

Widziała wciąż siebie, obcującą śród wydarzeń, z których jej świat byłby się śmiał lub którymby się dziwił, i, być może, po raz pierwszy w życiu była nieprzyjemnie świadoma własnej swej jaźni, która rozpostarła nad nią straż, jakgdyby jaźń ta miała coś w sobie z satyra, który z niej drwił i dziwił się jej.

XIV.

Co to ja będę robiła dziś wieczór?

Pozostawszy sama w pustej jadalni, zadała sobie teraz to pytanie Domini.

Po chwili wstała, westchnąwszy, i przeszła pod arkadę.

Batucz ukazał się niezwłocznie, jak z pod ziemi wyrosły.

— Co można dziś oglądać, Batucz? — zapytała.

— Są kobiety maurytańskie — począł.

— Nie, nie chcę.

— Może chce pani posłuchać improwizatorów.

— Nie. Nie będę ich mogła rozumieć.

— Ja pani wytłumaczę.

— Nie.

Przystanęła na drodze.

— Dzisiaj jest księżyc, nieprawdaż? — rzekła, patrząc na niebo gwiaździste.

— Tak jest, proszę pani, będzie później.

— O której godzinie wschodzi?

— Pomiędzy dziewiątą i dziesiątą.

Stała na drodze, rozmyślając. Przyszło jej na myśl, że nigdy jeszcze nie widziała wschodu księżyca w pustyni.

— A teraz — spojrzała na zegarek — zaledwie ósma.

— Pani zobaczy księżyc, jak się wychyła z ponad palm.

— Nie mów tak wiele, Batucz — rzekła opryskliwie.

Tego wieczoru łatwe i cukrzone pomysły poety męczyły ją, jak pobrzęki moskitów. Nawet obecność jego drażniła ją. Ale czyliż się mogła obejść dziś bez niego? Po chwili rzekła:

— Czy można się udać nocą w pustynię?

— Pieszo, proszę pani? Byłoby niebezpiecznie. Nie można zaręczyć, coby się mogło przytrafić nocą w pustyni.

Słowa te wzbudziły w niej chęć wyprawy. Był w tem urok — a może gwałtowność — niewiadomego.

— Można jechać — rzekła. — Dlaczegożby nie? Kto nas zaczepi, jeżeli będziemy konno i uzbrojeni?

— Pani jest odważna, jak pantera w lasach Dżurdżurahu.

— A ty, Batucz? Czy nie jesteś odważny?

— Ja, proszę pani, nie boję się niczego.

Nie mówił tego chełpliwie, jak Hadi, lecz spokojnie i prawie przelotnie.

— A więc dobrze, nie boimy się oboje. Pojedziemy drogą do Tombuktu i zobaczymy wschód księżyca. Pójdę na górę i ubiorę się.

— Pani weźmie rewolwer.

— Oczywiście. Przyprowadź konie na dziewiątą.

Kiedy przebrała się, było zaledwie kilka minut po ósmej. Pragnęła obecnie być już na siodle, rwać z kopyta po długiej, białej drodze pomiędzy palmami. Czuła potrzebę obecnie ruchu fizycznego i poczęła chodzić szybko po werendzie — tam i zpowrotem.

Żałowała obecnie, że nie kazała zaraz przyprowadzić koni — czem bowiem ostatecznie wypełni czas, zanim nadejdą?

Kiedy skierowała się ku końcowi werendy, ujrzała zbliżającą się ku sobie białą postać. Kiedy nadciągnęła bliżej, poznała w niej Hadiego. Miał on wyraz baczny, złośliwy, lecz razem i nieco triumfujący.

W tej chwili była rada, że go widzi. Przyjął jej pozdrowienie z powodu wyzdrowienia i bliskiego małżeństwa z rodzajem filuternej wesołości, poznała jednak prędko, że zbliżył się do niej z racji pieniężnej. Widząc, jak łatwo jego kuzynek zdobywa sobie grosz, zapragnął widocznie równie zacnie zniewolić fortunę. A pieniądze były mu obecnie szczególnie potrzebne ze względu na widoki małżeńskie.

— Czy nie chciałaby pani zobaczyć coś dziwnego i zachwycającego tej nocy? — zapytał po chwili, patrząc zukosa kącikami swych oczu złośliwych, które, jak to Domini mogła zauważyć, były skore do czytania myśli i gustów.

— Jadę tej nocy konno.

Spojrzał zdumiony.

— Nocą?

— Tak jest. Batucz poszedł po konie.

Twarz Hadiego stała się jedną maską złego usposobienia.

— Jeżeli pani pojedzie z Batuczem, pani zostanie zamordowaną. W pustyni są zbójcy, a Batucz lęka się.

— Czy możemy zobaczyć to „coś dziwnego i zachwycającego" w ciągu godziny? — przerwała mu.

Wesoły i filuterny wyraz powrócił odrazu na twarz przewodnika.

— Tak jest, proszę pani.

— Co to takiego?

Potrząsnął głową i zrobił pełny kunsztu ruch ręką w powietrzu.

— Pani zobaczy.

Długie jego oczy były pełne tajemnicy, ruszył ku schodom.

— Proszę, niech pani idzie.

Domini zaśmiała się i poszła za nim. Miała wrażenie, że bawi się w jakąś zabawę, i ciekawość jej wzmogła się. Zeszli pocichu nadół i wyśliznęli się z hotelu, jak dzieci, obawiające się, by nie były schwytane.

— Batucz pęknie ze złości. Będzie miał pełną gębę piany — wyszeptał Hadi, chowając swą brodę i chichocząc pocichu do siebie. — Tędy, tędy, proszę pani.

Poprowadził ją prędko poprzez ogrody na ulicę Berty i dalej przez cały szereg drobnych uliczek, aż wreszcie stanęli przed białym domem, przed którym na wzgórku rosły trzy palmy, wychodzące z jednego pnia. Poza domem było miejsce puste, a dalej rozłóg piasku i niskie zwały, ginące, jak obecnie, w ciemności nocy, jeszcze bez księżyca.

Domini spojrzała na dom i na Hadiego, i zastanowiła się, czy nie będzie nierozważnie iść dalej na ślepo.

— Co to takiego? — zapytała znowu.

Lecz Hadi odrzekł jedynie: „Pani zobaczy" i zastukał swą chudą dłonią w drzwi. Po chwili otworzyły się, i wielka twarz dziobata ukazała się w otworze, grube wargi zamamrotały coś szybko, zaczem twarz znów się wsunęła, drzwi otworzyły się szerzej, i Hadi polecił Domini wejść.

Po chwili wahania Domini weszła i znalazła się w małem podwórzu wewnętrznem, z posadzką taflową, z kolumnami, z wysoką w górze galeryjką z wyrzynanego drzewa, od której nie-

zawodnie rozchodziły się mieszkalne pokoje. Na podwórzu, na poduszkach, siedziało czterech mężczyzn z błędnemi oczyma, z obnażonemi ramionami i łydkami, i z długiemi włosami starganemi, przed fajerką, z której unosił się ostry i przejmujący zapach. Dwaj z nich byli bardzo młodzi, z blademi, ascetycznemi twarzami i z oczyma znużonemi. Wyglądali na młodych kapłanów z Sahary.

W niewielkiej odległości, na czerwonej poduszce, siedziało małe chłopię, mogące mieć około czterech lat, ubrane w żółte i zielone szatki.

Kiedy Domini i Hadi weszli na podwórze, ani jeden z mężczyzn nie spojrzał na nich; jedynie tylko dziecko wlepiło w nich powolnie swoje uroczyste oczy i patrzało, przekręcając się na poduszce.

Hadi polecił Domini usiąść na jakimś dywaniku pomiędzy kolumnami, sam usiadł obok i począł skręcać papierosa.

Panowała cisza zupełna. Czterej mężczyźni byli wpatrzeni w fajerkę, trzymając nozdrza nad wonnemi dymami, które snuły się wgórę smużkami spiralnemi. Dziecię wciąż spoglądało na Domini. Hadi zapalił swego papierosa. A czas upływał.

Domini uczuła przypływ gwałtowny. Została naraz przeniesiona do tej tajemnicy zdrętwienia i nieruchomienia, która spadła na odmęt jej duszy, jak tchnienie nieznane. Co osobliwie zdało się jej dziwnem i nienaturalnem, to to, że mężczyźni, z którymi siedziała w podwórcu tego samotnego domu, nie patrzali zgoła na nią, nie zdawali się całkiem postrzegać jej obecności.

Hadi wchłonął już aromat ich medytacyj wraz z zapachem kadzidła, oczy jego bowiem straciły zwykłą złośliwość i stały się głęboko wzierającemi, jakgdyby patrzały na minione stulecia lub oglądały przyszłość daleką. Nawet dziecię poczynało wyglądać starczo, jakgdyby znużone postami i czuwaniem.

Wraz z dymami, unoszącemi się z czerwonych węgli fajerki, urastał ostry zapach dziwnych wonności. Było w nich coś wyzywającego i pobudzającego, co było, jak dźwięk, i Domini dziwiła się, że czterej mężczyźni, siedzący nad fajerką i wciągający bez przerwy dymy, mogli pozostawać bez doraźnego ich wpływu, gdy ona, jakkolwiek zoddali, czuła podstępującą żądzę ruchu, czynu, prawie potrzeby fizycznej powstania i zrobienia czegoś nie-

zwykłego, nierozważnego lub porywczego, czegoś, czego dotychczas nie robiła i o czem nigdy nie śniła.

Głuche wycie, jak wycie dzikiego zwierzęcia, rozdarło ciszę. Narazie Domini nie mogła zdać sobie sprawy, skąd ono pochodzi. Spojrzała na czterech mężczyzn, lecz oni wciąż byli wpatrzeni błędnie w fajerkę, z rękoma, bezwładnie zwisłemi na podłodze. Spojrzała na Hadiego. Lecz on odrywał delikatnie bibułkę papierosową z małej książeczki. Dziecię — nie, śmiesznemby było nawet pomyśleć, że dziecię może wydać taki dźwięk.

I znowu coś zawyło, jeszcze bardziej dziko, i tym razem Domini spostrzegła, że dźwięk ten pochodził od najbledszego z ascetycznie wyglądających młodzieńców. Odrzucił on wtył swe długie włosy, powstał skokiem na nogi i, odbiegłszy na środek podwórca, patrzał okrutnie na swych towarzyszów.

Jakgdyby w odpowiedzi na to spojrzenie, dwaj z nich przeciągnęli wtył ręce, znaleźli tam dwa tam-tamy i poczęli uderzać w nie głośno i jednostajnie.

Młody asceta skłonił się ku tam-tamom, opuszczając swą dolną szczękę i podskakując gołemi nogami. Znowu pokłonił się, jakgdyby oddając cześć jakiemuś bożkowi, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Kłaniał się tak bezustannie tam-tamom, wciąż odbijając się zgrabnie od podłogi.

Długie jego włosy spadały mu na twarz i na ramiona z prawidłową jednostajnością, która była do taktu z uderzeniami tamtamów, jakgdyby pragnął życie swe stopić w jeden akord z bożyszczem, któremu składał pokłony. Płatki piany wystąpiły na jego wargi, a ascetyzm w jego oczach ustąpił miejsca blaskom zwierzęcym. Całe ciało jego rozwijało się w długie, wężowe kołysania, ponad któremi falowały jego długie włosy.

Po krótkiej chwili drugi młodzian, poruszający się uroczyście, jak ksiądz przy ołtarzu, przekradł się ku skrajowi podwórca i powrócił stamtąd z dużą skrzywioną taflą szkła.

Nie patrząc na Domini, zbliżył się do niej i złożył jej szkło w ręku.

Gdy tancerz zobaczył szkło, przystanął spokojnie, zawył znowu dziko i okrutnie, upadł na kolana przed Domini, oblizał wargi, a potem rzuciwszy się gwałtownie twarzą, chwycił zębami taflę szkła, odkąsił duży kawał, zgryzł go z głośnym chrzęstem, połknął jednym łykiem i zawył o więcej. Domini podsunęła mu

znowu taflę, podczas gdy tam-tamy werblowały, i dziecię na czerwonej poduszce patrzało bacznie znużonemi oczyma.

A gdy już nakarmiła go do syta i już tylko kawałek szkła pozostał w jej palcach, tancerz padł na ziemię i leżał, jakgdyby w zdrętwieniu.

Zatem drugi młodzieniec skłonił się tam-tamom, podskakując zgrabnie na posadzce, zawył, błysnął pianą w ustach, wciągnął dymy kadzidelne, wstrząsnął swą długą grzywę i stopę nagą złożył na czerwonych węglach fajerki. Wyjął węgiel czerwony i obwinął go dokoła językiem. Kładł węgle płonące pod pachy obnażone i trzymał je tam, przyciskając ramiona do boków. Wziął węgiel czerwony i włożył go w oczodół, jak monokl. I przez cały ten czas skakał, pienił się i kłaniał, jak wąż, wijąc się ciałem.

Dziecię wciąż patrzało na nich z powagą, i tam-tamy bez przerwy tętniły.

Z górnej galerji spoglądały nadół umalowane twarze, lecz Domini nie widziała ich. Cała jej uwaga pochłonięta została przez młodych kapłanów Sahary. Tak bowiem nazywała ich w myśli, stwierdzając, że byli to fanatycy religijni, których półobłąkańcza gorliwość wprawiała w zdrętwienie i czyniła ich ciało nieczułem na zwykłe obrażenia.

Teraz znów nowy tam-tamista stanął zkolei, oddając swój tam-tam zjadaczowi szkła, który się zbudził z omdlenia.

Skłonił się i podskoczył; przebił sobie ostrzem oczy, wbił ostrza w policzki, w wargi, w ramiona; wbił sobie gwóźdź długi w głowę i pobijał go drewnianym młotem; stawał na ostrym skraju obróconego ostrzem miecza.

Z ostrzami, sterczącemi z twarzy w różnych kierunkach, z oczyma, wysadzonemi z orbit, jak dwie kulki, oplątywał się w pasma swych włosów, szczekając, jak pies.

Dziecię patrzało wciąż na niego z uwagą, i dymy kadzidelne wzbijały się chmurą w podwórcu.

Wreszcie ostatni z czterech młodzieńców wyskoczył śród gwałtowniejszego werbla tam-tamów. Miał na sobie brudny burnus; z krzykiem przenikliwym zanurzył rękę w jego kaptur i wyrzucił stamtąd jakieś pełzające żyjątka na posadzkę. Żyjątka te poczęły pełzać, podnosząc do góry swe śpiczaste ogony. Młodzian pochylił się, tchnął na nie, chwycił je, pozwalając im uczepiać

się swemi ogonami jego palców, i uniósł je tak uczepione wysoko nad podłogą.

Potem złożył je na ziemi, znów tchnął na każde z nich, zakreślił dokoła każdego krąg palcem wskazującym. Twarz jego stała się naraz baczną, hipnotyczną. Skorpjony, jak zamagnetyzowane, pozostały bez ruchu, każdy śród swego zaczarowanego koła, które stało się jego klatką; a pan ich skłonił się znowu bożyszczu tam-tamów, podskoczył, zazgrzytał, i znów się pokłonił, kołysząc swe ciało śród stosu włosów.

Domini miała wrażenie, że jest sama, jak te skorpjony, zamagnetyzowana. Prawdopodobnie była także zamknięta w kole, pod tchem jakimś czelnym fanatyzmu, zarządzonym przez siłę straszną. Patrzała na skorpjony i miała rodzaj współczucia dla nich.

Klaniający się fanatyk patrzał na nie od czasu do czasu poprzez swe włosy kątami oczu; oblizał się, wstrząsnął ramionami, i zawył przeciągle; dźwięk zdradzał żądzę łakomą.

Tam-tamy zatętniły głośniej, dobitniej, i wszyscy czterej mężczyźni poczęli śpiewać jakąś pieśń dziką, pieśń prawdopodobnie duchów pustyni, obłąkanych przez zapał religijny.

Jeden ze skorpjonów poruszył się zwolna, uniósł ogon, począł postępować.

Naraz, jak na znak dany, tancerz padł na kolana, pochylił głowę, chwycił go zębami, zgryzł, zżuł i połknął.

W tejże chwili do werbla tam-tamów dołączyło się głośne kołatanie do drzwi.

Usta Hadiego drgnęły, kurcząc się nad śpiczastemi zębami; spojrzał z obawą.

— To Batucz! — wyksztusił.

Domini powstała. Bez słowa, odwróciwszy się od podwórca, szła, słysząc wciąż wycie pożeracza skorpjonów, bicie tam-tamów i kołatanie do drzwi. Hadi szedł za nią szybko, głosząc jakieś słowa protestu.

U drzwi stał ów gospodarz z białą twarzą dziobatą i z grubemi wargami. Gdy ujrzał Domini, wyciągnął rękę. Dała mu kilka monet, otworzył drzwi, i Domini wyszła na mrok, u potrójnego drzewa palmowego.

Batucz stał tu, patrząc ze wściekłością, z uzdami dwu koni na ramieniu.

Począł mówić po arabsku do Hadiego, lecz Domini powstrzymała go gestem rozkazującym, dała zapłatę Hadiemu, i po chwili była już na siodle, cwałując w ciemności.

Usłyszała galopującego konia Batucza, nadjeżdżającego do jej boku, i odwróciła głowę.

— Batucz — rzekła — jesteś tu najbardziej wytwornym — użyła umyślnie tego „pańskiego“ wyrazu — Arabem. Czy wiesz, jaki jest zwyczaj w Londynie, kiedy dama jedzie ze swym służącym, który jest jej strażą?... Jaki jest prawdziwie wytworny sposób zachowania się jego?

Grała na jego próżności. On odrzekł z gotowym uśmiechem:

— Nie wiem, proszę pani.

— Służący jedzie w pewnej odległości od swej pani, tak, żeby nikt nie mógł się zbliżyć do niej bez jego wiadomości.

Batucz pozostał wtyle, a Domini pocwałowała, winszując sobie, że łatwo pozbyła się przybocznej zawady.

Przejechała przez wioskę, pełną wałęsających się białych postaci, świateł i dźwięków muzyki, i wkrótce znalazła się na skraju wielkiej, ciągnącej się wdal drogi, która była dla niej wyroczną, jak żadna inna droga w życiu. Za każdym razem, ilekroć widziała ją przed sobą, wybiegającą wdal, aż póki nie ginęła w zwartych szeregach palm, wyobraźnię jej ogarniała tęsknota wędrowania przez kraje barbarzyńskie, tęsknota cygańska, która była prawie nie do pokonania. Droga ta była dla niej drogą losu. Ilekroć była na niej, odczuwała dziwne wrażenie, jakgdyby się zmieniała, rozwijała, bliższą była jakiegoś ideału. Miała ona wpływ na nią, jak ma wpływ człowiek na człowieka. Teraz była na niej po raz pierwszy nocą, jechała śród cieni stłoczonych jej palm. Ściągnęła uzdę i zwolniła kroku. Uczuła potrzebę stłumienia dźwięku.

Była to noc afrykańska, której tajemnica wyłoniła się nie z osłon oparów i długich kołysań wiatru, lecz wytchnięta została przez jasność, ciszę i blask. Była to tajemnica najgłębsza ze wszystkich tajemnic — tajemnica przestrzeni — rozłogu i pokoju.

Przejechała przez jedną z wiosek dawnej Beni-Mory, głuchą, nieoświetloną, z pustemi ulicami i zamkniętemi kawiarniami murzyńskiemi, podcięła konia szpicrutą i pocwałowała dalej, przyśpieszając kroku. Im bliżej była pustyni, tem bardziej wzrastało w niej pragnienie, by być już na jej rozłogach.

W tem miejscu było nieco dzikiej trawy. Palmy tu rosły nie tak gęsto. Usłyszała wyraźniejsze szczekanie psów kabylskich i poznała, że namioty ich muszą być niedaleko. W rzeczy samej, pomiędzy pniami drzew dojrzała migotanie odległych ognisk, a do uszu jej dobiegł szmer toczącej się wody, złączony z uporczywym brzękiem owadów, nikłemi szczebiotami ptaków i rechotaniem żab.

Na przedzie, gdzie droga wyłaniała się z cienia ostatnich drzew, leżała ciemność szeroka, niby jakieś drugie niebo bezgwiezdne, rozpostarte pod niebem gwiaździstem, na które jeszcze nie wszedł księżyc.

Puściła konia galopem i wyjechała prędko na pustynię, kierując się na ciemność.

— Proszę pani! Proszę pani!

Był to głos Batucza, wołający za nią.

Pogalopowała szybciej, jakgdyby w pościgu. Nogi jej konia muskały piasek pustyni prawie tak łagodnie, jak nogi wielbłąda. Szeroki rozłóg ciemny szedł pewnie na jej spotkanie, pragnąc ją porwać w noc swoją.

Lecz naraz Batucz nadjechał gwałtownie z jej boku, z rozwianym burnusem ztyłu nad siodłem czerwonem.

— Proszę pani, nie możemy jechać tam dalej — musimy się trzymać bliżej oazy.

— A to czemu?

— Nocą niebezpiecznie w pustyni, a oprócz tego...

Koń jego rzucił się i otarł o jej konia. Zatrzymała się. Tem bardziej wezbrała w niej chęć dążenia dalej.

— Oprócz tego?...

Pochylając się na łęku siodła, Batucz rzekł tajemniczo:

— A oprócz tego, proszę pani, ktoś prześladuje nas cały czas od Beni-Mory.

— Kto?

— Jeździec. Słyszałem tętent kopyt po twardej drodze. Raz zatrzymałem się i obróciłem, ale nie mogłem nic dojrzeć, i wtedy nic nie było słychać. On też się zatrzymał. Lecz kiedy puściłem konia znowu, znów usłyszałem go jadącego. Ktoś dowiedział się, że jedziemy — i pojechał za nami.

Domini, nic nie mówiąc, patrzała za siebie w ciemny fiolet

nocy. Nie było słychać tętentu konia, nic widać nie było, prócz ciemnego traktu i nikłej czarności cienia w miejscu, gdzie poczynały się palmy.

Sięgnęła ręką do pochwy przy siodle i wyjęła z niej spokojnie mały rewolwer.

— Tak, ale może ich tam jest więcej, niż jeden. Ja się wcale nie boję, ale jeżeli się co przytrafi pani, to, proszę pani, nikt mnie już nie weźmie za przewodnika.

Domini uśmiechnęła się na mgnienie, lecz uśmiech szybko zagasł i znowu patrzała w noc. Nie bała się fizycznie, lecz miała uczucie jakiegoś niepokoju duchowego. Tajemniczy jeździec, o którym mówił Hadi, utożsamił się w jej wyobraźni z jedną z legendowych ofiar losu: z Żydem wiecznym tułaczem, włóczącym się po drogach rozstajnych, z żeglarzem, rozbijającym się wiecznie o skaliste brzegi świata, z wiedźmą, jadącą na sabat czarownic, z widmem Araba w pustyni.

Trzymając wciąż rewolwer w ręku, zwróciła konia i pojechała zwolna w kierunku odległych ogni, skąd dochodziło szczekanie psów. O jakie sto kroków od nich zatrzymała konia.

— Tu poczekam — rzekła do Batucza. — W której stronie wschodzi księżyc?

On przeciągnął ramię w kierunku pustyni; wdzięcznie, prawie niepochwytnie zawisło ono w kierunku wschodu.

— Odjedź nieco wtył, ku oazie. Jeździec był za nami. Jeżeli wciąż jeszcze nas ściga, spotkasz go. Nie odjeżdżaj daleko. Rób, jak ci każę, Batucz.

Usłuchał jej z widocznem niezadowoleniem. Ujrzała, że zatrzymał konia w odległości, z której mógł był właśnie ją widzieć. Wtedy zwróciła się tak, że go już widać nie było, i patrzała w kierunku pustyni i wschodu.

Rewolwer zdał się jej nienaturalnie ciężkim w dłoni. Patrzała na niego przez chwilę i nasłuchiwała z natężeniem tętentu kopyt końskich, a rozbudzona wyobraźnia tworzyła dźwięki, których nie było w jej uszach. Razem z tem usłyszała galop, który był widmowym, jak galop czarnych rumaków, które niosły w odmęt Mefistofela i Fausta. Umilkł prawie odrazu i uznała go za wytwór wyobraźni. Nocy tej zaludniała pustynię widmami. Nawet ognie nomadów były, jak ognie, migocące na popasie czarownic; cienie, które przeciągały przed nią, były, jak duchy błędne, które

wyszły z piasku, by sprawować biesiadę w księżycu. Czy i one tu także czekały na sygnał z nieba?

Na myśl o księżycu ściągnęła uzdę, która leżała wolno na szyi konia, i podjechała parę kroków naprzód, oddalając się od ogni, wciąż trzymając rewolwer w ręku. Jakiż mógł być z niego użytek przeciw duchom i marom Sahary? Żyd wieczny tułacz szedłby na nie pewno bez strachu. A dlaczegożby nie jeździec Batucza? Włożyła rewolwer do pochwy siodła.

Daleko na wschodzie ciemność nieba zwolna topniała w misterjum świetliste, które szło od podświata, misterjum, które zrazu było nikłe i chwiejne, blade bladością srebra i pierwiosnków, lecz które zwolna pogłębiało się, biorąc ton żywy i płonący złota, na którem grupa trzech palm odcinała się od pustyni, jak gońce, przez nią wysłani, by pokłon nieść księżycowi. Były one czarne, jak dżet, w odbiciu od złota, wyraźne, choć bardzo dalekie. Noc i przestwór pustynny, z którego się unosiły, użyczał im jakiegoś wyrazu, który był nieziemskim. Długie ich, smagłe trzony i spuszczające się wachlarze liści były żywotne i patetyczne, jak nocne myśli kobiety, która cierpiała, lecz która się zwraca z gestem tęsknoty, który nie będzie odtrącony, ku promienności, zawartej w sercu świata. I palmy te czarne, odbite od złota, ta cisza ciemności i światło w niezmierzoności, oddaliły od Domini uczucie przelotne trwogi. Widma i mary pierzchły. Utkwiła wzrok w palmy.

Czerwień pogłębiała się i gorzała w złocie poza trzema palmami, i górny skraj krągłego miesiąca, też, jak krew czerwony, wypełzł nad pustynią.

Domini, wychylona, z ręką opartą na gorącej szyi konia, patrzała w zjawisko, póki cały krąg nie zawisł przez chwilę nad horyzontem, utrzymując palmy w swej ramie ognistej. Nigdy nie widziała księżyca równie olbrzymiego i równie żywotnego, jak ten księżyc, który wyszedł na noc tę, podobny do widma krwawego, dziki i razem pogodny, księżyc świata barbarzyńskiego, taki, jaki, być może, świecił nad Herodem, kiedy ów usłyszał głos Jana Chrzciciela ze studni, lub nad żoną Piłata, kiedy we śnie została zatrwożona.

Nasunął on jej wyobraźni widmo straży jakiejś przemocnej wydarzeń tragicznych, ciężarne w długi łańcuch następstw, które ciągnąć się mają przez wieki, gdy tak zwrócił swój wzrok krwa-

wo-czerwony na pustynię, na palmy, na nią; i, oparta na szyi konia, ona także — jak żona Piłata — zapadła przez chwilę w rodzaj snu dziwnego i męczącego, pełnego świateł mocnych i rażących, pełnego kształtów, migocących poprzez tło ogniste.

W śnie tym ujrzała księdza z fanatycznym wzrokiem przestrogi w oczach, hrabiego Anteoni'ego pod drzewami swego ogrodu, handlarza perfum w ciemnym sklepiku, Irenę z długą szyją wyciągniętą i z chudemi rękoma opuszczonemi, wróżbitę, wyciągającego ręce, Androwskiego, galopującego na koniu, jak w pościgu. Widzenie to ostatnie ciągle powracało.

W miarę jak księżyc się podnosił, potok światła, który zdał się tragicznym, padł na przestrzał pustyni i rozlał się tajemniczo w światło jej snu na jawie. Trzy palmy wyglądały teraz dorodniej. Roiła, że widzi je, jak urastają, jak stają się potwornemi, gdy tak stały w samym środku ścieży tej nocnej chwały, i naraz przypomniała się jej myśl własna, wysnuta, gdy siedziała z Androwskim w ogrodzie, że uczucia ludzkie urastają w sercu, jak palmy strzeliste w pustyni. Lecz palmy te były tragiczne i tchnęły ku krwawo-czerwonemu miesiącowi. Naraz pochwycił ją lęk uczucia wzrostu w niej wszelkiego wrażenia natężonego, i stwierdziła, z żywością niemal gorączkową, niemoc duszy, pochwyconej w szpony wielkiej namiętności, miotanej tu i tam, prowadzonej na dziwne drogi, nad przepaściami, być może, na głębiny i niezmierzone otchłanie.

Rzekła Androwskiemu, ze wolałaby raczej być ośrodkiem tragedji świata, niźli umierać, nie odczuwszy w pełni — chociażby to miały być ciernie. Nie byłoż to oznajmieniem kobiety szalonej, lub co najmniej kobiety, która tak była nieświadoma życia uczuć, że słowa jej były puste i śmieszne?

I znowu stwierdziła z rozpaczą, że nie znała siebie, i brak ten najbardziej zasadniczej ze wszystkich wiedz wprawił ją na chwilę w gorycz rozpaczy, która zdała się nawet gorszą, niźli gorycz śmierci.

Obszar pustyni przeraził ją. Księżyc czerwony zawierał w swym kręgu wszystką krew męczeństwa życia i ideałów.

Wstrząsnęła się w siodle. Cała jej istota zdała się kurczyć i drżeć, i wołanie o pomoc powstało w niej, krzyk kobiety, która nie może mierzyć się z życiem jedna, która musi znaleźć

obrońcę, która musi się wesprzeć na ramieniu mężczyzny, która potrzebuje mężczyzny, jak świat potrzebuje Boga.

I znowu zdało jej się, że widzi Androwskiego, cwałującego konno, jakgdyby w pościgu.

Powodowana chęcią uczynienia czegoś, coby zwalczyło tę rozpacz dziwną, z księżyca i z nocy zrodzoną, wyprostowała się w siodle i spojrzała na pustynię z zamiarem stanowczym otrząśnienia się przez wzieranie mocne w szczegóły, które ją otaczały, w rzeczy nowe, które co chwila występowały jaśniej na widok. Wlepiła wzrok w kierunku palm, odrzynających się ostro w księżycu. I gdy tak patrzała, coś czarnego poruszyło się od nich, jakgdyby było ich częścią, a potem oddzieliło z zamiarem zbliżenia się do niej poprzez szlak. Narazie była to tylko plama ruchoma, drobna i bezkształtna, lecz gdy nadciągnęła bliżej, Domini ujrzała, że był to jeździec, jadący wolno, jakby skradając się, przez pustynię.

Spojrzała za siebie i zobaczyła w niewielkiej odległości Batucza i ognie nomadów. Wtedy znów skierowała wzrok, obserwując jeźdźca. Posuwał się wciąż naprzód.

— *Madame!*

Był to głos Batucza.

— Stój na swojem miejscu! — zawołała ku niemu.

Usłyszała głuchy tętent kopyt końskich i mogła była dojrzeć postać jeźdźca. Był wychylony naprzód, jakgdyby badał noc.

Wyjechała naprzeciw i spotkali się oboje w smudze światła księżycowego, które naraz wydało się jej tragicznem.

— Pan ściga mnie?

— Nie mogłem znieść, że pani jedzie sama nocą w pustynię — odrzekł Androwski.

— Lecz pan nie masz prawa mnie ścigać!

— Nie mogłem zezwolić, by pani się co stało.

Zamilkła. Przed chwilą pragnęła obrońcy, wybawcy. I oto zjawił się, człowiek, którego mieściła razem z postaciami legendowemi, trwożącemi ducha i zasmucającemi wyobraźnię.

Patrzała na ciemną postać Androwskiego, pochyloną naprzód na koniu, którego nogi brodziły w strudze księżyca, i nie wiedziała, czy czuje trwogę przed nim, czy ufność do niego. Wszystko, co rzekł był ksiądz, ożyło naraz w jej myśli — wszystko, co dawał do zrozumienia hrabia Anteoni i co wypisane było na

twarzy wróżbity. Człowiek ten szedł za nią w noc, jako straż jej. Czyż nie trzeba było raczej kogo, ktoby strzegł jej od niego? Groza jakaś nieokreślona wciąż jeszcze nad nią wisiała.

On odczuł to widocznie, gdyż wyprostował się w siodle i rzekł ze stanowczością, która tak rzadką w nim była:

— Niech pani pozwoli mi odprawić Batucza do Beni-Mory.

— Poco? — spytała głosem cichym, który był pełen wahania.

— Jest on już obecnie niepotrzebny.

Patrzał na nią z wyrazem mocnym, wzywającym, który był odpowiedzią na jej wyraz nieokreślonej obawy i niedowierzania.

— Skądże pan wiesz o tem?

On nie odpowiedział na zapytanie, lecz rzekł jedynie:

— Lepiej tu bez niego. Czy mogę go odprawić, proszę pani?

Pochyliła głowę. Androwski odjechał i ujrzała, jak mówił do Batucza i jak ów wstrząsnął głową, jakgdyby opierając się.

— Batucz! — zawołała ze swego miejsca. — Wracaj do Beni-Mory. Pojedziemy zaraz za tobą.

Poeta nadjechał z koniem.

— To niebezpiecznie, proszę pani.

Dźwięk jego głosu powiadomił naraz Domini o tem, czego dotychczas nie była pewna, mianowicie — że pragnęła pozostać sama z Androwskim.

— Jedź, Batucz — rzekła. — Czyń, jak ci każą.

Batucz zatoczył koniem bez słowa i zniknął w ciemności pobliskich palm.

Gdy pozostali sami, Domini i Androwski milczeli przez parę minut ze swych koni. Twarze ich były zwrócone ku pustyni, która była teraz świetlistą w promieniach księżyca. To, że sami tu byli w obszarze pośród nocy, tak zawisło nad nimi, że czyniło mowę na razie niemożliwą, a nawet i myśl trudną. Wreszcie Androwski rzekł:

— Dlaczego, proszę pani, patrzy pani na mnie... jak oto teraz... jakgdyby pani... jakgdyby pani wahała się pozostać sama ze mną?

Naraz zdecydowała się powiedzieć mu o tem, co ją tej nocy tłoczyło. Czuła, że, jeżeli to uczyni, zwolni się od czegoś, co było, jak zmora nocna na sercu.

— Czyż panu nigdy nie przyszło na myśl, że jesteśmy obcy

dla siebie? — rzekła — że nic nie wiemy o sobie? Co pan wiesz o mnie, albo ja o panu?

Androwski poruszył się w siodle i przełożył uzdę z jednej ręki do drugiej, lecz nic nie odrzekł.

— Czyż może się panu wydawać dziwnem, jeżeli się waham, jeżeli nawet teraz...

— Tak! — przerwał gwałtownie. — To mi się wydaje dziwnem.

— Dlaczego?

— Pani ufa Arabowi i nie ufa mnie — rzekł z natężoną goryczą.

— Tego nie mówię.

— Jednak naprzód zapragnęła pani wziąć Batucza.

— Tak jest.

— A więc...

— Batucz jest moim służącym.

— A ja? Ja jestem tylko człowiekiem, któremu się nie ufa; o którym inni mówią pani, by źle pani myślała.

— Mam sąd swój własny.

— Lecz gdy inni źle mówią o mnie?

— To nie ma na mnie wpływu... na długo.

Ostatnie słowa dodała po pauzie. Chciała być ściśle prawdomówną, a w noc tę nie była pewną, czy słowa księdza nie wywarły na nią wrażenia.

— Na długo! — powtórzył za nią.

A potem rzekł raptownie:

— Ksiądz nienawidzi mnie.

— Nie.

— I hrabia Anteoni.

— Zainteresowałeś pan bardzo hrabiego Anteoni'ego.

— Zainteresowałem go!

Głos jego dźwięczał śród nocy podejrzliwością natężoną.

— Czyż nie chcesz pan, żeby się panem interesowano? Ten, kto ludzi zgoła nie zajmuje, jest, jakgdyby był skazany na wieczną samotność w bezsłonecznej pustyni.

— Chciałbym... wolałbym raczej, żeby...

Zatrzymał się, a potem rzekł z rodzajem postanowienia, które razem dźwięczało zawstydzeniem:

— Czy mógłbym kiedy, proszę pani, wzbudzić w pani zainteresowanie?

— Tak jest — odrzekła spokojnie.

— Jednak pani woli pozostawać pod opieką Araba, niż moją. Ksiądz widocznie...

— Tego wieczoru jestem jakaś rozbita — rzekła, przerywając mu. — Jest w tem może trochę sprawy fizycznej. Wstałam dziś bardzo wcześnie i... czyż pan nigdy nie czuł się zgnębionym, nieufnym, wątpiącym w życie, w świat, w ludzi, w siebie, we wszystko... bez racji widocznej? Czyż nigdy nie doświadczył pan tego, co znaczy mieć mary nocne na jawie?

— Ja! Ale pani jest istotą odrębną.

— Dzisiejszego wieczoru czułam... czuję, jakgdyby blisko mnie była tragedja i szła może na mnie — rzekła z prostotą — i przeto jestem zgnębiona, jestem niemal przerażona.

Kiedy to rzekła, uczuła się szczęśliwszą, jakgdyby ciężar na duszy stał się naraz lżejszy. Ponieważ on nic nie mówił, więc spojrzała na niego. Promienie księżyca padały mu na twarz. Wyglądała ona w ich świetle, jak twarz ducha, stara i ściągnięta, tak zmieniona, iż ledwie ją mogła rozpoznać, i czuła przez chwilę, jakgdyby była z kimś obcym.

Spojrzała jeszcze raz szybko, by się przekonać, czy to, co widziała, było tylko grą dziwną księżyca, czy też Androwski istotnie zmienił się tak na chwilę pod wpływem jakiegoś strasznego smutku, jednego z tych smutków raptownych, które, jak sęp, spadają na człowieka z głębin ukrytych jego istoty i duszę szarpią, aż póki całej nie umęczą — i naraz dziwnie uczuła, że dusza jej była jakgdyby ciałem i opływała krwią od ran śmiertelnych.

Milczenie ich wspólne było długie. W milczeniu tem usłyszała obecnie odbitą wrzawę głuchą, która dźwięczała, jak walka i trud, który stał się słyszalnym. Był to oddech Androwskiego. W łagodnem i czystem powietrzu pustyni dyszał on, jak człowiek, wtrącony do podziemia. I znów spojrzała na niego zdumiona. A wtedy on zwrócił swego konia wbok i odjechał kilka kroków. I tam zatrzymał konia. Był teraz jedynie czarnym kształtem w księżycu, nieruchomym i niesłyszalnym. Nie mogła oderwać oczu od tego kształtu. Czarność jego poddawała jej myśli czarność przepaści. Pamięć jej wciąż słyszała ten dźwięk gło-

śnego oddechu czy łkania, słyszała go i drżała, słysząc go, jak drży wrażliwa i czuła istota, widząc bezradny twór krzywdzony. Chwilę wahała się, a potem, kierowana pobudką nieprzezwyciężoną ulżenia tej ostateczności cierpienia, którego nie mogła zrozumieć, podjechała ku Androwskiemu. Kiedy stanęła przy nim, nie wiedziała, co miała rzec lub zrobić. Uczuła się naraz bezsilną i natrętną — i nawet ogromnie strwożoną. Lecz pierwej, nim miała czas przemówić słowo lub zrobić ruch, on zwrócił się do niej i rzekł, podnosząc ręce wraz z uzdą do góry, a potem opuszczając je ciężko na szyję konia:

— Chciałem pani powiedzieć, że jutro...

Zatrzymał się.

— Tak? — rzekła.

Odwrócił głowę od niej tak, by nie mogła widzieć jego twarzy.

— Jutro opuszczam Beni-Morę.

— Jutro! — rzekła.

Nie czuła konia pod sobą, nie czuła uzdy w ręku. Nie widziała pustyni, ani jasnego księżyca. Chociaż patrzała na Androwskiego, nie widziała i jego również. Na dźwięk jego głosu, zdało jej się, jakgdyby wszystkie rzeczy świata, które kiedykolwiek znała, zapadły się. jak okręt, którego kadłub jest rozdarty przez ostrą skałę sterczącą, i jakgdyby razem z nim i ona też zapadła się i wszystko z nią razem: myśli, czucia, nawet siły ciała, które były istotą jej życia; zmysł dotyku, zapachu, słuchu, wzroku, zdolność ruchu, zamierzeń i spoczynku. Zda się, nic nie zostało, prócz wiedzy, że ona jeszcze żyje i przemawia.

— Tak jest, jutro odjadę.

Twarz jego była wciąż odwrócona od niej i głos jego dźwięczał, jakgdyby mówił do kogoś z odległości, do kogoś, ktoby mógł słyszeć, jak człowiek nie mógł słyszeć.

— Jutro! — powtórzyła.

Wiedziała, że mówi znowu, lecz zdawało jej się, że tylko słyszy siebie mówiącą. Spojrzała na swoje ręce, trzymające uzdę — wiedziała, że patrzy na nie i razem czuła, jakgdyby nie widziała ich, podczas gdy to czyniła. Zalana księżycem pustynia rozpościerała się dookoła i hen do horyzontu falami, które spowodowały owo zniknięcie okrętu, pogrążenie się raptowne ze

swemi niezliczonemi żywotami. I o ruchu fal tych wiedziała, jak dusza zatopionego, już wyzwolona z ciała, wiedzieć może o ruchu powierzchni morza, pod którem ciało jego ukryte.

Lecz dusza widocznie była niczem bez ciała, lub najwyżej jedynie trwaniem tej siły, która wie, że to, co było, przepadło. Wszystko, co było, przepadło.

Wreszcie myśl jej zaczęła znowu pracować, i słowa te przedarły się przez nią z wysiłkiem. Pomyślała o tym uroku Afryki, tym ogromnym, wszechwładnym uroku, który wziął w posiadanie jej duszę i ciało. Co się z tem stało? Co się stało z baśnią palmowych ogrodów, wiosek brunatnych, gór czerwonych, białego grodu, z jego światłami, z jego białemi postaciami, drgającą muzyką? I pociąg mistyczny pustyni — gdzież się podział? Głosy jej, które tak uporczywie wołały, zmilkły naraz wszystkie. Dłoń jej, która ją prowadziła, usunęła się. Patrzała na nią w świetle miesiąca — nie była to już pustynia, piasek z duszą wewnątrz, błękitne rozłogi, pełne muzyki nawołującej, przestrzenie, zaludnione duchami ze słońca. Nie. Była to tylko pustka jałowa z zeschłą ziemią martwą, bezpłodna, czcza, opuszczona, straszna szkieletami rzeczy, które w niej umarły.

Usłyszała psy szczekające u namiotów nomadów i brzęczenie owadów, ale wciąż jeszcze nie czuła konia pod sobą. Wreszcie stopniowo odzyskała władzę, i to odzyskanie sprawiło jej ból ostry, fizyczny, jakiego doświadcza ten, kto się był utopił i teraz z nieświadomości jest odbudzony.

Androwski obrócił się ku niej. Ujrzała jego oczy utkwione w nią, i naraz zbudziła się w niej duma, a z dumą i cała jej istota.

Uczuła konia pod sobą, uzdę w ręku, strzemię pod stopą. Poruszyła się w siodle. Krew zatętniła w jej żyłach dziko i gorzko i jakby naraz ścierpła. Uczuła, że twarz jej stała się jakby szkarłatem, że jakby całe jej ciało oblało się rumieńcem, i że rumieniec ten mógł być przez jej towarzysza widziany. Przez chwilę od stóp do głowy okryła się płaszczem wstydu. Spojrzała atoli na Androwskiego oczyma spokojnemi, i usta jej uśmiechnęły się.

— Pustynia pana męczy? — rzekła.

— Nigdzie nie pozostaję długo — odrzekł, spuszczając oczy.

— Niewiele tu do czynienia. Czy powrócimy już teraz do miasta?

Zawróciła konia i raz jeszcze rzuciła wzrokiem na trzy drzewa palmowe, które stały daleko na drodze księżyca. Wyglądały, jak trzy złowieszcze przeznaczenia, wznoszące ręce w przekleństwie. Na chwilę zatrzęsła się w siodle. Potem uderzyła konia szpicrutą i obejrzała się. Androwski towarzyszył jej, jadąc u jej boku w milczeniu.

By dotrzeć do oazy, trzeba było przejechać koło namiotów nomadów, gdzie ognie już dogasały. Psy nocne szczekały zawzięcie i szarpały się na sznurach, na których były uwiązane do kołów namiotów przy żywopłotach, które strzegły drzwi z zasłon wojłokowych. Wszyscy Arabowie byli już w namiotach, niechybnie snem już zmożeni. Jeden namiot był rozbity samotnie, w pewnej odległości od reszty i pod pierwszemi palmami oazy. Ogień dogorywał jeszcze koło niego, rzucając migotliwy blask światła na coś ciemnego, co leżało na ziemi pomiędzy nim i namiotem. Pies duży przywiązany był do namiotu; nie szczekał on, lecz wył, jak w strachu śmiertelnym.

Zanim jeszcze Domini i Androwski zbliżyli się do tego namiotu, wycie psa dosięgło ich i przejęło. Było w tem wyciu coś, co zdawało się być po ludzku wyrażonem, jakgdyby ktoś próbował wykrztuszać słowa, lecz nie mógł tego dokonać ze strachu.

Oboje instynktownie zatrzymali konie, nasłuchując, a potem jechali dalej.

Kiedy dojechali do namiotu, ujrzeli coś ciemnego, leżącego u ognia.

— Co to takiego? — wyszeptała Domini.

— Sądzę, że to Arab śpiący — odrzekł Androwski, patrząc na kształt nieruchomy.

— Ale ten pies...

Spojrzała na biały kłąb, miotający się rozpacznie u namiotu.

— Czy pan jest pewny?

— Tak przypuszczam. Proszę zobaczyć — okryty łachmanami, a głowa odkryta.

— Nie wiem.

Patrzała na kształt. Wycie psa wzmagało się, i każdy nerw w nim pragnął oznajmić coś przerażającego.

— Czy nie zsiądzie pan z konia i nie pójdzie zobaczyć, co to takiego? Potrzymam konia.

Zsunął się z siodła. Wzięła uzdę jego konia i patrzała, jak poszedł i zbliżył się do przedmiotu, który leżał u ognia, jak pochylił się nad nim, dotknął, przewrócił go, a potem — jakby z wysiłkiem zamierzonym — ukląknął przy nim na ziemi i odkrył gałgany, które go okrywały. Po chwili patrzenia na to, co one okrywały, opuścił je, a raczej cofnął je od siebie ruchem gwałtownym — powstał z ziemi, podszedł do Domini i spojrzał na nią bez słowa.

Ona pochyliła głowę.

— Powiem panu — rzekła. — Powiem panu, co to jest. To trup kobiety.

I zdało jej się, że ciemna postać, leżąca u ognia, to była ona sama.

— Tak jest — rzekł. — To kobieta, która została zaduszona.

— Biedna! — rzekła Domini. — Biedna, biedna kobieta.

I zdało jej się, że mówiąc to, mówi o sobie samej.

KSIĘGA CZWARTA.

*

XV.

Leżąc w łóżku w ciemności, nocy tej Domini słyszała godziny, wydzwaniane na zegarze kościelnym. Była odrętwiona, chociaż całkiem w ocknieniu. Czuła się, jak kobieta, której zapisano morfinę, i nie miała całkiem chęci, ni woli poruszenia się z miejsca. Leżała, licząc minuty, które utwarzały mijające godziny, liczyła je spokojnie, z nieubłaganą i prawie zimną samowiedzą. Proces ten stał się mechanicznym, tak, że mogła jednocześnie odtwarzać w myśli wypadki, które nastąpiły po owem znalezieniu zamordowanej kobiety u namiotu: jak Androwski odchylił zasłonę namiotu i nie znalazł w nim nikogo, jak odjechał do bliskiego obozowiska, jak zbudził śpiących Arabów, pastuchów w łatanych sukmanach, baby nieosłonięte, z twarzami pomarszczonemi, z olbrzymiemi warkoczami z przyprawianych włosów, obwieszone amuletami. Z namiotów dziwne te postaci wypłynęły na światło księżyca i na dogorywające ognie, gestykulując, rozprawiając głośno, z dzikością, w obcem narzeczu, którego nie rozumiała. Prowadzeni przez Androwskiego, przybyli ku zwłokom, podczas gdy wszystkie psy nocne szczekały zawzięcie, a pies, który był świadkiem morderstwa, wył i zawodził szczególnie. I tedy śród nocy wzbił się rozdzierający lament kobiet, lament, który zdał się przenikać gwiazdy i wstrząsać najdalsze zakątki pustyni, i w zimnem białem księżyca rozlśnieniu oczom jej przedstawił się dziki obraz rozpaczy: nagie ramiona, wyciągające się ku niebu, wzywające pomsty ręce, jak szpony, rzucające ziemię na głowy, śród których zwisały bezwładne ręce Fatmy, łańcuchy ze zbrukanego srebra i kawały korala, które przypominały krew ściętą

— ciała miotające się, wijące, jak w konwulsjach lub w stras
opętaniu.

Wspomniała, jak dziwną wydała jej się ta cisza rozl
ten spokój bezgraniczny, który zamykał to drobne koło wyb
ludzkiego, jak niezmiennie spoglądał księżyc olbrzymi, jak
współczująco jasno świeciły gwiazdy, jak gorączkowem i d
niącem było migotanie ognisk, które wzniecały się i gasły,
rzeczy, jeszcze żyjące, lecz już będące w konaniu.

Potem jazda powrotna do Beni-Mory z Androwskim tą dr
ciągnącą się, która zawsze wzbudzała w niej ducha do przyg
szalonych. Jechali wolno, nie patrząc na siebie, nie zamieniaj
słowa. Była oschła, zmęczona, jak stara kobieta, która przeszł
przez długie życie cierpienia i wyszła tam, gdzie już żadne
czucie ostre nie istnieje, jak na pewnej wysokości od ziemi nie
istnieje życie.

Uderzenia kopyt końskich na drodze dźwięczały twardo, tak, jak jej serce czuło, zimno — jak myśli jej tchnienie. Ciało jej, które zazwyczaj poddawało się najlżejszym ruchom konia, obecnie było sztywne na siodle.

Przypomniała sobie, jak śród tej drogi, gdy koń jej potknął się, zawrzała krótkim gniewem, który był prawie dziki, i podniosła szpicrutę, by ciąć. Lecz ręka ześliznęła się bez mocy, i znów zapadła w stan zimnego rojenia.

Gdy przybyli do hotelu, ciężko zeszła z konia i krokiem ciężkim weszła na schody werendy. Androwski szedł za nią. Nie obróciła ku niemu głowy, nie powiedziała mu dobranoc i poszła do siebie. Nie zrobiła tego rozmyślnie przez szorstkość lub stan zobojętnienia: była niezdolna do wszelkiego zamiaru. Poprostu zapomniała, po raz pierwszy, być może, w życiu, tego aktu zwykłej grzeczności, jak często zapominają osoby stare, kiedy się w myśli pogrążą.

Androwski nic nie rzekł, nie starał się zwrócić uwagi na siebie. Słyszała, jak kroki jego zamarły na werendzie. Wtedy, jak automat, rozebrała się i poszła do łóżka, w którem obecnie, jak automat, liczyła chwile mijające.

Teraz uprzytomniła sobie tę własną swoją cichość i porównała ją z cichością zmarłej kobiety u namiotu. Leżała oto, strzegąc swego własnego ciała, jak katolik czuwa przy zwłokach, które jeszcze nie zostały złożone do grobu. Atoli w tym pokoju

rci nie było ani kwiatów, ani świec płonących, ani ust, cących modlitwy. Poszła spać bez modlitwy. Przypomniała obie teraz, lecz z obojętnością. Umarli nie modlą się. Modlą za nich żyjący.

znów godzina wybiła na wieży kościelnej. Przestała liczyć ile, i czyn ten zawieszenia uczynił jeszcze bardziej doskonałym kój umarłej kobiety.

dy słońce wzeszło, minęło naraz wrażenie śmierci, pozostając jednak po sobie letarg ciała i myśli, jakiego dotąd nie ała. Zuzanna, wszedłszy do jej pokoju, zawołała:

— Panienka chora?

— Nie. Skąd znowu miałabym być chora?

— Panienka wygląda tak dziwnie — rzekła służąca, badając ją swemi ciekawemi oczyma — jakgdyby...

Zawahała się.

— Daj mi herbatę — rzekła Domini.

Podczas picia spytała:

— Czy nie wiesz, o której odchodzi pociąg z Beni-Mory — pasażerski?

— Owszem, proszę panienki. Jeden jest tylko na dobę. Odchodzi po dwunastej w południe. Mówił mi to pan Helmuth.

— A!...

— Jaką suknię panienka?...

— Żadnej sukni — białą płócienną, którą miałam wczoraj na sobie.

— Dobrze, proszę panienki.

— Nie, nie tę. Jakąkolwiek inną. Czy zanosi się na upał?

— Tak jest, proszę panienki. Ani jednej chmurki na niebie.

— To dziwne! — rzekła Domini głosem cichym, którego nie mogła słyszeć Zuzanna.

Gdy już się ubrała, rzekła:

— Idę do ogrodu hrabiego Anteoni'ego. Wezmę chyba... tak, wezmę książkę z sobą.

Przeszła do saloniku i rzuciła okiem na ułożone tam książki, kilka nabożnych, podróżnych, sportowych, poematy Rosetti'ego i Newmana, kilka powieści francuskich, powieści Jana Austen'a, które bardzo lubiła, jako przemawiające do jej charakteru. Po raz pierwszy w życiu wydały się jej one, jak spaczone, błahe kroniczki spaczonego, sztucznego życia bez krwi. Wróciła do

swego pokoju, wzięła małą, białą książeczkę *O naśladowaniu*, która zawsze leżała u jej łóżka, i wyszła na werendę. Nie rzuciła okiem ani na prawo, ani na lewo, lecz zeszła ze schodów i poszła wzdłuż arkady.

Gdy stanęła przed furtką ogrodową, zawahała się, zanim zastukała. Widok willi, łuków, białych ścian i rzędów drzew, które znała tak dobrze, spadł na nią tak trwożąco i tak niespodzianie, że uczuła się steraną i chorą — i jakgdyby musiała iść zaraz zpowrotem do jakiegoś miejsca, którego nigdy nie widziała, a które miało obudzić wspomnienia w jej duszy.

Być może, poszłaby do oazy lub drogą, która obrzeżała łożysko rzeczne, gdyby Smain nie otworzył łagodnie furtki i nie wyszedł na jej spotkanie, z wielką różą aksamitną w kształtnej, smagłej dłoni.

Podał ją bez słowa, tęsknie się uśmiechając i patrząc oczyma, w których słońce zdało się być skupione i zamienione na czarność błyszczącą.

Gdy ją wzięła i poruszyła w palcach, patrząc na płatki koloru wina, na których lśniły krople rosy ze światłami srebrnemi i delikatnemi, przypomniała sobie pierwszą wizytę w tym ogrodzie i urok tajemniczy, jaki wionął ku niej przez furtkę od złotych przeźroczy, od głębokich cieni drzew, uczucie romantycznego oczekiwania, jakie ją ogarnęło, gdy stąpała po piasku i ujrzała przed sobą kręte ścieżki, ginące w mroku śród strumieni, obrzeżonych ponsowemi kwiatami geranjum.

Jak dawno to już zdało się być! — Jak wspomnienie wczesnego dzieciństwa w sercu czyjemś, kto jest już stary.

Gdy już furtka została otwarta, postanowiła wejść do ogrodu. Szła, trzymając różę w ręku. Jedna z kropelek rosy stoczyła się odzewnątrz płatka i upadła na piasek. Pomyślała o niej, jak o łzie. Róża płakała, lecz oczy jej były suche. Dotknęła różę wargami.

Ogród był dla niej dzisiaj, jak ktoś obcy, lecz taki, z którym niegdyś — dawno, bardzo dawno — była zażyłą, komu ufała i kto ją był zdradził. Patrzała na niego i wiedziała, że kiedyś uważała go za piękny i kochała go. Od jego ustroni szły do niej zastępy snów. Liście drzew dotykały ją czułemi rękoma. Wody jego strumieni szemrały jej wieści ukryte, spoczywające w łonie radości. Złote groty słońca, które igrały poprzez

wonne aleje, igrały także w chłodnikach i cieniach jej serca, tworząc tam ciepło i światło, które zdało się z nieba przybywać. Wiedziała o tem, jak ktoś wie o pozornem uczuciu ludzkiem, które pozdrawiało uczucie przyjaciela, który już nie był przyjacielem, i wzdrygnęła się na tę myśl pamiętnej zażyłości, która została oszukana.

Szła wolno, aż przyszła przed palarnię. Weszła i siadła.

Nie ujrzała żadnego z ogrodników, nie usłyszała tonów fletu. Dzień ten był bardzo głuchy. Spojrzała na wąski otwór drzwi i wspomniała dokładnie postawę, w jakiej stał hrabia Anteoni podczas ich pierwszej rozmowy, trzymając chwiejącą się gałąź bugenwilei w ręku. Ujrzała go, jak cień, który zabrała pustynia.

Spojrzawszy na ziemię, na kobierzec piaskowy, wyobraziła sobie postać wróżbity, przykucniętą i wygłaszającą swe wróżby. I oto teraz poznała, że wierzyła im. Wierzyła, że będzie kiedyś w pustyni śród burzy i że obok niej, w palankinie osłoniętym, będzie jeszcze ktoś inny. Wróżbita nie powiedział, kto będzie jej towarzyszem. Ciemność była dokoła niego, która przesłaniała oczy proroka. Jej atoli serce orzekło. Widziała drugą postać w palankinie. Był to mężczyzna. Androwski.

Wierzyła, że uda się w pustynię z Androwskim, z wędrowcem, o którego całem życiu, o duszy, nic zgoła nie wiedziała. Tak jej mówił jakiś fatalizm przyrodzony, który był w niej. A teraz?...

Ciemność cienia pod drzewami w tym najbardziej ustronnym zakątku ogrodu padł na nią, jak cień tej burzy, która miała zmieść całą pustynię, i trwożnem to stało się dla niej, uczuła bowiem, że musi być sama w tę burzę. Dotychczas była w życiu samotna i doznała, że samotność ta była przykrą, że rozwijać się śród niej było trudno, że hamowała ona ruchy wędrowca, który pragnie iść wzwyż, na szczyty życia. Dotychczas atoli nie odczuła nigdy tragedji samotności i strasznej jej grozy. I oto, siedząc teraz w palarni i patrząc na gładko usypany piasek, przyszła do przekonania, że aż do tej chwili nie miała całkiem pojęcia o znaczeniu samotności.

Kochała Androwskiego. Wszystko w niej kochało go; wszystko, czem była niegdyś, wszystko, czem była teraz, wszystko, czem mogła być w przyszłości, kochało go; wszystko, co było cielesnego w niej, co było duchowego, mózg, serce, dusza, ciało

i płomię żywotne — wszystko, co zachwyt budzi i co jest kobiecem, kochało go. Cała była miłością dla Androwskiego. Zdało się jej, że niczem jeszcze dotychczas nie była, że niczem nigdy nie była. Lata ubiegłe były niczem, cierpienia, których doznała, kiedy jej matka uciekła, któremi umęczyła się, kiedy ojciec jej umarł złorzecząc, były niczem. Nie było w niej miejsca dla niczego, prócz dla tej jednej miłości. Nawet miłość dla Boga zdała się być odsuniętą, wygnaną. Potem przypomniała to sobie. Teraz nie myślała o tem. W całym wszechświecie obecnie była dla niej jedna tylko postać — Androwski. Była pomna w sobie tylko tej miłości. Była niepomna Siły Twórczej, której zawdzięczała, że on był tutaj, by był przez nią kochany. Była namiętnością, a on był tem, ku czemu namiętność ta gorzała.

Świat był potokiem i morzem.

Gdy tak siedziała tutaj z rękoma, splecionemi na kolanach, z oczyma spuszczonemi, otoczona purpurowemi kwiatami dokoła, uczuła się prostszą i czystszą, jakgdyby mnóstwo drobiazgów odpadło od niej, pozostawiając miejsce dla rzeczy większej, która odtąd miała na zawsze w niej zamieszkać i panować nad jej życiem. Wstyd palący, którego doznała nocy wczorajszej, gdy Androwski rzekł jej o swym wyjeździe i gdy została olśniona, jak błyskawicą piorunową, zamarł w niej teraz zupełnie. Wspomniała o tem ze zdziwieniem. Jakże mogła była się wstydzić swej miłości? Uważała, że niepodobieństwem było wstydzić się nawet w tym razie, gdyby Androwski wiedział to wszystko, co ona wie.

Naraz poruszyła się. Podniosła oczy z piasku i spojrzała na ogród. Oprócz tej prawdy, która była w niej, było jeszcze coś innego na świecie, co było także prawdą. Androwski miał odjechać. Gdy tu siedziała, mijały chwile. Chwile te stwarzają godziny, które zawisły nad zagładą. Siedziała teraz w ogrodzie, i Androwski był niedaleko. Upłynie czasu miara niewielka. Będzie znów tu siedziała, a Androwski będzie daleko — odejdzie z pustyni, odejdzie z jej życia — niewątpliwie na zawsze. I ogród się nie zmieni. Każde drzewo będzie stało na swem miejscu, każdy kwiat będzie dalej woń swoją wylewał. Powiew łagodny będzie muskał koronkę drzew, potoki będą toczyły się pomiędzy wałami piaszczystemi. Niezbłagane słońce będzie świeciło, i pustynia w swych błękitnych rozłogach będzie pełna szmeru rzeczy niewidzialnych, które w niej wiecznie pracują.

Obejrzała się dokoła, jakby wzywając przyrodę bezduszną, by zasłoniła ją przed jej losem. Nie pomyślała dotąd na chwilę, by siebie osłonić, ratować. Wyszła z hotelu, nie starając się widzieć Androwskiego. Nie miała zamiaru wrócić, aż póki on nie odjedzie. Myśl zatrzymania go nie przyszła jej nigdy do głowy. Jest napięcie uczucia, które powoduje czyn, lecz jest większe napięcie uczucia, które czyni czyn niemożliwym, uczucie, które, zda się, zamienia człowieka w żużel lawy, gdzie płoną wszystkie ognie stworzenia. Domini wiedziała, że nie poruszy się stąd, dopóki pociąg, pełznący wzdłuż brzegów rzeki, nie odejdzie z Beni-Mory.

Wyjęła *Naśladowanie* z kieszonki ubrania i wzięła je do ręki. Widok tych stronic znajomych obudził w niej na razie pytanie: „Czy kocham jeszcze Boga?“ I tuż za tem przyszła odpowiedź: „Czym Go kiedy kochała?“ Świadomość jej miłości dla Androwskiego, dla jego ciała, które widziała, dla jego duszy, którą widziała poprzez ciało, jak płomię widzi się przez szkło, dała jej obecnie to przeświadczenie, iż, jeżeli kiedykolwiek sądziła — a było tak niezawodnie — że kochała istotę, której nigdy nie widziała, której nawet nie wykreślała sobie w wyobraźni, to wtedy łudziła się całkowicie. Fakt wiary nie był niemożliwy, lecz fakt miłości dla istoty, na której ześrodkowywała się wiara, wydał się jej niemożliwym. Albowiem jej ciało, które pozostawało biernem, było pełne wybuchu, pełne orgji życia. Zostało ono zbudzone i wiedziało o tem. I nie mogła już czuć, żeby była zdolna kochać, czego jej ciało nie może dotknąć, co jej ciała dotknąć nie może. I oto rzekła do siebie, bez zgrozy, a nawet bez żalu: „Nie kochałam, nigdy nie kochałam Boga.“

Spojrzała na kartę książki: „Wielką rzeczą jest miłość i wielkiem ze wszech miar dobrem, które jedynie lekkiem czyni wszystko, co jest trudne.“ „Niewysłowiona jest słodycz wzierania w Ciebie, którą obdarzasz tych, którzy Cię kochają.“

Słodycz wzierania w Ciebie! Stanęła jej przed oczyma twarz Androwskiego, patrząca z serca słońca, gdy po raz pierwszy spotkali się w krainie błękitu. W tej chwili kładła go świadomie na miejsce Boga, i nic jej nie mówiło: „popełniasz grzech śmiertelny.“

Raz jeszcze zajrzała do książki i oczy jej upadły na słowa, które czytała w pierwszy swój ranek w Beni-Morze:

— Chciała pani być samą? — rzekł. — Chciała pani być samą?

Moc jego odrazu zagasła w głosie jego i w twarzy, i dawna niezaradność znowu się zbudziła. Straszny wyraz bólu odbił się w jego oczach.

— Czy to dlatego... wyglądała pani tak szczęśliwie? — rzekł głosem drżącym i szorstkim.

— Kiedy?

— Stałem przez dłuższy czas, patrząc na panią, gdy była pani tam... — wskazał na palarnię — i twarz pani była szczęśliwa... twarz pani była szczęśliwa.

— Tak jest, wiem o tem.

— Pani jest szczęśliwa, będąc samą?... samą w pustyni?

Spojrzała na niego i nic nie powiedziała.

— Pani nie będzie szczęśliwa, będąc samą.

Głos jego nie drżał już. Ujął jej lewą rękę nerwowo, niezręcznie, lecz trzymał ją mocno w swej dłoni u swego boku i tak mówił dalej:

— Nikt nie jest szczęśliw sam. Nikt... kobieta i mężczyzna... dzieci... zwierzęta. Ptaki nawet... też muszą mieć towarzystwo. Wszystko poszukuje towarzysza.

— Tak.

— Lecz tedy... pani zostanie tu sama w pustyni?

— Cóż mogę zrobić? — rzekła.

— A podróż ta — mówił dalej, wciąż trzymając jej rękę u swego boku — pani wyprawa w pustynię.. uda się pani w nią sama?

— Cóż mogę zrobić? — powtórzyła cichym głosem.

Miała wrażenie, że on pcha ją gdzieś stanowczo w największe ciemności.

— Pani nie pojedzie sama.

— Owszem, pojadę.

— Ja... ja nigdy nie poznam pustyni — mówił dalej. — Sądziłem... zdawało mi się, że ja także pojadę w nią kiedyś. Pragnąłem tego bardzo. To pani sprawiła, że pragnąłem tego.

— Ja?

— Tak jest. Razu pewnego rzekła pani, że tam musi być spokój. Było to na wieży... po raz pierwszy, kiedy pani mówiła do mnie.

— Pamiętam.

— Dziwno mi... często mi dziwno, poco to pani mówiła. Wiedziała, że patrzy na nią z natężeniem, lecz trzymała oczy utkwione w piasek. Było coś w tych oczach, czego, jak mniemała, nie powinien widzieć, — światło, które weszło do nich, gdy uprzytomniła sobie, że już wtedy na wieży, zanim znała go jeszcze, kochała go. Była to owa miłość, zrodzona już w sercu, lecz jeszcze nieświadoma swego istnienia, która tak dziwnie podniosła wówczas czar wieczoru afrykańskiego, gdy patrzała na pustynię z nim razem.

Nie mogła tego pojąć, by Androwski nie kochał jej, by jej nie pokochał od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył w słońcu. Dla niego też pustynia odsłoniła jej twarz, i razem z nią duszę, wyzierającą przez nią. W płomieniach słońca, gdy razem jechali w pustyni, zmieszały się razem płomienie ich dusz. Wiedziała o tem pewnie i zawsze. Jakże tedy jest to możliwem, by Androwski nie jechał z nią razem w pustynię?

— Poco mi to pani mówiła? — rzekł.

— Jeździliśmy razem w pustyni — odrzekła mu poprostu. — Zeszliśmy się razem.

— A teraz... teraz... musimy powiedzieć sobie...

Głos jego urwał się. Zoddali dopłynął rozmodlony głos dzwonka kościelnego. Domini nigdy dotychczas nie słyszała tego dzwonka w ogrodzie i teraz uczuła, jakgdyby go nie uszami słyszała, lecz duszą. Gdy go słuchała, uczuła, że ręka Androwskiego, która była gorąca, staje się zimną. Puścił ją, i znowu o uszy jej obił się ów straszny dźwięk, który słyszała poprzedniego wieczora w pustyni, gdy odwrócił się wraz z koniem i odjechał od niej. I teraz, jak wtedy, odchodził od niej w milczeniu, lecz teraz wiedziała, że chwila ta, że ruch ten był ostatniem ich pożegnaniem. Z głową opuszczoną postąpił kilka kroków. Był blisko zakrętu na ścieżce. Patrzała na niego, wiedząc, że chwila jeszcze — i będzie widziała jedynie drzewa i piasek. Patrzała na jego postać pochyloną, przywołując wszystkie swe władze, krzykiem duszy do się wołając, okrutnym, rozpacznym: „Pamiętaj to... pamiętaj to, jak jest... tu... i przedtem... pamiętaj... tak właśnie, jak jest... na zawsze.“ Gdy zbliżył się do zakrętu, woddali ogrodu rozległo się lekkie ćwierkanie fletu Larbiego. Androwski zatrzymał się, stał chwilę, zwrócony do niej plecami.

A Larbi, ukryty i daleki, wypieszczał drobne nutki miłości afrykańskiej, miłości w pustyni, gdzie słońce wiecznie trwa, gdzie żądza mężczyzny gorąca, jak słońce, gdzie święci się wolność ognista.

Wtedy Androwski zawrócił i szedł prędko, aż póki nie doszedł do tego miejsca, gdzie stała Domini. Zarzucił jej ręce na ramiona. A potem opadł na piasek, osuwając swe ręce poprzez jej piersi i wzdłuż całego jej ciała, aż póki nie zawarły się klamrą dokoła jej kolan. Przycisnął twarz do jej sukni u kolan.

— Kocham panią! — rzekł. — Kocham panią... lecz niech pani nie słucha... pani nie powinna słuchać... nie powinna. Ale muszę powiedzieć. Nie mogę... nie mogę nie powiedzieć, zanim odejdę. Kocham panią... kocham panią!

Słyszała, jak łkał u jej kolan, i dźwięk ten był, jak dźwięk mocy, który stał się słyszalnym. Ujęła w dłonie skroń jego.

— Słucham — rzekła. — Muszę słuchać.

On spojrzał ku niej, powstał na nogi, zarzucił ręce na jej ramiona, przygarnął ją i złożył swe usta na jej ustach, przyciskając całe ciało do siebie.

— Słuchaj! — rzekł głosem stłumionym u jej ust. — Słuchaj... kocham... kocham cię!

Widzieli dwa ptaki, jak sfrunęły z pod drzew, zatoczyły koło, uniosły się nad drzewami w niebie błękitnem — i jeden przy drugim — poszybowały z ogrodu w pustynię.

KSIĘGA PIĄTA.

*

PODRÓŻ.

XVI.

Wieczorem w wigilję ślubu Domini z Androwskim był dziwny zachód słońca, który zwrócił uwagę i obudził komentarze nawet pośród Arabów. Dzień był piękny i spokojny, jeden z najśliczniejszych dni wiosny północno-afrykańskiej, i Batucz, odpoczywając po trudach zwycięskich dozorowania nad ostatecznemi przygotowaniami do dalekiej podróży w pustynię, zwiastował rajski ranek do drogi przez szlak prosty, który prowadził hen aż do Tombuktu. Gdy atoli promienne popołudnie dobiegało do końca, na niebo błękitne wystąpiła białość, jakgdyby to niebo stało się bladem, patrząc na jakąś zjawę straszną i żałosną. A pod tą białością nieba pustynia, wszystkie przedmioty i ludzie w oazie Beni-Mory przybrali wyraz osłupienia, jakgdyby czuli, że są pod grozą jakiejś władzy, której wszechmocy nie mogli kwestjonować i której zarządzeń obawiali się. Białość ta w godzinę zachodu zaciągnęła się pasmami żółtego koloru i chmurkami drobnemi koloru żółto-zielonego, wraz z cieniem gorzkim i okrutnym zieleni, która raziła oczy, jak światło bezlitosne raziło ją; barwy te atoli szybko zniknęły, i znowu przez krótki przeciąg zapanowała białość, aż póki nie spadła ciężko ciemność, gwiazdami przesiana. Wraz z tą ciemnością przyszedł głuchy żałosny poszum wiatru z pustyni, poszum zawodzący, który zadrgał nad wielkiemi przestrzeniami, przesnuł się między palmami i płaskiemi dachami i zamarł u stóp gór brunatnych poza Hammam Salahinem. Cisza, która za tem nastąpiła, krótka i natężona, była, jak dźwięk trwogi, jak krzyk protestu przeciw zbliżaniu się nieznanego, lecz strasznego fatum. A potem znowu przyszedł wiatr z zawodzeniem głośniejszem, z żywiołem po-

wolniejszym, jeszcze nie najsilniejszy, lecz bardziej uporczywy, przeciągły, jakby ważący swe siły i sprawy, których ma dokonać.

Batucz spoglądał poważnie, słuchając wiatru i trzeszczenia gałęzi palmowych. Wionęło mu w twarz piaskiem. Nastawił kaptur burnusa nad turbanem, nasunął go na policzki, zakrył usta fałdą swego haika i patrzał w ciemność, jak zwierz, który wietrzy coś, czego zbliżanie się zoddali odkrył jego instynkt.

Obok niego na werendzie kawiarni maurytańskiej stał Ali, smagłe chłopię arabskie, bronzowy i poważny, jak bożek, który był trubadurem Sahary, artystą na gitarze, śpiewakiem pieśni „Janat" i wielu innych śpiewów miłosnych. Lampka oliwna, przytwierdzona do pnia palmy, drgała żałośnie, a czerwone zarzewie tliło się w piecyku kawowym, rzucając mdłe blaski na stolik arabski z filiżankami od kawy, lśniące złotym deseniem. W kącie, z twarzą czarną i rękoma leniwie opuszczonemi, siedział przy ścianie stary Murzyn, patrząc w przestrzeń wyłupiastemi oczyma i uderzając zakrzywioną pałeczką palmową w bęben owalny, którego szmer był pusty i głęboki, jak szmer wiatru.

— Mam pełne oczy piasku — rzekł Batucz. — Niedobrze to wróży na jutro. Gdy Allah zsyła piasek, należy zakryć twarz i grać w kamienie wewnątrz kawiarni, nie zaś podróżować szlakiem na południe.

Ali nic nie rzekł, lecz naciągnął swój haik na nos i usta i spojrzał w noc, ukrywając swe smagłe ręce w burnusie.

— Cokolwiek bądź ześle Allah — ciągnął Batucz pieściwie po chwili — *Madame* pojedzie. *Madame* jest odważna, jak lew. Nic nie ma w sobie z szakala. Irena nie jest od niej odważniejsza.

Wiatr znowu złączył swój poszum ze szmerami bębna, zamykając dwóch Arabów w swem kole huczącem.

— Nie będą na to zważali — rzekł Batucz — pojadą w burzę bez strachu.

Piasek werznął się ostrzej pod ich powieki. Weszli do wnętrza kawiarni. Szum wiatru urastał, aż wreszcie zlał się całkiem z szmerem głośnym bębna. Jednooki gospodarz kawiarni przyniósł im obecnie dwie filiżanki kawy i postawił u nóg. Skręcili papierosy i palili w milczeniu, sącząc kawę powoli. Wtedy Ali począł spoglądać ku Murzynowi. Wpół

przymknąwszy oczy, przybrawszy tęskny i prawie chorobliwy wyraz, złożył usta w uśmiechu, wdzięcznie kołysząc głową z boku na bok. Batucz patrzał na niego. Śpiewak otworzył usta i począł śpiewać:

Miłość kobiety jest, jak daktyl, od słońca złoty,
Od słońca złoty,
I jak haszysze, i jak nargile, są jej pieszczoty,
Są jej pieszczoty.
Kochanku! w usta bierz cybuszek na słodkie wety,
Sącz haszysz i nargil sącz: to miłość jest kobiety!
Dżanat! Dżanat! Dżanat!

W przejściu, gdzie lampka błyskała u pnia, stanął mężczyzna w ubraniu europejskiem i słuchał. Oczy jego świeciły w mdłym blasku dzikością podniety, w której była radość prawie szalona, lecz w której było razem coś, co trwożyło. Gdy śpiew ustał i tylko głos wiatru i bębna drgał w ciemności, zniknął on śród nocy. Arabowie nie widzieli go.

Noc nadciągnęła i burza się poczęła. Drzwi domów szczelnie pozamykano. Na dachach psy nocne tuliły się do kątów, drżąc i wyjąc żałośnie. Wielbłądy jęczały w stajniach, pierzaste czuby palm kołysały się, jak fale na morzu. Zdało się, że Sahara wznosi głos nawołujący, który był głosem strasznym, jak wołanie na sąd ostateczny.

Domini wiedziała zawsze, że pustynia ją woła. I teraz w nocy słuchała jej wołania bez lęku. Ryk burzy słodki był dla jej uszu, jak pieśń miłosna piasków. Sprzymierzał się on z ogniem, który rozświetlał chmurę namiętności w jej sercu. Krew jej cygańska została zbudzona tej nocy, i junactwo chłopięce zdało się w niej szaleć wraz z burzą. Szum wiatru był, jak tętno grzmiącej muzyki wolności, wzywającej ją na przygody, które miłość chwałą okryje, na życie dalekie, które miłość doskonałem uczyni, na ścieże niedeptane słońca, o których śniła w cieniach i po których będzie wreszcie stąpała z towarzyszem swej duszy.

Jutro pocznie się jej życie, jej życie prawdziwe, o którem mężczyzna i kobieta śnią, jak więzień śni o wolności. I rada była, i dziękowała Bogu, że przeszłe jej lata były bez radości, że młodość jej była odarta z wesela. Dziękowała Bogu, że doszła do lat dojrzałości, nie zaznawszy miłości. Kochała każdą łzę,

którą kiedykolwiek uroniła, każdą chwilę rozpaczy, każdą myśl okrutną, każde rozczarowanie bolesne. Przywoływała do siebie zastępy dawnych trosk i smutków i błogosławiła je — i żegnała się z niemi na zawsze.

Gdy usłyszała pierwszy ryk wiatru, uśmiechnęła się. Sahara wypełniała słowa wróżbity. Jutro ona i Androwski pójdą razem w burzę i w ciemność. Sznur wielbłądów utonie w pustce obszaru. Ludzie z Beni-Mory będą patrzali na ich odjazd, będą być może żałowali tych, którzy będą ukryci pod zasłoną palankinu. Będą ich żałowali, jak Zuzanna żałuje już ich teraz — oczyma rozwartemi, które są aż tragiczne. Zaśmiała się głośno.

Było już późno w noc. Wydzwoniła dwunasta, a ona jeszcze nie spała. Nie chciała spać, nie chciała utracić świadomości szczęścia, chwały, która jej życie nawiedziła.

Androwski — czy spał w tej godzinie? Pomyślała i pragnęła wiedzieć.

Tej nocy stała się w pełni świadoma całkowitej nietrwożności swego charakteru: stał się on pełnym i doskonałym przez doskonałość jej miłości. I wszystko w jej życiu zdawało się być zgodnem doskonale, albowiem jej serce było zgodne doskonale z sercem mężczyzny.

Pozdrawiała burzę. Pozdrawiała nawet to, co spłynęło teraz do niej w burzy: pamięć umęczonej twarzy wróżbity, gdy czytał jej losy z piasku. Jest krzepkość ciała tak wielka i tak rzeźka, że rwie się do walki. Dusza czasami ma podobną krzepkość i pełna jest żądzy podobnej.

— Wystaw mą miłość na próbę, o, Boże! — było ostatnią modlitwą Domini tej nocy, gdy burza najsilniej szalała. — Wystaw mą miłość na próbę największą, by mógł się dowiedzieć, czego inną drogą nigdyby się nie dowiedział.

I wreszcie zasnęła, spokojna, szczęśliwa, śród zamętu nocy, czując, że Bóg wysłuchał jej prośby.

Nadeszła jutrzenka, przedzierając się, jak pielgrzym wyczerpany, poprzez wietrzną ciemność, blada i nikła, zda się, bez mocy wzmożenia się i pochodu na cały dzień. Miasteczko i całą oazę przenikał teraz wskroś wściekły tuman, który już nie ciężko i flegmatycznie zawisał nad życiem i przyrodą, lecz który, jak obłąkaniec, rwał się na zwiady przed nawałą idącą, spowity w chmurę, by być wolniejszym do zbrodni. Był on wy-

słańcem pustyni, siłą nieprzepartą niesiony od najdalszych zakątków zasp piaszczystych, podczas gdy sama pustynia poza nim wyła, jakby czyny jego śledząc. Jak morze w czas wielkiej burzy uderza o ląd stały, tak pustynia waliła obecnie burzą w oazę, że śmiała w jej łonie wyrość. Każda palma była ofiarą jej złości, każdy strumień płynący, każda siedziba ludzka.

Wszędy przybywała z pomstą i żądzą zabijania, lecz wrogość jej największa skupila się tym razem na katolickim kościółku.

Tutaj, nie bacząc na burzę, zebrała się garść narodu, którą przynęcał nietyle obrząd, który miał się tu odbyć, ile wyjazd po tym obrzędzie całej niezwykłej karawany — dzieło chluby i zarządzeń rozgłośnych Batucza. Był tu więc Hadi i Smain, piastujący w swym burnusie róże z ogrodu hrabiego Anteoni'ego. Przybył Larbi ze swym flecikiem, i kupiec perfum ze swego ciemnego sklepu nie chybił także pory. Było tu również wielu ogrodników hrabiego. A wraz z tymi, których Domini znała, zebrali się ich przyjaciele i przyjaciele ich przyjaciół, ludzie z Beni-Mory, ludzie z pobliskiej oazy, a nawet i ci wędrowcy pustyni, którzy codziennie ciągną poprzez piaski — do środowisk kupna i sprzedaży.

Z Francuzów mało się ważyło wyjść na taki czas, i sam kościół był prawie pusty, gdy godzina zaślubin wybiła.

Ksiądz przybył ze swego małego domku, pochylając się w walce przeciw prądowi wiatru, z oczyma, osłonionemi od piasku niebieskiemi okularami.

Twarz jego, zazwyczaj poważna, dziś była smutna i surowa, jak twarz człowieka, który ma spełnić czyn wbrew swemu powołaniu, a nawet wbrew swemu sumieniu.

Wszedłszy do zakrystji, zamknął drzwi na klucz, pragnąc przez chwilę pozostać sam z sobą. Siadł w fotelu i, oparłszy ręce na stole drewnianym, który stał pośrodku pokoju, pochylił się i patrzał przed się na ścianę przeciwległą, słuchając miotań wichury.

Miał spełnić czyn, przeciw któremu burzyła się cała przyroda; miał złączyć nierozerwalnie życia tych dwojga cudzoziemców, którzy tu do Beni-Mory przybyli — Domini Enfilden i Androwskiego. Miał związać ich białą stułą, rzec im uroczyste i nieprzełomne „Ego iungo", pokropić ich obrączki wodą święconą i pobłogosławić je.

I teraz, gdy tu siedział, wsłuchując się w wycie burzy od zewnątrz, przebiegał w myśli dzieje tego obrzędu. Za kilka minut staną przed nim przy ołtarzu, on będzie patrzał w twarz tego człowieka i tej kobiety, których miłość powołany był uświęcić. Uświęci ją i pójdą w daleką pustynię, jako mąż i żona. I zginą dla oczu śród burzy.

Gdy spojrzał na krucyfiks, który wisiał na ścianie nawprost niego, silniejszy pęd wichru uderzył o kościół, i zdało mu się, że Chrystus na krzyżu zadrżał.

Zobaczył Go, jak zadrżał. Uniósł się, przechylił się przez stół i patrzał na krucyfiks oczyma, w których zdumienie łączyło się z przestrachem. Wtedy wstał, przeszedł przez pokój i dotknął krzyża palcami.

Gdy to czynił, chłopiec kościelny, którego obowiązkiem było pomagać mu w ubieraniu się, zastukał do drzwi zakrystji. Ostry dźwięk przywołał go do przytomności. Poznał, iż po raz pierwszy w życiu stał się narzędziem złudzenia wzrokowego. Wiedział o tem i pomimo to nie mógł się pozbyć uczucia, że Bóg sam odwraca się od tego aktu, który on miał za chwilę uświęcić — tu, w tym kościele, który mężnie stał twierdzą przeciw islamizmowi, że Bóg sam zadrżał, jak oto nawet On, Stwórca, musi drżeć czasami na niektóre czyny Swojego stworzenia.

Była to chwila dla księdza gorzka, a nawet okrutna.

Mały kościelny, chłopię francuskie, syn poczmistrza z Beni-Mory, został uderzony wyrazem oczu księdza, gdy ów otworzył mu drzwi zakrystji. Ruch chłopca przywrócił księdzu całkowitą świadomość konieczności chwili, to też mocnym wysiłkiem opanował rozterkę i skrył jej wyraz zewnętrzny.

Uśmiechnął się uprzejmie do chłopca i zapytał:

— Pora już?

Chłopię spojrzało już raźniej.

— Tak jest, proszę dobrodzieja.

Zbliżył się do komody, gdzie były szaty kościelne. Przechodząc koło krucyfiksu, spojrzał na niego. Otworzył szufladę, a potem stał chwilę — i znowu spojrzał na Chrystusa.

Ksiądz obserwował go.

— Czego tam patrzysz, Pawełku? — zapytał.

— Nic, nic — odrzekł chłopiec z wyrazem raptownym przerażenia, które niemal że go osłupiło.

I począł wykładać na wierzch szaty, niezbędne do obrzędu. Właśnie w tej chwili wiatr wściekłej zahuczał i zatrząsł ścianami kościoła. Krucyfiks spadł na podłogę zakrystji.

Ksiądz rzucił się naprzód, podniósł krucyfiks i stał, trzymając go w ręku. Spojrzał na ścianę i dostrzegł odrazu, że gwóźdź, na którym był zawieszony krucyfiks, wypadł, zostawiając otwór. Odpadł w tem miejscu kawał tynku, być może, już kilka dni temu, i otwór się osłabił, przez co gwóźdź wypadł. Wytłumaczenie było proste i bardzo zrozumiałe. A jednak ksiądz miał uczucie, że to, co nastąpiło, było katastrofą.

Gdy patrzał na krucyfiks, usłyszał wpobliżu lament chłopięcy. To kościelny zawodził.

— A co tam takiego, Pawełku? — zapytał.

— O, mój Boże! Co to się dzieje! Co to się dzieje! — wołało chłopię, zbite z tropu.

— No, cóż! Oczywiście wiatr. Drży wszystko. Uspokój się — niema powodu do przestrachu.

Położył krzyż na stole. Pawełek osuszał łzy kułakami.

— Nie podoba mi się dzień dzisiejszy, nie podoba!

Ksiądz poklepał go po ramieniu.

— Pogoda cię rozstraja — rzekł z uśmiechem.

Atoli stan nerwowy dziecka jeszcze bardziej pogłębił jego uczucie przerażenia. Ubrawszy się, oczekiwał przybycia pary narzeczonych. Nie miało być ani mszy obrzędowej, ani muzyki, prócz „Marsza Weselnego", który miał wykonać na harmonjum marsylczyk, pracujący w składzie daktyli i pragnący uczcić *mademoiselle* Enfilden za jej zasługi, położone dla kościoła i muzyki kościelnej. Androwski, jak to ksiądz stwierdził, był zapisany do Kościoła katolickiego, na zapytanie atoli księdza oświadczył szybko, że nie jest praktykującym katolikiem i nigdy nie chodzi do spowiedzi. W takich warunkach nie mogło być mowy o mszy obrzędowej. Ceremonjał miał być krótki i prosty, i ksiądz był rad z tego. Obecnie zjawił się artysta na harmonjum.

— Będę dziś grał jak najgłośniej, proszę dobrodzieja — rzekł — tylko nie będzie mnie miał kto słuchać.

Zaśmiał się, poprawił szpilkę — metalowy wizerunek Joanny d'Arc — w błękitnym szaliku i dodał:

— *Nom d'un chien!* Wiatr dzisiaj jest srogim drużbą weselnym!

Ksiądz skinął głową w milczeniu.

— Czy da wiarę ksiądz dobrodziej — ciągnął dalej mąż sztuki — że *mademoiselle* i jej małżonek wprost z kościoła ruszają do Arby na sam czas burzy. Batucz przygotował im palankin na wielbłądzie. Ciekawa rzecz, jak oni tam...

— Husz! — rzekł ksiądz, wznosząc palec ostrzegająco.

W kilka chwil potem stał już za kratkami presbiterjum i patrzał w twarz Domini. Wyglądała ona dzisiaj, jak wspaniała amazonka, która mogła być zarówno wspaniałą mniszką, gdyby wstąpiła do zakonu. Gdy stała tak obok Androwskiego, ubrana w skromną suknię podróżną, ów odcień lekki w jej osobie junaka spartańskiego, który jej nadawał tak odrębną cechę, zmieszał się teraz, a nawet przeobraził się w kobiecość tak natężoną, że była ona prawie bez hamulca — kobiecość, która miała ogień, wigor płomienny chwały, która stała się naraz w pełni świadoma swych sił i czynów, jakie nietylko mogła pojąć, ale i jakich mogła dokonać. Była ona cała miłością triumfującą, kobietą bez lęku, bowiem czuła całym instynktem, że spełnia swe wielkie posłannictwo.

Androwski stał obok, lecz ksiądz nie patrzał na niego.

Wiatr szalał dokoła kościoła, szarpał wąskiemi oknami i rzucał na nie tumany piasku, co robiło wrażenie, jakgdyby czyjeś palce uderzały zajadle po szkle. Spłowiałe firanki drżały i wstążki czerwone, ozdabiające lichtarze, miotały się bez przerwy, jakgdyby pragnęły ulecieć stąd i złączyć się z mnóstwem rzeczy odmienionych, które wirowały w przestrzeni pod srogim tchem burzy.

Zuzanna, która była jednym ze świadków, drżała i poruszała nerwowo wargami.

Drugim świadkiem był mer Beni-Mory, doktór w średnim wieku, ubrany urzędowo w wieczorowe szaty podług francuskiego zwyczaju i wyglądający tak sennie, jak niedźwiedź pod koniec swej długiej śpiączki zimowej; trzecim — syn pani Armande, właścicielki hotelu, żywy młodzieniec, ze śpiczastą głową i myszkującemi czarnemi oczyma.

Ksiądz głosem urzędowym, który wskutek wzburzenia wewnętrznego był dziwnie bez wyrazu, zapytał Androwskiego i Domini, czy pragną pojąć siebie za małżonków, i usłyszał ich odpowiedzi. Głos Androwskiego dźwięczał twardo i zimno, jak lód, lecz głos Domini był czysty, jasny i ciepły, jak słońce, które znów świecić będzie w pustyni, kiedy burza przeminie.

Gdy zaręczyny te odbyły się pośród najzacieklejszego ryku wichury, ksiądz, panując nad straszną odrazą wewnętrzną, która go zdjęła pomimo chęci i dążności, by być tylko biernym sprawującym, wyrzekł te słowa wyroczne:

— „*Ego coniungo vos in matrimonium in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.*"

Wyrzekł te słowa, nie patrząc na parę, która stała przed nim — Androwskiego z prawej i Domini z lewej strony — lecz, gdy wzniósł rękę, by pokropić ich wodą święconą, nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na nich — i ujrzał Domini promieniejącą, lecz Androwskiego, jak bryłę z kamienia. Ruchem, który wydał się księdzu wstrętnym w swej przymusowości, położył Androwski złoto i srebro na książce z obrączkami.

Ksiądz począł znowu, wolno, śród poszumu burzy, pobłogosławiwszy obrączki:

— „*Adiutorium nostrum in nomine Domini.*"

Po odpowiedzi „*Domine, exaudi orationem meam*", po „*Et clamor*", „*Dominus vobiscum*" i „*Et cum spiritu tuo*", „*Oremus*" i idących po niem modlitwach, pokropił obrączki wodą święconą na krzyż i dał je Androwskiemu, by je wręczył Domini wraz ze złotem i srebrem. Androwski wziął obrączkę, powtórzył słowa obrzędowe „Obrączką tą" i t. d., a potem, wciąż z tym samym, jak się księdzu zdawało, ohydnym przymusem, wkładał ją ze słowami „W imię Ojca" na wielki palec obnażonej ręki swej narzeczonej, ze słowami „I Syna" na drugi palec, i ze słowami „I Ducha" na trzeci, a potem na czwarty palec. W chwili atoli, gdy należy powiedzieć „Amen", nastąpiła długa i ciążąca pauza.

— „*Amen*" — Androwski rzekł wreszcie.

Ksiądz spojrzał i począł odmawiać „*Confirma hoc, Deus*". I od tego miejsca aż do „*Per Christum Dominum nostrum,*

Amen", które, jako że nie było mszy, zamykały obrządek, czuł się więcej panem siebie i odzyskał niejaki spokój.

Zabrzmiał „Marsz weselny", gdy ksiądz składał życzenia młodej parze. Był w stanie uczynić to ze spokojem. Uścisnął nawet rękę Androwskiemu.

— Bądź dobrym dla niej — rzekł — ona... ona jest dobra i zacna.

Ku wielkiemu zdziwieniu księdza, Androwski uścisnął mu naraz rękę gorąco, porywczo — i wtedy ksiądz dostrzegł łzy w jego oczach.

Długo w wieczór dnia tego modlił się ksiądz za wszystkich wędrowców w pustyni.

Gdy Domini i Androwski wyszli z kościoła, ujrzeli leżącego przed drzwiami wielbłąda, wyciągającego łeb i dziko rżącego. Na grzbiecie jego był palankin z ciemno-czerwonej materji, z daszkiem, naciągniętym na silne zgięte pręty, z firankami, które mogły być dowoli ściągane lub rozsuwane. Dokoła byli ludzie, jak jakieś widma gwałtowne śród wichru, pół tylko widzialne od piasków zawieruchy.

Wsparta na ramieniu Androwskiego, Domini, walcząc z wiatrem, przedzierała się ku wielbłądowi.

Po chwili siedziała już w palankinie razem z Androwskim u boku.

Batucz zbliżył się, żeby zasunąć firanki, lecz Domini wychyliła rękę i zatrzymała go. Pragnęła widzieć po raz ostatni kościół, ogród, obecnie przez burzę smagany, który pokochała.

Batucz spojrzał zdziwiony, lecz zastosował się do jej gestu i rzekł poganiaczom, by kazali powstawać wielbłądom. Poganiacz wziął kij i począł krzyczeć: „A-ah! A-ah!" Wielbłąd zwrócił łeb ku niemu, szczerząc zęby i rżąc z rodzajem pasji żałosnej.

— „A-ah!" nawoływał poganiacz. — „A-ah! A-ah!"

Wielbłąd począł powstawać.

Gdy to się działo, z gromady ludzi, mieszkańców pustyni, ruszył naraz człowiek jakiś wprost na palankin, wlokąc swój burnus i gestykulując obnażonemi rękoma, jakgdyby miał zamiar spełnić jakiś czyn ohydny. Był to wróżbita.

Gdy wielbłąd powstawał, wróżbita wykrzykiwał jakieś gwałtowne słowa po arabsku. Domini słyszała głos, nie mogła atoli rozróżnić słów.

Wiatr zakotłował się, ziarna piasku zatańczyły wirami dokoła jego ciała; wielbłąd począł się zwolna kierować ku mieścinie.

— „A-ah!“ — krzyczał poganiacz. — „A-ah!“

Głos jego śród burzy brzmiał, jak lament rozpaczny.

XVII.

Gdy głos wróżbity rozpłynął się na wietrze i mętny wir piaszczysty przesłonił już twarz jego szpetną i oczy przenikliwe, Androwski przeciągnął rękę i zasunął ciężkie firanki palankinu. Świat zniknął z oczu. Byli sami po raz pierwszy, jako mąż i żona, kołysząc się miarowo na grzbiecie tego zwierzęcia, którego nie mogli widzieć, którego atoli chód łagodny i jednostajny z każdą chwilą oddalał ich od ostatnich znamion cywilizacji ku życiu wolnemu piasków.

Zamknęła oczy. Nie pragnęła teraz widzieć swego męża, ani dotykać jego ręki. Nie chciała mówić. Chciała tylko czuć ciągle, w głębi swego ducha, ten ruch stały i jednostajny, unoszący ją ku celowi jej pragnień ziemskich, iszczący prawdę cudowną, że oto po latach samotności, pustki i niemiłowania, bardziej okrutnego, niż nędza i niedola, szczęście, większe, pełniejsze, niż to, które można pojąć w chwilach największych udręczeń, rozbłysło w jej sercu. I jak lat ubiegłych trwożyła się czasami, że czuje zanadto pustkę i osamotnienie życia, tak teraz była niemal strwożona, iż czuje zbyt mało jego pełnię i blaski, bała się, by po dniach, gdy spojrzy wstecz ku tej chwili czarownej swego losu ziemskiego, nie uprzytomniła sobie, że pojęła całą jego wagę wtedy tylko, gdy chwila ta już minęła — by nie stwierdziła, że była szczęśliwą do granic możności szczęścia ludzkiego tylko wtedy, gdy szczęście to już na przeszłość się liczyło.

Ręka silna i ciepła zawarła jej rękę. Otworzyła oczy. W gęstym mroku palankinu ujrzała ciemną, dużą postać Androwskiego, siedzącego z podgiętemi nogami, w postawie, którą wytwarza osobliwość siedzenia, i podającego się lekko ruchom wielbłąda. Światło było tak ściemione, że nie mogła widzieć jego oczu, ani jasno odróżnić jego rysów, czuła atoli, że on patrzy na jej postać cienistą i że myśl jego pracuje namiętnie. Czy, jak ona,

dziękował Bogu w milczeniu za szczęście i teraz zapragnął ciała do złączeń z duchową słodyczą?

Pozostawiła swą rękę biernie w jego ręce. Androwski ścisnął ją mocno, potem zwolnił, potem znów ścisnął, powtarzając tę czynność z prawidłowością, którą zda się powodowała jakaś piecza. Domini zdawało się, że on ściska jej rękę, stosując się do uderzeń swego serca. Nie chciała mu zwracać ze swej strony uścisnień. Czując tak jego rękę, zamykającą jej rękę, to znów się otwierającą, była świadoma, iż, grając w stosunku dotychczasowym rolę dominującą, obecnie pragnęła być poddaną i, zapomniawszy o sile, i mocy, i władzy swej natury, powierzyć się w zupełności sile większej i mocy tego mężczyzny, któremu się oddała. Mniemała, że, gdyby go ujrzała poniżej siebie, zabiłoby to ją — i otworzyła usta, żeby mu to powiedzieć. Lecz coś w ciemnocie wietrznej wstrzymało jej słowa. Ciężkie zasłony palankinu miotały się bez przerwy; od zewnątrz dochodziło jęczenie jednego z wielbłądów, mieszające się z poszumem wiatru, i nikłe dźwięki głosów nawołujących Arabów, którzy je prowadzili. Nie był to czas do rozmowy.

Myślała, gdzie są obecnie, w jakiej stronie oazy, czy już wjechali na początek wielkiej drogi, która ją zawsze urokiem więziła i która obecnie była drogą celu wszystkich jej pragnień ziemskich. Nic atoli nie oznajmiało jej o tem. Jechała światem zmroków, z pyłu wszczętym i z ryku wichury, i w tej ciemności i w tej zawierusze, sprzymierzonej z powolnem i pieściwem kołysaniem, straciła rachubę czasu. Nie miała zgoła pojęcia, ile już czasu upłynęło od chwili, jak wraz z Androwskim opuściła drzwi kościelne. Zrazu zdawało jej się, że to tylko parę minut i że wielbłądy mijają dopiero pomnik kardynała. Potem zdało jej się, że może już godzina albo i więcej; że ogród hrabiego Anteoni'ego był już daleko poza nimi i że, być może, jadą obecnie wzdłuż wąskiej drogi w Starej Beni-Morze, niedaleko skraju oazy. Czuła, że pustynia winna jej oznajmić, kiedy już weźmie ją w swe posiadanie. Jakżeby to mogło być, żeby ją wzięła na swe łono i żeby ona o tem nie wiedziała. Pragnęła atoli, by i Androwski wiedział o tem. Czuła bowiem, że chwila, w której pustynia ich zabierze, jako męża i żonę, jest wielką chwilą w ich życiu, większą nawet, niż ta, kiedy się spotkali w błękicie nieba. I poczęła nasłuchiwać z natężoną uwagą i oczekiwaniem tak

zwartem i tak natężonem, że aż przeszyło ono jej ciało i mięśnie jej odrętwiło.

Ręka Androwskiego wciąż spoczywała na jej ręce, lecz teraz już nie ściskał jej, tętnom swego serca powolny. Trzymał ją zwartą i ciepłą, i słał swą siłę ku niej, i Domini, na chwilę myśl swoją od pustyni odwracając, utonęła w tajemnicy i cudzie ludzkiego połączenia. Stwierdziła, że to złożenie ręki Androwskiego na jej ręce odmieniło ją samą dla niej samej, odmieniło jej cały wszechświat wraz z jej uczuciami i poglądami. Dotknięcie to objęło całą jej istotę, weszło do najgłębszych zakątków jej serca i myśli. Było w tem coś prawie aż osłupiającego.

Karawana posuwała się zwolna. Poganiacze pośpiewywali sobie pod fałdami haików owe tajemnicze piosenki Wschodu, które zdają się być pieśniami żaru i samotności. Batucz, dusząc się w swym burnusie, dużą swą głowę wnurzywszy w ramiona, drzemał, jak potentat po trudach zabiegów państwowych. Aż do przybycia do Arby obowiązki jego były spełnione. Ali, siedząc, jak na grzędzie, za nim na wielbłądzie, patrzał w ciemność oczyma usilnemi i dalekiemi, jak oczy sępa pustynnego. Domy Beni-Mory zniknęły w pyle pustyni, również posąg kardynała, dzierżącego podwójny krzyż, wieża hotelowa i drzewa kołyszące się ogrodu Anteoni'ego. Pustynia była tuż.

Ali począł śpiewać, wydychając swój śpiew wtył kaptura Batuczowego:

Miłość kobiety jest, jak chłopięcy śpiew w dzień świąteczny,
W toni słonecznej,
Miłość kobiety jest, jako księżyc mały, szczęśliwy,
Gdy noc śle dziwy,
Miłość kobiety jest, jako cisza i zmroku czaty,
Pomarańczowe pieszczące kwiaty.
Pod wonnem drzewem spocznij, kochanku, i słuchaj wieści:
To pocałunki, to miłość kobiet — ta woń, co pieści —

Dżanat! Dżanat! Dżanat!

Batucz poruszył się niedbale, uniósł kaptur na czoło i spojrzał z powagą na burzę. Poczem przesunął się na grzbiecie wielbłąda i rzekł do Alego:

— Nie wiem, jak my dostaniemy się do Arby! Wichura, jak

całe wojsko Tuaregów, idące do boju. A gdy już zjeżdżamy z oazy...

— Wiatr już ustaje, Batuczu-ben-Ibrahimie — rzekł Ali spokojnie. — Tego wieczoru nasi rumisi będą odpoczywali sobie w namiotach.

Wąskie wargi Batucza wykrzywiły się sarkastycznie. Plunął na wiatr, wytarł nos w burnus i odrzekł:

— Jesteś dzieciak, możesz sobie śpiewać piękne piosenki, ale...

Ali wskazał ręką delikatną ku południowi.

— Czy nie widzisz światła na niebie?

Batucz spojrzał przed się i dostrzegł, że, istotnie, mrok unosił się nad nimi, lecz białość rosnąca była tam, gdzie rozciągała się pustynia.

— Gdy wyjedziemy na pustynię, wiatr całkiem ucichnie — rzekł Ali i począł znowu przyśpiewywać sobie:

Dżanat! Dżanat! Dżanat!

Domini nie mogła widzieć światła na południu, ani żadna zapowiedź ukojenia się burzy nie doszła do jej wiadomości. Nasłuchiwała wciąż szumu wiatru, trzymając rękę Androwskiego, i czuła, że on także słucha go z napięciem, równie silnem, jak jej, lub jeszcze silniejszem. Ręka jego zamknęła się teraz dokoła jej ręki ciaśniej, tłocząco, prawie ból jej sprawiając fizyczny. Gdy to czynił, spojrzała, lecz nie na niego, i zobaczyła, że firanki palankinu miotały się mniej gwałtownie. Na jedną chwilę uciszyły się nawet zupełnie. Potem znów się zamiotały, jak pod czyjąś ręką niewidzialną. I znowu całkiem się uciszyły. W tym samym czasie dźwięk wiatru obił się o jej uszy, jak muzyka, spuszczająca się gdzieś wdół do podziemia. Naraz urósł, lecz znowu, po raz drugi, wsiąknął w głuszę, i zauważyła przez szpary firanek nikłe światło wzrastające, które dało jej możność po raz pierwszy, odkąd wyszli z kościoła, ujrzeć rysy swego małżonka. Patrzał na nią z wyrazem zaborczości, w której była cześć, i Domini stwierdziła, że w oczekiwaniu pozdrowienia ze strony pustyni została zawiedziona. Nasłuchiwała dźwięku głośnego trąb — i była powitana przez głos drobny i mały. Pojęła cześć w oczach swego małżonka i podzieliła ją.

Wiatr ustał raptownie. Światło wzmogło się w palankinie.

Zzewnątrz głosy poganiaczów, Batucza i Alego, rozmawiających z sobą, dochodziły już do uszu wyraźnie. Oni jednak wciąż jeszcze milczeli. Zda się, że obawiali się mówić, by nie spłoszyć czaru ciszy, która się dokoła nich rodziła, jakby bali się przerwać ostatni szmer pustyni. Domini znowu zwróciła wzrok na swego małżonka. Nie mogła oderwać swoich oczu od niego i pragnęła, by on wyczytał wszystką radość, jaką miała w sercu; pragnęła, by przeniknął jej myśli, pojął jej pragnienia, by był jednem z kobietą, która zrodziła się na nowo w przededniu tego wiatru, co ustaje.

Wiatr ustał już zupełnie i tylko powiew łagodny poruszał firanki palankinu, a światło, które pomiędzy nich wniknęło, tu i owdzie nie było już białe, lecz iskrzyło się drobnym pyłem złocistym. Wtedy Androwski ruszył się, by odsłonić firanki, a Domini zagadała po raz pierwszy od czasu ich małżeństwa.

— Czekaj — rzekła cichym głosem.

On opuścił rękę posłusznie i spojrzał w jej oczy pytająco.

— Nie wyglądajmy, aż będziemy daleko, daleko od Beni-Mory.

On nic nie wyrzekł, widziała jednak, że rozumie wszystko, co było w jej sercu. Pochylił się bliżej ku niej i wyciągnął ramię, jakby z zamiarem okolenia jej. Nie okolił jej jednak, i ona wiedziała, dlaczego. Poślubiał on teraz swoją wielką radość, jak ona ślubiła ciemne godziny nocy uprzedniej, które były dla niej złotemi. I czyn ten niedokończony, odruch ten niedokonany jaśniej okazał jej głębie jego namiętności, niż owo desperackie objęcie rękoma jej kolan w ogrodzie.

Sporo czasu upłynęło, lecz oni nie czuli miary czasu. Gdy wielbłąd ich zatrzymał się, rozwarli ręce zwolna, jak ci, co są przeciw woli zbudzeni.

Usłyszeli głos Batucza odzewnątrz palankinu.

— *Madame!* — wołał. — *Madame!*

— A co takiego? — zapytała Domini, westchnąwszy zarazem.

— Niech *madame* odsłoni firanki. Jesteśmy już na połowie drogi do Arby. Pora śniadać. Zaraz każę, by się wielbłąd położył.

Rozległo się głośne „A-a-ah!“, za którem poszedł wraz dziki pomruk wielbłąda — i potem letargiczny, zarazem gwałtowny ruch, który ich wtył i naprzód odrzucił. Osiedli. Ręka

odzewnątrz odsunęła firanki, i światło spłynęło na nich potokiem. Opuścili nogi w piasek, stanęli i spojrzeli dokoła.

Byli już daleko w pustyni, chociaż jeszcze nie za krańcem łańcucha gór czerwonych, które ciągnęły się przed nimi z lewej strony, lecz już w niewielkiej odległości od miejsca, gdzie się kończyły w piaskach. Przed nimi było niebo blado-błękitne, ku zachodowi obciążone zwałami chmur, a nad ich głowami przybrane w osłony mglistej białości, przez które błękit przedzierał się stopniowo, wciąż się zwiększając w miarę, jak patrzali. Ku południowi, gdzie Arba rozłożyła się na niskim wzgórku ziemi, bez drzew i bez trawy, poza gruntem, gęsto zarosłym krzakami tamarysków, który był pastwiskiem niezliczonych stad wielbłądów, błękit był czystszy i światło słoneczne bardziej natężone. Lekki powiew żeglował ponad tem, wzruszając krzewy i szaty Arabów, którzy poodchylali już z głów kaptury i poodkrywali usta, uśmiechając się do siebie tak poważnie, jak to umieją tylko Arabowie. Koło nich stały dwa psy: biały i kasztanowaty, mrużąc oczy z wyrazem zmęczonym.

Przez chwilę stali spokojnie, mrużąc oczy, prawie tak, jak psy. Przejście do tej niezmierzoności i światła z ciemności ciasnej palankinu odurzyło ich zmysły. Nic nie mówili, patrzali tylko w milczeniu. Wreszcie Domini ruchem szerokim przeciągnęła ramiona nad głową, wciągając oddech głęboki, który się zakończył drobnym, prawie spazmatycznym dźwiękiem triumfu i wesela.

— Z więzienia! Z więzienia! — rzekła od głębi — z więzienia... w to!

I zaraz obróciła się ku Androwskiemu, ujęła jego ramię i otoczyła je swemi rękoma z tą wiarą niezłomną, która o nic już nie dba w pełni szczęścia swego.

— To Beni-Mora, *madame!* — ozwał się Batucz.

Była rada, że mówił do niej; obróciła się i szła oczyma w kierunku jego ręki, która wskazywała. Hen wdali ujrzała zieloną ciemność palm i za tem białą wieżę, tak małą stąd, jak wieża z zabawek dziecięcych.

— Wieża! — rzekła do Androwskiego — gdzieśmy po raz pierwszy mówili. Musimy ją pożegnać!

On nie spojrzał ku wieży. Pustynia nie istniała dla niego.

— Dlaczego nie chcesz patrzeć? Dlaczego nie chcesz jej pożegnać? — spytała, zbliżając się ku niemu łagodnie po piasku,

z tem pragnieniem kobiecem usłyszenia wyjaśnień tego, co sama rozumiała.

— A co mi do niej, a co mi do nieba, do palm, do pustyni! — odrzekł prawie porywczo. — Co mi do nich? Gdybyś była moją za kratami tego więzienia, o którem wspomniałaś — czy sądzisz, że nie byłoby to dość dla mnie — nazbyt wiele — czarą aż po skraje?

I dodał jeszcze kilka słów, których nie mogła dosłyszeć.

— Nawet i pustynia — nie? — rzekła z zawahaniem w głosie.

— Ona jest w tobie. Wszystko jest w tobie, wszystko, co nas razem wiodło, na cośmy patrzali i pragnęli razem.

— Lecz wtedy — rzekła, i głos jej teraz był bardzo spokojny — jestem ci, jak pokój.

— Jak pokój! — rzekł Androwski.

— Tak. Czy pomnisz, rzekłam raz, że w pustyni musi być pokój. Jest ci on tedy we mnie — dla ciebie?

— Tyś pokój! — powtórzył. — Dziś nie mogę myśleć o pokoju, ani nawet go pragnąć. Nie pytaj mnie zbyt wiele! Daj mi żyć dzisiaj, żyć, jak tylko może człowiek, który... daj mi żyć tem wszystkiem, co dzisiaj we mnie żyje, Domini. Ludzie proszą o śmierć w pokoju. Oh, Domini! Domini!

Wyraz jego był, jako ramiona jego, które ją cisnęły, jako wargi jego, które jej usta tłoczyły, jak serce jego, które biło na jej sercu.

— Proszę do stołu! — oznajmił Batucz głosem weselnym.

Pani jego zdała się nie słyszeć. Zawołał tedy jeszcze głośniej:

— Proszę do stołu!

Domini obróciła się i poszła, by spożyć pierwszą swą strawę śród piasków. Poduszki leżały obok nakrycia po arabsku, o barwach białych, czerwonych i pomarańczowych. Na obrusie, w naczyniach z prostej gliny, okraszonej deseniami purpurowemi, złożone zostały róże, które Smain przyniósł z ogrodu hrabiego Anteoni'ego.

— Nasza uczta weselna! — rzekła Domini z piersi przepełnionej.

Czuła istotnie, że jakgdyby przeżywa jakiś romans czarowny.

Usiedli tedy przy sobie i jedli z wielkim apetytem, obsługiwani przez Batucza i Alego. Blado-żółte motyle, żółte, jak piasek,

uganiały się koło ich stołu. Małe żółte ptaki krzyżowały nad ich głowami. Wiatr ustał zupełnie. Nie chciało się wierzyć, że kiedyś zawodził okrutnie nad pustynią. Mówili mało. Raz ona rzekła:

— Czy uprzytamniasz sobie, że to nasze śniadanie weselne?

— Śniadanie weselne! — rzekł Androwski.

— Tak jest. A możeś nigdy nie bywał na tego rodzaju ucztach?

— Nigdy.

— Tedy nie możesz kochać tej — jak ja.

— Kocham ją jeszcze więcej — odrzekł.

— Czy sądzisz, że to możliwe — rzekła — byś ty, coś nigdy nie żył w wielkich miastach, mógł kochać ten kraj tak, jak ja go kocham?

Androwski poruszył się na swej poduszce i przechylił się, aż łokieć jego wsparł się na piasku. Leżąc tak, z brodą w dłoni i oczyma, w nią utkwionemi, odpowiedział:

— Wszakże to nie kraj ja kocham.

Całkowite jego skupienie uczuć na niej dało jej do myślenia, że być może nie zrozumiał całego jej szczęścia, gdy mówiła o pustyni. Pragnęła wyjaśnić mu, jak bardzo on i pustynia złączyły się w jej sercu, i dłoń swoją opuściła na jego lewą rękę, która leżała kiścią wdół na piasku gorącym.

— Kocham ten kraj — poczęła — bo ciebie w nim znalazłam, bo czuję...

Zatrzymała się.

— Co, Domini? — zapytał.

— Nie, nie teraz. Nie mogę teraz powiedzieć. Za wiele tutaj światła.

— Domini! — powtórzył.

A potem jeszcze raz zamilkli, myśląc o tem, jak ciemność spadnie na nich w Arbie.

O późnem popołudniu nadciągnęli bliżej do Bordż, posuwając się drogą uciążliwą, pełną jam głębokich i wybojów, z obu stron obrzeżoną krzakami tak dużemi, że wyglądały prawie, jak drzewa. Tutaj, strzeżone przez Arabów, którzy spoglądali poważnie na cudzoziemców w palankinie, pasły się niezmierzone stada wielbłądów. Poza krzakami, ku horyzontowi z obu stron drogi, ciągnęły się brózdy wężowe, gnąc się ruchomo tam i zpowrotem,

to kłoniąc się ku zakurzonym gałęziom, to znów ciągnąc wdal, jakby w szukaniu cierpliwem pociechy dla doli wielbłąda, która leżała w dalach pustyni. Na przedzie, poza kanałem, który wysechł, wznosił się niski pagórek, na którym stał Bordż, wielki budynek kwadratowy z dwiema basztami kwadratowemi, które miały strzelnice. Zoddali wyglądało to, jak twierdza, grożąca pustyni w swem osamotnieniu wspaniałem. Baszty jej były czarne, odbite od czystego koloru cytrynowego spadającego światła słonecznego. Gołębie, także czarno wyglądające, wciąż się nad nimi unosiły, i linja telegrafu, która szła skrajem drogi w odstępach prawidłowych z lewej strony, odcinała się ostro swym rzędem zmniejszających się czarnych trzonów pionowych od żółtości, aż póki nie zginęła dla wzroku w stronie południowej. Dla Domini linja ta była, jak palce wskazujące, znaczące pochód jej ku najdalszym rozłogom słońca. Wszystko, na co teraz patrzała, zdało jej się być pięknem, nieco oddalonem i nieco fantastycznem. Gdy poczęli wjeżdżać na wzgórek i promienność nieba zwiększyła się, wrażenie uległo zmianie.

Teraz już mocna owa budowla Bordż nie robiła wrażenia twierdzy, grożącej przybyszowi, lecz wyglądała raczej, jak gospodarz przekrzepki, który ich witał, gospodarz, który miał bramy domu naoścież otwarte w tej pustce bezdrzewnej, która już dla niej obecnie nie miała znamion pustki. Był to budynek koloru ziemistego, wzniesiony z kamienia, i pośrodku fasady, która była ku nim zwrócona, miał gościnny otwór wejściowy z białym łukiem u góry. Przez otwór ten widać było przestronny podwórzec, na którym zwierzęta i ludzie tu i tam się krzątali. Dokoła, w cieniu ochronnym muru bez okien, było sporo Arabów, siedzących z podgiętemi nogami, lub stojących i opartych plecami o mur, lub wreszcie przechodzących od grona do grona z gestykulacją i mową ożywioną. Malcy grali w kamienie, siedząc nad rzędem dołków, wygrzebanych palcami w piasku. Od południa nadciągali spahowie na białych koniach, w płaszczach szkarłatnych, powiewających nad siodłami; a od wschodu, poruszając się zwolna pod jękliwe dźwięki niewyraźnej muzyki i głuche uderzenia tam-tamów, zbliżała się wielka karawana w chmurze kurzu, który wtyle jej falował i łączył się hen z promiennością słońca zachodu.

Kiedy przybyli na wielką przestrzeń otwartą przed budowlą,

słońce już zalewało ich światłem złocistem, w którem wszystkie te postaci Afrykanów i wszystkie te zwierzęta wyglądały tajemniczo i ślicznie, w pełni tego znaczenia niezmierzonego, jakiego pustynia udziela tym, którzy się w niej poruszają, osobliwie o zorzy i zachodzie. Z równiny, na której byli obecnie, ogarniali całą przestrzeń, którą przebyli od Beni-Mory, która już jutro rozpłynie się w błękicie. Tysiączne jej palmy były ciemnością w złocie, i wciąż wieża hotelu była jeszcze, acz słabo, widoczna, jak igła, stercząca ku niebu.

Domini była rada, że w pierwszy ten wieczór podróżny może wciąż widzieć Beni-Morę, miejsce, gdzie się wzajem znaleźli i gdzie się sobie wzajem przez kościół oddali. Gdy wielbłąd zatrzymał się przed wielką bramą Bordż, obróciła się w palankinie i spojrzała przed się w pustynię, polecając poganiaczowi na chwilę dać folgę wielbłądowi. Ujęła pod ramię Androwskiego i zmusiła go do spojrzenia poprzez obszar rozległy, który stał się obecnie magicznym przez pogrążenie się słońca w tę ciemność dalekich palm, która dla niej na zawsze miała być miejscem świętości. Gdy tak patrzali w milczeniu, wszystko, czem była dla niej Beni-Mora, spłynęło teraz znów na nią. Ujrzała znów ogród, nurzający się w znoju południa. Ujrzała Androwskiego u nóg jej na piasku. Usłyszała dźwięk dzwonu kościelnego i świergot fletu Larbiego. Ciemny ten odmęt drzew stał się dla niej, jak serce świata i jak serce życia. Widział on narodziny jej duszy i dał jej nowozrodzoną duszę drugiego człowieka.

Gdy zsiedli z wielbłąda i stali w gronie patrzących Arabów, Batucz zbliżył się i poprosił ich, by obejrzeli namioty, które już były gotowe. Przed namiotem stał Uardi, zamianowany przez Batucza klucznikiem w pustyni, który uśmiechnął się szeroko na przyjęcie swych państwa.

Androwski, rzuciwszy ku wnętrzu spojrzenie, pełne jakiejś dzikiej wstydliwości, odszedł w bok parę kroków i stanął na skraju pagórka, patrząc na nadciągającą karawanę.

Domini weszła do namiotu, który miał być jej jedyną siedzibą przez wiele tygodni. I rada była obecnie, że była sama. Bowiem i ona, podobnie, jak Androwski, uczuła niezwykły przypływ fali ciepłej do serca. Pod jakimś pozorem, wyraziwszy

atoli pierw swój zachwyt, pozbyła się Batucza. Wtedy stanęła i obejrzała się dokoła.

Wielki namiot wychodził na mniejszy, który miał służyć Androwskiemu, jako gotowalnia, i dla obojga, jako skład rzeczy. Nie weszła tam, lecz zobaczyła, rzuciwszy spojrzenie miękkie, badawcze, dwa małe, niskie łóżka, dywaniki, stolik z przyborami, umywalnię i dwa trzcinowe fotele. Wtedy znów spojrzała przez otwór za siebie. W pewnej odległości ujrzała wciąż stojącego samotnie na skraju wzgórka Androwskiego, skąpanego w słońcu zachodzącem, patrzącego na pustynię zakrytą, skąd dochodził dziki dźwięk muzyki afrykańskiej, z każdą chwilą coraz silniejszy. W poemacie tym światła, w tym świecie przestronnym wgrążającego się słońca widziała tylko jego postać. A muzyka zdała się być u jego stóp, wypływać z piasków i tętnić w ich łonie.

Wyjęła ukryty na piersi drewniany krzyż Androwskiego, który on był wrzucił do wody w Sidi-Zerzur, i, zbliżywszy się pocichu do jednego z łóżek, przypięła go nad niem do płótna namiotu. A potem obróciła się i wyszła z namiotu na glorję słońca zachodzącego i na spotkanie tej dzikiej muzyki, która wznosiła się od pustyni.

XVIIII.

Wieczór spadł na pustynię, wieczór czysty, purpurowy, gwiaździsty, lecz bez księżyca.

Wszyscy członkowie karawany, pod przewodnictwem sławetnem Batucza, obchodzili wieczór weselny swego pana i pani.

Domini i Androwski obeszli już ich ognie radosne, przyjęli ich życzenia, patrzali na taniec mieczów i taniec maczug, brali do ust lub udawali, że biorą, cybuszek fajki narkotycznej, wysłuchali pieśni weselnej, wykonanej przez Alego z towarzyszeniem fletu i małych bębenków, i oklasnęli zręczność Uardiego w skakaniu przez ogień. Zatem, przy wielu życzeniach dobrej nocy, uściskach rąk, wróżbach na jutro, odeszli w ciemność orzeźwiającą, milczący, ku swym namiotom.

Szli wolno, nieco oddaleni od siebie. Domini patrzała na gwiazdy i widziała śród nich gwiazdę Wolności. Androwski patrzał na nią i widział wszystkie gwiazdy w jej twarzy.

Gdy przybyli do drzwi namiotu, zatrzymali się na ciepłej ziemi. Wewnątrz paliła się lampa, rzucając światło łagodne na proste sprzęty, na bieliznę łóżek, z których nad jednem Domini wyobraziła sobie, jako że stąd widzieć nie mogła, krzyż drewniany Androwskiego, który on był nosił na piersi.

— Czy zostaniemy tu trochę? — zapytała Domini głosem cichym. — Na dworze?

Była długa pauza. Androwski odpowiedział:

— Tak, tak. Czujmy to wszystko — wszystko. Czujmy to w pełni.

Ujął jej rękę z rodzajem czułej przemocy i splótł swe palce z jej palcami, dłoń jej przyciskając do swojej.

— Nic nie opuśćmy tego wieczoru — rzekł. — Całe me życie w tym wieczorze. Dotychczas jeszcze nie żyłem. Jutro... kto wie, czy jutro nie umrzemy? Kto wie? Lecz dzisiaj...

dzisiaj my żywi, z ciała i krwi, z serca i duszy. I niemasz tu nic, i nic nie może być, coby nam wzięło to życie, życie naszej miłości tej nocy.

Drugą jej rękę ujął w ten sam sposób. Patrzał w jej twarz, i ręce jej wraz ze swemi przyciskał do swego serca i tulił.

— Ziśćmy tu tedy wszystko. Zapomnijmy o naszem więzieniu. Zapomnijmy o wszystkiem, o wszystkiem, cośmy znali kiedy przed Beni-Morą, Domini. To zmarło, zmarło bezwzględnie, chyba, że myślą powołamy to do życia. Domini, czyś zapomniała o wszystkiem, co było, zanim poznaliśmy się wzajem?

— Tak jest — odrzekła. — Teraz... lecz tylko teraz. Każesz mi o wszystkiem zapomnieć.

W głosie jej był oddech głęboki. Zarzucił jej ręce na swe ramiona i patrzał zbliska w jej oczy, jakby chciał całego siebie przelać w nią przez te drzwi duszy, otwarte na przyjęcie jego. I oto w tym momencie uczuła, że jej pragnienie szalone zostało urzeczywistnione, że on unosi się nad nią na skrzydłach orła dzikiego.

— Mów do mnie — rzekła. — Mówiłeś tak mało. Czy wiesz, jak mało? Mów mi wszystko o sobie. Dotychczas tylko czuję ciebie całego. To jest dużo, lecz jeszcze nie dosyć dla kobiety, nie dosyć. Ja wzięłam cię, lecz teraz — ty daj mnie siebie całego. Wiesz przecie, że wszystko ci oddałam.

— Wszystko — rzekł i w głosie jego głębokim było drżenie, jakgdyby jakieś czucie wzmożone podpłynęło od jego głębi i wstrząsnęło nim.

— Tak jest, wszystko — szeptała. — Tego dnia i wcześniej jeszcze — w ogrodzie. Kiedym ręce moje złożyła na twojem czole — pamiętasz?... Wtedy ci wszystko oddałam, na zawsze.

I gdy to mówiła, twarz swoją pochyliła z rodzajem dumnego poddaństwa i czoło swoje złożyła na jego sercu.

Czystość jej głosu i czyn ten prosty, spokojny, olśniły go, jak to płomię, które raptownie zabłysło w jego oczach z ciemności. I on też w chwili tej ujrzał w wyży nad sobą uderzenia skrzydeł orłowych. Oboje zdali się sobie na wysokościach, i, gdy tak wzajem na siebie patrzali, to było ich prawdziwem małżeństwem.

— Czułem to — rzekł, dotykając ustami jej włosów. — Czułem to w twoich rękach. Gdyś mnie dotknęła tego dnia, było

to, jakgdybyś mi dała gwiazdy i świat. Przeląkłem się, że otrzymuję tak dużo. Czułem, że nie mam miejsca w sobie do przyjęcia daru tak wielkiego.

Ujał jej twarz w dłonie i uniósł ją z serca swego.

— Czy ty możesz zrozumieć, czem jesteś dla mnie? Że ty jesteś wszystkiem, że ja niczem nie jestem, że ja niczem nie byłem przez wszystkie te lata, które przeżyłem i które zapomniałem? Czy ty możesz zrozumieć? Rzekłaś słusznie: „Mów do mnie, powiedz mi wszystko o sobie.“ Otom jest, czem jestem, cały jestem, ten, któregoś ty uczyniła. Tyś, Domini — tyś uczyniła ze mnie człowieka, tyś mnie stworzyła.

Milczała. Natężenie, z jakiem mówił, wyraz natężony jego oczu, gdy mówił, zdziałał czarownie, że usłyszała wody tajemnicze, ruszające na swobodę, po złamaniu wreszcie swej tamy, i porywające ich ze sobą wdal.

— A ty? — rzekła. — Ty?

— Ja?

— Dziś po południu w pustyni, gdyśmy byli na piaskach i patrzali na Beni-Morę, począłeś mi coś mówić i przerwałeś. I rzekłeś: „Nie mogę ci rzec tego. Za wiele tu światła.“ Teraz już słońce zaszło.

— Tak. Lecz... ja chcę słuchać ciebie. Ja chcę...

Urwał. Zoddali, od wielkiego ogniska, przy którem byli zgromadzeni Arabowie, dopłynął ku nim dźwięk muzyki i uwagę ich uwięził. Ali śpiewał, trzymając w ręku płonącą głownię, jak pochodnię. Słyszała go już przedtem śpiewającego i lubiła dźwięk jego głosu, atoli teraz dopiero uprzytomniła sobie, kim on był i kiedy go po raz pierwszy słyszała. On to był tym ukrytym śpiewakiem, który śpiewał pieśń wolnych Murzynów z Tuggurtu w ogrodzie hrabiego Anteoni'ego, w dniu, kiedy się pogniewała z Androwskim i potem się pogodziła.

Androwski, gdy przestała mówić, otoczył ją szybko ramieniem, jakgdyby obawiając się, że w milczeniu swem uleci mu gdzieś w przestwory, i tak stali u wejścia do namiotu, słuchając:

Gazela w wodzie mrze
I ryba mrze w powietrzu,
A ja w pustyni piaskach mrę
Z miłości, która trawi mnie.

Chór męski, ukryty przez ogień, zaszemrał głosami niskiemi, które były, jak westchnienie pustyni śród wieczora. A wtedy kontraltowy głos Alego dopłynął znowu do Domini i Androwskiego, lecz słabiej, niklej, zoddali, w której płonąca pochodnia poruszała się:

Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu.

Gdy głos umilkł na chwilę, Domini powtórzyła szeptem tę zwrotkę. A potem rzekła:

— Czy prawda to? Czy może to być prawdą dla nas tej nocy?

Androwski nic nie odpowiedział.

Głos Alego rozległ się znowu, i pochodnia jego zamigotała znowu na wietrze łagodnym wieczoru. Patrzali na nią. Potem ona znów rzekła.

— Ty wiesz, co jest w mojem sercu... wszak prawda?

— Czy wiem? — rzekł. — Wszystko?

— Wszystko. Serce me pełne jednej myśli... pełne całkowicie.

— Tedy wiem.

— A... — zawahała się, a potem rzekła — a twoje?

— Moje również.

— Wiem tedy wszystko, i co w niem jest?

Mówiła wciąż pytająco. On nie odpowiedział, lecz przycisnął ją mocniej i czulej, uściskiem, który był prawie gorączkowy w swej sile.

— Czy pomnisz — poczęła znowu — coś wyrzekł o tej pieśni w ogrodzie?

— Nie.

— Zapomniałeś?

— Powiedziałem ci — rzekł — chcę zapomnieć o wszystkiem.

— O wszystkiem, co było, zanim przybyliśmy do Beni-Mory?

— I ponad to jeszcze... O wszystkiem, co było, zanim złożyłaś swe dłonie na mem czole, Domini. Dotknięcie twoje zgładziło przeszłość.

— Nawet przeszłość Beni-Mory?

— Tak jest, nawet ją. Wiele rzeczy czyniłem i zostawiłem je

niedokończonemi, wiele mówiłem i nigdy nie mówiłem, że... zapomniałem, zapomniałem na zawsze.

W głosie jego była znowu surowość i natężenie płomienne.

— Rozumiem — rzekła. — I ja też zapomniałam, lecz nie wszystko.

— Cóż takiego?

— Nie zapomniałam tego, jakeś mnie uniósł z domu tanecznego, ani naszej jazdy do Sidi-Zerzuru... to pamiętam i, kiedy umierać będę i po śmierci nawet, będę o tem pamiętała.

Pieśń umilkła. Pochodnia już się nie chwiała, lecz opadła na dół i stała się jednem z ogniskiem. Wtedy Androwski przygarnął Domini do boku swego na ciepłej ziemi u wejścia do namiotu i trzymał jej dłoń w swojej, złożonej na ziemi.

— Czcij ją — rzekł. — To dom nasz, to wolność nasza. Czy czujesz, jak drga życiem?

— Tak jest.

— Jakgdyby miała tętna, jak tętna serca naszego, i jakgdyby wiedziała to, co my wiemy?

— Tak jest. Macierz Ziemia... do tego wieczora nie rozumiałem wcale tego znaczenia.

— Będziemy to razem rozumieli. Czy można co rozumieć, będąc samotnym?

Trzymał wciąż jej dłoń w swojej dłoni i przyciskał ją do pustyni, jak do własnego serca. Powracając do słów przed śpiewem Alego, rzekł:

— Miłość spala wszystko, co złe, tedy miłość nie może być nigdy złem.

— Ani akt miłości.

— Ani to, co do niej wiedzie — rzekł.

W głosie jego był znów rodzaj surowości, jakgdyby nalegał na coś i zwalczał jakiś głos przemocny.

— Wiem, że masz słuszność — dodał.

Ona nic nie rzekła, lecz myśl jej — dlaczego, sama nie wiedziała — spoczęła naraz na krzyżu drewnianym, przypiętym do płótna namiotu, i przez chwilę uczuła smutek, wkradający się do jej serca. Lecz on silniej przycisnął jej dłoń, i stała się świadomą jedynie — jego dłoni nad swoją i pustyni pod nią. Utkwiła oczy w dalekie ognie Arabów, które poczynały zamierać zwolna, w miarę, jak noc głębiej szarzała.

— Wątpiłem wiele — rzekł. — Bałem się wiele.
— Ty? — rzekła.
— Tak jest. Wiesz o tem.
— Jakże ja mam wiedzieć? Czyż nie zapomniałam o wszystkiem... aż do dnia tego w ogrodzie?
Uniósł jej dłoń i złożył ją sobie na sercu.
— Jestem zazdrosny nawet o pustynię — rzekł szeptem. — Nie chcę, byś jej dotykała jeszcze tego wieczoru.
Spojrzał w jej oczy i ujrzał, że patrzała wciąż w ognie dalekie, z powagą natężoną.
— Dlaczego to czynisz? — rzekł.
— Tego wieczoru lubię patrzeć na ogień.
— Dlaczego?... powiedz.
— Jest to, jakbym patrzała na ciebie, na wszystko, co jest w tobie, o czem mi nigdy nie mówiłeś, czego nie możesz powiedzieć mi, lecz co ja wszystko wiem i czuję.
— Lecz ogień ten — rzekł — jest...
Nie dokończył zdania, lecz uniósł dłoń i zwrócił jej twarz, tak, że nie patrzała na ogień, lecz na niego.
— Ogień ten nie jest podobny do mnie — rzekł. — Człowiek go uczynił, i... jest to ogień, który się w prochy obrócił.
Wyraz raptownego uniesienia zabłysnął w jej oczach.
— A ciebie Bóg uczynił — rzekła. — I wzniecił iskrę w tobie, która jest wieczysta.
I znowu pomyślała, znowu wzbudziła w sobie i z lubością wróciła do myśli o krzyżu i do chwili, kiedy on go zobaczy w namiocie.
— I Bóg kazał ci kochać mnie — rzekła. — Co to?
Androwski poruszył się nagle, jakgdyby miał pod sobą ziemię płonącą.
— Czyżby?...
— Nic — rzekł cichym głosem. — Mów dalej, Domini.
I już trwał spokojnie.
Raptowna tęsknota spadła na Domini dowiedzenia się tego wieczoru, czy czuł on, tak jak ona, świętość ich stosunku do siebie. Nigdy dotychczas nie mówili ze sobą poufnie o religji, ani o tajemnicy, jaka leży poza i dokoła życia ludzkiego. Raz czy dwa, kiedy już miała otworzyć przed nim swe serce, dać mu poznać swe odczucie głębokie rzeczy niewidzialnych, coś w nim

ją zahamowało. Tego wieczoru atoli, z dłonią jego w swej dłoni, z niebem gwiaździstem nad głowami, z rozłogiem dookoła, z powiewem świeżym, który, jak powiew wolności, muskał ich twarze, nie mogła mieć przed nim tajemnicy, nie mogła czuć go różnym. Rzekła:

— Nigdy nie czułam obecności Boga w wszechświecie tak namacalnie, jak czuję to tego wieczoru. — Z temi słowy bliżej się ku niemu podała. — Nawet dzisiaj zrana w kościele zdał się On być dalej ode mnie. Zawsze wierzyłam, iż, im dalej odejdę w pustynię, tem bliżej będę Boga.

Androwski znów się poruszył. Dłoń jego na jej dłoni zwolniała, lecz trzymał ją jeszcze na niej.

— Cóż cię... cóż cię do tego skłoniło? — zapytał wolno.

— Czy nie wiesz, jak Arabowie nazywają pustynię?

— Nie. Jakżeż ją nazywają?

— Ogrodem Allaha.

— Ogrodem Allaha! — powtórzył.

W głosie jego było coś, jak obawa.

Czyż to podobna, by ten człowiek, którego kochała, przeląkł się czegoś w pustyni, wpływu jakiegoś obcego?... Myśl jej stanęła, krótka, jak rzecz, zbita z tropu.

— Czyż nie znajdujesz, że to nazwa piękna? — zapytała, z pragnieniem prawie gwałtownem dowiedzenia się, upewnienia się, iż on tak samo, jak ona, kochał tę myśl, że Bóg jest osobliwie bliskim dla tych, którzy podróżują w tej krainie samotnej.

— Czy nazwa ta piękna?

— Dla mnie jest piękna. Daje mi odczuć, że jestem w pustyni pod osobliwą strażą i pieczą, a nawet pod osobliwą miłością z góry.

Nagle Androwski otoczył ją ramieniem i przyciągnął ją ku sobie.

— O mnie! O mnie! — rzekł. — Myśl tylko o mnie tego wieczoru, jak ja myślę tylko o tobie.

Mówił, jakgdyby był zazdrosny nawet o jej myśli o Bogu, jakgdyby nie rozumiał, że to właśnie siła jej miłości dla niego kazała jej, nawet zpośrodka pasji jej ciała, łączyć ich miłość dla siebie z miłością Boga dla nich.

— Nic masz nic dzisiaj dla mnie nad ciebie — mówił, tuląc

ją w swych ramionach. — Pustynia jest twoim ogrodem. Dla mnie była ona zawsze twoim ogrodem, tylko tem. Bierz ją dla siebie i dla mnie, ponieważ kochasz mnie — lecz dla mnie — jedynie dlatego.

Ognisko Arabów poczęło naraz gasnąć.

— Kiedy ono zgaśnie, kiedy ono zgaśnie! — szeptał jej Androwski do ucha.

Oddech jego gorący poruszał jej grube warkocze.

— Patrzmy na nie! — wyszeptał.

Ścisnęła go za rękę, lecz nic nie rzekła. Nie mogła już mówić. Coś wreszcie dzikiego i nieokiełzanego, coś, co było czemś więcej, niż namiętnością, co było palącem i dzikiem w swej przyrodzie, siłą całą powstało w niej wespół z takąż siłą w nim, która ją bez przerwy wzywała i której dała teraz upust bez wstydu.

— Gaśnie już, gaśnie! — mówił Androwski. — Patrz, jak już drobnym jest ten krąg ognia, jak ciemność wpełza już na niego! Czy widzisz to, Domini?

Znowu uścisnęła jego dłoń.

— Czy tęsknisz do ciemności? — pytał. — Czy tęsknisz, Domini? To pustynia nam ją posyła. To pustynia posyła ją dla ciebie i dla mnie, ponieważ ty kochasz mnie.

Uczuła, że ciało jej drży, jakby je wstrząsała siła ducha, z niem związanego. Powiew nocny zwolna się powiększał i chwiał płomię lampy, które było obok w namiocie. I był ten powiew, jak orędzie, przysłane ku nim z pustyni przez jakiegoś wysłańca z ciemności, orędzie, mówiące im, by się nie bali daru czarodziejskiego swobody, lecz by go brali otwartemi rękoma, sercem otwartem i z wielką odwagą radości.

— Domini, czy czujesz ten podmuch wiatru? Patrz, zerwał chmurę iskier z ogniska i niesie ją kawał drogi ku nam. Czy widzisz? Ogień na wietrze wędruje śród nocy, nawołując ogień, który jest w nas. Czyż to nie piękne? Wszystko jest pięknem tej nocy. Nigdy gwiazd tyle nie świeciło nikomu.

Spojrzała ku gwiazdom. Świeciły dziś odmiennie, bliżej ku ziemi, widniej, żywotniej, niż zwykle, jakgdyby czułość jakaś dziwna uwidoczniona zaludniła noc tę sympatją nieprzezwyciężoną. Niebo rozległe było istotnie rozpostarte nad ich szczęściem. Powiew znów spłynął z rozłogu, świeży i tchnący suchością piasków.

W bliskości zaśmiał się szakal. Po chwili odpowiedział mu inny zoddali.

— Słyszysz? — szeptał Androwski.

Pierwszy szakal zaśmiał się raz jeszcze, i drugi znów mu odpowiedział. Po nim trzeci, który był daleko od nich, wysnuł głos nikły, jak smętne echo. A potem — cisza.

— Lubisz to, Domini? To wolność wzywa ciebie i mnie. Znaleźliśmy wolność, znaleźliśmy ją. Czujmy ją. Bierzmy ją. Ją jedną, ją tylko jedną. Jestem tą wolnością oszalały, Domini, oszalały nią... Nie mogę, nie mogę...

Złożył swe usta na jej ustach w pieszczocie rozpacznej, która ją tchu pozbawiła. A potem odjął usta od jej ust i całował jej szyję, trzymając jej głowę, odrzuconą na swem ramieniu. Zamknęła oczy. Istotnie, uczył ją zapomnienia. Nawet pamięć dnia tego w ogrodzie, kiedy słyszała dzwon na Anioł Pański i dźwięki fletu Larbiego, odbiegła ją. Nic już nie pamiętała. Przeszłość zapadła się, lub pod czarem uczucia na sen się ułożyła. Żywioł jej cwałował, jak koń arabski, przez piaski na słońce, na ogień, który ciepłem darzy zoddali, lecz który pochłania wszystko, co bliżej ku niemu nadciągnie.

— Domini — mówił, szepcąc i całując. — Domini. Ogień już zgasł. Już ciemno.

Uniósł ją w swych ramionach, ciągle całując.

— Domini! Ciemno już, ciemno!

Uniósł ją raz jeszcze. Powstała na nogi, z ramionami do góry, patrząc w kierunku, gdzie było ognisko. Złożyła ręce na jego twarzy i odpychała ją łagodnie od siebie, dotknięciem, które było pieszczotą.

— Patrz — mówił. — Czy kochasz tę ciemność? Mów mi, mów mi, że kochasz ją.

Przesunęła w odpowiedzi ręką po jego policzku, jak śniąca.

— Patrz na nią. Kochaj ją. Cała pustynia jest w niej, i miłość nasza w pustyni. Zostańmy tu w pustyni, zostańmy w niej na wieki! To jest nasz ogród — nasz tylko. On nas sprowadził ku sobie, Domini.

Ujął jej rękę i przyciskał ją bardziej i bardziej tęsknie do policzka. A potem puścił ją raptownie.

— Chodź! — rzekł. — Domini.

I pociągnął ją poprzez otwór namiotu prawie gwałtownie.

Powiew silniejszy nocnego wiatru wszedł za nim. Androwski odjął zwolna ręce od Domini i zwrócił się, by opuścić zasłonę namiotu. Gdy czynił to, stała całkiem spokojna. Płomień lampy chwiał się, stłumiając światło, to znów je silnie wzniecając. Ujrzała w świetle tem krzyż przez chwilę i białe łoże pod nim. Wiatr wzruszał jej ciemne włosy i chłodem muskał jej szyję. W tej krótkiej chwili, kiedy Androwski zasłaniał namiot, zdało się jej, że przeżyła wieki wrażeń silnych i zwikłanych.

Chwiejące się płomię lampy znów krzyż blaskiem oblało. Szybko, gdy krzyż w pełni ujrzała, podeszła do łóżka i upadła przy niem na kolana, ukrywając głowę w pościeli.

Gdy Androwski umocował już zasłonę namiotu, odwrócił się i ujrzał ją klęczącą. Stał chwilę spokojnie, jak skamieniały, patrząc na nią. I wtedy, gdy płomię, osłonięte teraz od wiatru, rozlśniło się równo, zobaczył krzyż. Na razie — jakby go coś uderzyło, zachwiał się, a potem z wyrazem dzikiego i skupionego postanowienia w twarzy zbliżył się szybko do krzyża i oderwał go od płótna brutalnie. Przez chwilę trzymał go w ręku, a potem ruszył ku drzwiom namiotu i schylił się, żeby odczepić sznury, które przytwierdzały zasłonę, najwidoczniej z zamiarem wyrzucenia krzyża za namiot. Lecz nie mógł odczepić sznura. Coś — jakaś raptowna zmiana uczucia, jakaś tajemna i przemocna zapora — powstrzymała go. Wsunął krzyż do kieszeni. A potem zwróciwszy się, gdzie Domini klęczała, okolił ją ramionami i uniósł ją z ziemi.

Nie broniła się. Trzymając ją wciąż w ramionach, zdmuchnął lampę.

XIX.

Arabskie przysłowie głosi: „W pustyni zapomina się o wszystkiem; nikt już o niczem nie pamięta.“

Domini zdawało się to chwilami prawdą najprawdziwszą i najpiękniejszem oznajmieniem Wschodu. Trzy tygodnie upłynęły dopiero od ich pierwszego postoju w Arbie, i już życie jej w Beni-Morze zatarło się w pamięci, jak sen odległej przeszłości. Powierzywszy się pustkowiom rozległym, podróżując bez celu stałego od oazy do oazy poprzez puste obszary, w wiecznym blasku słonecznym skąpane, obozując często pośrodku piasków u której ze studzien, wydrążonych dla nomadów przez inżynierów francuskich, bez przerwy umacniani, bez przerwy pieszczeni powiewami, które były łagodne i rześkie, jakby ze złączenia jedwabiu i śniegu, żyli prawdziwie, jak we śnie pustynnym — i sen tylko mieli za sobą. Pędzili żywot prawdziwie koczowniczy — z namiotem ruchomym miast domu, z piaskiem żółtym miast gruntu i ogniska, z wolnością, która była im Bogiem.

Zatrzymali się na spoczynek południowy w miejscowości, która się zwała Sidi-Hamdan, i po południu mieli jechać dalej do stacji, zwanej Mogar'em, gdzie zamierzali pozostać dwa lub trzy dni, jako że Batucz zapewniał, że miejsce to dobre dla postoju i wpobliżu zbiorowiska gazel. Namioty pojechały już naprzód, i Domini wraz z Androwskim leżeli na kobiercu, rozpostartym na piasku, w cieniu szarego muru domu podróżniczego, wpobliżu studni. Ztyłu konie ich były uwiązane do żelaznych pierścieni w murze. Batucz i Ali stali na podwórzu domu, gwarząc ze strażnikiem arabskim, który tu mieszkał, głosów ich atoli nie było słychać z za muru, i cisza zupełna gościła, owa natężona i zarazem lekka cisza południa w pustyni, gdy słońce jest u zenitu, gdy nomada śpi pod nisko rozbitym na-

miotem, i ogrodnicy nawet w oazach przestają udawać, że pracują śród drzew palmowych.

Nie było nigdzie śladu ludzkiego. Nie widać było wielbłądów. Nie słychać było szczekania psów. Południe trzymało świat w swem złotem ujęciu.

— Borysie! — rzekła Domini, przerywając długą ciszę.

— Co, Domini?

Obrócił się ku niej na kobiercu, wyciągając leniwie swe długie, smagłe ciało, jakgdyby w najwyższem zadowoleniu fizycznem.

— Czy znasz to powiedzenie arabskie o zupełnem zapomnieniu wszystkiego w pustyni?

— Tak jest, Domini, znam je.

— Jak długo będziemy jeszcze pozostawali w tym świecie zapomnienia?

Uniósł się szybko na łokciu i utkwił w nią oczy.

— Jak długo?

— Tak jest.

— Czyż... czy chciałabyś porzucić je? Jesteś niem zmęczona?

W głosie jego była nuta ostrego niepokoju.

— Nie odpowiadam na takie zapytania — rzekła, uśmiechając się do niego.

— Dlaczego tedy chcesz mnie trwożyć?

Złożyła swą rękę w jego ręce.

— Jakżeś ty opalony! — rzekła. — Wyglądasz prawdziwie, jak Arab z południa.

— Pozwól, niech się jeszcze bardziej opalę. Tu zdrowie.

— I pokój, pokój doskonały.

Nic nie rzekł. Patrzał teraz wdół na piasek.

Złożyła wargi na jego ciepłej ręce bronzowej.

— Tu jest wszystko, czego pragnę — dodała.

— Tedy zostańmy tu.

— Tak! Ale przecież kiedyś będziemy musieli powrócić?

— Dlaczego?

— Czyż może co trwać wiecznie w życiu?... nawet nasz miesiąc miodowy?

— Przypuść, iż wybieramy, żeby tak było.

— Czyż można rzecz taką wybierać? Czyż można całe życie

być szczęśliwym, nie pełniąc obowiązku? Czasem zapytuję siebie o to. Tak kocham to życie wędrownicze, tak jestem w niem szczęśliwa, iż myślę chwilami, że nie może ono tak trwać długo.

Począł szybko przesiewać piasek przez swe palce.

— Obowiązek? — rzekł cicho.

— Tak jest. Czyż nie winniśmy pełnić czegoś — poza sprawą naszego osobistego szczęścia?

— Co przez to rozumiesz, Domini?

— Czy ja wiem? Ty mnie to powiedz.

W głosie jej był dźwięk naglący, jakgdyby pragnęła, a nawet domagała się czegoś od niego.

— Wszak wiesz — rzekł — że ja ciężko pracowałem dotychczas w życiu, ciężko, jak wyrobnik.

— Tak jest, wiem o tem — rzekła. — Zanim pobraliśmy się, dnia tego, kiedy siedzieliśmy w ogrodzie, opowiadałeś mi swoje życie i ja ci opowiadałam swoje. Jak różnemi były one!

— Tak jest — powiedział.

Zapalił papierosa i patrzał na dymek, kłębiący się w złocie blasków słonecznej atmosfery.

— Moje w środowisku świata i twoje... tak daleko od niego. Często widzę w myśli tę małą mieścinę, El Kreir, ogród, matkę twoją, brata twego bliźniaczego, Konstantego, jednookiego Araba służącego... jak to on się nazywał?

— El Maki.

— Tak jest, El-Maki, który uczył cię grać w korę, śpiewać pieśni arabskie i jeść ku-ku palcami. Niemal że widzę księdza André, który cię uczył klasyków i który ci mówił o filozofji. On także umarł, jak twoja matka, nieprawdaż?

— Nie wiem zgoła, czy umarł ksiądz André, czy żyje. Straciłem go z oczu — odrzekł Androwski.

Wciąż patrzał uporczywie na dymek, kłębiący się w złotem powietrzu.

— Sądzisz-li — nie pamiętam tego, że ty pracowałeś ciężko? — rzekła po chwili. — Mówiłeś mi, że sam zawsze uprawiałeś ziemię, nawet gdy byłeś jeszcze chłopcem, że kierowałeś robotnikami hiszpańskimi w winnicy, że wreszcie... zasłużyłeś na długie wakacje. Lecz czyż trud ma być już na zawsze rzucony?

— Masz tedy rację. Dobrze. Weźmy oazę. Uprawiajmy ogrody, jak Francuzi w Meskutinie.

— I pobudujmy sobie siedzibę afrykańską, białą, z płaskim dachem.

— I sprzedawajmy daktyle. Damy zajęcie Arabom. Wybierzemy co najbiedniejszych. Umoralnimy ich życie. I wtedy... jeżeli będziemy co komu zawdzięczali, to tylko im, tylko pustyni. Spłaćmy naszą powinność pustyni i mieszkajmy w pustyni.

— Byłoby to życie wymarzone — rzekła z oczyma błyszczącemi, patrząc w jego oczy.

— I życie możliwe. Urządzimy je tedy. Ja nie zniosę tego, byśmy porzucili pustynię. Dokąd my pójdziemy?

— Dokąd my pójdziemy? — powtórzyła.

Wciąż patrzała na niego, lecz teraz wyraz jej oczu odmienił się całkiem. Stały się one poważne i badały go serjo, z rodzajem głębokiego wnikania.

— Dlaczego patrzysz tak na mnie, Domini? — zapytał z nagłem drgnieniem czegoś, co było, jak zakłopotanie.

— Ja? Pytałam się, cobyś wolał robić, jakie inne życie przypadłoby ci do usposobienia.

— I co? — zapytał szybko. — I co?

— To dziwne. Nie mogę ciebie z niczem połączyć, prócz z pustynią; nie mogę cię widzieć nigdzie, prócz w pustyni. Nie mogę cię nawet wyobrazić pośród winnic tuniskich.

Patrzała wciąż na niego z tem samem głębokiem i całkiem nieświadomem wnikaniem.

— Zaś co do Londynu, Paryża...

Naraz wybuchnęła krótkim śmiechem, i powaga jej prysła.

— Mniemam, że nienawidzisz tych miast — rzekła. — A one... one nie pokochają cię, bowiem nie będą cię rozumiały.

— Kupmy sobie oazę — rzekł porywczo. — Pobudujmy sobie dom afrykański, sprzedawajmy daktyle i zostańmy w pustyni. Słyszę głos Batucza. Czas już snać jechać do Mogaru. Batucz! Batucz!

Batucz wyszedł z podwórza domu, obcierając resztki ku-ku ze swych lubieżnych warg.

— Odwiąż konie — rzekł Androwski.

— Ale, proszę pana, za gorąco jeszcze na jazdę. O, proszę patrzeć! Nikt się jeszcze nie rusza. Cała osada śpi jeszcze.

Zatoczył łuk olbrzymiemi rękoma, z paznokciami, ubarwio-

nemi henną, ku odległemu grodowi, odlanemu jakby z jednej sztuki bronzu.

— Odwiąż konie. Wpobliżu Mogaru są gazele. Czyż nie mówiłeś mi?

— Tak jest, proszę pana. Ale...

— Wyjedziemy stąd wcześniej i pod zachód słońca pójdziemy na nie. Nuże, Domini!

Odjechali w palącym żarze południa ku południo-zachodowi poprzez obszary szarego piasku. Za nimi w niewielkiej odległości ciągnęli: Batucz i Ali.

Około czwartej po południu przybyli na teren Mogaru.

Kiedy wjechali wolno, gdyż konie ich były zmęczone, od znoju spienione po długiem kłusowaniu poprzez piaski, i Domini i Androwskiego uderzyła niezwykłość tego miejsca postoju, niepodobnego zgoła do żadnego, jakie dotychczas widzieli. Grunt wznosił się tu łagodnie, lecz stale, od dłuższego już czasu, zanim jeszcze ujrzeli w odległości rozbite namioty z czarnemi kształtami wielbłądów i mułów. Byli tu poza piaskami, na twardym, jałowym gruncie, pokrytym drobnemi kamieniami, zaścielającemi ziemię. Poza namiotami nie było nic widać prócz nieba, które teraz było pokryte drobnemi, szaremi na skrajach chmurami, smutnemi i jesiennemi, i baszty samotnej, pobudowanej z kamienia, która wyrastała z obszaru, ciągnąc się prawie na dwieście jardów od namiotów ku wschodowi. Chociaż mogli widzieć tylko tak niewiele, to jednak doznali przemocnego wrażenia, że są tu na skraju jakiejś wizji przestronnej, jakiejś olbrzymiej zjawy przyrody, która miała dać im nowe i zdumiewające poznanie pustyni. Być może, widok tej baszty odległej, sterczącej śród chmur szarych, wzbudził w nich to uczucie prawie niespokojne oczekiwania.

— To całkiem, jak wieża strażnicza — rzekła Domini, wskazując batem. — Ale jak tu można żyć, w takiem miejscu, zdala od oazy?

— I nic tu stąd nie widać dokoła — rzekł Androwski. — To jest najniższy horyzont, jaki widzieliśmy, odkąd jesteśmy w pustyni.

— Tak jest, lecz...

Spojrzała na niego, gdy puścili konie lekkiego kłusa. A potem dodała:

— Ty także czujesz, żeśmy tu wjechali w coś wstrząsającego... Czyż nieprawda?

Koń jej zarżał przenikliwie. Domini poklepała go po szyi spienionej.

Kopyta ich koni oddawały twardy dźwięk na gruncie kamienistym.

— Niegościnne to miejsce — rzekł Androwski.

Domini spojrzała na niego niespodzianie.

— Nie przypominam sobie, byś miał dotychczas odrazę do jakiego miejsca w postoju — rzekła. — Co to znaczy, Borysie?

Uśmiechnął się ku niej, lecz prawie bezpośrednio potem twarz jego omroczyła się cieniem, który zdał się odpowiadać zmroczeniu nieba. I znowu utkwił wzrok w basztę.

— Lubię tylko dalekie horyzonty — odrzekł. — A tu niemasz dziś słońca.

— Sądzę, że nawet w pustyni nie będziemy go mieli zawsze — rzekła, a w głosie jej też było tchnienie smętku, jakby go wraz przejęła od niego.

Po chwili dodała:

— Mam zupełne wrażenie, jakgdybym była na wierzchołku skały i miała patrzeć na morze dokoła.

Z chwilą, gdy dopowiadała te słowa, wjechali kłusem w środowisko obozu ich służby i osadzili konie na skraju spadzistym, który był prawie przepastny. A potem siedzieli w siodłach, patrząc.

Od tygodni żyli pośrodku rozłogu i przyzwyczaili się do widoku rozległych szlaków dokoła, ginących wdali błękitnej; ten widok atoli z Mogaru zapierał im dech w piersiach i wzbudzał w nich tętno.

Był on przeolbrzymi. W tej zjawie niezmierzonej było nawet coś nienaturalnego, jakgdyby to było tylko ułudą i mogło istnieć tylko w ich widzeniu. Domini miała wrażenie, że żadne oczy ludzkie nie mogły istotnie widzieć takich nieskończonych szlaków krainy i wody, jak te, które — zdało się jej, że widzi w tej chwili. Albowiem tu, pośrodku pustyni, nie było zgoła wody. Nieskończony wylew morza szedł na spotkanie nieskończonych równin śniegowych. Lub tylko zdawało się tak obojgu. I morze to było szare i spokojne, jak morze zimowe, tchnące żałością

w obszarze krainy zimowej. Z morza tego tu i owdzie występowały wysepki, których niskie skały były koloru głębokiej czerwieni, jak czerwień piaskowców, a który obudzał tragiczność — wysepki, które wyglądały samotnie, jakgdyby nigdy nie było na nich życia i być nie mogło. Poza śnieżnemi równinami cisnęły się zwały piaskowe koloru najbledszych pierwiosnków, zwały piaskowe nieskończone, dziesiątki tysięcy zwałów, wznoszących się i opadających, aż póki nie zginęły w szarej oddali milczącego świata. Na pierwszym planie, u nóg końskich, od wierzchołka wzgórza szedł szlak szeroki, nikle znaczący się w piasku głębokim i obrzeżony olbrzymiemi zaspami, ukształtowanemi przez działanie wiatru w podobieństwa zabawne dziwotworów, lewjatanów, bestyj z dziwacznemi grzbietami, sfinksów, wielorybów.

Z lewej baszta osamotniona panowała nad tą wizją straszną opustoszenia i zdała się strzec jej bez przerwy, czatująco, swemi małemi strzelniczemi oczyma.

Weszliśmy tu w zimę — rzekła mrukliwie Domini.

Rzuciła okiem na biel kości wielbłądzich, rozsypanych suto na piasku, potem na szarość białą nieba, na bladość żółtą zwałów piaszczystych.

— Jak cudnie! Jak strasznie! — rzekła.

Nakierowała swego konia bliżej do konia Androwskiego.

Koń jej pochylił głowę, aż póki nie tknął ziemi nozdrzami, a wtedy wstrząsnął się w dreszczu przeciągłym. Domini wstrząsnęła się również, jakby w odzewie na ten niepokój zwierzęcia.

— Śmierć tu gościła — rzekł Androwski, przemawiając wreszcie cicho i wskazując swoim długim batem ku szkieletom wielbłądzim. — Zejdź, Domini, konie pomęczone.

W godzinę później Domini rzekła do Androwskiego:

— Czy naprawdę masz zamiar iść wieczorem na gazele?

— Cóż będzie, jeżeli pójdę? — rzekł, zwracając się ku niej, gdy przedtem obrzucił wzrokiem pustynię.

— Nic, lecz może jesteś zmęczony?

Potrząsnął głową.

— Nie mogłem jeździć, a teraz jeżdżę. Nie mogłem strzelać, a teraz właśnie zaczynam...

— Idź! — rzekła szybko. — Zresztą potrzebna nam istotnie

gazela na obiad. Tak powiada Batucz, chociaż ja nie sądzę, byśmy i bez niej umarli z głodu.

Zbliżyła się do drzwi namiotu i stanęła obok niego, a on ją otoczył ramieniem.

— Gdy zostanę tu sama dzisiaj — rzekła, poddając się jego ramieniu — wiem, że będzie mi okrutnie smutno.

— Mam zostać?

Przytulił ją do siebie.

— Nie. Wiem, że powrócisz rychło. Jakże to dziwne, żeśmy tyle lat żyli, nie wiedząc wzajem o sobie, żeśmy żyli samotni. Czyś był kiedy szczęśliwy?

Zawahał się, zanim odpowiedział.

— Chwilami myślałem, że byłem.

— Lecz teraz, czy sądzisz, żeś był kiedy szczęśliwy?

Nic nie odrzekł, lecz po chwili pocałował ją długo i mocno, jakgdyby pragnął przez te odrzwia ust ściągnąć jej istotę do swojej.

— Bądź zdrowa! — rzekł, zwalniając ją. — Po zachodzie słońca będę zpowrotem.

— Dobrze. Nie czekaj tam zmroku późnego. Jeszcze zabłądzisz w tych zaspach.

Wskazała na odległe wzgórki piaszczyste, wznoszące się i opadające melancholijnie na horyzoncie.

— Gdy nie powrócisz wczas — rzekła — stanę u wieży i będę powiewała głownią płonącą z ogniska.

— Dlaczego u wieży?

— Tam poziom najwyższy.

Odjechał na mule, z dwojgiem Arabów, niosących strzelby. Przybyli na równię saletrzaną, która wyglądała, jak śnieg obok morza, które było tylko mirażem. Wtedy wróciła do namiotu, wzięła tom Fromentina i siadła w fotelu składanym u drzwi namiotu. Poczytała chwilę — trudno atoli było czytać, mając miraż przed oczyma. Oczy jej kierowały się bez przerwy od książki ku tej tajemniczej i żałosnej smętności, która była, jak smętność czegoś nieziemskiego, jak smętność ducha, który cierpiał, lecz który nie mógł się poruszyć. Nie zamknęła książki, lecz złożyła ją otwartą na kolanach i siedziała, patrząc. Androwski zniknął z Arabami za fałdami piasków pustyni. Z nim razem zniknęły promienie słoneczne. Bez Androwskiego i bez

słońca — łączyła ich zawsze razem i wiedziała, że tak będzie czyniła zawsze — smętek pustyni wzmagał się dla niej, aż wreszcie przytłoczył ją wielkim ciężarem. Nie była kobietą, skłonną do rojeń chorobliwych. Owszem, wszystko, co chorobliwe, budziło w niej wstręt instynktowny. Atoli ta szarość raptowna powietrza, po tylu tygodniach płomiennych blasków słońca, złączona z fantastyczną pustką krajobrazu, który był napoły rzeczywisty, napoły ułudny, obudziły w niej nagle ten stan oschłości ducha, który nawiedzał ją rzadko.

Jak długo tu siedziała, nie wiedziała sama. Było już pod wieczór; zanim jednak zmierzch zapadł, ujrzała na szlaku piaszczystym od zwałów ciągnącą zwolna gromadkę, znużoną, pyłem okrytą, składającą się z trzech żołnierzy żuawów i jednego oficera. Jechali sami na mułach i na dwóch prowadzonych mułach wieźli swe skromne bagaże. Gdy wjechali już na wierzchołek wzgórka, skręcili na prawo i dążyli w kierunku ku baszcie. Oficer jechał nieco na przedzie gromadki. Był to dworsko wyglądający, piękny mężczyzna, lat około trzydziestu dwóch, z jasnemi wąsami, niebieskiemi oczyma, jasnemi rzęsami i włosami barwy piasków pustyni. Twarz jego była czerwona, ogorzała od słońca. Oczy, jakkolwiek osłonięte wielkiemi szkłami ochronnemi, były rozpłomienione. Skóra na nosie łuszczyła mu się od żaru. Włosy jego były pełne piasku; jechał, pochylając się na szyi zwierzęcia i trzymając bez mocy uzdę rękoma, które ze znużenia zdawały się być bez nerwów. Pominąwszy to, wyglądał dorodnie i, mimo wyczerpania, zdradzał dobre ułożenie, tak, iż na paradzie byłby się wyróżniał, jako oficer „z prezencją". Widać było odrazu, że i on i jego ludzie jadą z jakiejś strasznej wyprawy. Ci ostatni byli, jak psy, pomęczeni i całkiem upadający.

Mała ta kawalkada zbudziła Domini z zapatrzenia się w miraż. Oficer był tuż przed nią, gdy usłyszała razem odgłos kopyt muła po kamienistym gruncie. Spojrzała, zdziwiła się — i oficer zdziwił się jeszcze bardziej, widząc wytworną damę, siedzącą u stóp baszty. Zdumienie jego i zmęczenie nie pozbawiło go atoli odruchu drobnego wychowania, gdyż wyprostował się naraz w siodle, zbliżył palce do kaszkietu podróżnego i przeprosił Domini, że ją niepokoi.

— Jest to atoli moja siedziba na noc, *madame* — dodał, wy-

ciągając jednocześnie klucz z kieszeni swych szerokich spodni. — I rad jestem, żem się wreszcie dostał do niej. *Ma foi!* W ostatnich dniach były chwile, w których nie spodziewałem się, że ujrzę jeszcze Mogar.

Zsiadł wolno z muła i stał, trzymając się siodła ręką.

— F-f-f! — rzekł, wydymając usta. — Ledwo się trzymam na nogach. Proszę panią wybaczyć mi.

Domini wstała.

— Pan i jego ludzie są porządnie zmęczeni — rzekła. patrząc na nich z zaciekawieniem.

— Niezgorzej, oczywiście. Trzy dni ostatnie w wielkich zaspach przetrwaliśmy burzę piaszczystą i cudem znaleźliśmy wreszcie szlak, gdyśmy już gotowali się... no, na wielką przeprawę.

— Na wielką przeprawę? — rzekła Domini.

— Ostatnią w życiu, proszę pani.

Mówił poprostu, nawet z odcieniem humoru, który był prawie drwiącym; w słowach jego atoli odczuła uroczystość i dziękczynienie, które ją pociągnęło i wzruszyło.

— Te straszne zaspy! — rzekła.

I zwracając się, spojrzała na piaski odległe.

— Mój mąż jest tam także — dodała.

— Pani mąż?

Spojrzał na nią pilniej, przestąpił z nogi na nogę, jakgdyby próbując ich mocy, a potem dodał:

— Przypuszczam, że niedaleko stąd. Widzę bowiem, że tu jest obóz państwa.

— Poszedł tylko na gazele.

Mówiąc ostatnie słowo, zauważyła, jak jeden z żołnierzy, istne chłopię, oblizał się, a potem zerknął z gestem rozpacznym ku swym towarzyszom.

Przyszła jej myśl raptowna.

— Niech mi pan nie bierze za złe, ale... jakże tam ze śpiżarnią w baszcie?

— O, co do tego, proszę pani, całkiem wyśmienicie. Otwórzno drzwi, Marelle!

Z temi słowy dał klucz żołnierzowi, który krokiem zmęczonym postąpił i włożył go w drzwi baszty.

— Po trzech atoli dniach w zaspach zapasy musiały się wyczerpać i nie mieliście panowie możności zaopatrzenia się.

— Pani nadto dobra. Sporządzimy sobie ku-ku.

— Ale wino? Macie panowie wino?

Wezbrał w niej cały „dobry druh“.

— Pozwoli pan, że mu trochę nadeślę — rzekła. — Mamy go sporo.

Miała na myśli kilka butelek szampańskiego, które przywieźli z sobą, a które było nietknięte.

— W pustyni jesteśmy wszyscy przyjaciółmi — dodała, jakgdyby mówiąc do żołnierzy.

Ci spojrzeli na nią z jawnem uwielbieniem, które opromieniło ich twarze zmęczone.

— Pani jest nadto dobra — rzekł oficer — przyjmuję jednak dar pani z taką otwartością, z jaką go pani ofiaruje. Trochę wina będzie darem, zesłanym z nieba na ten wieczór. Dziękuję pani.

Gdy tak rozmawiali, zmrok wzmógł się gwałtownie. Spojrzała ku zaspom odległym i już ich nie dojrzała. Myśl jej podążyła odrazu ku Androwskiemu. Dlaczego nie wraca? Pomyślała o sygnale. Od obozu, obok ich namiotu sypialnego, uniosło się ognisko, świeżo rozpalone.

— Byłabym bardzo wdzięczna panu — rzekła — gdyby jeden z pańskich żołnierzy poszedł i powiedział Batuczowi... Batuczowi... żeby tu przyszedł. I poprosiłabym również o przyniesienie mi głowni dużej z ogniska.

Ujrzała zdziwienie w oczach oficera i uśmiechnęła się.

— Chcę dać znak memu mężowi — rzekła — a tu miejsce najwyższe. Stąd będzie widział najlepiej.

— Ruszaj, Marelle, powiedz Batuczowi i przynieś głownię płonącą z ogniska.

Żołnierz zasalutował i żwawo pojechał. Myśl o winie wlała rześkość w żyły pomęczonej gromadki.

— A teraz niech pan nie robi ceremonij — rzekła Domini do oficera. — Proszę się iść oporządzić. Zatęsknił pan, sądzę, do orzeźwienia.

— O, tak, pani; pragnę wyglądać choć nieco po ludzku — rzekł z dworskością, patrząc na nią z iskrą uwielbienia w oczach

zaognionych. — Pozwoli pani, że powrócę za chwilę i odprowadzę ją do namiotów.

— Dziękuję panu.

— Pani pozwoli... nazywam się de Trevignac.

— A ja... madame Androwska. Jest to nazwisko męża, bowiem ja jestem Angielką — dodała. — A teraz, proszę, nie zatrzymuję pana.

— Za chwilę będę służył — odrzekł oficer.

Wszedł do baszty, a żołnierze wjeżdżali na podwórze, ciągnąc za sobą na linach muły pomęczone.

Domini czekała na powrót Marella. Usposobienie jej całkiem się zmieniło. Blask uczuć ludzkich, społecznych, oddalił precz melancholję. Naraz postanowiła zaprosić ich wszystkich tego wieczoru na obiad.

Marelle powrócił z Batuczem. Ujrzała ich zoddali, jak szli poprzez ciemność z błyskającemi pochodniami w rękach.

Gdy się zbliżyli, rzekła:

— Batucz, idź i każ przygotować obiad w obozie dla żołnierzy.

Wielka bretońska twarz Marella opromieniła się łuną uśmiechu.

— A pan oficer będzie obiadował ze mną i z panem. Spraw się jak najlepiej. Może tam będzie nieco gazeli.

Batucz otworzył usta, by oświadczyć, że obiad będzie bardzo skąpy, lecz Domini go powstrzymała.

— I przygotuj parę butelek szampańskiego... Pommery. Wypijemy za ich ocalenie. A teraz dawaj mi pochodnię i idź zarządź do kuchni.

Gdy dał jej głownię do ręki i zniknął w ciemności, de Trevignac wyszedł właśnie z baszty. Wyglądał wciąż, jak człowiek wyczerpany, i chodził z pewną trudnością, zmył atoli pył z twarzy wodą ze studni artezyjskiej, która była obok baszty, zmienił mundur, wyczesał płowe włosy z kurzu i włożył szykowną czapkę z lampasem na miejsce kaszkietu. Z oczu zdjął okulary, a w usta włożył duże cygaro — ostatnie, które zachował sobie w zaspach, jako możliwą osłodę na chwilę straszne śmierci.

— Monsieur de Trevignac, pragnę zaprosić pana dzisiaj na obiad — jedynie na obiad. Natychmiast po kawie i koniakach

będzie pan mógł ruszyć do łóżka. Wypijemy po szklaneczce szampańskiego za naszą wspólną pomyślność.

Mówiła wesoło, serdecznie. I dodała poważnie:

— Nie codzień uchodzi się z rąk śmierci śród zasp piaszczystych. Przyjdzie pan?

Wyciągnęła ku niemu dłoń szczerze, przyjaźnie. On ją uścisnął, jak ściska mężczyzna dłoń kobiety, gdy w piersi ma tkliwość i czułość.

— To jedno mogę tylko powiedzieć, że pani jest nazbyt dobrą dla nas, biednych żołnierzyków, i że trudno się będzie odczepić od nas, bowiem tak będziemy szczęśliwi w namiocie państwa, że zapomnimy na pewno o naszej zimnej baszcie.

— Zatem postanowione.

Z głownią w ręku poszła na skraj pagórka. De Trevignac szedł za nią. Wziął drugą głownię od Marella. Stali przy sobie, patrząc w nieskończoność pustego obszaru, który obecnie pogrążał się już w nocy.

— Stąd będzie pani sygnalizowała?

— Tak jest.

— Może ja to zrobię za panią? O, mam tu głownię gotową.

— Nie, dziękuję panu. Zrobię to sama.

W blasku płomienia, który wzbił się, jakgdyby pragnąc dotknąć jej twarzy, dostrzegł światło w jej oczach, które zrozumiał; opuścił tedy swą głownię ku ziemi, podczas gdy ona wzniosła swoją i powiewała nią wśród ciemności okolnej.

On patrzał na nią. Trzymał wciąż głownię u ziemi, lecz gdy ona swoją powiewała, uczuł nieprzepartą ochotę przyłączenia się do tego czynu, który miał w sobie coś wspaniałego i heroicznego. Uniósł tedy do góry swą głownię i powiewał nią obok jej głowni śród nocy.

Domini zaśmiała się ku niemu w płomieniach.

— Na pewno zobaczy — rzekła.

Od dołu, zoddali pustyni, wzbiło się głośne wołanie silnego męskiego głosu.

— Ach! — zawołała.

I głosem ciepłym i pełnym mocy ozwała się ku niemu zkolei. Głos męski odpowiedział bliżej. Opuściła głownię ku ziemi.

— Za pół godziny tedy... czekamy pana.

— Całem sercem podążymy. Ale może mam odprowadzić panią?...

— Nie, tu całkiem bezpiecznie. I proszę przyprowadzić swoich żołnierzy. Sporządzimy dla nich ucztę, na jaką nas tylko stać. Będzie wina dosyć dla wszystkich.

Zaczem odeszła szybko, ochoczo, ginąc w ciemności.

— Taką mieć żonę! — rzekł do siebie de Trevignac. — Szczęśliwy — szczęśliwy człowiek!

Upuścił swą głownię na ziemię obok jej głowni i patrzał, jak płomienie ich mieszają się ze sobą.

— Szczęśliwy człowiek — powtórzył głośniej. — Ciekaw jestem, jak on wygląda.

XX.

Domini spotkała Androwskiego, powracającego z Arabami, na skraju wzgórza.

— Widziałeś mój znak?

— Tak jest.

Chciał mówić dalej, lecz ona przerwała mu żywo:

— Masz gazelę? A!

Na mule jednego z Arabów ujrzała zwieszającą się gazelę, z delikatną głową, z cienkiemi, śpiczastemi rogami, smagłemi nogami i jak wyrzeźbionemi małemi stopkami, które poruszały się do taktu z ruchami muła.

— Przyda nam się bardzo tego wieczoru. Odwieź ją zaraz do kuchni, Achmedzie.

Androwski zsiadł z muła.

— Widzę światło w baszcie — rzekł, spojrzawszy na nią i wraz spuszczając oczy.

— Tak jest.

— I widziałem dwa znaki. Powiewały dwie głownie równocześnie.

— Tego wieczoru mamy towarzyszów w pustyni.

— Towarzyszów? — rzekł.

Głos jego zadźwięczał zdziwieniem.

— Ludzi, którzy uniknęli strasznej śmierci w zaspach piaszczystych.

— Arabowie?

— Francuzi.

Opowiedziała mu pokrótce przygodę. Słuchał w milczeniu. Kiedy skończyła, nic nie rzekł. Rzuciwszy wzrokiem na stół nakryty, dojrzał trzy nakrycia. Stał się chmurny i mroczny.

— Nie skarcisz tego, Borysie! — rzekła zdziwiona. — Nie odmówisz przecież gościnności tym biednym zuchom?

Wsunęła mu rękę pod ramię i przytuliła się.

— Czyżbym źle zrobiła? Ale nie sądzę, by tak było.
— Źle! Czyż ty możesz co złego zrobić?
Widać było, że czyni wysiłek, jakby pragnąc stłumić coś w sobie.
— To ja nie mam racji, Domini. Ale prawdą jest, że nie mogę znieść, by ludzie wkraczali w nasze szczęście, nawet przez jeden wieczór. Pragnę być tylko z tobą. To nasze życie w pustyni uczyniło mnie takim sobkiem. Chcę być sam, sam, tylko z tobą.
— Tak jest. To radość mi sprawia.
Wsparła się twarzą na jego ramieniu.
— Tedy — rzekł — ten drugi sygnał?...
— Podał go pan de Trevignac.
Androwski wyrwał nagle swe ramię.
— Pan de Trevignac? — rzekł. — Pan de Trevignac?
Stał, jak zgnębiony myślą trwożną i mocną.
— Tak jest. Oficer. Tak się nazywa. Ale co tobie?
— Nic.
W ciemności koło namiotów rozdźwiękły głosy zbliżających się osób. Mówili po francusku.
— Ja muszę... — rzekł Androwski — muszę...
Zrobił ruch niepewny, jakgdyby chciał iść ku piaskom, powstrzymał się i ruszył gwałtownie do namiotu, gdzie była gotowalnia. Gdy zniknął, de Trevignac i jego towarzysze weszli do namiotu.
— Mąż mój zaraz nadejdzie — rzekła Domini. — Spóźnił się nieco, ale zato przywiózł gazelę. A teraz, proszę, niechaj pan zaraz spocznie.
Wprowadziła go do namiotu, gdzie była jadalnia. De Trevignac rzucił wzrokiem na stół z trzema nakryciami i nie starał się ukryć żywego przedsmaku.
— Pani — rzekł — jeżeli rozgrzeszę się tego wieczoru i będę jadł, jak ów smok z bajki, pani mi wybaczy, nieprawdaż?
— Nie wybaczę, jeżeli będzie inaczej.
Mówiła wesoło, posadziła go w krześle składanem i zmusiła, że podłożył sobie poduszkę pod plecy.
Czekając na Androwskiego, Domini prosiła de Trevignaca, by opowiedział jej swą straszną przygodę w zaspach. Spełnił to z prostotą, jak żołnierz, bez przesady. Gdy skończył, rzekła:

— Śmierć tedy była już pewna?
— Prawie pewna, proszę pani.
Spojrzała na niego poważnie.
— Po takiem spojrzeniu w twarz śmierci śród pustki i osamotnienia musi się życie innem potem wydawać.
— Tak jest, pani. Lecz ja nie czułem osamotnienia.
— Z racji pańskich ludzi?
— Nie, pani.
Po chwili dodał z prostotą:
— Matka moja była nabożną katoliczką. Jestem jedynem jej dzieckiem i... nauczyła mnie ona już dawno, że podczas trwogi nigdy się nie jest samotnym.
Serce Domini wezbrało ciepłem ku niemu. Wzruszyła ją ta ufność w Boga, tak otwarcie wygłoszona przez żołnierza, członka pułku afrykańskiego, w tym dzikim kraju.
Zanim znów przemówili, Androwski przebył ciemną przestrzeń pomiędzy namiotami i wkroczył zwolna w krąg światła od lamp. De Trevignac powstał z fotela, i Domini przedstawiła ich wzajem. Podczas ukłonu obrzucili się szybkiem spojrzeniem. Potem Androwski patrzał wdół, a dwie zmarszczki pionowe okryły jego wysokie czoło nad brwiami. Nadały one jego twarzy wyraz raptownej rozpaczy. De Trevignac podziękował mu za gościnność z układnością swobodną światowca, świadcząc tem, że uprzejme zaproszenie, jakie spotkało jego i jego ludzi, pochodzi zarówno od niego, jak i od jego żony. Gdy skończył mówić, Androwski, nie podnosząc oczu, rzekł głosem, który wydał się Domini całkiem nowym, jakgdyby umyślnie przybranym:
— Jestem rad. Znaleźliśmy gazelę, spodziewam się tedy... spodziewam się, że obiad będzie niezgorszy.
Słowa te były aż nazbyt pospolite, sposób atoli, w jaki zostały wypowiedziane, był tak dziwny, dźwięczał tak nienaturalnie, był tak wymuszony, iż i de Trevignac i Domini spojrzeli na mówcę ze zdziwieniem. Nastała chwila milczenia. A wtedy Batucz i Uardi weszli z zupą.
— Chodźmy! — rzekła Domini. — Zaczynajmy. Panie de Trevignac, proszę z prawej strony koło mnie.
Siedli. Dwaj panowie znaleźli się naprzeciw siebie z dwu końców małego stołu, przedzieleni lampą. Domini była zwrócona

twarzą do drzwi namiotu i mogła była widzieć przez nie woddali namioty służby, oświetlone blaskiem ogniska, i kształty żołnierzy francuskich, siedzących w skupieniu przy stole z Arabami, którzy ich otaczali. Dźwięki rozmowy wesołej i wybuchy przygodne śmiechu, prawie dziecięce w nieskrępowaniu swobody, mówiły jej, że uczta udała się w pełni. Spojrzała na swych towarzyszów i nagle powzięła pragnienie, prawie zapalne, by i ta druga uczta, której ona przewodniczyła, udała się także. Dlaczego jednak Androwski zachowywał się tak dziwnie wobec innych ludzi? Dlaczego wydawał się całkiem innym, gdy wypadło mu zbliżyć się do nich? Byłaż to nieśmiałość? Czy głęboka nienawiść dla całego rodzaju? Nie mogła — to pewne — wymagać od niego zbytniej towarzyskości, której się nabywa przez długie obcowanie z mężczyznami i kobietami wszelkich stanów. Wiedziała jednak, że jest on nietylko pełen ognia i uczuć, człowiekiem wielkiego temperamentu, lecz zarazem człowiekiem, który miał czas na studja, którego umysł nie był pusty. Był on człowiekiem, który myślał głęboko. Wiedziała o tem — i oto uczuła, że żywioł wojowniczy powstaje w niej. Postanowiła użyć swej woli, by zmusić człowieka, którego kochała, do przedstawienia się z lepszej strony gościowi, który przybył tu, uszedłszy z rąk śmierci. Postanowiła być nawet stanowczą.

De Trevignac rzucił na nią wzrokiem z nad talerza, a potem na Androwskiego. Zajęcie się jego dwojgiem tych ludzi, których spotkał w tej pustce rozłogów w chwili, gdy wszystkie jego władze były podniecone z powodu przebytego niebezpieczeństwa, bądź jak bądź, było bardzo niezwykłe. Było atoli coś, co czyniło zajęcie to jeszcze bardziej niezwykłem — mianowicie, w stosunku do Androwskiego. Zdawało mu się, że widział go już kiedyś, a może nawet poznał się z nim kiedy. Tak jest, twarz Androwskiego nie była mu obcą. Nie mógł powiedzieć, skąd czerpał te wrażenia, lecz były one dziwne. Szukał w pamięci.

Uczucie znużenia stłoczyło go narazie, gorąca atoli zupa i pierwsza lampka wina orzeźwiły go. Odzewnątrz dobiegł do nich wesoły gwar obozowiska.

— Obawiam się, czy moi ludzie nie zanadto hałasują — rzekł de Trevignac.

— To nam sprawia przyjemność — rzekła Domini. — Nieprawdaż, Borysie?

— Oczywiście — odrzekł Androwski wciąż tym samym zduszonym i nienaturalnym głosem, który już był zdziwił Domini, gdy przedstawiała dwóch panów wzajemnie. — Jesteśmy przyzwyczajeni do wesołości u ognisk obozowych.

— Czy długo zabawicie państwo w pustyni? — zapytał de Trevignac.

— Przypuszczam, że tak. To zależy od mojej... to zależy od pani Androwskiej.

— Dlaczego nie powiedział: „od mojej żony?" — pomyślał de Trevignac. I znowu szukał w pamięci. Czy rzeczywiście widział kiedy tego człowieka? A jeżeli widział, to gdzie?

— Co do mnie, zostałabym w pustyni na zawsze — rzekła szybko Domini, rzucając przeciągłe spojrzenie na swego małżonka.

— Jabym nie mógł, proszę pani — oświadczył de Trevignac.

— Pojmuję. Pustynia ukazała panu swą grozę.

— Istotnie tak było.

— Nam ukazała jedynie swe czary. Czyż nieprawda? — zwróciła się do Androwskiego.

Po chwili odrzekł:

— Tak jest.

Słowa te, wybiegłszy, zadźwięczały, jak kłamstwo.

Po raz pierwszy od czasu małżeństwa Domini uczuła chłód, jak chłód lodu koło serca.

Domini i de Trevignac pili wino szampańskie. Uardi zbliżył się do Androwskiego, by napełnić jego kieliszek.

— Nie, nie! — odrzekł, kładąc dłoń na kieliszek i potrząsając głową.

De Trevignac drgnął.

Uardi spojrzał na Domini i zrobił grymas rozpaczny, wskazując palcem brunatnym kieliszek.

— A! Borysie! Musisz się napić z nami szampańskiego! — zawołała.

— Wolałbym nie pić — odrzekł. — Nie przywykłem do szampańskiego.

— Ale musimy wypić za zdrowie naszego gościa, który uszedł śmierci.

Androwski odjął dłoń od kieliszka, i Uardi napełnił go winem. Wtedy Domini ujęła kieliszek i wzniosła zdrowie de Trevignaca. Androwski poszedł za jej przykładem, atoli bez animuszu. Zbliżywszy usta do kieliszka, ledwie skosztował wina. Potem odstawił kieliszek i kazał Uardiemu dać sobie wina czerwonego. I już przez cały obiad nie pił szampańskiego. Jadł również bardzo mało, mniej, niż zwykle, kiedy apetyty obojga w pustyni były prawdziwie wilcze.

Rozmowa zeszła na Mogar. Domini wyraziła de Trevignacowi, jak przykre uczucia trwogi i opuszczenia budzi ta kamienista miejscowość, a potem zwróciła się do Androwskiego:

— Czyż nieprawda, Borysie? Czyż nie wygląda Mogar na miejscowość, w której... na miejscowość tragiczną, która musi sprowadzić tragedję?

— Nie miejsca tworzą tragedję — rzekł Androwski — lub, co najmniej, znacznie rzadziej, niż ludzie o tem sądzą.

Zatrzymał się i zdawało się, że czyni wysiłek, by przełamać swoją małomówność i że narazie zdolen jest ją przełamać, przynajmniej częściowo. Bowiem mówił już dalej z większą swobodą i naturalnością, a nawet z pewną mocą przekonania.

— Gdyby ludzie zażywali swej woli, miejscowości nie miałyby na nich wpływu, nie byliby rządzeni przez tysiące rzeczy: wspomnienia, obawy, wyobraźnię — tak jest, przez obrazy, które nastręcza wyobraźnia, a które są cieniami jedynie, z których ludzie sami tworzą sobie upiory.

— Lecz przecież ty sam — rzekła Domini — gdyśmy tu przybyli, uczułeś wpływ tragiczny tego miejsca. Czy nie pamiętasz, jakeś spoglądał na tę basztę?

— Na basztę! — rzekł, rzucając szybkie spojrzenie na de Trevignaca. — Pocóżbym miał spoglądać na basztę?

— Nie wiem tego. Patrzałeś jednak na nią, jakgdyby budziła ona przestrach w tobie.

— Moja wieża! — rzekł de Trevignac.

Od ogniska dopłynął do nich nowy wybuch śmiechu. Domini uśmiechnęła się życzliwie, lecz de Trevignac i Androwski spojrzeli na siebie przez chwilę, jeden z rodzajem surowego wniknięcia, drugi z wrogością lub z tem, co się zdało wrogością poprzez krąg światła od lampy, który ich rozdzielał.

De Trevignac zwrócił się do Domini:

— W tym razie pani była samotną czuwającą, a ja tem czemś strasznem, co przyszło.

Zaśmiała się. Kiedy to czyniła, de Trevignac zauważył, że Androwski spojrzał na nią z rodzajem smutnej uwagi, jakby osoba starsza patrzała na dziecko, igrające na skraju przepaści, w którą krok fałszywy może je strącić lada chwila. Starał się wytłumaczyć sobie ten dziwny wzrok, tak jawnie zrodzony na twarzy Androwskiego, w związku z jego własnem spojrzeniem. Zdało mu się, że musiał gdzieś spotkać Androwskiego i że Androwski wiedział o tem, wiedział — czego on jeszcze nie wiedział — gdzie to było i kiedy.

Zaśmiawszy się, Domini rzekła:

— Przeciwnie, proszę pana: pan zwrócił moje myśli w kierunku weselszym.

— Jakim sposobem?

— Skierował je pan na tory rzeczy, tak zwanych drobnych, życiowych, które, sądzę, są raczej działem kobiety, niż mężczyzny.

— Ach! — rzekł. — Ta strawa, to wino, ten fotel z poduszką, to światło wesołe — nie są to drobne rzeczy — i czuję za nie wdzięczność niezmierną. Kiedy pomyślę o zaspach, wtedy rzeczy te zdają mi się... zdają mi się...

Naraz urwał. Wesoły głos jego załamał się. Ujrzała łzy w jego niebieskich oczach, utkwionych w nią z wyrazem płomiennej wdzięczności. Odchrząknął.

— Nie weźmie mi pan tego — zwrócił się do Androwskiego — za zbytnie wykroczenie przygodnej znajomości w pustyni, jeżeli oświadczę mu, że do końca życia — ja i moi ludzie — będziemy wspominali panią, jak bóstwo dobroczynne w pustynnej Saharze.

Nie wiedział, jakie wrażenie zrobi to oświadczenie na Androwskim, i nie dbał o to.

Androwski rzekł:

— Dziękuję panu.

Rzekł to z mocą, nawet z zapałem, które były wstrząsające. Po raz pierwszy, odkąd byli razem, głos jego zadźwięczał całkiem naturalnie, sposób zachowania był całkiem niewymuszony, okazał się, czem był, człowiekiem płomiennym, z miłością dla kobiety, która mu się oddała, a który ciepłe słowo pochwały

dla niej przyjmuje, jako dar, jemu przynależny. De Trevignac nie dziwił się już, że Domini była jego żoną. Dwa słowa te i sposób, w jaki zostały wypowiedziane, odsłoniły mu człowieka — i czem on był w życiu kobiety. Domini spojrzała na swego męża w milczeniu. Zdało się, że serce jej kąpie się w świetle i że opuszczony Mogar staje się naraz rajem na przyjęcie aniołów.

Pod koniec obiadu Domini wstała od stołu.

— Nie krępujmy się w pustyni — rzekła. — Opuszczę panów na chwilę. Daj, Borysie, panu de Trevignac'owi cygaro. Zaraz przyniosą kawę.

Poszła ku ognisku obozowemu. Chciała zostawić dwóch mężczyzn ze sobą, by zawarli bliższą znajomość. Zmiana w usposobieniu jej męża i zwrot od milczenia ku serdeczności zachwyciły ją. Była szczęśliwa, jak dziecko.

Pomiędzy ogniskiem i namiotem spotkała Uardiego, niosącego tacę, a na niej kawiarkę, filiżanki, małe kieliszki i pękatą butelkę z likierem afrykańskim — niespodzianka, jaką zgotował Batucz.

Zbliżyła się do ogniska i stała przez kilka minut, patrząc na ogień i na twarze, ogniem oświetlone, Francuzów i Arabów. Szczęśliwe żołnierzyki śpiewali chórem francuskie piosenki, ku zadowoleniu Arabów, którzy, kołysząc do taktu głowami i przyklaskując z uśmiechem, starali się okazać uznanie dla muzyki barbarzyńców. Zdjęła ją raptowna ochota pójścia aż do baszty, do miejsca, w którem czuła się tak smutną i zgnębioną, postać tam chwilę w jej cieniu i oddać się radości, która jej serce przepełniała.

Poszła za pobudką, przebyła przestrzeń, wiodącą ku baszcie, i stanęła pod nią, patrząc w ciemność, która okrywała zaspy, białe równiny, morze ułudne, widząc je w wyobraźni i radośnie odżegnując się od nich. Potem zmierzała zpowrotem do obozowiska, idąc wolno, jak idą ludzie szczęśliwi. Gdy uszła kawałek drogi, usłyszała, że ktoś zbliża się do niej. Było zbyt ciemno, by można było widzieć, kto szedł ku tej stronie. Mogła tylko słyszeć kroki śród kamieni. Kroki te były śpieszne. Przeszły koło niej i zatrzymały się za nią u baszty.

Pytała siebie, ktoby to mógł być, i przyszła do wniosku, że, być może, który z żołnierzy udał się po coś do baszty, lub może zmęczony pośpieszył do łóżka.

Zbliżała się ku namiotowi w którym pozostawiła Androwskiego z de Trevignac'iem. Spodziewała się, że usłyszy już zdala głosy ożywione, lecz nic nie usłyszała. Nie ujrzała też ich czarnych sylwetek w kole światła. Może przyłączyli się do żołnierzy i do Arabów koło ogniska. Przyśpieszyła kroku, przyszła do namiotu, weszła i zastała tylko swego małżonka, stojącego w kącie, utworzonym przez płótna namiotu, plecami do niej. Na podłodze leżały kawałki rozbitego kieliszka.

— Borysie! — rzekła. — Gdzie pan de Trevignac?

— Poszedł — rzekł Androwski głosem mocnym i głośno.

Spojrzała na niego. Twarz jego była mroczna i pełna mocy, zacięta, jak twarz człowieka, który walczy.

— Poszedł? Dlaczego?

— Zmęczony. Prosił, żebym cię w jego imieniu przeprosił.

— Ależ...

Spojrzała na filiżanki z kawą, które stały na stole. Dwie z nich były pełne. Trzecia, jej filiżanka, była opróżniona.

— Lecz on nie wypił kawy! — rzekła.

— Nie chciał.

— Lecz... co tu się działo?

Spojrzała na rozbite szkło i ujrzała plamy na podłodze śród szczątków.

— Co to takiego? — rzekła. — O, to likier afrykański.

Androwski ujął naraz jej ramie, jak w szpony żelazne, i wyprowadził ją z namiotu. Przebyli w milczeniu przestrzeń ku namiotowi sypialnemu. Gdy już przyszli do niego, puścił jej rękę i usłyszała, jak szukał zapałek. Stała w drzwiach namiotu i mogła była stąd widzieć, że w baszcie było światło. De Trevignac musiał już był powrócić.

Androwski potarł zapałkę i zapalił świecę. Potem zbliżył się do drzwi namiotu i ujrzał, że Domini miała wzrok skierowany ku wieży oświetlonej.

— Chodź do środka, Domini — rzekł, ujmując ją za rękę i mówiąc grzecznie, lecz wciąż z tą mocą, która miała rozkaz w podorędziu.

Domini usłuchała; Androwski zasłonił płótno i ogrodził wnętrze namiotu od ciemności nocy.

— Co to było, Borysie? — zapytała.

Stała przy jednem z łóżek.

— Co to się stało?

— Dlaczegoż... stało?

— Nie pojmuję. Dlaczego pan de Trevignac oddalił się tak nagle?

— Domini! Czyliż dbasz tak wielce o to, czy jest on, czy poszedł? Czyli dbasz o to?

Siadł w rogu łóżka i pociągnął ją ku sobie.

— Czyż pragniesz, by nam mącono życie i miłość? By wkraczano w to życie? Czyż nie jesteśmy szczęśliwsi sami?

— Borysie — rzekła — lecz ty nie okazałeś mu, że chciałbyś, żeby on się oddalił. Nie uczyniłeś tego, Borysie! — zawołała głośniej. — Po jego ujściu z rąk śmierci! Byłoby to nie po ludzku!

— Być może, miłość moja dla ciebie i na toby się ważyła, Domini. A wtedy, gdybyś wiedziała, dlaczego jestem nieludzki — czybyś się mnie za to wstydziła? Czy mogłabyś mnie za to nienawidzić?

Czuła, iż wzbiera w nim żywioł wzburzony.

— Czy mogłabyś... czy mogłabyś nienawidzić mnie kiedy, Domini, za co bądź... Powiedz, czy mogłabyś? — pytał.

Twarz jego była blisko jej twarzy. Patrzała na niego wielkiemi, niekłamnemi oczyma, gdzie w ogniu ciemnym była wypisana wszystka prawda ducha.

— Nie — odrzekła. — Nie mogłabym cię nigdy znienawidzić... obecnie.

— Nawet... gdybym cię skrzywdził? Nawet, gdybym postąpił względem ciebie niesprawiedliwie?

— Czyż mógłbyś postąpić niesprawiedliwie? — spytała.

— Masz tedy zupełną wiarę we mnie?

— Lecz... czyś kiedy sądził, że tak nie jest? — spytała.

W głosie jej było zdziwienie.

— Oddałam ci przecież całe moje życie — dodała, wciąż ze zdziwieniem. — Jestem tu z tobą w pustyni. Cóż mogę ci dać więcej? Cóż mogę więcej uczynić?

Otoczył ją ramionami i głowę jej przygarnął, by spoczęła na jego ramieniu.

— Nic, nic. Dałaś mi, dałaś mi wszystko... za wiele, za wiele. Czuję się niższym od ciebie, wiem, że jestem niżej od ciebie... o, tak... daleko niżej.

— Jak możesz mówić tak? Nie kochałabym ciebie, gdyby było tak...

Mówiła z całkowitem przeświadczeniem.

— Kobieta, być może — rzekł ciszej — nigdy nie uświadamia sobie, co może zdziałać miłość. Może ona...

— Cóż takiego, Borysie?

— Może ona zdziałać, co działał Chrystus: zstąpić do piekieł i nawracać duchy potępione. To może miłość, Domini!

— Borysie! — rzekła Domini też prawie szeptem, gdyż jego słowa i sposób mówienia namaszczały ją czemś poważnem. — Pragnę, byś mi na jedno odpowiedział.

— Cóż takiego?

— Czy jesteś ze mną szczęśliwy tu w pustyni? Jeżeli jesteś, pragnę, byś mi powiedział, że jesteś. Pamiętaj... będę ci wierzyła.

— Żadna ludzka istota nie może mi dać takiego szczęścia, jakie ty mi dajesz.

— Ale...

Przerwał jej:

— Nikt na świecie nie mógł mi nigdy dać takiego szczęścia. Zanim ciebie poznałem, nie miałem pojęcia, że może być takie szczęście śród dwojga ludzi, którzy się kochają.

— Zatem jesteś szczęśliwy?

— Czyliż nie zdaję się być szczęśliwym?

Nie odrzekła. Trzymał wciąż rękę na jej twarzy. Po chwili, która mu się wydała wiecznością czekania, rzekła:

— Borysie!

— Co, Domini?

— Dlaczego rzekłeś o miłości kobiecej, iż jest zdolna zstąpić nawet do piekieł i nawracać duchy potępione?

Nie odpowiedział. Zdawało jej się, że ręka jego zawisła ciężej na jej policzku.

— Nie jestem całkowicie pewną, że jesteś ze mną szczęśliwy.

W głosie jej była nuta zamierania.

— A kysz, Domini! A kysz! — rzekł.

Zamilkli oboje. Za płótnami namiotu, które odgradzały ich od obozowiska, usłyszeli dźwięki muzyki. Rozległy się uderzenia bębenków. Zajęczała piszczałka afrykańska. Potem wzbił się głos Alego, śpiewający pieśń „wolnych Murzynów“:

„Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu.“

W tej chwili Domini uczuła, że słowa te zawierały prawdę — prawdę okrutną.

— Borysie! — rzekła. — Czy słyszysz?

— Kysz, Domini!

— Mniemam, że jest coś w twem sercu, co smutkiem cię poi, nawet gdy jesteś ze mną.

Zamilkła, po chwili rzekła:

— Jesteś ze mną, Borysie, jesteś blisko mnie, lecz czyliż nie czujesz czasami, Borysie, jak zdala jesteś od Boga?

Nic nie odpowiedział.

— Nie wiem nic. O nic nie chcę pytać... nie chcę. Jeżeli jednak jest tak, jak sądzę, zbądź smutku, Borysie. Wszystko się naprawi... tu, w pustyni. Pustynia bowiem jest ogrodem Allaha. I... Borysie, zagaś światło.

Zgasił świecę dłonią.

— Być może, czujesz, że obecnie nie możesz się modlić rzetelnie, lecz zczasem będziesz mógł to uczynić. Tak jest, będziesz mógł. Wiem o tem. Zanim jeszcze poznałam, że kocham cię, widziałam cię... modlącego się w pustyni.

— Mnie? — ozwał się głosem stłumionym. — Widziałaś mnie modlącego się w pustyni?

Miała wrażenie, że się przestraszył tych słów. Zawarła go mocniej w ramionach.

— Było to owej nocy w domu tanecznym. Miałam wrażenie, że widzę tłum ludzi, którym pustynia udziela darów — i tobie wtedy udzieliła daru modlitwy. Widziałam ciebie daleko w pustyni, trwającego na modlitwie.

Usłyszała, że dyszał ciężko, uczuła oddech ten koło swego policzka.

— Jeżeli tak jest w istocie, Borysie, nie rozpaczaj. To przyjdzie. Weź krzyż. Jestem pewna, że masz go. Ja zawsze się modlę za ciebie.

Długo w noc tę siedzieli w ciemności, lecz już nie mówili do siebie.

Domini nie spała tej nocy, i bardzo wczesnym rankiem, gdy

zorza się poczynała, wyszła pocichu z namiotu, opuszczając szczelnie za sobą jego zasłonę.

Na dworze było świeżo — jak pod tchnieniem wiatru północnego.

Stanęła na skraju wzgórka i patrzała ku baszcie.

Gdy tak stała, z siedziby obok wyjechał sznur mułów, torując sobie drogę po twardej ziemi. De Trevignac i jego żołnierze opuszczali już Mogar.

Stała i patrzała, jak nadciągali.

Gdy już byli całkiem blisko, oficer, jadący na mule, z głową opuszczoną i w płaszcz ciężki owinięty, podniósł głowę i spojrzał ku Domini. Skinęła mu głową. Wyprostował się i salutował. Przez chwilę myślała, że przejedzie obok, nie zatrzymawszy się i nie przemówiwszy do niej. Widziała, że waha się, co ma uczynić. Wreszcie trącił muła ostrogą, zamierzając odjechać.

— Nie, niech pan tak nie odjeżdża — rzekła Domini.

Wyciągnęła ku niemu dłoń.

— Do widzenia! — dodała.

Ujął jej rękę, a potem dał znak ludziom, żeby jechali. Gdy już minęli ją, salutując, wtedy puścił jej rękę. Nie wyrzekł słowa. Twarz jego, spalona na szkarłat od słońca, miała wyraz wycieńczenia, lecz także i inny jeszcze wyraz — wyraz grozy, jak się jej zdawało, jakgdyby w duszy swej cały się od niej odstronił. Stała koło jego muła zdumiona. Zaledwie wierzyć mogła, że jest on tym samym człowiekiem, który ze łzami w oczach dziękował jej wczoraj za gościnę.

— Żegnam panią! — rzekł wreszcie chłodno.

Spostrzegła, że rzucił wzrok ku namiotowi, skąd wyszła. Wyraz zgrozy na jego twarzy pogłębił się jeszcze bardziej.

— Żegnam panią! — powtórzył. — Dziękuję za gościnność!

Trącił muła uzdeczką. Muł postąpił krok czy dwa. Zatrzymał go i zwrócił się w siodle.

— *Madame!* — rzekł. — *Madame!*

Zbliżyła się do niego. Zdało się jej, że zaraz usłyszy od niego coś ważnego i przerażającego. Usta jego, spieczone od słońca, otworzyły się, by przemówić. Spojrzał atoli jedynie znów ku namiotowi, w którym spał Androwski, i stał milczący.

Minęła długa chwila.

A potem de Trevignac, jakgdyby działając pod nieprzezwyciężoną pobudką, pochylił się na siodle i zrobił nad Domini znak krzyża. Ręka jego opadła na bok muła i bez słowa jednego, i bez spojrzenia odjechał ku północy, łącząc się ze swymi ludźmi.

XXI.

Tego samego dnia, ku wielkiemu zdziwieniu Batucza, opuścili Mogar. I Domini, i Androwskiemu wydał się on miejscem tragicznem, miejscem, gdzie pustynia ukazała im swą groźną tajemnicę.

Ruszyli ku południowi, wędrując bez celu poprzez gorące obszary słoneczne. Potem, ile że nadchodziło już lato i upały stawały się z dniem każdym silniejsze, zwrócili się znów ku północy, aż jednego wieczoru majowego rozbili namioty na skrajach miasta Amary w Saharze.

Miasto to, chociaż położone w północnej stronie pustyni, zwali Arabowie „Łonem Sahary“, a także „Grodem Skorpjonów“. Leżało ono w środku przestronnej krainy miękkich piasków ruchomych, które wywierały wrażenie morza białego; oaza z palmami daktylowemi, na której skraju leżało miasto, była na tem morzu wyspą zieloną. Od południa, skąd wędrowcy ciągnęli, pustynia wznosiła się lekko na przestrzeń daleką, na pół dnia drogi, i już na kilka kilometrów, zanim się przybyło do miasta, widać było minarety jego meczetów, strzelające w błękitne niebo wyiskrzone, które sklepiało się nad piasków białością. Dookoła grodu, z każdej strony, wznosiły się wielkie wzgórza piaskowe, niby twierdze, usypane przez przyrodę dla ochrony od napaści nieprzyjaciela. Palmy oazy, które rozciągały się ku północy od miasta, nie mogły być widziane od południa, aż póki nie przybyło się do miasta, a późną wiosną kraina ta była dziwnym i barbarzyńskim wyskokiem bieli, złota i błękitu, surowym w swej sile, dzikim w surowości, prawie strasznym w swym blasku ślepiącym, który był prawie, jak blask odrzwi słońca.

Domini i Androwski zbliżali się stępa ku Amarze, patrząc na wieże odległe. Dokoła nich roztaczała się cisza wskroś drgająca, mimo to zdało im się, że już słyszą wołania głosów ciżby

wielkiej, że już widzą ruch wielki stłoczonej ludzkiej gromady. Było to pierwsze miasto w Saharze, do którego się zbliżali, i myśli ich były pełne pamięci opowiadań Batucza, rozsnuwanych przy ogniskach obozowych, nocą, w miejscach niezaludnionych, które dotychczas były ich siedliskiem — opowiadań o cudach i bogactwach Amary.

Częstokroć uśmiechali się na sute opisy Batucza tych cudów Amary, podejrzewając, iż są dalekie od rzeczywistości; niemniej jednak obecnie, gdy ujrzeli minarety, wznoszące się nad piaskami w niebie miedzianem, wydało się im obojgu, iż, być może, były one prawdą.

Jak tylko piaski mogą być przestronne, taką przestronnością rozpościerały się one na większą jeszcze niezmierzoność bladości jałowej przed wrotami grodu, teraz jeszcze niewidzialnemi. Rozłóg błękitu nad tem wyglądał tutaj rozleglej, horyzont bardziej odsunięty, promienność słońca żywsza, bardziej nieubłagana. Przyroda tu roztoczyła jakgdyby wysiłki utrzymania swej mocy przed widowiskiem potężnem, w łonie jej zarządzonem przez czyn ludzki, który był silny, płomienny, jak czyn tytanów pradawnych. Ogrom Mogaru nastręczał smutek dla myśli. Ogrom Amary nastręczał żywość, podnietę.

— A ludzie mówią o jednostajności Sahary! — rzekła Domini, wyrażając ich myśli wzajemne. — Czego tu niema! Ty, Borysie, nie zbliżałeś się nigdy do Londynu. Na wielką odległość, zanim jeszcze podróżny zbliży się do pierwszych przedmieść, czuje już Londyn, jak wielkie tchnienie, sycące pola i lasy. Tutaj czuć to samo sycenie Amary nad piaskami. Zda się, że piaski pełne tutaj głosów. Czy nie podnieca to ciebie?

— Tak jest — rzekł. — Lecz... i z temi słowy zwrócił się na siodle i spojrzał za siebie — czuję z tem wszystkiem, że pustkowia są bezpieczniejsze.

— Możemy powrócić do nich.

— Tak jest.

— Jesteśmy wolni wspaniale. Nic nas nie krępuje, byśmy nie mogli opuścić jutro Amary.

— Czy nie tutaj jest ono? — zapytał, utkwiwszy wzrok w minarety.

— Cóż tutaj być może?

— Kto wie?

— Co ci się roi, Borysie! Czyż jesteś zabobonny? Wszak odrzuciłeś wpływ miejscowości. Czy nie pamiętasz... w Mogarze?

Na przypomnienie tej nazwy twarz jego spochmurniała i Domini przykro było, że przypomniała mu to. Odkąd opuścili wzgórze nad morzem widmowem, nie wracali w rozmowie do owego wieczoru w Mogarze, nie mówili o obiedzie w namiocie z de Trevignac'iem, nie wznawiali rozmowy swej w namiocie na temat religji. Od tego atoli dnia, od chwili, gdy rzekła sobie, że Androwski nie jest całkowicie szczęśliwy nawet z nią, tu, na swobodzie pustyni, Domini miała to przeświadczenie, że, pomimo wielkiej miłości wzajemnej, pomimo ich pasji wzajemnej dla samotności, w którą z dniem każdym bardziej i bardziej wrastali, życie swe ogniem osnuwając i wstępując z dniem każdym w coraz wnętrzniejsze przybytki misterjów poznania, chwilami między nimi stawała jakaś zapora.

Chwilami Androwski oddalał się od niej, myśl jego błądziła gdzieś daleko, co gorsza — serce jego chwilami było zdala od niej — i w odległem tem miejscu cierpiało. Tego była pewna, niestety.

Była atoli również pewna i tego, że śród całego ludzkiego grona była dla niego doskonałością. Miłość kobiety jest jedyną, być może, prawdziwą i niezawodną wyrocznią. Domini wiedziała instynktownie, gdzie leżą wody zmącone i co je zmącało w ich podziemnem siedlisku. Wiedziała, że Androwski zaznawał pokoju z nią, lecz nie z sobą.

Modliła się tedy za niego: nocą w namiocie, w pustyni pod niebem palącem podczas dnia. Gdy wzywał muezzin z minaretu któregoś ze smukłych meczetów, zgubionych w pustkowiu rozłogów, zwracając się ku północy, ku południowi, wschodowi i zachodowi, i gdy mahometanie chylili swe głowy golone, twarzami zwróceni ku Mecce, modliła się do Boga katolickiego, którego miała za Boga wszystkich wiernych i wszystkich religij świata, i do Matki Bożej, spoglądającej ku Afryce. Prosiła Boga, by ten, którego kochała i który szukał, jak przypuszczała, mógł znaleźć. I czuła, że w modlitwie jej jest moc i żarliwość, która nie może nie być wysłuchaną.

Minarety miasta urastały coraz wyraźniej. Panowały one nad obszarami, jak myśl Allaha panuje nad światem mahometańskim. Obecnie, wdali z lewej strony, Domini i Androwski

ujrzeli wzgórza piaskowe, wyraźnie zakreślone, jak małe pasma gór o delikatnym zarysie. Na wierzchołkach tych wzgórz były wiosczyny arabskie, barwy bronzowej, jarzącej w słońcu. Wpobliżu ich nie było drzew. Lecz za niemi, znacznie dalej, była długa zielona smuga palm przestronnej oazy. Pomiędzy niemi i jadącymi poruszały się zwolna ku minaretom ciemne kształty, które wyglądały, jak węże, pełzające poprzez piaski. To były karawany, ciągnące do miasta po długiej podróży.

Odruchem jednoczesnym ściągnęli konie i słuchali. Nad piaskami szły ku nim dźwięki odległe i delikatne. Nie mogliby określić, czem one były, wiedzieli jednak, że słyszą coś, co powiadamia o życiu odległem i czujnem.

Odległe wiosczyny lśniły tajemniczo na swych małych górach, jak coś nierzeczywistego, co się rozwieje, jak zamki, z ognia tworzone. Niebo nad minaretami zmieniało zwolna barwy. Błękit został nakryty zielonością, która była jego kolorem siostrzanym. Światło ciekawe, które zdawało się raczej podnosić zdołu, niźli zstępować od góry, odmieniało białość piasków. Żółtość cytrynowa pełzła już przez nie, wyglądały atoli ciągle jeszcze zimno, i dziwnie, i niezmierzenie przestronnie. Domini zauważyła, że cisza pustyni tak się pogłębiła, że mogli już w niej słyszeć głosy Amary znacznie wyraźniej.

Spostrzegli obecnie, że wyjechali już z bezdrożnego obszaru i, jakkolwiek wciąż jeszcze bardzo oddaleni od miasta, jechali obecnie drogą pustyni, która była poznaczona śladami tysiącznych stóp. Z obu stron drogi były niskie ławy z piasku, usypane symetrycznie zabiegami ludzkiemi, i wąskie rowy, w których nie było wody. Przed sobą na czele ujrzeli niezliczone karawany, obecnie wyraźniejsze, skręcające zwolna z prawej i z lewej strony ku temu wielkiemu szlakowi pustyni, który linją prostą ciągnął się ku minaretom.

— Jesteśmy na głównym szlaku — rzekła Domini.

Androwski westchnął.

— Już mam wrażenie, jakgdybym był w środku ciżby — odrzekł.

— Umiłowanie nasze pokoju nie powinno wytwarzać w nas nienawiści dla naszych współbraci — rzekła Domini. — Nuże, strząśnijmy z siebie to nasze samolubstwo.

Rzekła głosem nieco weselszym i uzdę ściągnęła. Koń przyśpieszył kroku.

— Zato jak nasz postój w Amarze podniesie uroki pustkowia, kiedy do niego wrócimy! Kontrast jest zasadą życia.

— Mówisz, jakgdybyś nie wierzyła w to, co mówisz.

Zaśmiała się.

— Gdybym nawet miała kiedy ochotę skłamać przed tobą, nie odważyłabym się — rzekła. — Przenikasz me myśli nadto głęboko.

— Wiem o tem, że nie mogłabyś skłamać przede mną.

— Słyszysz szczekanie psów? — rzekła po chwili. — Pochodzą one zpośród tych namiotów, które, jak muchy, rozsypane są na piaskach dookoła miasta. Jest to kasta Uled-Nail, jak sądzę. Batucz mówił, że to one tak obozują tutaj. Jakież mnóstwo namiotów! To przedmieście Amary. Wolałabym prawdziwie mieszkać w nich, niż w przedmieściach Londynu. Jakże my jesteśmy jednak już daleko; zda się, doprawdy, że już zajechaliśmy na koniec świata.

— Tak jest. Zresztą — zdaje się — że tu są jedynie ludzie pustyni. Amara jest ich stolicą i tylko ich życie tutaj ujrzymy.

Koń jego wspiął się. Uderzył go mocno ostrogą.

— Jak widzę, nienawidzisz naprawdę myśli o cywilizacji — zawołała.

— A ty?

— Nie myślę nigdy o tem. Czuję prawie, jakgdybym nigdy jej nie znała i nie mogła jej poznać.

— Pocóżbyś ją miała poznawać? Kochasz świat dzikich.

— Cała moja natura wyrywa się do niego. Było tak nawet, gdy byłam dzieckiem. Pomnę, razu jednego czytałam „*Grzeczną Małgosię*". W książce tej był jeden ustęp... nie pamiętam go dobrze, lecz było coś o czerwonoskórym...

Chwilę myślała, spoglądając ku miastu.

— Nie mogę dokładnie przypomnieć... — rzekła. — „Gdy czerwonoskóry śmieje się u drzewa cedrowego, a dziecię czerwonoskórego skacze koło morza"... coś w tym guście. Wiem tylko, że serce biło mi wtedy ogromnie i że czułam, jak urastają mi skrzydła, by lecieć na krańce najdziksze świata. I oto teraz urosły mi skrzydła... i to jest prześliczne. Jedźmy, Borysie.

Puścili konie kłusem i wkrótce zbliżyli się do karawan. Zdawało się, że konie ich rwą się również do życia miejskiego po życiu pustyni, a podnieta Domini rosła z każdą chwilą. Czuła, jak żywy duch zwierzęcy wre razem z jej duchem, zmysłem zdrowym i krzepkim, który pozdrawia bezustanną przedsiębiorczość i śmiałą odwagę bractwa ludzkiego.

Mijali karawany, jedną za drugą, i wjechali na grzbiet wielkiej spadzistości piasków, właśnie gdy niebo nad miastem zalśniło blaskami czerwieni. Szlak stąd szedł już po równi ku murom miejskim i nie był już miękki, piaszczysty. Szeroka, twarda droga dudniła pod kopytami końskiemi, przejmując muzyką, która była, jak muzyka życia cywilizowanego. Przed sobą, pod niebem czerwonem, ujrzeli ciemne piętna dalekich domów, wież i kopuł wielkich, okrągłych, połyskujących, jak złoto. Poza tem rozciągały się lasy palmowe, olbrzymich palm daktylowych, z których słynie Amara. Z lewej — piaski, zasłane błyszczącemi wioskami arabskiemi, z prawej znów — piaski, pokryte namiotami, śród których krzątało się mnóstwo postaci, na podobieństwo mrówek, czarnych na żółtej przestrzeni, nad którą sklepiło się niebo, żywe głębią ciemną koloru, czerwienią, przechodzącą w złoto, złotem — w barwę żółtą, żółtością — w zieloność, zielenią — w błękit, który wciąż wieścił o dniu zamierającym. A ku temu niebu różnobarwnemu od miasta barbarzyńskiego i od piasków niezmierzonych, na których ono siadło, szedł wielki chorał życia; głosy ludzi i zwierząt, krzyki nagich dzieciaków, grających w korę na wzgórkach piaszczystych, matek, strofujących dzieci, śmiechy przejmujące dziewcząt niezawoalowanych, wesołe rozkosznie wołania mężczyzn, szczekania przemnogich psów, jęczenia setnych wielbłądów, w tej porze zapędzanych na noc. Zaś pod temi głosami tworów żyjących tętnem biła muzyka barbarzyńska, dudniące tam-tamy, które wszędy się słyszy w tych krajach słońca, muzyka bałwochwalcza, wieszcząca fatalizm i wielką jednostajność rozłogów nieskończonych, i pasję surową, i żądze gorące dziedziców i dzieci słońca.

W tej porze zdawało się, że nawet piaski drgają życiem i oznajmiają się krzykami głośnemi.

— Jakież odmienne i dzikie dzisiaj niebo wieczorne! — zawołała Domini. — Czyś widział kiedy podobne barwy, Borysie?

— Nad minaretami wygląda ono, jak wielka rana — odrzekł.

— Czyż dziw, że ludzie nie dbają o życie w krainie, jak ta oto? Zda się, wszystka dzikość świata spłynęła tutaj. Amara jest, jak gród pustynny jakiegoś snu strasznego. Wygląda, jak coś złego i nieziemskiego, ale wygląda wspaniale!

— Spojrz na te kopuły! — rzekł. — Byłyżby to istotnie owe czarodziejskie pałace wschodnie? Czy nie jest aby prawdą, co Batucz nam powiadał?

— Lub czy jest nie mniej, niż prawdą? Teraz wierzę już we wszystko co do Amary. Jakież zastępy wielbłądów! Przypominają mi one Arbę, nasze pierwsze miejsce postoju.

Spojrzała na niego i on na nią.

— Jakże to dawno już się zdaje! — rzekła.

— Tysiąc lat temu.

W pamięci obojga stanęła cisza wielka, pośrodku tego rosnącego zgiełku, w którym niebo zdawało się teraz brać udział, wołające głosami barw dzikich, głosami ogniów, które je obciążały na zachodzie. Droga wciąż była majestatycznie szeroka. Patrzali z zaciekawieniem na pierwsze domy z obu stron drogi. I znowu uderzył ich tu silny kontrast, który był widocznie przewodnią nutą Amary. Domy z lewej strony były europejskie, pobudowane z białego kamienia, czyste, przytulne, lecz nieinteresujące; domy z prawej strony, za któremi leżał piasek głęboki, jakby zwiany tutaj przez jakiś świeży wicher rozłogów, były afrykańskie, pierwotne, ogromne budynki koczownicze z brunatnej gliny, chróstu i drzewa palmowego, bez okien, z płaskiemi dachami, na których porozkładane były jakieś dziwne przedmioty, jak rzeczy porzucone, czerwone i ciemno-zielone, z frendzlami i wisiorkami, i grube kije palmowe sterczały przygodnie ku niebu.

— O! — zawołała Domini — to całkiem, jak nasz palankin.

— To są palankiny dziewcząt tanecznic — objaśnił Batucz. — Jest to kawiarnia taneczna... a to — wskazał na najbliższy dom znaprzeciwka — to jest dom imci jałmużnika z Amary.

— Jałmużnika! — zawołał Androwski porywczo. — Tu!

Zatrzymał się, a potem dodał spokojniej:

— Cóż on tu robi?

— Jest on tu dla oficerów francuskich.

— Tutaj są oficerowie francuscy?

— Tak jest, proszę pana — czterech czy pięciu i komendant. Mieszkają w tym pałacu z kopułami.

— Zapomniałem — zwrócił się Androwski do Domini — że nie jesteśmy jeszcze poza sferą wpływów francuskich. Miejscowość ta wyglądała tak dziko i tak ustronnie, że sądziłem, iż w pełni jest posiadłością ludzi pustyni.

— Nie potrzebujemy oglądać Francuzów — rzekła. — Rozłożymy się obozem poza miastem, na piaskach.

— I nie mamy potrzeby pozostawania tu długo — rzekł prędko.

— Borysie — zapytała pół żartem, pół serjo — czy mamy sobie kupić wyspę odludną na pobyt?

— Kupmy sobie oazę — rzekł. — Będzie to najlep... najbezpieczniejsze miejsce pobytu dla nas.

— Najbezpieczniejsze?

— Najbezpieczniejsze dla naszego szczęścia. Domini, ja się... ja się boję świata!

Ostatnie słowa rzekł z jakąś dziwną, prawie dziką wymową.

— Czyś zawsze bał się tak świata, czy tylko odkąd pobraliśmy się?

— Z tem już przyszedłem prawdopodobnie na świat — to me uczucie przyrodzone widocznie.

I wraz zapadł w ponurość, która była ciężką i smutną, i spoglądał dokoła z wyrazem, jakgdyby chciał odrzucić precz to wszystko, co nastręczało się jego oczom.

— Pustyni tylko pragnę i ciebie w niej — rzekł. — Pustyni dalekiej... z tobą.

— I więcej niczego?

— Tylko tego. I nie mógłbym żyć, gdyby mi to odjęto.

Gdy tak jechali ulicą, rzucał spojrzenie ze strony na stronę, jak szpieg, wysłany od czoła armji i wszędy przewidujący zasadzki. To jego zachowanie przywiodło jej na myśl ten osobliwy a pokrewny sposób, w jaki patrzał ku wieży, kiedy zbliżali się do Mogaru. I wieżę tę skojarzyła w myśli z Francuzami. Przypomniała sobie, jak mówił, że to muszą być Francuzi, ci, co ją pobudowali. Kiedy się zbliżali do Mogaru, bał się czegoś w Mogarze. Obecnie bał się czegoś w Amarze. Niezwykłe wydarzenie — cudzoziemcy bowiem, wkraczający w ich życie od pustkowia piasków, byli oczywiście czemś niezwykłem

— nastąpiło tuż za pierwszym jego lękiem i odrazą. Czyżby drugie podobne zdarzenie miało iść za tym drugim lękiem? I jakie jest źródło tych lęków?

Zgiełk wciąż zwiększającej się ciżby otoczył ich dookoła. Dzieci w długich sukienkach, jak nocne koszule, skakały przed nimi, piszcząc i wołając przenikliwie. Starzy żebracy, z oczyma schorzałemi i zwyrodniałemi członkami, kładli ręce włochate na uzdy i grzywy ich koni, prosząc o jałmużnę. Chłopcy, nie sromający się, jak posążki bronzowe, naraz żądzą życia ruszeni, postępowali tyłem, by w pełni mogli ich widzieć, rzucając uwagi i polecając swe nadzwyczajne usługi przewodników. Smagły człowiek pustyni, prawie nagi, atoli z bardzo starannie okrytą głową, kroczył obok nich, dotrzymując kroku koniom i nic nie mówiąc, lecz patrząc na nich z ogromną uporczywością, która zdała się ukrywać niewysłowne zamiary. A ku nim, poprzez przestwór, który był ciężki i prawie duszący obecnie, gdyż jechali między budynkami, i poprzez chmary much brzęczących, dochodził szum zgiełku większego od strony placu targowego.

Spojrzawszy ponad głowami ciżby, Domini ujrzała rozścielającą się na wielką przestrzeń szeroką drogę, z pierwszemi palmami oazy z lewej strony — z gromadą budynków, z których wiele z małemi kopułkami, podobnemi do przewróconych białych filiżanek — z prawej strony. Na dalszym stoku tej przestrzeni, która była czarna od ubrań tłumu, przeważnie w ciemnych barwach, znajdowała się arkada, występująca pewną ilością domów w kształcie lepianek, a z prawej od nich, tam, gdzie rynek, tworząc skłon przestronny, ciągnął się wgórę i znikał dla oczu, był kres wielkiego budynku, którego kopuły złociste widzieli, gdy nadjeżdżali od strony pustyni, wznoszące się nad miastem z minaretami meczetów.

Muchy brzęczały nieznośnie nad głowami i bokami końskiemi, a tłum brzęczał jeszcze nieznośniej, niby muchy olbrzymie, dokoła jeźdźców. Domini miała wrażenie, że całe miasto sprzymierzyło się przeciw niej i Androwskiemu, śledziło ich, oglądało, myszkowało dokoła, było pełne tysiącznych zamierzeń, związanych z ich osobami.

Gdy przybyli na rynek, hałas i śledcza ciekawość przybrały najgwałtowniej. Był to dzień targowy i, chociaż już słońce

chyliło się ku zachodowi, sprzedaż i kupno nie były jeszcze skończone.

Gdy wjechali w ten odmęt ludzki, nad którym niebo było krwawe, jak wielka rana, zakotłowało się i zawirowało dokoła nich, czyniąc ich ośrodkiem wiru. Przybycie kobiety-cudzoziemki było rzadkością, jeżeli nie wypadkiem całkiem pojedyńczym, nawet w Amarze, i Batucz nie zaniedbał języka, by rozgłos koło swych państwa roztoczyć.

— Pani raczy tu zejść z konia — zarządzał Batucz. — Ali zabierze konie, a ja poprowadzę pana i panią pod górę, na ten plac z fontanną. Tam Szabah powita panią.

— Jakiż zgiełk piekielny! — zawołała Domini, na poły ze śmiechem, na poły stropiona.

— Któż to jest ów Szabah?

— Szabah to kaid Amary — oznajmiał Batucz z godnością. — Najpierwsza osoba w mieście. Czeka na panią u fontanny.

Domini spojrzała ku Androwskiemu.

— Jakże? Pójdziemy?

On wzruszył ramionami, jak człowiek, który uważa walkę za bezużyteczną w chwili, gdy trzeba się poddać losowi.

— Smok już otworzył na nas swą paszczę — rzekł, zmuszając się do uśmiechu. — Lepiej iść w nią dobrowolnie, mniemam. Ach! Domini!... nasza cisza rozłogów!

— Wrócimy do niej. To tylko czasowe. Będziemy znów czerpali wszystkie jej uroki.

— Kto to wie? — rzekł, jak wtedy, gdy wjeżdżali na górę. — Kto wie?

Zsiedli z koni, i tłum porwał ich ze sobą.

XXII.

Namioty ich były rozbite na wzgórkach piaszczystych, na północ od miasta, wpobliżu cmentarza francuskiego i arabskiego. Dostali się do nich zaledwie ze zmierzchem zapadającym, idąc pieszo z miasta przy wielkiej ścianie z kamienia ciosanego, która zamykała koszary tubylczych żołnierzy, postępując i zstępując po stokach piasków głębokich, nad któremi nocne powiewy unosiły się ze szczególnie lubą świeżością; wznowiły one w Domini to uczucie, iż znajduje się na krańcu świata.

W drodze ku namiotom towarzyszyła im mała procesja. Szabah, kaid Amary, krępy mężczyzna, którego powaga przeogromna przeobrażała prawie że w olbrzyma, naparł się towarzyszyć im do namiotów, wraz ze swym młodszym bratem, ślicznym, hulaszczym chłopcem lat szesnastu, z jego guwernerem, czarnym, jak Murzyn, Arabem, atoli bez tego wyglądu murzyńskiego, który jest jak po świeżem wytłuszczeniu — i z dwiema osobami świty. Do nich przyłączył się kaid nomadów, ogorzały potentat, który nietylko wyglądał, jak wielkość, lecz był prawdziwie olbrzymem, czterech jego służących i wuj jego, osoba szanowna, coś w rodzaju króla pasterskiego. Dostojnicy ci otoczyli Domini i Androwskiego, a obok nich falowali ciekawi, zazdrośni, chciwi i zmienni Arabowie, ciągnący się zawsze, jak ogon, za cudzoziemcem, w nadziei przysłowiowych okruchów, spadających ze stołu możnych.

Po przybyciu do namiotów trzeba było koniecznie przyjąć cały ten zastęp szanowny kawą czarną — i wtedy ostatecznie odeszli, obiecując rychły powrót i składając sute zaproszenia, które zostały serdecznie przyjęte przez Batucza w charakterze orędownika, zanim jeszcze Domini i Androwski mogli wyrzec słowo.

Kiedy już orszak ten oddalał się piaskami ku miastu, Domini wybuchnęła krótkim śmiechem i pociągnęła Androwskiego ku drzwiom namiotu, by go zobaczył.

— Cała *socjeta* w piaskach! — zawołała wesoło. — Rzecz całkiem nowa. Popatrzno tylko na naszych gości, jak idą ku swym pałacom.

Możnowładcy postępowali ku miastu poprzez białe zaspy piaszczyste. Szabah miał szatę długą czerwoną. Brat jego amarantową ze złotem i białe spodnie rozłożyste. Kaid nomadów ubrany był zielono. Poruszali się wszyscy z wielkiem i świadomem dostojeństwem, otoczeni przez swą świtę pochlebczą. Niebo purpurowe nad nimi wyłoniło jasną gwiazdę wieczorną. Wpobliżu jej był widzialny lekki zarys młodego miesiąca. Rozrzucone nad rozłogiem wznosiły się liczne *kubbahy*, zielone na bieli, z bielonemi kopułami. Setki psów szczekało woddali. Z lewej, na przestronnych, toczących się skłonach piasku, połyskiwały niezliczone ognie, rozniecone przed namiotami Uled-Nailów. Przed namiotem sypialnym wznosiły się minarety i złocone kopuły miasta, które panowały nad niem ze swych wzgórz piaszczystych. Poza tem była biaława równia niezmierzona pustyni samotnej, z której Domini i Androwski przybyli, by doświadczyć tych barbarzyńskich drgnień życia. A miasto było pełne muzyki, tętniących tam-tamów, piszczałek, zawodzących z ukrytych mieszkań, stłumionych, lecz przemnogich głosów męskich, które donosił do nich nikły wietrzyk wieczorny, a który zdał się być jakimś wiatrem białym, piasków bratem bliźniaczym.

— Chodźmy kawałek ku miastu, Borysie — rzekła Domini, gdy już ich goście wgrążyli się wspaniale w zwoje zwałów piaszczystych.

— Ku miastu! — odrzekł. — Dlaczegożby nie pójść?

Spojrzał wbok ku rozłożystym, bezszmernym piaskom.

Po raz pierwszy wyraziła zamiar sprzeczny z jego chęciami.

— To będzie nasz karnawał miejski, nasz sezon saharski. Poruczmy mu się tedy. Samotność będzie później, jako antidotum.

— Bardzo dobrze, Domini — odrzekł.

Poszli kawałek ku miastu i stali cicho na piasku, na skraju jego wzniesienia.

— Słuchaj, Borysie! Czyż nie osobliwa jest ta muzyka barbarzyńska śród wieczoru? Ona mnie podnieca!

— Rada jesteś, że się tu znajdujesz?

Usłyszała w głosie jego dźwięk rozczarowania, lecz nie odpowiedziała na niego.

— Spojrzyjno na te setki ognisk na piaskach!

— Tak jest — odrzekł — to bardzo piękne, atoli samotność lepsza. To nie jest serce pustyni, to jest to, co Arabowie nazywają „brzuchem pustyni". W sercu pustyni gości cisza wieczysta.

— Mimo to, gdyśmy się zbliżali do tego miejsca, miałam wrażenie, że to serce pustyni — rzekła. — Pamiętasz, że tak powiedziałam.

— Czy trwasz przy swem zdaniu?

— Wszak serce, Borysie, jest ośrodkiem życia. Czyż nie tak?

Milczał. Czuła, że jego czucie wewnątrz zmaga się z jej czuciem.

— Tego wieczora — rzekła, ujmując go pod ramię i spoglądając ku miastu — czuję tak wielką, gorącą sympatję do życia mych bliźnich, jakiej jeszcze dotąd nie czułam. To mi spływa od ciebie, Borysie. Tak, tak jest. To się zrodziło z mej miłości dla ciebie i, zda się, wiąże mnie i ciebie wraz ze mną, ze wszystkimi tymi obcymi, z mężczyznami i z kobietami, ze wszystkiem, co tu żyje.

Zniżyła głos, a po chwili dodała:

— Być może, że w samotności, nawet z tobą, nie mogłabym dojść do pełni z sobą. I ty może w samotności nie doszedłbyś do niej z sobą. Uważam, Borysie, że to jest rzeczą dobrą dla nas pozostać czas jakiś w środowisku życia.

— Pragniesz tu zostać, Domini?

— Tak jest, przez jakiś czas.

I w tej chwili doznała uczucia dziwnie fatalistycznego, jakie ją czasami nawiedziało. „Tak sądzono, byśmy tu pozostali."

— Zostańmy tedy, Domini — rzekł spokojnie.

Nuta goryczy zniknęła z jego głosu, stłumił ją bowiem rozmyślnie przez miłość dla niej. Domini atoli zdawało się, że słyszy ją, jak echo w duszy dalekie. W tej chwili kochała go, jak kobieta, z której on uczynił miłośnicę, lecz razem i jak kobieta, z której on uczynił matkę, dając jej dziecię.

— Dziękuję ci, Borysie — odrzekła bardzo spokojnie. — Jesteś dobry dla mnie.

— Dobrym dla cię — rzekł, przypomniawszy sobie ostatnie

słowa księdza Roubiera. — Jakżeż ja mógłbym być czem innem dla ciebie?

Ledwo wyrzekł te słowa, ciało jego wstrząsnęło się gwałtownie.

— Co ci jest, Borysie? — zawołała zdziwiona.

Uwolnił swe ramię z pod jej ręki.

— To... to zgiełk tego miasta, wędrujący tu poprzez piaski w porze wieczornej, taki niezwykły. Tak przywykłem do ciszy, że to mi działa na nerwy. Przyzwyczaję się wkrótce do tego.

Zawrócił ku namiotom, i ona poszła z nim razem. Zdawało jej się, że on unika jej zapytań, że nie chce na nie odpowiadać, i uczucie, gwałtownie wzniecone przez powrót do życia wpobliżu miasta, pobudziło ją do szukania przyczyny tego. Nie mogła jej znaleźć, w poszukiwaniu atoli myślowem zatrzymała się mimowoli na Mogarze. I zdawało jej się, że ten sam rodzaj niepewności, jaki owładnął jej mężem w Mogarze, brał go i teraz jeszcze okrutniej w swą władzę, że istotnie nerwy jego, jak mówił, były smagane. Nie pochodziło to atoli od zgiełku miasta.

Po obiedzie przyszedł do namiotu Batucz z namową, by zeszli z nim nadół do miasta. Domini, będąc pewna, że Androwski nie pragnie pójść, odrazu odmówiła, twierdząc, że jest zmęczona. Batucz tedy zwrócił się do Androwskiego, proponując mu pójście, i, ku zdumieniu Domini, Androwski odrzekł, że chętnie użyje tej przechadzki, jeżeli Domini nie ma nic przeciw temu, by ją opuścił na chwilę.

— To, być może — rzekł do niej, gdy już wyruszali z Batuczem — uczyni mnie bardziej ludzkim; może to dokona we mnie w pełni tego, czego nawet ty, Domini, nie zdołałaś dokonać.

Wiedziała, że ma na myśli jej słowa, które była wyrzekła przed obiadem. Stał, patrząc na nią z lekkim uśmiechem, który atoli nie wróżył szczęścia, a potem dodał:

— Ta łączność, o której mówiłaś, pomiędzy nami i tymi obcymi — uczynił ruch ręką ku miastu — tę łączność może i ja odczuję silniej, niż ją czuję dotychczas. Pragnę... pragnę spróbować.

To rzekłszy, obrócił się i poszedł z Batuczem poprzez wzgórza piaszczyste, stąpając ciężko.

Gdy go ujrzała odchodzącego, zmroziło się w niej coś nagle:

było bowiem coś w jego zachowaniu się, w jego uśmiechu, co zdało się ich rozdzielać, coś, czego nie mogła zrozumieć.

Wkrótce Androwski zniknął z widoku w zwałach piaszczystych, jak zniknął był w zwałach piaszczystych Mogaru w on czas — przed przybyciem de Trevignac'a. I oto raz jeszcze zatrzymała myśl uporczywą na Mogarze, odtwarzając w myśli — z żywotnością powrotną umysłu, spowodowaną przez zetknięcie z miastem — to wszystko, co się tam działo, tak żywo, jak tego nigdy przedtem nie czyniła.

Było to, zaiste, dziwne wydarzenie.

Poczęła chodzić zwolna tam i z powrotem po piasku za namiotem. Uardi zbliżył się, by jej towarzyszyć, lecz odprawiła go. Zanim jednak to uczyniła, coś ją skłoniło do zapytania go:

— Ten likier afrykański, Uardi... pamiętasz, ten, coś go przynosił do namiotu w Mogarze... czy jeszcze zostało go trochę?

— Likier mniszy, proszę pani?

— Co rozumiesz przez to: mniszy?

— Likier ten jest wynalazkiem mnicha, proszę pani, a sprzedają go zakonnicy z El-Largani.

— Czy... czy zostało go jeszcze?

— Jest jeszcze jedna butelka, proszę pani, lecz nie śmiałbym jej podać, jeśliby...

Zatrzymał się.

— Jeśliby co, Uardi?

— Jeśliby pan był tutaj.

Domini już miała go zapytać, dlaczego, lecz powstrzymała się i kazała mu odejść. Zatem chodziła znów tam i z powrotem po piasku. Myślała obecnie o tych rozbitych kieliszkach na podłodze u stóp Androwskiego, gdy go zastała samego w namiocie po odejściu de Trevignac'a. Słowa Uuardiego naprowadziły ją na myśl, czy czasami likier, przyniesiony dla uczczenia de Trevignac'a, nie skierował rozmowy na rzeczy religji i czy Androwski nie rzekł wypadkiem czegoś, co mogło dotknąć de Trevignac'a, żarliwego katolika; czy czasami nie wynikła między nimi sprzeczka o rzeczy religji. Było to możliwe. Uprzytomniła sobie dziwne, prawie mistyczne rysy i zachowanie się de Trevignac'a o zorzy, z jaką zgrozą kierował wzrok ku namiotowi, w którym spoczywał jej mąż.

Tego wieczora myśl jej — cała jej przyroda — była niezmiernie żywotna.

Starała się nie myśleć więcej o Mogarze, lecz myśli jej wciąż się ześrodkowywały dokoła niego, wiązały się z tym wielkim grodem, którego światła błyskały wdole zoddali, którego muzyka szła ku niej zdaleka ponad ciszą piaskowych rozłogów.

Mogar i Amara — co miały z sobą wspólnego? Dzieliły je postoje pustyni. Jedno było pustkowiem, drugie rojowiskiem ludzkiem. Cóż je wiązało ze sobą w myślach jej?

To, że Androwski bał się obojga — to było wiązadłem! Myślała w dalszym ciągu o tem spojrzeniu, jakie rzucił był ku wieży, ku której wtedy właśnie przybliżał się de Trevignac, jakkolwiek nie wiedzieli tego. De Trevignac! Poczęła szybciej chodzić po piasku, tam i z powrotem koło namiotu. Dlaczego spoglądał z taką zgrozą ku namiotowi, w którym spał Androwski? Czy dlatego, że Androwski odrzucał religję, którą on szanował i kochał? Czyliż to miało być przyczyną? Lecz w takim razie — Androwski istotnie nienawidzi religji? Czyż tedy istotnie wyszła za człowieka, który utracił, który odrzucał gwałtownie Boga?

Zimny dreszcz strachu przeszył jej serce. Uczuła naraz, jakgdyby Androwski nawet w swej miłości stał się obcym dla niej.

Stanęła na piasku. Wypadkiem z miejsca tego patrzała ku obozowiskom Uled-Nailów, skąd ognie błyskały nad zwałami piasków. Gdy tak patrzała, naraz zauważyła dokładnie, jak jakieś światełko oddzieliło się od blasku ognisk i poruszało się, idąc od nich ku miejscu, gdzie ona stała, powoli. Młody miesiączek dawał nocy zaledwie lekką poświatę. Światełko to wędrowało wciąż naprzód poprzez ciemność, jak gwiazda, ziemi przynależna. To opadało w zaspy piaszczyste, to znów się wznosiło na szczyt, a wciąż zbliżało w kierunku, gdzie stała Domini.

Kto niósł to światło? Oczywiście, ktoś z pustyni, Arab jakiś. Wyobraziła go sobie, jako olbrzyma, brunatnego, smagłego, półnagiego, dzierżącego lampę w palcach muskularnych, stąpającego w milczeniu poprzez piaski uśpione. Dlaczego opuścił obozowisko? Jakie nim kierowały zamiary?

Światełko nadciągnęło bliżej. Poruszało się obecnie nad równiną i, jak się wydało Domini, wędrowało obecnie szybciej. I wciąż szło prosto w kierunku, gdzie ona stała. Powstało w niej prze-

świadczenie, że wędruje ono z zamiarem przybycia do niej, że niesie je ktoś, kto myśli o niej. Lecz ktoby to mógł być? Myślała o tem świetle, jak o rzeczy, która ma duszę i zamiary, a które jest niesione przez kogoś, kto zamiary te wspiera, przyczyniając się do tego, czego ono chce. A ono chciało przybyć tu do niej.

W Mogarze! W Mogarze Androwski obawiał się czegoś. Przybył de Trevignac. Obawiał się czegoś w Amarze. Oto przybywa światełko. Przez chwilę wyobraziła sobie, że światełko to było latarnią, którą niósł de Trevignac. Ujrzała jednak, że zalśniło nad długą, czarną szatą, która była sutanną księżą.

Poco on przybył do niej?

XXIII.

Gdy ksiądz nadciągnął bliżej ku namiotowi, Domini ujrzała, że to nie on niósł latarnię, lecz niósł ją żołnierz tubylczy, strzelec, zwany tu pospolicie turkosem, który kroczył obok. Żołnierz zasalutował przed nią, a ksiądz zdjął wielki, czarny kapelusz.

— Dobry wieczór pani — rzekł, mówiąc po francusku z odcieniem marsylczyka. — Jestem jałmużnikiem z Amary i, usłyszawszy właśnie o przybyciu państwa, jako że odwiedzałem na tych wzgórkach opodal mych przyjaciół, pomyślałem sobie: pójdę i zapytam, czy wypadkiem nie będę im mógł być w czem pomocnym. Godzina niewłaściwa do wizyty, to pewna, proszę pani, ale, prawdą a Bogiem, po pięcioletnim pobycie w Amarze człowiek może wyjść ostatecznie z formy.

Oczy jego, patrzące nieco bezwstydnie, co było rzadkiem u księdza, chociaż nie nieprzyjemnem, mrużyły się wesoło w świetle lampy, gdy mówił, a cały jego wyraz zdradzał wielce towarzyskie usposobienie i radość niezwykłą z powodu spotkania się z cudzoziemcami. Gdy Domini spojrzała na niego i usłyszała go mówiącego, zaśmiała się w duchu z tworu wyobraźni, który tylko co piastowała. Był to mężczyzna dużego wzrostu, z długiemi rękoma, z dużemi nogami, obutemi w grube, porządne buty. Twarz jego była spalona słońcem i w części ukryta w wielkiej czarnej brodzie, wąsach i bokobrodach. Rysy były rubaszne; wyglądał chłopięco, chociaż musiał już mieć koło czterdziestki. Domini powitała go uprzejmie. Owszem, przyjęła go nawet więcej, niż serdecznie, prawie gorąco. Oczekiwała bowiem jakiejś postaci tragicznej, kogoś, nastręczającego smutek lub tajemnicę, tymczasem postać szczerego współwiercy, promieniejąca zadowoleniem i uprzedzającą uprzejmością, nie przedstawiała nic do strachu. Poprosiła go, by wszedł do namiotu

gościnnego, i, wziąwszy mały dzwonek ze stołu, wyszła na piasek i zadzwoniła na Uuardiego.

Zjawił się natychmiast, jak cień, wysnuty z przestrzeni.

— Przynieś nam kawy na dwie osoby, Uuardi, biszkoptów — spojrzała na swego gościa — cukrów, tak jest... cukry w białem pudełku... i cygara. Weź zarazem żołnierza z sobą i ugość go dobrze. Daj mu, co lubi najlepiej.

Uardi oddalił się z żołnierzem, a Domini wróciła do namiotu, gdzie zastała księdza, z rozpromienioną przedsmakiem twarzą.

— Mąż mój poszedł obejrzeć miasto — rzekła Domini, powiedziawszy mu wpierw swe nazwisko i dowiedziawszy się, że on nazywa się Max Beret.

— Przybyliśmy dziś dopiero wieczorem.

— Wiem o tem, proszę pani.

Patrzał na nią promieniejący i gładził swą gęstą brodę wielką, opaloną ręką.

— Wiedzą o tem wszyscy w Amarze i wiedzą o tem wszyscy w namiotach. Wiemy nawet, ile macie państwo namiotów, ilu służących, ile wielbłądów, koni, psów.

Zaśmiał się serdecznie.

— Wiemy nawet, co macie dziś państwo na obiad!

Domini też się rozśmiała.

Śmiech był zaraźliwy. Przechylił się wtył na krześle i śmiał się do rozpuku z własnej swojej uwagi.

— Jesteśmy tu gałgani słoneczni! — wyrzekł z upodobaniem. — Trzeba nam wszystko wybaczyć.

W tej chwili, pomimo sutanny, którą miał na sobie, wyglądał na człowieka tak wesoło wyrozumiałego, że Domini nie mogła się powstrzymać w myśli od porównania go z księdzem z Beni-Mory. Coby pomyślał ksiądz Roubier o księdzu Berecie?

— Tu w słońcu łatwo się wybacza — rzekła Domini.

Ksiądz złożył ręce na kolanach, rozstawiwszy stopy wygodnie. Zauważyła, że ręce jego nie były skrupulatnie czyste.

— Tu w słońcu, proszę pani — rzekł — nie można być niczem innem, tylko wyrozumiałym. Stwierdziłem to doświadczalnie. Przepraszam, czy pani katoliczka?

— Tak jest.

— Tem ci lepiej. Musi pani obejrzeć naszą kaplicę. Jest ona

w tym kopulastym budynku. Cały zbór w świętą niedzielę składa się z pięciu wiernych. — Znowu się zaśmiał. — Mam nadzieję, że z panią i pani małżonkiem będzie nas choć raz siedmioro. Lecz wracając do rzeczy... słońce uczy naprawdę miłosierdzia. Kiedym tu przybył po raz pierwszy do Afryki, do tych gałganów słonecznych... ach, pani!... zdawało mi się, że, jako ksiądz, będę sromotnie zgorszony tym ich trybem życia. I, dalibóg, starałem się, starałem się jak najsumienniej. Ale wszystko napróżno.

Nie zostałem zgorszony. Słońce ściągnęło to wszystko ode mnie. Mogłem sobie tylko powiedzieć: Co ja mam się wdawać w sprawy Pana Boga! Pan Bóg stworzył tych gałganów i usadowił ich tu na piasku, by byli, jak są. Zali to moja rzecz? Ja ich nie nawrócę, ja ich nie odmienię! Nie odmienię ich natury... mogę być najwyżej ich przyjacielem, pocieszać ich w smutkach, dać im kęs, gdy mrą z głodu, felczerzyć trochę śród nich. Jestem pierwszym doradcą ich, gdy chodzi o proszek lub pigułkę, którą ma wziąć chory, i o pogodzenie ich z białym marabutem. To słońce nauczyło mnie tego, i dlatego każdy tu gałgan w tych piaskach i każde dziecko gałgańskie jest moim przyjacielem.

— Kocha ich ksiądz tedy niechybnie? — rzekła Domini.

— Oczywiście, proszę pani. Znam ich język i jest mi bardziej swojsko w ich namiotach, niż, nie przymierzając, w Watykanie... z całą rewerencją dla Ojca Świętego.

Powstał, wyszedł na piasek, odchrząknął i splunął z hałasem, potem powrócił do namiotu, wycierając wąsy i usta wielką chustą czerwoną od nosa.

— Długo tu zabawicie państwo? — zapytał.

Znowu usiadł w fotelu — aż z powodu jego wagi zatrzeszczał cały.

— Nie wiemy jeszcze. Zależy, jak się tu będzie czuł mój mąż. Przekłada on nad wszystko samotność.

— Istotnie? A jednak poszedł do miasta. Wieczorem tu — to całe piekło gwaru, by rzec prawdę. No, ale nie mogę się zgodzić z pani małżonkiem. Wiem o tem, iż powiedziano, że samotność jest lepsza dla mężczyzny; ja jednak czuję całkiem odwrotnie. O!

Ostatni dźwięczny i radosny wykrzyknik wyrwał się z ust księdza Bereta na widok Uardiego, który wszedł w tej chwili z wielką tacą, zastawioną filiżankami, biszkoptami, cukierkami,

cygarami i pękatą butlą likieru w towarzystwie małych kieliszków.

— Widzę, że podróżujecie dostojnie w pustyni! — zawołał. — Temci lepiej! Jak się nazywa pani służący?

Domini powiedziała nazwisko.

— Uardi! znaczy: urodzony w czas róż. — Zwrócił się do Uardiego po arabsku, czem wywołał jego śmiech wesoły. — Wszystkie nazwiska arabskie mają swe znaczenie... Omlagareb: matka skorpjonów, Omteoni: matka orłów, i tak dalej. Temci lepiej! Tutaj niemasz komfortu, widzę jednak, że go państwo wozicie ze sobą. Mogę prosić o cukier?

Domini włożyła mu dwa kawałki do filiżanki.

— Pani pozwoli...

Dodał sobie jeszcze dwa.

— Nigdy nie gardzę dobrem cygarem. Te uciechy niewinne wyborne dla człowieka. Wspierają go w chrześcijaństwie. Chronią go od zbyt ostrych sądów i od zgoryczenia... Pustynia uczyniła ze mnie *enfant terrible*. Obawiam się, czy... Co to tam takiego?

Oczy jego pociągnęła butla likieru, ku której Domini wyciągnęła rękę z zamiarem poczęstowania go.

— Nie mam pojęcia.

Pochyliła się, żeby przeczytać etykietę na butelce.

— *Luarina* — rzekła.

— Sza! — ozwał się ksiądz z pewnem drgnięciem.

— Czy nalać księdzu? Nie wiem, czy dobry. Nie próbowałam go, ani nie widziałam dotychczas. Można nalać?

Czuła tak absolutnie pewnie, iż pragnął powiedzieć: *Tak*, że przechyliła butlę, by napełnić kieliszek; spojrzawszy atoli na niego, ujrzała, że się wahał.

— A zresztą... dlaczegożbym nie miał wypić — oświadczył.

Trzymała butlę nad kieliszkiem. Spostrzegł, że uwaga jego zdziwiła ją.

— Tak jest, proszę pani. Dzięki.

Nalała mu kieliszek i podała. Postawił go obok swej filiżanki.

— Tedy, oczywiście, nic pani nie wie o tym likierze?

— Nic. Cóż to za likier?

— Likier ten pochodzi z klasztoru ojców Trapistów w El-Largani.

— Likier mniszy! — zawołała.

I naraz przypomniała sobie Mogar.

— Tedy wie pani?

— Uardi mówił mi, że mamy jakiś likier, zrobiony przez mnichów.

— Właśnie to jest ten i, prawdę rzekłszy, wyborny. Próbowałem go w Tunisie.

— Lecz dlaczego tu ksiądz się wzdragał?

Uniósł kieliszek do lampy. Światło zalśniło w jego zawartości, ukazując płyn blado-zielony.

— To tak jest, proszę pani. Trapiści w El-Largani celują pod wielu względami. Hodują wiele rzeczy, lecz śród nich winnice ich słyną osobliwie, i wina ich dają im porządne dochody. To jest ich jedyny likier — ta *Luarina*. Przysporzył on już sporo grosza zakonowi; lecz gdy się już wyczerpią obecne zapasy Luariny, nie wpłynie już za nią ani jeden frank więcej.

— Dlaczegoż to?

— Tajemnica wyrobu jest w posiadaniu jednego tylko mnicha. Umierając, mnich ów powierza ją znów jednemu, którego wybierze.

— I umarł tedy bez...

— Nie, pani, nie umarł bez...

Na lica księdza wystąpiła powaga, pogłębiła je i przeobraziła. Odstawił kieliszek, nie dotknąwszy go ustami.

— Nie rozumiem tedy.

— Mnich ten uciekł z klasztoru.

— Uciekł... z klasztoru Trapistów?

— Tak jest.

— Odbywszy śluby ostateczne?

— O! Był już mnichem całe dwadzieścia lat.

— To straszne! — rzekła Domini.

Spojrzała na biało-zielony płyn.

— To straszne! — powtórzyła.

— Tak jest. Mnisi mieli rację, że trzymali całą tę sprawę w tajemnicy, atoli służący ich — który nie ślubował wieczystego milczenia — wygadał się... i oto dowiedziałem się o tem tu, „w brzuchu pustyni".

— Straszne!

Znów powtórzyła to słowo, jakgdyby znaczenie jego czuła za każdym razem ostrzej, gdy mówiła.

— Jak dawno to było?

— Nie bardzo dawno. Zaledwie kilka miesięcy. No, może z rok, najwyżej. Biedny braciszek! Przypuszczam, że był to człowiek, który nie przejrzał siebie dostatecznie, a którego przeto skusił djabeł.

— Lecz... po dwudziestu latach? — rzekła Domini.

Rzecz zdała się jej nie do wiary.

— Człowiek ten musi być w piekle obecnie — dodała. — W piekle, jakie człowiek sam swemi czynami gotuje. Otóż i mój mąż!

Androwski stał w drzwiach namiotu, patrząc na nich zdziwionemi i badawczemi oczyma. Przybył bez szelestu, stąpając po piasku głębokim. Ani ksiądz, ani Domini nie słyszeli jego kroków. Ksiądz powstał z fotela i skłonił się uprzejmie.

— Dobry wieczór panu — rzekł, nie czekając na przemówienie. — Jestem jałmużnik z Amary i...

Urwał w całej pełni wymowy. Oczy Androwskiego wędrowały z jego twarzy na stół, na którym stała kawa, likier i smakołyki, przyniesione przez Uardiego. Było oczywistem nawet dla zajętego sobą księdza, że gospodarz nie słucha go. Była chwila przerwy niezręcznej. Zatem rzekła Domini:

— Borysie, ksiądz jałmużnik!

Rzekła nie głośno, lecz z zamiarem przywołania myśli Androwskiego. Postąpił wolno w głąb namiotu i podał w milczeniu rękę księdzu. Gdy to czynił, upadło na niego światło lampy.

— Borysie! Ty jesteś chory! — zawołała Domini.

Ksiądz ujął rękę Androwskiego. Oczy jego, utkwione w gospodarza, świeciły zdumieniem, które się mieszało z jakiemś zakłopotaniem chłopięcem.

— Boli mnie głowa — rzekł Androwski. — Dlatego powróciłem.

Puścił rękę księdza. Spojrzał znowu na stół.

— To słońce dziś takie nieznośne — rzekła Domini. — Możeś...

— Tak, tak jest — przerwał. — Musi to być lekkie porażenie słoneczne.

Położył dłoń na głowie.

— Niech mi pan wybaczy — rzekł, mówiąc do księdza i nie patrząc na niego. — Istotnie, czuję się niedobrze. Innym razem...

Wyszedł z namiotu i zniknął pocichu w ciemności. Domini i ksiądz przeprowadzili go oczyma. Zaczem ksiądz, z wyrazem zakłopotania, wziął kapelusz ze stołu.

— Muszę wracać, proszę pani. Mam kawał drogi, a godzina już późna! Pani pozwoli mi...

Podszedł do drzwi namiotu i zawołał przez nie głosem potężnym:

— Belgassem! Belgassem!

Chwilę zatrzymał się, a potem znowu zawołał:

— Belgassem!

Światło zamigotało nad piaskami od namiotu służących. Ksiądz zwrócił się ku Domini i uścisnął jej rękę.

— Dobrej nocy, pani.

— Bardzo mi przykro — rzekła, nie starając się zatrzymać go. — Mam nadzieję, że rychło pana zobaczę. Mój mąż jest oczywiście chory i...

Żołnierz stanął od zewnątrz drzwi namiotu, jak posąg z latarką. Ksiądz wahał się. Trzymał w palcach dopalające się cygaro i na wychodnem rzucił na nie wzrokiem, a potem na pudełko z cygarami. Wyraz żałośliwy odbił się na jego bronzowej i zarośniętej twarzy. Było coś w tym wyrazie, co aż litość wzbudzało. Domini podeszła szybko do stołu, wzięła dwa cygara z pudełka i podała je księdzu.

— Może pan zapali jeszcze na drogę cygaro.

— Jest pani, prawdziwie, nazbyt dobra... ale, owszem... nigdy nie odmawiam dobrego cygara... a te, na honor, są...

Potarł zapałkę o podeszwę swego wielkiego buta. Zachowanie jego stało się znowu jowjalnem. Domini dała jeszcze cygaro i dla żołnierza.

— Dobranoc pani. Do jutra tedy, do jutra! Mam nadzieję, że mąż pani wydobrzeje do jutra. Do widzenia.

Światło znów zakołysało się nad zaspami i wsiąknęło w nie na drodze do miasta. Wtedy Domini przeszła przez piasek do sypialnego namiotu.

— Borysie!

Stała u drzwi namiotu sypialnego. Nie odpowiadał.

— Borysie!

Wyszedł z dalszego namiotu, który służył, jako gotowalnia, niosąc palącą się świecę w ręku. Podążyła ku niemu z ruchem szybkiej, gorącej serdeczności.

— Źle ci się zrobiło w mieście. Jakże Batucz mógł ci pozwolić powracać samemu?

— Wolałem być sam.

Postawił świecę na stole i tak się poruszał, że światło upadło na jego twarz. Ujęła serdecznie jego ręce. Lecz w rękach jego nie znalazła odpowiedzi. Spoczywały w jej dłoniach, prawie jak rzeczy bezduszne. Mimo to, nie były zimne, płonęły żarem.

— Masz gorączkę! — rzekła. — Skronie twe płoną, a puls... jakżeż bije! Jak młotem! Trzeba...

— Nic mi nie trzeba, Domini, to zbyteczne.

Zamilkła. W głosie jego był dźwięk beznadziejności, który ją przeraził.

— Poco ksiądz przyszedł tu wieczorem? — rzekł.

Stali oboje, lecz obecnie on siadł ciężko w fotelu, uwalniając swe ręce z jej rąk.

— Poprostu... czyniąc akt zwykłej grzeczności.

— Wieczorem?

Mówil podejrzliwie. I znów stanął jej w myśli Mogar. Uczucie przykre, że jest otoczona tajemnicą, znów ją stłoczyło. Dla natury szczerej i mocnej, jaką była, stawało się to nieznośnem. Było to, jak wyziew trujący — dusiła się w nim.

— Ach, Borysie! — zawołała głucho — dlaczegoż nie miał przyjść wieczorem?

— Uważasz, że to rzecz zwykła?... A czy pytał cię o co?

— Czy pytał?

— Widzę na stole... kawę... i.... i likier.

— No, tak... przyjęłam go kawą i...

— Czy pytał cię o co?

— Ależ, Borysie, jakże mógł?

Po chwili milczenia rzekł:

— No, tak! Oczywiście.

Poruszył się w fotelu, założył nogę na nogę, oparł ręce na poręczach i rzekł w dalszym ciągu:

— O czem tedy mówiliście?

— Trochę o Amarze.

— To wszystko?

— Niedługo bawił, zanim przyszedłeś...

— Oh!

— Powiedział mi atoli jedną rzecz, która była straszną — dodała, posłuszna instynktowi mówienia zawsze przed nim całkowitej prawdy.

— Straszną! — rzekł Androwski, rozkrzyżowując nogi i naprzód się podając w fotelu.

— Tak jest.

— Cóż to takiego? Zbrodnia jaka?

— Ach, nie! To dotyczyło tego likieru, który widzisz na stole.

Androwski siedział w fotelu ogrodowym. Gdy rzekła te słowa, fotel zatrzeszczał pod gwałtownym ruchem, jaki uczynił.

— Cóż tu może być... jakaż rzecz straszna może mieć związek z tym likierem? — zapytał, mówiąc powoli.

— Likier ten jest sporządzony przez mnicha, trapistę...

Powstał z fotela i wyszedł na otwór namiotu.

— Co ci? — poczęła, sądząc, że może silniejszy ból głowy go dojął.

— Nic, nic. Chcę być na powietrzu. Tu za gorąco. Zostań, gdzie jesteś, Domini, i... co dalej?

Postąpił krok na piasek i stał tuż za namiotem w jego cieniu.

— Likier ten jest wynalazku mnicha trapisty z klasztoru w El-Largani, mnicha, który zbiegł. Otrzymał już wszystkie święcenia. Bawił w klasztorze zgórą dwadzieścia lat.

— Ksiądz mówił... że... on zbiegł?

— Tak jest.

— Dokąd zbiegł?

— Nie wiem. Przypuszczam, że i on nie wie. Ale nie o to chodzi. Cała groza tkwi w tem, że porzucił klasztor i złamał śluby wieczyste... śluby, jakie Bogu uczynił.

Po chwili, przez którą oboje nie mówili, a Androwski stał bez ruchu na piasku, dodała:

— Biedny on!

Androwski postąpił krok ku niej i zatrzymał się.

— Dlaczegoś to powiedziała, Domini?

— Myślę o męce bezbrzeżnej tego człowieka, jeżeli on żyje jeszcze.

— O męce?

— O męce ducha i serca. Ja wiem o tem, Borysie, że pod niektóremi względami nie możesz czuć tak, jak ja... ale...

— Ale?

— Borysie! — Wstała i podeszła ku drzwiom namiotu, lecz nie przeszła na stronę piasku. — Ja mam nadzieję, że kiedyś może...

Zamilkła, patrząc ku niemu szczeremi, otwartemi oczyma.

— O męce ducha? — rzekł Androwski, wracając do jej słów. — Zatem ty, Domini... ty masz współczucie dla tego człowieka?

— A ty... czyż nie masz go?

— Ja... a cóż mnie to może obchodzić? Pocóż mamy się tem...

— Wiem. Czasami atoli ma się współczucie dla ludzi, których się nigdy nie widziało i nigdy nie zobaczy, gdy się usłyszy o nich coś tak bardzo strasznego...

Urwała. Po chwili, podczas której on nic nie rzekł, mówiła dalej:

— Wierzę w to, że i ksiądz musiał czuć coś w tym samym rodzaju. Nie chciał pić likieru, który wyszedł z rąk tego człowieka, chociaż miał wielką ochotę.

— Tak... lecz ksiądz dla innych może powodów — rzekł Androwski głosem surowym. — Księża mają tak dziwne zasady. Czasami sądzą nazbyt ostro, nazbyt okrutnie.

— Być może. W każdym razie nie ten ksiądz. Jego wadą byłoby chyba coś przeciwnego.

— Przeciwnego?

— Zbyt wielka pobłażliwość.

— Czyż można być zanadto pobłażliwym dla swego bliźniego? — rzekł Androwski.

W głębokim głosie jego był dziwny dźwięk wzruszenia, który ją przejął wskroś. Zdawało jej się — nie wiedziała, dlaczego — że on się wysnuwa z głębin czegoś, co stworzyło ich miłość wzajemną.

— Największa pobłażliwość — to pobłażliwość Boska — rzekła. — Jestem tego pewna... pewna zupełnie.

Androwski wyszedł z cienia namiotu ku jego środkowi, ujął z pasją uczucia jej ręce, złożył z pasją uczucia swe wargi na jej wargach, z siłą, i z ogniem płonącym, i z wielką, mocną czułością, która była mocna, bowiem była wezbrana.

— Niech Bóg cię błogosławi! — rzekł. — Niech Bóg cię błogosławi! Co bądź ci życie ześle, On zawsze błogosławić ci będzie.

— On już mi pobłogosławił — rzekła szeptem poprzez łzy, które ruszyły z jej oczu, od źródeł, wzbudzone jego raptownym wylewem miłości ku niej. — On już mi pobłogosławił. Dał mi ciebie, twą miłość, twą wiarę.

Androwski porywczo, jak był ją ujął, wypuścił z ramion, obrócił się i poszedł w pustynię.

XXIV.

Spełniając obietnicę, ksiądz przybył na drugi dzień dowiedzieć się o zdrowie Androwskiego. Zdarzyło się, że przybył właśnie, gdy nakrywano do śniadania, i zastał Androwskiego na piasku przed namiotem.

— Zatem niema gorączki, proszę pana? — rzekł, gdy uścisnęli sobie dłonie.

— Nie — odrzekł Androwski. — Jestem już prawie zdrów zupełnie.

Ksiądz spojrzał na niego z badawczością, nie krępując się zgoła.

— Czy dawno pan bawisz w pustyni? — zapytał.

— Od kilku tygodni.

— To upał zmógł pana. Poznaję po wyglądzie...

— Ależ mogę zapewnić księdza, że jestem przyzwyczajony do upałów. Całe życie spędziłem w Afryce północnej.

— Być może. Mimo to, sądząc z wyglądu, wnoszę na pewno, że pan potrzebujesz zmiany klimatu. Klimat Sahary przewspaniały, niektórzy jednak...

— Nie należę do nich — rzekł Androwski porywczo. — Nigdy się nie czułem tak silnym fizycznie, jak... kiedy żyłem w piaskach.

Ksiądz wciąż patrzał na niego uważnie, lecz nie rzekł już nic o jego zdrowiu. Zresztą uwagę jego pochłonął zaraz potem Uardi, niosący potrawy z namiotu kuchennego.

— Przykro mi, doprawdy, żem przybył w porze tak niewłaściwej — usprawiedliwiał się, spoglądając na zegarek — atoli tu w Amarze jesteśmy... to pewna...

— Mam nadzieję, że zechce ksiądz zostać na śniadaniu — rzekł Androwski.

— Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony. Obawiam się atoli, czy...

— Proszę, niech ksiądz zostanie.

— Zatem... z przyjemnością.

Poruszył ustami w przedsmaku, jakgdyby tylko wzgląd grzeczności wstrzymywał go od mlaśnięcia. Androwski postąpił ku sypialnemu namiotowi, gdzie Domini, która była w mieście, myła ręce.

— Mamy księdza w gościnie — rzekł. — Prosiłem, żeby został na śniadaniu.

Spojrzała na niego ze szczerem zdumieniem w ciemnych swych oczach.

— Ty, Borysie?

— Tak jest, ja. Dlaczegożbym nie miał...

— Nie wiem. Lecz zazwyczaj stronisz od ludzi.

— To, zdaje się, dobry gatunek człowieka.

Patrzała wciąż na niego z pewnym podziwem, a nawet z ciekawością.

— Widzę, że masz słabość do tego księdza — rzekła z uśmiechem.

— Dlaczegożby nie? To człowiek całkiem niepodobny do księdza Roubier, bardziej ludzki.

— Ksiądz Beret jest bardzo ludzki, widzi mi się — odpowiedziała.

Wciąż się uśmiechała. Przyszło jej właśnie na myśl, że ksiądz podjął tę wizytę z jakąś misją, zgóry zamierzoną.

— Już idę — dodała.

Ogarnęła ją raptowna wesołość. Cały ranek, po złej nocy, była poważna, a nawet zgnębiona. Gdy mąż jej opuścił ją wczoraj raptownie i poszedł sobie w ciemność, na duszę jej napłynęła fala ostra, mrocząca, i trwała całą noc. Obecnie, gdy usłyszała go mówiącego w blasku słońca i dowiedziała się, że zaprosił gościnnie miłego księdza, na sercu stało się jej odrazu lżej, choć sama nie wiedziała, dlaczego. Było to, jakgdyby była nieco chorą i jakgdyby chmura, która ją była opętała, uniosła się, odkrywając błękit.

Przy śniadaniu orzeźwiła się jeszcze bardziej. Mąż jej zachowywał się z księdzem tak, jak jeszcze dotąd nie widziała, by się z kim zachowywał. Zrazu począł od starań, żeby być przyjemnym: to było widocznem. Potem atoli stał się bardzo przy-

jemnym bez wysiłku. A gdy wreszcie ksiądz Beret powstał, żeby odejść, Androwski oświadczył, że pragnie go odprowadzić kawałek drogi. Wyszli tedy razem w najlepszej komitywie.

Była zachwycona i przyjemnie zdziwiona. Miała tedy rację. Nadszedł czas, że Androwski uległ innemu wpływowi, niż wpływ niezaludnionych obszarów. Nadszedł czas, że wszedł w porozumienie z człowiekiem, którego dusza była bardziej z nim krewną, niźli dusza Arabów, z którymi jedynie obcował. Poczęła wyobrażać go sobie w ogniskach cywilizowanych, była już zdolna wyobrazić go sobie. I rada była, że przybyli tu, do Amary, i utrwaliła zamiar pozostania tu dłużej. Tak! Wszystko będzie dobrze. Nadejdzie czas — o, jak pożądany! — gdy uczuje, że zdrowie jego duszy odpowiada w pełni zdrowiu jego ciała.

— Batucz! — zawołała prawie radośnie.

Batucz zjawił się, palący tęsknie papierosa i z wielkim kwiatem u gałęzi, która sterczała mu z za ucha.

— Osiodłaj konie, Batucz! Pan poszedł z księdzem. Pragnę się trochę przejechać... dokoła obozów, tamtędy, do bramy miejskiej, poprzez plac i do domu. Pojedziesz ze mną.

Batucz energicznie odrzucił papierosa. Jakkolwiek był poetą, wszystka krew arabska zagrała w nim na myśl o cwałowaniu konno. Nie upłynęło kilku minut, jak byli już na koniach. Gdy Domini była już na siodle, trudno jej było być wtedy smutną lub zamyśloną. Namiętność do konia była jej namiętnością przyrodzoną, a jazda konna — jedną z największych, jeżeli nie największą, przyjemnością jej życia. Gdy miała pod sobą rumaka z ogniem i z duszą, czuła się wtedy panią władną, a puste obszary pustyni wzniecały pęd, wzniecały sny. Pomknęła szybko wraz z Batuczem, okrążyli cmentarz arabski, skręcili ku południowi, a potem cwałowali już środkiem obozu Uled-Nailów. Była to godzina siesty. Cisza leniwa zaległa obóz. Podjechali do bramy miejskiej, przez którą po raz pierwszy wchodziła do Amary. Tu znajdował się dom księdza, a Androwski był razem z księdzem. Przypuszczała, że może wstąpił do niego, oddając mu wizytę. Gdy wjeżdżała do miasta, spojrzała na dom. Drzwi były otwarte i w przedpokoju ujrzała jaskrawe dywaniki. Miała wielką ochotę zatrzymać się i zapytać, czy niema tu jej męża. Mógłby wsiąść na konia Batuczowego i jechać z nią razem do domu.

— Batucz — rzekła — idź i zapytaj, czy niema u księdza Bereta pana Androwskiego. Przypuszczam, że...

Urwała. Ujrzała bowiem w tej chwili na tle okiennego otworu z prawej strony drzwi przedpokoju twarz swego męża. Nie mogła jej widzieć dokładnie. Arkada nad domem rzucała mocny mrok nawewnątrz, a w mroku tym twarz zamigotała, jak cień. Batucz zeskoczył z konia. Widok atoli zacienionej twarzy odmienił jej zamiar. Postanowiła nie przerywać im obcowania. Dawniej, w Beni-Morze, prosiła Androwskiego, żeby poszedł do księdza. Przypomniała sobie, jakie to pociągnęło następstwa. Obecnie Androwski poszedł z własnego natchnienia. Kto wie, może zaprzyjaźnią się ze sobą... może... Przypomniało jej się widzenie w domu tanecznym i to jej uczucie, gdy nadjeżdżali do Amary, że nadjeżdżali do serca pustyni. Gdyby Androwski mógł się tu pomodlić! Ksiądz Beret zdawał się być człowiekiem, który mógł mieć wpływ na jej męża, lub w każdym razie kimś z duszą mocną, poważną.

— Nie, Batucz — rzekła. — Nie zatrzymamy się.

— Ale, proszę pani — zawołał — pan jest tutaj. Widziałem pana w oknie.

— Pomimo to. Nie będziemy im przeszkadzali. Przypuszczam, że mają sobie coś do powiedzenia.

Pocwałowali ku rynkowi miejskiemu. Gdy wjeżdżali na wzgórek naprzeciw placu, na którym stała fontanna, ujrzała dwóch pięknie ubranych Arabów w towarzystwie służącego, ciągnących powoli ku niej od wrót urzędu arabskiego. Jeden z nich, wielkiej postawy, był ubrany w zielone szaty i niósł wielkie berło, z którego zwieszały się zielone wstążki. Drugi miał ubranie białe pospolitsze, biały burnus i turban, usiany złotem.

— *Madame!* — zawołał Batucz.

— Co takiego?

— Czy widzi pani tego Araba w zielonem?

Mówił głosem pełnym bogobojności.

— Widzę. Któż to taki?

— To wielki marabut, który mieszka w Beni-Hassan.

Nazwa ta obiła się o uszy Domini z dziwną swojskością.

— Ależ to jest miejscowość, dokąd pojechał wtedy rankiem z Beni-Mory hrabia Anteoni!

— Tak jest, proszę pani.

— Daleko to od Amary?

— Dwie godziny jazdy poprzez pustynię.

— Tedy hrabia Anteoni musi być blisko nas. Od czasu, jak odjechał, pisał do mnie i dał mi swój adres: w domu marabuta.

— Chodzi o to, czy jeszcze bawi wciąż u marabuta, proszę pani.

Byli teraz wpobliżu fontanny, a marabut i jego towarzysz szli prosto ku nim.

— Jeżeli pani pozwoli, pójdę pozdrowić marabuta.

— Idź, oczywiście.

Zeskoczył z konia, przywiązał go w okamgnieniu do kraty, ogradzającej fontannę, i szedł z pełnym szacunkiem ku zbliżającemu się wielmoży, by ucałować jego rękę. Domini ujrzała, jak marabut zatrzymał się, jak Batucz się pokłonił, a potem wyprostował się i ruszył nieco wtył, jak zdziwiony. Arab, który towarzyszył marabutowi, zdał się być także zdziwionym. Wyciągnął rękę ku Batuczowi, ów ujął ją, pocałował, a potem pocałował swoją rękę i, zwracając się, wskazał ku Domini. Arab powiedział coś marabutowi, poczem opuścił go i podążył szybko ku fontannie. Gdy już był blisko, Domini ujrzała twarz ogorzałą od słońca, małą śpiczastą brodę, dwoje przenikliwych jasnych oczu, osnutych zmarszczkami. Oczy te przykuwały jej uwagę. Zdawało jej się, że zna je skądciś, że często patrzała w nie i widywała ich wyraz zmienny. Naraz zawołała:

— Hrabia Anteoni!

— Tak, to ja!

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— Tak tedy wyruszyła pani w podróż do pustyni — dodał, patrząc na nią uważnie, jak to nieraz był czynił w swym ogrodzie.

— Tak jest.

— I jak to ja ważyłem się doradzać... ostatniemi czasy, pamięta pani?

Przypomniała jego słowa.

— O, nie — odparła, a w głosie jej było ciepło radości, a nawet dumy. — Nie jestem tu sama!

Hrabia Anteoni stał z ręką wspartą na szyi konia. Gdy rzekła to, ręka opadła.

— Byłem zdala od Beni-Hassan — mówił powoli. — Podróżowaliśmy wraz z marabutem w południowej stronie i przed-

wczoraj zaledwie powróciliśmy. Oddawna nie doszły mnie wieści z Beni-Mory, wiem atoli. Jest pani... panią Androwską.

— Tak jest — odrzekła. — Jestem panią Androwską!

Zamilkli oboje. Śród tego milczenia słyszała krople wody, opadające w fontannie. Wreszcie hrabia Anteoni począł znowu:

— To było sądzone — mówił powoli. — Tak było zapisane w piasku.

Przez myśl jej przesunął się wróżbita. Zamilkła. Spadło na nią raptownie brzemię smutku, troski, niepokoju. Przez chwilę straciła prawie świadomość, gdzie była i z kim była. Wrażenie to minęło, przyszła do siebie i spojrzała spokojnie na Anteoni'ego. Oczy ich się spotkały.

— Tak jest — odrzekła — wszystko, co mi się tu przytrafiło w Afryce — było zapisane w piasku i w ogniu.

— Pani ma słońce na myśli?

— Tak jest.

— Ja... a gdzie tu państwo mieszkacie?

— U muru miejskiego, na wzgórku, stąd niedaleko.

— Skąd może pani widzieć ognie wieczorne i słyszeć dźwięki muzyki afrykańskiej.

— Tak jest.

— Jak było powiedziane.

I znowu przewładne uczucie czegoś dawnego i czegoś strasznego zawisło nad nią tuż blisko; tym jednak razem oddaliła je rezolutnie.

— Czy odwiedzi mnie pan? — rzekła.

Miała zamiar powiedzieć „nas", powiedziała atoli „mnie".

— Jeżeli pani pozwoli.

— Kiedy?

— Właściwie... — Usłyszała ów dziwnie oschły i twardy ton w głosie, który tak dobrze pamiętała. — Czy mogę teraz, jeżeli pani jedzie do namiotów?

— Bardzo proszę.

— Przeproszę tylko marabuta i zaraz nadążę za panią.

— Ale nie znasz pan drogi. Batucz!

— O, to zbyteczne.

Domini pojechała. W obozie stwierdziła, że Androwski jeszcze nie wrócił, i była rada z tego. Chciała pomówić z hrabią An-

teonim na osobności. Nie upłynęło kilka minut, jak ujrzała go zbliżającego się ku namiotom.

— Mój mąż bawi jeszcze w mieście — rzekła.

— Tak?

— Z księdzem.

Ujrzała, jak po twarzy hrabiego Anteoni'ego przemknął wyraz zdziwienia. Natychmiast atoli zniknął.

— Z księdzem Beretem — rzekła. — To jeden z najmilszych ludzi i przytem bardzo dobry dla Arabów.

Siedzieli właśnie w cieniu namiotu wewnątrz u drzwi i patrzali spokojnie na miasto.

— Tak jest, to jest ta miejscowość — rzekł.

Wiedziała, że czyni aluzję do widzenia wróżbity, mówiąc te słowa.

— Czyś pan wierzył wtedy, że to, co on mówi, stanie się kiedyś? — zapytała.

— Cóż znowu! Czyż jestem dzieckiem?

Mówił z ironją wytworną, czuła jednak, iż drażni się z nią.

— Czyż człowiek dojrzały nie może w to wierzyć?

Nie odpowiedział jej na pytanie, lecz rzekł:

— Mój los się spełnił. Czy nie ciekawa pani usłyszeć, w jaki sposób?

— Proszę bardzo, niech pan powie.

Mówił poważnie. Uczuła zmianę, wielką zmianę, której atoli nie mogła jeszcze w pełni zrozumieć. Było to tak, jakgdyby dotychczas był człowiekiem, który wątpi, a obecnie już nie miał zwątpień, jakgdyby przybił do jakiej mety i zdobył wreszcie spokój, którego dotychczas nie zaznał.

— Zostałem mahometaninem — rzekł poprostu.

— Mahometaninem!

Powtórzyła wyraz, jak ktoś, co powtarza wyraz w zdumieniu, głos jej atoli nie wyrażał zdumienia.

— Panią to dziwi? — zapytał.

Po chwili odrzekła:

— Nie, nie myślałam nigdy o tem, nie jestem jednak zdziwiona. Teraz, gdyś mnie pan to powiedział, wyświetla mi to wiele z tego, com w panu zaobserwowała, co mnie w panu dziwiło.

Spojrzała na niego otwartemi oczyma, atoli bez zaciekawienia.

— Czuję, że jesteś pan teraz szczęśliwy.

— Tak jest, jestem szczęśliwy. Po latach rozterki mam pokój odrazu zupełny. Uczucie to czarowne. Całe me życie tułałem się i otom przybił nareszcie do wrót mego domu.

Mówił spokojnie, w głosie jego atoli słyszała akordy radosne.

— Pamiętam, jak pan mówił: „Lubię patrzeć na modlących się w pustyni!“ Dla tej racji porzuciłeś pan Beni-Morę?

— Tak jest. Oddawna już pragnąłem zostać mahometaninem. Przybyłem tu, by być razem z marabutem, poznać lepiej niektóre punkty wiary, stwierdzić, czy nie mam jakich wątpliwości.

— I nie masz pan ich zgoła?

— Zgoła.

Spojrzała na niego jasnemi oczyma i westchnęła, pomyślawszy o swym mężu.

— Powróci pan do Beni-Mory? — zapytała.

— Nie sądzę. Mam zamiar pójść dalej w głąb pustyni, dalej... pomiędzy ludzi mej wiary. Nie chcę otoczenia Francuzów. Z czasem wrócę, być może. Obecnie jednak coś mnie pcha naprzód, wciąż naprzód.

Naraz się opatrzył i powstrzymał.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł poprostu. — A teraz proszę mi mówić o sobie. Nie pisała mi pani, że wychodzi zamąż.

— Wiedziałam, że z czasem dowie się pan o tem... wtedy, kiedy się znów spotkamy.

— Wiedziała pani, że spotkamy się jeszcze w życiu.

— A pan nie wierzył w to?

Skinął głową.

— W sercu pustyni. A państwo jakże... wracacie? Do życia cywilizowanego?

— Nie wiem jeszcze. Nie robimy planów. Będzie, jak zechce mój mąż.

— A on jak chce?

— Kocha pustynię, namawia mnie, by kupić tu oazę i handlować daktylami. Cóż pan powie na ten zamiar?

Mówiła z uśmiechem, oczy jej atoli były poważne, nawet smutne.

— Nie mam zdania w tym względzie — odrzekł.

Gdy już powstał, by odejść, ujął silniej jej rękę na chwilę.

— Czy mogę powiedzieć, co mam na sercu? — zapytał.

— Tak jest, proszę.

— Czuję, że to, com rzekł pani o sobie, o tem mojem zawinięciu do wrót domowych po długich latach uciążliwego szukania, obudziło w pani smutek. Czy tak jest?

— Tak — rzekła otwarcie.

— Czy może mi pani powiedzieć przyczynę?

— Uprzytomniło mi to silniej, jak wielką musi być niedola tych, którzy są wiecznie bez domu.

W głosie jej było coś, jak dźwięk powstrzymanego łkania.

— Proszę mieć ufność, proszę przypomnieć sobie tak długie lata mojej tułaczki.

— Tak... o, tak!

— Żegnam panią!

— Czy nie odwiedzi nas pan jeszcze?

— Długo tu jeszcze zabawicie państwo?

— Kilka dni, jak przypuszczam.

— Kiedy tylko zażąda pani, przybędę.

— Chciałabym, żeby zobaczył się pan z moim mężem. Chciałabym tego bardzo -- mówiła z żywością gorącą.

— Proszę przysłać po mnie: natychmiast przybędę.

— Przyślę... wkrótce.

Gdy odszedł, Domini siadła w cieniu namiotu. Z miejsca, gdzie siedziała, mogła była widzieć cmentarz arabski nieopadal, pewną ilość głazów, do połowy zasypanych piaskiem. Arab samotny błąkał się tam, modląc się za umarłych głośno, żarliwie. Czasami zatrzymywał się przy grobie, pochylał się w modlitwie, potem powstawał i znowu chodził. Głos jego nie zamilkał ani na chwilę. Dźwięk tego głosu był żałosny i jednostajny. Domini przysłuchiwała się tej modlitwie i myślała o ludziach bezdomnych, o tych, którzy żyli i umarli, nie dotarłszy do wrót, przez które przeszedł hrabia Anteoni. Słowa jego i głęboka zmiana w twarzy uczyniły na niej głębokie wrażenie.

I znowu spadło na nią przerażenie. Spojrzała ku głazom cmentarnym śród piasków i wyobraziła w tem miejscu, gdzie był Arab, siebie... modlącą się za Androwskiego, pogrzebanego tam, ukrytego tam od niej na zawsze. I naraz poczuła: „Nie mogę zwlekać, muszę działać.“

Głos starego Araba zamarł woddali; zanim atoli zamarł, Domini już go nie słyszała.

Słyszała jedynie głos, który był w niej i który do niej mówił: „Gdy kochasz prawdziwie, nie miej lęku. Idź śmiało przeciw smutkom, które, jak cień śmierci, stoją pomiędzy tobą i twoim małżonkiem. Zbądź ich. Masz broń: wiarę. Użyj jej.“

I zdało jej się, że przez cały czas swej miłości była gnuśną w sercu — i była małoduszną — i oto przyszła do wniosku, że dłużej zwlekać nie może.

XXV.

Domini postanowiła, że jeszcze tego wieczoru pomówi z mężem. Postanowiła być niezłomną, nie cofnąć się w żadnym razie. Z drugiej strony uprzytomniała sobie, jak trudne będzie miała zadanie — zadanie z powodu stałej i prawie uporczywej skrytości Androwskiego. Skrytość ta była cechą zasadniczą jego charakteru. Myślała często o niej, jak o murze ognistym, który okalał miejsca tajemne jego duszy, chroniąc je nawet przed jej wzrokiem.

Było już koło wieczora, kiedy Androwski powrócił do obozu. Na wielkie białe rozłogi piaszczyste padło żółte światło. Na małych krągłych wzgórkach wioski arabskie wyglądały urocznie. Sporo jeźdźców ukazało się od strony miasta, by chłonąć rześkość zbliżającej się nocy. Od pustyni nadciągały karawany. Dzieci nomadów półnagie grały w korę przed namiotami, nawołując przenikliwie poprzez ciszę jasną, falującą powietrznie ku dalekim przestrzeniom, które znowu dech niosły jakiejś bladej wieczności.

Gdy Androwski zbliżył się, Domini spostrzegła, że nie miał już tej energji, która ją tak zachwyciła podczas śniadania. Szedł wolno, z głową opuszczoną. Twarz miał poważną, nawet smutną, jakkolwiek, gdy ujrzał, że go oczekuje, uśmiechnął się do niej.

— Byłeś cały czas z księdzem? — zapytała.

— Prawie cały. Krótko tylko przeszedłem się po mieście. A ty?

— Wyjeżdżałem na spacer i spotkałam przyjaciela.

— Przyjaciela? — rzekł, jakby tknięty.

— Tak jest, przyjaciela z Beni-Mory, hrabiego Anteoni'ego. Złożył mi tu wizytę.

Podsunęła mu fotel pleciony. Siadł na nim ciężko.

— Hrabia Anteoni tu! — rzekł wolno. — Cóż on tu robi?

— Jest u marabuta w Beni-Hassan. I wiesz, Borysie, przyjął mahometanizm!

Podniósł głowę z drgnieniem raptownem i patrzał na nią w milczeniu.

— Dziwi cię to?

— Hrabia Anteoni... mahometanin?

— Tak jest. Czy wiesz, gdy mi to mówił, czułam prawie, jakgdybym się tego spodziewała.

— Lecz... tedy on zmienił? Jest...

Zatrzymał się. Głos jego zadźwięczał goręcej, prawie okrutnie.

— Tak jest, Borysie. Czyś widział kiedy kogo, kto się zabłąkał... a potem, gdy powraca drogą do domu? Otóż takim jest hrabia Anteoni.

— Mówiłaś mu?

— O nas?

— Tak.

— Mówiłam mu.

— Cóż on?

— Spodziewał się tego. Przyjdzie tu, kiedy go poprosimy, by nas odwiedzić oboje razem.

Androwski wstał z fotela. W twarzy miał niepokój. Stanąwszy przed Domini, rzekł:

— Hrabia Anteoni jest tedy szczęśliwy, że... że wiarę tę posiadł?

— Bardzo szczęśliwy.

— A ty, katoliczka, cóż sądzisz o tem?

— Sądzę, że... o ile to jest jego wiarą rzetelną, jest to błogosławieństwem dla niego.

Nie rzekł nic, lecz poszedł ku namiotowi sypialnemu.

Wieczorem, gdy jedli obiad, rzekł do Domini:

— Domini, dziś po obiedzie opuszczę cię także na czas krótki.

Ujrzał wyraz żalu gorzkiego, który wystąpił na jej twarz, i dodał szybko:

— Przyrzekłem, że o dziewiątej odwiedzę księdza. On... tu samotnik. Chciał, żebym przyszedł. Nie masz nic przeciw temu?

— Ależ nie, nie. Jestem rada... bardzo rada. Skończyłeś już?

— Tak jest.

— Weźmy pled i chodźmy trochę na piasek, drogą ku cmentarzowi. Tam wieczorem spokojnie.

— Tak jest. Weźmy pled.

Poszli i przybyli na cmentarz francuski, okolony nędznym żywopłotem, w którym tu i owdzie świeciły otwory. Przez jeden z takich otworów weszli do środka, rozpostarli pled na piasku i sami legli na nim. Wieczór był cichy, i cisza panowała tu zupełna. Patrzali na rozrzucone tu i owdzie mogiły wygnańców, którzy zmarli tu i piaskom zostali oddani. Mogiły te były zazwyczaj skromne, lecz jedna wpobliżu Androwskiego i Domini miała grobowiec z białego marmuru w kształcie kolumny strzaskanej, uwieńczonej wiecznie trwałemi kwiatami i mieszczącej te słowa rzeźbione:

Ici repose
Jean Baptiste Fabriani.
Priez pour lui.

Leżąc na piasku, oboje spojrzeli na ów grobowiec, jakby ruszeni wspólną pobudką, i przeczytali ów napis.

— *Priez pour lui!* — rzekła cicho Domini.

Wyciągnęła rękę, ujęła dłoń męża i przycisnęła ją do piasku.

— Czy pamiętasz, Borysie, tego pierwszego wieczora — rzekła — w Arbie, jak ująłeś moją dłoń i przycisnąłeś ją do pustyni, jakbyś ją przyciskał do serca?

— Tak jest, Domini, pamiętam.

— Tego wieczoru byliśmy jednem, stanowiliśmy jedno... czyż nie tak, Borysie?

— Tak jest, Domini.

— Czy tylko istotnie — mowa jej była, jak szept wieczorny — byliśmy wtedy jednem?

— Dlaczego mówisz: czy tylko istotnie?

— Tak jest: jednem w duszy. Albowiem jest to spójnia prawdziwa, większa, niż spójnia ciał. Czy byliśmy jednem w duszy? Czy jesteśmy tem obecnie?

— Dlaczego mi zadajesz podobne pytania, Domini? Czy wątpisz o mej miłości?

— Nie, nie wątpię. Pytam jednak. Dlaczego nie odpowiadasz?

Milczał. Dłoń jego spoczywała w jej dłoni, lecz była bezwładna.

— Borysie! — mówiła słowa okrutne bardzo powoli — nie by-

liśmy prawdziwie jednem w duszy. Nie byliśmy nigdy jednem. Wiem o tem.

Nic nie rzekł.

— Czy kiedy będziemy jednem? Pomyśl: gdyby jedno z nas umarło, a drugie... ktoby pozostał, pozostał z przekonaniem, że w naszej miłości, nawet w naszej miłości, był rozdział wieczny... czy zniósłbyś to? Czyż mogłabym znieść to?

— Domini...

— Tak jest.

— Dlaczego mówisz w ten sposób? Jesteśmy jednem. Masz całą moją miłość. Jesteś mi wszystkiem na świecie.

— A jednak jesteś smutny i starasz się ukryć swój smutek, swą troskę, przede mną. Dlaczego nie możesz mi jej powierzyć? Pragnę tego... pragnę bardziej, niż wszystkiego na świecie; pragnę i muszę mieć to, i śmiem żądać tego od ciebie, ponieważ wiem, jak głęboko mnie kochasz i że nie mógłbyś już innej pokochać.

— Nigdy nie kochałem innej — rzekł.

— Byłam ci pierwszą miłością?

— Najpierwszą. Gdyśmy się pobrali, jakkolwiek byłem mężczyzną, byłem... jak ty.

Pochyliła głowę i złożyła usta na dłoni, która była w jej ręku.

— Uczyń tedy spójnię naszą zupełną... taką, jakiej nie było jeszcze na ziemi. Powierz mi twoją troskę, Borysie. Ja wiem, czem jest ona.

— Jakim sposobem?... nie możesz tego wiedzieć — rzekł głosem złamanym.

— Tak jest. Miłość jest jasnowidzem, jedynym słusznym jasnowidzem. Powiedziałam ci już raz, czem jest twa troska, lecz pragnę, byś ty mi ją powierzył. Nie masz śród nas rzeczy pięknej z tych, które bierzemy, ale tylko z tych, które dajemy.

— Nie mogę — odrzekł.

Próbował usunąć swą rękę z jej dłoni, lecz Domini trzymała ją mocno. I miała uczucie, że trzyma się jakiegoś muru ognistego, który okalał miejsca tajemne jego duszy.

— Dzisiaj, Borysie, rozmawiając z hrabią Anteonim, czułam, że jestem tchórzliwą i małoduszną względem ciebie. Widziałam

twe cierpienia, a jednak nie nadążyłam ci z pociechą. Bałam się ciebie. Pomyśl o tem.

— Nie.

— Tak jest. Bałam się ciebie, twojej skrytości. Gdyś się usuwał ode mnie, nie towarzyszyłam ci nigdy. Gdybym wtedy była z tobą razem, możebym mogła uczynić coś dla ciebie.

— Domini, dlaczego mówisz mi podobne rzeczy! Nasza miłość jest szczęśliwą. Pozostaw ją, jaka jest.

— Nie mogę tego uczynić. Nie chcę. Hrabia Anteoni, Borysie, znalazł swą przystań. Ty wciąż się błąkasz. Czyż mogę się na to zgodzić? To mnie o mękę przyprawia. To mi każe prawie nienawidzić mojego własnego szczęścia i niefrasobliwości.

Androwski zadrżał. Wyzwolił gwałtownie swą rękę z jej dłoni.

— I jam ją prawie w sobie znienawidził — rzekł z pasją. — Znienawidziłem ją. Jam jest, jam jest...

Głos jego złamał się. Pochylił się ku Domini i otoczył jej twarz swemi dłońmi.

— A jednak chwilami jestem mocen błogosławić, co znienawidziłem. Błogosławię to teraz. I kocham... kocham nasze szczęście i niefrasobliwość. Ty... ty przynajmniej bądź całkiem szczęśliwą.

— Musisz dzielić moje szczęście. Pragnę, byś je dzielił ze mną.

— To niemożliwe.

— Pragnę. Musisz je dzielić. Czuję, że będziemy jednem w duszy, tak jest, może nawet dziś jeszcze, dziś jeszcze.

Androwski spojrzał głęboko poruszony. Ręce jego opadły.

— Muszę iść — rzekł. — Muszę iść do księdza.

Powstał z piasku.

— Idź do namiotu, Domini.

Powstała.

— Gdy wrócisz — rzekła — będę na cię czekała, Borysie.

Spojrzał na nią. W oczach jego zadrgała jakaś głębia najskrytsza szczerości, czysta, rozżalona. Otworzył usta, by mówić. I w tej chwili Domini uczuła, iż — chwila jeszcze — i powie jej wszystko, co go przytłaczało, a co tak pragnęła z nim dzielić. Wzrok jego atoli zagasł. Usta zamknęły się. Ujął ją w ramiona i uścisnął prawie że rozpacznie.

— Nie, nie! — zawołał. — Pragnę zachować twą miłość, pragnę ją zachować.

— Nigdy jej nie stracisz.

— Mogę stracić.

— Nigdy.

— Gdybym mógł w to wierzyć!

— Borysie!

I naraz łzy palące trysnęły z jej oczu.

— Nie mów nigdy do mnie w ten sposób! — rzekła z żarem uczucia.

Wskazała na grobowiec wpobliżu.

— Gdybyś ty tu leżał — rzekła — i gdybym ja została przy życiu, a tyś zmarł, zanimbyś mi powiedział — wierzę w to — niech Bóg mi przebaczy, ale wierzę w to, że gdybym nawet po śmierci miała być wzięta do nieba, nawet niebo piekłemby mi było wtedy.

Spojrzała załzawionemi oczyma na napis: „*Priez pour lui.*“

— Modlić się za umarłych — rzekła szeptem jakby do siebie. — Modlić się za mego umarłego... nie, nie mogłabym tego uczynić. Jeżeli mnie kochasz, Borysie, musisz mi zaufać, musisz powierzyć mi swą troskę.

Nadeszła noc. Androwski poszedł do księdza. Domini została sama. Siedząc przed namiotem, czekała jego powrotu. Rzekła Batuczowi i Uardiemu, że nie potrzebuje już ich tego wieczoru, by nikt już nie przychodził do namiotu. Nad miastem wszedł młody miesiączek, lecz światło jego było jeszcze nikłe. Na wzgórkach piaszczystych obozy zaszemrały życiem. Zabłysły ognie i dymy wzniosły się przed namiotami, które plamami ciemnemi odrzynały się teraz od rozłogu. Dokoła ognisk zasiedli kupkami ludzie, zajadając ku-ku i krwawą polewkę, przysmak nomadów. Koło nich krążyły psy węszące. Sznury wielbłądów leżały powalone na piasku, wypoczywając po trudach podróży. A wszędy, od miasta i od obszaru, unosiły się dźwięki odległe muzyki, delikatne, powietrzne kwilenia, niby głosy nocnych wietrzyków, ostrzejsze głosy fujarek i tętnienie hen dalekie afrykańskich bębnów — podłoże wszech symfonij pustynnych.

Księżyc się uniósł wgórę. Światło jego się wzmogło. Domini patrzała poprzez piaski, a ujrzawszy ognie w mieście, rzekła naraz do siebie: „To jest widzenie wróżbity, które ma się w mem życiu ziścić. Widział mnie, jak tu jestem, w tem

miejscu." I przypomniała sobie całą scenę w ogrodzie, postać przykucniętą, ramiona wyciągnięte, palce kościste, wykreślające szybko wzory na piasku, i głos mamroczący.

I znowu uczuła raptowne zgnębienie ducha, którego doznała niespodzianie dnia poprzedniego. Było to, jakgdyby ciężar spadł na duszę i udzielił się odrazu całemu ciału. Miała wrażenie niezmiernego znużenia, niepokoju, nawet trwogi, a potem wraz niezwykłego przypływu życia, które aż ją wstrząsało. Wstała z fotela, nie mogąc usiedzieć spokojnie. Poszła przez piaski ku drodze, którą Androwski miał wracać. Ognie miejskie i obozowisk wyglądały, jak iluminacja świąteczna. Muzyka zdała się być muzyką wielkiego wesela. Uszedłszy kilka kroków, zatrzymała się. Była na zakręcie ławy piaszczystej i mogła była widzieć dołem idący szlak nikły, który ciągnął się aż do wrót miejskich. Tym szlakiem będzie wracał niezawodnie Androwski. Będzie go mogła widzieć ze znacznej odległości, jako ciemny kształt ruchomy na bieli. Była teraz blisko miasta i mogła była słyszeć dźwięki, spływające od jego ścian postrzępionych, głosy ludzi śpiewających i nawołujących się, pobrzęki instrumentów i klaskanie murzyńskich kastanietów. Miasto było pełne uciechy, i pustynia była pełna uciechy.

Spojrzała poprzez piaski i ujrzała poruszającą się plamkę na nich, posuwającą się zwolna, bardzo zwolna, ku niej. Z tak wielkiej odległości nie można było rozpoznać, kto to był, czuła jednak, że to był jej mąż.

Gdy czarna plama na piasku nadciągnęła bliżej, ujrzała, że był to człowiek, ciężko stąpający. Miał chód jej męża. Ujrzawszy to, zawróciła. Postanowiła spotkać go u drzwi namiotu, powiedzieć to, co miała do powiedzenia, na progu ich wędrownego ogniska. Uczucie trwogi i nieśmiałości pierzchło od niej, gdy znalazła się u drzwi namiotu. Czuła teraz niemylną jedność i spójnię z mężem — i spójnia ta tego wieczoru miała się stać doskonalszą. O, gdyby stać się mogła doskonalszą!

Czekała u drzwi.

Po pewnym czasie, który wydał jej się bardzo długim, ujrzała Androwskiego, idącego poprzez księżycem oświecony piasek. Szedł bardzo wolno, jakgdyby był wyczerpany, z głową spuszczoną. Zdawał się nie widzieć jej — aż póki nie nadciągnął blisko do namiotu. Księżyc — mniemała, że musiał to być księżyc —

udzielał twarzy jego dziwnego wyrazu, jakby wyrazu człowieka umarłego. Na białej tej twarzy oczy błyszczały gorączkowo.

— Borysie! — rzekła.

— Domini.

— Chodź tu, chodź tu bliżej. Mam ci coś do powiedzenia, coś niezwykłego.

Był tuż koło niej.

— Domini — rzekł, jakgdyby był jej nie słyszał. — Domini... byłem... wracam od księdza. Chcę się spowiadać u niego.

— Spowiadać się! — rzekła.

— Prosiłem go o to wczoraj — dzisiaj atoli nie mogłem jeszcze tego uczynić. Dziś mogę wyspowiadać się tylko przed tobą... tylko przed tobą. Czy słyszysz, Domini, Czy słyszysz?

W twarzy jego i w głosie było coś, co trwogą padło na jej serce. Czuła obecnie, chciałaby go powstrzymać, by nie mówił, nie śmiała jednak — nie mogła tego uczynić. Duch jej był ponad władzą woli.

— Co to takiego, Borysie — wyrzekła szeptem. — Powiedz. Może zdołam zrozumieć cię, gdy kocham tak bardzo.

Otoczył ją ramionami i pocałował, jak całuje mężczyzna, który wie, że pocałunek ten będzie ostatnim — długo i mocno, z rozpaczą miłości, która czuje, że traci nadzieję przez te usta jedyne, których dotyka. Odjął wreszcie swe usta od jej ust.

— Domini — rzekł, a głos jego był jasny, niechwiejny, prawie mocny — pragniesz widzieć, co czyni mnie nieszczęśliwym nawet śród naszej miłości, nieszczęśliwym rozpacznie. Oto, posłuchaj. Wierzę w Boga, kocham Boga — i zbezcześciłem Go. Starałem się wyrzec Boga, zapomnieć Go, miłość ludzką przenieść nad miłość Boga. Zawsze atoli prześladowała mnie myśl o Bogu, i myśl ta była moją rozpaczą. Niegdyś, gdy byłem młody, poświęciłem się Bogu uroczyście. Złamałem śluby, którem był uczynił. Jestem... jestem...

Moc w głosie opuściła go. Przerwał na chwilę i milczał.

— Poświęciłeś się Bogu — rzekla. — Jakim sposobem?

Starał się uchwycić jej wzrok pytający, lecz nie zdołał.

— Poświęciłem się Bogu, jako zakonnik — odrzekł po chwili.

Gdy rzekł to, Domini ujrzała przed sobą w blasku księżyca de Trevignac'a. Rzucał spojrzenie zgrozy na namiot, pochylił się nad nią, uczynił znak krzyża i zniknął. Na jego miejsce

stanął ksiądz Roubier, z oczyma błyszczącemi, z ręką podniesioną, ostrzegający ją przed Androwskim. Potem on zniknął zarówno — i zdawało jej się, że widzi hrabiego Anteoni'ego, ubranego po arabsku i szepcącego słowa Koranu.

— Domini...

— Domini, czy słyszysz? Domini, Domini!

Uczuła ręce jego na kiściach swych rąk.

— Byłeś trapistą — rzekła spokojnie — o którym mówił mi ksiądz. Byłeś owym mnichem z klasztoru w El-Largani, który zbiegł po dwudziestu latach.

— Tak jest — rzekł. — Jam jest.

— Czemuś mi to powiedział! Czemuś mi to powiedział!

W głosie jej było zamieranie.

— Chciałaś, bym ci powiedział; nie to atoli skłoniło mnie. Czy pomnisz ostatniego wieczoru, jak rzekłem ci, że Bóg musi ci błogosławić. Odrzekłaś: „Już mi pobłogosławił, dał mi ciebie, twą miłość, twą wiarę." Oto, co mnie skłoniło do powiedzenia. Miałaś moją miłość, lecz nie miałaś prawdy. Teraz przyjm moją prawdę. Zabrałem ci ją. Teraz ci ją oddaję. Jest ona czarna, niemniej daję ci ją. Domini, Domini! Możesz mnie znienawidzić tego wieczoru, wierzaj atoli w tem znienawidzeniu, iż nigdy nie kochałem ciebie tak, jak kocham obecnie.

— Daj mi twą prawdę! — rzekła.

KSIĘGA SZÓSTA.

*

WYZNANIE.

XXVI.

Pozostali tak, stojąc u wejścia do namiotu w świetle księżyca, które ich łagodnie opływało. Obszar cały był już uśpiony, tylko od strony miasta zdołu dochodziły dźwięki muzyki i muzyka jeszcze niklejsza od namiotów Uled-Nailów na wzgórkach piaszczystych w południowej stronie.

Gdy Domini rzekła ostatnie słowa, Androwski postąpił krok ku niej, spojrzał na nią, potem znowu odstąpił i spuścił oczy. Gdyby był patrzał na nią, nie począłby mówić.

„Domini — rzekł — nie pragnę zgoła usprawiedliwiać się z tego, com zrobił. Nie pragnę zgoła rzec tobie tego, czego nie śmiem rzec Bogu: „Przebacz mi.“ Czyż można przebaczyć rzecz taką? Pragnę tylko, byś zrozumiała, Domini, co było przyczyną, żem stał się oto odstępcą, żem złamał przysięgę, żem stał się kłamcą wobec Boga i ciebie. Była to żądza życia, która zapłonęła we mnie po latach pokoju. Było to obudzenie się mej natury po latach snu. Ty, ty, Domini, możesz zrozumieć żądzę życia, która w ludziach czasami, jak potwór, powstaje i włada... i upust mieć musi. Ty bowiem, nawet ty — przy swej czystości i dobroci — masz ją, masz to pragnienie rozpaczne życia w pełni, życia prawdziwego, życia, jakiem żyliśmy wspólnie, Domini.“

Spojrzał na nią i ujrzał, że miała oczy utkwione w niego. Postawa jej była spokojna i twarz nie umęczona. Nie mógł na niej wyczytać ani jednej myśli, ani jednego uczucia z tych, które były w jej sercu.

„Musisz mnie zrozumieć — rzekł prawie porywczo — musisz zrozumieć... lub ja...

Ojciec mój, jak już ci mówiłem, zaciągnął się do kościoła greckiego, od wczesnej atoli młodości stał się wolnomyślicielem. Matka moja była Angielką i gorliwą katoliczką. Matka i ojciec byli sobie całkowicie oddani, pomimo różnicy przekonań. Być może, że naczelny ów brak wiary w mym ojcu wpłynął na to, że matka w swej wierze stała się stalszą, żarliwszą. Umarł znacznie wcześniej od niej, umarł, nie zmieniwszy poglądów. Na łożu śmiertelnem mówił matce, iż jest pewien, że niema życia wtórego, że idzie w nicość i w proch. To było agonją jego pożegnania.

Byłem wtedy małem chłopięciem, lecz pamiętam, gdy umarł, matka rzekła do mnie: „Borysie, módl się codziennie za ojca. Ojciec twój czuwa ciągle.“ Nie rzekła więcej, lecz ja pobiegłem z płaczem na górę, upadłem na kolana i modliłem się, starając się odgadnąć, gdzie jest mój ojciec i jak mógł wyglądać.

Od tego dnia węzeł pomiędzy mną i matką zadzierzgnął się silniej, niż dotychczas. Miałem brata bliźniaka, którego kochałem i który mnie kochał. Lecz on wdał się w ojca. Nie miał przekonań religijnych. Był niczem.

Ojciec mój przeniósł się do Afryki dla zdrowia, które wymagało gorącego klimatu. Miał trochę grosza i kupił sobie znaczny obszar, zdatny do uprawy winnicy. Włożył w to prawie całe swe mienie. Mówiłem ci już, Domini, że filoksera zniszczyła nasze winnice. Przepadło wiele pieniędzy.

Żyliśmy spokojnie w małej wioszczynie. Nie znałem świata. Młodzieńczość moja była bezwzględnie czystą. Nie miała ona zresztą pragnień niewiadomego. Wpływ matki na mnie był silny, nie mogłaby atoli zmusić mnie do niczego. Być może, miłość moja do matki, bardziej, niż o tem wiedziałem, powiodła mnie do drzwi klasztornych. Namiętnością życia mej matki, namiętnością ludzką, był mój ojciec. Gdy go nie stało, namiętnością jej życia stała się modlitwa za niego. Miłość moja dla matki kazała mi podzielać tę namiętność, a podzielanie tej namiętności powiodło mnie do stanu zakonnego. Jako dziecko już, byłem cały oddany modlitwie. Pomyśl, Domini — kochałem modlitwę, kochałem ją...“

Głos jego złamał się. Gdy przerwał, Domini znowu uprzytomniła sobie muzykę, płynącą od miasta. Przypomniała sobie,

że wcześniej wieczorem myślała o tej muzyce, jako o wielkiem święcie.

„Postanowiłem wejść w świat modlitwy, w najdoskonalszy żywot modlitwy. Brat mój starał się odwieść mnie od życia zakonnego. Udawał się do Tunisu, przedsiębiorąc tam sprawy handlowe. Chciał, żebym mu towarzyszył. Lecz ja byłem stały. Ciągnęło mnie do klasztoru tak, jak ciągnie inną młodzież do życia występnego. Powołanie moje było niezłomne.

Udałem się do klasztoru w El-Largani i wstąpiłem do nowicjatu do zakonu trapistów. W wielkiej ciszy, mniemałem, że znajdę więcej pola do modlitwy. Rzucając dom i udając się do El-Largani, wziąłem z sobą jednę tylko rzecz drogą. Był to, Domini, krzyż drewniany, który przypięłaś do namiotu w Arbie. Dała mi go matka, a jam pozwolił sobie zachować go. Reszta ziemskich rzeczy została, oczywiście, poniechana przeze mnie.

Nie widziałaś nigdy El-Largani, siedziby mojej w ciągu lat dziewiętnastu, więzienia mego przez rok. Jest ono samotne, lecz bynajmniej nie opuszczone. Położone na wzgórzu i z odległości spoziera ku morzu. Mnisi zamienili je, jeżeli nie na raj, to co najmniej na ogród przebogaty. Są tam winnice, pola zbożowe, sady, w których znajdują się prawie wszystkie gatunki drzew owocowych. Źródła wody słodkiej tryskają tam w obfitości. W niewielkiej odległości od klasztoru znajduje się duża wioska, zajęta przez kolonistów hiszpańskich, których doglądają mnisi przy uprawie pola.

Życie bowiem Trapistów jest nietylko życiem modlitwy, lecz i życiem usilnej pracy. Praca jest dobra dla ciała i lepsza jeszcze dla duszy. A milczenie nie było trudnem do zniesienia. Trapiści mają księgę gestów i często pozwalają sobie porozumiewać się zapomocą znaków. My w nowicjacie trzymaliśmy się zazwyczaj małemi gromadkami i często, przechadzając się w ogrodach klasztornych, rozmawialiśmy wesoło na migi. Zresztą i milczenie nie było bezustannem. Często na polach dawaliśmy polecenia pracującym. W szkole, gdzie studjowaliśmy teologję, łacinę, grecki, słyszeliśmy głos nauczyciela. Prawda, że obcowałem w klasztorze codziennie i z takimi, z którymi przez całe dwadzieścia lat nie zamieniłem słowa i nie słyszałem ich głosu,

miałem atoli pozwolenie na mówienie z mnichami. Głowa klasztoru, ojciec wielebny, miał władzę zwalniania więzów milczenia, gdy znajdował to właściwem, i pozwalania mnichom na przechadzki i rozmowy z obcymi ludźmi poza białym murem, okalającym ogrody klasztorne. Raz tedy po raz mówiliśmy; sądzę jednak, że większość z nas nie była nieszczęśliwą, milcząc. Milczenie stało się nałogiem.

Gdy skończył się czas mego nowicjatu, złożyłem śluby wieczyste bez wahania. Wielu z odbywających nowicjat powraca do świata. Mnie nigdy nie przyszło na myśl uczynić coś podobnego. Rzadko kiedy powstawała we mnie jakaś chęć światowa. Nie doświadczałem również wcale tych walk zawrotnych i miotań, o które wielu posądza zazwyczaj mnichów. Byłem prawie wciąż zadowolony.

Był podczas pierwszych lat mego pobytu w klasztorze jeden z przełożonych, dom André Herceline, który miał dar niezwykły przenikania charakterów i usposobień ludzkich. Znał on mnie lepiej, niż ja sam siebie. Znał on to we mnie, czegom ja w sobie zgoła nie podejrzewał: to — żem był pełen uśpionej gwałtowności, że w mojej nabożności i w mojej czystości — czyli pod nią raczej — spoczywał pęd silny dzikości. Człowiek stepów spał w mnichu, lecz spał głęboko. Gdyby dom André Herceline nie umarł, byłbym i dziś mnichem w El-Largani, nieświadom tego, co wiem, rad i spokojny.

Nie pozwalał mi on nigdy przestawać z cudzoziemcami, którzy odwiedzali klasztor. Mnichowie mieli wyznaczone sobie obowiązki. Niektóre z tych obowiązków sprowadzały się do bezpośredniego obcowania z podróżnymi, których ciekawość wiodła do El-Largani. Mnich, którego obowiązkiem było doglądanie cmentarza na wzgórzu, gdzie zmarli Trapiści legli na sen wieczny, pokazywał zwiedzającym małą kaplicę i mógł z nimi rozmawiać przez cały czas ich pobytu na cmentarzu. Mnich, zajęty przy destylarni, przyjmował także zwiedzających i rozmawiał z nimi. Toż i mnich w rozmownicy, u wielkich drzwi klasztornych. Sprzedaje on upominki z klasztoru, fotografje kościoła i budynków, posągów świętych, buteleczki z perfumami wyrobu mnichów. Przyjmuje zamówienia na wina, wyrabiane w klasztorze, i na... na ten... który ja wyrabiałem, Domini, kiedy tam byłem.“

Pomyślała o de Trevignac'u i o szczątkach szkła, które leżały na ziemi w namiocie w Mogarze.

— A więc de Trevignac... — rzekła głosem cichym, stłumionym.

— Widział mnie i mówił ze mną w klasztorze. Kiedy Uardi wniósł likier, przypomniał sobie, kim byłem.

Zrozumiała teraz spojrzenie de Trevignac'a, rzucone ku namiotowi, w którym spał Androwski, i dreszcz lekki wstrząsnął nią.

Androwski spostrzegł to i spuścił oczy.

— Mnich atoli...

Odchrząknął, jakby go coś dławiło, i spojrzał na białe piaski odległe, jakby pragnął wejść w nie i zginąć w nich na zawsze, a potem znów począł szybko:

„Mnich atoli, który ma najwięcej do czynienia z podróżnymi, to ten, który sprawuje obowiązki przy gospodzie klasztornej. Jest on w ciągłej styczności ze światem. Rozmawia on z wszelkiego rodzaju ludźmi; kobiety, oczywiście, wyłączone. Inni zakonnicy, wielu z nich, zazdroszczą mu. Jam nigdy nie zazdrościł. Nie pragnąłem widzieć obcych. Gdym spotykał ich wypadkiem na podwórzu, w zabudowaniach klasztornych lub w samym klasztorze, rzadkom wznosił oczy, żeby spojrzeć na nich. Nie wzdychałem nigdy do zmiany. Czy wierzysz, Domini? To jest prawdą. Dopóki żył dom Herceline i życiem mojem kierował, byłem spokojny, szczęśliwy, jak mało ludzi na świecie, jak nikt zgoła. Lecz dom André umarł, a wtedy..."

Twarz jego ściągnęła się kurczowo.

„Umarła moja matka. Brat mój mieszkał w Tunisie i wiodło mu się w interesach. Pozostał nieżonaty. Chociaż klasztor był w odległości dwóch godzin jazdy od miasta, był on również dla mnie, prawie jak umarły. Rzadko go widywałem i zawsze tylko przez chwil kilka, za zezwoleniem przełożonego. Raz odwiedziłem go w Tunisie, gdy był chory. Gdy umarła matka moja, zda się, jeszcze bardziej wgrążyłem się w życie zakonne.

Po śmierci dom Herceline'a został mianowany nowy przeor, który, jak sądzę, jest dotychczas w El-Largani. Był to człowiek dobry, lecz zgoła nie przenikający ludzi. Wkrótce po przybyciu do El-Largani — dla powodów, których nie mogłem zrozumieć — usunął ojca Michała od obowiązków dozorcy cmentarza, które

on od wielu lat sprawował, i naznaczył mnie na to miejsce. Usłuchałem, oczywiście, bez szemrania.

Cmentarz w El-Largani położony na niskiem wzgórzu, które jest najwyższą częścią posiadłości klasztornych. Otoczony białym murem i rzędem drzew cyprysowych. Wiedzie do niego aleja cyprysowa, wzdłuż której poustawiane nisze z rzeźbionemi stacjami Męki Pańskiej. U wejścia do alei, z lewej strony, znajduje się wysoki żółty piedestał, z czarnym krzyżem u góry, na którym — srebrny Chrystus. W dole napis:

Factus obœdiens
usque
ad mortem
Crucis.

Pamiętam, jak pierwszego dnia po objęciu obowiązków gwardjana cmentarnego zatrzymałem się na tej drodze przed Chrystusem i modliłem się. Modliłem się, Domini, o to, bym mógł umrzeć, jak żyłem, w niewinności. Modliłem się o to atoli z rodzajem — tak jest, pomnę to dzisiaj — z rodzajem pysznej pewności, że modlitwa moja zostanie wysłuchana. Potem udałem się na cmentarz.

Mając niewiele do roboty, siadywałem z dnia na dzień całemi godzinami, trawiąc czas na rozmyślaniu i patrzeniu na boży świat. Pamiętam osobliwie jeden wieczór, o zachodzie słońca: przed samem pójściem do kaplicy, gdym patrzał na jeziora, spadł na mnie rodzaj przestrachu. Niebo było złote, wody mieniły się złociście, na nich unosiły się białe żagle łódek rybackich. Góry były cieniście purpurowe. Małe minarety meczetów odbijały na tle złotem, jak trzony z kości słoniowej. Gdym patrzał tak, oczy me napełniły się łzami i uczułem w sercu rodzaj bólu — jakgdyby, Domini — było to, jakgdyby w chwili tej czyjaś ręka spoczęła na mojej ręce, bardzo, bardzo łagodnie, i pchała mnie. Było to, jakgdyby w chwili tej był ktoś obok mnie na cmentarzu i pragnął wieść mnie stąd na te wody dalekie, na te grody meczetowe, na góry purpurowe. Nigdy dotychczas nie doświadczałem tego uczucia. Przeraziłem się niemal. Czułem, że jakby djabeł przyszedł tu na cmentarz i rękę swą złożył na mojej ręce, że jakby jego głos szeptał mi do ucha: „Chodź ze mną. Czemu to odrzucasz?"

Tego wieczoru, Domini, był początek tego... tego końca. Dzień za dniem siadywałem na cmentarzu i patrzałem na świat Boży i podziwiałem jego cuda. Czy możesz sobie wyobrazić, Domini — nie, nie możesz sobie tego wyobrazić — czem dla mężczyzny w moim wieku i z moją krewkością było to pierwsze ruszenie tęsknoty życia? Mniemam czasami, że było ono, jak pierwsze poczęcie w łonie kobiety, która ma stać się matką."

Ręce Domini osunęły się i znowu się złożyły.

— Było w tem coś wprost fizycznego. Czułem, że członki moje były jakgdyby obdarzone myślą i że te myśli, które były uśpione, naraz się obudziły. Nie sądź, Domini, żem nie walczył z temi pierwszemi drgnieniami mojej przyrody, która była uśpiona tak długo! Całemi dniami odmawiałem sobie patrzenia poza mury cmentarne. Chodziłem ze spuszczonemi oczyma, patrząc jedynie na krzyże, które znaczyły mogiły mnichów. Spędzałem czas na bawieniu się z czerwonookiemi gołębiami. Pracowałem. Atoli oczy moje wkońcu się wzburzyły. Rzekłem sobie: „Nie masz zakazu patrzenia." I znowu żagle, wody i grody, góry i chmury były, jak głosy szepczące, kuszące: „Czemu nie chcesz nas nigdy poznać bliżej, przyjść do nas? Czemu nie chcesz zrozumieć, co znaczymy? Czemu pragniesz na zawsze pozostać nieświadom tego, co do poznania tu na ziemi stworzonem dla człowieka zostało?" I oto męka moja stała się prawie nie do zniesienia. Nocą nie mogłem sypiać. W kaplicy odbiegała mnie modlitwa. Patrzałem na mnichów dokoła siebie, z których do większości nie przemówiłem nigdy słowa, i myślałem: „Czy ich też trawi taka tęsknota i żądza poznania?"

Umarł młody mnich w klasztorze i został pochowany na cmentarzu. Wykopałem mu mogiłę koło muru zewnętrznego, pomiędzy cyprysami. W kilka dni potem, kiedym siedział na ławce koło gołębnika, usłyszałem głos, dochodzący z poza muru. Było to łkanie. Wsłuchałem się — stało się wyraźniejszem. Ktoś tam za murem łkał i zawodził rozpaczliwie — tuż pod moim bokiem. To znowu zdawało się, że głos pochodzi z samego muru. Wstałem i nasłuchiwałem. Tak! Ktoś tam za murem, czy nad murem, właśnie w tem miejscu, gdzie była mogiła młodego mnicha, zawodził gorzko. Ktoby to był taki? Stałem, dziwiąc się, nie wiedząc, co począć. Było coś w tem żałosnem wołaniu, co mnie do głębi wzruszało. Przez lata całe nie widziałem kobiety,

nie słyszałem głosu kobiecego — poznałem atoli, że to był głos kobiety-żałobnicy. Skąd się tu wzięła? Czego tu chciała? Spojrzałem do góry. Dokoła cmentarza, jak rzekłem, rosły gęsto cyprysy. Gdym spojrzał do góry, ujrzałem, że jedno z drzew porusza się właśnie tam, gdzie była świeża mogiła, i głos kobiecy zawodził: „Nie mogę jej dojrzeć, nie mogę jej dojrzeć!“

Nie wiem dlaczego, ale uczułem, że jest tam ktoś, kto chce widzieć mogiłę młodego mnicha. Przez chwilę stałem bez ruchu. Potem poszedłem do domu i wziąłem stamtąd narzędzia ogrodnicze do roboty na cmentarzu, wraz z dużemi nożycami, których używałem do obcinania gałęzi cyprysowych. Wziąłem prędko drabinę, przystawiłem ją do muru, wszedłem na nią i z cyprysu, który widziałem, że się poruszał, obciąłem kilka gałęzi. Łkanie ucichło. Kiedy gałęzie opadły z drzewa, ujrzałem twarz kobiecą, zroszoną łzami, patrzącą na mnie. Wydała mi się przyjemną.

— Gdzie jego mogiła? — rzekła.

Wskazałem jej grób młodego mnicha, który teraz można było widzieć poprzez otwór, jaki uczyniłem, zszedłem z drabiny i oddaliłem się w najgłębszy kąt cmentarza. I już nie spojrzałem w kierunku twarzy kobiecej.

Kto to był, nie wiem. Kiedy odeszła, nie widziałem. Kochała mnicha, który zmarł, i wiedząc, że kobietom nie wolno wchodzić poza ogrodzenie klasztorne, przyszła odzewnątrz muru, żeby rzucić — o ile można było — spojrzenie żałosne na jego mogiłę.

Czy rozumiesz, czy rozumiesz, Domini, jak to wydarzenie przejęło mnie do głębi? Dla zwykłego człowieka jest ono niczem, mniemam. Dla mnicha atoli trapisty jest ono czemś wstrząsającem. Widziałem kobietę! Uczyniłem coś dla kobiety! Myślałem o niej i o tem, co uczyniłem — bez przerwy.

Otwór w drzewie cyprysowem mówił mi o niej, ilekroć spojrzałem ku drzewom. Kiedym bawił na cmentarzu, nie mogłem prawie oderwać od niego oczu. Kobieta ta nie przyszła już więcej. Nie powiedziałem nic z tego przełożonemu, com zrobił. Powinienem był powiedzieć, lecz nie uczyniłem tego. Od tej chwili pomiędzy mną i kobietą spoczęła tajemnica.

Myślałem o niej — kim mogła być. Myślałem, w jaki sposób kochała młodego mnicha, który zmarł. Siadywał był zazwyczaj

obok mnie w kaplicy. Twarz miał piękną i czystą, taką twarz, jaką, mniemałem, może bardzo pokochać kobieta. Czy kochała go, a on odrzucił jej miłość dla życia klasztornego? Pamiętam, dnia jednego, myślałem o tem i zdziwiłem się, jak mógł był to uczynić — i naraz uprzytomniłem sobie myśl własną i cały spłonąłem ze wstydu. Miłość kobiety przekładałem nad miłość Bożą, służbę dla kobiety nad służbę Bożą! Dnia tego przeląkłem się sam siebie. Szybko udałem się z cmentarza do klasztoru i poprosiłem o widzenie z przełożonym. Prosiłem go o zwolnienie mnie z obowiązków dozorcy cmentarza i o wyznaczenie mi innego zajęcia. Nie zapytał mnie o powody tej chęci zmiany, lecz w trzy dni potem przysłał po mnie i oświadczył mi, że mam objąć obowiązki dozorcy gospody klasztornej i że nowa służba moja poczyna się od jutra.

Pomyśl tylko, Domini, czem mogła być ta zmiana dla tego, kto tak, jak ja, żył przez całe lata! Gospoda w El-Largani — to długi, niski, jednopiętrowy budynek w ogrodzie, gdzie pełno palm i geranjum. Zawiera ona kuchnię, pewną ilość małych cel dla podróżnych i dwie wielkie rozmównice, w których goście spotykają się przy jedzeniu. W jednej z nich spożywają owoce, jaja i jarzyny, sporządzone przez klasztor, wraz z winem. Jeżeli po jedzeniu pragną się napić kawy, przechodzą do drugiej rozmównicy. Ci z podróżnych, którzy się zatrzymują w klasztorze, mogą robić, co im się podoba, stosując się jedynie do pewnych porządków klasztornych. Muszą wstawać o pewnej porze, jeść o wyznaczonych godzinach i kłaść się do łóżka po wpół do siódmej wieczorem w zimie i o ósmej w lecie. Mnich przełożony nad gospodą ma baczyć na ich wygodę. Obowiązki jego są łatwe i towarzyskie. Nie może on iść do świata, lecz obcuje wciąż ze światem, który przychodzi do niego.

Domini! Zmiana ta była dla mnie, jak wyruszenie w świat. Osłupiła mnie ona nieledwie. Narazie stałem się trwożliwy, nerwowy, niemrawy i osobliwie, jakbym miał język związany. Nałóg milczenia tak mnie wziął w swoje szpony, żem długo nie mógł wyzwolić się z niego. Bałem się wprost odwiedzających. Nie wiedziałem, jak ich przyjąć, co mówić do nich. Na szczęście, mało osób przybywało, i tylko na jedzenie. Starałem się być uprzejmym dla nich i powoli wciągałem się do rozmowy, pozbywając się nieśmiałości, jaka mnie narazie gnębiła. W po-

czątkach każde przemówione słowo zdawało mi się przestępstwem. Teraz już byłem swobodniejszy, mniej milczący. Od czasu do czasu zaznawałem nawet pewnej przyjemności w rozmowie z jakim miłym podróżnym.

Chwilami myślałem o twarzy kobiecej z nad muru. Chwilami czułem rękę, która mnie popychała. Byłem jednak naogół spokojnieszy, niżli na cmentarzu.

Dnia jednego, było to rankiem, koło dziesiątej, siedziałem na ławce naprzeciwko samych drzwi wewnątrz gospody, gdy naraz usłyszałem, że otwierają się wielkie wrota klasztorne i na podwórzec wtacza się pojazd, w konie zaprzężony. Przybył ktoś zwiedzający z Tunisu — może kilka osób... trzy, cztery. Był to śliczny, promienny ranek majowy. Ogród lśnił się od kwiatów, złotych w blasku słońca, i takich uśmiechniętych i takich szczęśliwych, Domini! Czułem dnia tego, jakgdybym był w rajskim ogrodzie, i — pomnę — gdy usłyszałem turkot pojazdu, na chwilę zmroczyłem się tą zmianą. Pomyślałem sobie: „Poco ludzie przychodzą mącić mój pokój błogosławiony, moją samotność błogą?“ Lecz wraz uprzytomniłem sobie moje samolubstwo — i że jestem tu dla obowiązku.

Dziwna rzecz, Domini! Dnia tego najbardziej ze wszystkich dni mego życia miłowałem — tak jest, było to miłowanie — mój stan zakonny. Straszne uczucie, które mnie napastowało, znikło bez śladu. Patrzałem na kwiaty i porównywałem moje szczęście z ich szczęciem. One kwitły, woniały, więdły i umierały w ogrodzie. I ja tak pragnąłem kwitnąć, i wonieć, i więdnąć, i — gdy czas przyjdzie — umrzeć w ogrodzie — wciąż w pokoju, wciąż w zabezpieczeniu, wciąż zdala od trwóg i grozy życiowej — tu, pod tym wzrokiem cudownym tego... Domini! Dnia tego byłem szczęśliwy, jak tylko święci Pańscy mogą być szczęśliwi.

I czułem to, czułem najtkliwiej duszą i sercem. Zdało się, że Bóg otoczył mnie ramionami i pieścił, jak własne swe dziecko.

Postąpił krok czy dwa na piasku, wrócił i mówił dalej z wysiłkiem:

„W kilka chwil przez łuk arkady klasztornej wkroczył odźwierny w towarzystwie nieznajomego młodzieńca. Spojrzawszy na niego, nie mogłem zdać sobie sprawy, do jakiej należy narodowości. To atoli mniej zajęło moją uwagę. Główną rzeczą, która

mnie tknęła, była czynna jakaś niedola i rozterka w twarzy cudzoziemca. Wyglądał, jak człowiek zżarty, strawiony przez ból. Mógł mieć lat trzydzieści pięć lub sześć. Twarz jego była raczej smagła, z drobnemi, prawidłowemi rysami. Włosy miał gęste, rude, a oczy jego błyszczały inteligencją, która chwilami była niemal bolesną. Oczy te patrzały wciąż ku mnie, jakgdyby widziały za dużo, jakgdyby zawsze widziały za dużo. W szybkości ich postrzegań był jakiś ciągły niepokój.

Odźwierny pozostawił cudzoziemca pod sklepieniem. Moim obowiązkiem było dalsze przyjęcie. Pozdrowiłem go po francusku. Zdjął kapelusz. Gdy to uczynił, nabrałem przeświadczenia, że był to Anglik — spojrzawszy na wierzch jego głowy ogołocony — i rzekłem mu, że mówię również dobrze po angielsku, jak i po francusku. Zagadał po angielsku. Wejście jego do ogrodu zniszczyło całkiem moje uczucia co do pokoju ogrodu, a nawet mój pokój został odrazu zmącony przez jego obecność.

Uczułem, że jestem wobec nieszczęścia, które jest, jak żywioł chłonący. Zanim zdążyliśmy zamienić jedynie kilka słów zwykłych, rozległ się dzwonek obiadowy.

— Co to takiego, ojcze? — zapytał cudzoziemiec, drgnąwszy, co było oznaką nerwów skołatanych.

— Dzwonek na pańskie śniadanie — odrzekłem.

— O, tak! Jeść musisz! — rzekł. A potem, jakby świadom, że odezwał się niestosownie, dodał grzecznie: — Wiem, że traktujecie nas tu dobrze, i za to płacą wam często niewdzięcznością. Dokąd mam iść?

Wskazałem mu rozmównicę. Wszedł i siadł przy stole.

— Czy sam mam jeść? — zapytał.

— Tak jest, będę panu usługiwał.

W wielkiej, pustej, czystej, ogołoconej, z krzyżem jedynie na ścianie i napisem: „Święty Bernard“ nad drzwiami, rozmównicy, było bardzo zacisznie i bardzo cienisto.

— Jak tutaj cicho! — rzekł, jakby do siebie. — Jak tutaj cicho!

— Tak jest — odrzekłem. — Lato już się zaczęło. Rzadko kto teraz zawita w nasze progi.

— W nasze? — rzekł, spojrzawszy na mnie z przelotnym uśmiechem.

— Mam na myśli nas, mnichów, którzy tu wciąż mieszkamy.

— Czy mogę zapytać — jeżeli to nie będzie niedelikatnością — jak dawno już brat jest tutaj?

Powiedziałem mu.

— Dziewiętnaście lat zgórą! — rzekł.

— Tak jest.

— I wciąż w tej ciszy?

Siadł, jakby nasłuchując, i głowę wsparł na dłoni.

— Jak dziwne to! — rzekł wreszcie. — Jak uroczne! I to jest szczęście?

Nie odpowiedziałem mu. Zdawało mi się, że kierował to zapytanie do siebie, nie do mnie. Chciałem mu dać możność rozważenia. Po chwili począł jeść i pić w milczeniu. Gdy skończył, zapytałem go, czy będzie pił kawę. Gdy wyraził życzenie, przeprowadziłem go do sali św. Józefa. Przyniosłem mu tutaj kawę i... ten likier. Oświadczyłem mu, że jest mego wynalazku. Zdawał się być zaciekawionym. Skosztował i pochwalił rzetelnie. Sprawiło mi to przyjemność. Mniemam, że okazałem mu to.

Wkrótce począł mi się odsłaniać całkowicie, z rodzajem otwartości i czelności, która była prawie bezwstydną. Warunki naszego wspólnego życia w klasztorze wciąż wciągały nas w bliższe obcowanie i osobliwą poufność. A przełożony nasz, Domini, nasz przewielebny, jakgdyby umyślnie przykładał rękę do dzieła mego zniszczenia. Na drugi dzień po przybyciu podróżnego wezwał mnie do swej celi prywatnej i rzekł mi: „Nowy nasz gość jest bardzo nieszczęśliwy. Pociąga go nasz pokój. Jeżeli potrafimy dać mu go, będzie to czyn miły Bogu. Przebywaj z nim jak najwięcej. Bądź dobrym dla niego.“ Wyszedłem od wielebnego pełen zapału, czując, że mam wielkie zadanie do spełnienia, zadanie, jakie dotychczas w mem życiu nie jaśniało.

Człowiek ten, jak rzekłem, Domini, począł mi się bezwzględnie odsłaniać. Cierpiał on za to, co, jak sądzę, Domini, możnaby nazwać opętaniem — bezmiernem opanowaniem, jakie czasami jedna ludzka istota osiąga nad drugą. Był on opętany przez kobietę, przez kobietę, która w życie mu się wplątała, zagarnęła, uczyniła dzieło swej próżności, złamała. Opisał mi władzę tej kobiety. Opowiedział mi, jak go przeobraziła. Zanim ją spotkał, był pełen namiętności, był atoli wolny, był panem swych czynów,

poprzez pasmo doświadczeń, poprzez pasmo odmętne. Był ze mną bardzo szczery, Domini. Nie starał się ukrywać, że życie jego było złe i nędzne. Narazie przeraziłem się tego, co mi był powiedział. Powoli począłem się oswajać, a zwierzenia jego niewidzialnie poczęły podważać spokój mej duszy. Pomnę, po jednej rozmowie po raz pierwszy osłabłem w modlitwie: modliłem się bez żaru, obco, mechanicznie. Długa, mroczna kaplica z rzędami mnichów po obu stronach naprzeciw siebie w stalach wydała mi się po raz pierwszy miejscem smutnem, doliną, zasłaną szkieletami martwemi — po raz pierwszy, Domini.

Powinienem był pójść do przełożonego. Powinienem był powiedzieć mu, prosić go, by mnie usunął z gospody. Powinienem był przewidzieć, co nastąpi — że człowiek ten będzie miał większą moc życia, niż ja moc modlitwy, że moc jego zagarnie moją. Począłem grzeszyć. Powstała we mnie ciekawość, ciekawość życia, którego całkiem nie znałem i którego — wierzyłem jeszcze wtedy — nigdy nie zaznam.

Przestałem sypiać po nocach. Myśli me pracowały, jak furje rozpętane. Były to noce straszne. Podczas nich odtwarzałem wyobraźnią to wszystko, czego cudzoziemiec zaznał był w swem życiu. Był to jakgdyby fizyczny wysiłek ducha. Począłem starać się pojąć, co on był czynił, w celu, jak to sobie wmawiałem narazie, doprowadzenia siebie do równowagi, uprzytomnienia sobie marności rzeczy, którym on służył, a które mnie nęciły. W ciemności obłędnej nocy rozkładałem mapę jego życia i mapę mego życia — badałem je i porównywałem. A gdy, wciąż jeszcze śród nocy, wstawałem na ranne modlitwy w kaplicy, byłem wyczerpany. Spadła na mnie tęsknota niewysłowna. To zpoczątku, Domini. A potem — głód wielki, trawiący. Ale to później dopiero. Ta tęsknota nowa, nieznana, była mi gońcem wstępnym. Była to tęsknota, zrodzona, jak mi się zdawało, z łona tej strasznej samotności, jakiej dotychczas nigdy nie doświadczałem. Dotychczas czułem prawie zawsze, że Bóg jest ze mną i że On mi wystarcza. Obecnie począłem czuć, że jestem całkiem sam jeden na świecie. Wciąż wirowały mi w myśli słowa cudzoziemca, który rzekł mi w rozmowie: „Jeżeli na tym świecie jest pokój, znaleźć go można tylko w łączności z istotą ludzką, którą się ukocha na ziemi."

— To fałsz! — mówiłem wciąż sobie. — Pokój można osią-

gnąć tylko w łączności z Bogiem. Przez wiele, wiele lat miałem go w tej łączności.

Uczucie samotności atoli było najstraszniejszem. Porównywałem łączność z Bogiem, taką, jaką mniemałem, że poznałem, z inną łącznością, o której mi gość powiadał — łącznością z istotą ludzką, którą się kocha. Dwie te łączności kładłem wciąż obok do badań i porównań. Co nocy czyniłem to, Domini. Co nocy roztrząsałem uroki łączności z Bogiem — uroki, które ważyłem się mniemać, iż znam — i uroki łączności z istotą ludzką kochaną.

I tedy począłem wyobrażać sobie, Domini, dokładnie — a był to grzech zdecydowany — co znaczy być połączonym z istotą ludzką, którą się kocha. Starałem się wyobrazić to sobie i byłem zdolen do tego. Dopomógł mi w tem nietylko mój instynkt, który był długo uśpiony, lecz i... Powiedziałem ci, Domini, że cudzoziemiec cierpiał pod opętaniem, pod strasznym urokiem. Urok ten opisał on mi, Domini, z otwartością, której — wierzę — nie ujawniłby, gdyby nie miał przed sobą mnicha. Traktował on mnie, jak istotę bezpłciową, której obce są wszelkie popędy. Jestem pewien, że tak mnie traktował. Był przytem niepospolicie inteligentny. Wiedział atoli, że wstąpiłem do klasztoru, jako nowicjusz i że przebyłem w nim całą moją młodzieńczość. A przytem zachowanie moje utwierdzało go w tem mniemaniu. Nie dawałem bowiem najdrobniejszego znaku zmiany, jaką wpływ jego na mnie wywierał. Nawet okazując współczucie dla jego cierpień, byłem pozornie spokojny, wyzwolony. Współczułem mu prawdziwie, gdyż cierpiał okrutnie. Kobieta, którą kochał, była paryżanką. Opisał mi jej piękność, jakby na usprawiedliwienie, że został jej niewolnikiem bezradnym. Przypuszczam, że była bardzo piękną. Mówił, iż miała taki czar nieodparty fizyczny, że rzadko który mężczyzna mógł się jej oprzeć, i że słynną była z tego w Europie. Powiedział, że nie była to kobieta dobra. Nie żyła nigdy, ani nie pragnęła żyć dla jednego mężczyzny aż do chwili, kiedy go poznała. I jemu również nie roiło się, by miał żyć dla jednej kobiety. Żył, zażywając życia. Ona również. Gdy poznał ją atoli — jakkolwiek wiedział, kim była — inne kobiety przestały istnieć dla niego. Stał się jej niewolnikiem. I wtedy zbudziła się w nim zazdrość, zazdrość z powodu wszystkich mężczyzn, do których należała

w życiu, do których mogła jeszcze należeć. Stało się ciągłą torturą kochanie kobiety, której nie mógł być pewien, której nie mógł szanować. Albowiem, pomimo, że go kochała, nie miał on, jak mówił, złudzeń co do niej.

Powiedział sobie: „Jest to widocznie mojem przeznaczeniem, bym kochał taką kobietę. Muszę ją wziąć, jaką jest, ze wszystkiemi wadami, z popędem do kłamstwa i obłudy, z żądzą hołdów od świata — niezdolną do służenia ideałom życia, do odosobnienia się dla uwielbień mężczyzny. Nie mogę odejść od niej. Trzyma mnie mocno. Nie mogę żyć bez niej. Mam znosić tedy torturę zazdrości możliwie w milczeniu. Mam skryć ją. Mam stłumić ją. Mam uczynić jak najlepszy użytek z tego, co mi daje, wiedząc, że nigdy, ze swoją naturą i swemi nałogami, nie może być wyłącznie moją, jak byłaby nią kobieta uczciwa.“ Wkrótce atoli poznał, że miał za mało siły, by wytrwać w tym zamiarze. Zazdrość jego była, jak ogień, który go pożerał, i nie mógł go ukryć.

Domini! Opisał mi on z całą drobiazgowością skutki, jakie sprawia zazdrość w sercu ludzkiem. Nie wyobrażałem sobie nigdy, by coś podobnego istnieć mogło, i gdy skończył, zdało mi się, że patrzę w otchłań bezdenną, ogniami piekieł usłaną. Głębię tej otchłani mierzyłem głębią jego namiętności dla tej kobiety i zdobyłem pojęcie, czem ludzka miłość — nie ten najlepszy rodzaj ludzkiej miłości, lecz owa przyrodzona miłość pałająca z krwi i ciała — może być w istocie. O tej ludzkiej miłości myślałem po nocach, porównywając ją z miłością, jaką twór Boży może płonąć ku Bogu. I uczucie me samotności wciąż się zwiększało, i czułem, że byłem w duszy zawsze samotny.

O tem wszystkiem nie powiedziałem nic na spowiedzi. Popełniłem grzech śmiertelny, ukrywając to wszystko.“

Zatrzymał się. A potem rzekł: „Odtąd aż do końca wszystkie moje spowiedzi były niezupełne, były fałszywe.

Oświadczył jej wreszcie, że dłużej nie może znosić tortury, że musi należeć do niego całkowicie i niepodzielnie. Zaofiarował jej małżeństwo. Była zdziwiona i wzruszona. Rozumiała, że z jego strony, przy jego stanowisku społecznem, było to poświęceniem. Był on człowiekiem znacznego rodu. Mimo to, wahała się. Tak bowiem już przywykła do swego życia wolnego, do

zmiany swych *miłości*, że bała się, by małżeństwo nie stało się jarzmem dla niej. Życie jej dawne stało się już nałogiem i upodobaniem. Była bowiem niezmiernie próżną i była kobietą — cielesną, podległą zachciankom ciała. Pomijam wiele rzeczy, Domini, które wahanie to mogłyby wyjaśnić. On znał dobrze powody tego jej wahania i znowu się męczył. Wciąż atoli nalegał. Ustąpiła wreszcie. Zgodziła się na poślubienie go. Zaręczyli się. Z całego szeregu zatargów powiem ci tylko, Domini, co go ściągnęło tu z Francji, co mu zburzyło szczęście, co go przywiodło do klasztoru. Na krótko przed ślubem, gdy już byli zaręczeni, wyśledził, że ustąpiła naleganiom żądzy starego wielbiciela, który przybył, by życzyć jej szczęścia na drogę nowego życia. Narazie chciał ją zabić. Zapanował jednak nad sobą i porzucił ją. Podróżował. Przybył do Tunisu. Przybył do klasztoru. Zobaczył nasz spokój. Pomyślał sobie: „Czy osiągnę go? Czy ulży mi choć w części?" Zobaczył mnie. Pomyślał sobie: „Nie będę sam. Mnich ten, który żył wciąż w spokoju, nie zaznał nigdy udręki kobiety. Obcowanie z nim może mi ulgę przynieść."

Taka była historja tego człowieka, historja, która z niezliczonemi szczegółami, jakie ci pominąłem, z dnia na dzień w uszy moje wchodziła. Była to historja żądzy jednego ciała do drugiego: i nie silił się on zgoła przedstawić mi jej, jako coś innego, Człowiek ten nauczył mnie rozumieć, czem jest ciało i jaka jest jego waga. Dotychczas nie miałem o tem pojęcia. Nie podejrzewałem zgoła, by rzeczy cielesne tyle mogły znaczyć. Obecnie zrozumiałem. Samotność ruszyła na mnie, chłonęła mnie — samotność ciała.

Tobie, Domini, mogę to powiedzieć — tobie, którą kocham duszą i ciałem. Przechodzę do końca, do wydarzenia, które ciału mojemu dało ostateczną pobudkę do powstania, do poniechania duszy, do wyruszenia w świat, jak wilk wyrusza na żer.

Przeor klasztoru udzielił mi specjalnego pozwolenia na przechadzki z cudoziemcem poza murami klasztoru w kierunku morza. Pozwolenie to, rozumiesz, stało się epoką w mem życiu. A skutki jego — wiadome.

Właśnie mieliśmy wyjść z ogrodu na jedną z tych przechadzek, podczas których dokonywało się w mej duszy wielkie dzieło zniszczenia, gdy chłopiec, posługujący w klasztorze, przybiegł z listem w ręku.

— Dla pana — rzekł, podając cudzoziemcowi. — Pozostawiony u bramy.

— List do mnie? — rzekł cudzoziemiec.

Wyciągnął rękę niedbale i ujął list. Chłopiec zniknął za ścieżką. Wtedy cudzoziemiec spojrzał na kopertę. Domini, żadne słowa nie opiszą tej zmiany, jaką ujrzałem na jego twarzy. To trzeba widzieć. Słowo tu bezsilne. Bladość upiorna zniknęła z jego liców. Fala szkarłatu buchnęła mu na twarz aż do osady włosów. Ręce i całe jego ciało poczęły się trząść gwałtownie. Oczy, które były utkwione w kopertę, zalśniły wyrazem — był to wyraz, jakgdyby podnieta całego świata zamknęła się w tych dwu iskrach. Upuścił laskę i siadł na pniu drzewa, raczej upadł na niego.

— Ojcze — wyszeptał — to list nie z poczty, to list nie z poczty.

Nie zrozumiałem go.

— Cóż tedy pan sądzisz? — zapytałem.

— Co sądzę?...

Rumieniec zniknął z jego twarzy. Znów stała się śmiertelnie blada. Podał mi list.

— Przeczytaj, ojcze, za mnie! Ja nic nie widzę, nic nie widzę...

Wziąłem list. Zakrył twarz rękoma. Otworzyłem kopertę i przeczytałem:

„Grand Hotel, Tunis.

Odnalazłam wreszcie, gdzie jesteś. Przyszłam. Przebacz mi, jeżeli możesz. Chcę cię poślubić — chcę żyć z tobą. Jak chcesz — nie mogę atoli żyć bez ciebie. Wiem o tem, że kobiet nie wpuszczają do klasztoru. Wyjdź na drogę, która wiedzie do Tunisu. Czekam tam. Przyjdź chociaż na chwilę i rozmów się ze mną.

Weronika."

Czytałem to, Domini, wolno — i zdawało mi się, że czytam mój własny wyrok. Gdym skończył, powstał. Był wciąż blady, jak płótno, drżał cały.

— Którędy się idzie do drogi? — zapytał. — Czy wie brat?

— Tak jest — odrzekłem.

— Niech brat mnie wyprowadzi. Proszę mi podać ramię.

Wsparł się ciężko na mojem ramieniu. Szliśmy przez gaik ku głównemu traktowi. Musiałem go niemal podtrzymywać. Droga zdała się długą. Czułem się chory, zmęczony i z trudem powłóczyłem nogami, jakgdybym dźwigał... jakgdybym dźwigał krzyż, za ciężki dla mnie. Wyszliśmy wreszcie z cienia drzew na blask słoneczny. Małe pólko oddzielało nas jeszcze od drogi.

— Czy jest... czy jest tam pojazd na drodze? — zaszemrał mi z jakąś męką do ucha.

Spojrzałem poprzez pole i ujrzałem na drodze oczekującą karetę.

— Tak jest! — odrzekłem.

Zatrzymałem się i chciałem uwolnić me ramię z pod jego ramienia.

— Niech pan idzie — rzekłem — niech pan idzie.

— Nie mogę! Chodź ze mną, bracie!

Poszliśmy na blask oślepiający. Idąc, patrzałem tylko na zeschłą ziemię przed sobą. U stóp moich ujrzałem wreszcie biały pył drogi. W tej samej chwili usłyszałem krzyk kobiecy. Cudzoziemiec wyrwał gwałtownie swe ramię z mego ramienia.

— Żegnaj, bracie! Niech Bóg ci zapłaci!

Poszedł. Zostałem w miejscu. Po chwili usłyszałem turkot kół. Wtedy podniosłem oczy. Zobaczyłem, Domini, mężczyznę i kobietę razem! Twarze ich jaśniały szczęściem, jak twarze aniołów. Pył uniósł się w potoku słońca. Turkot się rozwiał — zostałem sam.

Tejże nocy zbiegłem z klasztoru. Żądza życia wzięła górę nad poświęceniem życia. Po powrocie do klasztoru nie mogłem już myśleć o niczem innem. Nie mogłem się już modlić: zamiar ucieczki tętnił w mej głowie, zagłuszał wszystkie czucia i pchał naoślep. Czekałem tylko wieczora. Ucieczka była łatwa dla mnie. Spałem w gospodzie, od której miałem klucz. Na noc zostawiłem drzwi niezamknięte. Poszedłem na cmentarz — przechodziłem koło stacji, ustawionych na drodze — i nie widziałem ich. Na cmentarzu była drabinka, jak to już powiedziałem.

Przed samą jutrznią przybyłem do domu brata, z tamtej strony Tunisu, niedaleko od Bado. Zastukałem. Wyszedł sam brat, by się dowiedzieć, kto przybywa. Jak rzekłem, był to

człowiek bez wiary i nienawistnie traktował moje stanowisko mnicha. Rzekłem mu wszystko bez ogródki. Powiedziałem mu: „Dopomóż mi, bym odszedł stąd. Gdzie bądź — bylem był sam." Dał mi ubranie, pieniądze. Zgoliłem brodę i wąsy. Zgoliłem głowę, żeby nie było widać tonsury. Byłem wolny. Wstąpiłem w życie. Nie potrzebuję ci mówić, Domini, gdziem był i gdziem się błąkał, zanim przybyłem do pustyni i spotkałem ciebie. Byłem wolny, atoli wraz z wolnością moją chęć życia zamarła we mnie. Przeląkłem się życia. Trwoga spadła na mnie. Tak długo byłem mnichem, że nie wiedziałem, jak obcować z ludźmi. Nie żyłem zgoła — dopókim ciebie nie spotkał. Wtedy dopiero pojąłem w pelni, czem może być życie. Walczyłem z sobą, chciałem zwalczyć. Gdy rzucisz myślą wstecz, Domini, uprzytomnisz sobie, mniemam, że chciałem... że starałem się..."

Głos jego złamał się.

„Ostatniego owego dnia w ogrodzie sądziłem, żem przemógł siebie, i wtedy właśnie upadłem na zawsze. Gdym dowiedział się, że mnie kochasz, nie mogłem już dłużej walczyć. Czy rozumiesz mnie, Domini? Widziałaś mnie, żyłaś ze mną, przeczułaś moje nieszczęście. Nie myśl atoli, nie myśl, Domini, by od ciebie płynęło ono kiedy. Była niem moja świadomość kłamstwa, kłamstwa przed tobą, przed Bogiem... tego, żem wyznać ci nie mógł... żem nie mógł... rozumiesz..."

Zamilkł. Domini nie rzekła słowa, nie poruszyła się. Nie patrzał na nią, milczenie jej atoli zdawało się go przestraszać. Odwrócił się od niej porywczo i zwrócił ku pustyni. Patrzał poprzez rozłogi bezmierne, oblane mdłem światłem księżyca. Domini wciąż była nieruchoma.

— Pójdę sobie! Pójdę sobie! — powiedział w rozpaczy.

I z temi słowy postąpił naprzód. Wtedy Domini ozwała się:

— Borysie! — rzekła.

Zatrzymał się.

— Co, Domini? — wyrzekł głosem zdławionym.

— Borysie! Teraz nareszcie... możesz się już modlić.

Spojrzał na nią, jak grozą przejęty.

— Modlić się! — wyszeptał. — Mówisz mi, że mogę się modlić już teraz.

— Teraz nareszcie.

Weszła do namiotu i zostawiła go samego. Przez chwilę stał w miejscu. Wiedział, że tam w namiocie ona się modli. Stał, starając się usłyszeć jej modlitwę. I wtedy ręką niepewną sięgnął na piersi. Wyciągnął drewniany krzyż. Pochylił głowę, dotknął go ustami i upadł na kolana w pustyni.

W mieście umilkły muzyki. Nastała wielka cisza.

XXVII.

Karawana Domini i Androwskiego opuściła Arbę.

Dla Domini pustynia była zawsze wielką i znaczącą osobistością, osobistością, która ją ciągle wzywała do siebie. Obecnie, gdy zwróciła ku niej konia, uczuła, iż nie woła już jej więcej, jakgdyby posłannictwo jej zostało skończone, jakgdyby głos jej wsiąknął w głęboką i bezdźwięczną ciszę. Była ciekawa, czy i Androwski czuje tak samo; nie zapytała go jednak. Twarz Androwskiego była blada i surowa. Oczy patrzały wdal. Ręce jego leżały na szyi konia, jak rzeczy martwe, które nie mają siły ujęcia.

Wraz po zachodzie wjechali do Beni-Mory. Z prawa były drzewa ogrodu hrabiego Anteoni'ego. Domini czuła je, lecz nie obejrzała się ku nim. Nie spojrzał na nie również i Androwski. Mieli oczy utkwione wciąż w białą drogę, ciągnącą się wdal. I tylko kiedy przybyli przed wielki hotel, który był obecnie zamknięty i opuszczony, obejrzała się. Nie mogła minąć wieży, nie rzuciwszy na nią spojrzenia. Ujrzała ją jednak teraz poprzez mgłę łzawą, i ręka jej zadrżała na uździe, którą trzymała. Przez chwilę miała uczucie, że złamie się, że nie będzie miała dłużej mocy do niesienia bólu. Lecz oto przybyli ku posągowi kardynała, unoszącego podwójny krzyż ku pustyni, jak oręż. Spojrzała na krzyż i ujrzała na nim Chrystusa.

— Borysie! — wyszeptała — oto Chrystus. Myślmy o Nim jedynie tego wieczoru.

Popatrzał na nią z bacznością.

— Czy pomnisz — rzekła — u wejścia alei cyprysowej... w El-Largani... *Factus oboediens usque ad mortem Crucis?*

— Tak jest, Domini.

— Bądźmy i my posłuszni tak samo.

Gdy rzekła to i spojrzała na Androwskiego, uczuł, jakgdyby był przed nią na klęczkach, jak wtedy w ogrodzie, gdy nie miał siły odejść. Uczuł jednak zarazem, że wtedy, jakkolwiek kochał

ją, nie wiedział, co znaczyło kochać ją. co znaczyło kochać wogóle. Ona go nauczyła kochać. Nauka wraziła się w jego serce, jak miecz i jak balsam. Zdawało mu się, że ten sam grot zadał mu cios i uzdrowił go.

Nocy tej, gdy Domini leżała w ustronnym pokoju hotelowym, z oknami francuskiemi, wychodzącemi na werendę, słyszała zegar kościelny, wydzwaniający godziny, i dźwięki odległe obojów afrykańskich na ulicy tancerek, słyszała znowu oba te głosy. Obój był dziki i podniecający, nie miał już jednak — jak to obecnie zauważyła — dźwięku nieustannego triumfu. I znowu zabrzmiał dzwon kościelny.

Czy był to dzwon kościoła w Beni-Morze, czy dzwon kaplicy w El-Largani? Czy może był to głos wielkiej religji, do której należała, do której wracał Androwski?

Gdy umilkł, wyszeptała do się: „*Factus oboediens usque ad mortem Crucis.*“ I z temi słowy na ustach zasnęła.

Rankiem, po śniadaniu, Androwski rzekł:

— Domini, teraz pójdę.

Powstał i stanął koło niej, patrząc na nią zgóry. W twarzy jego była pewna surowość, wyraz stałości.

— Do księdza Roubier, Borysie? — rzekła.

— Tak jest. Zanim pójdę — czy dasz mi rękę?

Zrozumiała całą mękę ducha, która go trapiła, srom, z którym walczył obecnie. Pragnęła gorąco poskoczyć ku niemu, wziąć go w ramiona, pokrzepić, jak tylko może pokrzepić kobieta, która kocha i która jest kochaną, bez słów, uściskiem rąk, uściskiem ust, tętnem serca przy sercu. Nie wyciągnęła atoli ręki ku niemu.

— Borysie! — rzekła. — Idź! Niech Bóg będzie z nami!

Po chwili dodała:

— I całe moje serce.

On stał czas jakiś, jakby oczekując. Domini nie poruszyła się i wzrokiem go nawet nie tknęła. Głos duszy jego wołał: „Jeżeli nie dotknie cię teraz, nie dotknie cię już nigdy w życiu.“ I czekał.

— Borysie — szepnęła — żegnaj!

— Żegnaj? — rzekł.

— Przyjdź do mnie... potem. Przyjdź do ogrodu. Będę tam, gdzieśmy... będę tam czekała na ciebie.

Odszedł, nie rzekłszy już nic więcej.

Gdy oddalił się, przeszła szybko na werendę i patrzała poprzez balustradę. Zobaczyła, jak wyszedł z pod arkady i szedł wolno drogą ku małym wrotom ogrodzenia przed domem księdza. Gdy podniósł rękę, by otworzyć furtkę, rozległo się szczekanie i zobaczyła Bu-Bu, jak wyskoczył ze srogą zajadłością stróża, która wraz się zmieniła w radosne powitanie, gdy poznał starego znajomego. Androwski pochylił się, wziął pieska na ręce i, niosąc go, szedł ku drzwiom domu. Drzwi się otworzyły i wszedł w nie. Wtedy Domini udała się do ogrodu, unikając ulic miejskich i idąc prędko bocznemi ścieżkami, które dotykały pustyni. Szła. Pragnęła być jak najprędzej z cieniami ogrodu poza białym murem. Gdy szła, nie czuła wiele, nie myślała wiele. Nie patrzała dokoła, nie widziała blasku słońca, rozlanego na pustyni, ani murów Beni-Mory, ani drzew palmowych. Dopiero gdy minęła hotel i wioskę murzyńską i zwróciła się na lewo, na szlak, na skraju którego stała willa hrabiego Anteoni'ego, podniosła oczy z ziemi. Zatrzymały się one na białym łuku, ujmującym w siebie pyszny błękit bezchmurnego nieba. Przystanęła na chwilkę.

Przez chwilę zaznała uczucia niewysłownej rozpaczy, w której wszystko zdało się rozpylać na atomy i znikać z jej oczu. Stała, drżąc, jak w ciemności. Stała całkowicie osamotniona, tak osamotniona, jak żadna zda się ludzka istota na tym świecie. Świat cały ścmił się przed jej oczyma.

Usłyszawszy stukanie do wrót ogrodu, Smain rozprężył się zwolna na macie wewnątrz namiotu, powstał leniwie, bez róży, i powlókł się sennie, by otworzyć przybyszowi.

Nazewnątrz stała Domini. Gdy ujrzał ją, uśmiechnął się spokojnie, nie okazując zdziwienia.

— Pani powróciła?

Domini uśmiechnęła się do niego, lecz wargi jej drżały i nic nie odpowiedziała.

Szła wolno placem, wymiecionym z piasku, ku drzewom, i wkrótce została przez ciemność ich zagarnięta. I znowu usłyszała szmer wodospadu ukrytego, i znowu objęła ją tajemnica tego raju pustyni — atoli szepty jego nie wieściły już jej pokoju.

Stąpając ku najgłębszym ustroniom ogrodu krętemi ścieżkami

pomiędzy strumieniami, nie miała już wrażenia, że jest blisko ukrytej siedziby genjusza ogrodu. Tylko wszystkie jej dawne czucia powróciły z ostrością. Ani jedno nie chybiło pamięci. Powracały, jak widma, skradające się poprzez piaski. Czaiły się, jak mary, z poza drzew gęstwiny. Z każdym krokiem urastał ból w jej sercu. Weszła nareszcie w ciemność głębszą na białym piasku i ujrzała rozsypane u stóp igły sosnowe. Stanęła wtedy, nasłuchując odruchowo urocznego dźwięku, który miał dopełnić czarodziejstwa ogrodu i jej własnej rozpaczy. Czekała tego dźwięku. Czuła nawet dziwnie, że pragnie go, że jest on niezbędny — ten dźwięk fletu Larbiego, wyśpiewujący tęsknotę miłosną. Flet atoli dzisiaj milczał.

Postąpiła dalej i przyszła ku palarni. Weszła do środka i usiadła. Tu zamierzyła czekać na Androwskiego. Siedziała i modliła się o moc w walce z życiem, które już nie będzie dla niej niczem innem, jak walką.

Siedziała tu długo, straciwszy pamięć miejsca i czasu. Coś wreszcie rzekło jej, by spojrzała przez otwór okienny na ogród. Nie słyszała kroków, wiedziała jednak, że to Androwski się zbliża, i gdy podniosła oczy, była przygotowana na widok straszny. Przypomniała sobie jego twarz, jak przyszedł żegnać ją tu, w ogrodzie, i bała się obecnie, by twarzy tej nie ujrzała. Wyszkoliła się już atoli, by być silną, dla siebie i dla niego.

Był on blisko niej na ścieżce, wiodącej do palarni. Gdy zobaczyła go, wydała lekki okrzyk i powstała. Ogarnął ją dziw wielki w sprzymierzeniu na chwilę z niezmierną radością — radością najwyższą, jakiej kiedy w mniemaniu swem doświadczyła. Zobaczyła bowiem twarz, na której po raz pierwszy zalśniła zorza blada pokoju.

Androwski zbliżył się ku drzwiom palarni, nie podnosząc oczu, stanął cicho — w tem samem właśnie miejscu, na którem stał hrabia Anteoni podczas pierwszej rozmowy z Domini, i rzekł:

— Domini, byłem u księdza. Wyspowiadałem mu się.

— Tak — rzekła. — Tak, Borysie!

Wszedł do środka i siadł wpobliżu, lecz nie obok niej, na jednej z kanapek. Wyraz smutku znów się pogłębił na jego twarzy i pokój na niej zamierał.

— Domini — rzekł, spojrzawszy na nią — wiesz resztę. Wiesz, iż jest, jak ma być, jak miało być, gdyśmy opuszczali Amarę.

— Czyż jest inna droga? Czyż możliwe jest inne życie — dla mnie... dla ciebie?

— Dla ciebie! — rzekł, i w głosie jego był dźwięk niemal rozpaczy. — Lecz czem będzie twe życie? Nie osłaniałem cię nigdy — tyś mnie osłaniała. Nigdy nie byłem silnym dla ciebie — ty byłaś silną dla mnie. Lecz porzucić cię, Domini, pozostawić jedną... mamże to uczynić? Mam myśleć o tobie — — samotnej i opuszczonej?

Przez chwilę miała zamiar przełamać milczenie, rzec mu prawdę, że, być może, nie będzie samą, że inne życie, z niej i z niego poczęte, powstało już w niej, by być z nią, by dzielić wielką samotność, która się przed nią rozściela. Zwalczyła jednak pokusę i rzekła jedynie:

— Nie myśl o mnie, Borysie.

Przez chwilę patrzali na siebie w milczeniu. Potem dodała:

— Tak będzie łatwiej dla ciebie, szczęśliwiej.

Androwski wsparł prawą rękę na kanapie i obrócił się ku niej, aż był cały naprzeciw niej. Oczy jego zalśniły.

— Domini — rzekł — mówisz prawdę — i ja ci chcę rzec prawdę. Aż póki życia mego, będę myślał o tobie — co dnia, co godziny. Gdyby nawet była grzechem śmiertelnym myśl o tobie, popełniłbym go — tak jest, Domini, popełniłbym go rozmyślnie i świadomie. Lecz Bóg, mniemam, nie będzie tyle żądał ode mnie. Nie będzie żądał. Wyspowiadałem się, Domini. Wiem, co mam czynić. Uczynię to. Masz słuszność... masz zawsze słuszność... kierowałaś mną... wiem o tem. Myśleć atoli o tobie będę. I jeszcze chcę ci coś powiedzieć — nie wzbraniaj mi tego — jest to bowiem prawdą, prawdą mej duszy, a ty kochasz prawdę, Domini.

Powstał raptownie z kanapy i stanął przed nią, patrząc na nią zgóry, usilnie.

— Nie żałuję tego, Domini, żem spotkał cię, żeśmy byli razem, żeśmy się pokochali wzajem, żeśmy się pokochali na wieki. Nie żałuję tego. Nie próbuję nawet i nie chcę żałować. Nie żałuję, żem nauczył się przez ciebie rozumieć życie. Wiem, że Bóg ukarał mnie za to, com zrobił. W miłości mej dla ciebie — zanim ci powiedziałem prawdę, tę inną prawdę — nie miałem chwili pokoju — miałem chwile uniesień — namiętnych uniesień, lecz nigdy chwili pokoju. Zawsze bowiem, nawet w naj-

piękniejszych chwilach, towarzyszyła mi męka. Zawsze bowiem byłem świadom tego, że zgrzeszyłem przeciw Bogu, przeciw tobie, przeciw mym ślubom wieczystym. A jednak teraz mówię ci, Domini, jak to rzekłem Bogu w tej pierwszej chwili, kiedy znów mogłem się modlić, że jestem rad, że jestem wdzięczny, żem kochał cię, żem był przez ciebie kochany. Czy źle to? Nie wiem. Jestem, jakim jestem. Bóg mnie takim uczynił. Bóg mi wybaczy, że jestem, czem jestem. Nie mam lęku, nie trwożę się. Wierzę, śmiem wierzyć, że On chce, bym myślał o tobie aż do końca dni moich. Śmiem wierzyć, że Onby znienawidził mnie prawie, gdybym przestał cię kochać. Oto jest moja spowiedź inna — moja spowiedź przed tobą. Stworzony byłem, być może, na mnicha. Lecz razem byłem stworzony, bym mógł ciebie pokochać, bym mógł poznać twą miłość, twe piękno, twą czułość, twą boskość. Gdybym ciebie nie poznał, gdybym umarł, jako mnich, jako dobry mnich, który ślubów nigdy nie złamał — umarłbym — czuję to, Domini — w wielkiej, w strasznej niewiedzy. Znałbym wielką dobroć Boga, lecz nie znałbym nigdy pięknego dzieła Jego dobroci. Bowiem nigdy nie zaznałbym tej dobroci żywo, namacalnie. On mnie jej nauczył przez ciebie. On mnie umęczył przez ciebie — tak jest, lecz przez ciebie również On dał mi możność zrozumienia Go. Kiedym był w klasztorze, kiedym miał pokój, kiedym tonął w modlitwie, gdy byłem bezwzględnie czysty, bezwzględnie — tak mniemam — dziecięciem Bożem, nie znałem Boga istotnie. Teraz, Domini, znam Go. Teraz zawsze, kiedy będę myślał o tobie, gdy będę ciebie wspominał, mocen będę rzec o Nim: „Bóg, to miłość."

Zamilkł, lecz twarz jego wciąż jeszcze mówiła, lecz oczy jego czytały w jej oczach. I w tej ostatniej chwili zrozumieli się w pełni, do głębi swych istot.

Wdali rozbrzmiał dzwon kościelny.

— Borysie — rzekła szybko Domini. — Jutro musimy jechać. Jutro opuścimy Beni-Morę. Wiesz o tem?

— Tak jest — odrzekł — wiem.

Spojrzał na ogród. Postanowienie srogie, okrutne, które miało w sobie coś z triumfu, gasło na jego twarzy.

Ofiara jednak została już spełniona.

XXVII.

Wieczorem dnia następnego przybyli do Tunisu i zajechali do *Hôtel d'Orient,* dokąd byli przedtem napisali, zamawiając pokoje na noc. Byli pewni, że miasto całkiem już opuszczone przez europejskich mieszkańców — obecnie, gdy począł się sezon zimowy; gdy jednak zajechali przed drzwi hotelowe, wyszedł gospodarz i oświadczył im, iż z powodu przybycia całego statku amerykańskich turystów, którzy po zwiedzeniu Wschodu i Ziemi Świętej przybyli obecnie oglądać Tunis, nie może im udzielić oddzielnego apartamentu. Przepraszając i usprawiedliwiając się, oświadczył, że wszystkie oddzielne apartamenty są zamienione na sypialnie, lecz tylko na jednę noc. Jutro cała ta banda odjedzie i państwo otrzymają wspaniały salon. Słuchali w milczeniu tych wywodów, stojąc w wąskiem przejściu do *hallu,* który był zawalony barykadą pakunków.

— Jutro! — powtórzył Androwski — jutro wszystko będzie inaczej!

Domini spojrzała na Androwskiego, który stał z głową spuszczoną, patrząc w ziemię.

— Czy mamy szukać innego hotelu? — zapytała.

— Jak chcesz — odrzekł cichym głosem.

— To całkiem bez pożytku — rzekł gospodarz — wszystkie hotele przepełnione. W innych nie znajdą państwo nawet sypialni.

— Może tedy lepiej pozostańmy tu — rzekła do Androwskiego.

Głos jej był również cichy i zmęczony. W sercu jej coś zdało się mówić: „Nie upieraj się dłużej. W ogrodzie wszystko się już skończyło.“

Gdy znalazła się sama w małej sypialni, która była pełna hałasów ulicy, gdy umyła się i zmieniła ubranie, uprzytomniła sobie w pełni, jak wielce liczyła w duchu na jeden jeszcze wieczór

sam na sam z Androwskim. Lecz to się nie miało ziścić. Będzie musiała być z nim razem śród kupy turystów amerykańskich — będzie musiała. Serce jej ścisnęło się. Zdało jej się na chwilę, że gdyby tylko ten jeden wieczór mogła spędzić w ciszy pokoju z człowiekiem, którego kochała, umocniłoby to ją na przyszłość do zniesienia wszystkiej doli; gdy atoli tego wieczoru jej braknie, złamie się i padnie. Czuła się zrozpaczoną.

Rozległ się dzwon na dole. Nie poruszyła się, chociaż słyszała go, chociaż wiedziała, co on znaczy. Po chwili zastukano do drzwi.

— Co takiego? — zapytała.

— Obiad gotów, proszę pani — odrzekł głos z akcentem srodze cudzoziemskim.

Domini podeszła do drzwi i otworzyła je.

— Czy pan wie już?

— Pan czeka już w sali na panią.

Zeszła nadół i znalazła Androwskiego.

Obiadowali przy małym stoliku w pokoju, jarzącym się od światła elektrycznego i przewiewnym od ruchomych wachlarzy. Wpobliżu ich stolika, przy dużym stole, przybranym w kwiaty, obiadowali amerykańscy turyści. Panie w kapeluszach, ze zwieszającemi się woalami, panowie w podróżnych ubraniach. Byli ogorzali i weseli, śmiali się i rozprawiali z żywością niepomierną.

Skończywszy krótki obiad, Domini i Androwski przeszli do *hallu*. Na lewo salon ogólny był otwarty. Rzucili tam okiem — ujrzeli kanapy, kryte pluszem czerwonym, duży stół na środku z mnóstwem gazet, Żyda z siwą brodą, piszącego list, i dwie stare Niemki, pijące kawę i robiące pończochy.

— Pustynia! — wyszeptał Androwski.

I naraz wyszedł za próg i postąpił na ulicę. Stały tam rzędy powozów, oczekujących wynajęcia. Skinął na jeden z nich, zaprzężony w parę tęgich arabów. Gdy powóz nadjechał, rzekł do Domini:

— Wsiądziesz, Domini?

Usłuchała. Androwski rzekł do woźnicy:

— Jedź do Belwederu. Dookoła parku... póki ci nie powiem, byś wracał.

Woźnica zaciął konie i pomknęli szeroką aleją, mijając wspaniale oświetlone kawiarnie, klub wojskowy, pałac rezydenta, gdzie

stali żuawi — potem skręcili na lewo i wkrótce znaleźli się na drodze, ciągnącej się linją prostą śród siedzib podmiejskich, obszarów pustych i półrównych. Naprzeciw nich wznosił się pagórek z czarnością drzew, które go osłaniały. Jadąc tak ciągle, wjechali na sam wierzch wzgórza.

— Stój! — rzekł Androwski do woźnicy.

Woźnica ściągnął konie.

— Czekaj tu na nas.

Androwski wysiadł.

— Czy przejdziemy się trochę? — rzekł do Domini.

— Dobrze... dobrze.

Wysiadła też i poszli wolno drogą opuszczoną. W dole ujrzeli światła statków, przesuwających się po zatokach, wielkie oko strażnicy, ognie odległe wiosek, cieniem zasnutych wzdłuż brzegów, a tam dalej jeszcze — żółte lśnienie, które górowało nad morzem ponad zatokami i zdało się czuwać cierpliwie nad wszystkimi, którzy tu szli i odchodzili, pielgrzymi lądów Afryki. Lśnienie to szło od Kartaginy.

Od morza ponad równiną dopłynął do nich powiew z lubą świeżością życia rześkiego i wyczulonego.

Szli czas jakiś w milczeniu, wreszcie Domini rzekła:

— Z cmentarza w El-Largani patrzałeś na to wszystko, Borysie. Nieprawdaż? .

— Tak jest, Domini — odrzekł. — I wtedy ten głos przemówił do mnie.

— Nie przemówi już więcej. Bóg da, że nie przemówi już nigdy.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Jesteś doświadczony przez ogień, Borysie, nie jesteś atoli spalony na śmierć.

Rzekła to do siebie, dla umocnienia siebie, dla pokrzepienia swej własnej duszy.

— Tego wieczoru czuję, jakgdyby to miało być inaczej — odrzekł. — Gdyśmy przybyli do hotelu, zdawało mi się, że nie będę mógł odejść.

— A teraz?

— Teraz nie wiem nic ponad to, że to mój ostatni wieczór z tobą. I zdaje mi się to, Domini, rzeczą zupełnie nie do wiary, chociaż wiem o niej. Nie mogę sobie wyobrazić jutra zdala od

ciebie, życia, w którem ciebie nie ujrzę. Czuję, że odchodząc od ciebie, odchodzę jakby od siebie, że rzecz pozostała nie jest już człowiekiem, lecz łuską zrzuconą. Czy mogę modlić się bez ciebie, kochać Boga bez ciebie?

— Najbardziej beze mnie.

— Lecz czyż mogę żyć bez ciebie, Domini? Czyż mogę z dnia na dzień budzić się do słońca i wiedzieć, że cię już nigdy nie ujrzę... i żyć z tem? Czy mogę? Czy zdołam? Nie czuję, bym zdołał. Może Bóg, wejrzawszy na mą skruchę, zmiłuje się.

— Jak, Borysie?

— Może mi pośle śmierć.

— Wszystkie myśli naszego serca zatrzymajmy, Borysie, na życiu, którem raz jeszcze On nas razem obdarza. Spojrzyj, Borysie, na te światła w ciemności. Będą one zawsze światłami.

— Nie widzę ich — rzekł.

Spojrzała na niego i ujrzała łzy, płynące mu po policzkach. I oto znowu, w ten ostatni wieczór ich braterstwa, Bóg dał jej moc nad nim i nad sobą. Na skraju wzgórza, niedaleko od miejsca, gdzie szli, ujrzała świątynię maurytańską, pobudowaną z marmuru, z wąskiemi łukami i kolumnami, ze stopniami marmurowemi.

— Usiądźmy tu na chwilę, Borysie! — rzekła.

Szedł za nią po stopniach marmurowych. Dwa czy trzy razy potknął się, nie podała mu atoli ręki. Siedli tam pomiędzy rzędami kolumn i patrzali zgóry na miasto, którego bielejące kościoły i minarety ledwie już były widzialne śród wieczora. Pierś Androwskiego uniosły łkania.

— Jakże ja mogę odejść od ciebie? — mówił łamiącym się głosem. — Jakże to może być? Jak zdołam, jak zdołam? Pocom ja dał ci tę moją miłość, tę straszną rzecz, ten krzyk, ten wybuch mego ciała, mego serca, mej duszy? Domini, Domini... co to wszystko ma znaczyć... ta tajemnica tortury... to biczowanie ciała, to rwanie w kawały mej duszy i twojej? Czy dowiemy się, czy dowiemy się kiedy o tem?

— Jestem pewna, że dowiemy się, że dowiemy się zczasem o wszystkiem, i czem jest tajemnica pokoju. A wtedy, być może, a wtedy na pewno każde z nas będzie rade, że tak cierpieliśmy. Cierpienie splecie koronę dla naszego szczęścia. Nawet teraz, Borysie, chwilami, gdy cierpię, czuję, jakgdyby w tem był

rodzaj blasku, nawet rodzaj dostojeństwa w tem, co robię, jakgdybym doświadczała mojej własnej duszy, doświadczała siły, którą Bóg złożył we mnie. Uczmy się, Borysie, uczmy się śród tej wszystkiej trwogi mówić sobie: „Jestem nieugięty, jestem niezwalczony!“

— Czuję, iż mógłbym to rzec sobie nawet śród chwil najstraszniejszych, gdybym tylko mógł cię ujrzeć czasami... chociażby tak zdala, jak widzę teraz te światła.

— Będziesz mnie widział w swych modlitwach, i ja cię będę widziała w swoich.

— Ale krzyk ciała, Domini, krzyk oczu, rąk... by widzieć... dotykać... to takie okrutne... takie... takie...

— Wiem, słyszę go także, zawsze. Jest atoli i drugi głos zarazem, który będzie miał moc, gdy tamten się w ciszę wieczną rozchwieje. We wszystkich sprawach cielesnych, nawet najpiękniejszych, jest coś, co jest końcem. Wyciągnijmy biedne, słabe, drżące nasze ręce ku nieskończoności. Mniemam, że każdy, co żyje, czyni to pośród życia, chociaż czasami nieświadom tego. My to uczynimy świadomie, ty i ja. Będziemy zdolni uczynić to... albowiem tak strasznie cierpimy oboje. Będziemy mieli to do spełnienia, będziemy musieli spełnić to... ty tam, gdzie pójdziesz, i ja...

— Ty... gdzie będziesz, Domini?

— Nie wiem, nie wiem. Nie chcę myśleć o tem, co będzie jutro, w tych ostatnich niewielu godzinach, w tych ostatnich...

Głos jej zachwiał się i złamał. I wtedy łzy napłynęły również do jej oczu, tak, że przez czas jakiś nie mogła widzieć świateł odległych.

Gdy znów przemówiła, rzekła:

— Chodźmy teraz, Borysie.

Powstał bez słowa. Odszukali powóz i pojechali zpowrotem do Tunisu.

Gdy przyjechali do hotelu, znaleźli się w ciżbie turystów amerykańskich, rozprawiających zaciekle o tańcach, które widzieli, i nawołujących o napoje rzeźwiące, by ugasić pragnienie, spowodowane gorącem w zamkniętych izbach domów wschodnich.

Wcześnie rankiem powóz był już przed drzwiami hotelu. Gdy siedli do niego, woźnica zwrócił się ku nim.

— Dokąd mam jechać, proszę pana?

Androwski spojrzał na niego i nie dał odpowiedzi.

— Do El-Largani — rzekła Domini.

— Do klasztoru, proszę pani?

— Tak jest.

Gwizdnął na konie wesoło. Gdy biegły, dzwonki dzwoniły dokoła ich szyj, dzwoniły rzeźką pobudką ku słońca blaskom. które rozlały się nad krainą. Przejechali koło placu musztry, słyszeli głosy komendy, werble bębnów. I każdy dźwięk zdawał im się odległym i każda postać poruszająca się zdawała im się daleką. Ten świat afrykański, tak okrutnie wyrazisty w czystem powietrzu pod niebem bezchmurnem, był im obojgu czemś nierzeczywistem, był zasnuty, jak kraina północna w czas mgły jesiennej. Dokoła nich był świat nierzeczywisty. Rzeczywistość była w nich samych. Siedzieli obok bez słowa. Słowa były teraz dla nich czemś nieużytecznem. Cóż bo mogli więcej sobie powiedzieć? Wszystko i nic. Całego okresu życia nie byłoby dosyć, by mogli powiedzieć jedno drugiemu, co każde czuło, co mieli w sercu i w myśli podczas tej jazdy z miasta do klasztoru, który stał na wzgórzu. A czyż ich czyny tego ranka nie powiedziały wszystkiego, co mieli sobie do powiedzenia? Cisza klasztoru trapistów spłynęła ku nim poprzez równinę i wody blade jezior — i dusze im oniemiła.

Dzwonki atoli na szyjach końskich wciąż dźwięczały wesoło, a woźnica, który miał wieźć Domini samą z powrotem do Tunisu, gwizdał i pośpiewywał na koźle wysokim.

Przejechali właśnie koło wielkiego krzyża drewnianego, który stał na piedestale kamiennym u skraju gaiku z drzew oliwkowych. Krzyż ten stał na granicy posiadłości El-Largani. Gdy Domini zobaczyła go, spojrzała na Androwskiego, a oczy jego odpowiedziały na jej pytanie milczące. Woźnica puścił konie cwałem, jakby chcąc czem prędzej dotrzeć do celu. Piastował w myśli dobre czerwone wino mnichów. W obłoku pyłu białego powóz toczył się szybko pomiędzy winnicami, w których tu i owdzie pracowali ludzie, osłonięci od słońca wielkiemi kapeluszami słomianemi. Długi sznur wozów, naładowanych baryłami i ciągnionych przez muły, okryte dzwonkami i osłonięte liśćmi od owadów, przeciągał drogą koło nich. Woddali ujrzała Domini lasek z eukaliptusów. Naraz zdało się jej — jakgdyby ujrzała

Androwskiego, idącego od tego lasku ku białej drodze i podtrzymującego na swem ramieniu człowieka, który był blady i który się chwiał, jak półomdlały, którego atoli twarz była pełna dzikiej pasji i radości — cudzoziemca, którego wpływ pociągnął go z klasztoru w świat. Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłonie, modląc się z całej mocy, by zdobyć odwagę w tej najwyższej chwili jej życia. Jednak tuż zaraz prawie modlitwa zamarła w jej sercu i ustach — i oto spostrzegła, że powtarza słowa z *Naśladowania:*

„Miłość czuwa i wśród snu nie zasypia. Wśród pracy nie utrudza się, wśród więzów nie jest spętana, śród trwogi nie miesza się, lecz, jak żywy płomień i gorejąca pochodnia, wgórę wybucha i bezpiecznie przechodzi. Kto kocha, ten rozumie, co ów głos znaczy.“

Raz jeszcze i raz jeszcze powtórzyła słowa: „Bezpiecznie przechodzi — bezpiecznie przechodzi.“ Teraz wreszcie poznała prawdę najistotniejszą tych słów, które umiłowała w szczęściu, których się uchwyciła teraz, jak dziecię chwyta się ręki ojcowskiej.

Powóz skręcił na prawo, wjechał w wąską aleję, wreszcie zatrzymał się.

Domini uniosła twarz z rąk swoich. Ujrzała przed sobą wielkie odrzwia, które stały otworem. Nad niemi był posąg Matki Bożej z Dziecięciem, a z dwu stron aniołowie z mieczami i gwiazdami. Pod tem był napis wielkiemi literami:

JANUA COELI.

Niżej poprzez otwór drzwi ujrzała przestrzeń otwartą, zalaną blaskami słońca, trzy drzewa palmowe i drugie drzwi, które były zamknięte. Nad temi drzwiami był napis:

„Les dames n'entrent pas ici.“

Gdy tak patrzała, poprzez szlak, zalany słońcem, przesunęła się zwolna postać bardzo starego mnicha z długą białą brodą — i zniknęła.

Woźnica zwrócił się ku nim na koźle.

— Tu państwo wysiadacie — rzekł głosem pełnym wesela. — Pani pozostanie w rozmównicy na prawo od pierwszych

drzwi, podczas gdy pan może iść do gospody. O, tam. — Wskazał batem i znowu zajął dawną pozycję.

Domini siedziała bez ruchu. Usta jej poruszały się, raz jeszcze powtarzając słowa z *Naśladowania.* Androwski powstał z siedzenia, wysiadł ciężko z powozu i stał obok niego. Woźnica był zajęty zapalaniem wielkiego cygara. Androwski pochylił się naprzód ku Domini, z rękoma na krawędzi powozu i patrzał na nią oczyma bez łez.

— Domini! — wyszeptał wreszcie. — Domini!

Wtedy ona zwróciła się ku niemu, pochyliła się, złożyła ręce na jego ramionach i przez długą chwilę patrzała w twarz jego, jakgdyby chciała w spojrzeniu tem napatrzeć się na wszystkie lata, które jeszcze nadejdą. Oczy jej również były bez łez.

Wreszcie pochyliła się i dotknęła jego czoła ustami.

Nic nie rzekła. Ręce jej opadły z jego ramion, odwróciła się, i usta raz jeszcze się poruszyły.

Wtedy Androwski ruszył zwolna poprzez odrzwia klasztoru, przerznął szlak słoneczny, uniósł dłoń i uderzył w dzwon u wtórych drzwi.

— Proszę wracać do Tunisu!

— Ależ, proszę pani! — rzekł woźnica.

— Wracaj do Tunisu!

— Pani nie poszła... ale pan...

— Wracaj zpowrotem!

W głosie jej było coś, co przyprawiło o drżenie woźnicę. Chwilkę zawahał się, patrząc na Domini ze swego siedzenia, a potem, zakląwszy półgłosem, zawrócił konie i smagnął je batem ze złością.

. . . .

„Miłość czuwa i wśród snu nie zasypia. Wśród pracy nie jest spętana, śród trwogi nie miesza się... śród trwogi.“

Usta Domini przestały się poruszać. Nie mogła już dalej mówić. Nie mogła nawet modlić się bez słów.

Ale w tej chwili nie czuła się samotną.

XXVIII.

W ogrodzie hrabiego Anteoni'ego, który przeszedł teraz w inne ręce, widzieć można często bawiącego się chłopczyka. Jest on wesoły, jak bywają wesołe dzieci, lecz często jest swawolny i z prostej pustoty rozrzuca stożki piasku, usypane starannie przez ogrodników na wąskich ścieżkach pomiędzy strumykami, lub obrywa płatki geranjum i rzuca je wietrzykom, które szemrzą pośród drzew. Lecz gdy odezwie się flet Larbiego, biegnie wraz słuchać go. Siada u stóp tego uporczywego miłośnika i śledzi ruch smagłych palców na dziurkach fujarki, a mała jego twarzyczka staje się poważna i marząca, jakgdyby patrzała na rzeczy dalekie. jakgdyby śledziła bieg mirażu, powstającego tajemnie w słonecznych przestworzach pustyni, by zniknąć wkrótce bez śladu.

Jedną tylko pieśń kocha bardziej, niż melodje ćwierkające Larbiego.

Czasami, gdy mrok padnie na pustynię, matka woła go do siebie, ku białemu murowi, oddzielającemu ogród od pustyni, gdzie siaduje pod drzewem dżamelonu.

— Słuchaj, Borysie! — mówi mu półgłosem.

Chłopię wdrapuje się jej na kolana, wspiera twarzyczkę na jej piersi i słucha. Tam w dole, szlakiem pustynnym, przechodzi Arab i śpiewa sobie w powrotnej drodze ku domowi w oazie:

„Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu."

Śpiewa pieśń wolnych Arabów. Gdy pieśń już zamrze w przestrzeni, matka zdejmuje chłopca z kolan. Czas już mu spać, i Smain już czeka, by zaprowadzić go do białej willi, gdzie będzie spał bez snów aż do rana.

„Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu."

Matka atoli pozostaje u muru, póki noc nie spadnie na piaski i pustynia nie zniknie dla oczu.

Szepce te słowa do siebie. Świeży powiew nocy przepływa nad obszarami Sahary i muska jej twarz, przypominając jej ten powiew w Arbie, który przyniósł ku niej iskry ognia, gdy siedziała przed namiotem — przypominając jej dni szczytne wolności, pasji, która przyszła do jej duszy, jak ogień, w pustyni.

Nie burzy się jednak.

Albowiem zawsze, gdy noc zapadnie, w duszy jej świeci obraz modlącego się mężczyzny, który zbiegł był niegdyś od modlitwy w pustyni, i obraz wędrowca, który dom swój wreszcie odnalazł.

KONIEC.